

Urth Nowego Słońca

Gene Wolfe



calibre 0.9.27

Gene Wolfe
Urth Nowego Słońca

książkę dedykuję Elliolowi i Barbarze - oni wiedzą dlaczego.

Zbudź się, bo ranek w ciszę wypełnioną nocą cisnął kamieniem, aż gwiazdy z krzykiem pierzchły.
Patrz tam!

Myśliwy, co od wschodu bieży, zarzucił petłę lassa na sułtańska wieże.

Fitzgerald

Rozdział I

Grotmaszt

Cisnąwszy jeden manuskrypt w ocean czasu, zaczynam pisać na nowo. Bez wątpienia jest to niedorzeczność, ja jednak zachowałem jeszcze tyle zdrowego rozsądku, aby zdawać sobie sprawę, iż nikt nigdy nie przeczyta tych słów, nawet ja sam. Pozwólcie mi więc wyjaśnić, nie wiadomo komu i po co, kim jestem oraz co takiego uczyniłem naszej Urth.

Naprawdę mam na imię Severian. Przyjaciele, których nigdy nie miałem zbyt wielu, nazywali mnie Severianem Kulawym. Żołnierze, których niegdyś miałem mnóstwo, choć nie aż tak wielu, jakbym chciał, nazywali mnie Severianem Wielkim. Nieprzyjaciele, którzy mnożyli się jak muchy na bitewnych polach zasianych trupami, nazywali mnie Severianem Oprawcą. Byłem ostatnim Autarchą Wspólnoty, a tym samym jedynym prawowitym władcą planety znanej podówczas jako Urth.

Pisanie jest jak choroba. Kilka lat temu (jeśli czas ma jeszcze jakiegokolwiek znaczenie) siedziałem w mojej kabinie na pokładzie statku dowodzonego przez Tzadkiela, odtwarzając z pamięci księgę, którą spłodziłem w komnatach Domu Absolutu. Niczym kopista pracowicie wodziłem piórem, przenosząc na papier tekst zamknięty w mojej głowie, w poczuciu, że oto dokonuję ostatniego sensownego - a raczej bez-sensownego - czynu w życiu.

Pisałem, kładłem się spać, a potem wstawałem i na nowo siadałem do pisania, aż wreszcie dotarłem do chwili, kiedy wszedłem do wieży nieszczęsnej Valerii i usłyszałem, jak ściany budowli, a także wszystkich dokoła, mówią do mnie. Wtedy właśnie poczułem, jak na ramiona spada mi dostojny ciężar męskości i zrozumiałem, że już nie jestem młodzieńcem. Dziesięć lat wcześniej - tak mi się przynajmniej wydawało - pisałem o tym samym w Domu Absolutu; teraz od tamtych dni dzieli mnie całe stulecie, a może nawet więcej.

Wziąłem ze sobą na pokład wąską ołowianą szkatułę z ciasno dopasowanym wiekiem. Tak jak się spodziewałem, było w niej akurat tyle miejsca, żeby upchnąć rękopis. Zamknąłem starannie wieko, po czym ustawiłem pistolet na najmniejszą moc i stopiłem krawędzie pokrywy, łącząc ją ze ściankami pojemnika.

Żeby wydostać się na pokład, trzeba pokonać niezwykle, tajemnicze korytarze, w których często rozbrzmiewa przedziwny głos, czasem trudno słyszalny, ale zawsze zrozumiały. Dotarłszy do włazu należy przywdziać powietrzny strój, niewidzialny pęcherz atmosfery utrzymywanej wokół ciała działaniem naszyjnika ze lśniących metalowych cylindrów. Strój składa się z kaptura, koszuli, spodni, butów oraz rękawic, przy czym te ostatnie nie izolują całkowicie rąk od świata zewnętrznego; kiedy człowiek chwyci się czegoś w próżni, lodowate zimno szybko przenika do palców.

Statki żeglujące między słońcami w niczym nie przypominają tych z Urth. Przede wszystkim mają mnóstwo pokładów, tak że przekroczywszy reling jednego natychmiast wchodzi się na następny.

Pokłady są z drewna, które lepiej radzi sobie z okrutnym mrozem, ale pod spodem jest metal i kamień.

Z każdego pokładu wyrastają maszty sto razy wyższe od Wieży Sztandaru w naszej Cytadeli. Na pierwszy rzut oka wydają się zupełnie proste, ale kiedy spojrzeć na nie od nasady ku szczytowi,

łatwo zauważyć, że wyginają się delikatnie pod naporem słonecznego wiatru.

Nie sposób ich policzyć. Na każdym jest tysiąc rei, każda reja podtrzymuje srebrny lub fuliginowy żagiel, tak że jeśli ktoś chce zobaczyć odległe słońca, pyszniące się bielą, fioletem, lazurem i różem, musi zdrowo się natrudzić, by dojrzeć choć kilka z nich między wydętymi żaglami, zupełnie jakby szukał

ich w przerwach między chmurami na jesiennym nocnym niebie.

Dowiedziałem się od stewarda, że czasem żeglarz, który wdrapie się na któryś z masztów, przez nieuwagę rozluźni uchwyt i odpadnie od rei. Na Urth taki nieszczęśnik runąłby na pokład i zginął na miejscu, ale tutaj nic takiego mu nie grozi. Chociaż statek jest ogromny i pełen niewyobrażalnych skarbów, chociaż my, a więc załoga i pasażerowie, znajdujemy się wielekroć bliżej jego środka, niż mielibyśmy do środka Urth stąpając po jej powierzchni, to siła przyciągania jest zaskakująco niewielka.

Nieostrożny żeglarz płynie wśród lin i żagli niczym puch

ostu, jedyne zaś cierpienie, jakiego doświadcza, spowodowane jest docinkami towarzyszy - co prawda nie słyszy ich głosów, ale wie, że naśmiewają się z niego do rozpuku. Próżnia tłumi wszystkie dźwięki, a żeby porozumieć się z innym człowiekiem, trzeba zbliżyć się do niego na tyle, by dwa pęcherze powietrza połączyły się w jeden. Słyszałem, że gdyby tak nie było, nieustanny ryk słońc doprowadziłby wszechświat do obłędu.

Jednak wówczas, kiedy wyszedłem na pokład z ołowianym pojemnikiem pod pachą, nie zdawałem sobie z tego wszystkiego sprawy, Powiedziano mi tylko, że muszę założyć metalowy naszyjnik oraz że przechodząc przez właz muszę najpierw zamknąć wewnętrzne drzwi, a dopiero potem otworzyć zewnętrzne, w drodze powrotnej zaś postąpić odwrotnie. Wyobraźcie więc sobie moje zdumienie, gdy wreszcie znalazłem się na zewnątrz.

Nade mną pięły się w górę maszty, reje i żagle, kondygnacja nad kondygnacją, stłoczone tak ciasno, że wydawało się, iż nie zostawia ani trochę miejsca dla gwiazd. Olinowanie przypominało pajęczynę utkaną przez pająka wielkości statku, sam statek natomiast był większy od niejednej wyspy rządzonej przez możnowładcę uważającego się niemal za monarchę. Pokład rozciągał się przede mną jak bezkresna równina; po to, by postawić na nim stopę, musiałem przywołać na pomoc całą swą odwagę.

Ponieważ do tej pory nie opuszczałem kabiny, nie zdawałem sobie sprawy, że ważę tylko jedną ósmą tego, co na Urth. Teraz czułem się jak duch, albo raczej jak człowiek z papieru, odpowiedni mąż dla papierowych dam, których suknie malowałam jako dziewczynka kolorowymi kredkami. Wiatr wiejący od odległych słońc nie dorównuje siłą najslabszemu zefirkowi, ja jednak czułem jego podmuchy i bałem się, że któryś z nich porwie mnie ze sobą. Nie tyle stąpałem po pokładzie, co unosiłem się nad nim; teraz wiem, że było tak naprawdę, Ponieważ utrzymywane siłą naszyjnika powietrze otaczało także moje stopy, nie pozwalając podeszwom butów na zetknięcie z deskami Pokładu.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu jakiegoś żeglarza, który doradziłby mi, którądy powinienem się wspinać. Sądziłem, iż będzie ich wielu, jak na pokładach statków przemierzających oceany Urth, tymczasem nie zobaczyłem ani jednego. Po to, by nie zużywać niepotrzebnie powietrznych skafandrów, większą część podróży spędzają we wnętrzu statku, wychodząc na zewnątrz jedynie w razie potrzeby, czyli bardzo rzadko. Zawołałem głośno, ale, rzecz jasna, nie otrzymałem odpowiedzi.

W odległości zaledwie kilku łańcuchów dostrzegłem podstawę masztu, lecz natychmiast zrozumiałem, iż nie zdołam się na niego wdrapać, ponieważ był grubszy od najpotężniejszego drzewa, jakie kiedykolwiek wyrosło w naszych lasach, i tak gładki, jakby wykonano go z metalu. Ruszyłem przed siebie, obawiając się dziesiątków wyimaginowanych niebezpieczeństw, nieświadom rzeczywistych zagrożeń, jakie zawisły nad moją głową.

Rozległe pokłady są zupełnie płaskie, dzięki czemu marynarze mogą dawać sobie znaki nawet na znaczną odległość; gdyby były zakrzywione i gdyby każdy punkt na ich powierzchni znajdował się w jednakowej odległości od środka statku, żeglarze mknęliby sobie z oczu, tak jak z oczu wachtowych nikną statki żeglujące po morzach, kiedy odpłyną wystarczająco daleko, by skryć się za wypukłością Urth. Ponieważ są płaskie, wydają się lekko pochylone, chyba że stoi się dokładnie pośrodku. W związku z tym wydawało mi się, że - lekki jak piórko - wspinam się po zboczu widmowego wzgórza.

Wspinaczka trwała co najmniej pół wachty. Cisza - tak nieprzenikniona, że bardziej materialna od samego statku - leżała mi na duszy nieznośnym ciężarem. Słyszałem jedynie swoje lekkie, niepewne stąpnięcia, czasem zaś czułem delikatne drżenie pokładu pod stopami i to wszystko. Od kiedy jako mały chłopiec zacząłem uczęszczać na lekcje do mistrza Malrubiusa, wiedziałem, że przestrzeń między słońcami wcale nie jest pusta, gdyż przemierza ją wiele setek, a może nawet tysięcy statków. Później przekonałem się, iż przebywają tam również żywe stworzenia, takie jak gigantyczna wodnica, z którą zetknąłem się dwa razy, a także skrzydlata istota, która mignęła mi między kartami księgi ojca Inire.

Teraz spłynęło na mnie zupełnie nowe objawienie; dowiedziałem się oto, iż te wszystkie statki i ogromne stworzenia stanowią zaledwie coś w rodzaju garści nasion rzuconych na pustynię, która nawet po skończonym zasiewie jest tak samo pusta jak przedtem. Z pewnością zawróciłbym wówczas i ruszył w drogę powrotną do kabiny, gdyby nie świadomość, że jak tylko tam dotrę, zraniona duma natychmiast znowu wygna mnie na pokład.

Wreszcie zbliżyłem się do misternej pajęczyny takielunku, czasem lśniącej w blasku gwiazd, czasem niknącej w cieniu rzucanym przez sąsiedni, wyższy pokład. Choć liny wydawały się takie cienkie i delikatne, to każda z nich była grubsza od potężnych kolumn naszej katedry.

Oprócz powietrznego stroju miałem na sobie także czarną wełnianą opończę; podwinąłem jej skraj i obwiązałem go sobie wokół pasa, do utworzonej w ten sposób sakwy włożyłem ołowiany pojemnik, następnie zaś z całej siły odbiłem się zdrową nogą od pokładu.

Ponieważ czułem się jak istota nie z ciała i kości, lecz z puchu i piór, wyobrażałem sobie, iż będę wznosił się powoli, dostojnie, jak owi nieroztropni żeglarze pływający między rejami. Stało się zupełnie inaczej. Dałem susa większego niż ktokolwiek tu, na Ushas. ale choć leciałem w górę, moja

prędkość wcale się nie zmniejszyła. Uczucie było zarazem wspaniałe i przerażające.

Wkrótce przerażenie wzięło górę nad zachwytem, ponieważ nie byłem w stanie utrzymać sensownej pozycji; nogi uciekły spode mnie, przekręciłem się na bok, potem zacząłem powoli obracać się w pustce jak miecz wyrzucony w powietrze ręką triumfującego zwycięzcy.

Lśniaca lina przemknęła obok mnie tuż poza zasięgiem moich ramion. Usłyszałem zduszony okrzyk i dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że wyrwał się z mojej piersi. W górze pojawiła się druga lina; pędziłem ku niej, jakby była moim śmiertelnym wrogiem, którego postanowiłem obalić siłą uderzenia.

Zdołałem chwycić ją obiema rękami, choć niewiele brakowało, a ramiona wyskoczyłyby mi ze stawów barkowych, ołowiany pojemnik zaś, który, gnany rozpędem, chciał lecieć dalej, stałby się przyczyną mojej śmierci, gdyż związana opończa przesunęła się z pasa na szyję i prawie mnie udusiła. Nie zwolniłem jednak uchwytu, dodatkowo oplótłem lodowato zimną linę obiema nogami, a po chwili zdołałem nawet głębiej odetchnąć.

W ogrodach Domu Absolutu żyło sporo nadrzewnych ma łp, a ponieważ służba (szczególnie ta zajmująca się najbrudniejszymi i na jbardziej pospolitymi pracami) często zabijała je i pakowała do garnka, unikały ludzi, zachowując wobec nich ostrożny dystans.

Wielokrotnie obserwowałem je z zazdrością, jak śmigają po konarach albo bez wysiłku przeskakują z gałęzi na gałąź, nie zwracając uwagi na wołanie głodnej Urth, czyhającej na ich najmniejszy błąd.

Teraz sam musiałem przeistoczyć się w takie zwierzę. Ledwo wyczuwalne ciężenie podpowiadało mi, że dół jest tam, gdzie pokład, lecz mój sparaliżowany przerażeniem umysł nie potrafił wyciągnąć z tego faktu żadnych wniosków. Zawiodły nawet wspomnienia: może i kiedyś już skądś spadłem, ale teraz nic z tego nie wynikało.

Na szczęście linę można było potraktować także jako coś w rodzaju ścieżki; w górę szło się równie łatwo jak w dół, a ponieważ plecionka z niezliczonych włókien dawała doskonale uparcie dla stóp, dostarczając jednocześnie mnóstwa uchwytów dla rąk, podążyłem w górę niczym jakieś zwierzę o niezgrabnych, długich kończynach, na przykład wystraszony zając przeprawiający się po zwalonym pniu na drugi brzeg strumienia.

Niebawem dotarłem do rei podtrzymującej niższy żagiel gnie-zdny; zatrzymałem się tam na chwilę, po czym przeskoczyłem na inną, cieńszą linę, z tej zaś na kolejną. Przy następnej rei stwierdziłem, że już się nie wspinał; szept podpowiadający mi, gdzie jest dół, ucichł, szarobrązowy kadłub statku zaś stał się po prostu jakimś gigantycznym obiektem majaczącym na granicy mojego pola widzenia.

Po przeciwnej stronie od nieba nadal odgradzały mnie srebrzyste żagle. Było ich chyba tyle samo co wtedy, gdy zaczynałem wspinaczkę. Po prawej i po lewej wznosiły się maszty wyrastające z innych pokładów, dziesiątki, może nawet setki nieskończenie wysokich kolumn, pochylone pod różnymi kątami, oddzielone od siebie odległościami, które przypuszczalnie należało liczyć w milach. Niczym wyciągnięte palce Prastwórcy wskazywały drogę ku krańcom wszechświata. Górne żagle, choć tak wielkie, przypominały zaledwie drobnutki skrawki folii migoczące wśród gwiazd. Stąd mogłem już

bezpiecznie cisnąć ołowiany pojemnik w pustkę, aby gdzieś, kiedyś (jeśli taka byłaby wola Prastwórcy) odnalazła go istota należąca do jakiejś obcej rasy.

Nie uczyniłem tego jednak, gdyż powstrzymały mnie myśl i wspomnienie. Wspomnienie dotyczyło postanowienia, jakie podjąłem w trakcie pracy nad rękopisem: przyrzekłem sobie wtedy, że powierzę go pustce dopiero po tym, jak nasz statek przedrze się na drugą stronę tkaniny czasu. Po tej stronie, na jednej z półek w bibliotece mistrza Ultana, zostawiłem przecież już pierwszy manuskrypt; było więc jasne, że przetrwa najwyżej tak długo, jak długo będzie istniała Urth.

Ten egzemplarz był przeznaczony dla kogo innego. Nawet gdybym nie zdołał poradzić sobie z czekającą mnie próbą, dzięki niemu przesłałbym maleńką cząstkę naszego świata poza granice kosmosu.

Teraz spoglądałem na słońca tak odległe, że nie sposób było dostrzec otaczających je planet, mimo iż niektóre z nich są z pewnością większe od Serenusy, na skupiska gwiazd dostrzegalne zaledwie jako jeden, słabo świecący punkcik i zastanawiałem się, jak to możliwe, żeby to wszystko okazało się za małe dla moich ambicji. Czyżby wszechświat zdążył tak bardzo urosnąć, na przekór mędrcom twierdzącym, jakoby proces rozprzestrzeniania się został już dawno zahamowany? A może to ja urosłem?

Myśl właściwie nie była myślą, tylko instynktowną, niemożliwą do pohamowania żądzą: pragnąłem dotrzeć na sam szczyt. Teraz mógłbym bronić mego postanowienia, twierdząc, jakobym zdawał sobie sprawę, że druga taka okazja może się już nie nadarzyć albo że nie wypadało mi ugiąć się przed wyzwaniem, któremu wielokrotnie potrafili sprostać zwykli marynarze, i tak dalej, i tak dalej. Wszystko to byłyby nieudolne próby znalezienia racjonalnego uzasadnienia, podczas gdy w rzeczywistości chodziło o coś znacznie prostszego. Otóż od wielu lat jedyną radością, jakiej okazjonalnie mogłem zaznać, była radość zwycięstwa, teraz natomiast znowu poczułem się chłopcem. Dawno temu marzyłem, by wspiąć się na szczyt Wielkiej Wieży; nawet przez chwilę nie przyszło mi do głowy, że sama Wielka Wieża może pragnąć wzbić się w niebo. Ten statek już to uczynił i z każdym uderzeniem serca wznosił się coraz wyżej, a ja chciałem wznosić się razem z nim.

Im wyżej byłem, tym łatwiej mogłem się poruszać, a jednocześnie tym bardziej niebezpieczna stawała się moja wyprawa. Nie ważyłem już nic. Przeskakiwałem z liny na linę, z rei na reję, odpoczywałem przez chwilę, po czym dawałem kolejnego ogromnego susa.

W pewnej chwili pomyślałem sobie, że nie ma żadnego powodu, dla którego musiałbym robić tyle przystanków w drodze ku wierzchołkowi masztu. Zaraz po tym wystartowałem jak jedna z rakiet, które w najkrótszą noc roku wystrzeliwuje się z ogrodów Domu Absolutu; bez trudu mogłem sobie wyobrazić, że syczę jak one, ciągnąc za sobą płomienisty ogon i sypiąc deszczem różnobarwnych iskier.

Żagle i liny defilowały przede mną w nie kończącej się procesji. Nagle w dość znacznej odległości dostrzegłem zawieszony nieruchomo - tak mi się w każdym razie wydawało - przedmiot, złocisty, otoczony czymś w rodzaju szkarłatnej obręczy. Uznałem, że jest to jakiś przyrząd nawigacyjny, umieszczony tam, gdzie można było dostrzec gwiazdy, albo zwykłe narzędzie, pozostawione przez nieuwagę na pokładzie, które pod wpływem niewielkiej zmiany kursu popłynęło w przestrzeń.

Nadal szybowałem w niezmaconej ciszy.

Kiedy w moim polu widzenia pojawił się mars grotmasztu, wyciągnąłem rękę, by złapać się fału. Był niewiele grubszy od mego palca, choć każdy z żagli miał powierzchnię kilkunastu dużych łak.

Chybiłem, a zaraz potem fał znalazł się poza zasięgiem moich rąk. Podobnie jak drugi.

Do trzeciego zabrakło mi co najmniej dwóch łokci.

Usiłowałem zawrócić jak pływak, ale zdołałem tylko podkurczyć nogę. Grube liny, w liczbie ponad stu, skończyły się już dawno temu. Przed chwilą minąłem ostatni fał. Została mi jeszcze jedna wanta, ale zdołałem tylko musnąć ją końcami palców.

Rozdział II

Piąty żeglarz

Zrozumiałem, że oto nadszedł kres mego życia. Podróżując na pokładzie "Samru" zauważyłem, że za rufę jest przerzucona długa lina, bez wątpienia z myślą o niefortunnych marynarzach, którym zdarzyłoby się wypaść za burtę. Nie miałem pojęcia, czy nasz statek też ciągnie taką linę; ale nawet gdyby tak było. to niewiele by mi to dało. Trudność mego położenia (z wysiłkiem opieram się pokusie, żeby nie użyć słowa "nieszczęście") nie wynikała z faktu, że wyleciałem za burtę i zostałem za rufą, tylko na tym, że wzniosłem się ponad las masztów, ba, wznosiłem się nadal - a raczej po prostu leciałem, bo przecież równie dobrze mógłbym spadać głową naprzód - z prędkością, jaką uzyskałem po ostatnim odbiciu.

W dole, a w każdym razie pod moimi stopami, statek kurczył się jak srebrzysty kontynent najeżony czarnymi masztami przypominającymi smukłe czułki koników polnych. Wokół mnie płonęły gwiazdy, jasne i różnobarwne, jakich nie można zobaczyć z powierzchni Urth. Przez chwilę - nie z nadmiaru odwagi, lecz dlatego, że odwaga opuściła mnie wraz z umiejętnością logicznego myślenia - rozglądałem się w jej poszukiwaniu. Powinna być zielona jak księżyc, z wyraźnymi białymi plamami w miejscach, gdzie lądy i morza skryły się pod lodowymi czapami. Nie udało mi się jednak odszukać ani jej, ani nasyconego szkarłatem dysku starego słońca.

Zaraz potem uświadomiłem sobie, że szukałem w niewłaściwym miejscu. Jeżeli Urth w ogóle była widoczna, to powinna znajdować się za rufą. Natychmiast skierowałem tam wzrok i ujrzałem... nie, nie naszą Urth, lecz rozszerzający się, wieloramienny wir fuliginu, koloru ciemniejszego od najgłębszej czerni. Wyglądał tak, jakby składał się z samej nicości, ale otaczał go pierścień różnobarwnego światła, coś w rodzaju koła utworzonego z miliarda roztańczonych gwiazd.

Przegapiłem cud. Cud nastąpił wtedy, kiedy ja utrwałem na

papierze jakieś napuszone zdanie o mistrzu Gurloesie albo o wojnie z Ascianami. Rozdarliśmy tkaninę czasu, fuliginowy wir zaś wyznaczał koniec wszechświata.

Albo jego początek. Jeśli początek, to na kolorowy pierścień gwiazd składały się młode, dopiero co

narodzone słońca, a wobec tego był to jedyny naprawdę magiczny pierścień, jaki kiedykolwiek pojawi się w tym wszechświecie. Rozłożyłem szeroko ręce na ich powitanie i wydałem radosny okrzyk, choć oprócz mnie mógł go usłyszeć jedynie Prastwórca.

Zaraz potem wydobyłem z opończy ołowianą szkatułę, uniosłem ją oburącz nad głowę i ze szczęśliwym uśmiechem na ustach cisnąłem z całej siły byle dalej od mego niewidocznego bąbla powietrza, byle dalej od zaśmieconego sąsiedztwa statku, byle dalej od wszechświata, z którego przybywaliśmy. Ołowiany pojemnik z moim rękopisem w środku stanowił ostatni dar złożony młodemu kosmosowi przez stary, odchodzący w niebyt.

Natychmiast pochwyciło mnie przeznaczenie i pchnęło do tyłu - nie prosto w dół, ku temu samemu miejscu na pokładzie, z którego zacząłem wspinaczkę, bo wówczas na pewno przypłaciłbym to życiem, ale w dół i nieco do przodu, w związku z czym już po chwili minąłem szczyt "mojego" masztu.

Odwróciłem głowę, mało nie skręcając sobie przy tym karku, by w porę wypatrzeć następny, ale następnego nie było. Przemknąłem tuż nad górną reją - gdybym leciał trochę niżej, ani chybi roztrzaskałbym sobie o nią głowę - z tak wielką prędkością, że nawet nie próbowałem jej złapać, a zaraz potem stało się dla mnie jasne, iż wyprzedziłem statek.

Kiedy wreszcie pojawił się kolejny z niezliczonych masztów, spoglądałem na niego z wielkiej odległości i pod przedziwnym kątem. Żagle zdawały się rosnać na nim jak liście na drzewie, już nie prostokątne jak te, które oglądałem do tej pory, lecz trójkątne. Przez jakiś czas wydawało mi się, że jego także wyprzedzę, potem zaś, że w niego uderzę. W ostatniej chwili dostrzegłem cienki jak konopna linka sztag i chwyciłem się go kurczowo.

Przez pewien czas, dysząc ciężko, trzepotałem jak chorągiew na wietrze, potem zaś odepchnąłem się co sił w ramionach i poszybowałem wzdłuż bukszprytu - gdyż ten ostatni, pochylony pod niezwykłym kątem maszt był oczywiście bukszprytem. Nie obchodziło mnie, że mogę roztrzaskać się o dziób statku; pragnąłem tylko tego, by wreszcie dotknąć kadłuba, wszystko jedno gdzie i w jaki sposób.

Tymczasem zamiast na kadłub wpadłem na sztagzel i począłem zsuwać się po ogromnej, srebrzystej powierzchni; istotnie, zdawał się nie mieć grubości ani wagi, tylko samą powierzchnię, jakby zestaloną z nieskończonej cienkich pasemek światła. Nabrałem prędkości na spadku, wyhamowałem na przeciwległej krzywiznie, obróciłem się kilka razy, po czym zsunąłem na pokład.

Nie miałem pojęcia, czy wróciłem na ten sam, z którego nie tak dawno wyruszyłem. Leżałem nieruchomo, bez tchu w piersi, próbując zapanować nad potwornym bólem uszkodzonej nogi.

Przyciąganie statku było tak słabe, że bałem się, iż lada podmuch słonecznego wiatru oderwie mnie od desek i ciśnie w lodowatą przestrzeń.

Czas mijał, a ja wciąż dyszałem jak po wyczerpującym biegu; dopiero po dłuższej chwili uświadomiłem sobie, że zapewne kończy się zapas powietrza i mój metalowy naszyjnik nie zdoła utrzymać mnie przy życiu wiele dłużej. Na wpeł uduszony dźwignąłem się na nogi (mimo osłabienia mało co nie wzleciałem nad pokład), potoczyłem dokoła błędnym spojrzeniem, dostrzegłem klapę

włazu w odległości zaledwie kilku kroków ode mnie, zataczając się dokuśtykaniem do niej, szarpnąłem ostatkiem sił, runąłem do środka i zatrzasnąłem ją za sobą. Wewnętrzne drzwi otworzyły się same.

Natychmiast poczułem powiew świeżego powietrza, jakbym siedział w dusznej celi, do której wtargnął ożywczy, rześki wiatr. Zdjąłem naszyjnik, po czym wyszedłem na korytarz, oparłem się o ścianę i długo upajałem się czystym, chłodnym powietrzem, nie interesując się zupełnie tym, gdzie jestem; wystarczała mi błoga świadomość, że wróciłem do wnętrza statku, że nie błąkam się już wśród jego takielunku.

Korytarz był wąski, pełen niemal płynnego błękitnego blasku sączącego się ze ścian i sufitu. Jak wiesz, czytelniku, zapamiętuję wszystko, co mnie otacza i co dzieje się wokół mnie, chyba że śpię albo jestem nieprzytomny. W trakcie podróży zdążyłem już poznać wszystkie korytarze łączące moją kabinę z włazem, przez który wyszedłem na pokład, lecz teraz z pewnością nie znajdowałem się w żadnym z nich. Tamte przypominały salony wiejskich dworców, gdyż na ich ścianach wisiały obrazy, posadzki zaś były z lakierowanego drewna; tutaj na podłodze leżała zielona wykładzina podobna do trawy, której drobniutkie źdźbła zdawały się wgryzać w podeszwy moich butów miniaturowymi ząbkami.

Stałem wobec trudnego wyboru. Za plecami miałem właz; mogłem ponownie wyjść na zewnątrz i rozpocząć poszukiwania właściwego pokładu. Mogłem też ruszyć przed siebie tym rzęsiście oświetlonym korytarzem, prowadząc poszukiwania od wewnątrz. Naturalnie wiązało się z tym poważne niebezpieczeństwo, że zgubię się w trzewiach ogromnego statku, ale czy było to gorsze od zagrożeń, które czyhały wśród żagli, lin i masztów, a także dalej, w nieskończonej pustce rozciągającej się między słońcami?

Wciąż jeszcze zastanawiałem się, jaką podjąć decyzję, kiedy do moich uszu dobiegły ludzkie głosy.

Przypomniało mi to, że w dalszym ciągu mam opończę zawiązaną idiotycznie wokół pasa; pospiesznie rozsupłałem węzeł, a chwilę potem zza zakrętu korytarza wyszli ci, których głosy wcześniej usłyszałem.

Wszyscy byli uzbrojeni, lecz na tym kończyło się wszelkie podobieństwo. Jeden wyglądał całkiem zwyczajnie, jak ludzie, których o każdej porze dnia można było spotkać przy nabrzeżach w Nessus. Drugi należał do rasy, z jaką jeszcze nie miałem okazji się zetknąć w moich wędrówkach: był wysoki jak arystokrata, skórę zaś miał nie różowobrazową (a więc białą, wedle nomenklatury stosowanej w tych sprawach), lecz naprawdę białą jak morska piana, na głowie zaś równie białe włosy. Trzecią osobą była kobieta niewiele niższa ode mnie, za to nadzwyczaj potężna i bardzo grubej kości. Za tą trójką, sprawiając wrażenie, że gnają przed sobą, szła postać przypominająca barczystego mężczyznę w kompletnej zbroi.

Przypuszczani, że minęliby mnie bez słowa, ale ja postąpiłem krok naprzód, stanąłem na środku korytarza zmuszając ich do zatrzymania, po czym wyjaśniłem, w jak nieprzyjemnej znalazłem się sytuacji.

- Już o tym zameldowałem - poinformowała mnie postać w zbroi. - Ktoś po ciebie przyjdzie, albo ja

odprowadzę cię do kajuty. Na razie musisz pójść z nami.

- A dokąd idziecie? zapytałem, lecz on już się odwrócił i dał znak dwóm mężczyznom, by szli dalej.

- Chodź! - szepnęła kobieta, po czym niespodziewanie pocałowała mnie w usta. Pocałunek nie trwał

długo, ale była w nim brutalna namiętność. Zaraz potem położyła rękę na moim ramieniu i zacisnęła palce tak mocno, jak mógłby to uczynić silny mężczyzna.

Musisz z nami pójść, bo w przeciwnym razie nie będą wiedzieli gdzie cię szukać, jeśli w ogóle zechcą zadać sobie tyle trudu - wyjaśnił

prosty marynarz (w rzeczywistości wcale nie wyglądał pospolicie, gdyż miał pogodną, dość przystojną twarz oraz płowe włosy południowca). - Nie byłoby najgorzej, gdyby nie zechcieli.

Może będziesz mógł mi pomóc - powiedział białowłosy mąż

czyzna.

Pomyślałem sobie, że widocznie mnie rozpoznał. Zależało mi na pozyskaniu jak największej liczby sojuszników, więc odparłem, że naturalnie uczynię to, jeśli tylko zdołam.

- Na Danaidesa, bądźcie wreszcie cicho! - syknęła kobieta, po czym zapytała mnie szeptem: - Masz broń?

Pokazałem jej pistolet.

Musisz bardzo uważać, posługując się nim we wnętrzu statku.

Ustaw go na najmniejszą moc.

Już to zrobiłem.

Cała czwórka dźwigała arkebuzy, broń bardzo podobną do muszkietów, tyle że o krótszym, a zarazem grubszym łożysku i cieńszej lufie. Oprócz tego kobieta miała za paskiem sztylet o długim ostrzu, mężczyźni natomiast krótkie, ciężkie maczety.

-

Jestem Purn - przedstawił się ten z jasnymi włosami.

- Severian.

Uścisnąłem wyciągniętą rękę. Była duża, o szorstkiej skórze i bardzo silna.

- Ona nazywa się Gunnie...

-

Burgundofara - poprawiła go kobieta.

- Wszyscy mówimy na nią Gunnie. Wskazał na mężczyznę o białej skórze. - A ten to Idas.

-
Cisza! - syknął człowiek w zbroi, spoglądając w kierunku.

z którego cała czwórka niedawno nadeszła. Jeszcze nie widziałem.

żeby ktoś potrafił odwrócić głowę pod takim kątem.

A jak on się nazywa? - zapytałem szeptem Purna.

Odpowiedziała mi Gunnie.

Sidero.

Odniosłem wrażenie, że spośród ich trojga ona najmniej się go obawia.

-
Dokąd nas prowadzi?

Sidero wyprzedził nas i otworzył nie wyróżniające się niczym szczególnym drzwi w ścianie korytarza.

Chodźcie tutaj. To dobre miejsce. Dysponujemy przewagą.

Rozproszyc się. Ja zajmę centralną pozycję w szyku. Czekać, aż zaatakują. Obowiązuje sygnalizacja dźwiękowa.

Na litość Prastwórcy, o czym on mówi? - zapytałem.

Polujemy na znajdy - wymamrotała Gunnie. - Nie przejmuj

się za bardzo Siderem. Strzelaj tylko wtedy, jeśli będziesz uważał, że grozi ci niebezpieczeństwo.

Mówiąc to popychała mnie w kierunku otwartych drzwi.

- Nie obawiaj się. Wątpię, żebyśmy tutaj coś znaleźli - odezwał

się Idas i stanął tak blisko za moimi plecami, że odruchowo zrobiłem krok naprzód.

Znalazłem się w całkowitej ciemności, ale natychmiast wyczułem, że nie stoję już na zwykłej podłodze, lecz na jakichś ażurowych płytach, oraz że pomieszczenie, do którego wszedłem, jest znacznie większe niż zwykła kajuta czy nawet duży pokój.

Poczułem na policzku muśnięcie włosów Gunnie, a zaraz potem owiał mnie zapach jej perfum i potu.

- Włącz światło, Sidero. Nic nie widać.

Światło miało znacznie bardziej żółty odcień niż to, które płonęło w korytarzu, i zdawało się wysysać barwy ze wszystkiego, co znalazło się w jego zasięgu. Staliśmy, zbici w ciasną gromadkę, na pomoście z czarnych prętów grubości serdecznego palca. Za jego krawędzią, nie zabezpieczoną żadną barierką, otwierała się przepaść, która bez trudu pomieściłaby Wieżę Matachina. Znajdujący się tuż nad naszymi głowami sufit przypuszczalnie stanowił spodnią stronę pokładu.

Otchłań wypełniał zwałony byle jak, wymieszany bez ładunku i składu ładunek: skrzynie, bele, beczki, kontenery, maszyny i części zamienne do nich, worki (wiele z przezroczystego materiału), przeróżne rupiecie.

- Tam!

Sidero wyciągnął rękę, wskazując wąską drabinę, której delikatny, pajęczy zygzak kładł się cieniem na niebotycznej ścianie. - Ty pierwszy - powiedziałem.

Nie musiał skoczyć ku mnie, ponieważ dzieliła nas odległość najwyżej piędzi, w związku z czym nie zdążyłem nawet sięgnąć po pistolet, a cóż dopiero mówić o jego wyciągnięciu. Chwycił mnie za ramiona

ze zdumiewającą siłą, zmusił do cofnięcia się o krok. po czym pchnął brutalnie. Przez jeden lub dwa oddechy chwiałem się na krawędzi platformy, rozpaczliwie młóćąc powietrze rękami, potem zaś runąłem w przepaść.

Na Urth ani chybi skręciłbym sobie kark; tu, na statku, raczej sływałem niż spadałem ku odległej podłodze, co jednak w najmniejszym stopniu nie zmniejszyło mego przerażenia. Widziałem, jak w górze wiruje sufit i podwieszony pod nim, ażurowy pomost. Zdawałem sobie sprawę, że wyląduję na plecach, a więc główny impet uderzenia będą musiały wziąć na siebie czaszka i kręgosłup, lecz nie mogłem się odwrócić. Wymachiwałem rękami, szukając jakiegoś punktu oparcia, ale znalazłem go tylko w przemykających mi przez głowę wspomnieniach, gdzie pojawił się także sztag, który niedawno ocalił mi życie. Cztery oblicza spoglądające na mnie z góry - metalowa przyłbica Sidera, białe jak kreda policzki Idasa, uśmiech Purna, piękne, dzikie rysy Gunnie - przypominały maski z koszmarne snu. Z całą pewnością żaden nieszczęśnik zrzucony z Wieży Dzwonów nie miał aż tyle czasu na to, by kontemplować swój zbliżający się nieodwołalnie koniec.

Uderzenie było tak silne, że powietrze z głośnym ni to westchnieniem, ni to jękiem uciekło mi z piersi. Przez co najmniej sto uderzeń serca leżałem bez ruchu, dysząc ciężko, tak jak dyszałem całkiem niedawno, kiedy udało mi się dostać do wnętrza statku. Do mojego umysłu powoli torowała sobie drogę świadomość, że choć istotnie doświadczyłem upadku, to jego konsekwencje nie były wiele groźniejsze od tych, jakich zaznałbym wypadłszy z łóżka na dywan. Usiadłem i obmacałem się pobieżnie, ale nie stwierdziłem żadnego złamania.

Istotnie wylądowałem na czymś w rodzaju dywanu z plików papieru; przemknęła mi myśl, że

widocznie Sidero doskonale wiedział, iż nic mi nie grozi, ale zaraz potem tuż obok dostrzegłem jakąś przechyloną pod dziwacznym kątem maszynę, najeżoną dźwigniami i pokrętłami.

Podniosłem się na nogi. Wysoko w górze pomost był pusty, drzwi, przez które weszliśmy z korytarza, zamknięte. Rozejrzałem się w poszukiwaniu drabiny, ale maszyna, obok której stałem, zasłaniała mi niemal całą ścianę. Ruszyłem powoli wzdłuż jej boku, brodząc po kolana w zadrukowanym papierze.

(Paczki były powiązane konopnym sznurkiem, który w wielu miejscach popękał, w związku z czym kartki

rozsypały się po podłodze jak śnieg). Szło mi się dość trudno, choć z pewnością wielce pomocna była zmniejszona waga mego ciała.

Ponieważ patrzyłem pod nogi, wyszukując najlepszą drogę, zauważyłem stojącą przede mną istotę dopiero wtedy, kiedy niemal na nią wpadłem.

Rozdział III

Kajuta

Moja ręka odruchowo

sięgnęła

po

pistolet.

Dobyłem go i wycelo-

wałem, zanim zdążyłem o

tym pomyśleć. Kosmate

stworzenie przypominało

sylwetką

przygarbioną

salamandrę, która kiedyś o

mało nie spaliła mnie

żywcem

w

Thraksie.

Podświadomie

oczekiwałem,

że

lada

chwila

całkiem

się

wyprostuje,

odsłaniając

płonące serce.

Tak

jednak

nie

uczyniło,

a

ja

nie

nacisnąłem spustu. Przez

jakiś czas oboje staliśmy

bez

ruchu,

a

potem

stworzenie rzuciło się do

ucieczki,

gramoląc

się

przez

skrzynie

i

przeskakując worki niczym

nieporadne

szczenie
goniące żywą futrzaną
kulkę, którą było ono
samo.
Dopiero
teraz
uległem temu okrutnemu
instyktowi, nakazującemu
ludziom zabijać wszystko,
co okazuje przed nimi lęk, i
strzeliłem.

Promień
(potencjalnie
wciąż
śmiertelnie niebezpieczny,
mimo
iż
przesunąłem
regulator
w
najniższe
położenie, aby zasklepić
szczelinę między wiekiem a
ściankami

ołowianego

pojemnika) trafił w jakąś

metalową sztabę, która

zadźwięczała jak dzwon.

Włochata

istota,

kimkolwiek

była,

uskoczyła w bok, a w

następnej chwili znikła za

wielkim

posągiem

spowitym w

ochronny

kokon.

Ktoś

krzyknął;

odniosłem wrażenie, iż

poznaję zmysłowy kontrakt

Gunie.

Zaraz

polem

rozległ się odgłos bardzo

podobny do śpiewu strzały

wypuszczonej

z

łuku,

potem zaś drugi okrzyk, już

z pewnością nie kobiecy.

Kudłaty stwór pojawił

się w tym samym miejscu,

w którym przed chwilą

zniknął, ale tym razem

zdołałem

nad

sobą

zapanować

i

nic

nacisnąłem spustu. Strzelił

natomiast Purn, trzymając

arkebuz w taki sposób,

jakby to była włócznia.

Zamiast

oślepiającej

ognistej

kuli,

którą

spodziewałem się ujrzeć,

z lufy wytrysnął jakby

sznur, giętki

i czarny w tym

niezwykłym świetle, i

pomknął w kierunku

ofiary

z owym

świszcząco-śpiwnym

odgłosem, który nie tak

dawno dotarł

do moich uszu.

Uderzywszy w plecy włochatego stworzenia owinał się wokół niego dwa razy, lecz choć wyteżalem wzrok, nie dostrzegłem żadnego innego efektu. Purn krzyknął triumfalnie i podskoczył jak konik polny.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że przecież w tej wielkiej ładowni mogę wykonywać takie same skoki jak na pokładzie statku; natychmiast wybiłem się z całej siły w górę (nie chciałem nigdzie odchodzić, aby nie stracić okazji do zrewanżowania się Siderowi za jego niedawny postępek) i niewiele brakowało, bym roztrzaskał sobie czaszkę o jakże odległy, zdawałoby się, sufit.

Będąc w powietrzu mogłem dokładnie obserwować toczącą się w dole walkę. Futrzasta istota -

w blasku słońca Urth jej sierść byłaby chyba płowa - broniła się zaciekle, lecz do dwóch pętli ze sznura wystrzelonego przez Purna dołączyły trzy kolejne, kiedy przemówił arkebuz Sidera, a potem jeszcze dwie, gdy spust nacisnęła Gunnie, skacząca z budzącym respekt wdziękiem wśród worów, skrzyń i poustawianych byle jak maszyn.

Wylądowałem w pobliżu niej. wdrapałem się na sterczącą ukosem w powietrze lufę ogromnego działa, ale zanim zdołałem się dobrze rozejrzeć, kudłaty stwór pojawił się nie wiadomo skąd i niemal wpadł mi w ramiona. "Niemał", gdyż ani ja go nie chwyciłem, ani on mnie, a mimo to staliśmy się jakby jednym ciałem, sklejeni lepкими zwojami, którymi był owinięty. Przy okazji okazało się, że to, co wzięłem za futro, jest czymś w rodzaju ubioru składającego się z mnóstwa pasków jakiegoś materiału.

Zaraz po tym, jak runęliśmy z lufy działa, odkryłem jeszcze jedną właściwość czarnych zwojów: rozciągnięte, kurczyły się do mniejszych rozmiarów niż poprzednio, ściskając ofiarę ze znacznie większą siłą. Choć robiłem co mogłem, by odzyskać swobodę ruchów, z każdą chwilą miałem jej coraz mniej; Gunnie i Purn zaśmiewali się do rozpuku.

Sidero owinał więźnia kilkoma dodatkowymi zwojami czarnego sznura, a następnie polecił Gunnie, żeby mnie uwolniła. Zrobiła to przecinając więzy sztyletem.

Dziękuję - wysapałem.

To się ciągle zdarza - odparła. - Kiedyś przykSeiłam się w ten sposób do ustępu. Nie przejmuj się.

Idas i Purn ruszyli za Siderem, niosąc we dwóch spętane stworzenie. Podniosłem się z zasłanej papierami posadzki.

Obawiam się, że zdążyłem już odwyknąć od szyderstw.

A kiedyś byłeś do nich przyzwyczajony? Nie wyglądasz na

takiego.

Owszem, jako uczeń. Wszyscy naśmiewali się z młodszych

uczniów, szczególnie ci starsi.

Gunnie wzruszyła ramionami.

- Jeśli się nad tym zastanowić, to każdy z nas bez przerwy robi coś zabawnego. Weź na przykład spanie z otwartymi ustami: jeśli jesteś oficerem, nikt nie da po sobie poznać, że cokolwiek zauważył, ale jeśli nim nie jesteś, musisz liczyć się z tym, że najlepszy przyjaciel wrzuci ci do ust jakiegoś śmiecia. Nie próbuj ich oderwać.

Fragmenty czarnego powrozu przywarły do mojej atlasowej koszuli.

Powinienem nosić nóż - mruknąłem.

Chcesz powiedzieć, że go nie masz? - Zmierzyła mnie współ

czującym spojrzeniem wielkich, ciemnych oczu. Były łagodne jak oczy krowy. - Każdy powinien mieć przy sobie nóż.

Zazwyczaj używałem miecza, ale potem przestałem go nosić,

naturalnie z wyjątkiem większych uroczystości. Wychodząc z kabiny sądziłem, że pistolet okaże się aż nadto wystarczający.

Do walki, owszem. Ale czy ktoś o twoim wyglądzie musi wal

czyć? - Cofnęła się o krok i udała, że bacznie mi się przygląda. -

Chyba niewielu jest takich, którzy odważyliby się stawić ci czoło.

Tymczasem prawda przedstawiała się w ten sposób, że w butach na grubej podeszwie Gunnie prawie dorównywała mi wzrostem, a tam, gdzie każdy materialny przedmiot miał swoją wagę, z pewnością sporo by ważyła, gdyż grube kości i solidne mięśnie okrywała spora warstwa tłuszczu.

Roześmiałem się i przyznałem, że nóż najbardziej przydałby mi się w chwili, kiedy Sidero zrzucił mnie z pomostu. Pokręciła głową.

- Och, nie. Nóż nawet by go nie zadrasnął. - Uśmiechnęła się, po czym dodała: - Jak powiedział właściciel burdelu, kiedy marynarz zgłosił

się do niego z pretensjami. - Ponownie wybuchnąłem śmiechem, ona zaś objęła mnie przyjaźnie. - Poza tym, nóż potrzebny jest nie tylko do walki, ale przede wszystkim do pracy. Jak przetniesz linę, jeśli nie masz noża, albo jak otworzysz pojemnik z żywnością? Rozglądaj się uważnie dokoła; w tych ładowniach można znaleźć wiele interesujących rzeczy.

Idziemy chyba w niewłaściwym kierunku - zauważyłem.

Nie obawiaj się, znam drogę. Gdybyśmy wracali tak jak tu

weszliśmy, na pewno nie udałoby się niczego wyszperać.

A co się stanie, jeśli Sidero wyłączy światło?

Nie zrobi tego. Kiedy raz się je włączy, działa tak długo, aż wszyscy wyjdą. Oho, widzę coś. Patrz!

Spojrzałem we wskazanym kierunku. Nie wiedzieć czemu natychmiast doszedłem do wniosku, iż zauważyła ten nóż dużo wcześniej, podczas polowania na kudłatą istotę, by teraz udać, że właśnie go znalazła. Widać było tylko rękojeść z kości.

Weź go sobie. Nikt nie będzie miał nic przeciwko temu.

Nawet gdyby miał, z pewnością bym się tym nie przejął - od parłem.

Był to myśliwski nóż o spiczastym ostrzu z piłą, długości jakichś dwóch piędzi. W sam raz do ciężkiej pracy, pomyślałem.

- Weź też pochwę. Przecież nie będziesz ciągle trzymać go w ręce.

Pochwa została wykonana ze zwykłej czarnej skóry, ale miała

niewielką kieszonkę, przez co przypominała nieco sporządzoną z doskonale wyprawionej ludzkiej skóry pochwę Terminus Est. Nóż spodobał mi się na pierwszy rzut oka, teraz zaś podobał mi się

jeszcze bardziej.

- Przymocuj go do pasa.

Uczyniłem to, po czym przesunąłem go na lewą stronę, by zrównoważyć ciężar pistoletu.

- Przypuszczałem, że na takim ogromnym statku przywiązuje się więcej wagi do rozmieszczenia ładunku - zauważyłem.

Gunnie wzruszyła ramionami.

- To właściwie nie jest ładunek, tylko rupiecie. Czy wiesz, jak jest zbudowany ten statek?

-

Nie mam najmniejszego pojęcia.

Parsknęła śmiechem.

Tak samo jak wszyscy. Naturalnie snujemy różne domysły,

ale w końcu okazuje się, że są błędne, a przynajmniej większość z nich.

Wydawało mi się, że powinniście znać swój statek...

Jest za duży i jest w nim zbyt wiele miejsc, do których nie mamy dostępu. Wiadomo jednak, że ma siedem pokładów, nie z jednej strony, ale ze wszystkich, przede wszystkim po to, żeby pomieściło się więcej żagli. Rozumiesz?

Tak.

Na trzech pokładach są jakby głębokie wnęki, pełniące funkcję głównych ładowni. Na czterech pozostałych trzyma się różne graty, takie jak te, które widzisz, a oprócz tego są tam kajuty pasażerskie, kwatery załogi i mnóstwo innych rzeczy. Właśnie: skoro mowa o kajutach, to chyba powinniśmy już wracać.

Poprowadziła mnie ku drabinie wiodącej ku innej platformie niż ta, z której niedawno spadłem.

- Wyobrażałem sobie, że skorzystamy z jakiegoś ukrytego przejścia albo że wędrując między tymi rupieciami, jak je nazwałaś, stwierdzimy nagle, że przemieniły się w ogród.

Kobieta pokręciła głową, po czym odparła z uśmiechem:

A więc jednak zdażyłeś już trochę zobaczyć? Poza tym, zdaje się, że jesteś poetą, a zapewne również dobrym kłamcą.

Byłem Autarcha Urth. Istotnie, musiałem od czasu do czasu

posługiwać się kłamstwem, choć wtedy nazywało się to dyplomacją.

☐ To całkiem zwyczajny statek, tyle że został zbudowany przez ludzi zupełnie niepodobnych do ciebie albo do mnie. Byłeś Autarcha, powiadasz... Czy to znaczy, że władałeś całą Urth?

☐ Tylko jej niewielkim fragmentem, chociaż miałem prawo do

całości. Wstępując na pokład tego statku zdawałem sobie sprawę, że jeśli moja wyprawa zakończy się sukcesem, to z pewnością nie wrócę jako Autarcha. Trochę się jednak dziwię, iż ta wiadomość nie wywarła na tobie żadnego wrażenia.

- Jest tyle różnych planet...

Niespodziewanie wybiła się z obu nóg i poszybowała w górę niczym wielki błękitny ptak. Choć ja sam wykonywałem już podobne skoki, widok kobiety zdolnej do takiego wyczynu musiał wywołać zdziwienie.

Wzniosła się łokieć lub dwa nad ażurową platformę, po czym opadła na nią lekko jak piórko.

Przypuszczałem, że kwatery załogi będą przypominały wąski i ciasny forkaszel "Samru", tymczasem okazało się, że marynarze mają do dyspozycji mnóstwo obszernych kajut rozmieszczonych na wielu

poziomach wokół szerokiego szybu wentylacyjnego. Gunnie poinformowała mnie, że musi wracać do obowiązków, i zaproponowała, bym poszukał sobie wolnej kabiny.

Chciałem już odpowiedzieć, że przecież mam własną kajutę, którą opuściłem za ledwie wachniętem, ale coś mnie powstrzymało. Skinąłem tylko głową, po czym zapytałem, jaka lokalizacja, jej zdaniem, będzie najlepsza - przypuszczam, iż w uszach Gunnie zabrzmiało to jak pytanie, gdzie mogę znaleźć kajutę położoną najbliżej jej miejsca zamieszkania. Wskazała mi kierunek, po czym rozeszliśmy się w przeciwną stronę.

Na Urth najstarsze zamki otwiera się za pomocą słów. W taki właśnie zamek były wyposażone drzwi mojej luksusowej kabiny, teraz zaś ze zdziwieniem stwierdziłem, iż mówiące zamki strzegą także dostępu do kajut załogi, mimo że zarówno wszystkie włazy, jak i drzwi wiodące do ładowni, w której niedawno byłem, otwierało się i zamykało bez użycia słów. Pierwsze, a także drugie drzwi, do których podszedłem, poinformowały mnie, że strzeżone przez nie pomieszczenia mają już stałych mieszkańców.

Musiały to być nadzwyczaj wiekowe mechanizmy, ponieważ zdążyły wykształcić coś w rodzaju zróżnicowanych osobowości.

Trzeci zamek zaprosił mnie do środka.

- Bardzo ładna kajuta! - dodał z własnej inicjatywy.

Zapytałem, kiedy po raz ostatni ktoś mieszkał w tej "bardzo ładnej kajucie".

- Nie wiem, panie. Na pewno wiele podróży temu.

- Nie nazywaj mnie "panem". Jeszcze nie wiem, czy zamieszkać w twojej kajucie.

Nie odpowiedział. Te zamki z pewnością mają niewielką inteligencję, bo w przeciwnym razie łatwo byłoby je przekupić, a prędzej czy później musiałyby oszaleć. Po chwili drzwi otworzyły się na oścież i wszedłem do środka.

W porównaniu z kabiną, którą do tej pory zajmowałem, ta absolutnie nie zasługiwała na miano

"bardzo ładnej". Znajdowały się w niej dwie wąskie koje, szafa, komoda, w kącie zaś urządzenia sanitarne. Wszystko było pokryte warstwą kurzu takiej grubości, iż bez trudu wyobraziłem sobie, jak bucha kłębami z otworów wentylacyjnych, choć kłęby te mógłby dostrzec tylko ktoś dysponujący umiejętnością przyspieszania biegu czasu albo żyjący równie długo jak drzewo, dla którego każdy rok jest jak jeden dzień, albo trwający wiecznie jak Gyoll, od początku świata tocząca swoje wody przez Nessus.

Rozmyślając o tych sprawach (trwało to znacznie dłużej niż napisanie powyższych słów) znalazłem w szafie jakąś czerwoną szmatę, zmoczyłem ją w umywalce i przystąpiłem do wycierania kurzu. Kiedy, otrząsnąwszy się z zamyślenia, stwierdziłem, iż oczyściłem już wierzch komody oraz stalową ramę jednej koi, zrozumiałem, że nieświadomie podjąłem już decyzję. Naturalnie nie zrezygnowałem z zamiaru od-szukania mojej poprzedniej kabiny, gdzie mogłem zaznać o wiele większych wygód niż tutaj. Do tej, skromniejszej kajuty będę mógł zaglądać wtedy, gdy zapragnę spędzić jakiś czas wśród załogi, aby uzyskać niedostępne dla zwykłych pasażerów informacje o budowie i zasadzie działania statku.

Poza tym była jeszcze Gunnie. Trzymałem już w ramionach tyle kobiet, że nawet gdybym chciał, nie zdołałbym ich zliczyć, zdążyłem też wielokrotnie stwierdzić, iż stałość uczuć częściej niszczy miłość, niż podsyca jej płomień, a choć często wracałem myślą do nieszczęsnej Valerii, to jednak gorąco pragnąłem zdobyć przychyłność Gunnie. Jako Autarcha miałem niewielu przyjaciół, jeśli nie liczyć ojca Inire, Valeria zaś była wśród nich jedyną kobietą. Uśmiech Gunnie nie wiedzieć czemu przywiódł mi na myśl wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa u boku Thei (jakże wciąż za nią tęsknię!) oraz długą wędrówkę do Thraxu z Dorcas. Wówczas traktowałem tę podróż jako część mego wygnania, więc starałem się jak najprędzej podążyć naprzód; teraz wiem, że pod wieloma względami był to najszczęśliwszy okres mojego życia.

Wyplukałem ścierkę, zdając sobie niejasno sprawę, że czynię to po raz kolejny, a następnie rozejrzałem się po kabinie, by stwierdzić ze zdumieniem, iż nigdzie nie ma już ani śladu brudu.

Zostały mi tylko materace; sprawa była trudna, ale musiałem jakoś sobie poradzić, bo miałem nadzieję, że będziemy z nich dość często korzystać. Nie dało się ich w żaden sposób wytrzeć, więc w końcu zdjąłem je z koi, wyniosłem na metalowy chodnik biegnący wokół szybu wentylacyjnego, przewiesiłem przez poręcz i tłukłem tak długo, aż nie została w nich nawet odrobina kurzu.

Miałem już wrócić z nimi do kajuty, kiedy wraz z kolejnym powiewem tłoczonego przez szyb wentylacyjny powietrza nadleciał czyjś przeraźliwy krzyk.

Znajdy

Krzyk dobiegał z dołu. Wychyliłem się za sprawiającą wrażenie niezbyt solidnej barierkę, a wtedy rozległ się ponownie, przepełniony cierpieniem i samotnością, powtarzany wielokrotnie przez echo schwyte w pułapkę metalowych pomostów, ścian, drzwi i sufitów.

Przez chwilę wydawało mi się, że to mój własny krzyk, który w jakiś tajemniczy sposób przetrwał w moim wnętrzu od owego mrocznego poranka, kiedy szedłem po plaży z aquastorem Malrubiusem u boku, obserwując, jak aquastor Triskele roztapia się w obłoku migoczącego pyłu, i dopiero teraz wyrwał się na wolność. Poczulem wielką pokusę, by przeskoczyć przez reling, ale nie wiedziałem, jak daleko w głąb statku sięga szyb, wrzuciłem więc tylko materace do mojej nowej kajuty, po czym ruszyłem w dół po wąskich, krętych schodach, przeskakując po kilka stopni.

Z miejsca, w którym niedawno się znajdowałem, otchłań szybu sprawiała wrażenie wypełnionej mglistym półmrokiem, nieprzeniknionym dla żółtawego, niezwyklego blasku rozsiewanego przez lampy. Przypuszczałem, że owa mgła rozproszy się, kiedy zejść niżej, ona jednak gęstniała coraz bardziej, aż wreszcie przywiodła mi na myśl komnatę mgieł w zamku Baldandersa, choć z pewnością nie była aż tak gęsta jak opary, które się tam unosiły. Zrobiło się też znacznie cieplej, nie można więc było wykluczyć, iż mgła powstała w wyniku zetknięcia ciepłego, wilgotnego powietrza napływającego z głębi statku z chłodniejszym i bardziej suchym, które wypełniało wyższe poziomy. Poczulem, że po czole, plecach i piersi spływają mi strużki potu.

Drzwi wielu kajut stały otworem, ale w pomieszczeniach panowała całkowita ciemność. Zapewne niegdyś statek miał znacznie liczniejszą załogę, mógł też służyć do transportu więźniów (wystarczyło odpowiednio poinstruować zamek, aby kabina zamieniła się w celę) lub żołnierzy. Krzyk rozległ się ponownie, ale tym razem towarzyszył mu odgłos

przypominający walenie miotem w kowadło, choć nie ulegało dla mnie wątpliwości, iż on także wydobywa się z gardła żywej istoty. Słyszany nocą, w dzikich górach, z pewnością wywoływałby większy strach niż wycie wilka. Jakiż był w nim smutek, jakie przerażenie i skarga na samotność, jakie cierpienie!

Przystanąłem dla złapania oddechu i rozejrzałem się dokoła. Wyglądało na to, że w pomieszczeniach wokół dolnej części szybu trzymano jakieś dzikie zwierzęta albo może szaleńców, tak jak w naszych lochach, gdzie zajmowali najniższy, trzeci poziom. Kto mógł mi zagwarantować, że wszystkie drzwi są zamknięte? Skąd miałem wiedzieć, czy któraś z tych istot nie wydostała się na zewnątrz, po czym dotarła na górny poziom za sprawą przypadku lub gnana lekkiem przed ludźmi?

Wyciągnąłem pistolet i upewniłem się, że nadal jest ustawiony na najmniejszą moc oraz że nie uległ rozładowaniu.

Wzrok zdążył mi nieco przywyknąć do ciemności, a w dodatku mgła nieco się rozstała. Widok, który ujrzałem, potwierdził moje najgorsze obawy: pode mną znajdowało się rozległe wiwarium z miniaturowym lodowcem, drzewami, szemrzącym wodospadem, wydmą złocistego piasku oraz co najmniej dwoma tuzinami istot. Obserwowałem je przez jakieś dziesięć oddechów, zanim doszedłem

do wniosku, że chyba jednak nie poruszają się zupełnie swobodnie, po kolejnych pięćdziesięciu zaś nabrałem co do tego całkowitej pewności. Każda miała wydzielony własny skrawek gruntu, mniejszy lub większy, każda była pozbawiona możliwości kontaktowania się z sąsiadami. Doprawdy trudno sobie wyobrazić bardziej niezwykle zgromadzenie; nawet gdyby przeszukać wszystkie dżungle, pustynie i trzęsawiska Urth, chyba nie udałoby się zebrać równie zdumiewającej kolekcji. Niektóre stworzenia poruszały się niespokojnie, inne gapiły się przed siebie, większość leżała bez ruchu, pogrążona w apatycznej drzemce.

Schowałem pistolet do futerału, po czym zawołałem co sił w płucach:

- Kto krzychał?!

Miał to być tylko żart, a jednak, ku swemu zdumieniu, otrzymałem odpowiedź: rozpaczliwy jęk dobiegający gdzieś z głębi wiwarium. Zszedłem ze schodów i ruszyłem w tamtym kierunku, trzymając się ledwo widocznej ścieżki; jak się niebawem dowiedziałem, wydeptali ją żeglarze, do których obowiązków należało karmienie zwierząt.

Wkrótce dotarłem do istoty, która odpowiedziała na moje wołanie. Okazało się, że jest to kudłate stworzenie z ładowni, schwyte przez Sidera, Purna, Idasa i Gunnie, przy moim nieświadomym, acz dość znaczącym udziale. Od chwili, kiedy w ogrodach Domu Absolutu wsiadłem do szalupy, która zawiozła mnie na statek, byłem tak bardzo samotny, że nawet powtórne spotkanie z tym przedziwnym stworzeniem nappełniło mnie taką radością, jakbym po latach niewidzenia ujrział

starego przyjaciela.

Sama istota również mnie interesowała, choćby z tego względu, że przyczyniłem się do jej pojmania. Kiedy uciekała przed nami, wydawała się niemal kulista, teraz jednak przekonałem się, iż mam do czynienia z jednym z owych żyjących w norach zwierząt obdarzonych pękatym korpusem i silnymi kończynami - krótko mówiąc, z czymś w rodzaju nadzwyczaj dorodnego świstaka. Miał

okrągłą głowę, szyję tak krótką, że prawie niewidoczną, okrągły tułów, cztery krótkie kończyny zakoń-

zione czterema długimi, silnymi pazurami i jednym znacznie mniejszym, cały był porośnięty gładką, szarobrazową sierścią. Wpatrywał się we mnie błyszczącymi, czarnymi oczami.

- Biedaczysko - powiedziałem, - Skąd się wziąłeś na tym statku?

Zbliżył się do oddzielającej nas niewidzialnej bariery. Chyba już się mnie nie obawiał, gdyż poruszał się znacznie spokojniej niż do tej pory.

- Biedaczysko- powtórzyłem.

Przysiadł na tylnych łapach, tak jak czasem czynią świstaki, przednie zaś skrzyżował na brzuchu pokrytym białym futerkiem. Dostrzegłem tam kilka fragmentów czarnego powrozu, co przypomniało mi, że te same zwoje przywarły także do mojej koszuli. Szarpnąłem jeden z nich, by przekonać się, że mogę go już bez trudu oderwać.

Świstak jęknął cicho. Odruchowo wyciągnąłem rękę, by pogłaskać go po głowie, tak jak pogłaskałbym skamlącego psa, po czym cofnąłem ją raptownie, gdyż pomyślałem sobie, że przecież może mnie ugryźć albo zaatakować pazurami.

Natychmiast zbeształem się w duchu za tchórzostwo. Przecież w ładowni, kiedy po przypadkowym zderzeniu runęliśmy na usłaną papierami posadzkę, nie uczynił mi najmniejszej krzywdy, chociaż miał

ku temu doskonałą okazję. Wsunąłem rękę do niewidzialnej klatki - nie poczułem żadnego oporu, kiedy przenikała przez barierę - i pogładziłem go po pyszczku, a on natychmiast nadstawił uszy do drapania.

- Niezły z niego spryciarz, co? - odezwał się ktoś za moimi plecami.

Odwróciwszy się zobaczyłem szeroko uśmiechniętego Purna. - Wydaje się całkiem nieszkodliwy - zauważyłem.

- Jak prawie wszystkie. - Zawahał się. - Tyle że większość

natychmiast zdycha, więc nie bierzemy ich na pokład. Podobno tutaj trafia najwyżej co dziesiąte z nich.

- Zastanawiałem się, dlaczego Gunnie nazwała je znajdami. To jakby uboczny efekt działania żagli, prawda?

Pum skinął obojętnie głową i także wsadził palec za barierę, by podrapać łaszące się stworzenie.

- Każdy żagiel jest jak ogromne zwierciadło, a choć dwa sąsiednie dujące ze sobą żagle tworzą rozmaite krzywizny, to na pewno znajdzie się co najmniej kilka miejsc, gdzie ich płaszczyzny są dokładnie równo ległe. Cały czas dociera do nich światło gwiazd.

Marynarz ponownie skinął głową.

Właśnie dzięki temu statek podąża naprzód, jak powiedział

pewien szyper, kiedy zapytano go, na co mu dziewczka.

Znałem kiedyś człowieka imieniem Hethor, który korzystał

z pomocy śmiertelnie niebezpiecznych stworzeń. Inny człowiek, o imie niu Vodalus, powiedział mi, że Hethor posługuje się właśnie zwierciadłami, choć muszę przyznać, iż ów Vodalus nie był osobą godną zaufania. Mam również przyjaciela, który także korzysta ze zwierciadeł, ale w pokojowych celach. Hethor służył jako marynarz na statku takim jak ten.

Pum cofnął rękę i spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

Znasz jego nazwę? - zapytał.

Tego statku? Nie. Nigdy o nim nie wspominał. Zaczekaj...

Chyba służył na wielu, bo kiedyś powiedział: "Długo żeglowałem na statkach o srebrnych żaglach i setkach masztów, sięgających wierzchołkami najodleglejszych gwiazd".

- Aha - marynarz skinął głową. - Niektórzy twierdzą, że istnieje tylko jeden statek. Sam też się czasem nad tym zastanawiam.

Z pewnością musi ich być więcej. Jeszcze kiedy byłem chłó

pcem, słyszałem opowieści o statkach kakokegów zawijających do portu Luny.

Gdzie to jest?

Luna? Tak nazywa się księżyc Urth, mojej rodzinnej planety.

W takim razie to nie mogły być duże jednostki - poinformował

mnie Purn. - Najwyżej szalupy, kutry zaopatrzeniowe i takie różne.

Z pewnością mnóstwo tego kręci się między planetami i wokół po szczególnych słońc. Statki takie jak nasz i jemu podobne - jeśli są jakieś inne, ma się rozumieć - raczej nie zbliżają się do układów planetarnych. To znaczy, w razie potrzeby mogą to zrobić, ale operacja jest bardzo ryzykowna, przede wszystkim ze względu na kosmiczne śmieci, których zawsze mnóstwo gromadzi się wokół gwiazd.

Pojawił się białowłosy Idas, obarczony okazałym zestawem narzędzi. Pomachałem mu przyjaźnie.

Muszę brać się do roboty - mruknął Purn. - Opiekujemy się

we dwóch tymi wszystkimi zwierzakami. Właśnie sprawdzałem, czy niczego im nie brakuje, kiedy zauważyłem ciebie... eee...

Severianie. Nazywam się Severian i byłem Autarchą, czyli władcą całej Wspólnoty, teraz zaś jestem reprezentantem Urth, jej ambasadorem. Czy ty także pochodzisz z Urth?

Wątpię, czy kiedykolwiek tam byłem, choć kto wie... - Za

stanowił się głęboko. - Duży biały księżyc?

Nie, zielony. Być może masz na myśli Verthandi, bo słyszałem, że tamtejsze księżycy są jasnoszare.

Purn bezradnie rozłożył ręce.

Naprawdę nie mam pojęcia.

To musi być wspaniale - odezwał się Idas, który tymczasem

zdażył się do nas zbliżyć. Nie wiem, co chciał przez to powiedzieć.

Purn odwrócił się bez słowa i odszedł, by zająć się zwierzętami. - Nie zwracaj na niego uwagi - ciągnął Idas szeptem, jakbyśmy knuli we dwóch jakiś spisek. - Boi się, że złożę na niego meldunek, że nie przykłada się do pracy.

A ty nie obawiasz się, że ja na ciebie doniosę? - zapytałem.

W Idasie było coś, co mnie irytowało.

Czyżbyś znał Sidera?

To moja sprawa, kogo znam, a kogo nie.

- Wątpię, żebyś znał kogokolwiek - odparł, po czym natychmiast poprawił się, jakby popełnił jakąś gafę. - Chociaż, ma się rozumieć, nigdy nie wiadomo. Mogę cię przedstawić paru osobom, jeśli sobie życzysz.

- Owszem, życzę sobie. Przy pierwszej nadarzającej się okazji przedstaw mnie Siderowi. Chcę, żeby jak najprędzej odprowadził mnie do mojej kajuty.

Idas skinął głową.

Zrobię to. Czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym od czasu do czasu wpadał na pogawędkę? Nie gniewaj się, ale prawie nic nie wiesz o statkach, ja natomiast nie wiem nic o... o...

Urth?

O planetach. Widziałem parę obrazków, ale poza tym oglądam tylko to... - Machnął ręką w kierunku zwierząt. A one są paskudne.

Może jednak na planetach są też jakieś miłe stworzenia i przyjemne rzeczy?

Nie wydaje mi się, żeby wszystkie zwierzęta, które tu docierają, były aż takie złe...

Wszystkie, co do jednego - zapewnił mnie. - Muszę po nich

sprzątać, karmić je, dostosowywać skład atmosfery do ich potrzeb, choć najchętniej bym je po prostu zabił. Nie zrobię tego tylko dlatego, że Sidero i Zelezo spuściliby mi wtedy tęgie lanie.

Wcale bym się nie dziwił, gdyby nawet cię zabili. - Wzdry gnąłem się na myśl, że ta fascynująca kolekcja mogłaby zostać uni cestwiona przez tego wrednego człowieczka. - Postąpiliby całkiem słusznie, ponieważ sprawiasz wrażenie, jakbyś sam był jednym z tych stworzeń.

□ Wcale nie - odparł zupełnie serio. - To ty, Purn i cała reszta jesteście do nich podobni. Ja urodziłem się tutaj, na statku.

Wyglądało na to, że stara się ze wszystkich sił wciągnąć mnie do rozmowy i że byłby gotów nawet posprzeczać się za mną, bylebym tylko zechciał podtrzymać dyskusję. Ja jednak nie miałem najmniejszej ochoty na rozmowę, nie wspominając już o kłótni, ponieważ byłem potwornie zmęczony i przeraźliwie głodny.

- Skoro twoim zdaniem należę do tej kolekcji osobliwości, to powinieneś zatroszczyć się o stan mego żołądka powiedziałem. -

Którędy do mesy?

Idas zawahał się, jakby nie mógł podjąć decyzji, czy powinien zaproponować mi wymianę informacji: wskaże mi drogę, jeśli ja najpierw odpowiem na siedem pytań dotyczących życia na Urth, albo coś w tym rodzaju. Chyba jednak uświadomił sobie, że mógłbym

go wówczas najzwyczajniej w świecie pobić, gdyż co prawda niechętnie, ale jednak wyjaśnił, którędy mam iść, żeby trafić tam, dokąd

chciałem się dostać.

Jedną z zalet pamięci, która wszystko przechowuje, niczego nie tracąc, jest to, że w takich sytuacjach zastępuje pióro i papier (całkiem możliwe, iż jest to jej jedyna zaleta). Tym razem jednak moja pamięć przysłużyła mi się nie bardziej niż wtedy, kiedy usiłowałem zastosować się do wskazówek dowódcy peltastów, którego spotkałem na moście spinającym brzegi Gyoll; bez wątpienia Idas zakładał, iż znam statek znacznie lepiej niż znałem go naprawdę, i że nie muszę liczyć mijanych drzwi ani zakrętów, by dotrzeć we wskazane miejsce.

Wkrótce zorientowałem się, że zgubiłem drogę. Tam gdzie korytarz powinien się rozwidlać, ujrzałem trzy rozgałęzienia, nigdzie natomiast nie było ani śladu obiecanych schodów. Wróciłem tą samą trasą, odszukałem miejsce, gdzie (jak sądziłem) popełniłem błąd, i zacząłem od początku.

Niemal natychmiast znalazłem się w szerokim, prostym korytarzu, który, wedle zapewnień Idasa, powinien doprowadzić mnie do mesy. Podążałem przed siebie dziarskim krokiem, przekonany, iż zmierzam we właściwym kierunku.

Według standardów obowiązujących na statku, korytarz był istotnie wyjątkowo szeroki i niewiele rozminąłbym się z prawdą twierdząc, że hulał po nim prawdziwy wiatr. Przypuszczalnie służył on rozprowadzaniu powietrza tłoczonego przez urządzenia filtrujące, gdyż pachniało w nim tak jak na Urth w deszczowy wiosenny dzień. Pod nogami nie miałem ani dziwnej, gryzącej trawy, ani metalowych prętów, lecz gładkie deski nasączone bezbarwnym woskiem, ściany natomiast, ciemnoszare w części statku zajmowanej przez załogę, tutaj były białe. Raz czy dwa minąłem wyściełane fotele zwrócone przodem ku środkowi korytarza. Po dość długiej wędrówce dotarłem do pierwszego zakrętu, minąłem go, zaraz potem pojawił się drugi. Cały czas odnosiłem wrażenie, że idę lekko pod górę, choć ciężar, jaki moje nogi wprawiały w ruch przy każdym kroku był tak

niewielki, iż nie miałem pewności, czy tak jest naprawdę. Na ścianach wisały obrazy, niektóre ruchome; jeden przedstawiał

statek bardzo podobny do naszego, oglądany z wielkiej odległości. Wiedziony ciekawością przystanąłem, by obejrzeć płótno, i aż zadrżałem na myśl o tym, jak niewiele brakowało, bym i ja obserwował go z takiej perspektywy.

Jeszcze jeden zakręt, który okazał się wcale nie być zakrętem, lecz łukowato wygiętą ścianą stanowiącą zakończenie korytarza. W ścianie było kilkoro drzwi; wybrałem na chybił trafił jedno z nich i znalazłem się w wąskim korytarzyku, w porównaniu z poprzednim pogrążonym w tak głębokim mroku, że z trudem widziałem cokolwiek poza lampami żarzącymi się pod sufitem.

Po chwili uświadomiłem sobie, że pokonałem właz - pierwszy, jaki napotkałem na drodze od chwili, kiedy na pół uduszony wróciłem do wnętrza statku. Ponieważ wciąż jeszcze nie uwolniłem się od lęku, jaki ogarnął mnie na widok pięknego, lecz groźnego obrazu, założyłem naszyjnik z metalowych cylindrów, upewniwszy się najpierw po omacku, że żadne z jego ogniw nie uległo zerwaniu.

Korytarz skręcił raz, drugi, rozdzielił się, a potem zaczął wić się jak wąż. Jedne z drzwi, których wiele mijalem, otworzyły się nagle, poczułem zapach pieczonego mięsa, a zamek powiedział piskliwym, me-chanicznym głosem:

- Witaj z powrotem, panie.

Zajrzałem przez otwarte drzwi i zobaczyłem moją kajutę - nie tę, którą niedawno zająłem w pobliżu kwater załogi, lecz tę, którą opuściłem zaledwie wachtę lub dwie temu, by cisnąć ołowianą szkatułę w oślepiający blask rodzącego się wszechświata.

Rozdział V

Bohater i hierodule

Widocznie steward przyniósł mi posiłek, a nie zastawszy mnie w kajucie postawił go na stole.

Pieczeń była jeszcze ciepła; jadłem łapczywie, zagryzając świeżym chlebem z solonym masłem, selerem i kozibrodem, oraz popijając czerwonym winem. Po posiłku rozebrałem się, umyłem, a następnie położyłem się spać.

Obudził mnie potrząsając za ramię. To dziwne, ale kiedy jeszcze jako Autarcha Urth wszedłem na pokład, w ogóle nie zwróciłem na niego uwagi, mimo że przynosił mi posiłki oraz ochoczo wykonywał

różne drobne polecenia. Bez wątpienia właśnie ta jego służalczość sprawiła, iż stał się prawie niewidzialny. Jednak teraz, kiedy w pewnym sensie zostałem przyjęty w poczet załogi, ujrzałem jego drugie oblicze. Miał twarz o pospolitych rysach, choć nie pozbawioną inteligencji, a jego oczy błyszczały z podniecenia,

- Ktoś chce z tobą rozmawiać, Autarcho - szepnął.

Usiadłem na koi.

- Ktoś na tyle ważny, że uznałeś za stosowne mnie obudzić?

- Tak, Autarcho.

- Zapewne kapitan.

Czyżby miała mnie spotkać reprimenda za wycieczkę na pokład? Naszyjniki stanowiły część wyposażenia awaryjnego, więc ich nieuzasadnione użycie mogło ściągnąć na moją głowę jakąś regulaminową karę... Mimo wszystko wydawało mi się to mało prawdopodobne.

-

Nie, Autarcho. Jestem pewien, że kapitan już się z tobą widział.

To trzech hierodule.

- Doprawdy? - mruknąłem, starając się zyskać na czasie. - Czy to głos kapitana słyszę czasem w korytarzach? I kiedy niby miałby się ze mną widzieć? Nie przypominam sobie, żebyśmy się spotkali.

- Nie mam pojęcia, Autarcho, ale wiem na pewno, że tak się stało, może nawet kilka razy.

Nasz kapitan często to robi.

To interesujące. - Wciągając czystą koszulę zastanawiałem

się, czy to możliwe, by we wnętrzu tego statku znajdował się drugi, tajny, tak jak we wnętrzu Domu

Absolutu był ukryty Drugi Pałac. -

Zapewne niełatwo mu pogodzić ten zwyczaj z pełnieniem zasadniczych obowiązków?

Nie wydaje mi się, Autarcho. Czy mógłbyś się pospieszyć? Oni czekają za drzwiami.

Rzecz jasna, natychmiast zacząłem poruszać się jeszcze wolniej. Żeby zdjąć pasek, musiałem najpierw odpiąć pistolet i nóż, który znalazła dla mnie Gunnie. Steward oświadczył, że nie będę ich potrzebować, w związku z czym naturalnie wziąłem je ze sobą, czując się trochę tak, jakbym miał

dokonać przeglądu oddziału lansjerów. Nóż był tak długi, że właściwie mógł uchodzić za krótki miecz.

Ani przez chwilę nie przypuszczałem, iż trzech hierodule okażą się moimi dobrymi znajomymi, Osipago, Barbatusem i Famulimusem. Rozstałem się z nimi hen, daleko, na Urth, a na pewno nie było ich ze mną w szalupie, choć, oczywiście, dysponowali własnym statkiem. Teraz stali jednak przede mną, nieudolnie przebrani za ludzi, tak jak podczas naszego pierwszego spotkania w zamku Baldandersa.

Osipago skłonił się równie sztywno jak zawsze, Barbatus i Famu-limus równie elegancko.

Pozdrowiłem ich najpiękniej jak umiałem, po czym zaprosiłem do kajuty, przepaszając z góry za panujący w niej nieporządek.

- Nie możemy wejść, choć bardzo byśmy chcieli - odparł Fa-mulimus. - Będziesz musiał udać się z nami, całkiem niedaleko stąd.

Jego głos wciąż przypominał śpiew skowronka.

Kabiny takie jak twoja nie są dla nas wystarczająco bezpieczne - dodał Barbatus głębkim barytonem.

Wobec tego pójdę, dokądkolwiek mnie zaprowadzicie. Ogrom

nie się cieszę, że mogę was znowu oglądać. Wasze twarze prz ywodzą mi na myśl dom, choć wiem, że są tylko maskami.

Znasz nas, jak widzę - zauważył Barbatus, kiedy ruszyliśmy korytarzem. - Mimo to widok naszych prawdziwych twarzy byłby

dla ciebie nie do zniesienia.

Korytarz był za wąski, żebyśmy mogli iść całą czwórką; on i ja wysforowaliśmy się do przodu, Famulimus i Osipago podążali za

nami. Minęło sporo czasu, zanim zdołałem zrzucić głaz rozpacz, który przygniótł mi serce po słowach Barbatusa.

- A więc to pierwszy raz? - zapytałem. - Nie spotkaliście mnie wcześniej?

- Nie znamy cię, Severianie, choć ty z pewnością nas znasz -

zaśpiewał Famulimus. - Na twojej twarzy pojawiła się autentyczna radość, domyślałam się więc, że często się widywaliśmy i że jesteśmy przyjaciółmi.

- Ale nie zobaczymy się więcej - dodałem. - Kiedy teraz się

rozstaniemy, podążycie pod prąd czasu, a więc już nigdy was nie ujrzę.

Przy pierwszym spotkaniu powiedziałeś: "To dla nas wielka radość móc cię znowu powitać, Severianie" i byliście bardzo zasmuceni, kiedy przyszała pora się rozstać. Pamiętam to bardzo dobrze. Ja wszystko pamiętam, o czym powinniście z góry wiedzieć. Pomachaliście mi z pokładu waszego statku, kiedy stałem na szczycie wieży w zamku Baldandersa, moknąc w strugach deszczu.

Tylko Osipago ma pamięć dorównującą twojej, choć tego, co

powiedziałeś, ja także na pewno nie zapomnę - wyszeptał Famulimus.

Teraz więc moja kolej, by was powitać i żeby być smutnym

z powodu rozstania. Znam was od ponad dziesięciu lat i wiem, że straszliwe oblicza, które ukrywacie pod tymi maskami, to także tylko maski. Famulimus zdjął swoją podczas naszego pierwszego spotkania, choć wtedy umknęło to mojej uwagi. Wiem też, że Osipago jest maszyną tak samo jak Sidero, chociaż ustępuje mu zręcznością.

- Jego imię oznacza "żelazo" - przemówił Osipago. - Niestety, nie znam go.

- A twoje znaczy "hodowca kości". Opiekowałeś się Barbatusem i Famulimusem, kiedy byli mali, karmiłeś ich, nie opuszczałeś na krok i zostałeś z nimi aż po dziś dzień. Dowiedziałem się tego od Famulimusa.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Barbatus, otwierając przede

mną drzwi.

Będąc dziećmi wyobrażamy sobie, że za każdymi zamkniętymi drzwiami czekają niezwykle cuda, miejsca całkowicie odmienne od tych, które znamy. Bierze się to stąd, że tak jest w istocie; dziecko, dla którego wszystko jest nowe, zdumiewa się i zachwyca zjawiskami dla dorosłego człowieka zupełnie oczywistymi i łatwymi do przewidzenia.

Kiedy byłem chłopcem, drzwi pewnego grobowca stanowiły dla mnie wrota do krainy cudów, a kiedy przekroczyłem ich próg, wcale nie spotkało mnie rozczarowanie. Tutaj, na statku, ponownie stałem się dzieckiem dysponującym niewielką wiedzą o otaczającym je świecie.

Komnata, do której wprowadził mnie Barbatus, okazała się dla dorosłego Severiana - Severiana

Autarchy, Severiana noszącego w sobie cząstkę Thecli, starego Autarchy, a także setek innych ludzi -

równie niezwykła i cudowna jak kamienny grobowiec dla chłopca. Kusi mnie, by napisać, że sprawiała wrażenie wypełnionej wodą, ale to nieprawda. Odniosłem wrażenie, iż my wszyscy zanurzyliśmy się w płynie, który wprawdzie nie był wodą, ale mógł ją zastępować na jakiejś planecie zupełnie niepodobnej do Urth, albo że istotnie znaleźliśmy się w wodzie, jednak tak nieprawdopodobnie zimnej, że w każdym jeziorze już dawno zamieniłaby się w bryłę lodu.

Wszystko to jednak stanowiło tylko efekt połączonego działania złudnego oświetlenia, przejmująco zimnego wiatru hulającego po komnacie oraz barw, wśród których dominowały odcienie zieleni, błękitu i czerni, poprzątkane gdzieniegdzie ciemnym złotem i pożółkłą kością słoniową.

Meble w niczym nie przypominały tego, co przywykliśmy nazywać meblami; bryły czegoś podobnego do cętkowanego kamienia, a jednak poddającego się dotykowi, stały pod dwiema ścianami oraz na środku pomieszczenia, z sufitu zaś zwisały poszarpane sztandary, tak lekkie w ledwo wyczuwalnym przyciąganiu statku, że zdawały się nie potrzebować żadnego zaczepienia. Chociaż powietrze było równie suche jak w korytarzu, odniosłem wrażenie, iż wiatr siecze moje policzki drobinkami twardego, zmrożonego śniegu.

- Czy to wasza kajuta? - zapytałem Barbatusa.

Skinął głową, po czym zdjął maski, odsłaniając twarz nie ludzka, piękną i znajomą.

Widzieliśmy kabiny, w których mieszkacie wy, ludzie. Czujemy się w nich przynajmniej równie nieswojo, co ty tutaj, ale ponieważ jest nas trzech...

Dwóch - poprawił go Osipago. - Na mnie nie robi to żadnego wrażenia.

Nic nie szkodzi, wręcz przeciwnie. To dla mnie ogromny za

szczyt móc zobaczyć, jak naprawdę żyjecie, kiedy możecie kierować się wyłącznie własnym gustem i potrzebami.

— Niezupełnie ludzka twarz Famulimusa znikła, odsłaniając przerażający pysk o wybałuszonych ślepiach i niezliczonych, wyszczerzonych zębach; chwilę później spod tej maski wyłoniło się przepiękne oblicze bogini z całą pewnością nie zrodzonej z kobiety; przypuszczałem wówczas, iż oglądam je po raz ostatni.

- Okazuje się, Barbatusie, że te skromne istoty, z którymi przyjdzie nam się często stykać, potrafią znaleźć się nie tylko jako gos podarze, ale również jako goście.

Gdybym słuchał tego, co mówi bogini, z pewnością bym się uśmiechnął, lecz byłem zajęty rozglądaniem się po przedziwnej komnacie.

- Wiedziałem, że wasza rasa została stworzona przez hierogramatów na obraz i podobieństwo tych, przez których oni zostali stworzeni. Teraz wiem też, albo wydaje mi się, że wiem, iż kiedyś zamieszkiwaliście stawy i jeziora niczym wodne stwory z ludowych podań.

- Na naszej planecie, tak samo jak na twojej, życie wyszło na ląd z

morza - powiedział Barbatus. - Jednak wystrój tej komnaty ma tyle samo wspólnego z tymi zamierzczłymi czasami, co wystrój zamieszkiwanej przez ciebie kabiny z epoką, kiedy twoi przodkowie żyli jeszcze

na drzewach.

- Za wcześnie na kłótnię! - zadudnił Osipago. Jako jedyny nie zdjął maski, przypuszczalnie dlatego, że używając jej nie odczuwał

żadnej niewygody.

- Barbatus ma rację - zaśpiewał Famulimus, po czym odwrócił

się ku mnie. - Ty opuściłeś swój świat, Severianie, a my rozstaliśmy się z naszym. My podążamy pod prąd czasu, ty pędzisz niesiony prądem i właśnie dlatego wszyscy znajdujemy się na tym statku. Lata, kiedy służyliśmy ci radą i pomocą, są dla ciebie przeszłością, dla nas one dopiero nadejdą. Witając się z tobą, Autarcho, udzielamy ci pier wszej, a zarazem, ostatniej rady: po to, by ocalić ludzkość, musisz uczynić tylko jedną rzecz - służyć wiernie Tzadkielowi.

- Kto to taki? - zapytałem. - I w jaki sposób mam mu służyć?

Nawet o nim nie słyszałem.

Barbatus parsknął pogardliwie.

- Wcale mnie to nie dziwi, ponieważ Famulimus miał zachować

jego imię w tajemnicy. Nie wymienimy go już ani razu. Osoba, o której wspomniał Famulimus, jest sędzią wyznaczonym do rozstrzygnięcia twojej sprawy. To hierogramata, co chyba nie powinno nikogo dziwić. Co wiesz na ich temat?

- Bardzo niewiele. Tylko tyle, że są naszymi władcami.

To rzeczywiście niewiele, a w dodatku nie ma nic wspólnego z prawdą. Nazywacie nas hierodulami; słowo to wywodzi się z waszego języka, nie z naszego, podobnie jak Barbatus, Famulimus i Osipago.

Wybraliśmy je, ponieważ są niepospolite i pasują do nas najlepiej ze wszystkich. Czy wiesz, co znaczy słowo "hierodule"?

Wiem, że jesteście mieszkańcami tego wszechświata, powołany mi do życia przez istoty z sąsiedniego, wyższego, i że macie im służyć.

Wasze zadanie polega na kształtowaniu naszego gatunku, ludzkości, ponieważ jesteśmy spokrewnieni z tymi, którzy kształtowali waszych panów w czasach poprzedniego Tworzenia.

„Hierodule” znaczy tyle co “święci niewolnicy” - zaśpiewał

Famulimus. - Czy moglibyśmy być święci, gdybyśmy nie służyli

Prastwórcy? On jest naszym panem, tylko on i nikt inny.

Dowodziłeś wielkimi armiami, Severianie - przemówił Bar

batus. Jesteś królem i bohaterem, a przynajmniej byłeś nim do chwili opuszczenia planety. Kto wie, może wrócisz na tron, jeżeli nie przejdiesz pomyślnie tej próby. Z pewnością wiesz, że żołnierz nie służy swemu oficerowi, a przynajmniej nie powinien tego czynić. Żoł

nierz służy swemu plemieniu, od oficera natomiast otrzymuje tylko wskazówki, jak ma to robić.

Skinąłem głową.

- Rozumiem: hierogramaci są waszymi oficerami. Może jeszcze nie zdajecie sobie z tego sprawy, ale dysponuję wspomnieniami mego poprzednika, dzięki czemu wiem, że został poddany takiej samej próbie jak ta, która mnie czeka, lecz jej nie sprostął. Zawsze byłem zdania, iż spotkała go zbyt okrutna kara: wrócił na Urth pozbawiony męskości, tylko po to, by obserwować, jak jego rodzinna planeta pogrąża się w coraz większym chaosie, zdając sobie jednocześnie sprawę, że nie wykorzystał jedynej możliwości uchronienia jej przed tym losem.

Twarz Famulimusa, zawsze niezmiernie poważna, teraz stała się jeszcze poważniejsza.

-

Jego wspomnienia, Severianie? Czy na pewno nie odziedziczyłeś po nim nic więcej?

Po raz pierwszy od wielu lat poczułem, jak na policzki wypełzają mi piekące rumieńce.

Skłamałem. Jestem nim, tak samo jak jestem Theclą. Nie po

winienem was okłamywać, bo byliście moimi przyjaciółmi w czasach, kiedy miałem ich bardzo niewiele, ale tak już jest, że często muszę kłamać nawet sam przed sobą.

Wobec tego wiesz, że wszyscy ponoszą jednakową karę, ale im komu mniej zabrakło do odniesienia sukcesu, tym większy ból od czuwa. Tego prawa nawet my nie możemy zmienić.

W korytarzu, chyba niezbyt daleko za drzwiami, ktoś krzyknął. Rzuciłem się do wyjścia, lecz niemal w tej samej chwili krzyk zakończył się gulgoczącym odgłosem świadczącym o tym, że gardło wypełniło się

krwią.

- Stój, Severianie! - syknął Barbatus, a Osipago zablokował mi dostęp do drzwi.

- Mam ci do powiedzenia jeszcze tylko jedno - nucił pospiesznie Famulimus. - Tzadkiel jest sprawiedliwy i dobry. Pamiętaj o tym, nawet gdybyś musiał wiele wycierpieć.

Tym razem nie zdołałem nad sobą zapanować. - Pamiętam tylko tyle, że stary Autarcha nawet nie widział swego sędziego! - wybuchnąłem. - Imię umknęło mi z pamięci, ponieważ ze wszystkich sił

starał się je zapomnieć, ale teraz wspomnienia wróciły. Sędzią był właśnie Tzadkiel! Stary Autarcha był

lepszy od Severiana, uczciwszy od Thecli. Czy Urth ma teraz jakąkolwiek szansę?

Nie wiem, kto kierował moją ręką - Theclą, a może któraś z niewyraźnych postaci towarzyszących staremu Autarsze - ale nagle stwierdziłem, że zaciskam palce na rękojeści pistoletu. Nie wiem też, do kogo bym strzelił; najprawdopodobniej do siebie. Nie zdążyłem jednak wydobyć broni, gdyż Osipago chwycił mnie od tyłu, unieruchamiając moje ramiona w stalowym uścisku.

- O tym zadecyduje Tzadkiel - rzekł Famulimus. - A Urth ma dokładnie taką szansę, jaką zdołasz jej stworzyć.

Osipago otworzył jakoś drzwi nie zwalnając uchwytu, albo może to ja je otworzyłem, posłuszny rozkazowi, którego nawet nie usłyszałem. Tak czy inaczej, poczułem silne pchnięcie i wypadłem na korytarz.

Rozdział V!

Śmierć i ciemność

Steward leżał twarzą w dół na podłodze korytarza. Starte podeszwy jego wypucowanych butów dzieliła od drzwi mojej kajuty odległość najwyżej trzech łokci. Ktoś poderznął mu gardło tak głęboko, że niemal odciął głowę. Z prawej ręki trupa wysunął się nóż o chowanym ostrzu; było ukryte w rękojeści.

Od dziesięciu lat nie rozstawałem się z czarnym cierniem, który utkwiał mi w dłoni nad brzegiem Oceanu. Zasiadłszy na tronie wielokrotnie próbowałem zrobić z niego użytek, za każdym razem bez powodzenia. Potem przestałem o nim myśleć, a przez ostatnie osiem lat w ogóle po niego nie sięgałem.

Teraz wyjąłem cierń ze skórzanego woreczka, który Dorcas uszyła dla mnie w Thraksie, i dotknąłem nim czoła stewarda, usiłując powtórzyć to, co uczyniłem chorej dziewczynce z lepianki, małpoludowi z odrąbanym ramieniem oraz martwemu jeźdźcowi.

Choć cały się przed tym wzdragam, spróbuję jednak opisać, co się wtedy stało. Kiedyś, będąc więźniem Vodalusa, zostałem ukąszony przez drapieżnego nietoperza. Ból był niewielki, zaraz potem natomiast ogarnęło mnie szybko przybierające na sile uczucie znużenia. Kiedy poruszyłem nogą, przerywając nietoperzowi ucztę, podmuch powietrza poruszonego uderzeniem jego skrzydeł wydał mi się oddechem samej Śmierci. Tamto stanowiło jednak zaledwie przedsmak, niewinną zapowiedź

wrażen, jakich doznałem w korytarzu. Stanowiłem centralny punkt wszechświata, który nagle rozpadł się jak zbutwiałe łańchmany na ciele klienta, przeistoczył w drobny szary pył, po czym rozpląnął w nicość.

Bardzo długo leżałem w ciemności, drżąc na całym ciele. Możliwe, że przez cały czas byłem przytomny, choć nie zdawałem sobie z tego

sprawy, podobnie jak z niczego poza czerwonym, wszechogarniającym bólem oraz słabością, jaka zapewne jest znana tylko nieboszczykom. Wreszcie dostrzegłem w mroku iskierkę światła; przez głowę przemknęła mi myśl, że chyba straciłem wzrok, ale skoro jednak cokolwiek widzę, to jest nadzieja na jego odzyskanie. Dźwignąłem się do pozycji siedzącej, okupując tę prostą czynność wielkim wysiłkiem i cierpieniem. Iskierka pojawiła się znowu, nieskończenie mała, najwyżej połowa czubka szpilki, na który padł samotny promień słońca. Leżała na mojej dłoni, lecz znikła, zanim zdałem sobie z tego sprawę i zdołałem poruszyć zeszywniałymi palcami, by przekonać się, że są śliskie od krwi.

Sprawcą tego okazał się mały, czarny cień, który już raz, wiele lat temu, utkwiał w moim ciele.

Zapewne bezwiednie zacisnąłem rękę, w której go trzymałem, on zaś przebił mi na wylot serdeczny palec. Wyrwałem go, nie zważając na ból, po czym schowałem, ociekającego krwią, do sakiewki z ludzkiej skóry.

Ponownie nabrałem przekonania, że oślepiłem. Gładka drewniana powierzchnia, na której siedziałem, mogła być podłogą korytarza, wykładana boazerią ściana jego ścianą, ale przecież w korytarzu płonęło jasne światło, tu zaś panowała całkowita ciemność. Kto zadałby sobie tyle trudu, żeby zawlec mnie, pozbawionego przytomności, do tego mrocznego miejsca i porzucić niczym worek z ludzkiej skóry wypełniony obolałymi kośćmi i mięśniami? Usłyszałem czyjś jęk - natychmiast zorientowałem się, że mój własny. Zacisnąłem zęby, aby go

stłumić,

W młodości, podróżując w towarzystwie Dorcas z Nessus do Thra-xu, a potem, zazwyczaj zupełnie sam, z Thraxu na Przełęcz Orithyia, nie rozstawałem się z krzesiwem i hubką. Teraz, niestety, nie miałem ich przy sobie. Szukałem w pamięci i kieszeniach czegoś, co mogłoby dać mi nieco światła, lecz znalazłem jedynie pistolet. Wyjąłem go z futerału, po czym krzyknąłem ostrzegawczo: dopiero kiedy przebrzmiało echo mego głosu pomyślałem sobie, że przecież mogłem

zacząć wzywać pomocy.

Nikt nie odpowiedział. Wyteżyłem słuch, lecz do moich uszu nie dotarł szmer oddechu ani szurgot kroków. Dotknąwszy pistoletu upewniłem się, że nadal jest ustawiony na najmniejszą moc, i położyłem palec na spuście.

Zamierzałem oddać pojedynczy strzał. Jeśli nie zobaczę fioletowego płomienia, dowiem się na pewno, że istotnie straciłem wzrok, a wtedy będę mógł się zastanowić, czy chcę także stracić życie, czy raczej powinienem uczynić wszystko, co w mojej mocy, by go odzyskać, czyli jak najprędzej

oddać się w ręce tych, którzy mogli udzielić mi fachowej pomocy. (Przez cały czas zdawałem sobie jednak sprawę, że nawet gdybym postanowił - gdybyśmy postanowili - skończyć ze sobą, nie znaleźlibyśmy dość odwagi, by to uczynić. Stanowiliśmy przecież jedyną nadzieję Urth).

Dźwignąłem się na nogi i oparłem lewą ręką o ścianę, by skierować lufę pistoletu równolegle do niej, po czym uniosłem broń na wysokość ramienia niczym strzelec mierzący do tarczy.

Przede mną nagle pojawił się punkcik światła, przypominający czerwoną Verthandi oglądaną przez zasłonę z chmur. Widok ten zaskoczył mnie tak bardzo, że nawet nie zdawałem sobie sprawy, kiedy nacisnąłem spust.

Wyładowanie energetyczne rozdarło ciemność. W jego fioletowym blasku ujrzałem zwłoki stewarda, półotwarte drzwi mojej kajuty, jakiś zwijający się kształt oraz błysk stali.

Zaraz potem znowu zapadła ciemność, ale ja wiedziałem, że nie jestem ślepy. Owszem, zmaltretowany i obolały - czułem się tak, jakby porwała mnie trąba powietrzna, by po dłuższych igraszkach cisnąć na kamienną kolumnę - ale nie ślepy. Nie ślepy!

To raczej statek pogrzyżył się w otchłani nocy. Znowu rozległ się ludzki jęk, lecz tym razem nie wydobył się z moich ust. A więc jednak ktoś był w korytarzu; ktoś, kto zamierzał pozbawić mnie życia, ponieważ błyszczący punkcik, który ujrzałem, bez wątpienia był ostrzem jakiejś broni. Promień o zredukowanej do minimum mocy boleśnie oparzył złoczyńcę, tak jak kiedyś promienie wystrzelwane z pistoletów hieroduli poparzyły Baldandersa. Ten człowiek z pewnością nie był olbrzymem, a jednak przeżył i należało się spodziewać, iż nie działał sam; schyliłem się najprędzej jak mogłem, wyciągniętą ręką namacałem ciało stewarda, przelazłem przez nie jak kulawy pajak, wślizgnąłem się do mojej kajuty, zatrzaskałem za sobą drzwi i zaryglowałem je od środka.

Lampa, przy której pracowałem nad rękopisem, była zgaszona, podobnie jak światła w korytarzu.

Moja błędząca po sekretarzyku

ręka natrafiła na laskę wosku, dzięki czemu przypomniałem sobie o specjalnej świecy służącej do jego topienia, którą zapalało się wciśnięciem wystającego guzika. To zmyślne urządzenie powinno leżeć tuż obok laski; nie było go tam, ale wkrótce odnalazłem je w bałaganie na dolnej półce sekretarzyka.

Jasnożółty płomień pojawił się natychmiast po dotknięciu przycisku. W jego blasku ujrzałem niesłychany rozgardiasz panujący w kabinie: moja porozrywana garderoba wałała się na podłodze, materac był rozpruty na całej długości, szuflady sekretarzyka opróżnione, książki porzucane po całym pomieszczeniu, worki, w których wniesiono mój dobytek na pokład, pocięte na strzępy.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to zwykły akt wandalizmu, że ktoś, kto mnie nienawidzi (na Urth wielu było takich), po prostu dał upust swej wściekłości, nie zastawszy mnie śpiącego w łóżku.

Jednak po chwili zastanowienia doszedłem do wniosku, iż mam przed sobą efekt metodycznej, starannej pracy. Ktoś wtargnął do kajuty niemal zaraz po tym, jak z niej wyszedłem. Hierodule, dla

których czas biegnie w przeciwną stronę, wiedzieli o tym zdarzeniu i przysłali stewarda głównie po to, by uchronić mnie przed spotkaniem z nieproszonym gościem; gość ów, stwierdziwszy, że nie ma mnie w kabine, zajął się poszukiwaniami przedmiotu tak małego, że można by go ukryć nawet w kołnierzyku koszuli.

Czegokolwiek szukał, posiadałem tylko jeden skarb: list napisany przez mistrza Malrubiusa, zaświadczący, iż jestem prawowitym Au-tarchą Urth. Ponieważ nie spodziewałem się żadnej napaści, nie uznałem za stosowne go ukryć, tylko wrzuciłem do jednej z szuflad razem z innymi papierami.

Rzecz jasna, nie zostało po nim ani śladu.

Opuszczającabinę włamywacz natknął się na stewarda, który zapewne zatrzymał go i zapytał, co tu robi. W ten sposób wydał na siebie wyrok śmierci, gdyż później mógłby opowiedzieć mi, jak wygląda ów człowiek. Napastnik dobył noża, steward sięgnął po swój, ale nawet nie zdążył go otworzyć. Rozmawiając z hierodulami usłyszałem krzyk nieszczęśnika, lecz Osipago zastąpił mi drogę, uniemożliwiając spotkanie z włamywaczem. Przynajmniej tyle było jasne.

Teraz jednak nadeszła pora na najbardziej tajemniczą część zagadki. Natrafiwszy na martwego stewarda próbowałem go ożywić, zamiast autentycznym Pazurem Łagodziciela posługując się zwykłym cierniem.

Naturalnie próba zakończyła się niepowodzeniem, ale przecież tak samo działało się już wcześniej za każdym razem, kiedy świadomie starałem się skorzystać z mocy, jaką - być może - dawał mi prawdziwy Pazur. (Po raz pierwszy uczyniłem to w lochach naszej konfraterni, dotykając nim czoła kobiety, która porywała dzieci i przybijała je do podłogi w charakterze mebli).

Tamte porażki były jednak zwyczajne i nie pociągały za sobą żadnych niezwykłych konsekwencji; ot, jakbym wypowiedział słowo, które miało być zaklęciem otwierającym drzwi, a wcale nim nie było, więc drzwi pozostały zamknięte i tyle.

Teraz stało się inaczej: nie wiadomo czemu, straciłem nagle przytomność, a wraz z nią mnóstwo sił, których do tej pory nie udało mi się jeszcze w pełni odzyskać. Może zabrzmiało to głupio, ale właśnie dlatego poczułem przypływ nadziei; coś się jednak wydarzyło, chociaż niewiele brakowało, by owo coś kosztowało mnie życie.

Cokolwiek to było, pozbawiło mnie świadomości i ściągnęło na statek ciemność. Ośmielony nią, włamywacz powrócił, a usłyszawszy mój okrzyk (każdy człowiek zbliżający się w uczciwych zamiarach ani chybi odpowiedziałby na niego) rzucił się, by mnie zabić.

Wszystkie te myśli przemknęły mi przez głowę znacznie szybciej niż trwało ich zapisywanie. Wiatr się wzmaga, ziarnko po ziarnku usypując z piasku naszego nowego łądu nagrobek starej Wspólnoty, aleja jeszcze będę pisał przez jakiś czas, zanim udam się na spoczynek. A więc, wracając do rzeczy: przyszło mi do głowy, że ranny napastnik może wciąż jeszcze leżeć w korytarzu. Gdyby tak było, istniała szansa wydobycia od niego zeznań oraz ujawnienia jego motywów i współników, naturalnie jeżeli tacy istnieli. Zgasilem świecę, otworzyłem drzwi najciszej, jak potrafiłem, po czym

wymknąłem się na zewnątrz, przez chwilę stałem bez ruchu, uważnie nasłuchując, następnie zaś zaryzykowałem i zapaliłem ją ponownie.

Mój przeciwnik zniknął, lecz poza tym nic się nie zmieniło. Martwy steward nadal leżał bez życia, nieruchomy jak jego nóż o schowanym ostrzu. Na odcinku, który pełgający blask świecy wydobył z ciemności, korytarz był zupełnie pusty.

Obawiając się, że wyczerpię zapas energii zamkniętej w świecy albo że jej płomień zdradzi miejsce mego pobytu, zgasiłem ją po raz drugi. Gdyby doszło do walki wręcz, myśliwski nóż znaleziony przez Gunnie

w ładowni z pewnością okazałby się bardziej przydatny od pistoletu; wydobyłem go z pochwy, ścisnąłem rękojeść w prawej ręce i dotykając lewą ściany ruszyłem powoli korytarzem w poszukiwaniu kajuty hieroduli.

Tdąc tam w towarzystwie Osipago, Famulimusa i Barbatusa nie zwracałem uwagi ani na to, którzy mnie prowadzą, ani jak dużą odległość trzeba byto pokonać, ale zapamiętałem każde mijane drzwi i niemal każdy swój krok, więc choć zajęło mi to sporo czasu, zdołałem (przynajmniej tak mi się zdawało) trafić we właściwe miejsce.

Zastukałem do drzwi, ale nie uzyskałem odpowiedzi. Przyłożyłem do nich ucho, lecz z wnętrza nie dobiegały żadne dźwięki. Zastukałem ponownie, znacznie mocniej, a kiedy i to nie dało rezultatu, załomotałem gałką wieńczącą rękojeść noża.

Wciąż nie zrażony, przeszedłem po omacku do sąsiednich drzwi i powtórzyłem całą operację, potem zaś uczyniłem to samo przy drzwiach pomieszczenia sąsiadującego z kajutą z drugiej strony.

Tam także nikt mi nie otworzył.

Powrót do kabiny mógł równać się samobójstwu; na szczęście dysponowałem zapasowym lokum.

Pogratulowałem sobie w duchu przezorności, ale zaraz potem uświadomiłem sobie, że po to, by dotrzeć do kwater załogi, muszę minąć drzwi mojej kabiny. Analizując historię poprzedników oraz szperając we wspomnieniach osób, które stały się częścią mnie, z zaskoczeniem stwierdziłem, iż wiele z nich straciło życie w chwili, gdy skuszone powodzeniem, usiłowały po raz kolejny powtórzyć jakiś zuchwały wyczyn - na przykład poprowadzić oddział do jeszcze jednego ataku albo odwiedzić kochankę mieszkającą w odległej dzielnicy. Postanowiłem nie powtarzać ich błędów; prześledziwszy w pamięci trasę, którą przebyłem, a także odwoławszy się do skromnej wiedzy na temat rozkładu pomieszczeń statku, doszedłem do wniosku, iż chyba uda mi się dotrzeć do mojej drugiej kajuty inną, okrężną drogą: pójdę prosto korytarzem, przy pierwszej sposobności skręcę w boczne odgałęzienie, a potem jeszcze raz i będę już u celu.

Pominę milczeniem moją długą wędrówkę; wystarczy powiedzieć, że była dla mnie niezmiernie męcząca, nie widzę więc powodu, żebym miał nużyć jej opisem także ciebie, mój hipotetyczny czytelniku. Powiem tylko tyle, że znalazłem schody prowadzące na niższy poziom oraz korytarz, który zdawał się bieć dokładnie pod tym, w którym

rozegrały się niedawne wydarzenia. Wkrótce jednak dotarłem do kolejnych schodów stanowiących początek istnego labiryntu korytarzy, drabin oraz wąskich, pogrążonych w całkowitej ciemności zaułków, gdzie podłoga poruszała się pod moimi stopami, powietrze zaś stawało się coraz cieplejsze i wilgotniejsze.

W pewnej chwili poczułem intensywny, jakby znajomy zapach. Ruszyłem za nim z zadartą głową, węsząc niczym pies myśliwski ja, który tak często chełpię się moją nadzwyczajną pamięcią. Niewiele brakowało, bym zaczął skamleć ze szczęścia, że po tak długiej wędrówce wśród pustki, milczenia i ciemności wreszcie trafiłem w jakieś znajome miejsce.

Nagle z mego gardła istotnie wyrwało się coś w rodzaju skowytu, ponieważ hen, daleko przede mną zabłysło jakieś światełko. Moje oczy tak bardzo przywykły do ciemności, że nawet ten przyćmiony blask przeszył ich źrenice jak błyskawica, docierając aż do mózgu, gdzie wywołał eksplozję krótkotrwałego bólu. Spoglądając na nierówną powierzchnię pod stopami i na wilgotne, porośnięte mchem ściany, widziałem na ich tle rozjarzoną intensywną czerwień, pajęczą sieć naczyń krwionośnych. Schowałem nóż do pochwy i popędziłem przed siebie tak szybko, jak tylko pozwalała mi moja niesprawna noga.

Niebawem znalazłem się wśród dziesiątków przedziwnych stworzeń uwięzionych w indywidualnych zagrodach; tajemniczy blask wydobywał się z jednej z nich. Wróciłem, bez udziału własnej woli, do wiwa-rium, w którym trzymano istoty wydobyte z głębin kosmosu czarodziejskim działaniem zwierciadlanych żagli. Podeszedłem do oświetlonej, pozbawionej prętów klatki, by stwierdzić, iż zajmuje ją nie kto inny jak kudłaty stwór, do którego pojmania niechcący się przyczyniłem. Stał na tylnych łapach, oparty przednimi o dzielącą nas, niewidzialną ścianę; fosforyzujący blask spływał po futerku na jego brzuchu i sączył się między uzbrojonymi w pazury palcami przednich kończyn. Przemówiłem do niego łagodnie, jakbym po powrocie z długiej podróży witał się z ulubionym kotem, on zaś sprawiał wrażenie ogromnie zadowolonego, przyciskając porośnięte sierścią ciało do doskonale przejrzystej ściany i świdrując mnie błagalnym spojrzeniem.

Nagle obnażył ostre, białe zęby. parsknął wściekle, ślepie zaś zabłysły mu jak oczy demona. Z

pewnością cofnąłbym się o krok. gdyby nie to, że w tej samej chwili czyjeś ramię otoczyło moją szyję i błysnął nóż zmierzający ku mej piersi.

Chwyciłem napastnika za przegub, zatrzymałem rękę z nożem - czubek ostrza prawie dotykał koszuli

- po czym spróbowałem przykucnąć, by przerzucić go przez głowę. Zawsze cieszyłem się opinią silnego mężczyzny, lecz on był znacznie silniejszy ode mnie. Co prawda podniosłem go bez trudu - na tym statku mógłbym podnieść nawet tuzin ludzi - ale on oplótł mnie w pasie nogami, które zdawały się być ze stali. Schyliłem się gwałtownie, co dało tylko tyle, że obaj runęliśmy na posadzkę. Robiłem co w mej mocy, by utrzymać nóż jak najdalej od mojej piersi.

Niespodziewanie krzyknął przeraźliwie z bólu. Padając wtoczyliśmy się do klatki zajmowanej przez futrzaste stworzenie, które teraz zatopiło zęby w ręce mego przeciwnika.

Śmierć w świetle

Zanim zdołałem się pozbierać i stanąć na nogi, napastnik zniknął. Na podłodze więzienia mojego kudłatego przyjaciela zostało tylko kilka kropli krwi, prawie czarnych w żółtawym blasku świecy. On sam siedział słupka, z tylnymi łapami podwiniętymi niemal po ludzku, liżąc przednie i czyszcząc nimi jedwabistą sierść na pyszczku. Już nie świecił.

- Dziękuję za pomoc - powiedziałem, a on z uwagą przekrzywił głowę, jakby starał się zrozumieć moje słowa.

Nóż, od którego mało co nie zginąłem, leżał kilka kroków dalej. Była to prymitywna maczeta o szerokim ostrzu i mocno wytartej rękojeści z jakiegoś ciemnego drewna. Wszystko wskazywało więc na to, iż napastnik wywodził się spośród prostych marynarzy. Kopnąłem nóż, po czym przypomniałem sobie, jak wyglądała ręka, która go trzymała: była duża, spracowana i z pewnością bardzo silna, ale nie wyróżniały jej żadne znaki szczególne. To znaczy, tak było wtedy, kiedy ją widziałem; chwilę potem pojawił się przecież ślad po głębokim ukąszeniu.

Czyżby niedoszły zabójca śledził mnie w ciemności, podążał za mną po schodach i drabinach, skradał się krętymi korytarzami? Wydawało mi się to mało prawdopodobne. Zapewne odnalazł mnie przypadkowo i postanowił natychmiast skorzystać z nadarzającej się sposobności; bez wątpienia był

bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Powinienem czym prędzej go odszukać, nie czekając, aż otrząśnie się z szoku i wymyśli jakąś historyjkę mającą wyjaśnić pochodzenie rany na jego ręce. Gdyby udało mi się ustalić tożsamość napastnika, natychmiast poinformowałbym jego zwierzchników, a jeśli nie byłoby na to czasu albo jeżeli nie podjęliby żadnych kroków, sam wymierzyłbym mu sprawiedliwość.

Z podniesioną wysoko świecą ruszyłem w górę po schodach wiodących ku kwaterom załogi.

Plany galopowały mi przez głowę

z szybkością rączych rumaków. Oficerowie, albo może kapitan, o którym wspomniał steward, każą uporządkować moją kajutę lub przydzielą mi nową. Zażądam, by przed drzwiami stał uzbrojony wartownik - nie dlatego, żebym istotnie potrzebował ochrony, gdyż nie zamierzałem przebywać w kabinie dłużej, niż będzie to absolutnie konieczne, lecz po to, by podsunąć przeciwnikowi dodatkowy cel.

Spróbuję...

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, zapaliły się wszystkie światła. Stałem na metalowych, ażurowych schodach, mając pod nogami pełne zieleni i brązów wiwarium. Po prawej stronie blask odległych lamp grzązał w opalizującej mgle, po lewej, w pewnym oddaleniu, lśniła wilgocią szara, pokryta ciemnymi zaciekami ściana. W górze... Można było odnieść wrażenie, iż nie ma tam żadnego statku, tylko zachmurzone niebo otoczone słońcem w kształcie gigantycznego pierścienia. Jasność trwała nie dłużej niż jeden oddech. Rozległy się przytłumione okrzyki marynarzy, zwracających uwagę kompanów na fakt, którego nie sposób było nie zauważyć, a potem zapadła ciemność jeszcze głębsza

i bardziej przerażająca niż poprzednio. Pokonałem około stu stopni; lampy rozżarzyły się słabo, jakby były co najmniej równie zmęczone jak ja, po czym znów zgasły. Po tysiącu stopni żłocisty płomyk świecy zmniejszył się do rozmiarów błękitnego punkcika; zgasilem ją. by zachować na wszelki wypadek choćby tę niewielką ilość energii, jaka jeszcze w niej pozostała. Dalej wspinałem się po ciemku.

Czułem coraz wyraźniejszy chłód - być może dlatego, że zbliżałem się do najwyższego pokładu statku, który odgradzał nas od lodowatej pustki. Spróbowałem poruszać się nieco szybciej, aby w ten sposób rozgrzać mięśnie, lecz przekonałem się, iż nie jestem w stanie tego uczynić. Osiągnąłem tylko tyle. że coraz częściej się potykałem, niesprawną nogą zaś, rozplątana przez asciańskiego piechura podczas Trzeciej Bitwy na Przełęczy Orithyia. zaczęła przypominać o swoim istnieniu nieznośnym bólem.

Przez pewien czas obawiałem się, że nie rozpoznam poziomu, na którym były usytuowane kabiny moja i Gunnie. ale na szczęście nic miałem z tym najmniejszego kłopotu. Skręciłem na metalowy pomost.

zapaliłem na chwilę świecę, po czym pchnąłem drzwi i wszedłem do kajuty.

Dopiero kiedy zamknąłem drzwi i opadłem na koję. uświadomiłem sobie, że nie jestem sam.

Kto tu? - zapytałem, chwytając za nóż.

Ja - odparł Idas, białowłosy i białoskóry marynarz. W jego głosie słyhać było strach, ale i ciekawość.

Co tutaj robisz?

Czekał na ciebie. Ja... Miałem nadzieję, że przyjdiesz. Nie wiem dlaczego, ale tak właśnie sobie pomyślałem. Nie było cię z innymi tam, na dole.

Nic na to nie odpowiedziałem, więc poczuł *się* w obowiązku dodać wyjaśniającym tonem:

Przy pracy. Wyślizgnąłem się więc cichaczem i przyszedłem tutaj.

To moja kabina. Zamek powinien odmówić otwarcia drzwi.

Nie wydałeś mu takiego polecenia. Opowiedziałem mu, jak

wyglądasz, a poza tym on mnie dobrze zna, bo mieszkam niedaleko stąd. Powiedziałem mu prawdę: że tylko chcę na ciebie zaczekać.

Zakażę mu wpuszczać kogolwiek poza mną.

- Byłoby rozsądnie uczynić wyjątek dla przyjaciół.

Odparłem, że zastanowię się nad tym, uczyniwszy jednocześnie

w duchu postanowienie, iż on z pewnością nie zostanie do nich zaliczony. Może Gunnie, ale nie on.

- Masz światło. Gdybyś je włączył, od razu zrobiłoby się przyjemniej.
- Skąd wiesz, że mam światło?
- Bo kiedy otwierałeś drzwi, na zewnątrz dostrzegłem króciutki błysk. Trzymałeś to w ręku, prawda?

Skinąłem głową, ale w porę uświadomiłem sobie, że przecież mnie nie widzi.

- Zgadza się. Wolałbym nie zużyć go do końca.
- W porządku. Zdziwiło mnie tylko, że nie skorzystałeś z niego, by trafić do koi.
- Zapamiętałem, gdzie jest, kiedy byłem tu po raz pierwszy.

W rzeczywistości moja decyzja o niezapalaniu świecy wynikała z faktu, iż usiłowałem narzucić sobie intelektualną dyscyplinę. Owszem, kusilo mnie, by przy jej gasnącym blasku sprawdzić, czy Ida s jest poparzony albo czy ma na ręce ślad po ukąszeniu, ale zdrowy rozsądek podpowiadał mi, że napastnik trafiony w korytarzu nie

zdołałby przeprowadzić drugiego zamachu na moje życie, ten zaś, który napadł na ranie w wiwarium, nie zdążyłby dobiec do schodów i wspiąć się po nich nie czyniąc najmniejszego hałasu.

- Czy zechcesz ze mną porozmawiać? Ogromnie chciałbym zamienić z tobą kilka słów, szczególnie po tym, jak podczas naszego pierwszego spotkania wspomniałeś o swojej ojczystej planecie.

- Z przyjemnością - odparłem. - Ale pod jednym warunkiem: że odpowiesz mi najpierw na parę pytań.

W rzeczywistości marzyłem tylko o tym, by położyć się i odpocząć. Uznałem jednak, iż warto skorzystać z nadarzającej się okazji, żeby rozwiać przynajmniej część gnębiących mnie wątpliwości.

- Bardzo chętnie odpowiem na twoje pytania, jeśli ty zgodzisz się odpowiedzieć na moje.

Postanowiłem zacząć od czegoś zupełnie niewinnego. Zdjąwszy buty wyciągnąłem się na koi, która zaskrzypiała cichutko.

- Dobrze więc: jak nazywa się język, którym teraz mówimy?
- Pokładowy, ma się rozumieć.

Znasz jakieś inne języki?

Nie, bo urodziłem się na statku. Między innymi właśnie o to chciałem cię zapytać: czy na prawdziwej planecie żyje się inaczej niż tutaj? Marynarze opowiadają czasem niestworzone historie, ale to wszyscy proszą, niewykształceni ludzie. Po tobie od razu widać, że jesteś inny.

Dziękuję. Skoro urodziłeś się na statku, musiałeś mieć wiele okazji do odwiedzenia prawdziwych planet. Czy na wielu z nich mówi się językiem pokładowym?

Prawdę powiedziawszy, nie schodziłem na ląd tak często, jak bym mógł. Mój wygląd... Chyba zauważyłeś...

Odpowiedz mi na pytanie, Idasie.

Przypuszczam, że na większości z nich.

Odniosłem wrażenie, iż jego głos dobiega z bliższej odległości niż poprzednio.

- Rozumiem. Na Urth język nazwany przez ciebie pokładowym

jest znany wyłącznie w naszej Wspólnocie. Uważamy go za bardzo stary, choć do tej pory wcale nie byłem pewien, czy słusznie. - Postanowiłem skierować rozmowę na temat związany z trwającym wciąż zaciemnieniem. - Byłoby znacznie przyjemniej, gdybyśmy mogli rozmawiać widząc się nawzajem, nie uważasz?

Och, tak! Może skorzystasz ze swojego światła?

Za chwilę. Jak myślisz, czy główne oświetlenie zostanie szybko naprawione?

Z pewnością już je naprawiają, ale najpierw włączą światło w najważniejszych częściach statku. My będziemy musieli jeszcze po czekać.

Co się właściwie stało?

Bez trudu wyobraziłem sobie, jak wzrusza ramionami.

Przypuszczalnie jakieś zwarcie w wielkich bateriach, ale nikt nie wie, co mogło być jego przyczyną. Tak czy inaczej, część ogniów spłonęła, a razem z nimi dość długie odcinki kabli, co w żadnym przypadku nie powinno się zdarzyć.

Czy wszyscy marynarze zostali skierowani do naprawy?

Większość mojej wachty.

Byłem już całkowicie pewien, że jest bardzo blisko, może łokieć od krawędzi koi.

Kilku odesłano do innych robót, dzięki czemu udało mi się

wymknąć. Severianie, czy na twojej planecie... Czy tam jest pięknie?

Bardzo pięknie, ale i bardzo okropnie. Chyba najładniejsze są lodowe wyspy, które niczym morską flotą płyną z południa całymi flotyllami. Są białe i bladozielone, a w promieniach słońca błyszczą tak, jakby zostały obsypane diamentami. Morze w ich pobliżu sprawia wrażenie czarnego, ale woda jest tak czysta, że widać ich potężne kadłuby sięgające głęboko w otchłanie. Rzadko kiedy zbliżają się do lądu. - Usłyszałem szmer jego przyspieszonego oddechu i najciszej jak mogłem wydobyłem nóż z pochwy. - Każda wyspa przypomina

góre sięgającą rozgwieżdżonego nieba. Niestety, żadna istota nie mogłaby na nich przeżyć, ponieważ są zupełnie jałowe. To znaczy, żadna ludzka istota... Wiesz co, Idasie? Jestem bardzo senny. Chyba byłoby lepiej gdybyś już sobie poszedł.

Chcę ci jeszcze zadać wiele pytań.

Uczynisz to innym razem.

Severianie, czy na twojej planecie człowiek dotyka czasem innego człowieka? Czy podaje mu rękę, by okazać przyjaźń? Na innych planetach wielu postępuje właśnie w ten sposób.

- Na mojej także - odparłem, przekładając nóż do lewej ręki.

-

Uściśnijmy więc sobie dłonie, a potem pójdę.

- Dobrze.

W chwili kiedy zetknęły się nasze palce, w kabinie zapłonęło światło.

W uniesionej nad głową ręce trzymał skierowaną ostrzem w dół maczetę. Kiedy zadał cios, włożył

w niego chyba całą siłę, jaką mógł z siebie wyrzesać. Odruchowo zasłoniłem się ramieniem; z pewnością nie udało mi się zatrzymać spadającego ostrza, ale zdołałem skierować je w bok, dzięki czemu tylko przebiło mi koszulę i zagłębiło się w materac tak blisko od mojej piersi, że poczułem dotknięcie zimnej

stali.

Idas chciał natychmiast wyszarpnąć nóż, by ponowić uderzenie, ale ja schwyciłem go za przegub, uniemożliwiając wykonanie jakiegokolwiek ruchu. Mogłem go bez trudu zabić, lecz tylko chlasnąłem nożem w przedramię, żeby wypuścił broń z ręki.

Krzyknął głośno, chyba nie tyle z bólu, co ze strachu, widząc, jak ostrze zagłębia się w jego ciało.

Cisnąłem go na podłogę i przyłożyłem błyszczącą stal do gardła.

- Milcz, bo zginiesz! - sykną lem. - Z czego są zrobione te ściany?

- Moja ręka...

- Zostaw ją w spokoju. Zdażysz się nią jeszcze zająć. Odpowiadaj!

Z cienkich arkuszy metalu.

Znakomicie. To znaczy, że nikogo nie ma w pobliżu, bo podczas naszej rozmowy nie usłyszałem żadnego szmeru. Możesz krzyczeć ile chcesz, bo i tak nikt cię nie usłyszy. A teraz wstawaj.

Mój myśliwski nóż okazał się bardzo ostry; bez trudu rozciąłem koszulę Idasa i ściągnąłem mu ją przez głowę, odsłaniając pączkujące piersi. Wcale nie zdziwiłem się na ten widok.

- Z czyjego rozkazu znalazłaś się na tym statku, dziewczyno?

Abaii?

Idas wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi, przerażonymi oczami.

- Wiedziałaś!

Pokręciłem głową, po czym odciąłem z jej koszuli pas materiału.

Masz, opatrz sobie ranę.

Dziękuję ci, ale to bez znaczenia. I tak jestem już trupem.

- Powiedziałem, że masz ją opatrzeć. Kiedy wezmę się za ciebie, nie chcę pobrudzić się krwią.

Nie musisz mnie torturować. Tak, byłam niewolnicą Abaii.

Miałaś mnie zabić, żeby nie sprowadził Nowego Słońca?

Skinęła głową.

Wybrał akurat ciebie, ponieważ jesteś na tyle mała, że możesz jeszcze uchodzić za człowieka. Kim są inni?

Nie ma żadnych innych.

Chciałem ją uderzyć, ale podniosła rękę w obronnym geście. - Przysięgam na mojego pana Abaię! To znaczy, mogą być inni, ale ja nic o nich nie wiem.

Czy to ty zabiłaś stewarda?

Tak.

I przeszukałaś moją kajutę?

Tak.

A jednak to nie do ciebie strzeliłem w korytarzu. Kto tam był?

Człowiek, którego wynajęłam za chrisos. Ja stałam trochę dalej, za zakrętem. Miałam zamiar wyrzucić ciało w przestrzeń, ale nie byłam pewna, czy dam sobie radę. Poza tym...

Zawiesiła głos.

Co poza tym?

Poza tym potrzebowałabym go także do innych rzeczy, później.

Proszę, powiedz mi, skąd wiedziałeś.

Nie ty też zaatakowałaś mnie w wiwarium. Kto to zrobił?

Potrząsnęła ze zdziwieniem głową.

Nie wiedziałam, że zostałeś tam napadnięty.

Ile masz lat, Idas?

Nie mam pojęcia.

Dziesięć? Trzydzieści?

- My nie liczymy upływających lat. - Wzruszyła ramionami. -

Jednak wbrew temu, co o nas myślisz, jesteśmy ludźmi. Należymy do Innego Ludu rządzonego przez Wielkich Władców, którzy mieszkają w morzach i pod powierzchnią lądów. Odpowiedziałam na twoje pytanie, więc teraz ty odpowiedz na moje. Skąd wiedziałeś?

Usiadłem na koi. Już niebawem miałem rozpocząć przesłuchanie tego wymizerowanego dziecka.

Minęło sporo czasu, odkąd robiłem to po raz ostatni, jeszcze jako czeladnik Severian. i szczerze mówiąc wcale nie byłem zachwycony. Chyba w głębi duszy pragnąłem, by rzuciła się do drzwi i uciekła.

Po pierwsze, nie wysławiasz się jak żeglarz. Miałem kiedyś przyjaciela, który mówił w sposób charakterystyczny dla marynarzy, więc zawsze zwracam uwagę na ludzi posługujących się podobnym językiem... Ale to długa historia. Moje kłopoty zaczęły się krótko po tym, jak spotkałem ciebie i pozostałą trójkę. Od razu poinformowałaś mnie, że urodziłaś się na statku, choć to tamci, z wyjątkiem

Sidera, mówili jak marynarze.

□ Purn i Gunnie pochodzą z Urth.

□ Potem wprowadziłaś mnie w błąd, kiedy zapytałem cię o drogę do mesy. Miałaś zamiar pójść za mną i zabić mnie w jakimś ustronnym zakątku, ale kiedy jednak trafiłem do kabiny, uznałaś, że to nawet lepiej. Mogłaś poczekać, aż udam się na spoczynek, następnie zaś przekonać zamek, żeby wpuścił cię do środka. Przypuszczam, że jako członek załogi nie miałabyś z tym większego kłopotu.

Skinęła głową.

□ Wzięłam ze sobą narzędzia i powiedziałam zamkowi, że przy

słano mnie, bym naprawiła szufladę.

□ Mnie jednak nie było w kajucie. Kiedy wychodziłaś, zaczepił

cię steward. Czego szukałaś?

- Listu do hierogramata, który otrzymałaś od aquastorów z Urth. - W jej głosie zabrzmiała triumfalna nuta. - Znalazłam go i spaliłam na miejscu.

- List wcale nie był ukryty, ty natomiast szukałaś czegoś, co, twoim zdaniem, powinienem dobrze schować. Jeśli nie powiesz mi, co to było, za chwilę zadam ci ogromny ból.

Potrząsnęła głową.

- Mogę usiąść?

Nie miałem nic przeciwko temu. Myślałem, że wybierze drugą koję albo komodę, ona jednak usiadła na podłodze, tam gdzie stała. Teraz, pomimo swego wzrostu, rzeczywiście wyglądała jak dziecko.

- Niedawno uparcie powtarzałaś prośby, żebym zapalił świat

ło - ciągnąłem. - Po drugim razie stało się jasne, że chodzi ci o to, by zabić mnie pierwszym ciosem. Dlatego celowo użyłem słów "morska flota" i "zbliżają się do lądu", ponieważ wiem, iż słudzy Abaii często posługują się nimi jako hasłem; dawno temu ktoś, kto wziął mnie za jednego z nich, wręczył mi wizytówkę, z której treści wynikało, iż będę mógł spotkać go na Ulicy Morskiej, Vodalus natomiast - być może o nim słyszałaś - polecił mi przekazać wiadomość osobie, która powie: "Morska flota zbliża się do..."

Przerwałem w pół zdania. Na statku nawet ciężkie przedmioty spadają bardzo powoli; Idas osunęła się w zwolnionym tempie, na tyle jednak szybko, że jej czoło uderzyło w podłogę z dość głośnym stuknięciem. Jestem pewien, iż była martwa od początku mojej chełpliwej przemowy.

Rozdział VIII

Pusty rękaw

Teraz, kiedy było już za późno, działałem bardzo szybko: przewróciłem Idas na plecy, starałem się wyczuć puls, uciskałem jej klatkę piersiową, próbując zmusić serce do podjęcia pracy. Wszystko na nic. Nie zdołałem przywrócić jej życia, za to poczułem gorzką woń trucizny wydobywającą się z ust dziewczyny.

Przypuszczalnie nie rozstawała się z nią ani na chwilę. Wątpię, by ukryła kapsułkę w koszuli -

chyba że wyjęła ją i wsunęła do ust jeszcze po ciemku, by zrobić z niej użytek, gdyby próba zabójstwa zakończyła się niepowodzeniem. Prawdopodobnie we włosach, choć były odrobinę za krótkie, najpewniej zaś w okolicach paska. Z każdego z tych miejsc mogła ją bez trudu wydobyć, choćby wtedy, kiedy zakładała sobie prowizoryczny opatrunek na przedramię.

Nie starałem się jej ożywić, ponieważ zbyt dobrze pamiętałem, co się stało, kiedy próbowałem to uczynić z martwym stewardem. Przeszukałem natomiast ubranie dziewczyny, lecz znalazłem tylko dziewięć złotych chrisos, które włożyłem do kieszonki przy pochwie noża. Idas wspomniała, że dała jedno chrisos wynajętemu pomocnikowi; widocznie Abaia albo któryś z jego ministrów dał jej dziesięć złotych monet, przeznaczonych właśnie na takie nieprzewidziane okoliczności. Ściągnąwszy dziewczynie buty przekonałem się, iż miała wyjątkowo długie palce u stóp, połączone delikatną błoną pławną. Pociąłem buty na drobne kawałki, tak samo jak ona nie tak dawno temu uczyniła z moją garderobą, lecz nie znalazłem żadnego schowka.

Siedząc na koi i wpatrując się w ciało Idas zacząłem się w pewnej chwili zastanawiać, jak to możliwe, żebym tak łatwo dał się zwieść własnym wspomnieniom o wodnicy, która najpierw uratowała mnie od śmierci w nurcie Gyoll, potem zaś próbowała omamić w pobliżu brodu. Była olbrzymką, ja zaś, nie wiedząc czemu, traktowałem Idas jako młodą, trochę niezgrabną pannicę, nie zaś jako gigantyczne dziecko, którym w istocie była; takie samo dziecko, tyle że chłopca, Baldandera trzymał w jednym z pomieszczeń swojej wieży.

Wodnica miała zielone włosy, ale dopiero teraz uświadomiłem sobie, iż ta zieleń nie była ich naturalną barwą, lecz stanowiła efekt działania alg; podobnie przedstawiała się sprawa z zabarwieniem krwi zielonego człowieka z Saltus. Lina zanurzona w wodzie także po pewnym czasie stanie się zielona.

Jakimż byłem głupcem!

Należało zawiadomić przełożonych Idas o jej śmierci. Wpadłem na pomysł, że mógłbym poinformować bezpośrednio kapitana, uzyskawszy audiencję dzięki wstawiennictwu Barbatusa lub Famulimusa. Jednak kiedy wyszedłem na korytarz i zamknąłem drzwi kajuty, uświadomiłem sobie, iż nic z tego nie będzie: co prawda dla nich nasze spotkanie w niezwyklej komnacie było pierwszym, ale dla mnie ostatnim z wielu, jakie odbyliśmy w ciągu minionych lat. Będę musiał dotrzeć do kapitana w inny sposób, udokumentować swoją tożsamość i zawiadomić go o tym, co wydarzyło się do tej pory.

Idas powiedziała, że w głębi statku trwają intensywne prace przy usuwaniu skutków awarii; należało

się spodziewać, iż będzie je nadzorował przynajmniej jeden oficer. Ponownie ruszyłem w dół po smaganych wiatrem schodach, ale tym razem nie zatrzymałem się w wiwarium, lecz podążyłem głębiej, tam gdzie powietrze było jeszcze cieplejsze i wilgotniejsze.

Choć może to się wydawać co najmniej dziwne, odniosłem wrażenie, iż ważę jeszcze mniej niż na poziomie, gdzie znajdowała się moja kabina, dziwne zaś było to przede wszystkim dlatego, że takie same odczucia towarzyszyły mi wcześniej podczas wspinaczki. Należało się więc spodziewać, iż teraz moja waga będzie rosła. Ograniczę się do stwierdzenia, że tak nie było, jeśli zaś było, to ja absolutnie nie zdawałem sobie z tego sprawy, będąc przekonany, iż dzieje się akurat odwrotnie.

Niebawem usłyszałem dobiegający z dołu odgłos czyichś kroków. Ponieważ zdążyłem się już nauczyć, że każdy przygodnie spotkany nieznajomy może czyhać na moje życie, przystanąłem i wyciągnąłem pistolet.

Tamten uczynił to samo. po chwili zaś do mych uszu doszły odgłosy panicznej ucieczki. Rozległ się także donośny łoskot, jakby na schody spadł jakiś metalowy przedmiot, na przykład hełm. Nie ulegało wątpliwości, iż człowiek ten uciekał przed czymś, do czego ja dopiero się zbliżałem. Rozsądek podpowiadał, żeby postąpić tak samo, ja jednak ociągałem się, zbyt dumny i za głupi, by zrejterować, zanim ujrzę niebezpieczeństwo na własne oczy.

Nie musiałem długo czekać, gdyż zaledwie kilka oddechów później zobaczyłem człowieka w zbroi, wspinającego się po schodach z gorączkowym pośpiechem. Przyjrzawszy się mu dokładniej stwierdziłem, że nie ma prawego ramienia; ktoś - lub coś - wyrwał mu je z ogromną siłą, ponieważ z barku sterczały poszarpane szczątki, znacząc krwią lśniąca powierzchnię pancerza.

Było bardzo mało prawdopodobne, żeby ten ranny, przerażony człowiek odważył się mnie zaatakować, wiele natomiast przemawiało za tym, że ucieknie, jeśli uzna, iż z mojej strony zagraża mu jakieś niebezpieczeństwo. Schowałem pistolet, a następnie zapytałem, co się stało i czy mogę mu pomóc.

Zatrzymał się, po czym skierował ku mnie twarz zasłoniętą przyłbicą. Był to Sidero, drżący jak liść w podmuchach porywistego wiatru.

Czy jesteś lojalny?! - krzyknął.

Wobec kogo, przyjacielu? Nie zamierzam zrobić ci krzywdy,

jeśli to masz na myśli.

Wobec statku!

Składanie deklaracji lojalności wobec czegoś, co stanowiło zaledwie wytwór zaawansowanej technologii hieroduli, wydawało mi się co najmniej pozbawione sensu, ale nie była to ani pora, ani miejsce na prowadzenie abstrakcyjnych dyskusji.

- Oczywiście! - odparłem. - Aż do śmierci, jeśli zajdzie taka potrzeba.

W duchu zwróciłem się z prośbą o przebaczenie do mistrza Mal-rubiusa, który kiedyś usiłował nauczyć mnie, na czym polega prawdziwa lojalność.

Sidero ponownie ruszył w górę, jakby nieco wolniej i rozważniej. co jednak nie uchroniło go przed kilkoma potknięciami. Z bliska okazało się, że to, co początkowo wzięłem za krew, jest jakimś znacznie bardziej gęstym, lepkiem płynem, raczej czarnozielonym niż czerwonym. Strzępy zwisające z rany nie miały nic wspólnego z ciałem, lecz były poszarpanymi drutami, w których płątaninie tkwiły fragmenty czegoś przypominającego grube płótno.

A więc Sidero był androidem, automatem o ludzkiej postaci, takim samym jak mój przyjaciel Jonas. Złajałem się w myśli za to, że wcześniej się tego nie domyśliłem, ale jednocześnie poczułem ogromną ulgę. Jak na jeden dzień miałem już dość widoku krwi.

Tymczasem Sidero dotarł do pomostu, na którym stałem, i zatrzymał się, chwiejąc się mocno w przód i w tył. Ostrem, nie znoszącym sprzeciwu tonem, jaki podświadomie przyjmujemy wówczas, kiedy chcemy sprawić wrażenie, iż panujemy nad sytuacją, zażądałem, by pokazał mi ranę. Uczynił to, a wtedy ja z kolei zachwiałem się ze zdumienia.

Była pusta. Po prostu pusta i już. Tuż pod metalowym pancerzem znajdowało się nieco różnokolorowych przewodów, trochę jakiegoś materiału izolacyjnego, głębiej zaś nic. Zupełnie nic.

- W jaki sposób mogę ci pomóc? - zapytałem. - Nie mam żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o takie rany.

Odniosłem wrażenie, że się waha. Wydawałoby się, iż jego zasłonięta przyłbicą twarz nie będzie w stanie wyrażać żadnych uczuć, a jednak tak nie było; pochylenie głowy, gra cieni w metalowej kratownicy, ruch lub jego brak - wszystko to dawało pewne wyobrażenie o emocjach ukrytych pod błyszczącym hełmem.

Będziesz musiał postępować dokładnie według moich wskazo

wek. Zrobisz to?

Oczywiście. Co prawda nie tak dawno przysięgłem sobie, że

zgotuję ci taką samą niespodziankę jak ty mnie, ale przecież nie będę mścił się na rannym.

Doskonale pamiętałem, jak bardzo Jonasowi zależało na tym, by wszyscy uważali go za człowieka.

Prawdę powiedziawszy, przez długi czas ani mnie, ani wielu innym osobom nie przyszło do głowy podejrzewać go o to, że jest kimś innym.

- Nie mam wyboru. Muszę ci zaufać.

Cofnął się o krok, a wtedy jego pierś otworzyła się niczym ogromny kwiat o stalowych płatkach,

odslaniając czarną pustkę.

Nie rozumiem - powiedziałem. - Co mogę zrobić?

Spójrz. - Palcem jedynej ręki wskazał na wewnętrzną powierzchnię jednego z metalowych płatków. - Czy widzisz, co tam jest napisane?

Widzę jakieś różnokolorowe linie i symbole, ale nie potrafię ich odczytać.

— Opisał mi jeden z nich, nadzwyczaj skomplikowany, oraz kilka innych, prostszych, które powinny być w jego pobliżu. Po krótkich poszukiwaniach odnalazłem je wszystkie.

- Wsuń tam ostry kawałek metalu i przekręć go w prawo - polecił. - Tylko ćwierć obrotu, nie więcej.

Szczelina była bardzo wąska, lecz mimo wszystko udało mi się wsunąć w nią końcówkę ostrza myśliwskiego noża. Przekręciłem go o ćwierć obrotu i upływ ciemnej cieczy prawie zupełnie ustał.

Sidero opisał mi kolejny symbol, znajdujący się w innym miejscu. W trakcie poszukiwań powiedziałem androidowi, że nigdy nie słyszałem ani nie czytałem o istotach takich jak on.

- Hadid lub Hierro wyjaśnią ci wszystko dokładniej. Ja tylko wykonuje swoje obowiązki. Nie myślę o takich sprawach. W każdym razie nieczęsto.

Rozumiem.

Masz pretensje o to, że zepchnąłem cię z pomostu. Zrobiłem to, bo nie zastosowałeś się do moich poleceń. Przekonałem się już wiele razy, że ludzie tacy jak ty stanowią zagrożenie dla statku. Jeśli coś im się stanie, nie mogą już mu zaszkodzić. Jak myślisz, ile razy próbowali mnie zniszczyć?

- Nie mam pojęcia - odparłem, wciąż szukając właściwego

symbolu.

- Ani ja. Bez przerwy żeglujemy albo z prądem, albo pod prąd czasu. Kapitan twierdzi, że istnieje tylko ten jeden statek. Kiedy w pustce między słońcami widzimy jakiś statek, widzimy samych siebie. Skąd mam wiedzieć, ile razy próbowali albo ile prób zakończyło się sukcesem?

Gada coraz bardziej od rzeczy, pomyślałem i w tej samej chwili odnalazłem wskazany przez niego symbol. Kiedy powtórzyłem operację przekręcenia o ćwierć obrotu śrubki o wyjątkowo wąskiej szczelinie,

„krwotok” ustał zupełnie.

- Dziękuję - powiedział Sidero. - Ciśnienie spadało w bardzo

szybkim tempie.

Zapytałem, czy nie powinien teraz napić się nieco płynu, aby uzupełnić braki,

- Wkrótce to zrobię. I tak odzyskałem już częściowo siłę, a odzyskam ją całkowicie, kiedy dokonasz jeszcze jednej regulacji. -Wyjaś-

nił mi, jak mam ją przeprowadzić. - Powiedziałaś, że nie wiesz, skąd wzięli się tacy jak ja. Czy to oznacza, że wiesz wszystko o pochodzeniu swojej rasy?

- Tylko tyle, że kiedyś byliśmy niewielkimi nadrzewnymi zwierzątkami. W każdym razie tak właśnie twierdzą mędrcy. Nie, nie małpami, bo przecież małpy nadal istnieją. Raczej czymś w rodzaju zoantropów. Tyle że nieco mniejszych. Zauważyłem, że zoantropi chętnie zamieszkują górzyste okolice i spędzają wiele czasu na drzewach. Nasi przodkowie porozumiewali się ze sobą w taki sam sposób, w jaki obecnie czynią na przykład wilki, a nawet zwyczajne domowe bydło. Wołą Prastwórcy było, żeby pozostawali przy życiu i rozmnażali się ci, którzy w największym stopniu posiadli sztukę przekazywania informacji.

- I to wszystko?

Pokręciłem głową.

Kiedy nauczyli się mówić, stali się mężczyznami i kobietami, którymi są do dzisiaj. Nasze ręce zostały stworzone do chwytania gałęzi, nasze oczy do wypatrywania najbezpieczniejszych konarów, nasze usta do wypowiedzania słów, przeżuwania owoców i piskląt wybranych z gniazda pod nieobecność rodziców. Po dziś dzień nic się nie zmieniło. A jak wygląda historia twojej rasy?

Bardzo podobnie do waszej, naturalnie jeśli jest prawdziwa.

Marynarze pragnęli znaleźć schronienie przed pustką, śmiertelnościami promieniowaniem, bronią nieprzyjaciela i wieloma innymi rzeczami.

Zaczęli wytwarzać broje z twardego metalu. Pragnęli też być silniejsi, aby lepiej walczyć i pracować. Wprowadzili do wnętrza zbroi płyn, który widziałeś; dzięki niemu mogli się swobodnie poruszać, dysponując znacznie większą siłą. Pragnęli porozumiewać się ze sobą. więc dodali syntetyzery mowy. Potem dodawali coraz więcej obwodów, a na koniec także coś w rodzaju mózgow, które czuwały wtedy, kiedy oni spali.

Pewnego dnia zaczęliśmy mówić i działać bez ich pomocy, nie czekając, aż wejdą do naszego wnętrza. Nie możesz tego znaleźć?

-- Jeszcze chwileczkę - odparłem. W rzeczywistości znalazłem właściwy symbol już jakiś czas temu, ale postanowiłem wydobyć od Sidera jak najwięcej informacji. - Chcesz powiedzieć, że oficerowie służący na tym statku używają was w charakterze ubrań?

- Coraz rzadziej. Znak przypomina gwiazdkę, obok której jest prosta kreska.

- Wiem, wiem... - mruknąłem, pograżony głęboko w myślach. Z pistoletem i nożem przytroczonymi do pasa nie miałem najmniejszych szans, ale bez nich kto wie, czy nie zmieściłbym się w jego

wnętrzu. -

Zaczekaj jeszcze chwilę. Muszę się schylać, żeby do ciebie zajrzeć, a to żelastwo wbija mi się w żołądek.

- Odpiąłem pas i położyłem na ażurowej podłodze. - Byłoby mi znacznie wygodniej, gdybyś ułożył się na wznak.

Uczył to bez protestów, znacznie szybciej i zwinniej, niż oczekiwałem.

Pospiesz się. Nie mam czasu do stracenia.

Gdyby ktoś cię ścigał, już by tutaj był, a ja nie słyszę niczyich kroków.

Myśli przelatywały mi przez głowę z prędkością huraganu. Pomysł w pierwszej chwili wydawał się szalony, ale gdybym zdołał go zrealizować, uzyskałbym jednocześnie przebranie i ochronę. Przecież wielokrotnie nosiłem zbroję, czemu więc nie skorzystać z jej najnowocześniejszej wersji?

- Sądzisz, że uciekam przed nirni?

Nie pofatygowałem się, by mu odpowiedzieć. Przed chwilą zapewniłem go, że niczego nie słyszę, teraz jednak usłyszałem, a kilka oddechów później wiedziałem nawet, co słyszę: powolne uderzenia ogromnych skrzydeł.

Rozdział IX

Puste powietrze

Czubek mego noża tkwił już w szczelinie. Przekręciłem go, po czym błyskawicznie zrzuciłem opończę, zacisnąłem powieki i wturlałem się do otwartego ciała Sidera. Wolałem nie tracić czasu na rozglądanie się w poszukiwaniu skrzydlatej istoty; uczyniłem to dopiero wtedy, kiedy z pewnymi trudnościami zdołałem wsunąć głowę do wnętrza hełmu. Otworzyłem oczy i spojrzałem przez szczeliny w przyłbicy.

Nic jednak nie zobaczyłem, a raczej prawie nic. Szyb wentylacyjny, na tej głębokości już prawie wolny od mgły, teraz wypełnił się nią całkowicie. Ktoś - albo coś - wtłoczył z góry nieco chłodniejszego powietrza, które ochoczo zmieszało się z ciepłym i cuchnącym. Si-woszare opary kłębiły się na podobieństwo tysięcy niespokojnych duchów.

Nie słyszałem ani łopotu skrzydeł, ani w ogóle niczego. Czułem się tak, jakbym wsadził głowę do zakurzonego sejfu i wyglądał na zewnątrz przez dziurkę od klucza. Zaraz potem rozległ się głos Sidera, ale bynajmniej nie docierał on do moich uszu.

Doprawdy nie mam pojęcia, jak opisać doznania, których wówczas doświadczyłem. Doskonale wiem, co to znaczy słyszeć myśli innych ludzi: przecież w mojej głowie długo rozbrzmiewały najpierw myśli Thecli, a potem Autarchy. zanim połączyliśmy się w jedną osobę. To doznanie, choć całkowicie odmienne, nie miało także nic wspólnego z tradycyjnym słyszeniem, jakie wszyscy dobrze znamy. Czułem się tak, jakby dźwięk - bo to jednak był dźwięk - docierał do mego mózgu znacznie krótszą, bardziej bezpośrednią drogą, bez pośrednictwa uszu.

Mogę cię zabić.

- Po tym, jak cię naprawiłem? Wielokrotnie spotykałem się z niewdzięcznością, lecz takiej nawet nie jestem w stanie sobie wyobrazić.

Jego pierś zamknęła się, obejmując moją silnym uściskiem. Starłem się jak najprędzej wepchnąć nogi i ręce w przeznaczone dla nich miejsca. Gdybym zdążył wcześniej zzuć buty, nie miałbym z tym najmniejszych problemów, a tak byłem niemal pewien, że powyła mywałem sobie stopy w kostkach.

Nie masz do mnie żadnego prawa!

- Oczywiście, że mam. Zostałeś stworzony po to, by pomagać

ludziom, a ja jestem człowiekiem potrzebującym pomocy. Czyżbyś nie słyszał łopotu skrzydeł? Nie uwierzę, że istota tych rozmiarów porusza się swobodnie po statku za wiedzą i zgodą jego dowódcy.

Uwolnili zwierzęta.

-

Kto taki?

Wreszcie zdołałem wyprostować zdrową nogę. Z drugą powinno pójść mi łatwiej, ponieważ była sporo cieńsza, ale brakowało mi siły, by wepchnąć ją w metalową nogawkę, Dryfownicy.

Jakaś siła zgięła mnie w przód, jakbym zmagał się z niewidzialnym przeciwnikiem. Sidero usiadł, a zaraz potem wstał, dzięki czemu udało mi się bez trudu umieścić drugą nogę we właściwym miejscu, a także obie ręce, przy czym prawe ramię było całe chronione metalowym pancerzem, lewe natomiast wystawało z barku osłonięte jedynie rękawem koszuli.

- Tak lepiej - powiedziałem. - Zaczekaj chwilę.

On jednak natychmiast ruszył w górę po schodach, przeskakując po trzy stopnie na raz.

Zatrzymałem się, odwróciłem i cofnąłem na pomost.

Zabije cię za to.

- Za to, że wróciłem po nóż i pistolet? Moim zdaniem powinieneś się wstrzymać. Możliwe, że będziemy ich potrzebować.

Schyliłem się po broń. Pas zsunął się częściowo między metalowe pręty, ale wyostałem go bez najmniejszego trudu, po czym zapiąłem na biodrach, zostawiając nieco luzu, i przytroczyłem do niego zarówno nóż, jak i pistolet.

Zabieraj się stąd!

Narzuciłem opończę na ramiona.

- Może mi nie uwierzysz, ale ja także miałem kiedyś w sobie innych ludzi. Czasem bywa to przyjemne i użyteczne. Poza tym dzięki mnie odzyskałeś prawe ramię. Niedawno stwierdziłeś, że jesteś lojalny

wobec statku; ja również jestem wobec niego lojalny. Czy wobec tego powinniśmy tracić czas na...

Jakiś jasny kształt wypadł z kłębow białej mgły. Miał przezroczyste skrzydła przypominające skrzydła owadów, tyle że bardziej sprężyste od skrzydeł nietoperzy. Były tak ogromne, że spowiły pomost, na którym staliśmy niczym żałobny kir narzucony na katafalk.

Odzyskałem słuch; albo Sidero uruchomił obwody łączące jego uszy z moimi, albo był zanadto zajęty, żeby blokować ich działanie, Bez względu na to, jaka była tego przyczyna, nagle usłyszałem szum wiatru wywołanego uderzeniami tych potężnych skrzydeł oraz przeraźliwy świst rozcinanego powietrza, jakby stu kawalerzystów wymachiwało energicznie szablami.

Nawet nie zauważyłem, kiedy wyciągnąłem pistolet. Rozglądałem się rozpaczliwie w poszukiwaniu głowy, szponów albo jakiegoś innego, sensownego celu, do którego mógłbym wystrzelić, lecz nic takiego nie widziałem. Mimo to coś zniecka chwyciło mnie - nas - za nogi i podniosło równie łatwo, jak dziecko lalkę. Wypaliłem na oślep. W monstrualnym skrzydle pojawił się otwór (jakże był niewielki!) o osmolonych krawędziach.

Uderzyłem kolanami w poręcz, nacisnąłem ponownie spust i poczułem wyraźny swąd spalenizny.

Odniosłem wrażenie, że osmaliłem sobie własne ramię. Krzyknąłem z bólu. Sidero walczył ze skrzydlatą istotą bez udziału mojej woli. Dobył noża, a mnie przemknęła przez głowę niepokojąca myśl, że może to on zadał mi cios w odsłonięte ramię, bolesne pieczenie zaś wzięło się stąd, że słony pot zetknął się z otwartą raną. Chciałem już skierować w jego stronę pistolet, lecz w porę przypomniałem sobie, że przecież moja ręka jest teraz także jego ręką.

Ogarnął mnie taki sam strach, jaki odczuwałem jako Thecla w objęciach rewolucjonisty: walczyłem sam ze sobą, dążąc do samounicestwienia, nie wiedząc już, czy jestem Severianem czy Siderem, Thecla żywą czy Thecla martwą. Zawisłem głową w dół...

I runąłem w otchłań.

Nie sposób opisać mego przerażenia. Rozum podpowiadał mi, że w słabym przyciąganiu statku żaden upadek, nawet ze znacznej wysokości, nie może mieć fatalnych skutków; ba, przez chwile nawet wydawało mi się, że istotnie szybujemy z niewielką prędkością, lecz zaraz potem świst powietrza w moich - naszych - uszach przybrał na sile, a szare, pokryte wilgotnymi zaciekami ściany szybu wentylacyjnego poczęły umykać do góry w coraz szybszym tempie, aż w końcu zamieniły się w niewyraźne, rozmazane smugi.

Cóż za okropny, niezwykle sen. Śniło mi się, że podróżowałem ogromnym statkiem, który miał pokłady ze wszystkich stron, i że wszedłem do wnętrza metalowego człowieka. Teraz jednak wreszcie się obudziłem; leżałem na wznak na zimnym zboczu góry w pobliżu Thra-xu. widząc nad sobą dwie gwiazdy i wyobrażając sobie, że to oczy.

Całe prawe ramię piekło mnie tak, jakbym zanadto zbliżył je go ognia, ale tutaj nie było żadnego ognia, więc zapewne to, co czułem, było ukąszeniami mrozu. Valeria przeciągnęła mnie na miękką ziemię. Słyszałem bicie najpotężniejszego dzwonu z Wieży Dzwonów. Sama wieża wzniosła się na kolumnie ognia, by o świcie wylądować nad brzegiem Acis. Żelazne serce ogromnego dzwonu łomotało na skalnym pustkowiu, ono zaś odpowiadało mu wielokrotnym echem.

Dorcas odtwarzała nagranie opatrzone tytułem "Donośny dźwięk dzwonów zza sceny". Czy zdążyłem powiedzieć ostatnią kwestię? "Od dawna panuje przekonanie, że w przyszłości stare słońce umrze, niszcząc przy okazji Urth. Z jej grobu wyłonią się potwory, nowi ludzie, a także Nowe Słońce. Stara Urth rozkwitnie wtedy niczym motyl, który wydostał się z suchego kokonu, i stanie się Nową Urth, zwaną Ushas". Cóż za fanfaronada! PROROK, wychodzi.

Za kulisami czekała na mnie skrzydlata kobieta z książki ojca Inire. Klasnęła tylko raz, niczym wielka dama przyzywająca służącą. Kiedy rozłożyła ręce, między nimi pojawił się punkcik białego światła, żywego i gorącego. Odniosłem wrażenie, że to moja twarz i że spoglądam na nią przez otwory wycięte w nieruchomej masce.

- Znajdź następnego... - wyszeptał mymi opuchniętymi ustami stary Autarcha, który co prawda żył w moim umyśle, ale niezmiernie

rzadko zabierał głos.

Dopiero po kilkunastu bolesnych oddechach pojąłem znaczenie jego słów: nadszedł czas, by oddać to ciało we władanie śmierci.

nadeszła pora, byśmy wszyscy - Severian, Thecla, on sam, a także pozostali, ukryci w jego cieniu - uczynili krok w kierunku najgłębszej ciemności, jaką można sobie wyobrazić. Nadeszła pora. by znaleźć kogoś innego.

Leżał między dwiema wielkimi maszynami, już wcześniej zbryzganymi jakąś ciemną cieczą.

Pochyliłem się nad nim, mało nie tracąc równowagi, by wyjaśnić mu, co powinien uczynić.

Ale on był już martwy. Dotknąłem policzka przeciętego ukośną blizną, lecz nie wyczułem ciepła.

Noga, na którą utykał, złamała się jak suchy patyk; z otwartej rany sterczały białe odłamki kości.

Zamknąłem mu powieki.

Usłyszałem czyjeś pospieszne kroki, ale zanim biegnący człowiek zdążył do mnie dotrzeć, ktoś inny pochylił się, ukląkł, podłożył rękę pod moją głowę. Dostrzegłem błyszczące oczy, zarośniętą twarz, poczułem krawędź kubka przy ustach.

Wypiłem nieduży łyk. Liczyłem na wino. lecz była to chłodna, cudownie orzeźwiająca woda, smaczniejsza od najlepszego wina.

- Severianie! - rozległ się głęboki kobiecy głos i ujrzałem dru giego, potężnie zbudowanego marynarza. Dopiero po chwili zorientowałem się, że to kobieta. - Nic ci nie jest! My wszyscy... To znaczy.

bałam się...

Umilkła, nie mogąc znaleźć właściwych słów, za to pocałowała mnie w usta. Kiedy to uczyniła, zarośnięta twarz pocałowała nas oboje, lecz ten pocałunek, w przeciwieństwie do pocałunku kobiety, trwał bardzo krótko.

Gunnie... - wykrztusiłem na wpół uduszony, kiedy wreszcie

pozwoliła mi odetchnąć.

Jak się czujesz? Byliśmy przekonani, że zginąłeś.

Ja także. - Usiadłem, ale na razie nie mogłem pokusić się o nic więcej. Bolało mnie całe ciało, najbardziej chyba głowa, prawe ramię piekło zaś tak, jakbym wsadził je do ognia. Z rękawa koszuli zostały tylko strzępy, dzięki czemu mogłem się przekonać, że skórę mam posmarowaną jakąś żółtą maścią. - Co się właściwie stało?

— - Musiałeś spaść z pomostu. W każdym razie znaleźliśmy cię tu, na dole, a raczej Zak cię znalazł. - Ruchem głowy wskazała brodatego karła, który podał mi kubek z wodą. - Zaraz pobiegł po mnie.

Wcześniej zostałeś porażony.

- Porażony?

- Powstało zwarcie, a ty stałeś gdzieś w pobliżu i trafił cię łuk elektryczny. Mnie też zdarzyło się coś takiego. Spójrz! - Rozchyliła dekolt szarej roboczej bluzy, odsłaniając mocno zaczerwienioną skórę między piersiami. Oparzone miejsce było posmarowane taką samą żółtą maścią. - Pracowałam wtedy przy generatorze. Kiedy to się stało, posłali mnie do ambulatorium, a tam zrobiono mi opatrunek.

Dostałam też jedną tubkę maści na zapas, chyba dlatego Zak przy prowadził właśnie mnie... Ale zdaje się, że ty masz teraz pod dostatkiem własnych problemów.

- Chyba tak.

Wygięte ściany zaczęły wirować w powolnym, dostojnym tańcu niczym czaszki, które kiedyś już płały wokół mnie w podobny sposób.

- Połóż się, a ja poszukam czegoś do jedzenia. Na wszelki wypa dek Zak będzie miał oko na dryfowników, ale oni z reguły nie zapusz czają się tak głęboko.

Czułem, że powinienem zadać jej co najmniej sto pytań, lecz znacznie silniejsze było pragnienie, żeby położyć się i zasnąć, naturalnie jeśli ból na to pozwoli. Zapadłem w sen tak szybko, że nawet nie zdążyłem zdać sobie z tego sprawy.

Gunnie wróciła z miską i łyżką.

- Zjedz to.

Potrawa przypominała smakiem spleśniały chleb rozgotowany w mleku, ale była ciepła i sycąca. Prawie opróżniłem miskę, po czym znowu zasnąłem.

Obudziwszy się po raz kolejny stwierdziłem, że czuje się nieco lepiej, choć nadal byłem mocno obolały. Brakowało mi kilku zębów, miałem rozbite usta, na czole guz wielkości gołębiego jaja, a skóra na prawym ramieniu zaczęła pękać, mimo kojącego działania maści. Mi-nęło ponad dziesięć lat od chwili, kiedy po raz ostatni dostałem tęgie lanie od misirza Gurloesa albo od któregoś z czeladników; wtedy dość łatwo potrafiłem zapanować nad bólem, teraz sprawiało mi to sporo problemów.

Usiłowałem oderwać myśli od przykrych doznań rozglądając się dokoła. Leżałem nie w kajucie, lecz jakby w zakamarku jakiegoś gigantycznego mechanizmu, jednym z tych miejsc, gdzie całkiem niespodziewanie pojawiają się dawno zagubione przedmioty, tyle że powiększonym wiele razy. Pochyły sufit w najwyższym miejscu dzieliła od podłogi odległość około dziesięciu łokci, nie było drzwi, które chroniłyby przed odwiedzinami nieproszonych gości.

Spozycywałem na stercie czystych szmat w kącie naprzeciwko szerokiego wejścia. Usiadłem, by dokładniej przyjrzeć się pomieszczeniu, a wtedy z cienia wyłonił się brodaty karzeł o imieniu Zak i przysiadł na piętach obok mnie. Nic nie powiedział, lecz jego postawa oraz sposób, w jaki na mnie patrzył, świadczyły o tym, że niepokoi go stan mego zdrowia.

- Nie obawiaj się, nic mi nie jest - uspokoiłem go, a on od razu wyraźnie się odprężył.

Światło docierało wyłącznie przez otwór wejściowy. Przyjrzawszy się memu pielęgniarzowi stwierdziłem, że chyba nie jest karłem, lecz po prostu wyjątkowo niskim mężczyzną - to znaczy, nie zauważyłem żadnej rażącej dysproporcji w rozmiarach tułowia i kończyn. Twarz nie wyróżniała się niczym szczególnym, jeśli pominąć fakt, że opadała na nią strzecha zmierzwionych włosów, a porośnięta była bujną brodą i wąsami, które chyba nigdy nie widziały nożyczek. Mężczyzna miał niskie czoło, spłaszczony nos i cofnięty podbródek (przyznam, iż w kwestii podbródka musiałem w znacznej mierze oprzeć się na domysłach), ale takie rysy ma przecież wielu ludzi. Powiniennem dodać, iż jego płęć nie budziła najmniejszych wątpliwości, ponieważ był kompletnie nagi. Kiedy jednak pochwycił moje spojrzenie skierowane w okolice jego krocza, wziął jedną ze szmat i zawiązał ją sobie wokół bioder jak fartuch.

Nie bez wysiłku wstałem z pośłania i wyruszyłem na obchód pomieszczenia. Zak błyskawicznie zerwał się na nogi, wyprzedził mnie, po czym zagroził dostęp do wyjścia. Kiedyś miałem okazję obserwować, jak służący próbuje uspokoić podochoconego winem

arystokratę; widok Zaka stojącego w otworze wejściowym przywiódł mi na myśl właśnie tamtego biedaka, który starał się być grzeczny i pełen szacunku, a jednocześnie swoją postawą dawał do zrozumienia, że użyje wszelkich środków, aby osiągnąć zamierzony cel.

W moim przypadku nie byłoby to konieczne, ponieważ byłem zanadto osłabiony, a w dodatku daleki od beztroskiego, zuchowatego nastroju, który czasem każe nam walczyć z przyjaciółmi, jeśli akurat, w zasięgu ręki nie ma żadnego wroga. Zatrzymałem się, a wówczas Zak wskazał na zewnątrz, po czym w łatwym do zrozumienia geście przesunął palcem w poprzek szyi.

- Powiadasz, że tam nie jest zbyt bezpiecznie? - zapytałem. - Prawdopodobnie masz rację. W porównaniu z tym statkiem niejedno pole bitwy, jakie widziałem, przypomina park miejski. W porządku, nie wyjdę stąd, jeśli sobie tego nie życzysz.

Ze względu na rozbite usta miałem spore kłopoty z mówieniem, ale chyba mnie zrozumiał, gdyż uśmiechnął się pogodnie.

Wycelowałem palec w jego stronę.

- Zak?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej i skinął głową. Dotknąłem swojej piersi. -

Severian.

- Severian!

Tym razem roześmiał się głośno, pokazując nieduże, ostre zęby, po czym odtańczył krótki taniec radości. Następnie wziął mnie za rękę i zaprowadził z powrotem na stertę łachmanów.

Choć jego ręka była brązowa, to w półmroku zdawała się jarzyć fosforyzującym blaskiem.

Rozdział X

Interludium

Całkiem nieźle rąbnałeś się w głowę - stwierdziła Gunnie.

Siedziała obok mnie obserwując, jak zajadam gulasz.

Wiem.

Właściwie powinnam zaprowadzić cię do izby chorych, ale na razie jest zbyt niebezpiecznie. Nikt nie powinien znać miejsca twojego pobytu.

Skinąłem głową.

- A już na pewno ja sam. Chciało mnie zabić co najmniej dwóch ludzi. Przypuszczalnie było ich trzech, a całkiem możliwe, że czterech.

Popatrzyła na mnie w taki sposób, jakby podejrzewała, że od doznanego wstrząsu pomieszało mi się w głowie.

Mówię całkiem poważnie. Jedną z nich była twoja przyjaciółka Idas. Już nie żyje.

Masz, napij się trochę wody. Chcesz powiedzieć, że Idas był

kobietą?

Owszem. Raczej dziewczyną.

I ja miałabym się nie zorientować? - Na czole Gunnie pojawiła się głęboka zmarszczka. - Czy ty aby nie zmyślasz?

To bez znaczenia. Istotne jest tylko to, że chciała mnie zamor dować.

Ale ty go... to znaczy, ją zabiłeś?

Nie. Popełniła samobójstwo. Został jeszcze co najmniej jeden, może dwóch albo trzech. Kiedy wspomniałaś o niebezpieczeństwie, miałaś na myśli kogoś innego. Wydaje mi się, że chodzi ci o ludzi, o których mówił Sidero. Nazwał ich dryfownikami. Kim oni są?

Ucisnęła kąciki oczu kciukiem i palcem wskazującym w geście stanowiącym kobiecej odpowiednik drapania się po głowie.

- Nie mam pojęcia, jak ci to wytłumaczyć. Nie wiem nawet, czy sama to rozumiem.

- Spróbuj, proszę. To może okazać się bardzo ważne.

Zak, najwyraźniej zaintrygowany nutą niepokoju w moim głosie, oderwał się na chwilę od zadania, które sam sobie wyznaczył, a które polegało na trzymaniu straży przy wejściu i wypatrywaniu

ewentualnych intruzów, i posiał mi zatroskane spojrzenie.

-

Wiesz, w jaki sposób żegluje ten statek? - zapytała Gunnie. - -

W głąb Czasu i z powrotem, a niekiedy na kraniec wszechświata lub nawet dalej.

Skinąłem głową, zajęty wyskrobywaniem z miski resztek posiłku.

- Nie wtem, jak liczna jest załoga. Może wyda ci się to dziwne, ale naprawdę nie wiem. Statek jest taki ogromny... Kapitan nigdy nie zwołuje nas wszystkich w jedno miejsce. Minęłoby parę dni, zanim zdołalibyśmy tam dotrzeć, a w tym czasie nie byłoby komu zająć się obsługą urządzeń.

Rozumiem.

Podpisujemy kontrakt, oficer wyznacza nam stanowisko i już tam zostajemy. Z czasem poznajemy tych, którzy pracują razem z nami, ale wielu nigdy nawet nie oglądamy na oczy. Na statku są setki, może nawet tysiące takich forkaszteli jak ten. w którym mam kabinę.

- Pytałem o dryfowników - przypomniałem jej.

-

Właśnie staram się opowiedzieć ci o nich. Statek jest tak wielki, że bez trudu można się na nim zgubić, nawet na zawsze. Myślę o najprawdziwszym "na zawsze", bo podczas podróży często dzieją się różne dziwne rzeczy z czasem. Niektórzy służą tak długo, że wreszcie umierają, ale inni służą jeszcze dłużej, a nawet się nie zestarzejają, tylko odkładają coraz więcej pieniędzy, aż wreszcie statek zatrzymuje się na ich rodzinnej planecie i okazuje się, że tam minęło zaledwie parę tygodni albo miesięcy. Schodzą wtedy na ląd i są bogatymi ludźmi.

Inni starzeją się. by później nie wiadomo czemu odmłodnieć. - Umilkła na chwilę, po czym dodała takim tonem, jakby obawiała się mojej reakcji: - Tak właśnie było ze mną.

- Wcale nie jesteś s ta ra. Gunnie - zapewniłem ją z godnie z prawdą.

Ujęła moją lewą rękę i położyła sobie na czole.

Tutaj. Severianie. Tu jestem bardzo stara. Tyle już przeżyłam, że chciałabym o wszystkim zapomnieć. Nie tylko po prostu zapomnieć: chciałabym tam, w głowie, także odmłodnieć. Zapomnieć można bardzo łatwo, nadużywając alkoholu albo narkotyków, a le wtedy nie zmienia się sposobu myślenia.

Rozumiesz, o co mi chodzi?

Bardzo dobrze - odparłem, biorąc ją za rękę.

Ponieważ takie rzeczy y zdarzają się dość często, a marynarze wiedzą o nich i opowiadają, komu się da. Nawet jeśli nikt im za bardzo nie wierzy, na statek zgłaszają się także ludzie, którzy nie są żeglarzami i wcale nie chcą pracować. Trzymają się razem i robi ich się coraz więcej, bo dołączają do nich marynarze ukarani za różne przewinienia a lbo tacy, którzy odmówili wykonania rozkazów. Stała się wtedy dryfownikami, bo to właśnie dzieje się niekiedy z łodzią, która wbrew woli sternika wykona niewłaściwy zwrot: staje w dryf.

Rozumiem - powtórzyłem.

Część z nich wyszukuje jakieś ustronne miejsce, na przykład takie jak to, i żyje spokojnie, nie wadząc nikomu. Część wędruje po całym statku, kradnie, napada i wywołuje awantury. Od czasu do czasu zaglądną do którejś mesy i opowiadają niestworzone historie; jeśli jest ich wielu, po prostu udajemy, że są z wyklętymi członkami załogi. Kiedy się najedzą, zazwyczaj odchodzą spokojnie, nie czyniąc żadnych zniszczeń.

Wynika z tego, że to zwyczajni marynarze, którzy zbuntowali się przeciwko kapitanowi - zauważyłem. Celowo wspomniałem o tym, ponieważ miałem zamiar zapytać ją również o niego.

Gunnie pokręciła głową.

- Wcale nie. To znaczy nie zawsze. Członkowie załogi rekrutują się spośród mieszkańców różnych planet, galaktyk, a może na wet wszechświatów. Ten, kto dla ciebie albo dla mnie jest zwykłym marynarzem, komuś innemu może wydać się zdumiewającą istotą. Pochodzisz z Urth.

prawda?

-

Tak.

- Ja też, tak samo jak większość załogi w tej części statku. Umieścili nas razem, bo posługujemy się tym samym językiem i myślimy w podobny sposób, ale w innych forkasztelach mieszkają stworzenia.

na których widok włosy zjeżyłyby ci się na głowie.

Do tej pory lubiłem myśleć o sobie jako o kimś, kto wielokrotnie podróżował - powiedziałem, uśmiechając się w duchu. - Teraz widzę, że wcale tak nie jest.

Potrzebowałbyś kilku dni tylko na to, żeby wyjść poza czesę

—

statku zamieszkaną przez istoty mniej lub bardziej podobne do mnie i do ciebie.

Dryfownicy, którzy bez przerwy przenoszą się z miejsca na miejsce, mają do czynienia z najróżniejszymi stworzeniami. Czasem z nimi walczą, czasem zaś łączą się w mieszane bandy.

Zdarza się również, że kobieta rodzi dziecko ze związku z nieczłowiekiem, na przykład kimś takim jak Idas, ale podobno te dzieci nie mogą mieć własnego potomstwa.

Spojrzała znacząco na Zaka.

- On jest właśnie kimś takim? - zapytałem szeptem.
- Tak mi się wydaje. Znalazł cię i wezwał mnie na pomoc, więc pomyślałam sobie, że mogę zostawić go z tobą, żeby cię strzegł. Co prawda nie potrafi mówić, ale chyba nie wyrządził ci krzywdy?
- Skądże znowu - odparłem. - Zachowywał się bardzo przyja

źnie. Posłuchaj, Gunnie: w odległej przeszłości ludzie z Urth po dróżowali między słońcami. Większość z nich wracała do domu, ale byli i tacy, którzy zostawali na odległych planetach, ich potomstwo zaś z biegiem czasu przystosowywało się do warunków, jakie tam panowały. Mędrcy z Urth dobrze wiedzą, że każdy kontynent wpływa w jakiś sposób na tych, co na nim mieszkają; wystarczy pięćdziesiąt pokoleń, by przybysze całkowicie upodobnili się do autochtonów.

Oddziaływanie odległych planet musi być jeszcze silniejsze, ale bez względu na to, jak wielkie są zmiany zewnętrzne, ludzie zawsze pozostaną ludźmi.

- Nigdy nie mów "z biegiem czasu" - upomniała mnie Gunnie. -

Jeszcze o tym nie wiesz, ale czas potrafi pędzić jak szalony, by nagle, nie wiedząc czemu, stanąć w miejscu albo zacząć się cofać... Severianie, wyglądasz na bardzo zmęczonego. Czy nie chciałbyś się położyć?

- Tylko wtedy, jeśli ty zrobisz to samo - odparłem. - Musisz być równie zmęczona jak ja, albo bardziej, bo przecież szukałaś jedzenia i lekarstw. Połóżmy się, a ja chętnie posłucham jeszcze o dryfownikach.

W rzeczywistości czułem się już na tyle dobrze, że korciło mnie, by objąć ją, a nawet spróbować się z nią kochać. Gunnie należała do tych kobiet - spotyka się je na każdym kroku - które uwielbiają mówić: należy im na to pozwolić, a wtedy są spore szanse na zyskanie ich przychylności.

Ułożyła się obok mnie na postaniu ze szmat.

- Powiedziałaś ci już wszystko, co o nich wiem. Są wśród nich zbuntowani marynarze, a także ich dzieci, które urodziły się na statku i były wychowywane w ukryciu tak długo, aż dorosły na tyle, by móc walczyć. Pamiętasz znajkę, którego schwytaliśmy?

- Oczywiście.
- Zdecydowana większość znajd to zwierzęta, ale nie wszystkie.

Czasem trafiają się ludzie, a część z nich zdąży skryć się pod pokładem, zanim umrą z zimna i braku

powietrza. - Zachichotała cicho. - Wy obrażasz siebie, jak bardzo zdziwieni są ci, którym nagle znikli sprzed oczu? Szczególnie jeśli pełnili jakieś ważne funkcje.

Nieczęsto zdarza się słyszeć chichoczącą kobietę tak potężnej postury. Ja, który bardzo rzadko się śmieję, tym razem nie zdołałem powstrzymać uśmiechu.

- Podobno część ludzi-znajd to wcale nie znajdy, tylko pasażerowie na gapi, którzy dostali się na statek podczas załadunku albo w jakiś inny sposób. Zdarzają się wśród nich przestępcy uciekający przed wymiarem sprawiedliwości. Bywa też, że trafiają na pokład jako zwierzęta, chociaż są ludźmi, ale na planecie, na której mieszkali, byli traktowani jak bydło. Nas spotkałby tam taki sam los.

Jej włosy, które prawie dotykały mojej twarzy, miały intensywny zapach, z pewnością nienaturalny.

Domyśliłem się, że przed powrotem do naszej kryjówki Gunnie użyła perfum.

Niektórzy nazywają ich milczkami, ponieważ wielu w ogóle nie mówi. To znaczy, zapewne mają jakiś własny język, ale z nami w ogóle nie rozmawiają, a kiedy któregoś złapiemy, porozumiewamy się z nim na migi. Sidero twierdzi, że to właśnie oni stanowią największe zagrożenie dla statku.

Skoro już mowa o Siderze: czy zauważyłaś go gdzieś w pobliżu.

kiedy Zak przyprowadził cię na dno szybu?

Nie. Nie było tam nikogo oprócz ciebie.

Znalazłaś może mój pistolet albo nóż, który dostałem od ciebie przy naszym pierwszym spotkaniu?

Też nie. Miałaś je przy sobie przed upadkiem?

Miał je Sidero. Liczyłem na to, że okaże się na tyle uczciwy, by mi je zwrócić, ale chyba powinienem być zadowolony, że mnie nie zabił.

Gunie pokręciła energicznie głową, a ponieważ jej głowa spoczywała na szmatach bardzo blisko mojej, poczułem dotknięcie pełnego, ciepłego policzka.

Na pewno by tego nie zrobił. To prawda, czasem bywa dość

brutalny, ale jeszcze nie słyszałam, żeby kogokolwiek zabił.

Chyba uderzył mnie, kiedy leżałem nieprzytomny, bo nie wyobrazam sobie, w jaki inny sposób mógłbym dorobić się rozbitych ust.

Wspominałem ci już, że wszedłem do jego wnętrza?

Odsunęła się, by spojrzeć na mnie ze zdumieniem.

- Naprawdę? Potrafisz to zrobić?

□ Tak. Nie był szczególnie zachwycony, ale chyba został skon struowany w taki sposób, że nie mógł wyrzucić mi krzywdy, jak długo byłem przytomny. Po upadku zapewne otworzył się i wyciągnął mnie jedną ręką. Mam szczęście, że nie połamał mi nóg, ale widocznie nie zdołał nad sobą zapanować i uderzył mnie w twarz. Zabiję go za to, kiedy się znowu spotkamy.

□ Przecież to tylko maszyna - powiedziała łagodnie Gunnie, wsuwając rękę pod resztki mojej koszuli.

- Dziwię się, że o tym wiesz. Sądziłem, że uważasz go za człowieka.

- Mój ojciec był rybakim, więc w dzieciństwie wiele pływałam na łodziach. Każda z nich miała imię, wymalowane na dziobie oczy, a często zachowywała się niemal jak żywy człowiek, ale to nie znaczyło, że nim była. Wśród rybaków trafia się wielu niespełna rozumu, lecz mój ojciec powiadał, że łatwo ich odróżnić: jeśli doszli do wniosku, że nie są zadowoleni z łodzi, zatapiali ją, zamiast sprzedać komuś innemu. Każda łódź ma duszę, ale trzeba czegoś więcej, żeby stać się człowiekiem.

- Czy twój ojciec nie sprzeciwiał się, kiedy postanowiłaś zamustrować się na statek?

- Utonął dużo wcześniej. Wszyscy rybacy toną. Moja matka umarła z rozpacz. Od tamtej pory wiele razy byłam na Urth, ale nigdy wtedy, kiedy jeszcze żyli.

- Czy pamiętasz z dzieciństwa, kto był wtedy Autarchą?

- Nie. Te sprawy zupełnie nas nie obchodziły.

Rozpłakała się. Próbowałam ją pocieszyć, co bardzo łatwo mogło doprowadzić do znacznie poważniejszych następstw, ale chociaż pieściliśmy się, nie doszło między nami do zbliżenia, częściowo ze względu na oparzenia pokrywające większą część jej klatki piersiowej i brzucha, a częściowo dlatego, że moje myśli wciąż wracały uparcie do wspomnień o Valerii.

- To chyba cię nie bolało, prawda? - zapytała wreszcie.

- Wcale - odparłem. - Dlatego tym bardziej mi przykro, że zadałem ci ból.

- Nic takiego nie zrobiłeś.

- Owszem, zrobiłem. To ja strzeliłem do ciebie w korytarzu przed moją kajutą. Oboje doskonale o tym wiemy.

Błyskawicznie sięgnęła po sztylet, zapomniawszy widocznie, że rozbierając się odpięła pas, do którego był przytroczony, i położyła razem z ubraniem kilka kroków od posłania.

- Idas powiedziała mi, że wynajęła marynarza, który miał jej pomóc w pozbyciu się ciała stewarda.

Odniosłem wrażenie, jakby zawahała się lekko, opowiadając mi o tym. Pracowałyście w tym samym zespole, a choć nie wiedziałas, że Idas jej kobietą, było całkiem naturalne, że ona zwróci się z prośbą o pomoc właśnie do kobiety, chyba że miałyby kochanka, któremu mogła zaufać.

Kiedy się domyśliłeś? - zapytała szeptem Gunnie. Nie słyszałem pochlipywania, ale kątem oka dostrzegłem, jak po jej policzku spływa samotna łza, duża i okrągła jak ona sama.

- Prawie od razu, jak tylko przyniosłaś mi tę papkę. Moje ramię uległo poparzeniu przez soki trawienne latającej istoty, ponieważ tylko ono nie było chronione pancerzem Sidera. Powiedziałaś mi, że zostałaś trafiona wyładowaniem energii, ale gdyby tak było, poparzenia obejmowałyby całe twoje ciało, a już na pewno twarz i ręce, bo te z pewnością nie były ukryte pod ubraniem.

Umilkłem na chwilę, sądząc, że będzie chciała coś powiedzieć, ale ona milczała jak zaklęta.

Zawołałem w ciemności, lecz nikt mi nie odpowiedział - ciągnąłem. - Wtedy wystrzeliłem z pistoletu ustawionego na minimalną moc, żeby cokolwiek zobaczyć. Trzymałem go na wysokości ramienia, ale lufa była skierowana lekko w dół, więc trafiłem cię w okolice brzucha. Teraz, kiedy spałem, wyruszyłaś na poszukiwanie Idas, żeby sprzedać jej mnie za kolejne chrisos. Nie znalazłaś jej jednak, ponieważ ona nie żyje, a jej ciało leży w mojej kajucie.

- Chciałam ci wtedy odpowiedzieć - przemówiła wreszcie.

Idas uprzedził mnie jednak, że musimy utrzymać całą rzecz w tajemnicy.

Wiedziałaś tylko tyle, że zgubiłeś się w ciemności, ale przypuszczałam.

że lada chwila zrobi się jasno. Jednak właśnie wtedy Idas przyłożył mi nóż do gardła. Stał tuż za mną, więc nic mu się nie stało, kiedy strzeliłeś, bo zasłaniałam go własnym ciałem.

- Bez względu na to, jak było naprawdę, chcę, abyś wiedziała, że przeszukując jej ubranie znalazłem dziewięć chrisos. Włożyłem je do kieszonki przy pochwie noża, który znalazłaś. Sidero ma teraz zarówno ten nóż, jak i mój pistolet. Jeśli pomożesz mi je odzyskać, złoto będzie twoje. Naturalnie oprócz tego możesz także liczyć na moją wdzięczność.

Gunnie nie odezwała się ani słowem. Po pewnym czasie udałem, że zasypiam, choć w rzeczywistości obserwowałem ją spod przymkniętych powiek, pełen obaw, czy mimo wszystko nie zechce się ze mną rozprawić. Ona jednak wstała po cichu, ubrała się, po czym dała kroka nad śpiącym Zakiem i znikła w korytarzu. Czekałem dość długo, ale nie wracała, więc w końcu zasnąłem naprawdę.

Rozdział XI

Potyczka

Byłem pogrążony w czeluści snu, a jednak jakaś cząstka mego umysłu wciąż czuwała, zawieszona w otchłani nieświadomości zamieszkaney przez nie narodzonych, a także przez wielu spośród tych, co umarli.

Czy wiesz kim jestem?

Wiedziałem, choć nie miałem pojęcia skąd.

-

Jesteś kapitanem.

I kim jeszcze?

- Nie rozumiem, mistrzu - odparłem, gdyż z niewiadomego powodu poczułem się znowu jak uczeń.

Kto jest kapitanem tego statku?

- Nie wiem, mistrzu.

Jestem twoim sędzią. Ten rozkwitający wszechświat został oddany mi pod opiekę. Nazywam się Tzadkiel.

- Mistrzu, czy sąd nade mną już się rozpoczął?

Nie. To mnie będą już niedługo sądzić, nie ciebie. Jesteś królem i wojownikiem, Severianie.

Czy zgodzisz się walczyć za mnie, z własnej i nieprzymuszonej woli?

-

Chętnie, mistrzu.

Odpowiedziało mi tylko echo. "Mistrzu... mistrzu... mistrzu..." Słońce umarło, ja zaś zostałem zupełnie sam w lodowatej ciemności.

-

Mistrzu! Mistrzu!

Zak szarpał mnie za ramię.

Usiadłem na posłaniu. Czyżby mój brodaty przyjaciel dysponował większym zasobem słownictwa,

niż mi się początkowo wydawało?

- Cicho bądź, już nie śpię.
- Cicho bądź! - powtórzył jak papuga.
- Czyżbym mówił przez sen? Chyba tak, skoro zapamiętałeś tamto słowo. Pamiętam, że...

— Umilkłem, ponieważ Zak przyłożył rękę do ucha. Wyteżyłem słuch, a po chwili dotarły do mnie wrzaski, jęki i sapania - łatwe do rozpoznania odgłosy walki. Ktoś głośno wykrzyknął moje imię.

Zak zareagował szybciej ode mnie; nie tyle wybiegł, co wyskoczył na korytarz, szybując równolegle do podłogi. Ruszyłem za nim, ale kiedy po zderzeniu ze ścianą korytarza o mało nie połamałem sobie rąk, zacząłem poruszać się tak jak on, to znaczy długimi, bardzo długimi susami, obracając się w ostatniej chwili i wyhamowując impet nogami.

Minęliśmy jeden zakręt, drugi, a potem ujrzelśmy kłębowisko walczących ludzi. Skoczyłem w sam środek zamieszania, nie wiedząc, kto jest po naszej stronie, ani nawet, czy w ogóle jest coś takiego jak

“nasza strona”.

Natychmiast rzucił się na mnie jakiś marynarz z nożem w lewej ręce. Zrobiłem unik, po czym pchnąłem go na ścianę, a wtedy okazało się, że to Purn.

Nie było czasu ani na przeprosiny, ani na pytania. Olbrzym w stroju koloru indygo spróbował wbić mi nóż w pierś. Z całej siły rąbnałem go w przegub, a zaraz potem dostrzegłem drugie ostrze, które ścisnął w lewej ręce. Było już za późno na jakąkolwiek reakcję, tym bardziej że dwaj spleceni w uścisku żeglarze wpadli na mnie od tyłu; straciłem równowagę i mogłem tylko obserwować bezsilnie, jak srebrzysty ne-nufa r śmierci unosi się. by zaraz opaść i z wielką siłą zagłębić się w moje serce.

Nie opadł, zupełnie jakby specjalnie dla mnie zawieszono na jakiś czas działanie praw natury. Ramię olbrzyma odginało się coraz bardziej do tyłu. a on razem z nim, w pewnej chwili rozległ się donośny trzask pękającego kręgosłupa, mój niedoszły zabójca wrzasnął zaś przeraźliwie i osunął się na podłogę korytarza.

Co prawda miał ogromną rękę, lecz na szczęście wystawały z niej zarówno gałka, jak i osłona rękojeści sztyletu; chwyciłem za nie oburącz, wyrwałem mu broń, po czym wbiłem mu ostrze w serce.

Ucze-piony jego ramienia Zak w taki sam sposób zdobył drugi sztylet.

Każdy z nich dorównywał rozmiarami krótkiemu mieczowi i za ich pomocą udało nam się narobić sporo szkód. Z pewnością dokonałbym jeszcze więcej, gdyby nie to, że musiałem interweniować w

obronie Zaka, którego jeden z żeglarzy wziął za dryfownika.

Walki takie jak ta kończą się równie szybko, jak zaczynają. Najpierw ucieka jeden, potem drugi, wkrótce zaś inni muszą pójść w ich ślady, bo jest ich za mało, żeby się bić dalej. Tak właśnie stało się z nami. Jakiś długowłose dryfownik o zębach jak smilodon usiłował wytrącić mi sztylet z ręki uderzeniem stalowej maczugi; zadałem mu cios w ramię, chlasnąłem przez szyję... i nagle uświadomiłem sobie, że zostałem na polu bitwy sam z Zakiem. Obok mnie przemknął

chyłkiem jeden z marynarzy, trzymając się za krwawiącą rękę. Zgarnąłem Zaka i popędziłem za nim.

Nawet jeśli nas ścigano, to bez nadmiernego zapału. Zbiegliśmy po krętych schodach do wielkiej hali, zastawionej

milczącymi

maszynami,

potem jeszcze niżej, do

mniejszego

pomieszczenia,

przypominającego trochę warsztat. Zastaliśmy tam pięciu marynarzy, którzy jęcząc, wzdychając i klnąc na czym świat stoi opatrywali sobie rany.

Kim jesteś? - spytał jeden z nich, zamierzając się sztyletem.

Ja go znam - powiedział Purn. - To pasażer.

Prawą rękę miał owiniętą zakrwawionym bandażem.

A ten?

Marynarz uzbrojony w sztylet wskazał na Zaka.

Dotknij go palcem, a zginiesz - ostrzegłem go.

Nie wygląda na pasażera.

Nie musimy się przed wami tłumaczyć. Jeśli wątpicie, że we dwóch dalibyśmy radę waszej piątce, możemy zaraz to sprawdzić.

Wystarczy, Modan - odezwał się jeden z żeglarzy zachowują

cych do tej pory milczenie. - Jeśli sieur ręczy za niego słowem...

Oczywiście.

To nam w zupełności wystarczy. Widziałem, jak zabijaliście dryfowników. W jaki sposób możemy się wam odwdziżyć?

Wyjaśniając, dlaczego dryfownicy starali się wam zabić. Wiem, że jest ich sporo na statku, ale nie wierzę, by wszyscy byli aż tak agresywni.

Twarz marynarza, jeszcze przed chwilą otwarta i szczerą, przeistoczyła się w nieruchomą maskę, choć jej wyraz właściwie nie uległ zmianie.

-

Obiło mi się o uszy, sieur, że kazano im odszukać i zamordować kogoś, kto wszedł na statek na początku tej podróży, ale nie mogą go znaleźć. Tylko tyle słyszałem. Jeśli ty wiesz coś więcej, sieur, to znaczy, że jesteś dużo mądrzejszy ode mnie, jak powiedział wieprz rzeźnikowi.

-

Kto wydał im ten rozkaz?

Odwrócił się bez słowa. Spoglądałem kolejno na pozostałych, aż wreszcie Purn zdecydował się udzielić mi odpowiedzi.

- Nie wiemy. Nawet jeśli mają swojego dowódcę, to do tej pory nigdy o nim nie słyszeliśmy.

Rozumiem. Chciałbym porozmawiać z oficerem - nie takim

jak Sidero, lecz prawdziwym, wyższej rangi.

My też, sieur, może pan nam wierzyć - powiedział marynarz

o imieniu Modan. - Myślisz może, że to my na nich napadliśmy?

Naprawialiśmy uszkodzenie, a oni zaatakowali nas zniemacka. Nie ma mowy, żebyśmy tam wrócili; chyba że dostaniemy broń albo

ochronę.

Pozostali energicznie skinęli głowami.

- Ale chyba wiecie, gdzie najłatwiej spotkać oficera?

Modan wzruszył ramionami.

- Na dziobie albo na rufie, sieur. Tak mi się przynajmniej wydaje. Zazwyczaj tam właśnie się kręca, bo stamtąd najlepiej się steruje

i prowadzi obserwacje. Na dziobie albo na rufie, powiadam.

Przypomniałem sobie, że podczas mojej szaleńczej wędrówki między masztami wylądowałem w końcu na bukszprycie.

- Czy my przypadkiem nie jesteśmy blisko dziobu?

- Zgadza się, sieur.

Wobec tego którędy mam iść, żeby dotrzeć jeszcze dalej na przód statku?

- Tędy - odparł, wskazując mi drogę. - Prosto za nosem, jak

powiedziała słoniowi pewna małpa.

- Czy nie mógłbyś udzielić mi bardziej precyzyjnych wskazówek?

- Mógłbym, sieur, ale to nie byłoby po męsku. Czy chcesz usłyszeć ode mnie dobrą radę?

- Właśnie na coś takiego czekam.

- Zostań z nami, dopóki nie dotrzemy w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Prędzej czy później na pewno spotkamy jakiegoś oficera. Jeśli pójdziesz sam, dryfownicy na pewno cię zabiją.

Idź prosto korytarzem, pierwszymi schodami na górę, znowu prosto, aż dotrzesz do następnego korytarza, znacznie szerszego od innych - powiedział Purn.

Dziękuję. - Skinąłem na brodatego druha. - Chodź, Zak.

Kiedy wyszliśmy z pomieszczenia, zarośnięty mężczyzna wskazał ruchem głowy za siebie i wymamrotał:

Zły człowiek.

Wiem o tym. Musimy szybko znaleźć jakąś kryjówkę, rozumiesz?

Ty szukaj po tej stronie korytarza, ja zajmę się drugą. I bądź cicho.

Przez chwilę wpatrywał się we mnie badawczo, ale nie ulegało wątpliwości, że zrozumiał, co do niego mówię. Zaledwie po kilkunastu krokach szarpnął mnie za zdrowe ramię i wskazał nieduży magazyn. Co prawda stały tam jakieś skrzynie i beczki, ale zmieściliśmy się bez większego trudu. Przymknąłem drzwi na tyle, by między nimi a futryną została wąziutka szpara, po czym usiedliśmy na skrzynkach.

Byłem przekonany, że marynarze opuszczą pomieszczenie, w którym ich znaleźliśmy, jak tylko opatrzą sobie rany i nieco odpoczną, oni jednak siedzieli tam tak długo, że prawie nabrałem już przekonania, iż wymknęli się jakimś innym wyjściem. Przypuszczalnie odbyli długą, burzliwą naradę.

Wreszcie jednak wyszli na korytarz. Położyłem ostrzegawczo palec na ustach, choć wątpię, czy było

to potrzebne. Wyślizgnęliśmy się na zewnątrz dopiero wówczas, kiedy cała piątka minęła naszą kryjówkę i oddaliła się co najmniej na pięćdziesiąt łokci.

Nie miałem pojęcia, jak długo będziemy musieli za nimi podążać, oczekując chwili, kiedy Purn znajdzie się na końcu małego pochodu, ani czy w ogóle taka chwila nastąpi. W najgorszym razie byłem gotów postawić wszystko na jedną kartę, napaść na nich zniemacka i uprowadzić go na ich oczach.

Sprzyjało nam jednak szczęście, ponieważ bardzo szybko Purn został kilka kroków z tyłu. Odkąd zasiadłem na tronie Feniksa, często osobiście prowadziłem do ataku moje wojska na odległej północy; teraz zaimprovizowałem taki właśnie atak, podniesionym głosem wydając rozkazy siłom składającym się w rzeczywistości jedynie z Zaka. Runęliśmy na marynarzy niczym forpoczta wielkiej armii, a oni rzucili się do panicznej ucieczki.

Liczyłem na to, że uda mi się chwycić Purna od tyłu, co pozwoliłoby mi nie nadwerężyć wciąż mocno bolącego, oparzonego ramienia. Zak oszczędził mi nawet tego wysiłku, gdyż dał ogromnego susa, uderzając w nogi żeglarza i obalając go na podłogę. Pozostało mi tylko przyłożyć mu nóż do gardła.

Sprawiał wrażenie mocno wystraszonego, i słusznie,

ponieważ zamierzałem go zabić, wpierw uzyskawszy wszystkie potrzebne informacje.

Przez dwa albo trzy oddechy wsłuchiwałem się w szybko cichnący łomot stóp. Zak zdążył już wcześniej pozbawić Purna sztyletu i teraz stał nie opodal z nożem w każdej ręce, łypiąc nieprzychylnie spod krzaczastych brwi na powalonego marynarza.

Jeśli spróbujesz ucieczki, zginiesz natychmiast - szepnąłem. - Jeśli odpowiesz na moje pytania, być może pozwolę ci żyć jeszcze trochę. Co ci się stało w rękę?

Choć leżał bezradnie na wznak, a ja trzymałem ostrze noża na jego gardle, wpatrywał się we mnie wyzywającym, hardym spojrzeniem. Wielokrotnie widywałem takie spojrzenia u klientów, wielokrotnie też miałem okazję obserwować, jak zmieniają się pod wpływem tortur.

Nie mam czasu, żeby się tobą zajmować - powiedziałem i na

ciąłem mu lekko skórę na szyi, żeby poczuł ciepło płynącej krwi. -

Pokręć tylko głową, jeśli nie masz zamiaru odpowiadać, a ja wtedy zabije cię i będzie po kłopotcie.

Zranił mnie któryś z dryfowników. Przecież sam widziałeś, że z nimi walczyłem. Zaatakowałem cię, to prawda, ale tylko dlatego, że wziąłem cię za jednego z nich. Byłeś z nim... - wskazał spojrzeniem Zaka - więc każdy mógł się pomylić. Na szczęście nic ci się nie stało, więc w czym problem?

- Jak zapytała żmija pewną sowę... Tak mawiał mój przyjaciel Jonas. On także był żeglarzem i lubił kłamać prawie tak bardzo jak ty. Miałaś bandaż na ręce już wtedy, kiedy włączyliśmy się z Żakiem

do walki. Zdejmij opatrunek.

Niechętnie i z ociąganiem, ale jednak to zrobił. Ranę opatrywał ktoś znający się na rzeczy, przypuszczalnie medyk lub sanitariusz z izby chorych, o której wspomniała Gunnie. Poszarpane krawędzie zostały spięte klamerkami, lecz mimo to kształt rany nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości co do jej pochodzenia.

Zak także nachylił się, by obejrzeć ją z bliska, i choć nie wydał żadnego dźwięku, to uniósł wargi, obnażając w drapieżnym grymasie drobne, ostre zęby, tak jak czasem czynią oswojone małpy. W tej samej chwili stało się dla mnie jasne, że to, co do tej pory traktowałem jako wytwór mojej wyobraźni, jest prawdą: Zak był tą włochatą, zwinną istotą, którą schwytaliśmy w ładowni.

Rozdział XII

Kopia

Nie chciałem dać po sobie poznać zdumienia, więc postawiłem stopę na piersi marynarza i zapytałem groźnym tonem:

- Dlaczego chciałeś mnie zabić?

Są ludzie, którzy przestają bać się śmierci w chwili, gdy pogodzą się z jej nieuchronnością. Purn bez wątpienia do nich należał.

Ponieważ znam cię, Autarcho.

A więc pochodzisz z Urth. Zapewne wszedłeś na pokład razem ze mną?

Skinął głową.

I z Gunnie?

Nie. Gunnie służy tu od dawna i wcale nie jest twoim wrogiem, wbrew temu, co myślisz.

Ku memu zaskoczeniu Zak spojrział na mnie, a następnie skinął głową,

Myślę o wielu sprawach, o których ty nie masz najmniejszego pojęcia - odparłem.

Liczyłem na to, że mnie pocałuje - dodał, jakby nie słysząc tego, co powiedziałem. - Nie masz pojęcia, jak one tutaj to robią.

Mam, bo mnie pocałowała.

Widziałem to. Od razu zrozumiałem, że nie wiesz, co to znaczy.

Tutaj, na statku, każdy nowy marynarz musi mieć za kochankę lub kochanka kogoś spośród bardziej doświadczonych, żeby szybciej uczyć się fachu. Taki pocałunek oznacza zaproszenie.

Kobiety czasem całują po to, żeby później zabić.

- Ale nie Gunnie. To znaczy, tak mi się przynajmniej wydaje.

Ty jednak usiłowałeś mnie zabić. Dlaczego? Ze względu na nią?

Zostałem wynajęty, żeby cię zgładzić, Autarcho. Wszyscy wie dzieli, dokąd się udajesz i że będziesz się starał sprowadzić Nowe Słońce, które przewróci Urth do góry nogami, a wówczas wszyscy zginą.

— Cofnąłem się o krok, zdumiony nie tyle jego słowami, co oczywistym faktem, że głęboko wierzył w prawdziwość każdego z nich. Purn błyskawicznie zerwał się na nogi; co prawda Zak również

szybko do-skoczył do niego, ale zranił go tylko w ramię, co nie przeszkodziło marynarzowi rzucić się do ucieczki.

Zarośnięty człowieczek z pewnością popędziłby za nim jak pies myśliwski za zającem, gdyby nie to, że rozkazałem mu zaprzestać pogoni.

- Zabiję go, jeśli jeszcze raz spróbuje mi coś zrobić - powiedzia łem. - Ty możesz uczynić to samo. Nie mam jednak najmniejszego zamiaru karać go tylko za to, że stara się postępować zgodnie ze swoimi przekonaniem. Zdaje się, że obaj próbujemy ocalić Urth.

Zak wpatrywał się we mnie przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

- A teraz chciałbym dowiedzieć się czegoś o tobie. Jeśli mam być szczery, niepokoisz mnie znacznie bardziej niż Purn. Okazuje się, że jednak potrafisz mówić.

Skinął z zapalem głową.

- Zak mówić!

- I rozumiesz, co ja mówię.

Ponownie skinął głową, choć jakby mniej energicznie.

- Wobec tego powiedz mi prawdę. Czy to ciebie pomogłem schwytać Gunnie, Purnowi i pozostałym?

Zak odwrócił spojrzenie i pochylił głowę w sposób jednoznacznie świadczący o tym, iż nie ma ochoty kontynuować rozmowy na ten temat.

- Właściwie to ja cię złapałem, ale cię nie zabiłem. Być może jesteś mi za to wdzięczny. Kiedy Purn chciał mnie zabić... Zak! Wracaj!

Powinienem był się domyślić, że da drapaka. Z moją kulawą nogą nie miałem żadnych szans na to, by go dogonić. Za sprawą jakiejś osobliwości obejmującej swym zasięgiem tę część statku, bardzo długo nie nikał mi z oczu, a kiedy wreszcie znalazł do mikroskopijnych rozmiarów, niespodziewanie pojawił

się z drugiej strony. Nawet kiedy ostatecznie rozplynał się w oddali, nadal wyraźnie słyszałem tupot jego bosych stóp. Sytuacja ta bardzo przypominała sen, w którym widziałem odzianego w łachmany chłopca sierotę, mego imiennika, biegającego szklanymi korytarzami; wydawało mi się, że tamten, mały Severian odgrywał częściowo moją rolę, teraz zaś odniosłem wrażenie, że okrągła twarz Zaka o spłaszczonym nosie i cofniętym podbródku wydłużyła się nieco, upodabniając trochę do mojej.

Tym razem jednak to nie był sen, nie znajdowałem się też pod działaniem narkotyków; wszystko działało się naprawdę, ja zaś utkwilem we wnętrzu gigantycznego statku, nie mając najmniejszego pojęcia, gdzie jestem. Kim właściwie był Zak? Na pewno nie był żadną istotą stanowiącą uosobienie zła, choć jeśli się nad tym zastanowić, to ile takich istot dałoby się znaleźć na Urth? Z pewnością

alzabo, być może krwiożercze nietoperze i skorpiony, ewentualnie parę najbardziej jadowitych węży. Zaledwie kilka gatunków spośród milionów. Przypomniałem sobie, jak wyglądał, kiedy po raz pierwszy ujrzałem go w ładowni: raczej bezkształtny, poruszający się wyłącznie na czworakach, bez wyraźnie zaznaczonej głowy, porośnięty czymś, co nie przypominało ani futra, ani piór. Później, w wiwarium, miał już sierść i okrągłą głowę; przeszedłem wtedy nad tym do porządku dziennego, przypuszczając, że wcześniej po prostu zawiódł mnie wzrok.

Na Urth żyją jaszczury potrafiące upodobnić się kolorem skóry do otoczenia: są zielone, kiedy siedzą wśród liści, szare, kiedy wylegają się na kamieniach, i tak dalej. Czynią to nie po to, by zmylić czujność istot służących im za pożywienie, jak można by pomyśleć, lecz w celu uniknięcia wypatrzenia przez czujne oczy ptaków. Czy nie może być tak, myślałem, że na jakiejś odległej planecie żyje zwierzę potrafiące upodabniać się kształtem do innych żywych stworzeń? Kto wie, czy jego prawdziwy wygląd (jeśli w ogóle można o czymś takim mówić) nie jest jeszcze bardziej niezwykły niż tej czworonożnej, niemal kulistej istoty, którą po raz pierwszy ujrzałem w ładowni? Drapieżniki nie polują na istoty należące do tego samego gatunku co one; od tej reguły nie ma wyjątków. Czy istnieje lepszy sposób zagwarantowania sobie bezpieczeństwa niż upodobnić się do drapieżnika?

Zetknięcie z ludźmi oznaczało dla niezwykłego stworzenia poważne wyzwanie: musiało szybko nauczyć się naśladować inteligencję i mowę. a także odróżniać włosy na głowie od ubrania zakrywającego ciało. Całkiem możliwe, że sierść, która z bliska okazała się nie tyle sierścią, co raczej stertą dziwnego, pociętego na wąskie paski materiału, stanowiła pierwszą, niezbyt udaną próbę odtworzenia ubrania, które Zak uważał pewnie wówczas za część ciała jego prześladowców. Szybko jednak przekonał się, że jest inaczej, i gdyby wraz z innymi znajdami nie został uwolniony przez buntowników, wachtę lub dwie później ani chybi znaleźlibyśmy w wiwarium zupełnie nagiego człowieka. Był nim i teraz, zarówno pod względem wyglądu zewnętrznego, jak i umysłowości, ale wcale się nie dziwiłem, że przede mną umknął; ucieczka przed osobnikami należącymi do imitowanego gatunku musiała być jednym z instynktów najgłębiej zakorzenionych w jego mózgu.

Rozmyślałem o tym wszystkim wędrując korytarzem, w którym Zak tak nagle mnie opuścił.

Dotarłszy do miejsca, gdzie korytarz rozdzielał się na trzy nie różniące się niczym od siebie odnogi, zawahałem się przez chwilę, ale szybko uznałem, że nie istnieją żadne racjonalne przesłanki przemawiające za wyborem którejkolwiek z trzech dróg, więc na chybił trafił zdecydowałem się na pierwszą z lewej.

Dość szybko stwierdziłem, że idzie mi się coraz trudniej. Przemknęło mi przez głowę, iż jestem chory, a zaraz potem, że zostałem otruty, ale wcale nie czułem się gorzej niż w pomieszczeniu, w którym ukryła mnie Gunnie. Nie odczuwałem zawrotów głowy, nie miałem kłopotów z ostrością widzenia, nie groziła mi także utrata równowagi.

Mimo to przewróciłem się, a raczej zacząłem się przewracać - nie. bynajmniej nie dlatego, że nie zdążyłem w porę wysunąć nogi albo przenieść naprzód ciężaru ciała. Po prostu nie byłem w stanie powstrzymać upadku, choć odbywał się on w iście ślimaczym tempie. Moje nogi zdawały się spętane niewidzialnymi więzami, a kiedy spróbowałem wyprostować ramiona, by zamortyzować siłę uderzenia, one także odmówiły mi posłuszeństwa.

Zawisłem w powietrzu - przez chwilę wydawało mi się, że nieruchomo, ale zaraz potem uświadomiłem sobie, że jednak spadam, co prawda niezmiernie powoli, tak że minęłyby chyba całe wieki, zanim dotarłbym do brudnobrązowej podłogi korytarza. Gdzieś w oddali rozległo się bicie dzwonu.

Trwałem tak bardzo długo, niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu, albo przynajmniej przez czas, który mnie, tam i wtedy, zdawał się ciągnąć bez końca.

Wreszcie usłyszałem kroki. Ich odgłos dobiegał zza moich pleców, lecz ja, choć bardzo się starałem, nie mogłem nawet odwrócić głowy. Czyjaś ręka sięgnęła po długi nóż tkwiący w pochwie przytroczonej do mojego paska; jedyne, co mogłem zrobić, to spróbować zacisnąć palce obejmujące rękojeść, aby uniemożliwić odebranie mi broni. Udało mi się to osiągnąć, a wtedy poczułem gwałtowne szarpnięcie i runęła na mnie ciemność.

Wydawało mi się, że spadłem z posłania wymoszczonego miękkimi szmatami. Zacząłem macać wokół siebie ręką, lecz wyczułem tylko zimną podłogę. Mimo to nie odczuwałem żadnej niewygody -

przypuszczalnie dlatego, że byłem na to za lekki. Można powiedzieć, że prawie unosiłem się nad posadzką. Bił od niej tak przejmujący chłód, jakby pokrywała ją cienka warstwa wody, która w cieplejsze zimowe dni zbiera się czasem na lodzie skuwającym Gyll.

Chciałem jak najprędzej wrócić na łóżko z łachmanów. Jeśli tego nie zrobię, Gunnie nie zdoła mnie odnaleźć. Wyciągnąłem rękę w drugą stronę, lecz także bez rezultatu.

Potem rozciągnąłem umysł. Nie jestem w stanie wyjaśnić, jak tego dokonałem, ale nagle, bez żadnego wysiłku z mojej strony, znalazłem się jednocześnie we wszystkich pomieszczeniach statku, w tym także w jego ogromnych ładowniach, których jak się okazało, było znacznie więcej niż siedem. W

kopalni zamieszkaanej przez małpoludy kusiło złoto i srebro, tutaj natomiast mieściły się skarby nieporównanie wspanialsze, w większości pochodzące z odległych gwiazd.

W jednej chwili poznałem cały statek, wszystkie jego zadziwiające mechanizmy oraz części, które nie będąc mechanizmami nie miały jednocześnie nic wspólnego z żywymi stworzeniami, w związku z czym nie dałoby się ich opisać w żadnym z ludzkich i nieludzkich języków. Ujrzałem mnóstwo ludzkich istot oraz jeszcze więcej w niczym nie podobnych do ludzi: spały, pracowały, kochały się i walczyły. Widzia-

łem je wszystkie, lecz tylko nieliczne wydawały mi się znajome.

Zobaczyłem maszty stokroć wyższe, niż wynosiła średnica kadłuba, a także żagle rozległe niczym morza, przerażająco wielkie w dwóch wymiarach i prawie nie istniejące w trzecim. Kiedyś widok statku wywoływał we mnie lęk, teraz ujrzałem go dzięki zmysłowi nieporównanie doskonalszemu od wzroku i ogarnąłem go tak samo jak on mnie. Odnalazłem też posłanie z łachmanów, ale nie byłem w stanie do niego dosięgnąć.

Odzyskałem przytomność za sprawą dokuczliwego bólu. Całkiem możliwe, iż właśnie na tym polega

jego główne zadanie: nie sposób wykluczyć, że ból jest łańcuchem, którego ogniwa zostaty wykute przez nieznanego kowala tylko po to, by na zawsze przykuć nas do wyznaczonej nam rzeczywistości. Bez względu na to, czy tak jest w istocie, poczułem, jak moja świadomość zapada się sama w siebie niczym gasnąca gwiazda albo jak budynek, którego kamienne ściany postanowiły wrócić tam, skąd wyrosły, to znaczy do wnętrza Urth, albo jak roztrzaskana urna z prochami. Otworzywszy oczy ujrzałem pochylone nade mną postaci, w tym wiele podobnych do ludzi.

Najpotężniejsza z nich była zarazem ubrana w najbardziej poszarpane łachmany. W pierwszej chwili zdziwiło mnie to, ale zaraz potem domyśliłem się, iż olbrzym ten może mieć kłopoty ze zdobyciem odpowiedniego ubrania, nosi więc ten sam strój, w którym wszedł na pokład statku, pracowicie łatając największe dziury i rozdarcia, mniejszymi nie zaprzatając sobie zupełnie uwagi.

Chwycił mnie i postawił na nogi - kilku jego towarzyszy ruszyło się, by mu pomóc, lecz on z pewnością poradziłby sobie także bez ich asysty. Stawianie oporu w tej sytuacji graniczyło z głupotą, gdyż przeciwników było co najmniej dziesięciu, a w dodatku każdy miał przy sobie jakąś broń, ja jednak zacząłem się rozpaczliwie szarpać zadając ciosy i odbierając ich znacznie więcej. Od chwili kiedy cisnąłem manuskrypt w międzygwiazdną otchłań, właściwie ani przez chwilę nie byłem panem samego siebie, ponieważ albo wykonywałem czyjeś polecenia, albo starałem się im przeciwstawić, albo uciekałem przed tajemniczymi osobnikami ponad wszelką wątpliwość żywiącymi wobec mnie niezbyt przyjazne zamiary. Teraz byłem gotów stawić czoło każdemu, kto pragnąłby narzucić mi swoją wolę, nawet wtedy, gdybym musiał zmagać się z samym przeznaczeniem.

Nie miałem jednak najmniejszych szans. Moje wysiłki wywarły na olbrzymie takie samo wrażenie, jakie na mnie wywarłaby szamotanina dziesięcioletniego chłopca; bez trudu wykręcił mi ramiona do tyłu, ktoś inny zaś związał mi ręce drutem i pchnął mocno w plecy, zmuszając do marszu. Poganiany w ten bezceremonialny sposób dotarłem wreszcie do jakiegoś wąskiego pokoju, gdzie ujrzałem Autarchę Severiana, przez pochlebców zwanego Wielkim, odzianego w żółtą szatę, w wyszywanym drogimi kamieniami płaszczu zarzuconym na ramiona i z berłem w dłoni.

Rozdział XIII

Bitwy

Był to tylko ruchomy obraz, tak bardzo jednak realny, iż przez chwilę byłem niemal gotów uwierzyć, że spoglądam na samego siebie. Tamten Severian obrócił się powoli, skinął dostojnie w kierunku pustego kąta pokoju i ruszył przed siebie. Zrobił dwa kroki, po czym zniknął, lecz niemal w tej samej chwili pojawił się znowu w tym samym miejscu, w którym niedawno go widziałem. Przez pewien czas stał tam jak posąg, następnie zaś powtórzył te same ruchy.

Potęźnie zbudowany człowiek wydał rozkaz w nie znanym mi języku przypominającym nieco krakanie i któryś z jego podwładnych rozwiązał mi ręce.

Mój wizerunek właśnie powtarzał swój występ po raz trzeci. Zapanowawszy nad uczuciem pogardy, jakie ogarnęło mnie na widok tej odrażającej postaci, przyglądałem się sposobowi, w jaki wlecze za sobą uszkodzoną nogę oraz aroganckim poruszeniom dumnie zadartej głowy. Dowódca ludzi, którzy mnie pojмали, zakrakał ponownie, a jakiś nieduży człowiek o brudnych, siwych włosach przypominających włosy Hethora przetłumaczył jego słowa:

- On chce, żebyś zrobił to samo. Jeśli odmówisz, zabijemy cię.

Prawie go nie słyszałem, gdyż spłynęły na mnie wspomnienia o majestacie i przepychu, i choć wcale nie pragnąłem wracać myślami do tamtych czasów, dałem im się ogarnąć, pozwalając, by zasłoniły mi świat niczym gigantyczne skrzydła istoty, która porwała mnie z metalowych schodów. Znowu ujrzałem podniesiony dziób szalupy (wtedy nie wiedziałem jeszcze, iż jest jedną z wielu, jakie statek niesie na swoich pokładach), moi pretorianie ustawili się w długi na co najmniej milę szpaler, tworząc sięgającą horyzontu aleję, lśniąca blachami pancerzy, a zarazem prawie niewidoczną...

- Brać go!

Wokół mnie zakotłowało się od odzianych w łachmany sylwetek.

W pierwszej chwili pomyślałem, że chcą mnie zabić, ponieważ nie wykonałem polecenia i nie powtórzyłem ruchów paradnie wystrojonej postaci; otworzyłem usta, aby ich powstrzymać, lecz nie było już na

to czasu.

Ktoś złapał mnie za kołnierz i gwałtownie pociągnął do tyłu, tak że zakrztusiłem się własnym oddechem. Popełnił błąd, ponieważ znaleźliśmy się tak blisko siebie, że nie był w stanie zadać ciosu pałką, ja natomiast bez trudu wbiłem mu w oczy dwa wyprostowane palce.

W ogarnięty szaleństwem tłum uderzyła fioletowa błyskawica, zabijając co najmniej pół tuzina ludzi; tuzin innych, okrutnie pokaleczonych, bez rąk, nóg, z wypalonymi oczami, zawył przeraźliwie. W powietrzu unosił się słodkawy smród przypieczonego ciała. Wyrwałem pałkę z ręki człowieka, którego przed chwilą oślepiłem, i zacząłem zadawać ciosy wokół siebie. Było to co najmniej głupie z mojej strony, ale dryfownicy, którzy w panice uciekali z pokoju jak szczury przed łasicą, chyba zupełnie stracili głowy, gdyż widziałem, że padają jak zboże ścinane ostrzem kosy.

Potęźnie zbudowany mężczyzna zachował się znacznie rozsądniej, ponieważ już po pierwszym strzale padł płasko na podłogę nie dalej niż łokieć od moich stóp, teraz zaś zerwał się na równe nogi i rzucił w moją stronę. Głowica pałki została wykonana z ciężkiego koła zębatego; wziąłem zamach i z całej siły rąbnąłem go w nasadę karku. Osiągnąłem taki rezultat, jakbym zadał cios arsinoitherowi.

Wciąż przytomny i potwornie silny dopadł mnie tak, jak wspomniane przed chwilą zwierzę dopada wilka. Uderzenie potężnego ciała było tak mocne, że pałka wysunęła mi się z ręki, ja natomiast poczułem, że nie jestem w stanie zaczerpnąć oddechu.

Piorun uderzył ponownie i siłacz wyrzucił w górę ramiona; ujrzałem rozczapierzone ręce o siedmiu palcach oraz kikut szyi, osmolony jak kikuty drzew w lesie, przez który przeszedł pożar. Nie powstrzymało go to jednak, gdyż ponownie ruszył naprzód, lecz tym razem z ogromnym impetem wpadł

na ścianę, odbił się od niej, zaatakował ponownie. Kolejny strzał niemal rozplątał go na dwoje.

Spróbowałem się podnieść, lecz miałem z tym sporo kłopotów, a to za sprawą rąk śliskich od jego krwi, którymi nie mogłem się porządnie podeprzeć. Czyjeś mocne ramię objęło mnie wpół i dźwignęło na nogi, a znajomy głos zapytał:

-

Możesz stać?

Był to Sidero. Niespodziewanie dla mnie samego poczułem się tak, jakbym zobaczył starego przyjaciela.

Chyba tak. Dziękuję.

Walczyłeś z nimi.

Ale bez sukcesów.- Przypomniałem sobie dni, kiedy dowo

dziłem armiami. - I nie tak, jak należy.

Ale walczyłeś.

Niech ci będzie.

Wokół nas uwijali się marynarze, niektórzy uzbrojeni w muszkiety, inni w noże o długich zakrwawionych ostrzach.

- Będziesz walczył znowu? - Podniósł rękę, nie dopuszczając

mnie do głosu. - Zaczekaj! Mam nóż i pistolet. Weź je.

Biodra opinał mu pas z przytroczoną moją bronią. Przytrzymał muszkiet tym, co zostało z jego

prawego ramienia, lewą ręką zaś rozpiął pas i wręczył mi go.

- Dziękuję - powtórzyłem.

Nie wiedziałem, co więcej powinienem powiedzieć; zastanawiałem się, czy to istotnie on ogłuszył mnie jakiś czas temu.

Jego metalowa przyłbica nie zdradzała żadnych uczuć, podobnie jak ostry, zdecydowany głos.

- Teraz odpocznij i zjedz coś. Porozmawiamy później. Później znowu musimy walczyć. - Odwrócił się do swoich podwładnych. -

Odpocznijcie! Posilcie się!

Miałem ochotę i na jedno, i na drugie. Co prawda ani przez chwilę nie zamierzałem walczyć po stronie Sidera, ale perspektywa spożycia posiłku w towarzystwie ludzi, którzy potem będą strzegli mnie podczas odpoczynku, była niezmiernie kusząca. Przypuszczałem, że później bez trudu zdołam im się wymknąć.

Marynarze zaczęli rozdawać racje żywnościowe, a bardzo szybko okazało się, iż biesiada będzie bardziej wystawna, niż się spodziewaliśmy, ponieważ sporo żywności znaleziono przy martwych dryfownikach. Niebawem zasiedliśmy do smakowitej uczyty składającej się z gotowanej soczewicy, szynki przyprawionej pikantnymi ziołami, chleba i wina.

Całkiem możliwe, że gdzieś całkiem niedaleko były jakieś łóżka albo hamaki, lecz ja odczuwałem zbyt wielkie zmęczenie, żeby ich szukać. Prawe ramię nadal mocno mnie bolało, lecz zdawałem sobie sprawę, iż taka drobnostka nie zdoła powstrzymać mnie przed zaśnięciem, tym bardziej że dwa albo trzy kubki wina pozwoliły mi prawie zupełnie zapomnieć o rozbitej głowie. Zamierzałem właśnie położyć się tam, gdzie siedziałem - przydałby się płaszcz, ale Sidero nie wpadł na pomysł, by go zatrzymać - kiedy obok mnie przykucnął niezbyt wysoki, ale mocno zbudowany marynarz.

- Pamiętasz mnie, Severianie?

- Chyba powinienem, skoro znasz moje imię - odparłem. W jego twarzy istotnie było coś znajomego, niemniej jednak nie potrafiłem jej sobie z niczym ani z nikim skojarzyć.

-

Nazywałeś mnie Zakiem.

Wytrzeszczyłem oczy, ale nawet w przyćmionym świetle i po kilkunastu łykach wina nie byłem w stanie dostrzec w nim tego Zaka, którego znałem.

□ Wolałbym nie poruszać spraw, o których zapewne żaden z nas nie ma ochoty wspominać - przerwałem przedłużające się milczenie -

ale odnoszę wrażenie, że ostatnio bardzo się zmieniłeś.

To dzięki ubraniu. Zdjąłem je z jakiegoś trupa. Poza tym ogo liłem się, a Gunnie skróciła mi włosy.

- Gunnie też tu jest?

Zak wskazał kierunek ruchem głowy.

Pewnie chcesz z nią porozmawiać. Ona z tobą też, jak myślę.

Nie - odparłem. - Powiedz jej, że rozmawiamy rano. -

Chciałem jeszcze coś dodać, ale miałem coraz większe problemy z zebraniem myśli. - Powiedz jej też, że tym, co dla mnie zrobiła, zawiązką odkupiła wszystkie swoje winy.

Zak skinął głową i odszedł.

Wzmianka o Gunnie przypomniła mi o złotych monetach Idas. Zajrzałem do kieszonki przy pochwie, aby upewnić się, że dziewięć chrisos nadal tam jest, a następnie położyłem się i natychmiast zasnąłem.

Obudzony się stwierdziłem, że większość marynarzy już nie śpi i posila się resztkami wczorajszej uczy. Sidero stał w pewnym oddaleniu w towarzystwie dwóch smukłych automatów -

przypuszczam, że Jonas, zanim uległ wypadkowi podczas awaryjnego lądowania, był

właśnie takim urządzeniem. Byli pogrążeni w rozmowie, ale mówili zbyt cicho, aby do moich uszu dotarło choć jedno słowo.

Nie byłem pewien, czy te mechanizmy zajmują w pokładowej hierarchii miejsce bliżej kapitana i wyższych oficerów, i zanim zdołałem podjąć decyzję, czy powinienem podejść do nich, by ujawnić swoją tożsamość, opuściły nas, niknąc w labiryncie korytarzy. Sidero podszedł do mnie, zupełnie jakbym ściągnął go myślami.

-

Teraz możemy porozmawiać - oświadczył.

Skinąłem głową, po czym wyjaśniłem, że właśnie miałem zamiar wyjawić wszystkim, kim naprawdę jestem.

-

To niepotrzebne. Sprawdziłem zaraz po naszym pierwszym spotkaniu. Nie jesteś tym, za kogo się podajesz. Autarcha znajduje się w bezpiecznym miejscu.

Zacząłem go przekonywać, ale on podniósł rękę, nakazując mi milczenie.

- Nie sprzeczkajmy się teraz. Wiem tylko tyle, ile mi powiedziano. Pozwól, że coś ci wyjaśnię; zadałem ci ból. Moim prawem, a zarazem obowiązkiem, jest ostrzegać i karać, ale nie powinno sprawiać mi to przyjemności.

Zapytałem, czy ma na rmysli uderzenie, które zadał mi, kiedy byłem nieprzytomny, a on skinął głową.

Nie powinienem był tego robić. Umilkł, jakby zastanawiając się, co jeszcze powiedzieć. - Nie potrafię tego wyjaśnić - dodał

wreszcie.

My, ludzie, dobrze wiemy, co to są względy moralne.

- Tylko wam się tak wydaje. My wiemy naprawdę, a i tak zdarza nam się popełniać błędy. Wolno nam poświęcić życie człowieka, żeby ocalić własne. Wolno nam wydawać ludziom polecenia. Wolno nam ich ostrzegać i karać. Nie wolno nam postępować jak oni, a ja to uczyniłem. Muszę ci to wynagrodzić.

Odparłem, że uczynił to z nawiązką ratując mnie z rąk dryfow-ników.

-

Wcale nie. Ty walczyłeś i ja walczyłem. Niebawem stoczymy

znacznie większą bitwę, być może ostatnią. Dawniej dryfownikom wystarczały drobne kradzieże i wszczynanie awantur, teraz zabijają marynarzy i próbują opanować statek. Kapitan zbyt długo tolerował

ich wybryki.

Wyczułem, że krytykowanie poczynań dowódcy przychodzi mu z wielkim trudem i że najchętniej odwróciłby się do mnie plecami.

-

Zwalniam cię - powiedział. - W ten sposób wynagrodzę ci

to, co uczyniłem.

-

Czy to znaczy, że nie muszę walczyć po waszej stronie, jeśli sam nie wyrażę ochoty? Sidero skinął głową.

- Bitwa rozpocznie się już niedługo. Odejdź najszybciej, jak możesz.

Właśnie tak zamierzałem postąpić, ale teraz po tym, co mi powiedział, nie mogłem tego zrobić.

Ucieczka przed niebezpieczeństwem z własnej woli i na własną odpowiedzialność to jedno, ucieczka na rozkaz, jakby się było ubezwłasnowolnionym starcem, to coś zupełnie innego.

Wkrótce potem nasz metalowy dowódca polecił nam ustawić się w szeregu. Przyznam, że widok, mych towarzyszy broni nie napełnił mnie optymizmem; w porównaniu z nimi nawet zbieranina Guasachta wyglądała jak oddział doborowego wojska. Kilku było uzbrojonych w muszkiety, kilku miało arkebuzy niemal identyczne z tymi, których użyto do pojmania Zaka (z rozbawieniem stwierdziłem, iż on sam także ma taką właśnie broń), paru ścisłało w rękach włócznie lub piki, większość zaś - w tym również Gunnie, która stała kilkanaście kroków ode mnie starając się nie spoglądać w moją stronę -

dysponowała wyłącznie nożami.

Mimo to wszyscy ruszyli ochoczo naprzód, sprawiając wrażenie, że nie ulękną się żadnego niebezpieczeństwa, choć nie ulegało dla mnie wątpliwości, iż co najmniej połowa z nich rzuci się do ucieczki po pierwszym strzale. Zająłem miejsce blisko końca nieregularnej kolumny, aby łatwiej oszacować liczbę dezertersów; czas jednak mijał, maszerowaliśmy w dość szybkim tempie, a jakoś nikt nie próbował dyskretnie zniknąć w którymś z licznych bocznych korytarzy. Wyglądało na to, że jeśli nie wszyscy, to przynajmniej zdecydowana większość tych marynarzy, którzy z przymusu stali się żołnierzami, z zadowoleniem powitała coś, co mogło choć przez pewien czas urozmaicić nudną służbę.

Tak samo jak podczas każdej wojny, o jakiej słyszałem lub w jakiej brałem udział, do starcia doszło znacznie później, niż oczekiwali dowódcy. Przez co najmniej wachnię, a może i dłużej, wędrowaliśmy po wnętrzu statku; raz weszliśmy do gigantycznego pustego pomieszczenia.

które chyba było nie wykorzystaną ładownią, raz, nie wiadomo czemu, zatrzymaliśmy się na całkiem niepotrzebny odpoczynek, dwa razy spotkaliśmy znacznie mniej liczne oddziały marynarzy, wśród których było wielu ludzi albo istot bardzo do ludzi podobnych.

Ktoś, kto jak ja dowodził armiami oraz uczestniczył w bitwach, podczas których całe legiony ginęły jak szczapy smolnego drewna wrzucane do paleniska, odczuwałam ogromną pokusę, by tym razem z przymrużeniem oka te nasze pochody, postoje i przegrupowania. Napisałem "odczuwałam pokusę", ponieważ nie wolno lekceważyć żadnego, nawet najbardziej błahego starcia - dla tych, którzy w nim giną, stanowi ono najważniejsze, bo ostatecznie, wydarzenie w ich życiu, nie powinno więc być błahym także dla nas.

Przyznam jednak, że uległem tej pokusie, tak jak ulegałem wielu innym. Bawiłem się znakomicie, mój dobry nastrój zaś poprawił się jeszcze bardziej, kiedy Sidero (bez wątpienia troszcząc się o moje bezpieczeństwo) utworzył z kilku ludzi straż tylną i oddał ich pod moją komendę.

Marynarze, których wyznaczył, jego zdaniem byliby chyba najmniej przydatni podczas frontalnego ataku: w skład „mojej” dziesiątki wchodziło sześć kobiet, każda znacznie niższa i mniej umięśniona niż Gunnie, oraz czterech mężczyzn, w tym trzech wyjątkowo marnej postury i jeśli nie starych, to z

pewnością w wieku, w którym szczyt sił witalnych ma się dawno za sobą. Czwartym mężczyzną byłem ja - jedyny dysponujący bronią lepszą niż nóż albo stalowy pręt. Zgodnie z poleceniem Sidera szliśmy, bo mimo najszczerzej chęci nie mogę powiedzieć, że maszerowaliśmy, jakieś dziesięć łańcuchów za główną kolumną.

Gdybym mógł, zająłbym pozycję na czele oddziału, gdyż uważałem, że każda z tych nieszczęsnych istot ma prawo wziąć nogi za pas, by ocalić życie, ale nie mogłem, ponieważ zmieniające się barwy i kształty, a także płynne światło wypełniające korytarze statku wciąż jeszcze tak bardzo mnie oszalały, że z pewnością natychmiast pomyliłbym drogę i w razie potrzeby nie udałoby mi się dotrzeć do grupy Sidera. W związku z tym poleciłem sprawiającemu najbardziej sensowne wrażenie marynarzowi, by otwierał pochód, powiedziałem mu, jaką ma utrzymywać odległość od tyłu kolumny, sam zaś ruszyłem jako drugi, nie interesując się, czy reszta podąża za nami. Przyznam, iż zastanawiałem się, czy usłyszymy odgłosy watki, gdyby nasze główne siły nawiązały kontakt z nieprzyja cielem.

Szybko okazało się jednak, że

moje rozważania były zupełnie bezprzedmiotowe, ponieważ to my zostaliśmy zaatakowani jako pierwsi.

Obserwując korytarz nad ramieniem mego przewodnika ujrzałem nagle jakąś postać, która wyskoczyła nie wiadomo skąd, cisnęła w niego nożem o czterech, łączących się ze sobą pod kątem prostym, ostrzach, po czym pognęła ku nam wielkimi, ciężkimi susami thylacosmila.

Choć wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy, ból promieniujący od oparzeliny znacznie spowolnił

moje ruchy. Zanim zdołałem wydobyć pistolet z pochwy, dryfownik przeskakiwał już ciało nieszczęsnego marynarza. Nacisnąłem spust, a wówczas okazało się, że Sidero zmienił ustawienie potencjometru; napastnik został dosłownie rozerwany na strzępy, a poszarpane fragmenty jego ciała rozbryznęły się na ścianach, suficie i podłodze korytarza.

Nie było jednak czasu na świętowanie zwycięstwa ani tym bardziej na udzielanie pomocy marynarzowi, który leżał u moich stóp brocząc obficie krwią z rany, w której wciąż jeszcze tkwił

nóż dryfownika. Ledwie zdążyłem na niego zerknąć, kiedy z metalowego chodnika podwieszonego pod sufitem korytarza dosłownie posypał się grad przeciwników - przypuszczam, że było ich co najmniej dwudziestu. Naciskałem spust najszybciej, jak mogłem, ale zdołałem wystrzelić tylko pięć razy. Niemal jednocześnie usłyszeliśmy dobiegające z przodu odgłosy walki: a więc dryfownicy zaatakowali także główną kolumnę. Ognista kula wyrzucona z jakiegoś urządzenia miotającego przemknęła mi nad głową i roztrzaskała się na metalowej grodzi, rozsyłając we wszystkie strony płomieniste bryzgi. Odwróciłem się najprędzej, jak mogłem, po czym rzuciłem się do ucieczki, pociągając za sobą resztę oddziału. Po mniej więcej pięćdziesięciu krokach odwróciłem się, aby sprawdzić, ilu dryfowników ruszyło za nami w pogoń. Było ich tylko trzech, więc zastrzeliłem ich i rozdałem odebraną im broń (dwie włócznie oraz krótki oszczep) tym spośród moich podkomendnych, którzy twierdzili, że potrafią się nią posługiwać. Tak wyposażeni ruszyliśmy w kierunku, z którego

dobiegały odgłosy walki, mijając rozwleczone na podłodze ciała, zarówno buntowników, jak i marynarzy.

Nagle z ogłuszającym rykiem uderzył w nas huraganowy wiatr. Był tak silny, że niewiele brakowało, a zerwałby mi z grzbietu poszarpaną koszulę.

Rozdział XIV

Koniec wszechświata

Marynarze okazali się znacznie bardziej domyślni ode mnie, ponieważ od razu założyli metalowe naszyjniki. Ja sięgnąłem po swój dopiero wtedy, kiedy przekonałem się, że uczynili to wszyscy moi podwładni, dopiero wtedy też zrozumiałem, co się stało.

Gdzieś niedaleko jakaś potworna eksplozja rozszarpała zewnętrzną powłokę statku i powietrze, które wypełniało tę jego część, uciekało raptownie w próżnię. Zakładając naszyjnik usłyszałem huk zatraskujących się grodzi, przypominający dudnienie gigantycznych wojennych bębnow. Jak tylko udało mi się połączyć metalowe ogniwa, odniosłem wrażenie, że wiatr ustał, choć nadal widziałem kłęby kurzu i drobniejsze przedmioty podrywane gwałtownie z podłogi oraz luźne części ubrań furkoczące na ciałach poległych. Jeśli chodzi o moje ciało, to docierał do niego jedynie lekki, słabo wyczuwalny powiew.

Posuwając się ostrożnie naprzód (w każdej chwili spodziewaliśmy się ujrzeć dryfowników) dotarliśmy do miejsca eksplozji. Przypuszczałem, iż tam właśnie uda mi się obejrzeć część wewnętrznej struktury statku, a tym samym nabrać niejakiego pojęcia o jego budowie, lecz spotkał mnie srogi zawód.

Zobaczyłem tylko roztrzaskane drewno, powyginany metal i zdruzgotany kamień wymieszane bez ładu i składu z materiałami nieznanymi na Urth, o powierzchni gładkiej jak kość słoniowa lub szafir, ale przedziwnej, trudnej do nazwania barwy. Za tą bezkształtną ruiną czekały milczące gwiazdy.

Utraciliśmy kontakt z naszymi głównymi siłami, lecz nie ulegało wątpliwości, iż tak wielkie uszkodzenie będzie musiało zostać szybko naprawione. Dałem znak ośmiorgu ocalałym marynarzom tworzącym wraz ze mną straż tylną, żeby podążali za mną; miałem nadzieję, że kiedy dotrzemy na pokład, zastaniemy tam już pracujące w pośpiechu ekipy remontowe.

Gdybyśmy byli na Urth, wspinaczka po niemal pionowym rumowisku z pewnością okazałaby się niemożliwa, tutaj natomiast posuwaliśmy się naprzód bez żadnych problemów: należało tylko rozejrzeć się uważnie przed każdym skokiem, wybrać miejsce lądowania, po czym odepchnąć się mocno, lecz z wyczuciem, od sterczących pod przedziwnymi kątami pogruhotanych szczątków.

Dość szybko osiągnęliśmy pokład, choć w pierwszej chwili odniosłem wrażenie, iż trudno nazwać to osiągnięciem. Wokół nas rozciągało się pustkowie niemal tak ponure i monotonne jak to, które kiedyś oglądałem z ostatniego piętra Najdalszego Domu. Na pokładzie leżały nieruchomo potwornie grube, poskręcane liny; kilka wciąż jeszcze pięło się w górę, podtrzymując resztki zgruhotanego masztu.

Jedna z kobiet zamała gwałtownie ręką, po czym wskazała w kierunku innego masztu, odległego co najmniej o kilka mil. Spojrzałem w tamtą stronę, ale przez chwilę nie widziałem nic oprócz gigantycznego żagla, rej oraz mnóstwa lin; dopiero po chwili dostrzegłem fioletowe mrugające światło, trudne do odnalezienia na tle niezliczonych gwiazd, zaraz potem zaś takie samo, migoczące na sąsiednim maszcie.

Chwilę później wydarzyło się coś tak dziwnego, że początkowo przypuszczałem, iż to wzrok płata mi figle albo że uległem halucynacjom: małe srebrna plamka zawieszona, jak mi się wydawało, wiele mil nad naszymi głowami zachybotła się niespodziewanie, po czym zaczęła powoli rosnąć. Ma się rozumieć, w rzeczywistości wcale nie rosła, tylko spadała, ale nie musiała przedzierać się przez atmosferę, co uchroniło ją przed gwałtownymi podskokami i kołysaniami, a jednocześnie ulegała tak słabemu przyciąganiu, że ów upadek przypominał raczej łagodne szybowanie.

Do tej pory ja prowadziłem żeglarzy, teraz jednak oni przejęli inicjatywę. Zaczęli w panicznym pośpiechu wspinać się na olinowanie obu masztów, podczas gdy ja wciąż stałem bez ruchu, zahipnotyzowany widokiem rosnącej powoli plamki. Kilka oddechów później zostałem sam: ludzie, którymi jeszcze niedawno dowodziłem, śmigali między linami jak strzały, wciąż podążając w górę i od czasu do czasu strzelając w kierunku niewidocznego przeciwnika. Ja jednak w dalszym ciągu nie mogłem podjąć decyzji.

Przypuszczałem, że jeden z masztów został opanowany przez buntowników, drugi zaś przez załogę.

Niewłaściwy wybór oznaczał pewną śmierć.

W głębokiej, niczym nie zmaconej ciszy, do pierwszej plamki dołączyła druga.

Odstrzelenie jednego żagla mogło zdarzyć się przypadkowo, ale zerwanie dwóch w krótkim odstępie czasu musiało oznaczać celowe działanie. Gdyby zniszczeniu uległo wystarczająco dużo żagli i masztów, statek znacznie straciłby na prędkości i nie zdołałby w porę dotrzeć do celu: tylko jednej ze stron konfliktu zależało na osiągnięciu tego rezultatu.

Ruszyłem w górę po olinowaniu tego masztu, z którego spadały żagle.

Wspomniałem już, że pokład przypominał lodową równinę mistrza Asha. W miarę jak wspinałem się coraz wyżej, obejmowałem wzrokiem coraz większy obszar. Przez ogromną wyrwę w miejscu, gdzie jeszcze niedawno wznosił się maszt, wciąż jeszcze uciekało powietrze. Im dalej rozchodziło się od statku, tym lepiej było je widać: przypominało niespokojnego ducha jakiegoś tytana, skrzącego się milionami iskierek. Iskierki te, migoczące odbitym światłem gwiazd, opadały z wolna na pokład, tworząc na nim coraz, grubszą, nieskazitelnie białą, zmrożoną powłokę.

Ponownie stanąłem w oknie pustelni mistrza Asha i usłyszałem jego głos:

"Teraz widzisz ostatnie zlodowacenie. Powierzchnia słońca bardzo ostygła, ale wkrótce ponownie stanie się gorąca, tyle że jednocześnie słońce zacznie się szybko kurczyć, dostarczając coraz mniej energii krążącym wokół niego planetom. Gdyby wówczas ktoś stanął na lodowej skorupie i spojrzał w górę, ujrzałby zaledwie nieco jaśniejszą gwiazdę. Lód nie byłby zamrożoną wodą. lecz zestaloną

atmosfera planety. Trwałby w nie zmienionej postaci przez bardzo długi czas. może nawet do ostatniego dnia istnienia wszechświata".

Odniosłem wrażenie, że znowu jest obok mnie. Nawet kiedy otrząsałem się ze wspomnień i skoncentrowałem na terażniejszości, wciąż wydawało mi się, że mistrz Ash szybuje razem ze mną między grubymi linami, szepcząc mi do ucha. Zniknął bez śladu owego ranka, kiedy szliśmy wąwozem w pobliżu Przełęcz y Orithyia, gdy prowadziłem go do Mannei z zakonu Peleryn; teraz dowiedziałem się, dokąd przede mną uciekł

Przekonałem się także, iż jednak wybrałem niewłaściwy maszt.

Gdyby istotnie statek zaczął dryfować między gwiazdami, byłoby całkowicie bez znaczenia, czy Severian, niegdyś czeladnik w konfraterni katów, a później Autarcha, zdołał ocalić życie, czy też zginął.

Zamiast po kolejnym skoku przytrzymać się mocno liny. do której dotarłem, odbiłem się od niej ze wszystkich sił i poszybowałem ponownie, tym razem w kierunku masztu opanowanego przez buntowników.

Bez względu na to, jak często starałbym się opisać uczucia towarzyszące mi podczas tych skoków, nigdy nie zdołałem w pełni oddać zachwyty, jaki mnie wtedy ogarniał, oraz niesłychanego przerażenia.

Odbicie niczym nie różni się od odbicia do zwykłego skoku na Urth, ale zaraz potem wszystko nieprawdopodobnie się wydłuża, lot trwa, wydawać by się mogło, bez końca, a z każdym coraz płytszym oddechem człowiek nabiera przekonania, że z pewnością chybi celu i że szybuje ku zagładzie, jak rzucona przez dzieci piłka, która, niesiona wiejącym od lądu wiatrem, spadnie wreszcie do morza i zostanie zabrana przez fale hen, daleko, na środek wzburzonego oddechu. Skojarzenia te nie opuściły mnie nawet wówczas, kiedy miałem przed oczami gładką równinę pokryta lśniącem w blasku gwiazd, zestalonym powietrzem. Z wyciągniętymi do przodu rękami i wyprostowanymi nogami czułem się jak zaczarowany nurek mknący na spotkanie umykającej przed nim toni.

W kompletnej ciszy, bez żadnego ostrzeżenia w przestrzeni między masztami, gdzie nie powinno być żadnej liny, pojawiła się ognista nić. Chwilę potem dołączyła do niej druga i trzecia, następnie zaś wszystkie znikły, a ja przemknąłem przez miejsce, gdzie jeszcze niedawno się przecinały. A więc buntownicy już mnie rozpoznali i zaczęli strzelać do mnie ze swoich stanowisk na maszcie.

Nigdy nie należy zbyt długo stwarzać wrażenia, że jest się tylko bezbronnym celem. Najszybciej, jak mogiem, wyszarpnąłem pistolet z pochwy i wycelowałem go w miejsce, z którego jak mi się wydawało, wytrysnął niedawno skupiony promień gorącego światła.

Wspominałem już, że jakiś czas temu. kiedy stałem na korytarzu przy drzwiach mojej kabiny z ciałem stewarda u stóp, przeląknąłem się czerwonego punkcika widocznego powyżej uchwytu pistoletu.

Teraz, kiedy nacisnąłem spust, przestraszyłem się ponownie, tym razem jednak dlatego, że go tam nie było.

Nie poczułem też gwałtownego szarpnięcia, z lufy zaś nie wytrysnął jaskrawofioletowy strumień energii. Gdybym był tak mądry, jak czasami próbuję stwarzać wrażenie, zapewne od razu cisnąłbym pistolet w przestrzeń; ja jednak z przyzwyczajenia schowałem go do olster. a zajmując się tą czynnością nie zwróciłem uwagi na kolejny strzał oddany w moim kierunku. Promień, który minął moją głowę w bardzo niewielkiej odległości, zniknął w chwili, gdy podniosłem wzrok.

Potem nie było już czasu ani na to, by strzelać, ani na to, żeby być ostrzeliwanym. Wokół mnie pojawiły się naprężone liny, a ponieważ znajdowałem się stosunkowo blisko pokładu, każda z nich dorównywała grubości pniu dorodnego drzewa. Na tej, do której zbliżałem się w szybkim tempie, czekał już na mnie jeden z dryfowników; w pierwszej chwili wziąłem go za człowieka nadzwyczaj potężnej postury i zapewne ogromnej siły, zaraz potem jednak przekonałem się, że nim nie jest, ponieważ w jakiś tajemniczy sposób potrafił chwycić się liny stopami. Obserwacje te zajęły mi znacznie mniej czasu, niż potrzebowałem teraz, aby je opisać.

Wyciągnął ku mnie ramiona jak zapaśnik szykujący się do starcia z przeciwnikiem. Zimne światło gwiazd zaśniło na długich szponach.

Był pewien, że będę się starał uchwycić liny, i zamierzał właśnie wtedy rozprawić się ze mną.

Sprawiłem mu jednak niespodziankę, gdyż zamiast postąpić zgodnie z jego przewidywaniami runąłem wprost na niego i wyhamowałem pęd wbijając mu nóż w pierś.

Niewiele jednak brakowało, bym nie zdołał wytracić znacznej, jak się okazało, prędkości. Przez kilka oddechów kołysaliśmy się przy linie, on jak łódź przycumowana do niej, ja jak druga, mniejsza, przyczepiona do niego. Krew miał tego samego koloru co człowiek; w zetknięciu z iodową pustką tworzyła nieregularne owalne kształty i zamarzała, sprawiając jednocześnie wrażenie, jakby wrzała, po czym odpływała w przestrzeń.

Przez chwilę obawiałem się, że rękojeść noża wyslizgnie mi się z dłoni, ale zaraz potem chwyciłem ją mocniej. Tak jak na to liczyłem, ostrze utkwilo mocno między żebrami, dzięki czemu zdołałem podciągnąć się do liny. Rzecz jasna powinienem był natychmiast ruszyć w górę, ku szczytowi masztu, ja jednak zatrzymałem się, aby spojrzeć na martwego buntownika. Przypuszczałem, że jego groźne szpony okażą się sztuczne, tak jak stalowe pazury magów albo *lucivee*, którym Agia rozplatała mi policzki, a wtedy być może zdołam mu je odebrać i posłużyć się nimi jako bronią.

W pewnym sensie były sztuczne, ale nie udało mi się ich zabrać, ponieważ stanowiły rezultat odrażającego zabiegu, jakiemu został poddany zapewne w młodym jeszcze wieku; jego palcom nadano kształt pazurów arctothera, wydłużając je sztucznie i wykrzywiając, tak że z pewnością nie mógł w nich utrzymać ani żadnej broni, ani nawet prostego narzędzia.

Chciałem już odwrócić wzrok, lecz moją uwagę przykuł zdumiewająco ludzki wyraz jego twarzy.

Zabiłem go tak samo jak wielu innych: w milczeniu, bez słowa. Katom nie wolno było rozmawiać z klientami ani nawet słuchać tego, co mówili podczas tortur lub egzekucji. Od dawna już podejrzewałem, że wszyscy ludzie są katami - teraz śmierć tego człowieka-niedźwiedzia przypomniła mi, że ja także jestem katem. To prawda, walczył po stronie buntowników, ale skąd

mogłem mieć pewność, czy znalazł się tam z własnej woli? A może był przekonany, że postępuje w jedynie słuszny sposób, tak samo jak ja, kiedy walczyłem ra mię w ra mię z Siderem po stronie kapitana, którego nawet nie znałem? Oparłem stopę na jego piersi i wyszarpnąłem nóż.

Otworzył oczy i ryknął przeraźliwie, z jego ust zaś trysnęła krew zmieszana z pianą. Nie wiem czemu bardziej zaskoczył mnie fakt, że go słyszę, niż to, że on, który wydawał się zupełnie martwy, znowu się porusza. Wyjaśnienie pierwszej tajemnicy okazało się bardzo proste: byliśmy tak blisko siebie, że nasze powietrzne skafandry połączyły się, tworząc dużą banię wypełnioną zdalną do oddychania atmosferą.

Uderzyłem nożem w jego twarz, ale pechowy zbieg okoliczności sprawił, iż trafiłem w grube kości.

Cios okazał się za słaby, by wyrządzić mu poważniejszą krzywdę, był natomiast wystarczająco silny, żebym, nie mając oparcia dla stóp, poszybował wstecz, z powrotem w bezdenną pustkę.

Przeciwnik rzucił się na mnie. Jego szpony rozorały mi ramię, nóż wypadł mi z ręki i zawisł między nami, błyszcząc zakrwawionym ostrzem w srebrzystym świetle gwiazd. Usiłowałem go złapać, ale niedźwiedziopodobna istota była szybsza: wystarczyło jedno uderzenie potężnej, uzbrojonej w pazury ręki i nóż poszybował w pustkę, błyskawicznie niknąc wśród olinowania.

Bardziej przypadkiem niż celowo zacisnąłem palce na metalowym naszyjniku buntownika i szarpnąłem z całej siły. W tej sytuacji jedynym wyjściem dla mego przeciwnika było przywrzeć do mnie najciaśniej jak

to możliwe, by znaleźć się wewnątrz otaczającego mnie kokonu powietrza; on jednak tego nie uczynił -

nie wiem, czy nie mógł, czy o tym nie pomyślał - spróbował natomiast zadać jeszcze jeden cios, w wyniku czego odsunął się ode mnie na kilka łokci. Widziałem, jak umiera, na próżno usiłując napęścić płuca powietrzem, a potem zniknął mi z oczu.

Zamiast radości ze zwycięstwa ogarnęły mnie wyrzuty sumienia oraz pewność, że niebawem ja także przekroczę granicę między życiem i śmiercią. Wyrzuty sumienia wzięły się stąd, że żałowałem mego przeciwnika, na co łatwo się zdobyć w stosunku do osób, z których strony nie zagraża nam już żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo; pewność śmierci wynikała z faktu, iż było dla mnie jasne, że nie zdołam zbliżyć się ani do żadnej reji, ani którejkolwiek z lin łączących maszty z pokładem.

Przypuszczałem, że powietrza wystarczy mi na wachtę, może półtorej; w sumie na trzy, bo przecież dzięki naszyjnikowi dryfownika miałem podwójny zapas. Potem zacząłem oddychać coraz szybciej i płycej, ale na nic mi się to nie zda, gdyż otaczające mnie powietrze będzie składać się już niemal wyłącznie z elementu stanowiącego pożywienie drzew i kwiatów, który jednak w większej ilości okazuje się zabójczy dla ludzi i zwierząt.

Nagle przypomniałem sobie, jak całkiem niedawno udało mi się ujść z życiem z podobnej opresji dzięki ciężkiemu pojemnikowi z manuskrypcem, który cisnąłem w przestrzeń. Natychmiast zacząłem się zastanawiać, czego mógłbym pozbyć się tym razem. Utrata naszyjnika nie wchodziła w rachubę,

ponieważ oznaczałaby dla mnie natychmiastową śmierć; pomyślałem o butach, lecz tych już się kiedyś pozbyłem. gdy po raz pierwszy w życiu stanąłem nad brzegiem żarłocznego morza. Dawno temu cisnąłem szczątki Terminus Est do Jeziora Diuturna - teraz to samo mógłbym uczynić z myśliwskim nożem, który zawiódł mnie w najmniej odpowiednim momencie, gdyby nie to, że utraciłem go w niedawnym starciu.

Pozostał mi tylko pas ze skórzaną pochwą na sztylet, kieszonką mieszczącą dziewięć chrisos oraz tkwiącym w futerale, bezużytecznym pistoletem. Przełożyłem monety do kieszeni, zdjąłem pas, owinałem go wokół pochwy, futerału i pistoletu, zmówiłem szeptem modlitwę, po czym z całej siły rzuciłem go w rozgwieżdżoną pustkę.

Od razu zacząłem szybować nieco szybciej, jednak - niestety -

nie w kierunku pokładu. Znajdowałem się już na wysokości marsów obu sąsiednich masztów.

Spojrząwszy w kierunku oddalającego się pokładu dostrzegłem jeszcze jeden strumień fioletowego światła, potem zaś w dole zapanował całkowity spokój, równie niewzruszony jak spowijająca mnie cisza bezkresnej pustki.

Zamiast pogрузić się w ponurych rozważaniach o nieuniknionej śmierci, prawie od razu zacząłem się zastanawiać, dlaczego nikt do mnie nie strzela, mimo iż czyniono to jeszcze całkiem niedawno, kiedy przeskakiwałem z liny na linę. Nie zdołałem jednak rozwikłać tego problemu, gdyż wzniósłem się ponad szczyt masztu stojącego bliżej rufy; widok, który ukazał się mym oczom, kazał mi natychmiast zapomnieć o wszystkich mało istotnych zagadkach i tajemnicach.

Tak jak kiedyś Nowe Słońce Urth zawiśnie nad Murem Nessus, tak teraz nad krawędzią górnego żagla zawisło słońce, jakiego nigdy nie ujrzy ktoś stąpający przez całe życie po powierzchni którejkolwiek z planet - nieporównanie większe i piękniejsze nawet od Nowego Słońca z naszych wyobrażeń, o tyle od niego wspanialsze, o ile ten najmniejszy z żagli, dorównujący wielkością całemu kontynentowi, był wspanialszy od Muru Nessus, w porównaniu z tym ogromem przypominającego sklecone byle jak z drewnianych drągów ogrodzenie pastwiska. Ten rozbłysk olśniewającej jasności oznaczał narodziny nowego wszechświata, stanowił pozostałość pierwszej, najważniejszej i najpotężniejszej eksplozji, zawierał w sobie blask wszystkich gwiazd i był ojcem wszystkich słońc, ponieważ każde z nich z niego właśnie zaczerpnęło energię, która miała im starczyć na niezliczone wieki samodzielnego bytowania. Nie wiem, jak długo wpatrywałem się w niego z zachwytem, ale kiedy ponownie spojrzałem w dół, maszty i pokład statku były już bardzo, bardzo daleko.

Ogarnęło mnie zdumienie, gdyż właśnie wtedy uprzytomniłem sobie, że gdy wraz z moim małym oddziałem dotarłem do wyrwy w pokładzie i popatrzyłem w górę, ujrzałem nie olśniewającą eksplozję nowego wszechświata, lecz całkiem zwyczajne, świecące spokojnie gwiazdy.

Odwrociłem głowę w przeciwną stronę. Gwiazdy były na miejscu, ale odniosłem wrażenie, że ułożyły się w kształt przypominający ogromny dysk, przy czym te najślabiej świecące zgromadziły się w pobliżu jego krawędzi.

Przebywając tutaj, nad brzegiem niespokojnego morza, wielokrotnie zastanawiałem się nad tym widokiem. Powiada się, że wszechświat jest tak ogromny, iż oglądamy go nie takim, jakim jest, lecz takim, jakim był, tak samo jak ja, będąc Autarchą, nie znałem aktualnego stanu naszej Wspólnoty, tylko ten, w jakim się znajdowała, kiedy pisano przeznaczone dla mnie raporty. Jeśli tak jest w istocie, to nie sposób wykluczyć, iż gwiazdy, które wówczas widziałem, nie istniały już od wielu tysięcy lat oraz że świadectwo moich oczu było warte tyle samo co pozółkłe ze starości dokumenty, które kiedyś znalazłem w komnacie autarchów w Wielkiej Wieży.

Pośrodku dysku świeciła jasnoblękitna gwiazda znacznie większa od pozostałych. Dosłownie rosła w oczach, z czego wynikało, że nie jest nawet w połowie tak daleko ode mnie, jak przypuszczałem.

Gnany podmuchami światła statek pędził chyba szybciej niż samo światło, tak jak niegdyś statki pływające po wzburzonych morzach Urth ścigały się z wiatrem, czasem zwyciężając w tych zawodach.

Jednak nawet jeśli tak było w istocie, to od błękitnej gwiazdy dzieliła nas naprawdę bardzo niewielka odległość, a jeśli istotnie była gwiazdą, to nic już nie mogło nas ocalić, ponieważ pędziliśmy w samo jej serce.

Powiększała się coraz szybciej, w pewnej chwili zaś na jej powierzchni pojawiła się zakrzywiona czarna linia, bardzo podobna do Pazura Łagodziciela w chwili, gdy ujrzałem go po raz pierwszy; stało się to nocą, kiedy wyjąłem go z pochwy Terminus Est i pokazałem Dorcas, a potem oboje długo mu się przyglądaliśmy, zdumieni jego niezwykłym błękitnym blaskiem.

Choć gwiazda, jak już powiedziałem, stawała się coraz większa, ciemna linia rosła w znacznie szybszym tempie, aż wreszcie niemal całkowicie zasłoniła błękitny dysk, a wtedy zorientowałem się, z czym naprawdę mam do czynienia: czarna, wygięta krecha okazała się samotną liną wciąż jeszcze łączącą zdruzgotany maszt z pokładem statku. Chwyciłem się jej obiema rękami, po czym zamarłem w bezruchu, obserwując, jak nasz wszechświat, który nazywa się Briah, gaśnie stopniowo, by wreszcie zniknąć jak sen.

Rozdział XV

Yesod

Logicznie rzecz biorąc, powinienem był wrócić po linie na statek, ale tego nie uczyniłem. Z

miejsca, w którym do niej przywałem, nie miałem zbyt dobrego widoku, więc niewiele myśląc ruszyłem w górę (nie wiem, czy sądziłem, że ujdę każdemu niebezpieczeństwu, czy y ra czej uznałem, że jest mało prawdopodobne, bym napotkał większe niż to, któremu właśnie uszedłem), dotarłem do oderwanego masztu, przepełniłem przez część jego długości, wgramoliłem się na koniec reji, usadowiłem najwygodniej, jak to było możliwe, i wytrzeszczyłem oczy.

Wiem, iż nie uda mi się opisać tego, co ujrzałem, lecz mimo wszystko spróbuję to uczynić. Błękitna gwiazda przeistoczyła się w ogromny dysk barwy czystego lazuru. Wspomniałem już, że znajdowała się znacznie bliżej niż inne, przypominające wyblakłe widma, ale była prawdziwa, podczas gdy tamte stanowiły zaledwie wspomnienia samych siebie, kto więc może rozstrzygnąć, co było bliżej, a co dalej?

Porównując ja z nimi doszedłem szybko do wniosku, że one, liczne, niewyraźne i migoczące, w gruncie rzeczy są złudzeniem, a zatem, jak każde złudzenie, zwyczajnym kłamstwem. Lazurowy dysk wciąż się powiększał, aż wreszcie dostrzegłem na jego tle rozwleczone smugi chmur i parsknąłem śmiechem, rozbawiony własną głupotą. Niemal jednocześnie uświadomiłem sobie, iż właśnie ta głupota może lada chwila stać się przyczyną mojej śmierci, lecz mimo to nie ruszyłem się z miejsca. Pędziliśmy w sam środek dysku, tak że przez krótką chwilę dokoła statku pojawił się pierścień nieprzeniknionej czerni inkrustowany zjawowymi gwiazdami, Diadem Briaha.

Zaraz potem odniosłem wrażenie, jakbyśmy zanurzyli się w oceanie lazurowego światła; za nami, gdzie jeszcze niedawno widziałem jaśniejącą koronę młodych gwiazd, pojawił się nasz wszechświat, krąg niewiele przewyższający średnicą hebanowy księżyc Yesodu, który zresztą szybko skurczył się do rozmiarów maleńkiej plamki, a potem zniknął.

Jeśli wy, którzy kiedyś być może przeczytacie te słowa, zachowaliście jeszcze resztki szacunku dla mojej osoby, pomimo niezliczonych głupstw, jakie mniej lub bardziej świadomie popełniłem w życiu, teraz z pewnością je utracicie, ponieważ zareagowałem jak dziecko, któremu pokazano ohydny mordę wyrzeźbioną w dyni i podświetloną od środka blaskiem świecy. Kiedy Jonas i ja zbliżyliśmy się do Domu Absolutu, zostaliśmy zaatakowani przez notule Hethora, istoty sprowadzone na Urth dzięki zwierciadłom takim jak te, którymi posługiwał się ojciec Inire, czarne jak najczarniejszy fuligin i niemal zupełnie nieważkie, lecz mimo to śmiertelnie niebezpieczne. Teraz, spoglądając na nienickną Briah, odniosłem wrażenie, że widzę ponownie, choć tym razem nic były czarne, lecz srebrzystobiałe.

Ogarnięty przerażeniem usiłowałem schować się za reją. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiałem to, czego ty, czytelniku, domyśliłeś się zapewne od razu: że nic są to żadne notule, tylko strzepy żagli ze zniszczonego masztu, bezlitośnie targane wiatrem. Oznaczało to, że dotarliśmy już do górnych warstw atmosfery. Zerknąwszy na statek przekonałem się, iż żagle zniknęły z masztów, które teraz sterczały we wszystkie strony niczym nagie drzewa w zimowym lesie.

Jakich niezwyklej doznawałem uczuć oddychając cokolwiek stęchłym powietrzem, które otaczało mnie utrzymywane niezwyklej mocą metalowego naszyjnika, i wiedząc, że wokół mnie szaleje gwałtowna wichura, choć do mego ciała nie docierał żaden, nawet najmniejszy podmuch. Gwałtownym ruchem zdarłem oba naszyjniki i zaraz potem mocarne uderzenie wichru mało co nie oderwało mnie od rei, moje uszy zaś wypełnił ryk huraganu.

Jakiż cudowny smak miało to powietrze! Żadne słowa nie zdołają go opisać, gdyż było to powietrze Yesodu, lodowato zimne i złościście mieniące się życiem. Nigdy do tej pory nie było mi dane napełnić płuc tym nektarem, a jednak zdawało mi się, że skądś znam jego smak.

Wicher zdarł mi z grzbietu podartą koszulę, ja zaś nagle pojąłem, że moja pamięć i tym razem mnie me zawiodła. Tego wieczoru, kiedy wyruszałem z Cytadeli na wędrówkę wiodącą do Thraxu, Miasta Bezokiennych Pokoi, sz edłem Wodną Drogą, spoglądając na barki i statki płynące sz erokim koryłem Gyoll. Wiatr, który wówczas się

zerwał i łopotał moim fuliginowym płaszczem, niósł ze sobą zapachy dalekiej północy; ten sam wiatr dał teraz, zapowiadając nadejście nowych czasów i nucąc na raz wszystkie pieśni nowego świata.

Gdzie jednak był ów świat? Pod statkiem widziałem tylko lazurową czarę wypełnioną porozwlekanyimi smugami chmur, jakbyśmy wciąż jeszcze znajdowali się w starym, zużyтым i brudnym wszechświecie. Bardzo szybko (oddychając tym cudownym powietrzem czułem rozpierającą mnie od wewnątrz energię i wprost nie byłem w stanie zmusić się do trwania w bezruchu) zrezygnowałem z prób rozwiązania zagadki i ruszyłem po linie w dół, ku statkowi.

Ujrzałem go chwile później, bynajmniej nie w dole, gdzie go szukałem, lecz nad głową: ogromną, cudownie łagodną krzywizną sięgającą hen, daleko w obie strony, z mnóstwem białych obłoków w dzielącej rwnie od niego przestrzeni, planetę pokrytą błękitnymi i zielonymi plamami niczym jajo jakiegoś dzikiego ptaka.

Ujrzałem też rzecz jeszcze bardziej niezwyklej, to znaczy nadejście Nocy, Miała na ramionach fuliginowy płaszcz, jakby należała do naszego bractwa, i otuliła nim ten nowy, wspaniały świat, tak że przywiodła mi na myśl matkę Noctui z zawartej w brązowej książce opowieści, którą czytałem Jonasowi. U jej stóp kłębiły się krwiożercze wilki, przemknęła między Hesperusem a Sirusem, ja zaś zacząłem się zastanawiać, jaka siła gna jeszcze nasz statek, skoro zapadła noc. a wszystkie żagle zostały zwinięte, w związku z czym nie mógł pchać go naprzód nawet słaby blask blednących z każdą chwilą gwiazd.

Szybko jednak przestałem się dziwić, ponieważ przypomniałem sobie, z jaką łatwością śmigały nad powierzchnią Urth mniejsze statki hieroduli, w tym również ten, który przywiózł mnie (a także Idas i Purna, choć wówczas nie miałem o tym pojęcia) na pokład ogromnej jednostki, choć były zupełnie pozbawione słonecznych żagli. Z pewnością ten statek także miał inne źródła napędu, co jednak wcale nie tłumaczyło postępowania kapitana, który nie zmniejszając prędkości prowadził go prosto na spotkanie z planetą. Przesuwając się wzdłuż naprężonej liny roztrząsałem te problemy, z każdą chwilą coraz bardziej utwierdzając się w przeświadczeniu, że znacznie łatwiej jest się nad nimi zastanawiać niż formułować jakiegokolwiek wnioski.

Zanim dotarłem na pokład, statek także zanurzył się w ciemności. Wiatr nadal dął z ogromną siłą.

jakby pragnął za wszelką cenę oderwać

mnie od liny i cisnąć w czarną nicość. Odniosłem wrażenie, że odczuwam już słabe przyciąganie Yesodu. choć w tej chwili nie jestem w stanie stwierdzić, czy było tak naprawdę, czy raczej miałem do czynienia ze złudzeniem powołanym do życia siłą mojej podekscytowanej wyobraźni. Tak czy inaczej, po raz kolejny postąpiłem jak głupiec, ponieważ zdecydowałem się na skok z dość znacznej wysokości; huraganowy wiatr porwał mnie z taką łatwością, jakbym był zeschniętym liściem, i powłókł po pokładzie. Tylko niezwykłemu szczęściu zawdzięczam, iż nie roztrzaskałem się o maszt albo którąś z lin.

Oszołomiony i posiniaczony zdołałem jakoś stanąć na czworakach, a następnie zacząłem po omacku szukać włazu. Po dość długim czasie, kiedy moje poszukiwania nie przyniosły rezultatu, postanowiłem przerwać je i zaczekać na nadejście dnia... i właśnie wtedy zrobiło się widno, tak nagle i niespodziewanie, jakby ktoś gwałtownym ruchem zerwał zasłonę odgradzającą dzień od nocy. Słońce Yesodu, przypominające kroplę rozgrzanego do białości złota, wspinało się szybko nad zakrzywiony horyzont.

Przez chwilę wydawało mi się, że słyszę głosy gandharwów śpiewających przed tronem Prastwórcy, a zaraz potem przed dziobem statku (moja wędrówka w poszukiwaniu włazu zaprowadziła mnie bowiem na sam przód jednostki) dostrzegłem szeroko rozłożone skrzydła gigantycznego ptaka. Pędziliśmy ku niemu jak lawina, on jednak w porę nas dostrzegł, raz jeden poruszył skrzydłami i wbił się w górę, nie przerywając ani na chwilę śpiewu. Skrzydła miał śnieżnobiałe, pierś jak lodową górę, a jeżeli skowronki z Urth są często przyrównywane do fletów, to śpiew tego ptaka Yesodu brzmiał jak cała orkiestra, ponieważ zdawał się składać z mnóstwa współbrzmiących głosów, niektórych wysokich i słodkich, innych głębszych od dudnienia najpotężniejszych bębnow.

Mimo przenikliwego zimna (czułem się tak, jakbym zaraz miał zamarznąć), mogłem tylko zatrzymać się i słuchać. Kiedy ptak znalazł się daleko za rufą i zniknął mi z oczu, zasłonięty lasem nagich masztów.

jego pieśń zaś umilkła w oddali, natychmiast zacząłem rozglądać się za następnym.

Nie dostrzegłem żadnego ptaka, lecz bynajmniej nie oznacza to, że niebo nad moją głową było puste. Żeglował po nim siatek, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem: o smukłym kadłubie i skrzydłach

potężniejszych od skrzydeł białego ptaka, o krawędziach ostrych niczym ostrza mieczy. Gdy znaleźliśmy się pod nim, niespodziewanie ułożył skrzydła i zaczął spadać jak kamień; przez głowę przeniknęła mi myśl, że ani chybi roztrzaska się na kawałki wraz z całą załogą, gdyż był nieporównanie mniejszy, a więc także bez wątpienia lżejszy od nas.

On jednak przemknął nad szczytami masztów niczym strzała śmigająca nad ostrzami wystawionych w górę włóczni, po czym usiadł delikatnie na bukszprycie i znieruchomiał jak lampart na gałęzi drzewa, zaczajony nad ścieżką wydeptaną przez jelenie zmierzające do wodopoju albo po prostu

wygrzewający się w promieniach słońca.

Sądziłem, że lada chwila ujrzę załogę mniejszego statku, ale zawiodłem się w swych rachubach. Czas mijał, ja zaś z każdym mijającym oddechem odnosiłem coraz silniejsze wrażenie, że tamta jednostka stała się nieodłączną częścią naszego kolosa, a nawet zacząłem podejrzewać, iż uległem złudzeniu i że to niemożliwe, bym jeszcze niedawno widział ją unoszącą się samodzielnie nad modrą planetą albo przemykającą nad lasem masztów. Upodobniła się do czegoś pośredniego między figurą dziobową a nienaturalnie grubym bukszprytem, jej skrzydła natomiast przeistoczyły się w mocne obręcze spajające ją z kadłubem naszego statku.

Nagle uprzytomniłem sobie, że przecież kiedy poprzedni Autarcha przybył na Yesod, został

odtransportowany na powierzchnię planety właśnie takim statkiem! Nie posiadając się z radości popędziłem po gładkim pokładzie, rozglądając się dokoła w poszukiwaniu wjazdu. Jakże wspaniale biegło się z płucami wypełnionymi wonnym, cudownie aromatycznym powietrzem! Zapomniałem o niesprawnej nodze, która cały czas musiałem wlec za sobą, a wreszcie do lego stopnia dałem się ogarnąć euforii, że odbiłem się z całej siły i dałem ogromnego susa w górę. Tak jak tego oczekiwałem, wiatr natychmiast porwał mnie w objęcia i z wielką prędkością poniósł nad kadłubem; kiedy wreszcie złapałem się wanty, niewiele brakowało, by ramiona wyskoczyły mi ze stawów.

Mój szalony wyczyn przyniósł jednak zamierzone efekty, ponieważ w trakcie lotu dostrzegłem pęknięcie w kadłubie, przez które wydostałem się na zewnątrz wraz z moim oddziałem. Pobiegłem tam niezwłocznie, opuściłem się po rumowisku na dno otworu, a po chwili szedłem już zacisznymi, wypełnionymi niezwykle blaskiem korytarzami.

Dudnił w nich potężny głos, którego nigdy się wyraźnie nie słyszało, a jednocześnie bez trudu można było zrozumieć każde słowo, wzywający Epitoma Urth. Przyspieszyłem kroku, wkrótce zaś znowu biegłem, rozkoszując się ciepłem oraz zapachem czystego powietrza Yesodu, które dotarło już nawet tutaj, głęboko pod pokład, pewien, że chwila mojej próby jest już bliska.

Podzieleni na niewielkie grupy marynarze szukali mnie po całym statku, ja jednak dość długo nie mogłem na nich natrafić, mimo iż wyraźnie słyszałem ich głosy, a parę razy nawet dostrzegłem sylwetki niknące za zakrętem korytarza lub przemykające przez któreś z licznych skrzyżowań. Wreszcie, otworzywszy nie wyróżniające się niczym szczególnym drzwi, wyszedłem na platformę z ażurowych metalowych płyt, spojrzawszy zaś w dół dostrzegłem na dnie głębokiego szybu poustawiane byle jak maszyny i urządzenia, między którymi wznosiły się hałdy usypane z zadrukowanego papieru. Jeśli nawet nie było to miejsce, z którego Sidero zrzucił mnie w przepaść, to niczym się od niego nie różniło.

W moim kierunku podążała niewielka procesja - po chwili zorientowałem się, że była nie tylko uroczysta, ale wręcz triumfalna. Część jej uczestników niosła włączone lampy, których promienie przecinały się w półmroku, a docierając do ścian kładły się na nich różnobarwnymi, rozedrganymi plamami, część podskakiwała i tańczyła, niektórzy zaś śpiewali; Ejże, brachu. rzuć łopatę! W rejs ruszamy, długi rejs. Statek wielki jest i dzielny. Płynie aż na świata kres. Dobrą dadzą nam zapłatę...

I tak dalej.

Uczestnikami procesji byli nie tylko ludzie; dostrzegłem kilka istot z błyszczącego metalu, a kiedy pochód zbliżył się, w jednej z nich rozpoznałem Sidera, co nie było nazbyt trudne, ponieważ wciąż jeszcze nie naprawiono mu ramienia.

Nieco wysforowane przed zasadniczy pochód podążały trzy postaci, których nigdy do tej pory nie widziałem: mąż czarna i dwie kobiety w obfitych płaszczach, a jeszcze kilka kroków przed nimi szedł

zupełnie

nagi mężczyzna znacznie wyższy od pozostałych uczestników procesji, z pochyloną głową i długimi włosami opadającymi na twarz. W pierwszej chwili uznałem, że jest głęboko pogrążony w myślach, ponieważ złączył ręce za plecami - tak samo przechadzałem się korytarzami Domu Absolutu, roztrząsając liczne problemy naszej Wspólnoty - ale po bliższym przyjrzeniu się stwierdziłem, iż ręce związane mu sznurem albo drutem.

Rozdział XVI

Epitom Urth

Wiedząc

już,

czego

mogę

się

spodziewać,

nie

traciłem

czasu

na

mozolną wędrówkę po

metalowych schodach,

lecz

skoczyłem

w

przepaść i po dość

długim, powolnym i

nawet

przyjemnym

locie

wylądowałem

przed

czołem

pochodu na jednym z

podestów

mniej

więcej

w

połowie

wysokości szybu.

Więzień nawet nie

podniósł głowy. Mimo

iż jego twarz była w

znacznej

części

zasłonięta

włosami,

zobaczyłem

wystarczająco

wiele,

aby nabrać pewności,

że

nigdy

go

nie

spotkałem.

Był

tak

wysoki, że przerastałby

o pół głowy większość

znanych

mi

arystokratów.

Miał

wspaniale

ukształtowane barki i

klatkę piersiową, a

także ramiona. Kiedy

wspinał się powoli po

schodach,

potężne

mięśnie ud poruszały

się pod gładką skórą

niczym

senne

anakondy.

W

złocistych włosach nie

pojawił się jeszcze

najdrobniejszy

śląd

siwizny, a sądząc po
smukłości sylwetki i
sprężystości
mięśni
mężczyzna liczył sobie
najwyżej dwadzieścia
pięć lat, a może nawet
mniej.

W przeciwieństwie
do tego niezwyklego
więźnia, troje ludzi
podążających
bezpośrednio za nim
wyglądało
tak
zwyczajnie
i
nieciekawie, jak tylko
można
sobie
wyobrazić: wszyscy
byli
średniego
wzrostu i w wieku,

który także określa się

zazwyczaj

mianem

średniego. Mężczyzna

miał pod płaszczem

tunikę

i

spodnie,

kobiety

natomiast

luźne suknie sięgające

nieco poniżej kolan.

Nie

zauważyłem,

żeby któreś

niosło

cokolwiek

przypominającego

broń.

Stałem

przy

ścianie,

by

nie

utrudniać im przejścia,

ale tylko śpiewający,

podskakujący

i

tańczący

żeglarze

zwrócili

na

mnie

uwagę. Paru dawało

mi nawet znaki, bym

się do nich przyłączył;

mieli podekscytowane

twarze ludzi, którzy

znakomicie się bawią i

chętnie podzielą się

swą

radością

z

każdym, kto znajdzie

się w pobliżu.

Postąpiłem

krok

naprzód

i

nim

zdażyłem

się

zorientować, co się

dzieje, Purn złapał

mnie mocno za rękę.

Ogarnął

mnie

lęk,

ponieważ

marynarz był tak blisko, że gdyby zechciał, mógłby bez najmniejszego kłopotu rozplatać mnie nożem, ale spojrzawszy na jego twarz ujrzałem radosny uśmiech. Wykrzyknął coś, czego nie zrozumiałem, po czym grzmotnął mnie w plecy. Chwilę później Gunnie odepchnęła go na bok i pocałowała mnie tak mocno i namiętnie, jak podczas naszego pierwszego spotkania.

- Ty podstępny przebierańcu! - powiedziała żartobliwym tonem, potem zaś pocałowała ponownie, tym razem już nie tak mocno, ale za

to dłużej.

W tym rwetesie i zamieszaniu nie było najmniejszego sensu pytać ich o cokolwiek, jeśli jednak chcieli zawrzeć pokój, to ja, który miałem na statku tylko jednego przyjaciela w osobie Sidera, nie zgłaszałem żadnych zastrzeżeń.

Procesja wyszła przez szerokie drzwi i podążyła przed siebie długim, wiodącym stromo w dół

korytarzem, który zaprowadził nas wreszcie do części statku niepodobnej do żadnej z tych, które widziałem do tej pory. Najbardziej niezwykle były tam ściany, sprawiające wrażenie tak cienkich, że lada chwila mogły prysnąć pod naporem powietrza; ich widok przywiódł mi na myśl tandetne namioty i pawilony ustawione podczas festynu w Saltus, gdzie dokonałem egzekucji Morwenny oraz spotkałem zielonego człowieka. Wspomnienie było tak silne, że przez dłuższy czas stałem bez ruchu wśród rozbrykanych marynarzy, zastanawiając się, dlaczego tak nagle na mnie spłynęło.

Jedna z przyodzianych w płaszcze kobiet weszła na podwyższenie i kilkakroć klasnęła w dłonie, domagając się ciszy. Ponieważ doskonały nastrój marynarzy nie wynikał z nadużycia wina ani innych

mocnych trunków, jej życzeniu stało się zadość, mnie zaś udało się rozwiązać jedną z nie dających mi spokoju zagadek: przez cienkie ściany do moich uszu docierał przytłumiony, choć wyraźny szum lodowatego powietrza Yesodu. Z pewnością słyszałem go już od dłuższego czasu, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Drodzy przyjaciele - zaczęła kobieta. - Dziękujemy wam za przyjęcie, jakie nam zgotowaliście, za pomoc oraz za wszystkie miłe rzeczy, jakie spotkały nas z waszej strony na pokładzie waszego statku.

Paru marynarzy odpowiedziało okrzykami; niektóre miały tylko

wyrażać ich dobry nastrój, inne natomiast świadczyły o uprzejmości i dobrych manierach, przy których najbardziej wyszukane zachowanie dworzan wydaje się banalne i nieprawdziwe.

-

Wiem, że wielu spośród was pochodzi z Urth. Byłoby chyba

dobrze przekonać się, jak wielu. Proszę, by każdy, kto urodził się na planecie zwanej Urth, podniósł rękę.

Ręce podnieśli niemal wszyscy obecni.

Wiecie już, że skazaliśmy Urth na zagładę, ale jej mieszkańcy doszli do wniosku, że zasłużyli sobie na nasze przebaczenie, a także na to, by znowu cieszyć się tymi samymi zaszczytami i łaskami co za dawnych lat...

Przerwały jej przeraźliwe gwizdy i buczenie. Wśród hałasujących znajdował się Purn, nie było natomiast Gunnie.

-

Wysłali więc swego Epitoma, by wstawił się za nimi. Fakt, że

zdjęty lękiem ukrył się przed nami, nie powinien być traktowany jako dowód winy jego ani tych, którzy wyprawili go w tę podróż. Wręcz przeciwnie: jesteśmy skłonni uznać, iż głęboka skrucha okazana w ten sposób świadczy nadzwyczaj korzystnie zarówno o nim, jak i o nich.

Teraz zabierzemy go na Yesod, gdzie zostanie osądzony. Zasiadając na ławie oskarżonych będzie reprezentował Urth. jednocześnie zaś inni powinni reprezentować ją wśród publiczności. Naturalnie nikt nie ma obowiązku tego uczynić, ale otrzymaliśmy zgodę waszego kapitana, by na czas trwania rozprawy zabrać na Yesod wszystkich, którzy wyrażą takie życzenie. Ma się rozumieć, zapewniamy wam także transport powrotny na statek. Ci, co nie chcą z nami lecieć, niech teraz odejdą.

Kilku żeglarzy wymknęło się cichcem z tłumu.

-

Niech odejdą także ci, co nie urodzili się na Urth.

Gromada ponownie zmniejszyła się o kilku marynarzy. Wielu spośród tych, którzy zostali, w niczym nie przypominało ludzi.

-

Czy reszta chce z nami lecieć?

Odpowiedział jej zgodny chór potakiwań.

-

Zaczekajcie! - wykrzyknąłem, po czym zacząłem przedzierać

się do przodu, gdzie mój głos byłby lepiej słyszalny. - To ja jestem..

Trzy rzeczy wydarzyły się niemal jednocześnie: Gunnie zatkała mi usta ręką, Purn chwycił mnie za ramiona i wykręcił je do tyłu. to zaś, co wziąłem za niezwykle pomieszczenie stanowiące jednak organiczną część naszego statku, przechyliło się raptownie w bok i umknęło mi spod nóg.

Spadaliśmy stłoczeni w zbitą masę, nieporównanie szybciej niż wtedy, kiedy opadałem dostojnie na dno ogromnego szybu. Planeta ciągnęła nas gwałtownie ku sobie i choć z pewnością nie dorównywała rozmiarami Urth, to po wielu dniach spędzonych w bardzo słabym przyciąganiu statku jej objęcia wydały mi się zdumiewająco silne.

Ryk wichru szalejącego za cienkimi ścianami zdecydowanie przybrał na sile; nagle, nie wiedzieć czemu i w jaki sposób, ściany znikły, my jednak ani nie spadliśmy z pokładu ślizgacza ani nawet nie poczuliśmy na twarzach żadnego, choćby najslabszego podmuchu. Nie ulegało jednak wątpliwości, że mkniemy po błękitnym niebie Yesodu, za całe oparcie mając wąską podłogę pod stopami.

Podłoga ta trzęsła się i podskakiwała niczym grzbiet rumaka podczas najbardziej szalonej szarży w trakcie największej z bitew, jakie kiedykolwiek toczono. Żaden teratornis nigdy nie zsuwał się po zboczu góry zbudowanej z powietrza tak szybko jak my wtedy, gdy zaś dotarliśmy do jej podnóża, niespodziewanie wystrzeliliśmy gwałtownie w górę, obracając się jak wrzecziono wokół podłużnej osi pojazdu.

Zaledwie kilka chwil później przemykaliśmy jak jaskółka nad wierzchołkami masztów, by zaraz potem zanurkować między nie właśnie jak ten ptak, i zaczęliśmy z wielką prędkością śmigać pomiędzy linami, rejami oraz wantami.

Ponieważ wielu marynarzy nie zdołało ustać na nogach, inni zaś nie zdążyli się jeszcze podnieść po szaleńczych ewolucjach wyczynianych przez ślizgacz, mogłem wreszcie przyjrzeć się twarzom trojga ludzi z Yesodu, a także twarzy ich więźnia. Oni byli spokojni i jakby trochę rozbawieni, na jego obliczu natomiast malowały się zdecydowanie i odwaga. Doskonale zdawałem sobie sprawę, iż rnoja twarz jest wykrzywiona grymasem strachu, w związku z czym poczułem się niemal tak samo jak wtedy, kiedy ujrzałem asciańskie pentadaktyle szybujące nad głowami żołnierzy Guasachta. Nie było

to jedyne uczucie, jakie mnie ogarnęło - o tym drugim napiszę za chwilę, Ci, co nigdy nie brali udziału w wojnie, przypuszczają, że dezertier uciekający z pola bitwy unosi ze sobą ciężar ogromnego wstydu. To nieprawda, gdyby bowiem tak było w istocie, nie zdecydowałby się na dezercję. W bitwach uczestniczą zazwyczaj tchórze, którzy boją się tak bardzo, że nawet nie odważyli się uciec. Tak właśnie miała się rzecz ze mną. Wstydząc się okazać lęk przed Purnem i Gunnie zdołałem przywołać na twarz wyraz zdecydowania i odwagi - to znaczy, takim miał być w moich zamierzeniach, w rzeczywistości natomiast, jak przypuszczam, miał tyle samo wspólnego ze zdecydowaniem i odwagą co pośmiertna maska z wesołością i życiowym optymizmem. Mamrocząc coś bez sensu o tym, że chyba nic sobie nie zrobiła, pomogłem Gunnie podnieść się z podłogi, ona zaś, co najmniej tak samo zawstydzona jak ja, odparła:

- Nic mi nie jest, ale nie chciałabym być na miejscu tego biedaka, na którego upadłam.

Nie ulegało wątpliwości, iż ona także ogromnie się boi, lecz ze wszystkich sił stara się zapanować nad lękiem.

Tymczasem ślizgacz ponownie wzbił się nad maszty, wyrównał lot i rozłożył skrzydła, w związku z czym łatwo można było odnieść wrażenie, że stoimy na grzbiecie ogromnego ptaka.

□ Po powrocie na statek będziecie mieli o czym opowiadać swoim kompanom - odezwała się ta sama kobieta co poprzednio. - Nie ma najmniejszych powodów do obaw: nawet gdybyście chcieli, nie udałoby wam się wypaść z tej maszyny.

□ Wiem, co chciałeś im powiedzieć - szepnęła mi Gunnie do

ucha. - Nie widzisz, że znaleźli już prawdziwego?

□ Ja jestem tym, którego nazywasz prawdziwym, i naprawdę nie rozumiem, co się tutaj dzieje - odparłem. - Czy już ci mówiłem...

Nie, jeszcze nie. Otóż noszę w sobie wspomnienia moich poprzedników; właściwie można by powiedzieć, że jestem nie tylko sobą, ale również każdym z nich. Stary Autarcha, po którym zasiadłem na tronie, także przybył na Yesod, dokładnie tak samo jak ja - a raczej tak, jak sobie wyobrażałem.

Gunnie współczująco potrząsnęła głową.

-

Naprawdę wydaje ci się, że to wszystko pamiętasz?

- Nie wydaje mi się. Pamiętam każdą chwilę podróży, a także ból, jakiego doznawał, kiedy pozbawiano go męskości. Pamiętam, że zabierając go ze statku okazywano mu należyty szacunek, że poddawano go długim, wyczerpującym próbom i że wreszcie uznano, iż zawiódł pokładane w nim nadzieje. On zresztą uważał dokładnie tak samo.

Spojrzałem w stronę trojga wysłanników Yesodu w nadziei, że zwróciłem na siebie ich uwagę.

- A więc nadal twierdzisz, że to ty jesteś Autarchą? - zapytał Purn. który nie wiadomo skąd zjawił się obok nas.

Owszem. I zamierzam sprowadzić Nowe Słońce, jeśli tylko mi się uda. Czy zamierzasz mnie za to zabić?

Nie tutaj - odrzekł. - Możliwe, że wcale tego nie zrobię.

Jestem prostym człowiekiem: uwierzyłem ci i dopiero wtedy, kiedy złapali prawdziwego Autarchę, zorientowałem się, że mnie nabrałeś.

Albo że poprzesta wiało ci się w głowie. Nigdy nikogo nie zabiłem i nie chcę tego robić tylko dlatego, że ktoś naopowiadał mi niestworzonych historii, a gdybym zabił szaleńca, ani chybi sprowadziłbym sobie na głowę jakieś nieszczęście. - Spojrzał na Gunnie i zapytał ją, jakby mnie tam nie było: - Naprawdę myślisz, że on w to wierzy?

- Jestem tego pewna - odparła, by po chwili dodać: - W dodatku nie sposób wykluczyć, że to jednak prawda. Posłuchaj, Severianie: jestem na pokładzie od bardzo dawna. To już moja druga podróż na Yesod, więc przypuszczam, że należałam do załogi, kiedy wieziono tu poprzedniego Autarchę, choć nigdy go nie widziałam, a na powierzchnię planety zesłałam dopiero znacznie później. Jak zapewne wiesz, nasz statek przechodzi to na jedną, to na drugą stronę czasu niczym igła do cerowania. Chyba zdążyłeś się już o tym przekonać?

-

Istotnie, powoli zaczynam to rozumieć.

- Pozwól więc, że zadam ci pytanie: czy nie może być tak, że wieziemy jednocześnie dwóch Autarchów, ciebie i któregoś z twoich następców? Przecież po powrocie na Urth prędzej lub później będziesz musiał wyznaczyć następcę. Czy nie mógłby nim być właśnie ten człowiek? A może wybrał go ten, kogo ty wybrałeś? Jeśli sprawy mają się właśnie w ten sposób, nie widzę najmniejszej potrzeby, żebyś poddawał się próbie i ryzykował utratę czegoś, na czym ci bardzo zależy.

- Chcesz przez to powiedzieć, że to, co zrobię, nie będzie miało żadnego wpływu na kształt przyszłości?

- Właśnie, naturalnie jeśli założymy, że mamy tę przyszłość przed oczami.

Rozmawialiśmy tak, jakbyśmy byli zupełnie sami, ale nigdy nie należy tak postępować, gdyż prędzej czy później ściągnie się na siebie niechęć tych, których się ignoruje. Jeden z żeglarzy niespodziewanie złapał mnie za ramię i pociągnął w swoją stronę, zmuszając, bym zbliżył się do doskonale przezroczystej burty ślizgacza.

- Spójrz! - wykrzyknął. - Spójrz tylko!

Ja jednak przez jedno lub dwa uderzenia serca patrzyłem na niego, uświadomiwszy sobie, że on, który dla mnie był niczym, dla siebie był wszystkim, ja natomiast stanowiłem zaledwie coś w rodzaju

dodatku służącego podwojeniu odczuwanej przez niego przyjemności.

Potem zastosowałem się do jego życzenia, ponieważ czułbym się nie w porządku, gdybym tego nie uczynił. Przekonałem się, że zataczamy szerokie kręgi nad wyspą otoczoną sięgającym aż po horyzont morzem o błękitnej, wspaniale przejrzystej wodzie. Wyspa - a raczej samotny górski szczyt sterczący ponad falami - pyszniła się zielenią ogrodów i lśniła bielą marmurów, otaczał zaś ją wianuszek niewielkich łodzi.

Nie była nawet w połowie tak ogromna jak Mur Nessus ani tak majestatyczna jak Wielka Wieża, mimo to jednak w pewnym sensie wywierała większe wrażenie, ponieważ wszystko w niej było piękne, bez najmniejszego wyjątku, a w dodatku zdawała się roztaczać dokoła aurę pogodnej radości.

Z trudem oderwałem od niej wzrok, spojrzałem na otaczające mnie głupie i brutalne twarze, i pomyślałem sobie, że chyba coś umknęło mojej uwagi. Zaraz potem z otchłani pamięci wynurzyło się wspomnienie jednej z niewyraźnych postaci, które zamieszkały we mnie wraz ze starym Autarchą; zazwyczaj stoją w jego cieniu i bardzo rzadko się zdarza, bym mógł ujrzeć je w całej okazałości, większość zaś nigdy nie pojawia się przed oczami mojej duszy. Ujrzałem piękną młodą dziewczinę odzianą w szatę z najdelikatniejszego jedwabiu przystrojoną szlachetnymi perłami. Dziewczyna wędrowała bez celu ulicami Nessus, śpiewając smutne pieśni, noce zaś spędzała na placach w pobliżu szemrzących fontann.

Nikt nie odważył się jej zaczepić, bo choć opiekun dziewczyny pozostawał niewidoczny, to jego cień natychmiast rzucał się w oczy, zapewniając jej bezpieczeństwo.

Rozdział XVI I

Wyspa

Gdybym powiedział wam, którzy urodziliście się na Urth i przez całe życie oddychaliście wyłącznie jej powietrzem, że ślizgacz wylądował niczym ogromny wodny ptak, z pewnością wyobrazilibyście sobie donośny plusk i potężne rozbryzgi wody. Mielibyście rację, a jednocześnie popełnilibyście błąd, ponieważ na Yesodzie ptaki nauczyły się siadać na wodzie tak łagodnie i z takim wdziękiem, jakby woda była dla nich nieco chłodniejszym powietrzem, tak jak dla tych niewielkich ptaszków żyjących w pobliżu górskich strumieni i wodospadów, które w pogoni za zdobyczą bez wahania nurkują do samego dna, czując się w wodzie równie pewnie i swobodnie jak większość ich braci w lesie. Kadłub ślizgacza zetknął się z wodą tak delikatnie, że nie poczułem najmniejszego wstrząsu; chwilę potem skrzydła zostały złożone, my zaś kołysaliśmy się równie łagodnie jak wtedy, gdy lotem ślizgowym opadaliśmy ku powierzchni planety. Marynarze zaczęli rozmawiać między sobą - zapewne Gunnie albo Purn także nawiązaliby ze mną konwersację, gdybym dał im ku temu sposobność; nie uczyniłem tego jednak, pragnąc bez przeszkód chłonąć wszystkie cuda i dziwy, jakie ukażą się moim oczom, oraz dlatego, że czułem, iż. w trakcie rozmowy z pewnością nie oparłbym się pokusie, by poinformować dwie kobiety i mężczyznę, że ich więzień nie jest człowiekiem, którego szukali.

Z tego właśnie powodu (tak mi się przynajmniej zdawało) w milczeniu spoglądałem przez przezroczyste ściany ślizgacza wciągając głęboko w płuca cudowne powietrze Yesodu, przesycone świeżym zapachem słodkiego morza oraz aromatem niezliczonych ogrodów. Wyciągnąwszy przypadkowo rękę przekonałem się, że nie natrafiła na żaden opór; znajdowaliśmy się więc już nie w zamkniętym wnętrzu, lecz na czymś w rodzaju wąskiej tratwy z daszkiem ze złożonych skrzydeł.

Rozglądałem się uważnie, wiele widząc i wszystko zapamiętując.

Jak należało się spodziewać, marynarzom dość szybko zaczęło się nudzić, więc dla rozrywki jeden z nich wepchnął do wody swoją sąsiadkę. Rzecz jasna natychmiast wciągnięto ją z powrotem na ślizgacz, a choć głośno uskarżała się na dokuczliwy chłód, to zanużywszy ręce w wodzie stwierdziłem, iż wcale nie jest taka zimna. Nabrałem jej tyle, ile zmieściło mi się w złączonych dłoniach, podniosłem do ust i wypilem kilka łyków. Trochę pociekło mi po brodzie i spłynęło na pierś, lecz nie miałem nic przeciwko temu, ponieważ dobrze pamiętałem jedną z opowieści zawartych w brązowej książce, z którą kiedyś nie rozstawałem się ani na chwilę, ponieważ przypominała mi o Thecli; w opowieści tej była mowa o pewnym człowieku, który wędrując nocą przez pustynię zobaczył mężczyzn i kobiety tańczących przy ognisku. Bez wahania przyłączył się do nich, a kiedy taniec dobiegł końca, poszedł z nimi do strumienia, którego z pewnością nie zauważyłby nawet w pełnym blasku dnia, i napił się do syta.

Jego żona, zasięgnąwszy opinii pewnego mądrego urzędnika, równo rok później zjawiała się w tym samym miejscu. Usłyszała dźwięki muzyki, głos męża nucącego jakąś pieśń oraz tupot wielu stóp uderzających w tańcu o ziemię, ale nikogo nie zobaczyła. Po powrocie do domu zwróciła się z prośbą o radę do tego samego mądrego urzędnika, ono zaś wyjaśniło, że jej mąż opłukał twarz i napił się wody z innego świata, w związku z czym już nigdy do niej nie powróci.

Tak też się stało.

Kiedy ruszyliśmy wyłożoną białym kamieniem ulicą, która wiodła od nadbrzeża aż do budynku wznoszącego się na szczycie wzgórza, starałem się trzymać z dala od marynarzy; osiągnąłem cel idąc tak blisko trójki wysłanników Yesodu i ich więźnia, że nikt nie odważył się do mnie podejść. Chyba ze sto razy otwierałem usta, by ujawnić swą prawdziwą tożsamość, nie zdołałem jednak wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Kiedy wreszcie się odezwałem, uczyniłem to tylko po to, by zapytać, czy rozprawa odbędzie się jeszcze dzisiaj, czy raczej dnia następnego.

Kobieta, która z nami rozmawiała, uśmiechnęła się do mnie.

- Tak spieszno ci ujrzeć jego krew? zapytała. - Będiesz musiał uzbroić się w cierpliwość.

Hierogramata Tzadkiel nic zasiada

dziś w sędziowskim fotelu, w związku z czym przeprowadzimy tylko wstępne przesłuchanie, które może odbyć się także podczas jego nieobecności.

Pokręciłem głową.

Możesz mi wierzyć, pani, że widziałem już dość krwi i nie mam najmniejszego zamiaru jej więcej oglądać.

Wobec tego, co cię tu sprowadza? - zapytała, wciąż się uśmiechając.

Powiedziałem jej prawdę, choć nie była to cała prawda.

-

Ponieważ uważam to za swój obowiązek. Powiedz mi jednak,

co się stanie, jeśli jutro Tzadkiel również się nie pojawi? Czy wolno nam będzie poczekać na niego? I czy wy wszyscy nie jesteście hierogramatami? I jak to się dzieje, że władacie naszym językiem? Przyznam, że zdziwiłem się, słysząc cię posługującą się nim tak biegle.

Do tej pory podążałem pół kroku za nią, w związku z czym musiała rozmawiać ze mną przez ramię, teraz jednak uśmiechnęła się jeszcze szerzej, zwolniła na chwilę i ujęła mnie za łokieć.

-

Tyle pytań... W jaki sposób mam je wszystkie zapamiętać,

a tym bardziej na nie odpowiedzieć?

Zawstydziłem się i usiłowałem wymamrotać jakieś przeprosiny, ale byłem tak onieśmielony dotykaniem jej ręki, że nie udało mi się wykrztusić niczego sensownego.

- Mimo wszystko spróbuję. Jutro Tzadkiel na pewno się zjawi. Czyżby było ci spieszno z powrotem do szorowania pokładu i zmywania naczyń?

- Nie, szlachetna pani - wydukałem. - Gdybym tylko mógł. zostałem tu na całą wieczność. Jej uśmiech nieco przygasł.

-

Zostaniesz na tej wyspie niecały dzień. Musisz - musimy, jeśli sobie życzysz - wykorzystać ten czas najlepiej jak można.

- Tak, życzę sobie - odparłem zgodnie z prawdą.

Wspomniałem już, że była całkiem zwyczajnie wyglądającą kobietą w średnim wieku, i wcale się nie pomyliłem: niezbyt wysoka, z dość wyraźnymi zmarszczkami w kącikach oczu i wokół ust, o włosach poprzetykanych siwizną. Mimo to miała w sobie coś, czemu nie potrafiłem się oprzeć. Być może przyczyniła się do tego atmosfera panująca na wyspie, a może sprawiły to jej oczy - wielkie, błyszczące

i błękitne jak morze, znacznie młodsze od ich właścicielki - może wreszcie coś, co wyczuwałem tylko podświadomie, nie będąc w stanie tego nazwać. Bez względu na przyczynę, czułem się niemal dokładnie tak samo jak dawno temu, kiedy po raz pierwszy ujrzałem Agię: opanowało mnie ogromne pożądanie, sięgające korzeniami najgłębszych zakamarków duszy, bardziej przypominające religijne uniesienie niż zwykłą fizyczną żądzę, uduchowione, bo pozbawione cielesnej otoczki, która spłonęła w jego żarze.

...po wstępnym przesłuchaniu.

Oczywiście - odparłem. - Oczywiście. Jestem twoim niewol

nikiem, pani.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, na co się zgodziłem.

Dotarliśmy do szerokich białych schodów, sprawiających wrażenie tak lekkich, jakby wyciosano je z gęstych chmur, u podnóża których szemrały cichutko dwie fontanny. Kobieta spojrzała na mnie z przekornym uśmiechem, który wydał mi się nadzwyczaj atrakcyjny.

-

Gdybyś rzeczywiście był moim niewolnikiem, nie zważając na

twoją chorą nogę kazałabym ci wnieść mnie na sam szczyt tych schodów.

- Uczynię to z największą przyjemnością.

Schyliłem się, by ją podnieść, ale ona już weszła na pierwszy stopień.

-

Nie trzeba. - Wspinająca się lekko i bez wysiłku jak mała dziewczynka. - Co by sobie pomyśleli twoi kamraci?

-

Że spotkało mnie zaszczytne wyróżnienie, moja pani.

Wciąż się uśmiechając zniżyła głos do szeptu.

A nie, że zdradziłeś Urth, przechodząc na naszą stronę? Zostało nam jeszcze trochę czasu, więc spróbuję odpowiedzieć na twoje pytania.

Nie wszyscy jesteśmy hierogramatami. Czy na Urth dzieci sanjasinów od razu stają się świątobliwymi mężczyznami i kobietami? Nie władam też twoim językiem, podobnie jak nikt z nas, ty zaś nie znasz naszej mowy.

Szlachetna pani...

Nie rozumiesz?

Nie.

Chciałem dodać coś jeszcze, lecz wyjaśnienia, jakich mi udzieliła, wydawały się tak absurdalne, że trudno było o jakąkolwiek sensowną reakcję.

-

Wyjaśnię ci to dokładniej po przesłuchaniu, ale teraz muszę

zwrócić się do ciebie z pewną prośbą.

- Czegokolwiek zażadasz, pani.

-

Dziękuję. Wobec tego zaprowadzisz Epitoma na ławę oskar

żonych.

Wytrzeszczyłem ze zdumienia oczy.

- Poddamy go próbie, a najpierw przesłuchaniu, za zgodą mieszkańców Urth, którzy przysłali go tu, by występował w ich imieniu. Na znak, że tak jest w istocie, na ławę oskarżonych muszą zaprowadzić go kobieta i mężczyzna z Urth, także pełniący funkcję jej reprezentantów, choć znacznie mniej ważnych i na dużo mniejszą skalę, ma się rozumieć.

Skinąłem głową.

Zrobie to dla ciebie, pani, jeśli wskażesz mi miejsce, gdzie mam go zaprowadzić.

Znakomicie. - Odwróciła się do swoich towarzyszy i powie

działa: - Mamy już strażnika. - Oboje także skinęli głowami, ona zaś chwyciła więźnia za ramię i pchnęła go w moją stronę. Gdyby zechciał, bez trudu by się jej przeciwstawił, on jednak okazał się potulny jak baranek. - My poprowadzimy twoich kamratów do sali rozpraw, gdzie wyjaśnię im sens tego, czego będą świadkami. Wątpię, żebyś ty potrzebował takich wyjaśnień, więc pójdziesz... Jak ci na imię?

Zawahałem się, gdyż nie miałem pojęcia, czy kobieta zna prawdziwe imię Epitoma.

- Czyżby to była tajemnica?

Już niedługo i tak musiałbym je wyjawić, choć w skrytości ducha liczyłem na to, że najpierw uda mi się wysłuchać wstępnego przesłuchania, co pozwoli mi lepiej przygotować się do składania zeznań.

- Nazywam się Severian - powiedziałem, kiedy zatrzymaliśmy

się przed portykiem. - Czy wolno mi zapytać o twoje imię, pani?

Ponownie obdarzyła mnie kuszącym uśmiechem.

My nie musimy używać imion, ale skoro poznałam kogoś, kto

nie potrafi się bez nich obejść, mogę nazywać się Apheta. - Chyba dostrzegła wyraz wątpliwości na mojej twarzy, ponieważ dodała: -

Nie obawiaj się. Każdy, komu powiesz to imię, będzie wiedział, kogo masz na myśli.

Dziękuję ci, pani.

Teraz weź go. Widzisz to łukowato sklepione wejście po prawej stronie? Pójdziesz tam i znajdziesz się w długim owalnym korytarzu.

Na pewno nie zabłądzisz, ponieważ nie krzyżuje się z innymi korytarzami ani nie ma w nim żadnych drzwi. Zaprowadzisz więźnia na sam koniec, a potem wejdiesz z nim do sali rozpraw. Spójrz na jego ręce; jak widzisz, są skute solidnymi kajdanami.

Tak, szlachetna pani.

W sali zobaczysz pierścień, do którego należy je przytwierdzić.

Jedno ogniwo łańcucha jest ruchome - z pewnością wszystko zro zumiesz, jak dotrzesz na miejsce. Przykuj więźnia i usiądź wśród pub liczności, a po przesłuchaniu zczekaj na mnie, żebym mogła pokazać ci wszystkie cuda naszej wyspy.

Słyszając ton, jakim to powiedziała, bez trudu domyśliłem się. co naprawdę ma na myśli.

- Moja pani, nie zasługuję sobie na ten zaszczyt - odparłem z głębokim ukłonem.

- O tym ja decyduję. Idź już, zrób wszystko, jak ci powiedziałam, a nie ominie cię nagroda.

Ponownie złożyłem głęboki ukłon, po czym odwróciłem się i ująłem olbrzyma za ramię. Jak już wspomniałem, był wyższy od większości znanych mi arystokratów; teraz, kiedy stałem blisko niego, przekonałem się, iż niemal dorównuje wzrostem Baldandersowi, choć jest znacznie od niego szczuplejszy, a także młodszy i pełen wigoru. (Chyba równie młody jak ja owego dnia, kiedy z Terminus Est na ramieniu przeszedłem przez Bramę Zwłok udając się w długą i niebezpieczną wędrówkę do Thraxu.

Miasta Bezokiennych Pokoi.) Musiał się mocno schylić, żeby zmieścić się w otworze wejściowym, ale podązał za mną niczym roczny baran, który zaprzyjaźnił się z chłopcem pilnującym stada na pastwisku i teraz potulnie idzie za nim na targ, nie podejrzewając, że zostanie sprzedany po to, by siał się głównym daniem na ucztę wydawanym przez jakiegoś zamożnego kupca lub dostojnika.

Korytarz przypominał w przekroju jajko postawione na grubszym końcu. Zgodnie z tym, co powiedziała Apheta, był pozbawiony drzwi, ale miał za to okna, i to po obu stronach. Przyznam, iż trochę mnie to zdziwiło, ponieważ przypuszczałem, że będzie prowadził w głąb budynku.

Spoglądałem w każde mijane okno w nadziei, że uda mi się obejrzeć przynajmniej część niezwyklej wyspy, lecz szybko ogarnęło mnie zdziwienie, że okolica tak bardzo przypomina Urth. potem zaś nasilające się z każdą chwilą zdumienie, gdyż zaraz po rozległych pampasach ujrzałem góry o zaśnieżonych szczytach, potem zaś przedziwnie urządzone wnętrza jakichś budowli, zupełnie jakby każde okno prowadziło do innego świata. Za którymś z kolei zobaczyłem szeroki pusty korytarz o ścianach zawieszonych lustrami, za innym rzędy regałów uginających się pod ciężarem ustawionych byle jak książek, za jeszcze innym wąską celę o zakratowanym okienku i podłodze pokrytej warstwą zleżałego siana, wreszcie inny korytarz, ciemny i ponury, z mnóstwem metalowych drzwi.

- Wszystko wskazuje na to, że przygotowali się na moje przybycie - powiedziałem do klienta. -

Pokazali mi celę Agilusa, lochy pod Wieżą Matachina i wiele innych rzeczy, ale popełnili błąd i wzięli cię za mnie, Zak.

Na dźwięk swego imienia zareagował tak, jakbym smagnął go biczem: odrzucił do tyłu grzywę czarnych włosów, wbił we mnie spojrzenie wściekle błyszczących oczu, po czym napiął potężne mięśnie ramion, usiłując zerwać kajdany. Niemal odruchowo zrobiłem krok w jego stronę, wysunąłem nogę i rzuciłem go przez biodro, tak jak dawno, bardzo dawno temu nauczył mnie mistrz Gurloes.

Runął na zagłębioną posadzkę z białego kamienia jak byk na arenę. Odniosłem wrażenie, że budowla zachwiała się w posadach, ale nie miałem czasu, by się nad tym zastanawiać, ponieważ błyskawicznie zerwał się na nogi i nie zważając na kajdany pognął przed siebie korytarzem.

Przesłuchanie

Biegąc za nim przekonałem się niemal, natychmiast, że choć sady ogromne susy, to porusza się dość niezgrabnie i nie dorównuje prędkością Baldandersowi - być może ze względu na skrępowane za plecami ręce, w poważny sposób utrudniające mu utrzymanie równowagi.

Jednak nie tylko on miał kłopoty: czułem się tak, jakby do mojej niesprawnej nogi uwiązano jakiś ogromny ciężar i jestem niemal pewien, że pogoń za więźniem sprawiała mi więcej bólu, niż on odczuwał

po niedawnym upadku. Biegąc w pokraczny sposób korytarzem mijałem kolejne zaczarowane okna - albo po prostu stanowiące efekt zastosowania jakiejś zmyślnej sztuczki. Spojrzałem tylko w kilka z nich, większości nie poświęcając ani odrobiny uwagi, lecz i tak wszystkie trafiły do najbardziej mrocznej i ponurej komnaty mojej pamięci. ukrytej daleko za - albo głęboko pod - salonami świadomości. Były w nich między innymi szafot, na którym najpierw okaleczyłem, potem zaś ściałem pewną kobietę, pograżony w ciemności brzeg rzeki oraz dach pewnego grobowca.

Roześmiałbym się z goryczą na widok tych okien, gdyby nie to, że już się śmiałem, aby w ten sposób powstrzymać napływające mi do oczu łzy. Hierogramaci, którzy władają naszym wszechświatem, a także tym wszystkim, co go otacza, nie tylko pomylili mnie z kimś innym. ale także starali się mi przypomnieć (mnie, który nigdy niczego nie zapominam!) najistotniejsze wydarzenia mego życia, czyniąc to jednak znacznie mniej sprawnie niż potrafiłyby moje własne wspomnienia; choć nie pominięto żadnego szczegółu, to jednak w każdym obrazie coś było nie tak jak należy.

Nie mogłem się zatrzymać, a raczej wydawało mi się, że nie mogę. lecz wreszcie, mijając jedno z okien, zwróciłem ku niemu głowę i przyjrzałem mu się tak dokładnie, jak nie przyglądałem się żadnemu

z pozostałych. Roztaczał się z niego widok na altanę w ogrodach Abdiesusa, gdzie przesłuchiwałem Cyriacę, by na koniec zwrócić jej wolność. To długie, uważne spojrzenie pozwoliło mi zrozumieć, dlaczego zarówno ten obrazek, jak i poprzednie, wydawały mi się zawierać mało istotne, niemniej jednak rzeczywiste błędy: otóż okna pokazywały sceny z mojego życia nie takimi, jakimi je zapamiętałem, lecz jakimi pozostały w pamięci Cyriaki, Jolenty, Agii oraz innych uczestników tych zdarzeń. Świadczył o tym choćby fakt, że zaglądając do altany zdawałem sobie sprawę z obecności jakiejś niewidocznej, bu-dzącej grozę, choć jednocześnie łagodnej istoty; tą istotą byłem ja sam. To było ostatnie okno.

Korytarz skończył się, ja zaś ujrzałem przed sobą kolejny łukowato sklepiony otwór wejściowy, wypełniony jaskrawym blaskiem słońca. Wiedziałem już z przerażającą pewnością, którą zrozumieć mógłby tylko ktoś wychowany jak ja w katowskiej konfraterni, że klient wymknął mi się z rąk.

Kiedy jednak wypadłem na zewnątrz, ujrzałem go stojącego z wyrazem zaskoczenia na twarzy w portyku przed głównym wejściem do budynku, otoczonego falującym tłumem. Dostrzegł mnie w tej

samej chwili co ja jego i natychmiast zaczął przepychać się w kierunku drzwi. Krzyknąłem, żeby ktoś go zatrzymał, ale ludzie rozstepowali się przed nim, mnie zaś celowo utrudniali przejście. Czułem się tak, jakbym wpadł w jeden z koszmarów, które dręczyły mnie, kiedy byłem liktorem w Thraksie, i wydawało mi się, że lada chwila obudzę się zlany potem, z Pazurem miażdżącym mi pierś trudnym do wytrzymania ciężarem. Nagle jakaś niewysoka kobieta oderwała się od tłumu, podbiegła do Zaka i chwyciła go za ramię; co prawda strząsnął ją z taką samą łatwością, z jaką byk strząsa z grzbietu młodego, dopiero uczącego się polować lamparta, ale ona nie zrezygnowała i uczepliła się jego kolana.

To w zupełności wystarczyło. W następnej chwili byłem przy nim. a choć tu, na Yesodzie, w przyciąganiu niewiele mniejszym od tego. z jakim zmagalem się na Urth, znowu mocno kulałem, to jednak nie straciłem nic ze swej siły, on zaś nadal miał ręce skute kajdanami. Objąwszy od tyłu ramieniem jego szyję wygiąłem go niczym gigantyczny łuk; natychmiast zaprzestał oporu, ja zaś wyczułem dodatkowym zmysłem, który odzywa się w nas czasami, szczególnie gdy dotykamy innego człowieka, że nie będzie mi już sprawiał kłopotów, w związku z czym zwolniłem uchwyt.

□ Nie walczyć - powiedział. - Nie uciekać.

□ W porządku.

Schyliłem się, by podnieść z ziemi kobietę, która tak bardzo mi pomogła. Natychmiast ją rozpoznałem i odruchowo spojrzałem na jej nogę; była zupełnie zdrowa, co oznaczało, że rana zagoiła się nic pozostawiając żadnego śladu.

-

Dziękuję - wymamrotałem. - Dziękuję ci, Hunno.

Wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami.

- Nie wiem, jak to możliwe, ale przez chwilę wydawało mi się, że jesteś moją panią...

Do tej pory często musiałem bardzo się starać, by w najmniej odpowiednim momencie nie przemówić znieczeka głosem Thecli, lecz tym razem pozwoliłem mu znaleźć drogę do moich ust.

-

Dziękuję ci - powtórzyliśmy. - Nie pomyliłaś się.

Uśmiechnąłem się widząc, jak jej oczy jeszcze bardziej rozszerzają się ze zdumienia.

Kręcąc z niedowierzaniem głową cofnęła się w tłum, ja zaś zobaczyłem, jak inna kobieta, wysoka, o kręconych czarnych włosach. znika w tym samym owalnym tunelu, którym szliśmy, a właściwie biegliśmy niedawno z Zakiem. Nawet teraz, po tylu latach, nie miałem najmniejszych wątpliwości.

Spróbowaliśmy zawołać ją po imieniu, lecz głos uwiązł nam w gardle.

- Nie płacz - przemówił Zak niskim, a jednocześnie jakby dzie cinnym głosem. - Nie trzeba. Myślę, że wszystko będzie dobrze.

Odwrociłem się, by powiedzieć mu, że nie płaczę, lecz w tej samej chwili poczułem łzy płynące po policzkach. Nawet jeśli kiedyś zdarzyło mi się zapłakać, to było to tak dawno, że prawie tego nie pamiętałem. Już najmłodszy uczniowie odzwyczajają się od płaczu, ci zaś, którym się to nie udaje, stają się obiektem szyderstw i prześladowań tak okrutnych, że nierzadko uciekają przed nimi w objęcia śmierci.

Thecla, owszem, dość często płakała w swojej celi, ale przecież przed chwilą widziałem ją na własne oczy, całą i zdrową.

- Płaczę dlatego, że bardzo chciałbym za nią pójść, ale nie mogę, bo już na nas czekają - odparłem.

Zak skinął w milczeniu głową, ja zaś wziąłem go za ramię i wprowadziłem do sali rozpraw. Teraz już wiedziałem, że korytarz, do którego skierowała mnie Aphetą, biegł dokoła pomieszczenia. Szliśmy szeroką alejką między rzędami wysokich drewnianych ław, z których obserwowali nas marynarze; przybyło ich stanowczo za mało, żeby zapełnić wszystkie miejsca, w związku z czym pozajmowali tylko te najbliższe środkowego przejścia.

Przed nami, na wysokim podwyższeniu, stał fotel sędziowski, znacznie większy, a jednocześnie skromniej ozdobiony od foteli, na których zasiadali sędziowie na Urth. Tron Feniksa był - albo jest, jeśli ocalał pod wodą - ogromnym złożonym krzesłem, na którego oparciu umieszczono wizerunek ptaka będącego symbolem nieśmiertelności, ozdobiony złotem, szmaragdami i lapis lazuli, na siedzisku natomiast, które w przeciwnym razie byłoby potwornie niewygodne, leży atłasowa poduszka ze złotymi chwastami.

Fotel przeznaczony dla hierogramaty Tzadkiela różnił się od tamtego pod każdym względem; właściwie nie był fotelem, lecz ogromnym blokiem białego kamienia, który dzięki przypadkowemu działaniu sił natury upodobił się nieco do rozłożystego tronu, ale stał się nim w nie większym stopniu niż obłoki, w których dostrzegamy podobieństwo do twarzy ukochanego lub ukochanej.

Apheta powiedziała mi, że mam przykuć Zaka do metalowego pierścienia, więc prowadząc więźnia szerokim przejściem rozglądałem się dyskretnie w poszukiwaniu, czegoś, co by ów pierścień przypominało. Udało mi się znaleźć go dopiero po dłuższym czasie: był wykonany z kutego żelaza i w pierwszej chwili wziąłem go za jedyną ozdobę fotela, ponieważ przytwierdzono go do miejsca, gdzie mógłby kończyć się jeden z podłokietników. Co prawda nigdzie nie widziałem żadnego łańcucha z rozsuwanym ogniwnem, niemniej jednak szedłem twardo naprzód, pewien, że kiedy dotrzemy do podwyższenia, zjawi się ktoś, kto będzie chciał i mógł mi pomóc.

Naturalnie przeliczyłem się w mych rachubach, ale przyjrząwszy się uważnie kajdanom spinającym przeguby Zaka bez trudu zauważyłem wspomniane ogniwo i otworzyłem je tak łatwo, że pomyślałem sobie, iż mój więzień, gdyby tylko chciał, z pewnością mógłby uczynić to samo. Po rozsunięciu ogniwa kajdany spadły z rąk Zaka, ja zaś zebrałem je z podłogi, założyłem je sobie na przeguby, podniosłem ręce nad głowę, zahaczyłem ruchome ogniwo o pierścień i spokojnie czekałem na początek przesłuchania.

Czas jednak mijał, a nic się nie działo. Marynarze siedzieli nieruchomo, wpatrując się we mnie wybałuszonymi oczami. Myślałem, że ktoś przyjdzie po Zaka albo że nieszczęśnik ucieknie, korzystając z nadarzającej się sposobności, lecz on po prostu siadł u moich stóp na kamiennej podłodze, jednak nie ze skrzyżowanymi nogami, lecz skulony w sposób, który przywiódł mi na myśl najpierw psa, potem natomiast atroxa albo jakiegoś innego wielkiego kota.

- Jestem Epitome Urth i wszystkich zamieszkujących ją lu

dów - oświadczyłem. Dopiero wtedy, kiedy usłyszałem własne słowa, uświadomiłem sobie, że wygłaszam tę samą przemowę, z którą wystąpił

poprzedni Autarcha, mimo iż okoliczności wyglądają zupełnie ina czej. - Przybyłem tu, ponieważ wszyscy mieszkają we mnie: mężczyźni, kobiety i dzieci, bogaci i biedni, starzy i młodzi, ci, co pragną za wszelką cenę ocalić naszą planetę, oraz ci, którzy z chęci zysku bez wahania przyczyniliby się do jej zagłady.

Słowa same płynęły z moich ust.

- Przybyłem tu również dlatego, że jestem jedynym prawowitym władcą Urth. Co prawda zamieszkuje ją wiele narodów, w tym sporo znacznie liczniejszych i potężniejszych od tych, które tworzą naszą Wspólnotę, lecz my, Autarchowie, nie myślimy kategoriami jednego kraju ani jednego narodu, ponieważ zdajemy sobie sprawę, iż wszyscy ludzie oddychają tym samym powietrzem i żeglują po wodach tych samych oceanów. Dowiodłem tego stając w tym miejscu, a skoro tu stanąłem to znaczy, że miałem do tego prawo.

Marynarze słuchali mnie w milczeniu. Liczyłem na to, że w sali pojawią się inni widzowie, na przykład Apheta i jej towarzysze, lecz nigdzie nie mogłem ich dojrzeć. Dostrzegłem natomiast ludzi, którzy niedawno stali przed wejściem do budynku sądu; zbili się w drzwiach w ciasną grupę, a kiedy skończyłem przemawiać, zaczęli pojedynczo wchodzić do sali rozpraw. Nie korzystali jednak z szerokiego przejścia wiodącego środkiem pomieszczenia, lecz trwożliwie przemykali pod ścianami. Nagle wstrzymałem oddech, ponieważ dostrzegłem wśród nich Theclę; spoglądała na mnie z takim żalem i współczuciem, że moje serce skurczyło się boleśnie. Nieczęsto zdarzało mi się odczuwać strach, lecz teraz poczułem, jak jego lodowate palce pełzną po moim ciele zbliżając się szybko do gardła.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie prosto w oczy, po czym niemal jednocześnie odwróciliśmy wzrok.

Jedno lub dwa uderzenia serca

później ujrzałem w tłumie Agilusa i Morwenę, z policzkami oszepecionymi dotknięciem rozpalonego żelaza i długimi czarnymi włosami.

Za nimi tłoczyli się inni; więźniowie z Wieży Matachina i Vinculi w Thraksie, drobni przestępcy, którym chłostałem grzbiety, mordercy, którym ścinałem głowy, Ascianie, Idas, Casdoe z surowo zaciśniętymi ustami i małym Severianem w ramionach, Guasacht i Erblon z naszym zielonym sztandarem.

Opuściłem głowę i wbiłem wzrok w podłogę, czekając na pierwsze pytanie.

Czekałem na próżno. Gdybym napisał jak długo, z pewnością nikt by mi nie uwierzył, ale mnie wydawało się, że upłynęło jeszcze więcej czasu niż w rzeczywistości. Pierwsze słowa rozległy się dopiero wtedy, kiedy słońce zsunęło się po błękitnym niebie nad linię horyzontu, a Noc objęła wyspę długimi ciemnymi palcami.

Nie przyszła sama. Usłyszałem chrobot potężnych pazurów, a potem dziecięcy głos zapytał:

- Czy możemy już pójść?

W ciemności, która wypełniła wejście do sali rozpraw, zapłonęły czerwone oczy alzabo.

-

Dlaczego tu jesteście?! - wykrzyknąłem. - Nie zatrzymuję

was! Idźcie sobie!

-

Nie możemy odejść! - odparł chór złożony z. setek głosów.

Dopiero wtedy zrozumiałem, że to nie oni mają mnie przesłuchiwać.

lecz ja ich.

- Odejdźcie! - krzyknąłem w złudnej nadziei, iż może jednak się mylę, ale nikt się nie poruszył. -

O co mam was pytać?

Nie otrzymałem odpowiedzi.

Noc zapadła na dobre. Ponieważ budynek wzniesiono z białego kamienia, pozostawiając okrągły otwór w kopulastym sklepieniu, aż do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, że nie ma w nim żadnego oświetlenia. Kiedy jednak horyzont Yesodu wzniosł się ponad słońce, w sali rozpraw zapadła ciemność równie głęboka jak ta, która wypełnia komnaty zbudowane przez Prastwórcę we wnętrzu ogromnych drzew. Twarze zamigotały i zgasły jak płomyki świec, i tylko oczy alzabo żarzyły się niczym dwa węgle.

Usłyszałem, jak żeglarze szepczą coś do siebie z niepokojem, chwilę potem zaś do mych uszu dotarł szmer, z jakim ostrza noży opuszczają

dokładnie dopasowane pochwy. Zawołałem, że nie mają się czego obawiać, bo duchy, które przybyły na rozprawę, nie należą do ich przeszłości, lecz do mojej.

-
Nie jesteśmy duchami! - zawołało alzabo głosem małej Severy.

Potworne pazury znowu zachroboty na posadzce i płonące oczy zbliżyły się wyraźnie. Inni także musieli się poruszyć, ponieważ na kilka uderzeń serca salę wypełnił szelest ubrań i pobrzękiwanie oręża.

Rozpaczliwie usiłowałem odszukać rozsowane ogniwo, lecz moje zdrętwiałe palce nie były w stanie go wyczuć. Krzyknąłem do Żaka, żeby nie próbował powstrzymać alzaba, jeśli nie będzie miał jakiegś broni.

□ Przecież to tylko dziecko, Severianie - usłyszałem głos Gunnie.

□ Ona już dawno nie żyje! - zawołałem. - Bestia pożarła ją

i teraz mówi jej głosem!

□ Dziewczynka siedzi na grzbiecie zwierzęcia. Widzę ich, bo są tuż obok mnie.

Wreszcie znalazłem rozsowane ogniwo, lecz nie zrzuciłem kajdan, gdyż ogarnęło mnie graniczące z pewnością podejrzenie, że gdybym teraz uwolnił się i ukrył wśród marynarzy, ponad wszelką wątpliwość nie przeszedłbym pomyślnie próby.

-
Chodziło mi o sprawiedliwość! - wykrzyknąłem. - Starąłem

się postępować według jej zasad i wy wszyscy dobrze o tym wiecie!

Możecie mnie nienawidzić, ale kto z was odważy się stwierdzić, że skrzywdziłem go bez powodu?

Jakaś ciemna postać, czarniejsza od nocy, skoczyła w moją stronę. Błysnęło ostrze, lśniące jak zęby alzabo, Zak błyskawicznie poderwał się z miejsca i zaraz potem metalowy przedmiot, najpewniej sztylet albo miecz, upadł na podłogę z donośnym brzękiem.

Rozdział XIX

Cisza

W zamieszaniu, które rozpętało się zaraz potem, nawet nie zauważyłem, kto mnie uwolnił. Wiem tylko tyle, że było ich dwóch, że wzięli mnie pod rękę i poprowadzili szybko za sędziowski fotel, a potem w dół wąskimi schodami. Ścigały nas wściekłe okrzyki marynarzy, ich przekleństwa oraz ryki alzaba.

Schody były długie i strome, ale ponieważ umieszczono je pod otworem w kopule, docierała do nich smuga jeśli nie światła, to przynajmniej jaśniejszej ciemności, sączącej się z jeszcze nie do końca czarnego nieba. Kiedy jednak dotarliśmy na sam dół, ogarnął nas mrok tak głęboki, iż z pewnością nie zorientowałbym się, że jestem na zewnątrz budynku, gdybym nie poczuł trawy pod stopami, na policzkach zaś powiewu świeżego powietrza.

□ Dziękuję wam - powiedziałem. - Czy mogę wiedzieć, kim jesteście?

□ To moi przyjaciele - odparła Apheta. Sądząc po tym, jak dobrze ją słyszałem, musiała stać najwyżej kilka kroków ode mnie. -

Byli ze mną w pojeździe, który przywiózł cię tutaj ze statku.

Moi wybawcy uwolnili mnie z delikatnego, ale stanowczego uchwytu. Odczuwam wielką pokusę, by napisać, że rozpułnęli się w powietrzu, gdyż takie właśnie odniosłem wrażenie, lecz nie uczynię tego, ponieważ wiem, że tak nie było. Zapewne po prostu odeszli w ciemność nie mówiąc ani słowa.

Apheta wzięła mnie za rękę.

- Obiecałam pokazać ci cuda naszej wyspy.

Odciągnąłem ją dalej od budynku.

- Szczerze mówiąc nie czuję się gotów podziwiać cuda. wszystko jedno, twoje czy jakiejś innej kobiety.

Roześmiała się. Dla większości kobiet śmiech jest tym samym, czym beknięcie podczas posiłku dla autochtonów: uprzejmym odgłosem

świadczącym o dobrych manierach, lecz pozbawionym jakiegokolwiek znaczenia. Tym razem wydawało mi się, że w śmiechu Aphety słyszę autentyczne rozbawienie.

-

Mówię całkiem poważnie - zapewniłem ją.

O tym, jak bardzo się jeszcze niedawno bałem, świadczyły moje drżące koiana oraz pot, który

grubymi kroplami wystąpił mi na czoło. Strach co prawda ustąpił, pozostało jednak zdumienie i oszołomienie; jeśli mogłem być czegoś pewien, to właśnie tego, że akurat w tej chwili nie mam najmniejszej ochoty na żadne miłosne przygody.

Wobec tego pójdziemy na spacer daleko od miejsca, które

starasz się z takim pośpiechem opuścić, i porozmawiamy. Zdaje się, że dziś po południu wprost zasypywałeś mnie pytaniami...

Teraz nie potrafię sformułować ani jednego - odparłem. -

Muszę pomyśleć.

Wszyscy musimy myśleć - powiedziała z nutą łagodnej melan

chologii w głosie. - Zawsze albo prawie zawsze.

Szliśmy szeroką, wybrukowaną białymi kamieniami ulicą, która wiła się jak leniwa rzeka, dzięki czemu jej spadek nie był zbyt wielki, Po obu stronach niczym zjawy stały budynki z jasnego kamienia.

Większość była pogrążona w ciszy, z niektórych jednak dobiegały odgłosy biesiady, brzęk naczyń, dźwięki muzyki lub tupot roztańczonych stóp; nie usłyszałem natomiast ani jednego słowa.

- Wy nie mówicie tak jak my - zauważyłem, kiedy minęliśmy kilkanaście budowli. Właściwie można powiedzieć, że w ogóle nie mówicie.

- Czy to pytanie?

Nie, to odpowiedź. Kiedy szliśmy do sali rozpraw, poinform

mowałaś mnie, że ani ja nie władam waszym językiem, ani ty nie władasz moim. Jeśli chodzi o wasz, to wygląda na to, że nikt nim nie włada.

Użyłam przenośni, którą ty zrozumiałeś dosłownie. Naturalnie porozumiewamy się ze sobą, ale korzystamy ze sposobu, którego wy nie używacie, wy zaś z kolei posługujecie się metodami, które dla nas są pozbawione wszelkiej wartości.

Odnoszę wrażenie, że próbujesz mnie przed czymś ostrzec.

Wcale nie. Po prostu wy porozumiewacie się za pomocą dźwięków, my natomiast za pomocą milczenia.

Zapewne masz na myśli mowę znaków?

Nie, właśnie milczenie. Ty wytwarzasz dźwięki posługując się krtanią, podniebieniem, językiem i wargami. Robisz to od tak dawna, że przestałeś poświęcać tej czynności jakąkolwiek uwagę, ale kiedy byłeś mały musiałeś się tego nauczyć, tak samo jak każde dziecko należące do waszego

gatunku. My też moglibyśmy to uczynić, gdybyś my tylko zechcieli. Posłuchaj.

Do moich uszu dotarło coś jakby delikatne gulgotanie, które jednak zdawało się dobiegać nie z ust kobiety, lecz z miejsca oddalonego o kilka piędzi od jej głowy, zupełnie jakby przyłączył się do nas jakiś niewidzialny niemowa i próbował wziąć udział w rozmowie, wydając takie dźwięki, jakie był w stanie wyartykułować za pomocą swego kalekiego aparatu głosowego.

Co to było?

Widzę, że jednak nie oduczyłeś się zadawać pytań. Tak właśnie brzmi mój głos. Czasem wołamy w ten sposób, kiedy stanie nam się coś złego lub gdy potrzebujemy pomocy.

Nic z tego nie rozumiem - odparłem. - I nie zależy mi, by

cokolwiek zrozumieć. Muszę zostać sam na sam z moimi myślami.

Między eleganckimi rezydencjami szemrało wiele fontann oraz rosły liczne wysokie drzewa, które nawet w ciemności wydawały mi się bardzo piękne i niezwykle. Woda w fontannach nie była nawoniona perfumami, jak w naszych wodotryskach na terenie ogrodów Domu Absolutu, ale zapach czystej wody Yesodu był słodszy od aromatu najkosztowniejszych perfum.

Rosły też kwiaty, o czym po raz pierwszy przekonałem się zaraz po wyjściu ze ślizgacza i miałem ponownie przekonać się wraz z nastaniem świtu. Większość stuliła na noc płatki i pochyliła głowy, tak że tylko powój kierował ku niebu niewielkie, lecz liczne białe kielichy, mimo że nie było księżycy, z którym podobno ta roślina jest związana w magiczny sposób.

Wreszcie ulica skończyła się, my zaś stanęliśmy na brzegu morza. Cumowało tu mnóstwo łodzi, co widziałem z pokładu ślizgacza, oraz panował intensywny ruch, ponieważ kobiety i mężczyźni bez przerwy przemieszczali się między łodziami, wysiadali z nich lub wsiadali, czasem wyruszali na którejś w morze, czasem zaś zjawiała się nowa łódź z załogą i pasażerami, niemal do ostatniej chwili płynąc pod

pełnymi żaglami, które, o ile mogłem zorientować się w mroku, pyszniły się wszystkimi barwami tęczy.

Gdzieniedzie zapłonęła na chwilę lampa lub na wodę padł krwistoczerwony blask pochodni.

Już kiedyś zachowałem się jak głupiec, ponieważ uwierzyłem.

że Thecla żyje - odezwałem się po dłuższej chwili. - To był tylko podstęp, którym posłużyła się Agia, żeby zwabić mnie do kopalni zamieszkaanej przez małpoludy. Dzisiaj zobaczyłem jej martwego brata.

Nie rozumiesz nic z tego, co ci się ostatnio przydarzyło - od parła Apheta tonem, który nie był ani pobłażliwy, ani zniecierpliwio ny. - Właśnie po to tu jestem: żeby ci wszystko wytłumaczyć. Nie uczynię tego jednak dopóty, dopóki nie będziesz gotowy przyjąć moich wyjaśnień i dopóki mnie nie zapytasz.

A jeśli nie zapytam?

Wówczas niczego się nie dowiesz. Byłoby jednak lepiej dla

ciebie, gdybyś się dowiedział, szczególnie jeżeli jesteś Nowym Słońcem.

-

Czy Urth naprawdę jest dla was tak bardzo ważna?

Pokręciła głową.

Wobec tego czemu poświęćcie jej, a przy okazji mnie, tyle uwagi?

Ze względu na gatunek, do którego należysz. Naturalnie byłoby nam znacznie łatwiej, gdyby dało się załatwić wszystko za jednym zamachem, ale jesteście rozproszeni na tysiącach planet, a my nie mamy aż tak wielkich możliwości.

Czekałem w milczeniu na ciąg dalszy.

Te planety znajdują się w ogromnej odległości od siebie. Jeśli nasz statek leci z jednej na drugą z prędkością światła, podróż zajmuje wiele stuleci; ci, co są na jego pokładzie, nie zdają sobie z tego sprawy, ale tak jest w istocie. Jeśli statek leci jeszcze szybciej, gnany wiatrem wiejącym między słońcami, wtedy czas zaczyna biec w przeciwną stronę i statek dociera do celu, jeszcze zanim wyruszył w drogę.

To musi być dla was bardzo niewygodne - zauważyłem, spog

lądając przed siebie na otulone płaszczem Nocy morze.

- Dla nas, owszem, ale nie dla mnie osobiście. Jeśli myślisz, że jestem kimś w rodzaju opiekunki albo strażniczki waszej Urth, to wiedz, że się mylisz. Nie jestem nikim takim. Wyobraź sobie jednak

iz gramy w szachy na szachownicy, której pola są tratwami unoszącymi się na powierzchni tego morza.

Wykonujemy ruch, lecz w tej samej

chwili tratwy zmieniają położenie, tworząc zupełnie nową kombinację, więc musimy długo i pracowicie wiosłować, by znaleźć się tam, gdzie zamierzaliśmy.

Kto jest waszym przeciwnikiem? - zapytałem.

Entropia.

Odwróciłem wzrok od morza i spojrzałem na Aphetę.

Podobno w tej grze nie sposób zwyciężyć.

Wiemy o tym.

Czy Thecla naprawdę żyje? To znaczy, czy naprawdę żyje

poza mną?

Tutaj? Owszem.

Czy żyłaby nadal, gdybym zabrał ją na Urth?

Na to nie możemy pozwolić.

- Wobec tego nie będę nawet pytał, czy pozwolilibyście mi tu zostać, bo już odpowiedziałas na to pytanie.

- A zostałbyś, gdyby istniała taka możliwość?

Zastanawiałem się przez chwilę.

- Porzucić Urth, by marznąć w wiecznej ciemności? Nie. Thecla nie była dobrym człowiekiem, ale...

- Niedobrym według czyich standardów? - wpadła mi w słowo Apheta, a kiedy nie odpowiedziałem, dodała: - Naprawdę chcę wiedzieć. Może wydaje ci się, że jestem wszechwiedząca, ale to nieprawda.

- Według swoich własnych. Szukałem właściwych słów, by po

wiedzieć, że ona... że prawie wszyscy arystokraci, z nielicznymi wyjątkami, zdawali sobie sprawę ze spoczywającej na nich odpowiedzialności. Czasem dziwiło mnie, że ona, osoba bardzo wykształcona, przywiązuje do tej sprawy tak niewielką wagę. To było wtedy, kiedy prowadziliśmy długie rozmowy w jej celi. Wiele lat później, gdy już od dawna byłem Autarchą, uświadomiłem sobie, iż zachowywała się w ten sposób, ponieważ wiedziała o czymś lepszym, o czymś, czego uczyła się przez całe życie... Wiem, że to brzmi bardzo głupio, ale nie potrafię tego inaczej wyrazić.

- Spróbuj, proszę. Chętnie cię wysłucham.

- Thecla broniłaby do ostatniej kropli krwi każdego, kto byłby y od niej za leżny. To dlatego Hurma pomogła mi dziś po południu schwytać Zaka. Dostrzegła we mnie cząstkę swojej pani, choć z pewnością przez cały czas zdawała sobie sprawę, że nią nie jestem.

Wspomniałeś, że Thecla nie była dobrym człowiekiem...

Dobroć jest czymś znacznie większym. Z tego także zdawała

sobie sprawę.

Umilkłem, zapatrzonej w białe rozbłyśki fal za rzędem łodzi, usiłując zebrać myśli.

□ Staralem się powiedzieć, że o tej odpowiedzialności dowiedziałem się właśnie od niej, a raczej wchłonałem tę wiedzę, kiedy Thecla stała się częścią mnie. Gdybym teraz zdradził dla niej Urth, okazałbym się gorszy, nie lepszy, ona zaś pragnie uczynić mnie lepszym, tak jak każdy zakochany człowiek pragnie widzieć swego partnera lepszym od siebie.

□ Mów dalej - zachęciła mnie Apheta.

□ Pragnałem Thecli, ponieważ była znacznie lepsza ode mnie

zarówno pod względem moralności, jak i pozycji społecznej, ona na tomiast pragnęła mnie, bo byłem lepszy od niej i jej przyjaciół, ponieważ robiłem coś użytecznego. Większość arystokratów nie może tego o sobie powiedzieć, przynajmniej na Urth. Dysponują ogromną władzą, lecz tylko udają, że nikt nie mógłby się bez nich obejść.

Wmawiają Autarsze, że rządzą swymi chłopami, chłopom zaś wma

wiają, że rządzą Wspólnotą, lecz tak naprawdę nic nie robią i w głębi serca doskonale zdają sobie z tego sprawę. Obawiają się korzystać ze swej siły - to znaczy, obawiają się najinteligentniejsi z nich, ponieważ wiedzą, że nie będą w stanie uczynić tego roztropnie.

Nad naszymi głowami przemknęło kilka morskich ptaków o wielkich oczach i dziobach jak miecze, nad fale zaś wyskoczyła spora ryba. - O czym ja właściwie mówiłem? - zapytałem po pewnym czasie.

- Dlaczego nie możesz porzucić swej planety, by marznąć w wiecznej ciemności.

Ja jednak właśnie przypomniałem sobie o czymś innym.

□ Wspomniałaś, że nie władasz naszym językiem, prawda?

□ Powiedziałam chyba, iż nie władam żadnym językiem, co jest o tyle zrozumiałe, że my nie mamy języków. Popatrz.

Otworzyła usta i podniosła je ku mnie, ale było tak ciemno, że nie mogłem stwierdzić, czy mówi prawdę, czy tylko naigrawa się ze mnie.

- Wobec tego w jaki sposób mogę cię słyszeć?

Dopiero kiedy zadałem to pytanie, zrozumiałem, czego ode mnie oczekuje i pocałowałem ją w rozwarte usta. Ten pocałunek utwierdził mnie w przekonaniu, że Apheta jest kobietą z krwi i kości.

Czy znasz naszą historię? - wyszeptała, kiedy oderwaliśmy się od siebie.

Powtórzyłem jej to, czego pewnej nocy na zupełnie innej plaży dowiedziałem się od aquastora Malrubiusa: że w poprzedniej man-wantarze ludzie żyjący w tamtym cyklu stworzyli sobie towarzyszy i przyjaciół z istot należących do innych ras i że po zagładzie wszechświata istoty te

znalazły schronienie tu, na Yesodzie, oraz że władają naszym wszechświatem za pośrednictwem hieroduli, których z kolei one sobie stworzyły.

Kiedy skończyłem. Apheta potrząsnęła głową.

- To nie wszystko, Severianie.

Odparłem, iż nigdy nie podejrzewałem, że znam całą prawdę, po czym zapytałem:

Mówiłaś o was jako o dzieciach hierogramatów... Kim oni są i kim wy jesteście?

O nich sam mi przed chwilą opowiedziałeś: to istoty stworzone na wasze podobieństwo przez rasę bardzo blisko z wami spokrewnioną.

Jeśli chodzi o nas, to już wiesz ode mnie, kim jesteśmy.

Umilkła, a kiedy zorientowałem się, że z własnej woli nie powie ani słowa więcej, poprosiłem:

Mów dalej.

Severianie, czy wiesz, co znaczy słowo, którego niedawno użyłeś?

Hierogramata.

Odparłem, iż ktoś kiedyś mówił mi, że oznacza ono tego, kto spisuje reskrypty Prastwórcy.

- To prawda. - Ponownie umilkła, lecz tym razem na krócej. -

Chyba niepotrzebnie aż tak bardzo się lękamy. Ci, dla których nie mamy imienia - myślę o rasie blisko spokrewnionej z waszą - wciąż jeszcze budzą takie uczucia, choć jedynym śladem, jaki po nich pozostawili, są właśnie hierogramaci. Twierdzisz, że pragnęli mieć towarzyszy...

W jaki sposób mogli sobie ich stworzyć, skoro sami pięli się coraz wyżej, skazując się na wieczną samotność?

Przyznałem, że nie znam odpowiedzi na to pytanie. Ponieważ wyglądało na to, że Apheta również jej nie zna, opowiedziałem jej o skrzydlatej istocie, którą zobaczyłem kiedyś między stronami książki ojca Inire i zapytałem, czy aby nie ujrzałem wtedy jednego z hierogramatów.

Odparła, że istotnie tak było.

- Ale o nich nie powiem już ani słowa. Pytałeś o nas; jesteśmy ich larwami. Chyba wiesz, co to są larwy.

- Oczywiście. Zamaskowane duchy.

Kobieta skinęła głową.

- Nosimy w sobie ich dusze, lecz aż do chwili, kiedy osiągniemy stan, który pozwoli nam się z nimi zrównać, musimy pozostać zamaskowani... Nie, nie nosimy masek takich jak nasi hierodule, lecz przy oblekliśmy kształty naszych rodziców, hierogramatów, przez co prawie niczym nie różnimy się od was, ludzi. Jednak w rzeczywistości nie jesteśmy ani nimi, ani wami. Od dłuższego czasu słuchasz mego głosu, Autarcho; teraz wsłuchaj się w głos Yesodu i powiedz mi, co słyszysz.

Słuchaj!

Nie wiedziałem, czego ode mnie oczekuje.

- Nic nie słyszę - odparłem. - Wiem natomiast, że jesteś czło wiekiem jak ja.

- Nic nie słyszysz, ponieważ porozumiewamy się za pomocą milczenia, w przeciwieństwie do was, którzy posługujecie się dźwiękami. Przekształcamy zgodnie z naszą wolą wszystkie odgłosy, likwidując to, co w nich niepotrzebne, resztę kształtując według naszych potrzeb. Właśnie dlatego przyprowadziłam cię tutaj, nad brzeg morza, gdzie wiecznie szumią fale, i dlatego też mamy tyle fontann i drzew, których liście szeleszczą w wietrze wiejącym od morza.

Przestałem zwracać uwagę na jej słowa, gdyż nad horyzontem pojawił się przedziwny kształt jakby zdeformowane słońce, a może księżyc - skąpany w jaskrawym blasku. Wznosił się szybko, podobny do złotego nasienia, które nie wiadomo skąd i dlaczego pojawiło się w atmosferze tej niezwykłej planety, ciągnięte w górę przez miliard niewidocznych czarnych nici. Był to nasz statek.

Chwilę potem słońce Yesodu, choć skryte głęboko za horyzontem, oświetliło jego kadłub, a on rozjarzył się złocistymi promieniami, zamieniając noc w dzień.

- Patrz! - wykrzyknąłem.

- Patrz! - odpowiedziała jak echo, wskazując na swoje usta.

Zajrzałem do nich i zobaczyłem, że to, co podczas pocałunku

wziąłem za język, było tylko jego resztkami, zwisającymi bezwładnie z tylnej części podniebienia.

Rozdział XX

Spiralny pokój

Nie potrafię powiedzieć, jak długo statek wisiał na niebie. Z całą pewnością trwało to krócej niż jedną wachtę, choć mnie wydawało się, że krócej niż jedno uderzenie serca. Dopóki jaśniał nad horyzontem, nie byłem w stanie oderwać od niego wzroku, w związku z czym nie mam pojęcia, co w tym czasie robiła Apheta. Kiedy zniknął, a ja opuściłem głowę, ujrzałem ją siedzącą na głazie nad samą wodą i przyglądającą mi się w milczeniu.

□ Chciałbym ci zadać mnóstwo pytań - powiedziałem. - Kiedy

zobaczyłem Thecle, wszystkie wyleciały mi z głowy, teraz jednak wró ciły, a przy okazji zjawilo się

sporo nowych, dotyczących jej osoby.

□ Ale zapewne czujesz się bardzo zmęczony - dopowiedziała

Apheta.

Skinąłem głową.

- Jutro musisz stanąć przed obliczem Tzadkiela, więc masz niewiele czasu na odpoczynek. Nasza mała planeta obraca się znacznie szybciej od waszej; tutejsze noce i dni muszą ci się wydawać zaskakująco krótkie. Czy pójdziesz ze mną?

- Chętnie, szlachetna pani.

- Uważasz mnie chyba za królową albo kogoś w tym rodzaju. Nie zdziwi cię, że mieszkam w jednym pokoju? Spójrz, proszę.

Jej wyciągnięta ręka wskazywała wejście do niewielkiej budowli ukrytej między drzewami, zaledwie kilkanaście kroków od wody.

- Czy tu nie ma przyływów?

-

Nie. Wiem, co to jest przyływ, ponieważ starałam się dowie

dzieć jak najwięcej o waszej planecie; między innymi właśnie dlatego wybrano mnie, bym rozmawiała z żeglarzami, a potem z tobą. Yesod jest pozbawiony satelity, w związku z czym nie występują na nim przyływy ani odpływy.

- Od początku wiedziałas, że to ja jestem Autarcha, prawda? Na pewno, skoro, jak sama twierdzisz, starałaś się poznać Urth. Zakucie Zaka w kajdany stanowiło jedynie fortel.

Nie odpowiedziała, nawet kiedy dotarliśmy do wejścia. Wydawało się czarniejsze, niż było w istocie, ponieważ znajdowało się w białej ścianie, przez co przypominało otwór grobowca, ale powietrze było tu równie słodkie i pachnące jak na całej wyspie.

-

Musisz mnie poprowadzić, pani - powiedziałem. - Nic nie

widzę w tej ciemności.

Ledwie skończyłem mówić, kiedy mrok rozjarzyło słabe światło, przypominające blask świecy odbity w pokrytym patyną czasu srebrnym zwierciadle. Światło emanowało z Aphety i delikatnie pulsowało w rytmie uderzeń jej serca.

Znajdowaliśmy się w obszernym pomieszczeniu o ścianach zasłoniętych muślinowymi kotarami. Na szarym dywanie stały miękko wyściełane sofy i kanapy. Kotary rozsuwały się kolejno, ukazując poważne twarze mocno zbudowanych mężczyzn; każdy z nich przyglądał się nam uważnie przez chwilę, po czym cofał się o krok, pozwalając zasłonie opaść na miejsce.

-

Widzę, że jesteś dobrze strzeżona, pani. Zapewniam cię jednak, iż z mojej strony nie musisz się niczego obawiać.

Uśmiechnęła się. Był to bardzo niezwykły uśmiech, rozjaśniony własnym, całkiem realnym blaskiem.

Oboje dobrze wiemy, że gdybyś uważał, iż w ten sposób ocalisz Urth, bez wahania poderżnąłbyś mi ga rdł o. Swoje zresztą też, ja k przypuszczam.

Owszem. W każdym razie, taką mam nadzieję.

- Ci ludzie nie są tu po to, by mnie chronić. Mój blask świadczy o tym, że jestem gotowa, by połączyć się z mężczyzną.

-

A jeśli ja nie jestem gotów?

- Wówczas położysz się spać, ja zaś wybiorę sobie innego. Jak sam widzisz, nie powinnam mieć z tym żadnego kłopotu.

Odsunęła jedną z kotar i weszliśmy do szerokiego, skręcającego w lewo korytarza. Stały w nim siedziska podobne do tych, jakie widziałem w poprzednim pomieszczeniu, oraz mnóstwo przedmiotów stanowiących dla mnie taką samą zagadkę jak maszyny zgromadzone w zamku Baldandersa, choć te były raczej piękne niż straszne. Apheta usiadła na jednej z otoman.

-

Czy ten korytarz prowadzi do twojej komnaty, pani?

- Już w niej jesteśmy. Jest spiralna, jak wiele zajmowanych przez nas pomieszczeń, gdyż podoba nam się ten kształt. Jeśli pójdziesz dalej, znajdziesz miejsce, gdzie będziesz mógł się wykąpać i spędzić nieco czasu w samotności.

- Dziękuję. Czy możesz dać mi świecę albo jakąś lampę?

Pokręciła głową, po czym zapewniła mnie, że tam, dokąd idę, nie będzie zupełnie ciemno.

Ruszyłem przed siebie. Światło rozsiewane przez Aphetę towarzyszyło mi w wędrówce, co prawda z każdą chwilą coraz słabsze, ale wciąż całkiem wystarczające, gdyż odbijało się od zakrzywionej ściany. Kiedy dotarłem do końca spirali - nie zabrało mi to zbyt wiele czasu - powiew świeżego

powietrza podpowiedział mi, że w dachu budynku znajduje się zapewne otwór wentylacyjny. Istotnie: kiedy moje oczy nieco przywykły do ciemności, dostrzegłem w suficie owalną plamę mniej intensywnego mroku, przesyconego srebrzystym blaskiem gwiazd.

Pogrążony głęboko w myślach załatwiłem potrzeby i wziąłem kąpiel, po czym wróciłem do Aphety, która w kuszącej pozie leżała na otomanie, zupełnie naga, jeśli nie brać pod uwagę prześcieradła z niezmiernie cienkiego materiału, okrywającego tętniące pożądaniem ciało. Pocałowałem ją, a następnie zapytałem:

- Czy nie ma innych światów, szlachetna pani?

- Jest ich całe mnóstwo... - szepnęła.

Rozpuściła czarne, długie włosy, które okoliły jej świecąca twarz ciemna chmurą, w związku z czym sama przypominała gwiazdę otuloną płaszczem Nocy.

Chodzi mi o wasze niebo. Na niebie Urth widać mnóstwo

gwiazd, w dzień dość bladych, nocą bardzo jasnych. Tutaj w dzień nie zauważyłem żadnej, natomiast nocą pojawia ich się znacznie mniej niż na Urth, ale za to świecą jaśniejszym blaskiem.

Jeśli będziemy potrzebować więcej planet, hierogramaci zbudują je bez najmniejszego trudu - takie jak ta. albo jeszcze piękniejsze.

Słońca też, ma się rozumieć. Dla nas one już istnieją, ponieważ czas płynie tu w takim kierunku i tempie, jakie mu wyznaczymy.

- Mnie natomiast zupełnie nie chce słuchać.

Usiadłem obok niej na otomanie i wyprostowałem bolącą nogę.

- Jeszcze nie. Ty kulejesz, Autarcho.

Z pewnością zauważyłaś to już wcześniej.

Owszem, ale po prostu szukam sposobu, aby powiedzieć ci, że już niedługo czas będzie płynął dla ciebie tak samo jak dla nas. Teraz jesteś kulawy, ale tak wcale nie musi być zawsze, szczególnie jeżeli dasz swojej Urth Nowe Słońce.

Wy, hierarchowie, jesteście magami, co prawda znacznie potężniejszymi od tych, których spotykałem, ale jednak magami. Mówicie od niechcienia o różnych cudach, lecz chociaż wasze przekleństwa istotnie mają moc sprowadzania nieszczęść, to nie mogą oprzeć się wrażeń, iż nagrody, które rozdzielacie, są z fałszywego złota i bardzo szybko zamieniają się w bezwartościowy pył.

- niesprawiedliwie nas oceniasz - odparła. - Istotnie, wiemy dużo więcej od ciebie, jednak nasze złoto jest prawdziwe, a zdobywamy je czasem nawet za cenę naszego życia.

- Wobec tego zgabiliście się we własnym labiryncie, co wcale mnie nie dziwi. Kiedyś ja także dysponowałem magiczną mocą - mocą uzdrawiania ludzi i zwierząt.

Opowiedziałem jej o chorej dziewczynie z lepianki w Thraksie. o lansjerze na drodze wiodącej do Domu Absolutu oraz o Triskele, na koniec zaś o stewardzie, którego znalazłem martwego przed drzwiami kajuty.

- Jeśli spróbuję ci to wyjaśnić, czy uwierzysz mi, że ja także nie znam wszystkich tajemnic waszego Briaha, choć poświęciłam wiele czasu na ich zgłębianie? Jest ich nieskończenie wiele.

Rozumiem - odparłem. Jednak na statku wydawało mi się, że przybywając tutaj dotarliśmy jednocześnie do granicy Briaha.

- Tak właśnie się stało, ale przecież nawet jeśli wejdiesz do domu jednymi drzwiami, a wyjdiesz innymi, umieszczonymi na jego przeciwległym końcu, to wcale nie znaczy, że poznałeś wszystkie sekrety, jakie się w nim kryją.

Skinąłem głową, obserwując poruszenia jej nagiego ciała przykrytego cienkim materiałem.

Odczuwałem coraz większe podniecenie, lecz muszę wyznać, iż wcale nie byłem z tego zadowolony.

- Niedawno widziałeś nasze morze. Zauważyłam, że śledzisz wzrokiem jego fale. Co byś powiedział komuś, kto upierałby się, że to nie były żadne fale, tylko po prostu woda?

Nic bym nie powiedział, gdyż wiem, że nie należy wdawać się w dyskusje z głupcami. Odszedłbym, zostawiając go samego z jego przekonaniem.

To, co nazywasz Czasem, składa się właśnie z takich fal i jak fale istnieją w świecie zbudowanym z wody, tak czas istnieje w świecie zbudowanym z materii. Fale podążają ku brzegowi, ale gdybyś wrzucił

do wody kamień, inne fale, sto albo tysiąc razy słabsze od tamtych, ruszyłyby w kierunku otwartego morza, dając znać o swoim istnieniu tym znacznie większym, zdążającym w stronę plaży.

Rozumiem.

W taki właśnie sposób przyszłość objawia się przeszłości. Dziec ko, z którego kiedyś wyrośnie mądry człowiek, zazwyczaj jest mądrym dzieckiem, a wielu ludzi, którzy są skazani na zagładę, noszą jej zapo wiedź wypisaną na twarzach, dzięki czemu inni, potrafiący zajrzeć chociaż odrobinę w przyszłość, mogą w porę odwrócić wzrok lub zasłonić oczy.

Czy my wszyscy nie jesteśmy skazani na zagładę?

Nie, ale to zupełnie inna sprawa. Być może kiedyś zapanujesz nad Nowym Słońcem; jeśli to ci się uda, będziesz mógł korzystać z jego energii, choć ono rozbłyśnie dopiero wtedy, kiedy ty, a razem z tobą cała Urth, przejdziecie zwycięsko próbę tu, na Yesodzie. Jednak tak jak w chłopcu widać

czasem mężczyzną, którym się stanie, tak część owej mocy dotarła do ciebie już wcześniej korytarzami czasu.

Nie jestem w stanie powiedzieć, skąd czerpałeś moc, kiedy byłeś na Urth; bez wątpienia częściowo z siebie samego, ale na pewno nie całą ani nawet nie większą część, bo doprowadziłbyś się do samounicestwienia. Może z wnętrza planety albo ze starego słońca... Znalazłszy się na statku utraciłeś z nimi kontakt, wobec tego skorzystałeś z zasobów energetycznych statku i niewiele brakowało, żebyś stał się przyczyną katastrofy. Jednak nawet to okazało się za mało.

A więc Pazur Łagodziciela nie miał żadnej mocy?

Wyciągnęła ku mnie świecącą rękę.

Pokaż mi go.

- Został zniszczony dawno temu podczas wojny z Ascianami -

odparłem.

Wpatrywała się we mnie w milczeniu. Po kilku uderzeniach serca zorientowałem się, że spogląda na moją pierś, gdzie w skórzanym

woreczku uszytym przez Dorcas spoczywał zakrzywiony cień. Ja także opuściłem tam wzrok... i zobaczyłem światło, znacznie słabsze niż to, które emanowało z jej ciała, ale stałe i wyraźne. Wyjąłem cień z ukrycia, a wówczas rozjarzył się złocistym blaskiem, po czym zgasł.

- Teraz on stał się Pazurem - powiedziałem. - W moich oczach był nim już wtedy, kiedy zobaczyłem go na krzaku.

Podąłem cieniem Aphecie, lecz ona nawet na niego nie spojrzała; jej uwagę przykuła jeszcze nie do końca zagojona rana, którą zostawił po sobie.

- Przesiąknął twoją krwią, a krew zawiera przecież żywe komórki ciała... Wątpię, czy rzeczywiście nie miał żadnej mocy i wcale się nie dziwię, że Peleryny otaczały go tak wielką czcią.

Zostawiłem ją wtedy, niemal po omacku odnalazłem drogę na plażę i bardzo długo przechadzałem się brzegiem morza. Myśli, z którymi się wtedy zmagalem, na zawsze pozostaną moją tajemnicą.

Po powrocie zastałem Aphetę w nie zmienionej pozycji, o ile to możliwe jeszcze bardziej rozpaloną pod cienkim prześcieradłem.

Czy możesz? - zapytała.

Odparłem, że jest bardzo piękna.

Wiem, ale czy możesz?

□ Najpierw musimy porozmawiać. Zdradziłbym tych, którzy mnie tu wysłali, gdybym nie skorzystał ze sposobności, żeby dowiedzieć się najwięcej ile można.

□ Pytaj więc - szepnęła. - Ostrzegam cię jednak, że nic, co powiem, nie okaże ci się pomocne podczas próby.

□ Jak to się dzieje, że mówisz?

- Musisz wsłuchać się w mój głos, nie w słowa. Co słyszysz?

Zastosowałem się do jej rady i usłyszałem szelest zsuwającego się prześcieradła, szept naszych ciał, szmer małych fal oraz bicie mego serca.

Zamierzałem zasypać ją setkami pytań. Wydawało mi się, że odpowiedź na każde z nich przybliży chwilę nadejścia Nowego Słońca. Tymczasem wystąpiła rzecz ył, że lekko musnęła wargami moje usta, a wszystkie pytania znikły nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu w mej pamięci, jakby ich tam nigdy nie było. Jej ręce, usta, oczy,

piersi - wszystko było cudowne, najbardziej jednak oczarował mnie zapach włosów. Czuję się tak, jakbym oddychał nieskończoną nocą.

Leżąc na wznak wtargnąłem do wnętrza Yesodu albo raczej to Yesod zamknął się wokół mnie.

Dopiero wtedy pojąłem, że tak naprawdę nigdy przedtem tu nie byłem. Miliony, miliardy gwiazd wytrysnęły ze mnie w paroksyzmie rozkoszy, gorące fontanny słońca, tak że przez chwile wydawało mi się.

że wiem, jak rodzą się wszechświaty. Czyste szaleństwo.

Potem szaleństwo zaczęło stopniowo ustępować miejsca rzeczywistości, która rozpaliała się powoli jak wilgotna pochodnia, zaganiając cienie do kątów, gdzie jest ich miejsce. W tym spiralnym pokoju, na otomanie, w chwili mego połączenia z Aphetą, w chwili spotkania Yesodu z Bria-hem. zrodziło się coś nowego, małego, lecz rozpalonego do białości niczym rozżarzony węgiel wydobyty szczypcami z paleniska.

Tym czymś byłem ja sam.

Zasnąłem, a ponieważ nic mi się nie śniło, więc nie zdawałem sobie sprawy z tego, że śpię.

Kiedy się obudziłem, Aphety już przy mnie nie było. Słońce Yesodu świeciło przez otwór w suficie na samym końcu spiralnego pokoju; jego blask spływał aż do mnie po zakrzywionych białych ścianach, dzięki czemu miałem wokół siebie złocisty półmrok. Zacząłem się ubierać, zachodząc w głowę, gdzie też mogła podziać się Apheta, ale kiedy wciągnąłem buty, zjawiła się w komnacie niosąc oburącz tacę. Czuję się dość niezręcznie będąc obsługiwany przez tak wielką damę i powiedziałem jej o tym.

- Na twoim dworze z pewnością usługują ci konkubiny najszlachetniejszego rodu.

- Kimże one są w porównaniu z tobą? Wzruszyła ramionami.

- Wcale nie jestem wielką damą. a już na pewno nie dla ciebie i nie dzisiaj. Nasz status zależy od stopnia zażyłości z hierogramatami. oni zaś nie cenią mnie zbyt wysoko.

Postawiła tacę i usiadła na otomanie. Na tacy stał talerzyk z małymi ciasteczkami, karafka z wodą oraz filiżanki z jakimś gorącym płynem podobnym do mleka, który jednak na pewno mlekiem nie był.

- Trudno mi uwierzyć, pani, że nie żyjesz w wielkiej zażyłości z hierogramatami.

- Myślisz w ten sposób, ponieważ masz niezwykle wysokie mniemanie o sobie i swojej Urth.

Przypuszczasz, że to, co do ciebie mówię i co razem zrobimy, zadecyduje o jej losie. Mylisz się. Nasze czyny nie będą miały żadnego znaczenia, a losem twojej planety niki się tutaj nie przejmuje.

Milczałem, spodziewając się, że jeszcze coś usłyszę, i nie pomyliłem się.

Tylko ja - dodała, po czym włożyła do ust ciasteczko.

Dziękuję ci, pani.

A i to dopiero od chwili, kiedy się tu zjawiłeś. Co prawda zarówno ty jak i Urth budzicie we mnie głęboką niechęć, niemniej jednak potrafię docenić szczerą uczucie, jakie do niej żywisz.

Moja pani...

Wiem, wiem: myślałeś, że cię pożądam. Dopiero teraz polubiłam cię na tyle. aby powiedzieć ci, że to nieprawda. Jesteś bohaterem.

Autarcho, bohaterowie zaś zawsze są potworami, a w dodatku poją wiają się tylko po to, by przekazać nam wiadomości, których najchętniej byśmy nie słyszeli. Ty jesteś szczególnie potwornym potworem...

Powiedz mi, czy przyjrzałeś się obrazom na ścianach owalnego kory tarza, który okrąża sale rozpraw?

Tylko kilku z nich - odparłem. - Moją uwagę zwrócił widok

celi, w której była zamknięta Agia, i jeszcze jeden albo dwa.

Jak myślisz, skąd się tam wzięły?

Ja także sięgnąłem po ciastko i wypilem łyk z filiżanki stojącej po mojej stronie tacy.

-

Nie rnam pojęcia, pani. Widziałem tu już tyle cudów, że prze

stałem się im dziwić - z wyjątkiem tego, który wskrzesił Thecle.

- Nie wypytywałeś jednak o niego ani o nią, lękając się tego, co mógłbyś usłyszeć. Sto razy otwierałeś usta, by zapytać, ale nie zdobyłeś się na odwagę.

- Czy zyskałbym twoją przychylność, pani, gdybym będąc z tobą wypytywał cię o tę, która niegdyś obdarzyła mnie swymi względami? Jeśli tak, to doprawdy dziwni z was... ludzie. Skoro jednak sama poruszyłaś ten temat, byłbym ci wdzięczny, gdybyś zechciała powiedzieć coś więcej.

Kropla białego płynu, którego skosztowałem nie zwracając uwagi na smak, zsuwała się po ściance filiżanki. Rozejrzałem się za czymś, czym mógłbym ją wytrzeć, ale nic takiego nie znalazłem.

Drżą ci ręce,

- Tobie też, pani.

Odstawiłem filiżankę.

Czy naprawdę tak bardzo ją kochałeś?

Tak, szlachetna pani. I nienawidziłem. Jestem nie tylko męż czyzną, który kochał Theclę, lecz także samą Theclą.

Wobec tego nic ci o niej nie powiem. Możliwe, że sama to uczyni po rozprawie.

Jeśli przejdę zwycięsko przez próbę.

Czy twoja Theclą ukarałaby cię, gdybyś zawiódł? - spytała

Apheta, ja zaś poczułem, jak wielka radość wypełnia moje serce. -

Ale teraz jedz, bo niebawem będziemy musieli iść. Wczoraj wspo mniałam, że nasze dni są krótkie, a ty przespałeś już część dzisiejszego.

Przełknąłem ciastko do końca i opróżniłem filiżankę.

- Co się stanie z Urth, jeśli nie przejdę pomyślnie próby?

Apheta wstała z miejsca.

Tzadkiel jest sprawiedliwy. Na pewno nie uczyni Urth gorszą, niż jest teraz, ani gorszą, niżby się stała, gdybyś tu nie przybył.

Widziałem tę przyszłość - odparłem. - Jest skuta lodem.

Jeżeli jednak dam sobie radę, nadejdzie Nowe Słońce.

Nagle, jakby za sprawą jakiegoś narkotyku zawartego w podobnym do mleka napoju, odniosłem wrażenie, że wyszedłem z własnego ciała i spoglądam na siebie z bardzo, bardzo wysoka. Mój głos docierał do mych uszu jak popiskiwanie polnej myszy słyszane przez krążącego w górze jastrzębia.

Odsunęła zasłonę i wyszliśmy razem do portyku. Przed nami roztaczał się widok na szafirowe morze Yesodu, poznaczone białymi

kreskami grzywaczy.

- Owszem - powiedziała Apheta. - A wtedy Urth zostanie

zniszczona.

Moja pani...

Wystarczy. Chodź ze mną.

- Więc jednak Purn miał słuszość; chciał mnie zabić, a ja powinienem był mu na to pozwolić.

Ulica, którą teraz szliśmy, wiodła stromo pod górę ku siedzibie sądu.

To nie ty mu przeszkodziłeś - zwróciła mi uwagę kobieta.

Mówię o tym, co zdarzyło się na statku. A więc wczoraj, w ciemności, to także był on... Ktoś go powstrzymał, bo w przeciwnym razie już bym nie żył. Nie mogłem się uwolnić.

Tzadkiel.

Choć miałem znacznie dłuższe nogi, musiałem je zdrowo wyciągać, aby dotrzymać jej kroku.

Mówiłaś, że go tam nie było, pani.

Wcale nie. Powiedziałaam tylko, że akurat tego dnia nie zasiada w sędziowskim fotelu. - Zatrzymała się i zatoczyła ręką dokoła. -

Rozejrzyj się, Autarcho. Czyż to nie piękne miasto?

Najpiękniejsze, jakie widziałem, moja pani. Z pewnością sto razy ładniejsze od najpiękniejszego na Urth.

Zapamiętaj je dobrze, bo być może już nigdy go nie ujrzysz.

Gdybyście wszyscy tego pragnęli, wasza planeta mogłaby wyglądać równie pięknie.

Wspinaliśmy się w milczeniu, aż wreszcie stanęliśmy przed wejściem do budynku. Przypuszczałem, że będę musiał przepychać się przez tłum gapiów, ale szczyt wzgórza spowijała poranna cisza.

Apheta odwróciła się i wskazała w kierunku morza.

- Czy widzisz wyspy?

Widziałem. Były wszędzie, tworząc nie kończący się archipelag, dokładnie tak, jak zaobserwowałem ze ślizgacza.

- Wiesz, czym jest galaktyka, Autarcho? Zbiorowiskiem nieprze liczonych gwiazd, oddzielonym od innych, takich samych zbiorowisk.

Skinąłem głową.

- Wyspa, na której teraz stoimy, wyobraża twoją galaktykę, pozo stałe zaś są innymi galaktykami. Więcej nie mogę ci pomóc. Być może już nigdy mnie nie spotkasz, ale pamiętaj, że ja spotkam ciebie.

Rozdział XXI

Tzadkiel

Poprzedniego dnia marynarze siedzieli z przodu pomieszczenia i wzdłuż środkowego przejścia między ławkami. Pierwszą rzeczą, na jaką zwróciłem uwagę, wkroczywszy ponownie do sali rozpraw, było to, że tym razem zjawili się ich znacznie mniej, ci zaś, którzy jednak przybyli, zajęli miejsca z tyłu i pod ścianami, spowici mrokiem, który zdawał się sączyć z ich ciał.

Kiedy spojrzałem na sędziowski fotel, ujrzałem na nim Zaka. Białe ściany po obu stronach kamiennego siedziska zdawały się być zasłonięte kotarami z nadzwyczaj delikatnego materiału o przepięknych, mieniących się barwach; dopiero kiedy nimi poruszył, zorientowałem się, że to jego skrzydła.

Apheta opuściła mnie przy samym wejściu. Przez pewien czas stałem samotnie, wpatrując się w Zaka; wreszcie podeszli do mnie dwaj żeglarze, wzięli pod ręce, doprowadzili przed fotel i tam zostawili, z nisko pochyloną głową. Choć wyteżałem pamięć, nie mogłem przypomnieć sobie mowy, którą wygłosił poprzedni Autarcha. Wreszcie, kiedy wydawało mi się, że ciężar milczenia przygniecie mnie do kamiennej posadzki, wyjąkałem:

Zak, przybyłem błagać o łaskę dla Urth.

Wiem - odparł. - Witaj.

Głos miał głęboki i czysty, podobny do docierającego z oddali dźwięku złocistego rogu. Nie wiedzieć czemu, jego brzmienie przywiodło mi na myśl niezbyt mądrą opowieść o Gabrielu, który nosił

bojowy róg Niebios na przerzuconym przez ramię pasie z tęczy. Siłą rzeczy następnym skojarzeniem była brązowa książeczka Thecli, w której wyczytałem tę historię, kolejnym zaś wielka księga oprawna w różnobarwną skórę, którą pokazał mi stary Autarcha, gdy zapytałem go o drogę do ogrodu; przypuszczał wówczas, że zjawiłem się, aby go zastąpić, i że natychmiast wyruszę na Yesod, by wstawić się za Urth.

Jednocześnie uświadomiłem sobie, iż widziałem Tzadkiela znacznie wcześniej niż wtedy, kiedy pomagałem schwytać go Siderowi, oraz że męska postać, jaką przybrał, ma nie więcej (choć i nie mniej) wspólnego z rzeczywistością, co skrzydlata kobieta, której pojawienie się między srebrnymi kartami księgi tak bardzo mnie zdumiało, albo zwierzę, które uratowało mi życie, kiedy Purn usiłował zabić mnie w wiwarium.

Sieur... Zak... Tzadkielu... Przepotężny hierogramato... Wybacz, ale nie rozumiem.

Nie rozumiesz mnie? A dlaczego miałbyś mnie rozumieć? Ja

sam nie rozumiem ani siebie, ani ciebie, Severianie. Mimo to jestem, jaki jestem, gdyż wraz z innymi, podobnymi do mnie, zostałem stwo rzony przez was na długo przed apokatastazą. Czy nie wspomniano ci, że ludzie uczynili nas na swój obraz i podobieństwo?

Nie mogłem wykrztusić ani słowa, więc tylko skinąłem głową.

Wyglądali wówczas tak samo jak ty teraz, tak samo jak wtedy, kiedy zaczęli różnić się od zwierząt. Wszystkie gatunki ulegają zmianom, kształtowane przez czas. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

- Nie zawsze są to zmiany na lepsze - odparłem, mając na myśli małpoludy z nieczynnej kopalni.
- Istotnie. Jednak hierogramaci przejęli kontrolę nad tym procesem, a dzięki nim my uczyniliśmy to samo.
- Sieur...

- Pytaj. Twój proces rozpocznie się już niedługo. Ponieważ nie ma żadnych szans na to, aby był uczciwy, postaramy ci się to wynagrodzić, teraz albo później.

Serce zamarło mi w piersi, kiedy usłyszałem te słowa. Byłem odwrócony tyłem do publiczności, nie widziałem więc, jak bardzo jest liczna ani z kogo się składa, ale od jej strony doleciał do mnie szmer podekscytowanych głosów, przypominający szelest liści na wietrze.

Minęło trochę czasu, zanim zdołałem przełknąć ślinę i odezwać się ponownie.

-

Sieur, zdaję sobie sprawę, że to głupie pytanie, ale kiedyś sły szalem dwie opowieści o istotach potrafiących zmieniać kształt. W jed nej z nich anioł - a myślę, sieur, że ty jesteś takim właśnie aniołem -

otworzył pierś i przekazał umiejętność zmieniania kształtu zwykłej domowej gęsi, która natychmiast wykorzystwała ją, stając się szybką i silną dziką gęsią. Tej nocy Apheta powiedziała mi, że być może nie zawsze będę kulawy. Czy on... To znaczy, czy Melito opowiedział mi tę historię dlatego, że kazano mu to zrobić?

W kącikach ust Tzadkiela igrał ledwo dostrzegalny uśmiech, podobny do tego, jakim obdarzał mnie Zak.

Kto to może wiedzieć? Ja na pewno nie wydałem takiego pola cenia. Zrozum, że jeśli jakaś prawda jest powszechnie znana od nie przeliczonych eonów, wówczas zaczyna żyć własnym życiem, zmieniać kształt i przybierać wiele form. Jeśli jednak chciałeś poprosić, bym przekazał ci tę umiejętność, to już teraz odpowiem ci, że nie mogę tego uczynić. Gdybyśmy potrafili tego dokonać, przede wszystkim obda rzylibyśmy nią nasze dzieci. Spotkałeś je już i miałeś okazję przekonać się na własne oczy, że nadal są uwięzione w tym samym kształcie, który jest także twoim więzieniem. Czy masz jeszcze jakieś pytanie?

Tak, sieur. Co najmniej tysiąc. Skoro jednak wolno mi zadać tylko jedno, zdecyduję się na to: dlaczego zjawileś się na pokładzie statku jako Zak?

- Ponieważ pragnąłem cię bliżej poznać. Czy wtedy, kiedy byłeś jeszcze dzieckiem, oddawałeś cześć Łagodzielowi?

-

W dzień świętej Katarzyny, sieur.

- A czy wierzyłeś w niego całą duszą i całym sercem?

-

Nie, sieur.

Przypuszczałem, że zostanę ukarany za swoje niedowiarstwo, ale szczerze mówiąc, po dziś dzień nie jestem pewien, czy tak się stało czy nie.

Załóżmy jednak, że było inaczej. Czyżbyś nie słyszał o żadnym rówieśniku, który w niego wierzył?

Akolici, sieur. Oni wierzyli, a przynajmniej tak przypuszczaliśmy my, uczniowie w katowskiej konfraterni.

Czy nie sądzisz, że podążyliby za nim, gdyby mogli? Że nie stanęliby przy nim, gdyby zagrażało mu niebezpieczeństwo? Nie opie kowaliby się nim, gdyby zachorował? W jednym z wszechświatów, które dawno temu przestały istnieć, byłem takim właśnie akolitą. Byli tam również Łagodziel oraz Nowe Słońce, choć nazywali się zupełnie inaczej.

Teraz jednak musimy porozmawiać o czymś innym, i to prędko. Mam wiele obowiązków, w tym również wiele znacznie pilniejszych od tego. Powiem wprost, Severianie; oszukaliśmy cię. Przybyłeś tu na

przesłuchanie, a my nie wyprowadzaliśmy cię z błędu. Ba, powiedzieliśmy ci nawet, że znajdujesz się w budynku sadu. Otóż to wszystko nieprawda.

Mogłem tylko wpatrywać się w niego bez słowa.

-

Albo, ujmując rzecz innymi słowy, już poddaliśmy cię osądowi, badając przyszłość, jaką stworzysz. Jesteś Nowym Słońcem. Wrócisz na Urth, a razem z tobą podąży tam jedna z białych fontann. Agonia twego świata zostanie złożona w ofierze Prastwórcy, a będzie to straszliwa agonia: kontynenty zachwieją się w posadach, większość tego, co piękne, zniknie bezpowrotnie, tak samo jak niemal cała wasza rasa, ale wasz dom odrodzi się na nowo.

Mogę jedynie przekazać jego słowa i właśnie to czynię, natomiast choćbym nie wiadomo, jak się starał, nie zdołałem oddać tonu, jakim zostały wypowiedziane, ani opisać wyrazu niezachwianej pewności malującego się na twarzy Tzadkiela. Jego myśli zdawały się mieć siłę oddziaływania na myśli innych, oczami wyobraźni bowiem ujrzałem ginące kontynenty, usłyszałem łoskot walących się

budowli oraz poczułem smagnięcia huraganowego wiatru.

Za moimi plecami rozległ się groźny pomruk.

- Pamiętam, jak wyglądało przesłuchanie mego poprzednika,

sieur - wydukałem, czując się tak, jakbym był najmłodszym uczniem w całej konfraterni.

Tzadkiel skinął głową.

- Przesłuchiowano go wyłącznie po to, żeby przekazał ci te wspo mnienia.

- Czy po to też pozbawiono go męskości?

Stary Autarcha zadrżał w moim wnętrzu, ja zaś poczułem, że trzęsą mi się ręce.

- Tak. W przeciwnym razie między tobą a tronem stanęłoby jego dziecko i Urth musiałyby ulec zagładzie. Alternatywą było zgładzenie tego dziecka; czy sądzisz, że właśnie tak należało postąpić?

Milczałem, nie mogąc wykrztusić ani słowa, ale jego ciemne oczy zdawały się wwiercać w moje serce. Wreszcie pokręciłem głową.

-

Teraz muszę już iść. Mój syn dopilnuje, abyś bezpiecznie wrócił

do Briaha i na Urth, która zginie na twój rozkaz.

Oderwał ode mnie wzrok i skierował go ku sali. Odwróciłem się w kierunku środkowego przejścia między ławkami. Stał tam mężczyzna,

który w towarzystwie Aphety i jeszcze jednej kobiety przyleciał po nas ślizgaczem na statek. Marynarze zrywali się na nogi i dobywali noży, ale ja ledwo zwróciłem na nich uwagę. Miejsca przy samym przejściu, na których siedzieli minionego dnia, zajmowały teraz inne postaci, bynajmniej nie okryte cienistymi całunami. Na moje czoło wystąpił perlisty pot - tak samo zareagowałem wtedy, kiedy po raz pierwszy ujrzałem Tzadkiela, tyle że wówczas zamiast potu była to krew - i otwierając usta do krzyku zwróciłem ku niemu głowę. Już go nie było.

Najprędzej, jak mogłem, okrążyłem kamienny fotel, wiedząc, że za jego szerokim oparciem znajdę schody, którymi wyprowadzono mnie z sali minionej nocy. Mogę chyba z czystym sumieniem powiedzieć, iż uciekałem nie tyle przed rozwścieczonymi marynarzami, co raczej przed twarzami nowych widzów, których ujrzałem w ławach dla publiczności .

Schody znikły. Za fotelem ujrzałem tylko posadzkę z wielkich kamiennych płyt. Bez wątplenia jedna z nich była ruchoma; po włączeniu ukrytego mechanizmu podnosiła się, odsłaniając ukryte pod nią schody.

Tym razem jednak zadziałał inny mechanizm: fotel Tzadkiela zapadł się pod podłogę, zupełnie jak wieloryb, który wypłynął na powierzchnię, by cieszyć się blaskiem słońca, a następnie zanurza się w otchłań Morza Południowego, zdążając ku jego mrocznym głębinom. W jednej chwili potężny głaz odgradził mnie od sali rozpraw, solidny i wysoki jak mur: w następnej zniknął pod posadzką, ja zaś ujrzałem fantastyczną bitwę. Hierarcha, którego Tzadkiel nazwał synem, leżał nie dając znaku życia, wokół niego natomiast marynarze, wszyscy z obnażonymi, a niektórzy z zakrwawionymi nożami, walczyli z garstką postaci, na pierwszy rzut oka sprawiających wrażenie słabych jak dzieci - istotnie, było wśród nich jedno dziecko - które jednak stawiały im opór z nadzwyczajną odwagą, tym bardziej godną podziwu, że w większości pozbawione broni, mogły posługiwać się tylko gołymi rękami.

Ponieważ były odwrócone do mnie plecami, powiedziałem sobie, że ich nie znam, lecz w głębi serca doskonale zdawałem sobie sprawę, że to

kłamstwo.

Z rykiem, który wstrząsnął kamiennymi ścianami, alzabo runęło na napierających zewsząd żeglarzy, chwyciło jednego z nich w paszczę

i zacisnęło szczęki z potworną siłą. Ujrzałem Agię z mieczem o zatrutym ostrzu. Agilusa wymachującego kwiatem zemsty, jakby to była maczuga, oraz Baldandersa, bezbronno aż do chwili, kiedy złapał

atakującą go kobietę, podniósł ją nad głowę i z tak wielką siłą cisnął w najbliższego marynarza, że obojgu pogruchotał kości.

Były tam również Dorcas, Morwenna, Cyriaca i Casdoe. Thecla leżała na posadzce z silnie krwawiącą raną na szyi, którą usiłowa! opatrzeć jakiś chłopak w łachmanach. Guasacht i Erblon siekli zakrzywionymi szablami, jakby walczyli z siodeł, Daria zadawała ciosy sztyletami, które trzymała w obu rękach, Pia dusiła jakiegoś marynarza łańcuchem, który, nie wiedzieć czemu, znowu spinał jej przeguby.

Przemknąwszy obok Merry'na znalazłem się między Gunnie a doktorem Talosem, który właśnie zadał

celny cios szpadą. Ciało jego przeciwnika osunęło mi się pod nogi, w tej samej chwili zaś inny żeglarz runął na mnie z okrzykiem wściekłości. Chwyciłem go za ramię, wyłamałem je w łokciu i wyrwałem nóż z ręki, dokonując wszystkiego jednym płynnym ruchem; nie przyszło mi do głowy zastanowić się, dlaczego osiągnąłem to z taką łatwością, aż do chwili, kiedy przekonałem się, że Gunnie wbiła mu nóż w nasadę karku.

Wyglądało na to, że walka dobiegła końca w momencie, kiedy się do niej włączyłem. Kilku żeglarzom udało się umknąć z sali; dwadzieścia albo trzydzieści ciał leżało na podłodze i na ławkach.

Większość kobiet zginęła, choć dostrzegłem jedną z kobiet-kotów, zlizującą krew z palców zakończonych ostrymi pazurami. Stary Winnoc oparł się na bułacie stanowiącym tradycyjną broń niewolników Peleryn, doktor Talos natomiast wycierał ostrze szpady w płaszcz martwego

mężczyzny.

Przyjrząwszy się dokładniej, rozpoznałem w nieboszczyku mistrza Asha.

- Kim oni są? - zapytała Gunnie.

Potrząsnąłem głową. W tej chwili nie potrafiłbym nawet odpowiedzieć na pytanie, kim ja sam jestem. Doktor Talos podniósł jej rękę do ust i musnął ją wargami.

- Jeśli pani pozwoli: Talos, lekarz, dramatopisarz oraz impresario. a także, w miarę skromnych możliwości...

Nie słuchałem dalszego ciągu. W niezgrabnych podskokach podbiegł do mnie Triskele i nadstawił do drapania zakrwawiony łeb, a zaraz potem zbliżył się mistrz Malrubius odziany w paradny, obsyty futrem płaszcz zwierzchnika konfraterni. Na jego widok wszystko wreszcie pojąłem, on zaś widząc mnie zrozumiał, że pojmuje.

Zaraz potem on, Triskele, doktor Talos, martwy mistrz Ash, Dorcas i cała reszta rozpadli się w srebrny pył nicości, dokładnie tak samo jak Malrubius tamtej nocy na plaży, po tym, jak ocalił mnie przed pewną śmiercią w dżunglach północy. Gunnie i ja zostaliśmy sami wśród stosów trupów.

Jednak nie wszyscy żeglarze byli martwi. Jeden z nich poruszył się i jęknął. Próbowaliśmy opatrzyć ranę w jego piersi - została chyba zadana szpadą doktora Talosa, ponieważ była wąska i głęboka - bandażami z podartych na strzępy ubrań jego nieżywych kamratów. Jednak przy każdym oddechu z ust rannego wydobywała się różowa piana. Po jakimś czasie zjawili się hierarchowie z lekarstwami i prawdziwymi bandażami, i zabrali go z sali.

Apheta, która przysła z nimi, dołączyła do nas.

- Powiedziałaś, że już nigdy cię nie zobaczę - przypomniałem jej.

- Powiedziałam, że to możliwe - poprawiła mnie. - Gdyby

wydarzenia potoczyły się inaczej, moja przepowiednia okazałaby się prawdziwa.

W ciszy, jaka zapanowała w tej komnacie śmierci, głos kobiety zabrzmiał niewiele donośniej od szeptu.

Rozdział XXI I

Lot w otchłań

- Zapewne chcesz mi zadać mnóstwo pytań - powiedziała

Apheta. - Wyjdźmy do portyku, to na wszystkie ci odpowiem.

Potrząsnąłem głową, ponieważ z zewnątrz dobiegał cichy, lecz wyraźny szum deszczu. Poczulem na ramieniu dotyk palców Gunnie.

Czy tutaj ktoś nas podsłuchuje?

Nie - odparła za mnie Apheta. - Mimo to wyjdźmy stad. Na

pewno jest tam przyjemniej niż tutaj, będziesz mnie lepiej słyszał, a poza tym mamy niewiele czasu.

Ja zostaję - stwierdziłem stanowczo. - Słyszę cię całkiem dobrze. Jeśli wśród tych trupów jest jeszcze ktoś żywy i da nam o tym znać jękiem, być może zdołamy mu pomóc.

Przyznała mi racje skinieniem głowy, ja zaś usiadłem w miejscu, w którym poprzedniego dnia przykucnął Tzadkiel. Apheta usiadła tuż przy mnie, zapewne po to, bym ją dobrze słyszał. Zaraz potem Gunnie wytarła ostrze noża o udo, schowała go do pochwy i dołączyła do nas.

Wybacz mi - powiedziała.

Co mam ci wybaczyć? Że walczyłaś po mojej stronie? Dlaczego mógłbym mieć o to pretensje?

Ponieważ inni nie postąpili tak samo, ponieważ magiczni ludzie musieli bronić cię przed nami. Przed wszystkimi z wyjątkiem mnie.

Kim oni byli? Wezwałeś ich na pomoc?

Nie.

Tak - poprawiła mnie Apheta.

To byli po prostu ludzie, których znałem, w tym kilka kobiet.

które kochałem. Wielu z nich nie żyje: Thecla, Agilus, Casdoe... Cał

kiem możliwe, że wszyscy już pomarli i byli tylko duchami, choć ja nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Oni jeszcze nawet nie przyszli na świat. Mówiłam ci przecież.

że kiedy statek leci bardzo szybko, czas na jego pokładzie płynie

—
w przeciwnym kierunku. Oni dopiero mają się urodzić, tak samo jak ty. - Apheta przeniosła wzrok na Gunnie. - Powiedziałam ci, że Severian wezwał ich na pomoc, ponieważ wydobyliśmy ich z jego umysłu, szukając tych, którzy go nienawidzą, albo przynajmniej mają jakiś powód, by go nienawidzić. Na przykład ten olbrzym o wielkiej sile mógłby władać całą Wspólnotą, gdyby nie napotkał na swej drodze Severiana, a jasnowłosa kobieta wciąż nie może mu wybaczyć, że wezwał ją z powrotem ze

świata umarłych.

Nie mogę nakazać ci milczenia, ale jeśli chcesz opowiadać o tym wszystkim, rób to gdzieś, gdzie nie będę cię słyszał, albo pozwól mi odejść - poprosiłem,

Czyżby widok tych ludzi nie sprawił ci radości?

- A powinien? Przecież zostali zmuszeni podstępem do walki

po mojej stronie, choć z pewnością nie mieli na to najmniejszej ochoty!

- Nikt ich nie zmuszał ani nie oszukiwał, tak samo jak nikt nie zmuszał mistrza Malrubiusa, by odwiedzał cię po swojej śmierci. Wy szukaliśmy ich wśród twoich wspomnień i poprosiliśmy, by sami podjęli decyzję. Wszyscy obecni w tej sali, z wyjątkiem ciebie, widzieli to samo. Czy nie dziwi cię, że mam tak wielkie kłopoty z mówieniem?

Spojrzałem na nią, czując się tak, jakbym dopiero teraz wrócił

z bardzo daleka.

W naszych domach zawsze słycać szmer płynącej wody i szum wiatru. Ten budynek został wzniesiony wyłącznie z myślą o tobie i istotach należących do twego gatunku.

Zanim przyszedłeś, on, to znaczy Zak, powiedział nam, że Urth ma przed sobą dwie drogi: albo umrze, by narodzić się na nowo, albo będzie żyła, by wreszcie umrzeć na zawsze.

Wiedziałem o tym będąc jeszcze chłopcem.

Gunnie skinęła głową i przez chwilę dostrzegłem w niej dziecko, którym kiedyś była, nie zaś kobietę, którą się stała.

Ale my nie. - Odwróciła głowę i spojrzała na trupy, - To

znaczy, kapłani wciąż o tym mówili, ale marynarze nie przywiązują zbyt wielkiej wagi do religii.

Chyba masz rację - odparłem, nie mając nic lepszego do

powiedzenia.

-

Moja matka była zupełnie inna. Czasem odnosiłam wrażenie.

że jest wręcz szalona, że zachowuje tylko pozory normalności. Teraz jestem niemal pewna, że tak było w istocie.

Chciałbym się dowiedzieć... - zwróciłem się do Aphety, lecz Gunnie położyła mi na ramieniu rękę

tak dużą i ciężką, że nie po wstydziłby się jej żaden mężczyzna, i odwróciła mnie z powrotem ku sobie.

Przypuszczaliśmy, że to nastąpi dopiero za wiele lat, kiedy wszyscy już dawno pomrzemy.

Mustrując się na statek rozpoczynacie podróż, która poprowa dzi was od Początku do Końca - szepnęła Apheta. - Wie o tym

każdy żeglarz.

Ale my o tym nie myśleliśmy. Aż do chwili, kiedy nas do tego zmusiliście. To znaczy, kiedy on nas zmusił. Zak.

- Wiedziałaś, że to był Zak? - zapytałem.

Gunnie skinęła głową.

- Byłam przy nim, kiedy go schwytano. W przeciwnym razie chyba bym się nie domyśliła... A może?

Naprawdę nie wiem. Bardzo się zmienił, więc od razu wiedziałam, że nie jest tym, za kogo go początkowo braliśmy. On jest... Nie mam pojęcia kim.

Mogę ci podpowiedzieć? - spytała szeptem Apheta. - Jest

odbiciem albo imitacją tego, czym wy się staniecie.

Jeśli nadejdzie Nowe Słońce?

Nie "jeśli", lecz „kiedy”. Rozprawa dobiegła końca, Severianie.

Wiem, że od dawna myślałaś niemal wyłącznie o czekającej cię próbie i teraz trudno jest ci przywyknąć do myśli, że już po wszystkim.

Zwyciężyłaś. Ocaliłaś waszą przyszłość.

Wy także zwyciężyliście - odparłem.

Przyznała mi rację skinieniem głowy.

Wreszcie zrozumiałaś.

Ale ja niczego nie rozumiem - wtrąciła się Gunnie. - O czym wy mówicie?

Hierarchowie, a także ich hierodule i hierogramaci, czynili co w ich mocy. byśmy stali się tym, czym mogliśmy się stać. Mam rację, szlachetna pani? To podstawowy sens ich istnienia: poprowadzić nas tą samą bolesną drogą, którą kiedyś my ich poprowadziliśmy. My zaś...

Nie zdołałem dokończyć tej myśli. Słowa zatrzymały się na mych wargach, niezdolne ulecieć w

powietrze, jakby były z żelaza.

- Wy zaś kiedyś odwdzięczycie się nam w ten sam sposób - wyręczyła mnie Aphela. - Tak, teraz widzę, że naprawdę rozumiesz, w przeciwieństwie do ciebie. - Skierowała wzrok na Gunnie. -

Całkiem możliwe, iż każda z naszych ras stanowi dla drugiej coś w rodzaju mechanizmu reprodukcyjnego. Jesteś kobietą, więc możesz powiedzieć, że wytwarzasz jajeczko, aby mogła przyjść na świat kolejna kobieta, ale twoje jajeczko mogłoby stwierdzić, iż to ono wytwarza kobietę, aby doprowadzić do powstania kolejnego jajeczka. Życzyliśmy powodzenia Nowemu Słońcu co najmniej równo gorąco jak on sam. a na pewno ze znacznie większym niepokojem oczekiwaliśmy wyniku próby.

Ratując waszą rasę uratował także naszą, my zaś, zapewniając wam dalszą egzystencję, zapewniliśmy ją również nam. - Ponownie spojrzała w moją stronę. - Wspomniałam ci, iż przynosisz nowinę, której nikt nie chce słyszeć. Tą nowiną była wiadomość, że możemy ponieść porażkę w grze, o której rozmawialiśmy.

- Mam tylko trzy pytania, szlachetna pani - powiedziałem. -

Pozwól mi je zadać, a potem odejdę, naturalnie jeśli taka będzie twoja wola.

Skinęła głową.

- Dlaczego Tzadkiel oznajmił mi, że rozprawa już się zakończyła, skoro aquastorzy musieli jeszcze potem walczyć i umierać, żeby mnie ocalić?

- Żaden z aquastorów nie umarł - odparła Aphela. - Wszyscy

żyją w tobie. Jeśli chodzi o Tzadkiela, to powiedział ci prawdę. Zbadawszy przyszłość stwierdził, że istnieje szansa, iż dasz swojej Urth nowe, młode słońce i w ten sposób ocalisz rasę, która kiedyś da początek naszej. Wszystko zależało od tego jednego badania; wynik okazał się korzystny dla ciebie.

Gunnie przeniosła wzrok z Aphety na mnie i otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, lecz w ostatniej chwili zrezygnowała z tego

zamiaru.

- Drugie pytanie: Tzadkiel powiedział także, iż sąd nade mną nie może być sprawiedliwy, w związku z czym postara mi się to wynagrodzić. Wiele razy zapewniałaś mnie, że Tzadkiel nie kłamie.

Skoro tak, to jak mógł wydać wyrok w mojej sprawie, wiedząc, że proces nie odbywał się według należytych zasad?

- Tym, co nie muszą wydawać żadnych wyroków, albo wydając

je nie muszą zwracać sobie głowy nakazami sprawiedliwości, łatwo jest narzekać na stronniczość

sędziego albo na jego nierzetelność. Ten, kto tak jak Tzadkiel. musi naprawdę podejmować decyzje, szybko się przekona, iż nie sposób być sprawiedliwym wobec wszystkich: po to, aby być w porządku wobec zwykłych mieszkańców Urth. którzy niedługo będą musieli umrzeć nie wiedząc nawet, za co umierają, zaprosił ich przedstawiciele...

To znaczy nas! - wykrzyknęła Gunnie.

Tak jest, was, marynarzy. Na twoich zaś obrońców, Autarcho.

wyzaczył tych, którzy mieli wszelkie powody darzyć cię nienawiścią.

Postępując w ten sposób zachował się uczciwie wobec żeglarzy, ale nie wobec ciebie.

Już wiele razy zasłużyłem sobie na karę, lecz nigdy jej nie otrzymałem.

Apheta przyznała mi rację prawie niedostrzegalnym ruchem głowy.

Właśnie dlatego przygotowano dla ciebie te sceny w oknach

owalnego korytarza, który okrąża to pomieszczenie. Część z nich miała przypomnieć ci o twoich obowiązkach, inne miały dać ci do zrozumienia, iż sprawiedliwość, jaką kierowałeś się w swoim postępowaniu, innym ludziom mogła wydawać się rażącą niesprawiedliwością.

Czy teraz rozumiesz, dlaczego właśnie ty zostałeś wybrany?

Tak. Jestem katem, który ma zbawić świat.

Nie zakrywaj twarzy rękami. Wystarczy, że ty i ta nieszczęsna kobieta ledwo mnie słyszycie; ja chciałabym bez trudu usłyszeć ciebie. Zadałeś już trzy pytania, o których wspominałeś; czy masz ich więcej?

Całe mnóstwo. Widziałem Darię, Guasachta i Erblona. Czy oni także mają jakiś powód, żeby mnie nienawidzić?

Nie wiem - szepnęła Apheta. - Musisz zapytać o to Tzadkiela albo jego pomocników, albo samego siebie.

Chyba mieli. Jako Autarcha mogłem przenieść Erblona na inną placówkę, mogłem awansować Guasachta, lecz tego nie uczyniłem, a po bitwie nawet nie zadałem sobie trudu, by odszukać Darię.

Było tyle innych, ważniejszych spraw do załatwienia... Teraz wiem, czemu nazwałaś mnie potworem.

-

To nie ty jesteś potworem, lecz ona! - wykrzyknęła Gunnie.

Wzruszyłem ramionami.

- A jednak oni wszyscy walczyli o przyszłość Urth, podobnie jak Gunnie. To cudownie.

- Nie o taką Urth, jaką znałeś - szepnęła Apheta. - Walczyli o Urth, której większość z nich nigdy nie ujrzy, chyba że twoimi oczami oraz oczami tych, którzy będą ich pamiętać. Masz jeszcze jakieś pytania?

- Ja mam jedno - wtrąciła się Gunnie. - Gdzie są moi kamraci? Ci, co uciekli, ratując swoje życie?

Wyczułem, że wstydzi się za nich, więc powiedziałem:

- Jest bardzo prawdopodobne, że w ten sposób ocalili także nasze.

- Zostaną dostarczeni z powrotem na statek - zapewniła ją

Apheta.

- A co wtedy będzie z Severianem i ze mną?

- Spróbują zabić nas w drodze powrotnej, a może nie - odpar

łem. - Jeśli spróbują, będziemy musieli jakoś sobie poradzić.

Apheta pokręciła głową.

- Wy także wróćcie na statek, ale w inny sposób. Wierzcie mi, nie macie się czego obawiać.

W przejściu między ławkami pojawili się odziani w ciemne szaty hierarchowie i zaczęli ładować trupy na nosze.

Wszyscy zostaną pochowani na terenie przylegającym do tego budynku - poinformowała nas Apheta gasnącym szeptem. - Czy

dotarliśmy do ostatniego pytania, Autarcho?

Prawie. Spójrz! Wśród trupów jest jeden z waszych, syn Tzadkiela!

Zostanie wśród tych, którzy odebrali mu życie.

Czy tak właśnie miało się stać? Czy jego ojciec to zaplanował?

Jego śmierć? Nie. Tylko tyle, że miał zaryzykować życie. Jakim prawem mielibyśmy wymagać od ciebie i od wielu innych, żebyście narażali się na śmiertelne niebezpieczeństwo, gdybyśmy sami nie byli gotowi postąpić tak samo? Tzadkiel ryzykował życie na statku, Venant uczynił to tutaj.

Wiedział, co się stanie?

Masz na myśli Tzadkiela czy Venanta? Venant z pewnością nie wiedział, co się stanie, doskonale natomiast zdawał sobie sprawę, co może się stać i dzielnie położył na szali swoje życie, tak jak

przed nim uczyniło wielu innych. Jeśli chodzi o Tzadkiela, to po prostu nie wiem i nawet nie próbuję się domyślać.

-

Powiedziałaś mi, że każda z tych wysp wyobraża jedną galak

tykę. Jest ich nieprzeliczone mnóstwo, czemu więc przywiązujecie tak wielką wagę akurat do pomyślności Urth?

Apheta wstała i wygładziła białą szatę. Jej bujne włosy, które początkowo wydawały mi się takie tajemnicze, teraz były swojskie i znajome. Miałem wrażenie, że bardzo podobną czarną aureolę widziałem na jednym z obrazów w przeogromnej galerii starego Rudesin-da, choć akurat w tej chwili nie potrafiłem przywołać z pamięci ani konkretnego płótna, ani nawet jego tytułu.

-

Spełniłmy nasz obowiązek czuwając przy zmarłych - stwier

dziła. - Teraz zmarli odchodzą i my także powinniśmy ruszyć w drogę.

Całkiem możliwe, że z waszej starożytnej, odrodzonej Urth przybędą kiedyś hierodule - w każdym razie ja w to wierzę. Jestem jednak tylko kobietą, i to w dodatku nie zajmującą żadnego ważnego stanowiska, a powiedziałam wam o tym po to, żebyście nie musieli umierać ogarnięci rozpaczą.

Gunnie otwierała już usta, by coś odpowiedzieć, lecz Apheta powstrzymała ją ruchem ręki.

-

Teraz chodźcie za mną.

Uczyniliśmy to, lecz ona zatrzymała się zaledwie po kilku krokach w miejscu, gdzie jeszcze nie tak dawno stał fotel Tzadkiela.

-

Weź ją za rękę, Severianie - poleciła.

Zaraz potem ujęła mnie za drugą rękę i podała swoją Gunnie.

Kamienna płyta usunęła nam się spod stóp, by chwilę później zatrzasnąć się z hukiem nad naszymi głowami. Spadaliśmy czymś w rodzaju szerokiego szybu oświetlonego żółtym blaskiem, o przekroju tysiąc razy większym niż ruchomy fragment posadzki. Jego ściany tworzyły gigantyczne mechanizmy o skomplikowanych częściach z zielonkawego i srebrzystego metalu, wokół których ludzie uwijali się jak muchy, gdzieniegdzie zaś dostojnie pełzły ogromne, błękitnozłote skarabeusze.

Rozdział XXIII

Statek

Spadając nie byłem w stanie wydobyć z siebie ani słowa, więc tylko z całej siły ścisnąłem ręce Gunnie i Aphety - nie dlatego, bym obawiał się, że się zgubią, ale dlatego, że to ja bałem się zgubić.

Wreszcie zwolniliśmy, albo raczej lecieliśmy szybko, jednak nie aż tak szybko jak do tej pory.

Przypominałem sobie moje wyczyny między masztami i linami, ponieważ odniosłem wrażenie, że tu także jestem świadkiem, jak stopniowo słabnie nienasycony głód grawitacji. Kiedy Gunnie odwróciła się ku Aphecie, by zapytać, gdzie jesteśmy, w jej oczach dostrzegłem odbicie ulgi, która musiała malować się na mojej

twarzy.

-

We wnętrzu naszej planety, albo naszego statku, jeśli wolicie, choć on tylko krąży wokół słońca i nie potrzebuje żagli.

W jednej ze ścian studni otworzyły się drzwi. Byłem gotów przysiąc, że nadal spadamy, lecz mimo to zatrzymaliśmy się przy nich. Apheta zaś wciągnęła nas do wąskiego ciemnego korytarza. Nawet to mało zachęcające wnętrze wydało mi się istnym rajem, gdyż przynajmniej czułem grunt pod stopami.

-

W naszym statku nie mamy wody na pokładach - wykrztusiła

Gunnie.

-

A gdzie ja macie?- zapytała obojętnie Apheta.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, o ile donośniej brzmi jej głos. Usłyszałem też jednostajne bzyczenie przypominające śpiew pszczoł (jak dobrze je pamiętałem!) oraz odległy tętent i świergot, jakby po twardej drodze galopowało co najmniej kilka rumaków, w koronach drzew zaś odpoczywała chmara poćwierkującej szarańczy.

-

W środku - odparła Gunnie. - W zbiornikach.

- To musi być straszne, znaleźć się na powierzchni takiej planety. Tutaj każda wycieczka na górę sprawia nam ogromną radość.

Jakaś kobieta bardzo podobna do Aphety zbliżała się do nas korytarzem. Zdawała się iść normalnym krokiem, ale poruszała się niezwykle szybko, zupełnie jakby biegła co sił w nogach. Przemknęła koło

nas jak błyskawica, ja zaś odprowadziłem ją wzrokiem, by przekonać się, że niknie w oddali niemal tak samo jak zielony człowiek, kiedy odchodził ode mnie korytarzami czasu.

□ Chyba nie zdarza się wam to zbyt często, prawda? - zapytałem.

gdy straciłem ją z oczu. - Powinienem był wcześniej się domyślić: wszyscy jesteście bardzo bladzi,

□ To nagroda dla tych, którzy długo i ciężko pracują. Podobno na Urth kobiety takie jak ja wcale nie muszą pracować. Tak przynajmniej słyszałam.

□ Niektóre muszą - poinformowała ją Gunnie.

Korytarz rozdzielił się raz, potem drugi. My także, choć szliśmy nie wysilając się zbyt, poruszaliśmy się ze znaczną prędkością; odniosłem wrażenie, iż korytarz prowadzi lekko w dół, jednocześnie cały czas skręcając w lewo. Apheta wspomniała wcześniej, że mieszkańcy Yesodu kochają spirale; wyglądało na to, że podobnymi względami darzą również wszelkiego rodzaju ślimacznice.

Tak jak fala wyrasta nagle przed dziobem gnanego sztormowym wiatrem galeonu, tak przed nami wyrosły niespodziewanie podwójne drzwi obite zaśnieżonymi srebrnymi płytami. Zatrzymaliśmy się raptownie, ja jednak zupełnie nie czułem, że wytracam prędkość. Apheta napała na drzwi, które jęknęły niczym jeden z naszych klientów, ale ustąpiły dopiero wówczas, gdy i ja pchnąłem szerokie skrzydła.

Gunie podniosła wzrok na nadprożc i powiedziała głośno, jakby czytając widoczne tylko dla niej słowa:

- Niechaj ci, co tu wchodzi, porzucą wszelką nadzieję.

-

Nie, to nie tak - wymamrotała Apheta. - Niech nadzieja

wstąpi w serca tych, co tu wchodzi.

Bzyczenie i stukot pozostały za drzwiami.

□ Czy tutaj będziecie mnie uczyć, jak mam sprowadzić Nowe

Słońce? - zapytałem,

□ Niczego nie musisz się uczyć. Jesteś brzemenny wiedzą, która obudzi się w tobie do życia wtedy, gdy znajdziesz się wystarczająco blisko białej fontanny.

Roześmiałbym się z przenośni, jakiej użyła, gdyby nie to, że widok pomieszczenia, do którego dotarliśmy, kazał mi zapomnieć o wszelkiej

wesołości. Było jeszcze większe niż sala rozpraw, zupełnie puste, o srebrnych ścianach, z których wyrastało łukowe sklepienie naśladowujące krzywiznę, jaką wyznacza kamień ciśnięty wysoko w powietrze.

-

Niech porzucą wszelką nadzieję... - powtórzyła Gunnie.

Uświadomiłem sobie, że za bardzo się boi, by zwracać uwagę na słowa moje lub Aphety. Objąłem ją ramieniem (dość dziwnie się czułem obejmując kobietę dorównującą mi wzrostem) i próbowałem dodać jej otuchy, myśląc jednocześnie, że dowiodłaby nadzwyczajnej głupoty, gdyby znalazła pociechę w słowach lub gestach kogoś tak samo bezradnego jak ona.

- Mieliśmy kiedyś na pokładzie marynarza, kobietę, która wciąż to powtarzała - dodała. - Bardzo pragnęła wrócić do domu, ale statek ani razu nie wylądował w jej czasie, więc w końcu umarła.

Zapytałem Apheta, jak to możliwe, bym nosił w sobie tak wielką wiedzę, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy.

- Otrzymałeś ją od Tzadkiela podczas snu.

- Chcesz powiedzieć, że odwiedził nas minionej nocy?

Zdałem sobie sprawę, iż sprawiam przykrość Gunnie, ale było już za późno. Poczułem, jak napręża mięśnie, a zaraz potem odsunęła moje ramię.

- Nie - odparła Apheta, - Przypuszczam, że to stało się jeszcze na statku, ale nie potrafię ci dokładnie powiedzieć kiedy.

Przypomniałem sobie, jak Zak pochylał się nade mną w ustronnym zakątku, który wyszukała dla nas Gunnie - Zak, a więc Tzadkiel ukryty pod postacią dzikusa podobnego do tych, jakimi my kiedyś byliśmy.

- Chodźmy.

Apheta ruszyła przodem, a my podążyliśmy za nią. Myliłem się sądząc, że komnata jest zupełnie pusta; na samym jej środku na podłodze znajdowała się wielka, smoliście czarna plama, obficie upstrzona okruchami srebrnej farby, która złuszczyła się ze ścian i sufitu.

- Macie przy sobie naszyjniki, których używacie na statku? Nieco zaskoczony tym pytaniem skinąłem głową. Gunnie uczyniła

to samo.

- Załóżcie je więc, bo wkrótce wam się przydadzą.

Dopiero wtedy zorientowałem się, czym jest w istocie czarna plama. Założyłem naszyjnik, myśląc z

niepokojem, czy aby nie doznał jakiegoś uszkodzenia, i połączyłem metalowe ogniwa. Moje ciało natychmiast

otuliła powłoka nieruchomego powietrza, w związku z czym nie poczułem wichury, która zerwała się mgnienie oka później; zobaczyłem tylko, jak wiatr rozwiewa włosy Gunnie - tylko do chwili, kiedy ona także uporała się z naszymi - oraz szarpie czarnymi włosami Aphety, upodabniając je do łopoczącego sztandaru.

Czarna plama na podłodze była międzygwiazdną pustką. Kiedy jednak ruszyłem w jej stronę, odniosłem wrażenie, że podnosi się na moje powitanie, aż wreszcie przeistoczyła się z dwuwymiarowego wycinka płaszczyzny w trójwymiarową kulę.

Spróbowałem się zatrzymać.

Gunnie uczepiła się mego ramienia. Krzywizna kuli wznosiła się coraz wyżej nad naszymi głowami. W samym jej środku, tak jak widziałem z pokładu, wisiał nieruchomo statek.

Napisałem przed chwilą, że próbowałem się zatrzymać; zadanie to okazało się tak trudne, że wręcz niewykonalne, zupełnie jakby próżnia przyciągała nas co najmniej z taką samą siłą jak planeta, choć jest całkiem możliwe, iż byliśmy pchani naprzód wiatrem, który co prawda nie docierał do naszych ciał, lecz atakował wściekle przeszkodę, jaką stanowiło otaczające nas, nieruchome powietrze.

Albo to statek przyciągał nas ku sobie. Być może odważyłbym się powiedzieć, że wzywało mnie przeznaczenie, gdyby nie to, że Gunnie, choć opierała się ze wszystkich sił, podążała w tym samym kierunku, mimo iż jej przeznaczenie nie mogło mieć nic wspólnego z moim. Jeśli jednak miałby pchać nas wiatr albo ślepa siła przyciągania, to czemu Apheta została z tyłu?

Jeśli masz ochotę, mój hipotetyczny czytelniku, to sam spróbuj rozstrzygnąć tę zagadkę. Fakty przedstawiają się w ten sposób, że wreszcie runąłem w pustkę, a Gunnie ze mną, koziółkując i wirując razem z otaczającym nas wszechświatem. Widziałem ją tak, jak liść miotany wicherem towarzyszącą wiosennej burzy może widzieć któregoś ze swoich braci. Gdzieś przed, za, nad albo pod nami jarzył się świetlisty okrąg przypominający trochę Lunę, choć nie wydaje mi się, żeby w naturze mógł istnieć księżyc tak olśniewającej jasności. Gunnie przemknęła raz, potem drugi, przez srebrzystobiałą tarczę, po czym znikła w upstrzonej brylantami ciemności. (W pewnej chwili odniosłem wrażenie, które zresztą nie opuściło mnie do tej pory, że na tle tego niezwykłego księżyca dostrzegłem rysy twarzy Aphety).

Wywinąłem kolejnego szaleńczego kozła i tuż przed sobą ujrzałem Gunnie, straciłem zaś z oczu świetlisty krąg, który zapodział się gdzieś wśród miliardów słońc. Gunnie z pewnością też mnie widziała, ponieważ miała twarz zwróconą w moją stronę.

Odnalazł się także statek; w istocie był już tak blisko, iż bez trudu mogłem dostrzec marynarzy pracujących wśród olinowania. Być może nadal spadaliśmy, na pewno natomiast mknęliśmy z ogromną prędkością, bo przecież statek podróżował między słońcami. Ten szaleńczy pęd był jednak zupełnie nieodczuwalny, jakbyśmy stali na pokładzie chyżej łodzi umykającej przed burzowym frontem na Oceanie Urth. Chwilami odnosiłem nawet wrażenie, iż wleczeni się w niemożliwie

powolnym tempie, i gdyby nie moja wiara w Aphetę oraz hierarchów, z pewnością zacząłbym się obawiać, że nigdy nie dotrzemy do statku i już na zawsze pozostaniemy zawieszeni w bezkresnej, rozgwieżdżonej pustce.

Naturalnie nic takiego się nie stało. Wkrótce dostrzegł nas jeden z marynarzy, zaczął

wymachiwać rękami, po czym dał wielkiego susa i wylądował na rei tuż obok jednego ze swych kamratów. Dzięki temu, że nastąpiło połączenie ich powietrznych skafandrów, mógł przekazać mi niez wyklą wiadomość.

Niedługo potem na szczyt najbliższego masztu wspiął się inny żeglarz, zdjął z pleców łuk, dobył z kołczanu strzałę, założył ją na cięciwę i posłał w naszym kierunku. Strzała przemknęła między nami.

ciągnąc za sobą srebrną linkę niewiele grubszą od nici.

Oboje wyciągnęliśmy ręce, lecz tylko Gunnie udało się złapać zbawczą linę. Marynarz natychmiast zaczął ciągnąć ją ku sobie, a wówczas Gunnie szarpnęła srebrną nicią, posyłając wzdłuż niej sporą falę, dzięki czemu tym razem bez trudu zdołałem zacisnąć na niej palce.

Będąc pasażerem i członkiem załogi nie lubiłem zanadto statku, teraz jednak myśl o tym, że już niedługo znajdę się z powrotem na jego pokładzie, sprawiła mi ogromną przyjemność. Naturalnie zdawałem sobie sprawę, iż nic wykonałem jeszcze swego zadania, że Nowe Słońce nie zjawi się dopóty, dopóki go nie sprowadzę, oraz że sprowadzając je stanę się odpowiedzialny zarówno za zniszczenie Urth. jak i za jej odrodzenie. Tak samo każdy mężczyzna płodząc syna musi czuć spoczywającą na jego barkach odpowiedzialność za cierpienia porodowe żony, a może nawet za jej śmierć, i ma pełne prawo żywić obawy, że w końcu świat potępi go głosami milionów nieżyczliwych ludzi.

Mimo iż doskonale zdawałem sobie z tego sprawę, moje serce wypełniało przekonanie, że wszystko będzie w porządku, że ja, który tak bardzo pragnąłem zwyciężyć, jednak przegrałem i że będę mógł

spokojnie zasiąść na tronie Feniksa, tak jak uczynił po powrocie z Yesodu mój poprzednik, by rozkoszować się władzą i luksusami, przede wszystkim zaś możliwością nagradzania za zasługi i karania za przewinienia, co stanowi największy i najważniejszy przywilej tych, którzy dzierżą władzę.

Jednocześnie będę wolny od nienasyconego pożądania, którego obiektem są kobiety, a przede wszystkim ich ciała - pożądania niszczącego zarówno dla nich, jak i dla mnie.

Tak więc moje serce śpiewało z radości, kiedy opadałem ku lasowi gigantycznych masztów, ku kontynentom srebrnych żagli, niczym jakiś morski rozbitek, który słaniając się na nogach wyszedł z wody na brzeg pokryty kwiatowym dywanem, gdzie natychmiast objęły go przyjazne ramiona. Gdy wreszcie wraz z Gunnie stanąłem na najwyższej rei, uściskałem żeglarza, tak jak uściskałbym Roche'a lub Drotte'a, uśmiechając się przy tym, jakbym był niespełna rozumu, po czym ruszyłem w dół, bez najmniejszego trudu, za to z niesłychaną energią i precyzją pokonując wielkie odległości między rejami i linami, jakby rozpierające mnie szczęście ulokowało się przede wszystkim w rękach

oraz nogach, dodając im siły i sprawności.

Dopiero kiedy wylądowałem na pokładzie, uświadomiłem sobie, że to, co traktowałem jako metaforę, wcale nią nie jest; moja uszkodzona noga, która jeszcze niedawno sprawiała mi tyle bólu podczas wspinaczki na maszt z ołowianą szkatułą pod pachą, teraz w ogóle nie bolała, a w dodatku - o ile to możliwe - wydawała się znacznie silniejsza od drugiej, zdrowej. Udając, że naciągnąłem sobie mięsień, przesunąłem rękami po udzie; ku swemu zdumieniu stwierdziłem, że mięsień jest w pełni sprawny i sprężysty, jakby nigdy nie rozorał go pocisk wystrzelony przez asciańskiego wojownika.

Ogarnięty szaleńczą radością podskoczyłem wysoko w górę. obracając się niczym moneta rzucona przez hazardzistę, ale opadłszy z powrotem na pokład odzyskałem część dawnej powagi, gdyż w trakcie lotu dostrzegłem gwiazdę znacznie jaśniejszą od pozostałych.

Rozdział XXIV

Kapitan

Natychmiast zabrano nas pod pokład. Szczerze mówiąc nie miałem nic przeciwko temu. Nie bardzo potrafię opisać uczucia, jakie mnie wówczas ogarnęły, a najchętniej w ogóle bym o nich nie wspominał.

Myślę jednak, że i mnie, i wam znacznie łatwiej byłoby je zrozumieć, gdybyśmy ponownie stali się bardzo, ale to bardzo młodzi.

Niemowlę leżące w kolebce nie wie przez pewien czas, że istnieje różnica między jego ciałem a drewnem, z którego zrobiono kolebkę, oraz pościelą i pieluszkami. Inaczej mówiąc, jego ciało jest dla niego równie obce i niezwykle jak cały świat. Kiedy rączki dziecka natrafią przypadkowo na stopę, obmacują ją uważnie, ono zaś nie może się nadziwić, że coś takiego w ogóle istnieje.

Podobnie było ze mną. Ujrzawszy jasno świecącą gwiazdę, zrozumiałem natychmiast, że choć niewyobrażalnie odległa, to jednak stanowi część mnie, równie absurdalna jak stopa niemowlęcia, tajemnicza jak dusza człowieka. Nie chcę przez to powiedzieć, że część mojej świadomości, czy jakiegokolwiek świadomości, egzystowała w ścisłym związku z tą gwiazdą; wtedy jeszcze tak nie było.

Mimo to zdawałem sobie sprawę, że istnieje jednocześnie w dwóch miejscach, tak jak człowiek, który wszedłszy do morza po pas, znajduje się jednocześnie w dwóch światach, uzupełniających się wzajemnie i wspólnie tworzących otaczającą go rzeczywistość.

Kroczyłem pospołu z Gunnie i marynarzami w doskonałym nastroju i z podniesioną głową, ale w milczeniu. Dopiero po dłuższej chwili zauważyłem, że moi towarzysze zdjęli metalowe naszyjniki, i uczyłem to samo.

Jakiego doznałem wstrząsu! Powietrze Yesodu, do którego zdążyłem się już przyzwyczaić, rozwiało się w okamgnieniu, w jego miejsce zaś napłynęło inne, bardzo podobne do tego, jakie zapamiętałem z Unh, choć znacznie od niego cięższe i bardziej cuchnące. Czuć je było potworną, niewyobrażalną starością. Poczulem się jak wiekowy człowiek, który u schyłku życia musi wysłuchiwać opowieści o dawnych, wspaniałych i radosnych czasach. Spojrzałem na Gunnie, a ona na mnie; każde z nas doskonale wiedziało, co myśli drugie, choć nie rozmawialiśmy o tym ani wtedy, ani później.

Nie potrafię powiedzieć, jak długo ani jak daleko podążaliśmy krętymi korytarzami. Byłem zbyt głęboko pogrążony w myślach, żeby liczyć kroki, jeśli zaś chodzi o czas, to choć wydawało mi się, że nie różni się on od czasu, jaki znałem na Urth, to był zupełnie odmienny od tego, jaki poznałem na Yesodzie; wydawał się tam rozciągnięty aż do granic wieczności, a mimo to upływał w zdumiewająco szybkim tempie. Rozmyślając o gwieździe, o tej zagadce, a także o wielu innych, szedłem naprzód nie wiedząc, dokąd ani po co zmierzam, aż wreszcie zorientowałem się, że większość żeglarzy znikła, zastąpiona przez hiero-duli przebranych za ludzi. Tak bardzo oddałem się jałowym rozważaniom, iż przez chwilę byłem gotów uwierzyć, że ci, których wziąłem za żeglarzy, także byli hierodulami, ale gdy wróciłem pamięcią do chwili, kiedy wreszcie stanęliśmy na pokładzie, zrozumiałem, że ta teoria, aczkolwiek kusząca i nie pozbawiona pewnego wdzięku, jest

falszywa. W naszym nędznym wszechświecie zwanym Briahem prawda okazuje się zazwyczaj znacznie prostsza i zwyczajniejsza od fantastycznych domysłów. Tym razem przedstawiała się w ten sposób, że marynarze wycofali się dyskretnie, ustępując miejsca znacznie wyższym i poruszającym się w bardziej zwartym szyku hierodulom.

Ledwie zacząłem im się uważniej przyglądać, zatrzymaliśmy się przed wielkimi drzwiami bardzo podobnymi do tych, przez które zaledwie wachtę temu przeszedłem na Yesodzie w towarzystwie Gunnie i Aphety. Tych jednak nie trzeba było pchać z całej siły, ponieważ otworzyły się same, powoli i dostojnie, odsłaniając długi rząd marmurowych łuków, z których każdy miał co najmniej sto łokci wysokości. Skąpane były w świetle, jakiego nie widziano na żadnej planecie krążącej wokół gwiazdy: migotało ono wszystkimi odcieniami złota, srebra i szmaragdowej zieleni, jakby przed chwilą wydostało się ze szkatuły pełnej niewyobrażalnych skarbów.

Gunnie oraz nieliczni marynarze, jacy przy nas pozostali, zdjęci lękiem cofnęli się o krok; dopiero kilkakrotnie powtórzone przez hieroduli

rozkazy, poparte paroma szturchańcami, sprawiły, że zdecydowali się przekroczyć próg, ja natomiast uczyniłem to dość ochotczo, ponieważ w ciągu długich lat spędzonych na tronie Feniksa zdążyłem uodpornić się na cuda i dziwy, które mają za zadanie oszołomić, przestraszyć oraz zadziwić prostych ludzi.

Drzwi zatrasnęły się za nami z donośnym hukiem. Objąwszy Gunnie, powtarzałem jej spokojnym tonem, że z pewnością nie ma się czego obawiać, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, a nawet gdyby jakieś się pojawiło, to uczynię wszystko, co w mojej mocy, by ją przed nim obronić. Moje słowa usłyszał marynarz, który wystrzelił w naszym kierunku zbawczą linę, i powiedział:

- Wielu tu wchodzi, a le ma ło kto stąd wraca. To kajuta do

wódcy.

On sam jednak nie sprawiał wrażenia wystraszonego, o czym nie omieszkałem go natychmiast poinformować.

- Bo ja płynę tam, gdzie mnie fala poniesie. Większość tych, co tu byli, albo coś przeskrobała i została ukarana, albo miała coś na sumieniu i starała się to ukryć. Ja nic nie przeskrobałem, a jeśli nawet mam coś na sumieniu, to nie jest to nic takiego, co mogłoby ją zainteresować, więc nie będę musiał tego ukrywać. Proste, nie?

- To całkiem dobra filozofia - zauważyłem.

Jedyna, jaką znam, dzięki czemu łatwo mi się jej trzymać.

Podąłem mu rękę.

Jestem Severian.

Grimkeld.

Mam duże ręce, ale ta, która uścisnęła moją prawicę, była jeszcze większa, a w dodatku tak twarda, jakby wyciosano ją z kawałka drewna. Przez chwilę próbowaliśmy, kto silniejszy.

Odniosłem wrażenie, jakby od pewnego czasu odgłos naszych kroków tworzył coś w rodzaju nieskomplikowanej, poważnej melodii; nie pomyliłem się, gdyż teraz, kiedy wreszcie przerwaliśmy uścisk, odezwały się przedziwne instrumenty o dźwięku niepodobnym do żadnego z tych, jakie znałem. Ich muzyka raptownie przybrała na sile, po czym nagle ucichła, a my razem z nią.

Przed nami, bezszelestnie i zniecała niczym cień ptaka, pojawiła się skrzydlata olbrzymka, ogromna jak któraś z zielonych sosen nekropolii.

Wszyscy hierodule uklonili się jak na komendę, chwilę później zaś uczyniliśmy to ja i Gunnie. a także marynarze, którzy ściągnęli czapki, pochylili głowy albo zasalutowali, przykładając do skroni złożone palce.

Jeśli filozofia Grimkelda pozwalała mi zapomnieć o strachu, to mnie uchroniła przed lękiem moja pamięć. Byłem pewien, że Tzadkiel już wcześniej dowodził statkiem, a ja przecież spotkałem go na Yesodzie i wcale się go nie bałem. Kiedy jednak spojrzałem w oczy skrzydlatej istoty oraz na znacznie większe, zdobiące jej skrzydła, natychmiast pojąłem, jakim byłem głupcem.

-

Jest wśród was wielki człowiek - przemówiła głosem przypo

minającym dźwięk setki cytr lub pomruk smilodona, olbrzymiego kota zabijającego byki z taką samą łatwością, jak wilki zabijają owce. - Niech wystąpi naprzód.

Nigdy w życiu, ani w życiu któregośkolwiek z ludzi będących teraz mną, nie musiałem zmierzyć się z równie trudnym zadaniem. Mimo wszystko udało mi się jednak postąpić trzy albo cztery kroki do przodu, ona zaś podniosła mnie tak, jak kobieta zwykłych rozmiarów podniosłaby z podłogi szczeniaka, usadziła w złożonych dłoniach i zbliżyła do twarzy. Jej oddech był jak ożywczy wiatr Yesodu; nie spodziewałem się, że jeszcze kiedykolwiek go pocuję.

Skąd bierze się ta przeogromna moc? - zapytała szeptem, lecz ja odniosłem wrażenie, że ten szept wstrząsnął trzewiami statku.

Z ciebie, Tzadkiel - odparłem. - Kiedyś, w innym czasie,

byłem twoim niewolnikiem.

Opowiedz mi o tym.

Spełniłem jej żądanie i przekonałem się, że w jakiś tajemniczy sposób każde moje słowo mieści w sobie tysiąc innych; kiedy powiedziałem "Urth", od razu opisałem wszystkie kontynenty, morza i wyspy, a także krwistoczerwone niebo skąpane w blasku starego, gasnącego słońca otoczonego pierścieniem gwiazd. Wystarczyło sto takich słów, żeby Tzadkiel wiedziała o naszej historii więcej niż ja, ja zaś dotarłem już do chwili, kiedy uściskałem mocno ojca Inire i wsiadłem do szalupy, która

choć wtedy nic mi o tym nie było wiadomo miała zawieźć mnie na ten statek, statek hieroduli, statek hierogramata.

stał Tzadkiel. Wystarczyło następne słowo, aby opowiedzieć o przypadkach, jakie mnie na nim spotkały, oraz o moich przeżyciach na powierzchni Yesodu.

- Przeszedłeś wiele ciężkich prób - szepnęła, kiedy umilkłem. - Jeśli chcesz, mogę sprawić, że o wszystkich zapomnisz. Choć będziesz kierował się wyłącznie intuicją, i tak sprowadzisz Nowe Słońce.

Potrząsnąłem głową.

Nie chcę niczego zapomnieć, Tzadkiel. Zbyt często chełpiłem się swoją niezawodną pamięcią, a poza tym zapominanie - raz czy dwa poznałem, co to znaczy - zbyt mocno kojarzy mi się ze śmiercią.

Skoro już mowa o śmierci, to są nią raczej wspomnienia, ale nawet śmierć może być dobrodziejstwem, o czym przekonałeś się nad pewnym jeziorem. Może wolałbyś, żebym postawiła cię na podłodze?

Jestem twoim niewolnikiem, więc twoja wola jest moją wolą.

A gdybym zapragnęła cię upuścić?

Wówczas twój niewolnik błagałby cię o darowanie życia, żeby mógł przywrócić je konającej Urth.

Uśmiechnęła się i rozłożyła ręce.

- Chyba zapomniałeś, jak małe niebezpieczeństwo wiąże się tutaj z upadkiem, nawet ze znacznej wysokości.

Istotnie, zapomniałem, i przez chwilę dałem się ogarnąć paraliżującemu przerażeniu. Okazało się jednak - nie po raz pierwszy - że na Urth bardziej groźny w skutkach byłby upadek z łóżka. Wylądowałem na podłodze kajuty Tzadkiel lekko niczym pyłek dmuchawca.

Minęła jednak dość długa chwila, zanim zebrałem myśli i odzyskałem orientację na tyle, by spostrzec, że inni gdzieś znikli i zostałem zupełnie sam.

- Kazałam im odejść - szepnęła Tzadkiel, która chyba dostrzegła moją niepewną minę. - Człowiek, który cię uratował, otrzyma od powiechnię nagrodę, tak samo jak kobieta, która stanęła w twojej obronie, kiedy pozostali chcieli cię zabić. Jest jednak wielce wątpliwe, czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczysz. - Wyciągnęła ku mnie prawą rękę, tak że koniuszki palców spoczęły przede mną na podłodze. -

Moja załoga musi uważać mnie za olbrzymkę. Biedacy nawet nie

podejrzewają, jak często przebywam wśród nich w innej, mniej rzucającej się w oczy postaci. Ty

jednak wiesz o mnie zbyt wiele, żeby dać się oszukać, a poza tym zasługujesz na to, by traktować cię z należytą powagą. Chyba nam obojgu będzie znacznie wygodniej, jeśli przybiorę zwykłe rozmiary.

Prawie jej nie słuchałem, ponieważ moją uwagę przykuła zdumiewająca przemiana, jaka odbywała się na moich oczach. Otóż pierwszy staw palca wskazującego przekształcił się w twarz o rysach Tzadkiel, paznokiec zaś rozdziwił się i przeistoczył w nogi. Podobna, zapierająca dech w piersi metamorfoza stała się udziałem pozostałej części palca, który wreszcie, całkowicie przekształcony, odłączył się od ręki i rozprostował skrzydła. Olbrzymka znikła jak płomień gigantycznej świecy. Ja zaś miałem przed sobą jej miniaturową kopię.

- Zaprowadzę cię do twojej kajuty - powiedziała Tzadkiel. Była teraz nieco niższa ode mnie.

Chciałem uklęknąć, lecz ona chwyciła mnie za łokieć.

Chodźmy. Jesteś bardziej zmęczony, niż przypuszczasz, czemu zresztą trudno się dziwić. Czeka na ciebie wygodne łóżko, a kiedy tylko zechcesz, otrzymasz obfity posiłek.

Ale jeśli cię zobaczą...

Nikt nas nie zobaczy. Na tym statku są przejścia, które znam tylko ja.

W tej samej chwili jeden z pilastrów zdobiących ściany odsunął się bezszelestnie odsłaniając wejście do mrocznego, wiodącego w dół korytarza. Co prawda Apheta wspomniała, że ona i jej ziomkowie doskonale widzą w ciemności, ale Tzadkiel nie świeciła pulsującym blaskiem, ja zaś nie byłem tak głupi, by przypuszczać, że zaprowadzi mnie do łoża, tak jak uczyniła Apheta. Po długiej wędrówce zrobiło się wreszcie nieco jaśniej, a wówczas odniosłem wrażenie, iż wcale nie znajdujemy się w korytarzu, ponieważ na horyzoncie - jeśli to był horyzont dostrzegłem jakby niskie wzgórza, sam zaś stąpałem po trawie głaskanej podmuchami rzeńskiego wiatru. Przed sobą ujrzałem stojącą na ziemi czarną skrzynkę.

- Oto twoja kajuta - poinformowała mnie Tzadkiel. - Uważaj.

bo teraz będziemy do niej schodzić.

Okazało się, że musimy pokonać trzy wysokie stopnie. Kiedy wreszcie stanąłem na podłodze, w pomieszczeniu zapłonęło światło, ja zaś przekonałem się, iż jest znacznie większe od kabiny, którą poprzednio zajmowałem, oraz że ma dość niezwykły kształt. Łąka, po której stąpaliśmy, okazała się obrazem wiszącym na ścianie za moimi plecami, stopnie zaś oparciem i siedziskiem rozłożystej kanapy.

Podszedłszy do obrazu spróbowałem zanurzyć w nim rękę, lecz moje palce napotkały opór.

- Mamy coś podobnego w Domu Absolutu - powiedziałem. -

Teraz już wiem, skąd ojciec Inire zaczerpnął wzór, choć muszę przyznać, że nasz obraz nie jest tak znakomicie zakamuflowany.

□ Wejdziesz pewnym krokiem na kanapę, a wtedy przenikniesz do

środku - pora dziła mi Tz adkiel. - Trzeba stanąć na opa rciu, by iluzja ustąpiła miejsca rzeczywistości. Teraz muszę już odejść, a ty powinieneś odpocząć.

□ Zaczekaj - poprosiłem. - Na pewno nie zasnę, dopóki me

powiesz mi...

□ Tak?

□ Nie wiem, jak to wyrazić. Brakuje mi słów. Chodzi o to, że byłeś palcem Tzadkiel, a teraz jesteś nią samą.

- Wiesz, że potrafimy dowolnie zmieniać kształt; sam przecież niedawno opowiedziałeś mi o naszym spotkaniu w przyszłości. Komórki naszych ciał przesuwały się w dowolnym kierunku, tak samo jak komórki ciał niektórych stworzeń żyjących na Urth, które nawet po przeciśnięciu przez przepuszczalną membranę odzyskują poprzednią postać. Dlaczego więc nie mogłabym utworzyć miniatURY samej siebie, a następnie wchłonąć jej, kiedy przestanie już być potrzebna? Gdy to uczynię, moja większa część będzie wiedziała dokładnie to samo co mniejsza.

- Twoja większa część trzymała mnie w rękach, by potem zniknąć jak sen.

- Wasza rasa jest rasą pionków - odparła Tzadkiel. - Porusza cie się tylko naprzód, chyba że cofniemy was na pozycje wyjściowe, by zacząć grę od początku. Chyba jednak zdajesz sobie sprawę, że na szachownicy są nie tylko pionki?

Rozdział XXV

Namiętność i korytarz

Zmęczenie potrafi wyczyniać przedziwne rzeczy z umysłem. Kiedy zostałem sam w kajucie, myślałem wyłącznie o tym, że nikt nie stoi na straży przy drzwiach. Przez cały czas, kiedy byłem Autarchą, przy drzwiach pomieszczenia, w którym akurat się znajdowałem, stali wartownicy, zazwyczaj wywodzący się spośród pretorianów. Teraz zmarnowałem sporo czasu na poszukiwanie drzwi, lecz kiedy wreszcie znalazłem je i otworzyłem, dwie potężnie zbudowane, półludzkie istoty w groteskowych hełmach wyprężyły się przede mną na baczność.

Zamknąłem drzwi, zastanawiając się, czy zadaniem wartowników jest nie dopuścić nikogo do mnie, czy raczej powstrzymać mnie przed wyjściem na zewnątrz, po czym zmitrężyłem jeszcze kilka chwil usiłując wyłączyć albo przynajmniej ściemnić światło. Byłem jednak zanadto wyczerpany, żeby zawracać sobie głowę takimi drobnostkami; zrzuciłem ubranie na podłogę i wyciągnąłem się na szerokim łóżku.

Mój umysł niemal natychmiast pograżył się w otchłani, którą nazywamy snem, ale zdążyłem jeszcze zauważyć, że w kajucie zapada ciemność.

Wkrótce potem odniosłem wrażenie, że słyszę czyjeś kroki, i nawet spróbowałem się podnieść, ale sen przyciskał mnie do materaca ogromnym ciężarem, działając skuteczniej od najsilniejszego narkotyku. Tajemniczy gość usiadł obok mnie na łóżku i odgarnął mi włosy z czoła; poczuwszy zapach jej perfum przygarnąłem ją łapczywie.

Jej włosy musnęły mój policzek, a nasze usta spotkały się w pocałunku.

Obudziłem

się

z

przeświadczeniem,

iż

odwiedziła mnie Thecla.

Nie miałem co do tego

żadnych

wątpliwości,

mimo iż nie padło ani

jedno słowo, ja zaś nawet

przez

chwilę

nie

widziałem

jej

twarzy.

Dziwne, zdumiewające,

cudowne, a do tego

jeszcze prawdziwe. Nikt

w tym

wszechświecie, ani w żadnym innym, nie zdołałby oszukać mnie w tak intymnej sytuacji. Skoro dzieci Tzadkiel, w porównaniu z nią bardzo niedorośle i bezradne istoty, wezwały Thecle na Yesod, by stanęła po mojej stronie w walce z żeglarzami, to sama Tzadkiel tym łatwiej mogła to uczynić.

Wyskoczyłem z łóżka, po czym rozejrzałem się uważnie w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu, może włosa, a może zmiętego płatka kwiatu, który pozostawiła na pamiątkę naszego ponownego spotkania, lecz nic takiego nie znalazłem. Pościel wyglądała tak, jakby spała w niej tylko jedna osoba.

W zapiskach, które tak pracowicie sporządzałem w Domu Absolutu, a które z jeszcze większym mozolem i pieczołowitością spłodzę powtórnie na pokładzie tego statku w przyszłości, będącej już moją przeszłością, wspominałem przynajmniej raz, że niezmiernie rzadko doskwierała mi samotność, mimo iż memu czytelnikowi z pewnością wydaję się bardzo samotnym człowiekiem. Po to więc, żeby być w zgodzie z samym sobą oraz by móc śmiało spojrzeć w twarz każdemu, kto zapozna się z treścią mego rękopisu - naturalnie gdyby kiedykolwiek miało dojść do takiego spotkania, co wydaje się raczej niemożliwe - przyznam szczerze, iż właśnie wtedy poczułem się bardzo samotny, choć przecież imię moje - tak kazał się do siebie zwracać mój poprzednik - było Legion.

Byłem nim, a także każdym z jego poprzedników, samotny jak wszyscy władcy aż do chwili, kiedy na Urth nastaną lepsze czasy, a raczej, aż pojawią się na niej lepsi ludzie. Byłem również Theclą wspominającą matkę i przyrodną siostrę, których już nigdy miała nic zobaczyć, oraz młodego kata, który płakał nad nią, kiedy jej dawno już zabrakło łez. Przede wszystkim jednak byłem Severianem, przeraźliwie, okrutnie samotnym Severianem. Jakbym został zupełnie sam na statku, nocami śnił o rodzinie i przyjaciółach, a budził się tylko po to, by wyjść na pokład i spoglądać na świecące spokojnie gwiazdy oraz poszarpane żagle, wiedząc, że czy tego chcę, czy nie chcę, przyjdzie mi tu dokonać mych dni.

Choć doskonale zdawałem sobie sprawę z absurdalności takich obaw, niemniej jednak dałem się ogarnąć niepokojowi, a nawet lękowi. Byłem zupełnie sam w ogromnym, wielopokojowym apartamencie, który Tzadkiel nazwała moją kajutą. Nikogo nie słyszałem, czyż więc nie mogło zdarzyć się tak, że po prostu nie miałem kogo słyszeć, że Tzadkiel z jakichś znanych tylko sobie, tajemniczych powodów, podczas mego snu kazała opróżnić statek?

Umyłem się i ogoliłem niepokojąco gładką, pozbawioną blizn twarz, wciąż nasłuchując jakiegokolwiek głosu albo choćby stąpnięcia. Moje ubranie było tak brudne i podarte, że wahałem się, czy powinienem je założyć; na szczęście okazało się, iż w szafach wisi mnóstwo najróżniejszych strojów uszytych w ten sposób, by łatwo dało się je dostosować do potrzeb zarówno kobiety, jak mężczyzny, w dodatku bez względu na budowę i proporcje ciała. Wszystkie ubrania wykonano z kosztownych materiałów najwyższej jakości. Wybrałem luźne, czarne spodnie wiązane w pasie rdzawobrązową szarfą, tunikę z obszernymi kieszeniami oraz płaszcz z najprawdziwszego katowskiego fuliginu, obowiązkowy strój członków konfraterni, której oficjalnie wciąż jeszcze byłem mistrzem, podszyty pstrokatym brokatem.

Tak wystrojony otworzyłem drzwi kajuty i ponownie ujrzałem dwóch wyprężonych na baczność, przerażających strażników.

A więc jednak nie zostałem sam na statku. Szczerze mówiąc, już wcześniej, kiedy zająłem się

dobieraniem nowego stroju, prawie przestałem się obawiać tej ewentualności, ale teraz, gdy kroczyłem szerokim, zupełnie pustym korytarzem, moje myśli same powróciły do tego tematu. Zaraz potem pojawiła się w nich Theclą, która dała mi rozkosz, by porzucić mnie bez słowa pożegnania, później zaś Agia, Valeria, a wreszcie Gunnie, z której wdzięków chętnie skorzystałem, kiedy była mi pomocna i tuż przy mnie, by potem nie zaprotestować ani słowem, kiedy Tzadkiel odesłała ją razem z pozostałymi marynarzami.

Przez całe życie stanowczo zbyt łatwo porzucałem kobiety, które miały prawo oczekiwać ode mnie lojalności; pierwsza była oczywiście Theclą, po niej zaś Dorcas, Pia, Daria, a wreszcie Valeria. Niewiele brakowało, bym tak samo postąpił tu, na tym ogromnym statku - na szczęście w porę się zreflektowałem i przyrzekłem sobie uczynić Wszystko, żeby tak się nie stało. Postanowiłem odszukać Gunnie, bez względu na to, gdzie się teraz znajduje, i zabrać ją do mojej kajuty, gdzie pozostałaby aż do momentu przybycia na Urth, wtedy zaś, gdyby taka była jej wola, mogłaby wrócić do swojej rybackiej wioski.

Podjąwszy tę decyzję przyspieszyłem kroku teraz, kiedy znowu miałem zdrowe obie nogi, szedłem jeszcze żwawiej niż wtedy, gdy

dawno, dawno temu podążałem w nieznane Wodną Drogą biegnąca wzdłuż koryta Gyoll - ale moje myśli nie dotyczyły wyłącznie Gunnie. Pamiętałem, żeby zwracać uwagę na otoczenie i starać się zapamiętać trasę wędrówki, ponieważ zdawałem sobie sprawę, jak łatwo jest zabłądzić w przepastnych czeluściach tego statku; w trakcie podróży na Yesod zdarzyło mi się to nie jeden i nie dwa razy. Poza tym zaintrygował mnie punkcik jaskrawego światła, pozornie bardzo odległy, a jednocześnie sprawiający wrażenie, jakby znajdował się w zasięgu ręki. Muszę przyznać, że nawet wtedy wziąłem go omyłkowo za kule czerni, która w chwili, gdy przeszedłem przez nią razem z Gunnie, przeistoczyła się w świetlisty dysk. Wiem jednak, iż to zupełnie niemożliwe, by biała fontanna, która ocaliła i zniszczyła Urth, ten ryczący gejzer, rozsiewający po wszechświecie gaz biorący się nie wiadomo skąd, pełniła także rolę bramy, która znalazła się na naszej drodze.

To znaczy, wiem, że to niemożliwe, dopóki mam do czynienia z dziennym światem, tym światem, który zginąłby bez Nowego Słońca, nocą natomiast, a czasem nawet o zmierzchu, nachodzą mnie wątpliwości. Czy nie może być tak, że Yesod oglądany z naszego wszechświata tak samo różni się od Yesodu oglądanego od wewnątrz, jak człowiek widziany z daleka różni się od powiększonego obrazu jego wnętrza? Zdaję sobie sprawę, że często bywam głupi, słaby i wystraszony, że często ulegam lenistwu, że często, jak już wspomniałem, w pogoni za nieuchwytnym ideałem porzucam najbliższych przyjaciół. Mimo to bały się mnie miliony.

Czy nie może być tak, że biała fontanna jest mimo wszystko oknem, przez które widać Yesod?

W miarę jak mijałem kolejne zakręty korytarza, coraz wyraźniej dostrzegałem to samo tajemnicze zjawisko, które nie dawało mi spokoju już podczas wcześniejszych wędrówek po zakamarkach statku.

Otóż wszystko, co pozostawiałem za sobą, a także to, co dopiero mnie oczekiwało, zdawało się lekko falować, zmieniać kształt, kryć się za opalizującą mgłą i lśnić niezwykłym blaskiem. Pomyślałem sobie wreszcie, że to zapewne statek dostosowuje się do moich potrzeb i oczekiwań. kiedy zaś

przejdę dalej, pozostawiając go samego, wraca do poprzedniej postaci, bardziej przydatnej z jego punktu widzenia.

Podobnie za-

chowuje się matka, która w obecności dziecka przemawia najprostszymi słowami i zabawia je na wszelkie możliwe sposoby, potem zaś, gdy dziecko zaśnie albo odejdzie, by dokazywać z rówieśnikami, powraca do przerwanej lektury poważnej książki lub zaczyna na nowo igrać z kochankiem.

Czyżby statek był w istocie żywym organizmem? Nie wątpię, że coś takiego jest możliwe, ale niewiele z tego, co widziałem, potwierdzało te hipotezę, a gdyby była jednak prawdziwa, to jaki sens miało utrzymywanie tak licznej załogi? To, co Tzadkiel powiedziała mi w nocy (jeśli pora, którą przespałem, istotnie była nocą), sugerowało istnienie znacznie prostszego mechanizmu. Jeśli nacisk mojej stopy na oparciu kanapy mógł uruchomić tajemnicze siły przemieniające obraz w rzeczywistość albo rzeczywistość w obraz, to być może światło w kajucie zaczęło przygasać wtedy, kiedy ukryte czujniki stwierdziły, że położyłem się do łóżka, korytarz zaś zmieniał kształt reagując na odgłos moich kroków.

Postanowiłem skorzystać z tego, że znowu mam dwie sprawne nogi, i sprawdzić, czy się nie mylę.

Na Urth z pewnością nie udałoby mi się tego dokonać, ale tam nie miałbym nawet okazji podjąć takiej próby, gdyż gigantyczny statek natychmiast zapadłby się pod własnym ciężarem. Tutaj, na jego pokładzie, gdzie nawet jako kaleka byłem w stanie biegać i skakać, teraz nie zawahałbym się stanąć do wyścigu z wiatrem. Pobiegnę naprzód, a na najbliższym zakręcie odbiłem się mocno od podłogi, zczekałem, aż moje podkurczone nogi dotkną ściany, po czym odepchnąłem się z całej siły i z ogromną prędkością poszybowałem równoległe do podłogi korytarza.

Niemal natychmiast znalazłem się wśród przedziwnych geometrycznych tworów i zagadkowych urządzeń, gdzie błękitnozielone światełka śmigły we wszystkich kierunkach jak komety, a korytarz wił

się i skręcał niczym przecięta dżdżownica. Zetknąwszy się z jego ścianą stwierdziłem, że stopy mam jak z drewna, moje nogi zaś nie chcą mnie słuchać, jakby należały do jakiejś zepsutej marionetki. Koziółkując bezradnie poszybowałem dalej korytarzem, który skurczył się przede mną do rozmiarów maleńkiego świecącego punktu zawieszzonego w morzu całkowitej ciemności.

Rozdział XXVI

Gunnie i Burgundofara

W pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że coś niedobrego stało się z moim wzrokiem.

Zamrugałem raz i drugi, ale dwie twarze, tak bardzo podobne do siebie, nie chciały zlać się z powrotem w jedną. Spróbowałem się odezwać - bez rezultatu.

- Wszystko w porządku - powiedziała Gunnie uspokajającym tonem. Druga kobieta - raczej młodsza siostra niż bliźniaczka - wsunęła mi rękę pod głowę, uniosła ją lekko i przytknęła mi kubek do ust.

W gardle czułem suchy pył śmierci. Zacząłem łapczywie siorbać wodę, przed połknięciem pozwalając jej rozlać się po dziąsłach, wewnętrznej stronie policzków, splukać podniebienie. Czułem, jak z każdym łykiem odzyskuję czucie'w całym ciele.

- Co się stało? - zapytała Gunnie.

- Statek się zmienia - odparłem.

Obie skinęły głowami, choć było oczywiste, że nadal nic nie rozumieją.

- Zmienia się tak, żeby spełnić nasze oczekiwania, w zależności od tego, gdzie jesteśmy i co zamierzamy robić. Biegłem za szybko albo zbyt długo nie dotykałem podłogi... - Spróbowałem usiąść i ku memu zdumieniu zdołałem to osiągnąć bez większego kłopotu. - Dotarłem do części, gdzie nie było powietrza, tylko inny gaz, może przeznaczony dla istot z jakiejś odległej planety, albo nie przeznaczony dla nikogo.

- Możesz wstać?

Skinąłem głową. Gdybyśmy jednak byli na Urth, z pewnością runąłbym jak długi, bo nawet tu, na statku, gdzie każdy upadek trwa niezmiernie długo, kobiety z trudem zdążyły mnie złapać i podeprzeć, jakbym był kompletnie pijany. Były identycznego wzrostu (czyli niemal równie wysokie jak ja), miały duże ciemne oczy, szerokie twarze o miłych rysach, pokryte licznymi piegami, oraz kruczoczarne włosy. - Ty jesteś Gunnie - wymamrotałem do Gunnie.

Obie nią jesteśmy - poinformowała mnie młodsza. - Tyle że

ja zamustrowałam się podczas ostatniego rejsu, a ona tu jest od bardzo dawna.

Co najmniej od kilku podróży - potwierdziła Gunnie. - Moż

na powiedzieć, że od zawsze, choć to "zawsze" znaczy tyle co chwila, albo nawet mniej. Nasz czas biegnie całkiem inaczej niż na Urth, Burgundofaro.

Zaczekajcie! - jęknąłem. - Muszę się zastanowić. Czy mog

libyśmy usiąść gdzieś i spokojnie porozmawiać?

Młodsza kobieta wskazała łukowato sklepienie przejście wiodące do jakiegoś obszernego pomieszczenia, z którego docierał wyraźny szum wody. Dostrzegłem tam kilka wyściełanych foteli.

Gunnie zawahała się, a następnie pomogła mi ruszyć w tamtą stronę.

Pnące się wysoko ściany były ozdobione ogromnymi maskami. Z ich oczu kapwały łzy, które wpadały z chlupotem do kamiennych mis wypełnionych nieruchomą wodą. Na krawędzi każdej misy stało kilka kubków, takich samych jak ten, w którym młodsza kobieta podała mi wodę, natomiast w przeciwległej ścianie pomieszczenia dostrzegłem zamknięty właz, przypuszczalnie prowadzący na pokład.

- Twierdzicie więc, że jesteście tą samą osobą - powiedziałem, kiedy usiedliśmy -ja pośrodku, kobiety po moich obu stronach.

Skinęły głowami.

Wierzę wam, ale przecież nie mogę nazywać was tym samym

imieniem. Jak mam się do was zwracać?

Kiedy byłam w jej wieku i opuściłam rodzinną wioskę, żeby

zamustrować się na statek, nie chciałam być już Burgundofara, więc kazałam wszystkim, żeby mówili na mnie Gunnie. Potem trochę tego żałowałam, ale nic już nie mogłam poradzić, więc uznałam, że będzie najlepiej, jeśli się po prostu przyzwyczaję. Mów więc do mnie Gunnie, ponieważ nią jestem. - Przerwała, by zaczerpnąć głęboko tchu w piersi, po czym dodała: - A tę dziewczynę, którą kiedyś byłam, nazywaj moim starym imieniem. Ona już go nie zmieni.

W porządku. Słuchajcie więc: nie jest wykluczone, że mógłbym opowiedzieć o tym, co mnie gnębi, w znacznie prostszy sposób, ale jestem jeszcze bardzo słaby i nie myślę wystarczająco jasno. Otóż kiedyś widziałem człowieka, który nie żył, lecz przywołano go na powrót do życia.

— Wpatrywały się we mnie w milczeniu. Tym razem to Burgundofara nabrała powietrza w płuca i wstrzymała oddech.

- Nazywał się Apu-Punchau. Był przy tym także człowiek imię

niem Hildegrin, który robił wszystko, żeby tylko uniemożliwić Apu-

-Punchau powrót do grobowca.

- Czy to był duch? - zapytała szeptem Burgundofara.

- Nie, a przynajmniej nie wydaje mi się, żeby nim był, choć odpowiedź na twoje pytanie zależy w znacznej mierze od tego, co rozumiesz przez słowo "duch". Myślę, że był kimś, kto zapuścił ko rzenie tak daleko w głąb czasu, że nigdy ani nigdzie nie może do końca umrzeć. Tak czy inaczej, próbowałem pomóc Hildegrinowi, ponieważ służył komuś, kto starał się wyleczyć jednego z moich

przyjaciół...

Umilkłem raptownie, ponieważ moje myśli, wciąż jeszcze osłabione i spowolnione po zetknięciu z trującą atmosferą korytarza, natrafiły na przeszkodę nie do przebycia. Czy Jolenta istotnie była moim przyjacielem? A może dopiero zostałaby nim, gdyby udało jej się wrócić do zdrowia?

Z zamyślenia wyrwał mnie głos Burgundofary. - Mów dalej.

Podbiegłem do nich, to znaczy do Hildegrina i Apu-Punchau.

a wtedy nastąpiło coś, czego nie mogę do końca nazwać eksplozją, a co jednak bardzo ja przypominało, albo na przykład uderzenie pioruna. Apu-Punchau zniknął, ja natomiast ujrzałem przed sobą dwóch Hildegrinów.

Tak jak widzisz nas?

- Nie, to był ten sam Hildegrin, tylko w dwóch osobach. Jeden walczył z niewidzialnym duchem, drugi zmagał się ze mną. Potem znowu pojawiła się błyskawica, czy cokolwiek to było, ale wcześniej, jeszcze przed pojawieniem się dwóch Hildegrinów, przez mgnienie oka widziałem twarz Apu-Punchau.

To była moja twarz. Znacznie starsza, ale jednak moja.

Miałaś rację, że chciałaś się zatrzymać powiedziała Gunnie. -

Musimy o tym porozmawiać.

Dziś rano... Tzadkiel to znaczy kapitan, przydzielił mi bardzo elegancką kajutę. Rano umyłem się i ogoliłem, a kiedy spojrzałem w lustro, ujrzałem tam twarz, której widok bardzo mnie zdziwił. Teraz już wiem, czyją twarz zobaczyłem.

Apu-Punchau?

Własną? - odezwały się niemal jednocześnie Gunnie i Burgundofara.

Jest coś jeszcze, o czym wam nie powiedziałem. Otóż Hildegrin został zabity uderzeniem pioruna. Wtedy wydało mi się to oczywiste i nadal takie mi się wydaje. Było mnie dwóch, więc musiało być także dwóch Hildegrinów, ale oni powstali w wyniku podziału, a żaden człowiek nie może długo żyć po tym, jak spotka go coś takiego. Albo może chodziło o to, że raz podzielony nie potrafił znowu stać się jedną osobą, kiedy ja stałem się na powrót jednym Severianem.

Burgundofara skinęła głową.

- Gunnie powiedziała mi, jak się nazywasz. To piękne imię. po dobnie do ostrza miecza.

Gunie szybkim ruchem ręki nakazała jej milczenie.

□ Teraz siedzę tu z wami dwiema, choć wydaje mi się, że jestem jeden. A może widzicie dwóch?

□ Nie - odparła Burgundofara. - Czy jednak nie rozumiesz, że to nie miałyby najmniejszego znaczenia? Nie możesz umrzeć dopóty, dopóki nie przeistoczysz się w Apu-Punchau!

Pokręciłem głową.

□ Nawet ja wiem więcej o naturze czasu. Dziesięć lat temu byłem Apu-Punchau z przyszłości, przyszłość zaś nigdy nie jest ustalona, gdyż ciągle zmienia się pod wpływem terażniejszości.

□ Wydaje mi się, że twoja wiedza o czasie nie dorównuje mojej, choć to ty masz sprowadzić Nowe Słońce i odmienić świat - stwierdziła Gunnie. - Człowiek o imieniu Hildegrin nie umarł przed dzieśmiu laty, przynajmniej nie dla nas. Być może po powrocie na Urth przekonasz się, że nastąpiło to tysiąc lat temu albo dopiero wydarzy się za następne tysiąc lat. Tutaj nic na ten temat nie wiadomo. Znajdujemy się nie tylko między słońcami, ale i poza czasem, w związku z czym na statku mogą istnieć dwie Gunnie, albo nawet dwadzieścia, i nic się przez to nikomu nie stanie.

Umilkła na chwilę. Nigdy nie mówiła zbyt szybko, lecz teraz słowa wydobywały się z jej ust niczym zdeorientowani, oszołomieni rozbitkowie, wypełzający z zadymionych czeluści wraku.

-

Owszem, widzę dwóch Severianów, nawet jeśli to, co widzę, jest tylko tym, co pamiętam. Jednego z nich chwyciłam kiedyś w objęcia i pocałowałam. On już odszedł, ale był bardzo przystojnym mężczyzną, mimo że kulał, miał bliznę na twarzy i włosy przyprószone siwizną.

□ Zapamiętał twój pocałunek - zapewniłem ją. - Całował wiele kobiet, lecz bardzo rzadko był przez nie całowany.

□ Drugi Severian jest tym, który został moim kochankiem, wkrótce po tym, jak zamustrowałam się na statek. Właśnie ze względu na niego pocałowałam cię później i walczyłam o ciebie, jako jedyny człok wiek z krwi i kości pośród bezcielesnych zjaw. To dla niego zabijałam rnoich towarzyszy, choć doskonale zdawałam sobie sprawę, że mnie nie pamiętasz. - Podniosła się z miejsca. - Żadne z was nie wie.

gdzie się teraz znajdujemy.

- Wygląda to na poczekalnię, choć nie rozumiem, dlaczego jesteśmy w niej zupełnie sami - odparła Burgundofara.

- Miałam na myśli położenie statku. Otóż dotarliśmy już do

orbity Dis.

- Pewien człowiek, dysponujący znaczną wiedzą o przyszłości, powiedział mi kiedyś, że kobieta, której szukam, znajduje się nad ziemią. Przypuszczałem wtedy, iż oznacza to tylko tyle, że nie umarła, ale ten statek zawsze poruszał się powyżej orbity Dis...

- Wiesz, co mam na myśli, Kiedy zjawiłam się razem z tobą na pokładzie, przypuszczałam, że czeka nas długa podróż, ale oni -

Apheta i Zak - sprawili, że stało się inaczej. Statek właśnie opuszcza wieczność i zmniejsza szybkość, szykując się do wysłania szalupy. Czy wiesz, że dopóki zupełnie nie zwolni, wcale nie jest statkiem? Przypomina minamy szczyt fali albo krzyk rozchodzący się po wszechświecie.

- Nie wiedziałem o tym - przyznałem. - I jeśli mam być szczery, to wcale ci nie wierzę.

- Czasem to, w co wierzysz, może okazać się bardzo istotne -

odparła Gunnie. - Ale nie zawsze. Tego również nauczyłam się tu.

na statku. Czy pamiętasz, jak kiedyś opowiedziałam ci, dlaczego wy ruszam na kolejne wyprawy?

Zerknąłem na Burgundofare.

- Myślałem, że...

Gunie energicznie potrząsnęła głową.

- Żeby stać się tym, kim byłam kiedyś, a przy okazji zostać sobą.

Z pewnością pamiętasz siebie z okresu, kiedy miałeś tyle lat co ona.

Czy uważasz, że jesteś tą samą osobą?

Tak wyraźnie, jakby nagle znalazł się wraz z nami w tej komnacie płaczących masek, ujrzałem młodego czeladnika maszerującego w fu-liginowym płaszczu łopoczącym u ramion, z przypominającym krzyż Terminus Est, który zdawał się tworzyć nierozzerwalną całość z jego sylwetką.

Nie - przyznałem. - Już dawno temu stałem się kimś zupełnie innym.

Właśnie dlatego zostanę tutaj - oświadczyła. - Może wtedy, kiedy będę sama, wreszcie mi się uda. Ty i Burgundofara wróćcie na Urth.

Odwróciła się i wyszła bez słowa pożegnania. Spróbowałem podnieść się z miejsca, ale byłem jeszcze tak słaby, że Burgundofara bez trudu zdołała mnie powstrzymać.

Daj jej spokój - powiedziała. - Poza tym, to już się wydarzyło.

Nie odbieraj jej nadziei.

Przecież ona jest tobą! - wykrztusiłem.

Wobec tego pozwól, bym i ja miała nadzieję. Przekonałam się, kim będę w przyszłości, ale czy

sadziysz, że w związku z tym nie mam prawa uzalić się nad sobą?

W jej oczach pojawiły się łzy.

- A kto zapłacze nad nią, skoro ty tego nie uczynisz? za pytałem.

- T y .

Być może, lecz z zupełnie innego powodu, niż przypuszczasz.

Była prawdziwym przyjacielem, a tych nie mam zbyt wielu.

Teraz rozumiem, dlaczego te maski płaczą - powiedziała Bur gundofara. - Ta komnata jest przeznaczona specjalnie do płaczu.

To komnata pożegnań i powitań - wysz eptał cz yjś głos za naszymi plecami.

Odwróciwszy się gwałtownie ujrzałem dwóch zamaskowanych hie-roduli, a ponieważ nie spodziewałem się ich ponownie zobaczyć, minęło trochę czasu, zanim rozpoznałem w nich Barbatusa i Famulimusa.

Przyjaciele! - wykrzyknąłem radośnie. - Czyżbyście mieli

nam towarzyszyć?

Otrzymaliśmy polecenie, żeby cię tu przyprowadzić - odparł

Famulimus. - Tzadkiel posłał nas po ciebie, ale okazało się, że ty już dotarłeś na miejsce. Czy jeszcze się kiedyś spotkamy, Severianie?

—

Wiele razy - zapewniłem go. - Do zobaczenia, Famulimusi.

- Nie ulega wątpliwości, że wiesz, kim jesteśmy. Pozdrawiamy cię więc i jednocześnie żegnamy.

- Śluza otworzy się, jak tylko stąd wyjdziemy - dodał Barbatus. -Czy macie amulety zapewniające wam niezbędny zapas powietrza?

Wyjąłem z kieszeni naszyjnik i założyłem go, a Burgundofara uczyniła to samo ze swoim.

- Wobec tego ja także was pozdrawiam - rzekł Barbatus. po czym wycofał się za drzwi, które natychmiast się za nim zamknęły.

Chwilę potem podwójne wrota na końcu komnaty rozsunęły się raptownie, a łzy kapiące nieprzerwanie z oczu masek wyschły, jakby ich nigdy nie było. Zaraz za progiem zaczynała się rozpięta między gwiazdami czarna zasłona nocy.

- Musimy iść - powiedziałem do Burgundofary, lecz natychmiast uprzytomniłem sobie, że nie może mnie słyszeć, więc zbliżyłem się do niej i wziąłem ją za rękę, co w pełni zastąpiło nawet najdłuższą przemowę. Razem opuściliśmy statek. W ostatniej chwili przystanąłem na progu, gdyż nagle zdałem sobie sprawę, że nawet nie poznałem jego nazwy oraz że trzy spośród niasek wiszących na ścianach przedstawiały twarze Zaka, Tzadkiel i kapitana.

Oczekująca nas szalupa była znacznie większa od ślizgacza, który przewiózł nas na powierzchnię Yesodu - niemal tak duża jak ta, która dostarczyła mnie z Urth na statek. Im dłużej nad tym myślę, tym bardziej wydaje mi się prawdopodobne, że była to ta sama jednostka.

- Czasem kapitan decyduje się podprowadzić statek bliżej planety, ale wtedy trzeba liczyć się z niebezpieczeństwem, że ktoś nas zauważy - powiedział marynarz, który powitał nas na pokładzie szalupy. - Tym razem wolał nie ryzykować, więc spędzicie z nami prawie cały dzień.

Poprosiłem, by wskazał mi słońce Urth, a on chętnie to uczynił. Ujrzałem tylko maleńką, szkarłatną plamkę; o tym, by zobaczyć Dis albo choćby którąś z większych planet, nie było nawet mowy.

W rewanzu usiłowałem pokazać mu niewielką, choć jasno świecącą gwiazdę stanowiącą część mnie, lecz marynarz nie był w stanie jej dostrzec, Burgundofara zaś sprawiała wrażenie mocno przestraszonej, więc zaraz potem skryliśmy się w sterówce szalupy.

Rozdział XXVI I

Powrót na Urth

Nie byłem pewien, czy Burgundofara i ja zostaniemy kochankami, ale ulokowano nas w jednej kabine (kajuta, w której spędziłem ostatnią noc na pokładzie statku, pomieściłaby co najmniej dziesięć takich), a kiedy objąłem ją i zacząłem rozbierać, nie próbowała stawiać oporu. Okazała się znacznie mniej doświadczona od Gunnie. choć, rzecz jasna, nie była już dziewicą. Wciąż nie mogłem się nadziwić, jak to się stało, że spałem z Gunnie tylko jeden jedyny raz.

Jej młodsze wcielenie powiedziało mi później, że jestem pierwszym mężczyzną, który obchodził się z nią delikatnie i czule. Podziękowała mi pocałunkiem, a zaraz potem zasnęła w moich ramionach.

Przyznam, iż nigdy do tej pory nie uważałem się za czułego, opanowanego kochanka; dość długo leżałem w ciemności z otwartymi oczami, pogrążony w głębokich rozważaniach, aż wreszcie obecatem sobie, że postaram się być taki już zawsze, biorąc za świadków stulecia przemykające wokół kadłuba.

Może zresztą nie były to wcale stulecia, tylko zaledwie lata. lata mojego życia? Początkowo przypuszczałem - rozkoszując się siłą drzemiacą w mięśniach wyleczonej nogi i goląc dziwnie zmienioną, jakby obcą twarz - że ktoś po prostu zdjął mi je z barków. Gunnie liczyła na to, że kiedyś to samo stanie się z jej brzemieniem. Teraz wiedziałem już z całą pewnością, iż sprawy mają się zupełnie inaczej.

Otóż stało się tak, że znikły szkody poczynione przez włócznie anonimowego Ascianina, stalowe

szpony Agii oraz zęby krwiożerczego nietoperza, ja zaś przeistoczyłem się w człowieka, jakim byłbym bez tych ran (a może i bez innych, o których nic nie wiedziałem). Dlatego właśnie moja twarz wydała mi się twarzą zupełnie obcej istoty, bo kto może być nam bardziej obcy niż my sami i kto może działać w bardziej niewytłumaczalny sposób? Stałem się Apu-Punchau, którego widziałem wskrzeszonego z martwych w kamiennym mieście, mnie zaś wydawało

się, zupełnie niesłusznie, że odzyskałem młodość. Być może kiedyś ponownie wejść na pokład statku Tzadkiel i wyruszę na poszukiwanie prawdziwej młodości, tak jak uczyniła to Gunnie, ale jeśli los znowu zaprowadzi mnie na Yesod, już tam zostanę, nawet gdyby przyszło mi za to drogo zapłacić. Kto wie, może trwająca kilka wieków kąpiel w jego cudownie czystym powietrzu pozwoli mi zmyć brud

parunastu lat?

Zastanawiając się nad tymi sprawami, a także nad wieloma innymi, doszedłem do wniosku, że to, jak postępowałem wobec kobiet, nie zależało od mojej dobrej ani złej woli, lecz od ich nastawienia wobec mnie. Byłem brutalny wobec fałszywej Thecli z Lazurowego Pałacu, natomiast delikatny i nieśmiały w stosunku do tej prawdziwej, zamkniętej w celi pod Wieżą Matachina. Dorcas wywoływała we mnie wzniośle, co wcale nie znaczy, że małe, pożądanie, Jolentę natomiast niemal zgwałciłem, choć do dzisiaj wydaje mi się, że właśnie tego pragnęła. O Valerii nie wspomnę, bo i tak już powiedziałem o niej zbyt

wiele.

Jednak rzeczy nie mogą mieć się jednakowo dla wszystkich mężczyzn, ponieważ wielu zachowuje się w identyczny sposób w stosunku do wszystkich kobiet.

Pogrążony w rozmyślaniach zapadłem wreszcie w drzemkę, by obudziwszy się stwierdzić, że leżę na drugim boku, odwrócony tyłem do Burgundofary. Zasnąłem ponownie, obudziłem się i wstałem, trawiony niecierpliwością oraz pragnieniem - nie mam pojęcia, skąd się we mnie wzięło - ponownego ujrzenia białej fontanny. Najciszej, jak potrafiłem, założyłem naszyjnik i wymknąłem się na pokład.

Bezkresna noc międzygwiazdnej otchłani coraz wyraźniej przegrywała walkę ze światłem. Cienie masztów, a także mój cień, kładły się na pokładzie nieprzeniknioną czernią, natomiast słońce Urth urosło niepomiernie, już prawie dorównując rozmiarami Lunie. W jego blasku biała fontanna wydawała się słabsza i bardziej oddalona ode mnie niż kiedykolwiek. Urth wisiała tuż przed bukszprytem, wirując niczym bąk.

Podszedł do mnie oficer pełniący wachtę i poradził, bym skrył się pod pokładem - raczej nie dlatego, żeby groziło mi jakieś realne niebezpieczeństwo, lecz ze względu na uczucie niepewności, jakiego doznawał, mając w pobliżu kogoś nie podlegającego jego rozkazom. Odparłem, że chętnie to uczynię, ale chciałbym porozmawiać z dowódcą jednostki, a poza tym zarówno ja, jak i moja towarzyszka podróży, jesteśmy coraz bardziej głodni.

W tej samej chwili na pokładzie zjawiała się Burgundofara. Szepnęła mi na ucho, że również poczuła potrzebę opuszczenia kabiny, choć przypuszczam, iż w jej przypadku chodziło raczej o to, by

ponownie.

być może po raz ostatni, przejść się po statku, chłonąc niezwykle widoki; wszystko wskazywało na to, że już nigdy nie będzie miała podobnej sposobności. Niewiele myśląc zaczęła wspinać się na maszt. co tak rozwścieczyło oficera, że zacząłem się obawiać, iż będzie próbował zrobić jej coś złego. Gdyby nie był jednym z hieroduli, z pewnością obezwładniłbym go którymś z niezawodnych chwytów, których uczą nas w konfraterni; pohamowałem się jednak i tylko stanąłem przed nim, uniemożliwiając mu wyruszenie w pościg za dziewczyną, podczas gdy kilku marynarzy podążyło za nią i szybko sprowadziło ją z powrotem na pokład.

Spieraliśmy się z nim zawzięcie aż do chwili, kiedy wyczerpaliśmy zapas powietrza - ja robiłem to głównie dla rozrywki, chyba podobnie jak Burgundofara - a następnie potulnie zeszliśmy na dół, odszukaliśmy mesę i rzuciliśmy się na jedzenie jak wygłodniałe wilki, śmiejąc się do rozpuku i głośno wspominając niedawne przygody.

Jakąś wachtę później odwiedził nas w kabinie kapitan, już nie hierodula, lecz zwyczajny człowiek, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Oświadczyłem mu, że od chwili rozstania z Tzadkiel nie rozmawiałem z żadnym przedstawicielem władzy, w związku z czym spodziewam się otrzymać od niego jakieś instrukcje lub polecenia.

Pokręcił głową.

Nie mam wam nic do przekazania. Jestem pewien, że Tzadkie!

zatroszczyła się, byście wiedzieli wszystko, co trzeba.

On ma sprowadzić Nowe Słońce! - poinformowała go z wy

niosłą miną Burgundofara, po czym zaraz wyjaśniła, widząc moje zdumione spojrzenie: - Gunnie mi powiedziała.

Myślisz, że ci się uda? - zapytał kapitan.

Zacząłem mu tłumaczyć, że nie wiem, że wydaje mi się, jakby biała fontanna była częścią mego organizmu i że staram się przyciągnąć ją bliżej, ale on zdawał się nic z tego nie rozumieć.

-- Co to jest, ta biała fontanna? - Zrobiłem chyba dość dziwną minę, ponieważ szybko dodał: - Naprawdę nie mam pojęcia. Powiedziano mi

tylko tyle, że mam dostarczyć ciebie i tę kobietę na Urth, i wysadzić was poza północną granicą lodu.

- To chyba gwiazda, albo coś bardzo do niej podobnego.

- W takim razie jest za ciężka, żeby poruszać się tak jak my.

Kiedy znajdziesz się na Urth, w ogóle przestaniesz się poruszać w takim sensie, w jakim czynimy to teraz. Może wtedy do ciebie przyjdzie.

- Ale czy nie będzie potrzebowała na to zbyt wiele czasu? -

zapytała dziewczyna.

Kapitan skinął głową.

-

Co najmniej kilku stuleci. Ale tak naprawdę, to ja się zupełnie na tym nie znam. Twój przyjaciel z pewnością wie dużo więcej na ten temat. Skoro ta gwiazda jest jego częścią, to musi ją czuć tak jak każdą część swego ciała.

- Czuję ją. Istotnie, jest bardzo daleko. - Nagle odniosłem wrażenie, że znowu stoję przy oknie w pustelni mistrza Asha i spoglądam na bezkresną lodową równinę. Nie sposób wykluczyć, iż w pewnym sensie nie ruszyłem się stamtąd nawet na krok. - Czy to możliwe, żeby Nowe Słońce zjawiało się dopiero po wyginięciu naszego gatunku? Czy to możliwe, żeby Tzadkiel zastosowała wobec nas okrutny podstęp?

-

Nie. Tzadkiel nie ucieka się do podstępów, choć na pierwszy rzut oka może się wydawać, iż często z nich korzysta. Podstępny jest dla tych.

co nie przywiązują wagi do moralnej wymowy swoich czynów, ponieważ uważają, że i tak wszystko przeminie. - Podniósł się z miejsca. -

Nie dziwię się, że chcieliście wypytać mnie o to i owo, ale niestety nie znam odpowiedzi na wasze pytania. Możecie mieć ochotę wylądować na pokład i obejrzeć lądowanie? Tylko to mogę wam zaproponować.

- Już? - zapytała Burgundofara, nie kryjąc zdumienia. Przyznam, że ja także byłem nieco zaskoczony.

Bardzo niedługo. Mam dla was trochę ekwipunku, głównie

żywności. Chcecie jakąś broń oprócz tych noży? Jeśli tak, to ją do was.

A co ty byś radził, kapitanie?

- Moje rady nie mają żadnego znaczenia. To wy wiecie, co będziecie robić tam, w dole, nie ja.

Wobec tego nie biorę żadnej broni - podjąłem decyzję. -

Naturalnie Burgundofara może wziąć, co zechce.

Ja też rezygnuję - pośpieszyła z zapewnieniem.

-

Wobec tego chodźcie ze mną - powiedział kapitan i tym razem

nie było to zaproszenie, lecz rozkaz. Założyliśmy naszymi i podążyliśmy za nim na pokład.

Szalupa śmigła wysoko nad chmurami, które zdawały się kipieć, jakby gotowano je w ogromnym kotle wielkości planety, ale ja od razu poczułem, że dotarliśmy na miejsce. Urth mignęła w dole błę-

kitem, czernią, potem znowu błękitem. Zaciśnięwszy dłonie na lodowato zimnym relingu, wypatrywałem polarnych czap, ale znajdowaliśmy się już zbyt blisko, aby dało się ogarnąć je spojrzeniem. Widziałem tylko czysty lazur mórz, prześwitujący w dziurach między kłębiącymi się chmurami, od czasu do czasu zaś skrawek brązowego lub zielonego lądu.

- To piękna planeta - powiedziałem. - Może nie aż tak piękna jak Yesod, niemniej jednak naprawdę urocza.

Kapitan wzruszył ramionami,

-

Gdybyśmy chcieli, uczynilibyśmy ją lepszą od Yesodu.

- Tak właśnie się stanie - zapewniłem go. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że naprawdę w to wierzę. Zrobimy to, kiedy wystarczająco wielu z nas opuści ją, by potem wrócić.

Obłoki uspokoiły się nieco, jakby jakiś mag wyszeptał odpowiednie zaklęcie albo jakby ujrzały kobiecą pierś odsłoniętą po to, by je zawstydzić i oszołomić. Żagle zostały już dawno zwinięte; marynarze uwijali się po pokładzie i na rejach, upewniając się, że wszystko jest dobrze umocowane i zabezpieczone przed zniszczeniem.

Jak tylko pospieszne przygotowania dobiegły końca, odczuliśmy pierwszy, jeszcze dość słaby podmuch wiatru Urth, a wraz z nim dopadł nas świat dźwięków: maszty zadzwieczyły jak rebeki, a liny zaśpiewały głośno, każda innym głosem.

Zaraz potem szalupa zakołysała się gwałtownie, po czym zanurzyła rufą w atmosferze, tak że oświetlone blaskiem słońca obłoki Urth wzniosły się wysoko nad rufową nadbudówką, natomiast Burgundofara i ja runęliśmy na pokład, trzymając się kurczowo słupków relingu.

Kapitan, który jakby nigdy nie siał z ręką opartą o jeden z fałów, uśmiechnął się i zawołał:

- Ho, ho, a ja myślałem, że przynajmniej ona jest prawdziwym żeglarzem! Pomóż mu wstać, ślicznotko, bo jak nie, to pošlę cię na dół

do kuchni.

Starałem się nie utrudniać zadania Burgundofarze, ona zaś pomagała mi ze wszystkich sił, zgodnie z poleceniem kapitana, dzięki czemu dość szybko zdołaliśmy się podnieść (pokład, choć zupełnie gładki, był pochylony pod niewiarygodnie dużym kątem), a nawet zrobić kilka kroków w kierunku

dowódcy.

- Trzeba sporo pożeglować na takiej małej skorupie, żeby stać się prawdziwym marynarzem - powiedział. - Wielka szkoda, że musimy was tu wysadzić, bo coś mi się widzi, że nadawalibyście się do tej roboty.

Odparłem, że lądowanie na Yesodzie przebiegało nieporównanie łagodniej.

- Bo nie musieliście wytracić w atmosferze tak wielkiego poten cjału - wyjaśnił. - Poza tym, wpadliśmy w nią bez kawałka żagla, prawie z pełną szybkością. Przez jakiś czas lepiej nie zbliżajcie się do relingu, bo pęd powietrza mógłby zedrzeć wam skórę z ciała.

- Przecież mamy nasze naszyjniki...

- Bez nich już teraz usmażylibyście się jak frytki. Jednak jak każde urządzenie, mają określoną wytrzymałość, a ten wiatr... Co prawda powietrze jest tu jeszcze za rzadkie, żeby nim oddychać, ale ma już wystarczająco dużą gęstość, żeby rozgrzać kadłub do białości.

Przez pewien czas rufa żarzyła się jak palenisko pieca, ale potem przygasła, szalupa zaś ustawiła się w bardziej naturalnej pozycji, choć wiatr wciąż wyl w olinowaniu, a chmury uciekały przed nami niczym strzępki piany wyrzucane spod młyńskiego koła.

Kapitan skrył się w nadbudówce, ja zaś poszedłem za nim, aby dowiedzieć się, czy możemy już zdjąć naszyjniki. Pokręcił głową, wskazał reling, z którego zwieszały się teraz sopte lodu, po czym wyjaśnił, że bez otaczającej nas, ochronnej warstwy powietrza nie wytrzymalibyśmy na pokładzie nawet dziesiątej części wachty. Zapytał również, czy nie zwróciłem uwagi, że jest ono coraz bardziej świeże i rześkie.

Odparłem, że owszem, ale byłem pewien, iż ulegam złudzeniu.

- To dlatego, że amulety przyciągają wszystkie cząsteczki powie trza, jakie znajdą się w ich zasięgu, dzięki czemu tu, w górnych warst wach atmosfery, następuje jego ciągła, choć bardzo powolna wymiana.

Nie pojmuję, w jaki sposób szalupa mogła zostawiać ślad wysoko nad chmurami, ale tak właśnie było: za rufą ciągnęła się gruba, biała linia, przecinająca niebo niczym ślad po gigantycznym nożu. Po prostu relacjonuję to, co widziałem, nie starając się tego zrozumieć.

Szkoda, że nie byłem na pokładzie, kiedy odlatywaliśmy z Urth -

odezwała się Burgundofara. - Nawet kiedy dotarliśmy już do dużego statku, zakazali nam wychodzić na zewnątrz do czasu, aż nabierzemy trochę doświadczenia.

I słusznie, bo tylko pętałibyście się pod nogami - odparł ka pitan. - Zazwyczaj stawiamy żagle zaraz po opuszczeniu atmosfery, a to oznacza mnóstwo pracy. Leciałaś naszą szalupą?

Chyba tak.

□ No, proszę: a teraz wracasz w towarzystwie kogoś bardzo ważnego, wymienionego z imienia w rozkazie Tzadkiel. Moje gratulacje.

Burgundofara potrząsnęła głową. Do ochronnego kokonu przedostawało się chyba coraz więcej powietrza, bo jej czarne kędziory poruszały się niemal bez przerwy.

□ Nie mam pojęcia, jak ona mogła się o tym dowiedzieć.

□ Z nią nigdy nie można być niczego pewnym - wtrąciłem.

Niemal zaraz potem uświadomiłem sobie, że tak jak ja jestem wieloma ludźmi w jednym ciele, tak Tzadkiel jest jedną osobą w wielu postaciach.

Kapitan wskazał za rufowy reling, gdzie chmury zgęstniały tak bardzo, iż wydawało się, że lada chwila zaleją pokład niczym wzburzone morze.

- Zaraz zaczniemy się przez nie przebijać. Kiedy będziemy już po drugiej stronie, możecie zdjąć amulety. Tam na pewno nie zamrzniecie.

Na pewien czas wpadliśmy w objęcia mgły. W brązowej książce zabranej z celi Thecli wyczytałem, że mgła oddziela świat żywych od świata zmarłych oraz że istoty zwane przez nas duchami nie są niczym innym jak strzępami tej bariery, upodabniającymi się do mieszkańców jednego z tych światów, a czasem obu.

Nie wiem, czy to prawda, czy nie, ale nie ulega wątpliwości, iż Urth oddziela od czarnej pustki pas takiej właśnie mgły. Wydaje mi się to co najmniej dziwne, ale kto wie, może pokonując granicę między lodowatą nicością a bezpośrednim otoczeniem planety, nic o tym nie wiedząc, przeszliśmy ze świata martwych do świata żywych niczym eteryczne stwory, którym niekiedy także udaje się dokonać tej sztuki?

Rozdział XXVIII

Wioska nad strumieniem

Stojąc oparty o reling i spoglądając w dół, gdzie zielone i rdzawe plamy przeistaczały się stopniowo w lasy, natomiast brązowe smugi w pola uprawne, myślałem o tym, jaki niezwykle widok musielibyśmy przedstawiać dla kogoś, kto by akurat wtedy wyszedł z domu i skierował wzrok ku górze: smukła pinasa, taka jakich wiele cumuje przy kamiennych nabrzeżach w Nessus, spadająca bezgłośnie z nieba.

Przypuszczałem jednak, że nikt nas nie ogląda, gdyż było bardzo wcześnie. O tej porze nawet najmniejsze drzewka rzucają długie cienie, a szkarłatne lisy wracają truchtem z polowania, podobne do pyłków rdzy spływających wraz z kroplami porannej rosy.

- Gdzie jesteśmy? - zapytałem kapitana. - Którędy trzeba iść, żeby dotrzeć do miasta?

- Na północny wschód - odparł, wskazując kierunek wyciągnięta ręką.

Zapasy, które nam przygotował, załadowano do podłużnych worków dorównujących przekrojem średnicy działa lekkiego kalibru. Kapitan osobiście zademonstrował, jak należy je nieść na długim, szerokim pasie przymocowanym do obu końców worka, po czym uściśnął nam dłonie i życzył

powodzenia - wydaje mi się, że życzenia były najzupełniej szczerze.

Z miejsca, gdzie wysoka burta szalupy łączyła się z pokładem, wysunął się srebrny trap.

Burgundofara i ja weszliśmy na niego, a po chwili nasze stopy znowu zetknęły się z powierzchnią Urth.

Zaraz potem odwróciliśmy się (myślę, że nie znalazłby się nikt, kto by tego nie uczynił) i odprowadziliśmy wzrokiem startującą szalupę. Wyprostowała się zaraz po tym, jak jej kil oderwał

się od podłoża, i poszybowała w górę kołysana podmuchami niewyczuwalnego dla nas wiatru. Jak już wspomniałem, zbliżając się do Urth zostawiliśmy za sobą grubą warstwę chmur; jednak szalupa znalazła przerwę w ich

powłoce (wydaje mi się, że po to, byśmy mogli jak najdłużej ją obserwować) i wznosiła się coraz szybciej, wyżej i wyżej, aż wreszcie zmalowała do rozmiarów złocistego punkciku jasno błyszczącego w promieniach słońca. Potem niespodziewanie rozbłysła srebrnym światłem, my zaś bez trudu domyśliliśmy się, że załoga rozwinęła żagle ze srebrzystego metalu, niektóre większe od całkiem sporej wyspy, i że lada chwila mały stateczek zniknie nam z oczu - kto wie, czy nie na zawsze. Odwróciłem głowę, aby Burgundofara nie dostrzegła łez w moich oczach; kiedy wreszcie spojrzałem na dziewczynę, by powiedzieć jej, że powinniśmy już ruszać, przekonałem się, że ona również płakała.

Kapitan powiedział nam, że po to, by dojść do Nessus, musimy podążać na północny wschód; zważywszy na wczesną porę, nie mieliśmy żadnego problemu z ustaleniem kierunku. Przez pół mili, albo może więcej, szliśmy przez skute nocnym przymrozkiem pole, potem weszliśmy do lasu, gdzie

dość szybko natrafiliśmy na strumień, wzdłuż którego biegła wąska, równie jak on kręta ścieżka.

Do tej pory żadne z nas nie odezwało się ani słowem, jednak kiedy Burgundofara zobaczyła wodę, weszła do niej po kolana, nachyliła się, nabrała jej w złożone ręce i uniosła do ust, a zaspokoiwszy pragnienie powiedziała:

-

Teraz wiem, że naprawdę wróciliśmy do domu. Słyszałam, że

przy takich okazjach wieśniacy jedzą chleb z solą.

Odparłem, że ja także słyszałem o tym zwyczaju, choć nigdy nic widziałem, aby ktoś go praktykował.

-

My, marynarze, pijemy wodę wszędzie, gdzie nas los zaprowa

dzi. Chleba i soli mamy zazwyczaj pod dostatkiem, ale woda jest bardzo cenną rzeczą. Po przybyciu w jakieś miejsce sprawdzamy, czy woda nadaje się do picia, a jeśli nie, wówczas przeklinamy ją oraz całą planetę. Czy myślisz, że ten potok wpada do Gyoll?

-- Na pewno, albo do większego strumienia, który się z nią łączy. Chcesz wrócić do swojej wsi.

prawda?

Skinęła głową.

- Pójdiesz ze mną. Severianie?

Pomyślałem o Dorcas, o tym, jak mnie błagała, żebym podążył wraz z nią w dół Gyoll, do starego człowieka i jeszcze starszego domu, który już dawno zamienił się w ruinę.

Zrobię to, jeśli zdołam, ale wątpię, czy będę mógł zostać -

powiedziałem.

Więc zapewne ja odejdę z tobą, ale najpierw chciałabym znowu ujrzeć moją Liti. Na powitanie ucałuję ojca i wszystkich krewnych, na pożegnanie zaś zapewne pchnę go nożem, ale mimo wszystko muszę tam pójść.

Rozumiem.

Liczyłam na to. Gunnie mówiła mi, że właśnie taki jesteś: dużo rozumiesz.

Podczas naszej rozmowy rozglądałem się bacznie dokoła, teraz zaś nakazałem dziewczynie gestem milczenie. Przez może sto oddechów staliśmy bez ruchu, wsłuchując się w szelest gałęzi poruszanych

wiatrem oraz świergot nielicznych ptaków - większość zdążyła już odlecieć na północ. Strumień szemrał

coś sam do siebie.

Co się stało? - zapytała wreszcie szeptem Burgundofara.

Ktoś biegł przed nami. Widzisz te ślady? Wydaje mi się, że należą do chłopca. Obserwował nas, a teraz pobiegł naprzód, przypusz czalnie po to, by sprowadzić starszych.

- Tą ścieżką na pewno chodzi wielu ludzi.

- Był tu dziś rano, kiedy wylądowaliśmy. - Wskazałem jej głąbo ko odcisnięty ślad. - Widzisz, jaki jest ciemny i głęboki? Chłopiec nadszedł od strony pola, tak jak my, i miał stopy mokre od rosy.

Rozmiar jego stopy świadczy o tym, że jeszcze nie jest dorosły, ale jednocześnie porusza się dużymi krokami, więc nie jest też zupełnie mały.

- A ty jesteś bardzo dokładny i spostrzegawczy. O tym też do wiedziałam się od Gunnie. Ja na pewno nie zwróciłabym uwagi na te szczegóły.

- Za to wiesz o statkach i żegludze w przestrzeni tysięcy razy więcej ode mnie, chociaż odbyłem dwie długie międzygwiazdne podróże.

Przez pewien czas należałem do jeźdnego patrolu, więc musiałem nauczyć się czytać ślady.

-

Może powinniśmy pójść w przeciwnym kierunku?

Pokręciłem głową.

- Przybyłem tu po to, by ocalić tych ludzi, a uciekając przed nimi raczej nie zdołam im pomóc.

Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu, aż wreszcie Burgundofara powiedziała cicho:

Nie zrobiliśmy nic złego.

To znaczy nic, o czym oni by wiedzieli - poprawiłem ją. -

Każde z nas ma na sumieniu wiele złych uczynków, mnie natomiast nagromadziło się ich z tysięcy, albo nawet dziesięć tysięcy.

Ponieważ w lesie panowała głęboka cisza, w powietrzu zaś nie czuć było zapachu dymu, przypuszczałem, że od wsi dzieli nas jeszcze co najmniej mila. Tymczasem kiedy minęliśmy ostry zakręt, naszym oczom ukazała się wyludniona osada składająca się z około dziesięciu chałup.

Możliwa uda nam się przemknąć cichaczem? - szepnęła dziewczyna.

- Chyba wszyscy jeszcze śpią.

Możesz być pewna, że nikt nie śpi - odparłem. - Obserwują nas z wnętrza swoich domostw, trzymając się z dala od drzwi, żebyśmy nikogo nie zauważyli.

Musisz mieć dobry wzrok.

Wcale nie. Po prostu znam sposób myślenia takich ludzi, a poza tym wiem, że chłopiec zdążył uprzedzić ich o naszym nadejściu. Jeśli teraz spróbujemy przejść jakby nigdy nic przez środek osady, zaatakują nas od tyłu widłami i siekierami. - Postąpiłem krok naprzód, podniosłem do ust złączone dłonie i wykrzyknąłem: - Ludzie, słuchajcie!

Jesteśmy bezbronnymi wędrowcami! Nie mamy pieniędzy, nie żywimy złych zamiarów! Prosimy tylko, żebyście pozwolili nam skorzystać ze ścieżki!

W ciszy coś jakby się poruszyło, ale nikt nam nie odpowiedział. Skinąłem na Burgundofarę, żeby robiła to samo co ja, i ruszyłem naprzód; niemal natychmiast z najbliższej chałupy wyszedł około pięć-

dziesięcioletni mężczyzna z brązową brodą poprzetykaną pasmami siwizny. W ręku trzymał cep.

- Zapewne jesteś hetmanem tej wioski - zwróciłem się do niego.

go. - Dziękujemy ci za gościnność. Jak już powiedziałem, przybywamy w pokoju.

Wpatrywał się we mnie w milczeniu. Zaczęły mnie już ogarniać niemiłe skojarzenia z pewnym człowiekiem w murarskim fartuchu, którego spotkałem w Thraksie, ale na szczęście brodacz wreszcie przemówił;

Herena twierdzi, że przybywacie ze statku, który spadł z nieba.

Jakie to ma znaczenie, skąd przybywamy? Jesteśmy spokojnymi

—

wędrowcami. Prosimy tylko o to, żebyście pozwolili nam przejść przez waszą wioskę.

Dla mnie to ma znaczenie. Herena jest moją córką. Muszę wiedzieć, czy kłamie, czy mówi prawdę.

Jak widzisz, jednak nie jestem nieomylny - szepnąłem do

Burgundofary.

Uśmiechnęła się, choć nie ulegało wątpliwości, że bardzo się boi.

-
Musiałbyś być głupcem, hetmanie, gdybyś uwierzył słowu nie

znajomego, a nie własnej córce. - Kątem oka dostrzegłem dziewczynę, która zbliżyła się do otwartych drzwi chałupy, by lepiej nas słyszeć. -

Wyjdź, Hereno. Nie zrobimy ci nic złego.

Była wysoka, miała jakieś piętnaście lat, długie brązowe włosy oraz skurczone, jakby zasuszone ramię, niewiele większe od ramienia niemowlęcia.

-
Dlaczego nas śledziłaś?

Powiedziała coś, czego nie zrozumiałem.

-
Nikogo nie śledziła - warknął ojciec. - Zbierała orzechy. To dobre dziecko.

Czasem, choć zdarza się to bardzo rzadko, spoglądamy na coś, co widzieliśmy setki razy i nagle widzimy tę rzecz tak, jakbyśmy ujrzeli ją po raz pierwszy. Kiedy ja, nadąsana Thecla, rozstawiała m sztalugi w pobliżu malowniczego wodospadu, mój nauczyciel zawsze powtarzał mi, bym starała się zobaczyć go na nowo. Nie rozumiałam, co ma na myśli, w końcu zaś doszłam do wniosku, że nic, że to tylko intrygujące, choć puste słowa. Teraz ujrzałem skurczone ramię Hereny nie jako trwałą deformację, lecz jako zwykłą pomyłkę, dającą się łatwo naprawić kilkoma maźnięciami pędzla.

-
Musi być jej trudno... - zaczęła Burgundofara, lecz chyba przestraszyła się, że może urazić hetmana lub jego córkę, gdyż za wiesiła głos, po czym dokończyła niezręcznie: - ...wstawać tak wcześnie.

-
Mogę wyleczyć jej ramię, jeśli sobie życzysz - powiedziałem.

Hetman otworzył usta, a następnie zamknął je, nie wydając żadnego dźwięku. Wyraz jego twarzy nie zmienił się ani trochę, lecz w oczach mężczyzny dostrzegłem lęk.

Chcesz tego? - zapytałem wprost.

-

Tak... Tak, oczywiście.

Czułem na sobie ciężar jego spojrzenia, a także ciężar spojrzeń ukrytych mieszkańców wioski,

-

Musi pójść ze mną - oświadczyłem. - To nie potrwa długo.

Nie odejdziemy daleko.

Powoli skinął głową.

- Hereno, pójdziesz z tym panem. - (Nagle uświadomiłem sobie, jak oszałamiające wrażenie musiał wywrzeć na tych prostych ludziach strój, który zabrałem z kajuty.) - Bądź posłuszna i pamiętaj, że ja i twoja matka zawsze...

Odwrócił się gwałtownie.

Szliśmy z powrotem ścieżką tak długo, aż wioska zniknęła nam z oczu, po czym zatrzymaliśmy się na niewielkiej polanie. Kazałem dziewczynie zdjąć obszarpany chałat, a ona bez słowa protestu ściągnęła go przez głowę.

Wydawało mi się, że szkarłatnożółte liście oraz jej różowobrazowe ciało należą do jakiegoś soczyście kolorowego mikrokosmosu, któremu przyglądam się przez dziurkę od klucza. Śpiew ptaków oraz szmer płynącej wody docierały do mnie z wielkiej oddali, niczym dźwięki instrumentów z orkiestronu na położonym hen, daleko w dole dziedzińcu.

W chwili gdy dotknąłem barku Hereny, rzeczywistość przeistoczyła się w glinę, dającą się dowolnie modelować i przekształcać. Kilkoma ruchami uformowałem nowe ramię stanowiące zwierciadlane odbicie zdrowego. Łza, która spłynęła mi na rękę, była tak gorąca, że aż parzyła; dziewczyna drżała jak osika.

-

Gotowe - oznajmiłem wreszcie. - Ubierz się.

Otworzyłem drzwi i wróciłem do jej mikrokosmosu, on zaś znowu stał się dla mnie prawdziwym światem.

Odwróciła się twarzą do mnie i uśmiechnęła, choć na jej policzkach widać było wyraźne ślady łez.

Kocham cię, sieur - szepnęła, po czym uklękła i pocałowała czubek mego buta.

Czy mogę zobaczyć twoje ręce? - zapytałem.

Chyba sam nie bardzo wierzyłem, że udało rni się dokonać czegoś takiego.

Wyciągnęła je przed siebie.

-

Teraz wywiozą mnie daleko stąd, żebym pracowała jak niewolnica.

ale to nic nie szkodzi. Albo nie: ucieknę w góry, a tam nikt mnie nie znajdzie.

Przyglądałem się jej rękom, które wydawały mi się doskonałe w każdym szczególe, nawet kiedy je złączyłem. Bardzo rzadko się zdarza, żeby ktoś miał obie ręce takiej samej wielkości i kształtu, gdyż zazwyczaj ta, którą posługujemy się częściej, jest trochę większa i ma bardziej zniszczoną skórę.

-

Kto cię wywiezie, Hereno?

- Poborczy podatkowi, ma się rozumieć.

Tylko dlatego, że masz teraz dwa zdrowe ramiona?

Dlatego, że teraz ze mną wszystko w porządku. - Spojrzała

na mnie z niepokojem. - Bo chyba tak jest, prawda?

Nie miałem czasu na filozoficzne rozważania.

- Oczywiście. Jesteś bardzo atrakcyjną, piękną młodą kobietą.

- Wobec tego na pewno mnie wezmą. Czy dobrze się czujesz?

- Trochę mi słabo, to wszystko. Za chwilę wrócę do siebie.

Otarłem czoło skrajem płaszcza, tak jak często czyniłem będąc jeszcze katem.

- Nie wyglądasz najlepiej.

Mam wrażenie, że twoje nowe ramię powstało głównie za sprawą energii drzemiącej w Urth. Najpierw jednak energia ta musiała przepłynąć przeze mnie i całkiem możliwe, iż przy okazji zabrała mi nieco sił życiowych.

Znasz moje imię, panie, a jak ty się nazywasz?

Severian.

- Przyrządę ci posiłek w domu mego ojca. Zostało nam jeszcze trochę jedzenia.

Ruszyliśmy w kierunku wioski, a wiatr, który zerwał się właśnie w tej chwili, poderwał w górę całun złotobrzozowych liści.

Wśród mieszkańców wioski

Moje życie obfitowało w troski i triumfy, brakowało w nim natomiast przyjemności, może poza tymi najzwyczajniejszymi i dobrze znanymi każdemu z nas, to znaczy miłością, snem, świeżym powietrzem i smacznym jedzeniem. Do największych, jakie mnie spotkały, zaliczam tę, której doznałem na widok wyrazu twarzy hetmana, kiedy zobaczył nowe ramię córki. Na obliczu mężczyzny pojawiła się tak zdumiewająca mieszanka zaskoczenia, strachu i radości, że chętnie osobiście ogoliłbym mu brodę, byle tylko móc lepiej się przyjrzeć. Odniosłem wrażenie, iż Herena bawi się nie gorzej ode mnie; szybko jednak nasyciła się widokiem oniemiałego ojca, podbiegła do niego, uściskała go ze wszystkich sił, powiedziała, że obiecała nam posiłek, po czym znikła w chacie, by podzielić się swoją radością z matką.

Jak tylko my także weszliśmy do środka, lęk mieszkańców wioski ustąpił miejsca zaciekawieniu.

Kilku najodważniejszych mężczyzn również wcisnęło się do chaty i usiadło przy ścianie za naszymi plecami. Zajęliśmy miejsca na miękkich matach wokół niewielkiego stołu, na którym żona hetmana, ani na chwilę nie przestając płakać ze szczęścia, ustawiła poczęstunek. Pozostali tubylcy zerkali przez otwarte na oścież drzwi lub podglądali nas przez szczeliny w pozbawionych okien ścianach.

Uczta składała się z kukurydzianych ciastek, nieco zmarzniętych jabłek, wody oraz dwóch zajęczych combrów - ugotowanych, zamarynowanych, nasolonych i podanych na zimno. Stanowiły one chyba nie lada przysmak, ponieważ milczący obserwatorzy dosłownie pożerali je wzrokiem, kilku zaś ocierało kapiącą im z ust ślinę. Nikt z rodziny hetmana, ani nawet on sam, nie nałożyli sobie ani kawałka mięsa.

Nazwałem ten poczęstunek ucztą, ponieważ ci ludzie uważali go za ucztę, ale w porównaniu z nim nawet skromny marynarski obiad, który spożyliśmy na pokładzie szalupy zaledwie kilka wacht wcześniej, można było uznać za wystawny bankiet.

Przekonałem się, że wcale nie jestem głodny, choć odczuwałem ogromne zmęczenie i bardzo chciało mi się pić. Zjadłem ciastko i skubnąłem nieco mięsa, popijając to wielką ilością wody, po czym uznałem, że w tym ubogim domostwie najlepszym sposobem okazania wdzięczności będzie pozostawienie gospodarzom większej części jedzenia, i zabrałem się do łupania orzechów. Hetman uznał to chyba za znak, iż zakończyłem posiłek, i wreszcie przemówił:

- Jestem Bregwyn. Nasza wioska nazywa się Vici. To jest Cinnia, moja żona. a to Herena, moja córka. Ta kobieta - wskazał ruchem głowy Burgundofarę - twierdzi, że jesteś dobrym człowiekiem.

Nazywam się Severian. Ta kobieta to Burgundofara. Jestem złym człowiekiem, który próbuje stać się dobrym.

Tutaj, do Vici, dociera niedużo wieści z szerokiego świata.

Może zechciałbyś opowiedzieć, co sprawiło, że zjawiłeś się w naszej wiosce?

Odniosłem wrażenie, iż zadał mi to pytanie wyłącznie dlatego, że starał się być uprzejmy, niemniej jednak zawahałem się przed udzieleniem odpowiedzi. Łatwo mógłbym go zbyć jakąś wymyśloną naprędce historią albo powiedzieć po prostu, że staramy się dotrzeć do domu Burgundofary położonego nad brzegiem wielkiego Oceanu, co zresztą nie byłoby do końca kłamstwem, ale czy miałem do tego prawo? Przecież nie tak dawno sam oświadczyłem Burgundofarze, że po to, by ocalić tych ludzi, odbyłem podróż na koniec wszechświata. Popatrzyłem na zalęknioną, wychudzoną żonę hetmana, na milczących mężczyzn o zmierzwionych brodach i spracowanych rękach. Czy miałem prawo traktować ich jak dzieci?

- Ta kobieta pochodzi z Liti odparłem. - Może wiecie, jak tam dojść?

Bregwyn pokręcił głową.

- Mieszkają tam sami rybacy, a ona pragnie do nich wrócić. - Nabrałem pełne płuca powietrza. Ja zaś... - Hetman zawisł wzrokiem na moich ustach i bezwiednie pochylił się do przodu. - Udało mi się pomóc Herenie. Sprawilem, że jest taka, jaka być powinna. Wiecie o tym.

- Jesteśmy ci wdzięczni.

Burgundofara dotknęła lekko mojego ramienia. Spojrzałem na nią: wyraz jej oczu ostrzegł mnie, że wkraczam na niebezpieczną ścieżkę.

Doskonale zdawałem sobie z tego sprawę.

-

Urth nie jest taka, jaka być powinna.

Hetman, a także mężczyźni stłoczeni przy ścianach chaty, przysunęli się do mnie. Kilku skinęło głowami,

- Przybyłem tu, by ją także naprawić.

Śnieg spadł, kiedy jeszcze zboże stało niedojrzałe na polu -

odezwał się jeden z wieśniaków. Mówił powoli i z wysiłkiem, jakby słowa nie chciały przejść mu przez gardło. Tym razem wielu pokiwało głowami, ten zaś, który siedział tuż za hetmanem, a więc dokładnie naprzeciwko mnie, powiedział:

Ludzie z nieba gniewają się na nas.

To nieprawda - zaprzeczyłem. - Ludzie z nieba, to znaczy

hierodule i hierarchowie, wcale nie żywią do nas urazy, natomiast trzymają się od nas z dala, a to ze strachu przed nami, ponieważ pamiętają nasze uczynki sprzed wielu wieków, kiedy jeszcze nasza

rasa była bardzo młoda. Odwiedziłem ich. - Spoglądałem na pozbawione wyrazu twarze wieśniaków, zastanawiając się, czy choć jeden z nich uwierzy moim słowom. - Załagodziłem konflikt, jaki między nami powstał. Sprawilem, że oni zbliżyli się do nas, a my do nich - w każdym razie, tak mi się przynajmniej wydaje - oni zaś wysłali mnie z powrotem na Urth.

Nocą, kiedy ułożyliśmy się do snu w chacie hetmana (którą, mimo moich sprzeciwów, on i jego rodzina zostawili do naszej dyspozycji), Burgundofara powiedziała:

- Prędzej czy później zabiją nas oboje.
- Odejdziemy z samego rana - zapewniłem ją.

- Nie pozwolą nam - odparła.

Jak się okazało, w pewnym sensie oboje mieliśmy rację. Co prawda wyruszyliśmy w drogę, ale nie sami, ponieważ mieszkańcy Vici powiedzieli nam o innej wiosce, Gurgustii, odległej o kilka mil, i podążyli tam z nami. Kiedy dotarliśmy na miejsce, Herena zademonstrowała swoje całkowicie zdrowe ramię, które wzbudziło sporą sensację, my zaś (nie tylko ja i Burgundofara, lecz także Herena, Bregwyn i cała reszta) zostaliśmy podjęci poczęstunkiem bardzo podobnym do tego z minionego ranka, tyle że miejsce zajęcy zajęły świeże ryby.

Później powiedziano mi o pewnym dobrym człowieku, cieszącym się szacunkiem mieszkańców Gurgustii, który poważnie zachorował. Odparłem, że nie mogę niczego obiecać, ale chętnie zbadam go i pomogę mu, jeśli tylko będzie to w mojej mocy.

Chata chorego sprawiała wrażenie równie starej jak on sam i jak on cuchnęła chorobą oraz śmiercią. Wyprosiłem wszystkich, którzy weszli za mną do ciasnego wnętrza, a kiedy niechętnie zastosowali się do mego rozkazu, wyciągnąłem z kąta jakiś zleżały materac i zasłoniłem nim wejście.

W chacie zrobiło się tak ciemno, że tylko z największym trudem mogłem dostrzec chorego mężczyznę.

Pochyliwszy się nad nim pomyślałem, że jednak moje oczy przyzwyczyły się już trochę do ciemności, ale nie miałem racji; to nie ja widziałem lepiej, tylko w pomieszczeniu z każdą chwilą robiło się coraz widniej. Po ciele chorego pełzał jakby słaby płomień, przemieszczający się wraz z moim spojrzeniem. W

pierwszej chwili pomyślałem, iż źródłem niezwykłego blasku jest cierń ukryty w skórzanym woreczku, który Dorcas uszyła dla mnie wtedy, kiedy jeszcze posiadałem Pazur, choć od razu wydało mi się mało prawdopodobne, by mógł świecić aż tak intensywnie, zasłonięty dodatkowo koszulą. Po to, by się upewnić, rozwiązałem woreczek i wydobyłem cierń; był tak samo ciemny i martwy jak wówczas, gdy usiłowałem za jego pomocą rozjaśnić mrok wypełniający korytarz za drzwiami mej kabiny, więc niezwłocznie schowałem go z powrotem.

Chory otworzył oczy. Skinąłem mu głową i spróbowałem się uśmiechnąć.

- Czy przyszedłeś, żeby mnie zabrać? - zapytał głosem cichszym od najcichszego szeptu.

Nie jestem Śmiercią, choć często mnie z nią mylono - od

parłem.

- Ja także wziąłem cię za nią. Siemur. Spoglądasz na mnie tak życzliwie...

Czyżbyś pragnął umrzeć? Mogę spełnić twoje życzenie, jeśli tylko je wyrazisz.

Tak, chcę umrzeć, skoro nie mogę być zdrowy - wyszeptał

i zamknął oczy.

Odchyliłem ręcznie tkane koce, którymi był przykryty, i przekonałem się, że leżał pod nimi zupełnie nagi. Cały prawy bok był opuchnięty:

guz usadowiony tuż poniżej żeber miał wielkość głowy niemowlęcia. Usunąłem go, przesuwając go po nim palcami, przez które płynęła siła Urth.

Nagle w chacie znowu zrobiło się ciemno, ja zaś przekonałem się, że siedzę na klepisku i wsłuchuję się w oddech chorego. Kiedy wreszcie podniosłem się na nogi - nie wiem, ile minęło czasu, ale wydawało mi się, że bardzo dużo - stwierdziłem, iż chwieję się jak pijany i zbiera mi się na mdłości. Tak samo czułem się zaraz po ścięciu Agilusa. Odciągnąłem materac na bok i wyszedłem przed chatę, gdzie natychmiast wpadłem w objęcia Burgundofary.

- Dobrze się czujesz?

Odparłem, że owszem, po czym zapytałem, czy moglibyśmy gdzieś usiąść. Potężnie zbudowany mężczyzna o donośnym głosie (przypuszczam, że jeden z krewnych chorego) utorował sobie łokciami drogę przez tłum, domagając się odpowiedzi na pytanie, czy Declan - a więc tak brzmiało imię chorego człowieka - będzie żył. Powiedziałem mu, że nie wiem, a jednocześnie uparcie przepychałem się w kierunku wskazanym przez Burgundofarę. Było już po nonach i zrobiło się dość ciepło, jak czasem bywa w takie jesienne dni. Gdybym czuł się lepiej, być może rozbawiłby mnie widok podekscytowanych, spoconych z przejęcia wieśniaków; wśród takiej właśnie publiczności zasialiśmy panikę podczas zorganizowanego przez doktora Talosa przedstawienia przy Krzyżu Ctesiphona. Ja jednak czułem się paskudnie, a woń ich ciał z każdą chwilą stawała się coraz bardziej nieznośna.

- Powiedz mi! - ryknął mi prosto w twarz postawny mężczyzna.

na. - Czy on przeżyje?

Zatrzymałem się i spojrzałem mu w oczy.

- Przyjacielu, jeśli uważasz, że mam obowiązek odpowiadać na twoje pytania tylko dlatego, że przyjąłem od was zaproszenie na po częstunek, to jesteś w grubym błędzie!

Natychmiast został odciągnięty do tyłu i chyba powalony na ziemię; w każdym razie wydaje mi się,

że usłyszałem odgłos uderzenia.

Herena wzięła mnie za rękę i poprowadziła przez tłum, który rozstał się przed nami, tworząc wąską alejkę, aż do rozłożystego drzewa. Usiedliśmy pod nim na gładkiej, udeptanej ziemi. Z pewnością tam właśnie odbywały się spotkania wioskowej starszyny.

Jakiś kłaniający się w pas człowiek zapytał, czy czegoś potrzebuję.

Poprosiłem o wodę i zaraz potem otrzymałem cały jej dzban; była tak czysta i świeża, że prawdopodobnie dopiero przed chwilą została zaczerpnięta ze strumienia. Przyniesiono także kubek, który, po zaspokojeniu pragnienia, podałem najpierw Herenie, potem zaś Burgundofarze.

Zjawił się hetman Gurgustii. Skłonił się do samej ziemi, po czym wskazał na Bregwyna i przemówił:

- Mój brat powiedział mi, że przybyleś do jego wioski na pokładzie statku, który żeglował

wśród obłoków, oraz że zjawiłeś się na Urth, by pojednać nas z niebieskimi mocami. Od dawna czcimy je ofiarnym ogniem, one jednak wciąż gniewają się na nas i zsyłają mróz. Ludzie w Nessus powiadają, że słońce stygnie...

- Jak daleko jest do Nessus? - przerwała mu Burgundofara.

- Następną wioska nazywa się Os, czcigodna pani. Stamtąd będzie jeszcze dzień drogi łodzią.

-

A w Nessus wynajmiemy następną, która zawiezie nas do Liti! - szepnęła mi do ucha.

- Mimo to nasz władca pobiera od nas takie same podatki jak

przedtem, a kiedy nie możemy dać mu zboża, zabiera nam dzieci.

Składamy ofiary na szczycach gór, tak jak czynili nasi ojcowie. Przed nadejściem mrozów zarzuciliśmy i spaliliśmy najpiękniejszego barana, ale na nic to się nie zdało. Co powinniśmy zrobić?

Zacząłem im wyjaśniać, że hierodule obawiają się nas, ponieważ dawno temu, w czasach świetności Urth, rozprzestrzeniliśmy się po wielu planetach, niosąc wszędzie śmierć i zniszczenie.

-

Musimy znowu się zjednoczyć - oświadczyłem. - Musimy

mówić tylko prawdę i dotrzymywać obietnic. Musimy dbać o Urth tak samo, jak każdy z was dba o swoje pole.

Hetman oraz kilku innych pokiwało głowami na znak, że rozumieją. Może zresztą naprawdę zrozumieli - jeśli nie wszystko, to przynajmniej część tego, co do nich mówiłem.

Nagle powstało jakieś zamieszanie, rozległy się okrzyki i radosne szlochanie. Ci, którzy zdążyli usiąść, zerwali się na nogi, ale ja byłem zanadto zmęczony, aby to uczynić. Wrzawa jeszcze przybrała na sile, po czym tłum rozstał się i pod drzewo przyprawiono chorego mężczyznę. Nadal był nagi

tylko wokół bioder miał obwiązaną jakąś mocno wymiętą szmatę.

To jest Declan - poinformował mnie ktoś z zebranych.

Declan, opowiedz panu, jak to się stało, że wydobrzałeś.

Powiedział coś tak cicho, że nie rozumiałem ani słowa, dałem więc znak, by wszyscy umilkli.

Kiedy leżałem na łożu śmierci, obok mnie zjawił się nagle anioł

odziany w świetlistą szalę. - W tłumie rozległy się chichoty, a paru wieśniaków trąciło się porozumiewawczo łokciami. - Zapytał mnie, czy pragnę umrzeć, ja zaś powiedziałem mu, że chcę żyć. Potem zaś spałem, a kiedy się obudziłem, byłem już wyleczony.

Odpowiedział mu gromki wybuch śmiechu.

□ To sieur cię wyleczył, głupku! - posypały się okrzyki.

□ On był tam, w środku, nie zaden z was! - ryknąłem. - Jesteście głupcami twierdząc, że wiecie o czymś więcej i lepiej niż naoczny świadek!

Ten wybuch gniewu stanowił następstwo wielu dni, które spędziłem w Thraksie przysłuchując się rozprawom, a także - lub może przede wszystkim - tych jeszcze liczniejszych, podczas których sam wydawałem wyroki jako Autarcha.

Co prawda Burgundofara nalegała, byśmy niezwłocznie wyruszyli w drogę do Os. ale ja byłem zanadto zmęczony, żeby zastosować się do jej życzenia. Nie miałem jednak zamiaru spędzić kolejnej nocy w ciasnej i dusznej chacie, więc powiedzieliśmy mieszkańcom Gurgustii, że ułożymy się do snu tu, pod drzewem, oni zaś niech przygotują w swych domostwach miejsce dla tych, co przyszedli z nami z Vici. Posłuchali nas, ale obudziwszy się w nocy, ujrzałem Herenę śpiącą razem z nami pod drzewem.

Rozdział XXX

Ceryx

Kiedy opuszczaliśmy Gurgustii, okazało się, że wielu jej mieszkańców pragnie iść z nami, podobnie jak kilku spośród tych, którzy towarzyszyli nam od Vici. Stanowczo im tego zakazałem, ponieważ nie chciałem podróżować w otoczeniu honorowej asysty, niczym jakaś relikwia.

Początkowo bardzo protestowali, ale przekonawszy się, że ani myślę ustąpić, poprzestali na drugich, wymyślnych podziękowaniach oraz na złożeniu darów: bogato zdobionej laski dla mnie (wykonali ją w ogromnym pośpiechu dwaj najlepsi miejscowi specjaliści), kolorowej wełnianej chusty dla Burgundofary (z całą pewnością był to najcenniejszy fragment kobiecego stroju, jaki widziałem w trakcie pobytu w obu wioskach) oraz kosza z jedzeniem dla nas obojga. Żywność zjedliśmy bardzo szybko, kosz wrzuciliśmy do strumienia, zatrzymaliśmy natomiast pozostałe dary; laska przypadła mi do gustu, a dodatkowo okazała się bardzo przydatna podczas marszu, Burgundofara zaś była wręcz zachwycona chustą, która dodała kobiecego wdzięku jej siermiężnemu marynarskiemu strojowi. O zmierzchu, tuż przed zamknięciem bram, dotarliśmy do niewielkiego miasteczka Os.

Strumień, wzdłuż którego przez cały czas szliśmy, tam właśnie wpadał do Gyll. przy kamiennym nabrzeżu kołysały się zaś szebeki, galeony i feluki. Chcieliśmy porozmawiać z ich dowódcami, wszyscy jednak zeszli na ląd w interesach lub w poszukiwaniu przyjemności: wachtowi zgodnie twierdzili, iż wrócą dopiero nad ranem. Jeden z nich polecił nam gospodę zwaną Pełna Miska. Udaliśmy się we wskazanym kierunku, a po drodze spotkaliśmy mężczyznę odzianego w zielono-purpurowy strój, stojącego na przewróconej do góry dnem balii i przemawiającego do około stuosobowej publiczności:

- ...zakopane skarby! Odnajduję wszystko, co ukryte! Jeśli w krzakach siedzą trzy ptaki, ten trzeci nie ma pojęcia o pierwszym, a ja

wiem o wszystkich trzech! Powiadam wam, w tej chwili, kiedy do was mówię, pod poduszką naszego mądrego, potężnego monarchy leży zagubiony pierścień... Dziękuję ci, dobra kobieto. O co chcesz mnie zapytać? Ja wiem już teraz, ma się rozumieć, ale zadaj pytanie na głos, aby mogli je usłyszeć także ci poczciwi ludzie. Zaraz potem udzielę ci odpowiedzi. Schował do kieszeni kilka aes, które wręczyła mu otyła kobieto.

-

Chodźmy - ponagliła mnie Burgundofara . - Chętnie bym

usiadła i coś zjadła.

- Zaczekaj- odparłem.

Postanowiłem zostać jeszcze chwilę, częściowo dlatego, że naciągacz przemawiał w sposób, który przywiódł mi na myśl doktora Talosa, przede wszystkim zaś, ponieważ wyraz jego oczu był niemal taki sam jak wyraz oczu Abundantiusa. Istniała też jeszcze jedna, znacznie ważniejsza przyczyna, choć nie jestem pewien, czy będę w stanie ją dokładnie wyłuszczyć. Otóż wyczuwałem

podświadomie, że człowiek ten ma za sobą długą wędrówkę, że obaj wróciliśmy z podróży, której nie dane było odbyć nawet Burgundofarze, oraz że choć ja i on odwiedziliśmy różne miejsca i przywieźliśmy różne zdobycze, to naszym udziałem stały się bardzo podobne doświadczenia.

Otyła kobieta wymamrotała coś niewyraźnie, oszust zaś wykrzyknął donośnym głosem:

- Ta oto niewiasta pragnie wiedzieć, czy jej mąż znajdzie nowe miejsce dla swojej łaźni i czy to przedsięwzięcie przyniesie im obojgu spodziewane zyski!

Następnie chwycił oburącz coś w rodzaju wyjątkowo długiej różdżki i podniósł ją nad głowę. Co prawda, miał otwarte oczy, ale odwrócił je białkami na wierzch, w związku z czym sprawiał

wrażenie, jakby w jego oczodołach błyszczały dwa gotowane jajka. Uśmiechnąłem się, oczekując, że tłum nagrodzi ten popis wybuchem wesołości, lecz w tej ślepej, pełnej wewnętrzznego napięcia postaci było coś groźnego, dlatego zapadła cisza tak głęboka, że słyszałem chłupot wody w rzece i westchnienia wieczornego wiatru, choć wiał tak słabo, że nawet nie był w stanie poruszyć moimi włosami.

Nagle oszust opuścił ramiona, a w miejscu ślepych białek pojawiły się błyszczące, przenikliwe oczy.

-

Odpowiedź na oba pytania brzmi: tak! Nowa łaźnia stanie nie

dalej niż pół mili od miejsca, gdzie teraz się znajdujemy!

- Wielka sztuka! - szepnęła mi do ucha Burgundofara. - Całe

miasteczko ma najwyżej milę średnicy.

- Osiągnięcie dzięki niej dochody wielekroć większe niż ze sta rej - obiecał kobiecie hochsztapler. - Ale teraz, przyjaciele, zanim zadacie mi kolejne pytanie, chciałbym wam coś powiedzieć. Otóż przypuszczacie zapewne, że wygłosiłem przepowiednię w zamian za pieniądze, które dostałem od tej zacnej kobiety. - Wyjął z kieszeni kilka aes, wziął szeroki zamach i cisnął je wysoko w ciemniejące niebo.

- Otóż mylicie się, przyjaciele! Oto one!

Odniosłem wrażenie, że w tłum spadło znacznie więcej monet, niż otrzymał od kobiety. Powstało zamieszanie, kiedy ludzie rzucili się zbierać pieniądze.

- W porządku, chodźmy - powiedziałem. Burgundofara potrząsnęła głową.

Chcę wysłuchać go do końca.

Nadeszły złe czasy, przyjaciele! Jesteście spragnieni cudów, cza rodzieskich leków i jabłek rosnących na sosnach! Nie dalej jak tego popołudnia dowiedziałem się o jakimś wydrwigroszu, który

odwiedza wioski nad Fluminis i podąża w tę stronę. - Jego wzrok zetknął się z moim. - Wiem, że już tu dotarł. Wzywam go, aby wystąpił naprzód i stanął ze mną do pojedynku, pojedynku magii! Chodź tu, kolego!

Chodź do Ceryxa!

Tłum zafalował, ja zaś tylko uśmiechnąłem się i pokręciłem głową.

Ceryx wycelował we mnie wskazujący palec.

- Czy wiesz, co to znaczy ćwiczyć wolę tak długo, aż przypomina sztabę żelaza? Czy wiesz, co to znaczy traktować własną duszę tak, jakby była twoim niewolnikiem? Podążać bezustannie ku celowi tak odległemu, że wydaje się, iż nie sposób go osiągnąć?

Ponownie pokręciłem głową.

- Odpowiedz! Niech wszyscy cię usłyszą.

- Nie - rzekłem. - Nigdy nie robiłem żadnej z tych rzeczy.

A jednak trzeba je robić, jeśli chce się zagarnąć berło Pra stwórcy!

Nic nie wiem o zagarnianiu żadnego berła. Jeśli mam być szczerzy, to wydaje mi się, że nie da się tego osiągnąć. Skoro pragniesz stać się równym Prastwórcy, spróbuj powtórzyć jego dokonania, ale w cała

kowicie odmienny sposób.

Wziąłem Burgundofarę za rękę i pociągnąłem za sobą. W chwili kiedy mijaliśmy wąską boczną alejkę, laska, którą podarowano mi w Gurgustii, pękła z głośnym trzaskiem. Cisnąłem do rynsztoka część, która została mi w ręku, po czym kontynuowaliśmy wspinaczkę prowadzącą stromo w górę ulicą, aż wreszcie dotarliśmy do Pełnej Miski.

Gospoda wywarła na mnie korzystne wrażenie, być może dlatego, że goście wypełniający tłumnie główną salę nie tylko pili, ale i zajadali ze smakiem przeróżne potrawy. Gospodarz pochylił się nad barem w naszą stronę, ja zaś zapytałem, czy możemy liczyć na kolację i cichy pokój.

- Oczywiście, sieur. Naturalnie ani jedno, ani drugie nie będzie wystarczająco dobre dla tak szlachetnie urodzonego pana, ale lepszych nie znajdziesz w całym Os.

Dałem mu jedno z chrisos Idas. Przez jakiś czas wpatrywał się w monetę, jakby nie dowierzał

własnym oczom, potem zaś powiedział:

- Naturalnie, sieur. Oczywiście. Rano przyniosę ci resztę. Może chciałbyś otrzymać wieczerzę do pokoju?

Pokręciłem głową.

- A więc przy osobnym stole, jak rozumiem. Zapewne z dala od drzwi, kuchni i baru. nieprawdaż?
Proszę, sieur - tam, ten stół nakryty obrusem. Czy będzie dla ciebie odpowiedni?

Zapewniłem go, że tak.

-

Proponujemy duży wybór świeżutkich ryb, prosto z rzeki. Nasza zupa rybna słynie w całej okolicy. Oprócz tego mamy solę i łososa, wędzone lub solone, a jeśli szlachetny pan woli coś z mięs, to także jest w czym wybierać: dziczyzna, wołowina, baranina, cielęcina, drób...

Postanowiłem przerwać jego przemowę.

Słyszałem, że w tej części kraju coraz trudniej o żywność.

Istotnie, sieur. To przez nieurodzaj, już trzeci rok z rzędu.

Chleb jest bardzo drogi - naturalnie nie dla ciebie, sieur, ale dla ubogich. Wiele dzieci pójdzie dziś spać z pustym brzuchem, więc cieszymy się, że nas to nie dotyczy.

- Macie świeżego łososa? - zapytała Burgundofara.

- Tylko na wiosnę, szanowna pani. Wtedy odbywają wędrówkę w górę rzeki. Teraz można by je chytać tylko w morzu, a to daleko stąd i nie wytrzymałyby transportu.

-

Wobec tego daj mi solonego.

Na pewno będzie ci smakował, pani. Zaledwie trzy miesiące

temu osobiście oparłem go i nasoliłem w naszej kuchni. Nie za przątajcie sobie głowy chlebem, owocami i innymi dodatkami; przy niesiemy wam wszystko, a wy wybiercie, co przypadnie wam do gustu. Mamy nawet banany z dalekiej północy, choć z powodu walk z rebeliantami są bardzo drogie. Wino białe czy czerwone?

Chyba czerwone, naturalnie jeśli możesz je nam polecić.

Polecam wszystkie nasze wina, pani. Nie trzymałbym w piwnicy takiego, którego musiałbym się wstydzić.

Wobec tego, niech będzie czerwone.

- Oczywiście, szlachetna pani. A co dla ciebie, sieur?

Zaledwie chwilę wcześniej powiedziałbym mu, że nie jestem głodny.

teraz jednak poczułem, jak na samą myśl o jedzeniu ślina napływa mi do ust.

- Może bażanta, sieur? Właśnie złapał się w sidła wyjątkowo dorodny okaz.

W porządku. Ale zamiast wina chcę matę. Czy to możliwe?

Oczywiście, sieur.

Wobec tego chętnie się jej napiję. Minęło sporo czasu od chwili, kiedy po raz ostatni miałem ją w ustach.

Czy życzysz sobie czegoś jeszcze, sieur?

Jutro będziemy chcieli zjeść dość wczesne śniadanie, bo zamie rzamy udać się na przystań i wynająć łódź, która zawiezie nas do Nessus. Możesz mi wtedy wydać resztę.

Dostaniesz ją, sieur, a także smaczne śniadanie: kiełbasę na gorąco, szynkę i...

Machnąłem ręką, żeby sobie wreszcie poszedł.

Dlaczego nie chciałeś jeść w pokoju? - zapytała Burgundofara.

kiedy zostaliśmy sami przy stoliku. - Byłoby znacznie przyjemniej.

Ponieważ mam nadzieję czegoś się dowiedzieć i ponieważ nie chcę zostać sam na sam ze swoimi myślami.

Przecież jeszcze ja jestem!

Owszem, ale im więcej ludzi, tym lepiej.

A co takiego...

Nakazałem jej gestem milczenie. Siedzący samotnie przy sąsiednim stoliku mężczyzna w średnim wieku wstał z krzesła, rzucił ogryzioną kość na talerz, wziął do ręki kieliszek z winem i podszedł do nas.

- Jestem Hadelin - przedstawił się. - Szyper „Alcyone”. Skinąłem mu głową.

- Siadaj, kapitanie Hadelin. Co możemy dla ciebie zrobić?

- Słyszałem, jak rozmawiałeś z Kyrinem. Podobno chcesz płynąć W dół rzeki. Są łodzie tańsze i lepsze od mojej, to znaczy większe i bardziej ozdobne, bo czystszej na pewno nie znajdziesz, ale żadna nie może się równać z moją pod względem szybkości. Wypływamy jutro z samego rana.

Zapytałem, ile czasu może potrwać podróż do Nessus.

A potem do morza - dodała pospiesznie Burgundofara.

Do Nessus powinniśmy dotrzeć już pojutrze, choć wiele zależy od wiatru i pogody. O tej porze roku wiatry są zazwyczaj łagodne i sprzyjające, ale gdyby zerwała się burza, musielibyśmy przybić do brzegu.

To oczywiste.

Jeśli jednak wszystko będzie w porządku, dowiozę was na miej sce pojutrze, mniej więcej w porze niesporów, albo może nawet trochę wcześniej. Wsiądziecie, gdzie zechcecie, byle po tej stronie kurhanu.

W mieście zostaniemy przez dwa dni, żeby wyładować towary i zabrać nowe, a potem ruszymy w kierunku ujścia rzeki. Zazwyczaj podróż trwa dwa tygodnie, czasem nieco krócej.

Zanim podejmiemy decyzję, będziemy chcieli obejrzeć twój statek.

Na pewno nie znajdziecie na nim nic, czego musiałbym się

wstydzić. Zagadnałem was dlatego, że wyruszamy bardzo wcześnie, a jeśli zależy wam na czasie, to zapewniam was, że nie straciecie nawet dziesiątej części wachty. Właściwie zamierzałem odbić jeszcze przed wschodem słońca, ale jeśli zejdziecie tu wtedy, kiedy pokaże się nad horyzontem, możemy coś zjeść i razem pójdziemy na nabrzeże.

Ty także zatrzymałeś się w tej oberży, kapitanie?

Tak jest. Śpię na lądzie, kiedy tylko nadarzy się okazja, zresztą jak większość żeglarzy. Jutrzejszą noc także spędzimy na brzegu, naturalnie jeśli taka będzie wola Prastwórcy.

Służący przyniósł nam posiłek, natomiast właściciel gospody dyskretnie skinął na Hadelina z przeciwległego końca sali.

Wybaczcie mi - powiedział szyper. - Zdaje się, że Kyrin ma do mnie jakiś interes. Zobaczymy się jutro rano.

Będziemy czekać - zapewniłem go.

— Przez jakiś czas jedliśmy w milczeniu.

- Doskonały łosoś - oznajmiła wreszcie Burgundofara. - My też zabieraliśmy na łódzie solone ryby, żeby mieć co jeść. gdyby nic nie wpadło w sieć, a le nie byłoby nawet w połowie tak dobre.

Nie przypuszczałam, że aż tak mi tego brakowało.

Odparłem, iż cieszę się, że jej smakuje.

- Znowu wejść na pokład prawdziwej łodzi! Myślisz, że on jest dobrym żeglarzem?

Nie odpowiedziałem, ponieważ zobaczyłem wracającego Hadelina.

□ Napijesz się wina, kapitanie? - zapytała Burgundofara, kiedy ponownie usiadł przy naszym stoliku.
- Przynieśli nam całą butelkę.

□ Pół kieliszka, tylko dla towarzystwa. - Obejrzał się dyskretnie przez ramię, a następnie wymamrotał prawie nie poruszając ustami: -

Kyryn ostrzegł mnie, żebym miał na ciebie oko. Podobno dałeś mu jakieś dziwne chrisos. Twierdzi, że takiego nie widział w życiu.

- Może mi je zwrócić, jeśli ma ochotę. Chcesz obejrzeć nasze pieniądze?

- Jestem żeglarzem, przewinęły mi się przez ręce pieniądze z różnych dalekich krajów. Niektóre pochodzą ze starych grobów. Tam, w górach, musi być mnóstwo grobów, prawda?

-

Nic o tym nie wiem - odparłem, kładąc na stole jedno chrisos.

Wziął je do ręki, obejrzał uważnie, sprawdził zębami, wreszcie zwrócił mi monetę.

-

Prawdziwe złoto, to jasne jak słońce. Ten typek jest na wet

trochę podobny do ciebie, tyle że chyba zaciął się przy goleniu. Oczywiście niczego nie zauważyłeś?

- Niczego.

Hadelin skinął głową i podniósł się z krzesła. - Nikt nie goli policzków trzymając pionowo brzytwę.

Do zobaczenia rano.

Na górze, kiedy zdjąłem płaszcz i koszulę, i myłem ręce oraz twarz w ciepłej wodzie przyniesionej przez służącą, Burgundofara zapytała niespodziewanie:

-

To on ją złamał, prawda?

Od razu domyśliłem się, o czym mówi, więc skinąłem głową.

-

Powinieneś być przyjąć wyzwanie.

- Nie jestem czarownikiem - odparłem, - Poza tym, już kiedyś brałem udział w pojedynku magii i o mało nie postradałem życia.

-

Jednak uzdrowiłeś ramię tej dziewczyny.

-

To nie była żadna magia. Po prostu...

Przerwało mi donośne buczenie konchy, do którego dołączył się gwar wielu podekscytowanych głosów.

Podszedłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Ponieważ nasz pokój znajdował się na piętrze, miałem doskonały widok na tłum otaczający hochsztaplera znad rzeki, który stał obok mar niesionych przez ośmiu mężczyzn. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że mówiąc o nim Burgundofara wskazała mu miejsce naszego pobytu.

Ujrzawszy mnie, ponownie zadał w konchę, w dramatycznym geście wyciągnął rękę, wskazując mnie zebranym, a kiedy już wszyscy spoglądali w moją stronę, zawołał:

-

Wskrześ tego człowieka, przybłędo, bo jeśli tego nie uczynisz, ja to zrobię! Potężny Ceryx sprawi, że umarli znowu zaludnią Urth!

Ciało spoczywające na marach przypominało przewrócony posąg, milczący i nieruchomy w objęciach śmierci.

-

Uważasz mnie za swego rywala, potężny Ceryksie, ale ja nie

mam takich ambicji - odparłem. - Wraz z moją towarzyszką za trzynaście dni tu tylko na noc, a jutro z samego rana wyruszymy w dalszą podróż do brzegów morza.

Nie czekając na jego reakcję zamknąłem okiennice i zaryglowałem je starannie.

-

To był on - stwierdziła Burgundofara. Zdążyła się już rozebrać i teraz przykucnęła nad miską z wodą.

- Tak. Oczekiwałem kolejnych wymówek, ale ona powiedziała tylko:

-

Na szczęście uwolnimy się od niego, jak tylko odbijemy od

brzegu. Czy chcesz mieć mnie tej nocy?

-

Może później. Na razie muszę pomyśleć.

Wytarłem się do sucha i położyłem do łóżka.

- Wobec tego będziesz musiał mnie obudzić. Po tym winie ogromnie chce mi się spać.

Za zamkniętych okiennic dobiegał głos Ceryxa nucącego jakąś pieśń o niespokojnej melodii.

- Uczynię to - zapewniłem dziewczynę, gdy ona także wślizgnęła się pod koc.

Już prawie zasypiałem, kiedy nieboszczyk rozłupał drzwi trzema ciosami siekiery i wkroczył do pokoju.

Rozdział XXXI

Zama

Początkowo nie zdawałem sobie sprawy, że mam do czynienia z trupem. Zarówno w pokoju, jak i krótkim korytarzyku panowała niemal zupełna ciemność, ja zaś właśnie zapadałem w sen; otworzywszy oczy po pierwszym uderzeniu, zobaczyłem niewyraźny błysk stali w miejscu, gdzie ostrze siekiery przebiło drzwi. Zaraz potem padł

drugi cios.

Burgundofara krzyknęła przeraźliwie, ja natomiast wyskoczyłem z łóżka rozglądając się w poszukiwaniu broni, której nie miałem. Po trzecim uderzeniu drzwi ustąpiły. Przez mgnienie oka na tle otworu drzwiowego wypełnionego nieco mniej gęstym mrokiem dostrzegłem sylwetkę martwego mężczyzny, potem zaś jego siekiera spadła na puste łóżko, które rozpadło się na pół i z głośnym trzaskiem runęło na

podłogę.

Nie wiedzieć czemu, odniosłem wrażenie, że oto powrócił nieszczęsny ochotnik, którego wiele lat temu zabiłem w naszej nekropolii. Stałem nie mogąc wykonać żadnego ruchu, sparaliżowany przerażeniem oraz poczuciem winy. Nieboszczyk wziął potężny zamach, siekiera przecięła powietrze z takim samym świstem, jaki wydawała łopata Hildegrina, minęła moją głowę i rąbnęła w ścianę z głuchym łomotem podobnym do odgłosu, jaki mógłby wydać pusty w środku pień drzewa kopnięty przez rozwścieżonego olbrzyma. Przyćmione światło sączące się z korytarza - bo jednak było to światło, nie zaś jaśniejszy mrok - przygasło na chwilę, kiedy Burgundofara czmychnęła z pokoju.

Siekiera ponownie uderzyła w ścianę, tym razem nie dalej niż łokieć od mojej głowy. Ramię trupa, zimne jak wąż i cuchnące rozkładem, otarło się o moje. Odruchowo - bo moim postępowaniem z pewnością nie kierowały żadne myśli - rzuciłem się na niego i zwarłem z nim w uścisku.

Pojawiły się świece i lampa. Dwóch prawie nagich mężczyzn wyrwało trupowi siekierę z ręki, Burgundofara zaś przyłożyła mu nóż do gardła. Obok niej stał Hadelin z kordelasem w jednej ręce i świeczką w drugiej. Właściciel gospody zbliżył lampę do twarzy nieboszczyka, a ujrzawszy jego oblicze wypuścił ją z ręki i cofnął się raptownie.

-

On nie żyje - powiedziałem. - Z pewnością to nie pierwszy

trup, jakiego widzisz w życiu. I ty, i ja też kiedyś będziemy tak wyglądać.

Kopnąłem napastnika od tyłu w zgięcia kolan, tak jak uczył nas mistrz Gurloes, on zaś runął na podłogę obok zgaszonej latarni.

- Ja... Ja go pchnęłam nożem, Severianie - wykrztusiła Burgundofara. - Ale on wcale...

Zacisnęła mocno usta, by powstrzymać ich drzenie, ale ręka, w której trzymała zakrwawiony nóż,

trzęsa się jak w gorączce. Objąłem dziewczynę i przycisnąłem do piersi, lecz nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, ktoś krzyknął ostrzegawczo:

- Uważajcie!

Trup powoli dźwignął się na nogi. Co prawda otworzył oczy, ale wątpię, żeby cokolwiek widział, ponieważ były szkliste i nieruchome. Z wąskiej rany w boku powoli płynęła ciemna, gęsta krew.

Hadelin podniósł kordelas i postąpił krok naprzód.

- Zaczekaj - powstrzymałem go.

Ręce nieboszczyka wyciągnęły się w kierunku mego gardła. Chwyciłem go za przeguby, nie odczuwając już lęku. Ogarnęło mnie natomiast wielkie współczucie; współczułem nie tylko jemu, lecz także nam wszystkim, ponieważ zdawałem sobie sprawę, iż w pewnym sensie my również jesteśmy martwi, pogrążeni w półśnie, głusi na wołanie życia w naszym wnętrzu i wokół nas, Nie stawiając najmniejszego oporu opuścił ramiona. Przesunąłem prawą ręką po jego klatce piersiowej; życie popłynęło przez moje palce wezbrany strumieniem, tak że czułem się tak, jakby każdy z nich miał lada chwila zakwitnąć niczym jakaś cudowna roślina, moje serce pracowało zaś jak potężny silnik, zdolny działać bez końca i wstrząsnąć posadami świata. Nigdy tak wyraźnie nie zdawałem sobie sprawy z tego, że żyję, jak właśnie wtedy, kiedy dzieliłem się z nim życiem.

Zaraz potem zobaczyłem... Wszyscy to zobaczyliśmy. Jego oczy nie były już jak puste okna, lecz stały się na powrót oczami żywego człowieka. Schłodzona tchnieniem śmierci krew ponownie zawrzała

w jego żyłach i trysnęła obfitym strumieniem z rany pozostawionej przez nóż Burgundofary. Chwilę potem rana zamknęła się i zablizniła: o tym, że jednak nie była złudzeniem, świadczyła szkarłatna plama na podłodze oraz jasny ślad na skórze. Na policzkach pojawiły się rumieńce, przywracając im zdrowy, rześki wygląd.

Jestem gotów przysiąc, że właśnie wtedy umarł mężczyzna w średnim wieku, którym był przed śmiercią, narodził się natomiast najwyżej dwudziestoletni młodzieniec. Mając wciąż w pamięci reakcję Milesa, objąłem go przyjaźnie ramieniem i powiedziałem, że z radością witamy go z powrotem w świecie żywych. Mówiłem łagodnie i powoli, jakbym

przemawiał do psa.

Hadelin oraz pozostali, którzy przybyli nam na pomoc, cofnęli się z wyrazem zdumienia i strachu na twarzach, ja natomiast pomyślałem, jakie to dziwne, że bez lęku stawili czoło przerażającemu koszmarnowi, stchórzyli zaś, gdy przyszło im zmierzyć się z palinodią losu.

Całkiem możliwe, iż walcząc ze złem w istocie rzeczy walczymy z naszymi braćmi; jeśli chodzi o mnie, to właśnie wtedy pojąłem coś, co nie dawało mi spokoju od najwcześniejszego dzieciństwa: dlaczego wszystkie legendy twierdzą zgodnie, że w ostatecznej bitwie decydującej o losach świata armie demonów umkną z pola walki na sam widok

żołnierzy Prastwórcy.

Oddając sprawiedliwość kapitanowi Hadelinowi trzeba stwierdzić, że wycofał się jako ostatni.

Przystanął na chwilę w drzwiach, obejrzał się na nas, otworzył usta, jakby próbował coś powiedzieć, ale chyba zabrakło mu właściwych słów - lub może odwagi, żeby je wygłosić - gdyż zaraz potem wyszedł, zostawiając nas w ciemności.

- Gdzieś tu powinna być świeca... - wymamrotała Burgundofara. Usłyszałem, jak szuka po omacku, chwilę później zaś ujrzałem ją. mimo że nie udało się jej odnaleźć świecy; otulona kocem stała obok niewielkiego stolika, tuż przy resztkach tego, co jeszcze niedawno było naszym łóżkiem.

Pokój rozjaśniło to samo niezwykle światło, które niedawno zapłonęło w chacie chorego mężczyzny. Burgundofara obejrzała się, zdezorientowana, zobaczyła swój cień na ścianie, krzyknęła przeraźliwie i uciekła tak jak inni.

Pogoń za nią nie miała sensu. Najlepiej, jak mogłem, zabarykadowałem wejście krzesłami oraz resztkami drzwi, po czym, wciąż w blasku tajemniczego światła, które zdawało się wędrować po pokoju za moim

wzrokiem, ściągnąłem na podłogę materac, żebyśmy mieli gdzie się położyć.

Napisałem "położyć", nie zaś „przespać", ponieważ wątpię, czy którykolwiek z nas zasnął na dłużej, choć ja na pewno zdrzemnąłem się dwa albo trzy razy. Budziły mnie odgłosy jego wędrowek, bynajmniej nie ograniczonych czterema ścianami pomieszczenia. Wystarczyło, bym zamknął oczy, a ściany zniknęły, sufit zaś stawał się przezroczysty jak szkło, dzięki czemu mogłem ujrzeć moją gwiazdę mknącą ku nam z niewyobrażalną prędkością, a jednak wciąż jeszcze bardzo, bardzo odległą. Wreszcie nie wytrzymałem, wstałem z posłania, podszedłem do okna, otworzyłem okiennice i spojrzałem w niebo.

Noc była chłodna i pogodna. Gwiazdy lśniły w górze jak brylanty. Okazało się, że znam położenie mojej gwiazdy, tak jak dzikie gęsi zawsze potrafią odszukać miejsce, w którym przyszły na świat, choćby całą okolicę spowijała mgła lub nieprzenikniona ciemność. To znaczy, wiedziałem, gdzie powinna być, bo kiedy skierowałem tam wzrok, ujrzałem tylko bezkresną pustkę. Wszędzie dokoła migotały srebrzyste gwiazdy, niczym drogocenne kamienie zdobiące fuliginowy płaszcz mistrza naszej konfraterni; całkiem możliwe, iż każda z nich należała do innego posłańca, równie zagubionego i zdezorientowanego jak ja. Jednak żadna z nich z pewnością nie należała do mnie. Moja była tam, w nieprzeniknionym mroku - wyczuwałem jej istnienie, lecz nie mogłem jej dostrzec.

Autor tworzący kronikę taką jak ta zawsze odczuwa pokusę, by opisać jakiś długo- lub krótkotrwały proces: problem polega na tym, że niektóre wydarzenia następują nagle, bez żadnego ostrzeżenia. Po prostu nie ma ich, a w następnej chwili już są. Wówczas człowiek przekonuje się zniechęca, że jest taki, jaki jest, nie zaś taki, jakim widział się w swoich wyobrażeniach.

Tak właśnie stało się ze mną. W swoim przekonaniu byłem rozpaloną gwiazdą, światłem przewodnim dla statków żeglujących na pograniczu Yesodu i Briaha, nieustraszenie wysyłającym w ciemność życiodajne promienie. Ten obraz rozwiązał się w okamgnieniu, ja natomiast stałem się na

powrót zwyczajnym człowiekiem spoglądającym w nocne niebo. Byłem cały zlany potem i trząłem się trochę z zimna, a trochę ze strachu, ponieważ za plecami miałem trupa, wędrującego niespokojnie po pokoju i nie tylko.

Miasteczko Os było pogrążone w ciemności; zielona Luna, właśnie nikła za mrocznymi wzgórzami wznoszącymi się na drugim brzegu Gyoll. Spojrzałem tam, gdzie jakiś czas temu stał Ceryx wraz ze swoją publicznością i, nie wiedząc czemu, odniosłem wrażenie, że wciąż ich widzę. Działając pod wpływem impulsu, którego nie rozumiałem i nadal nie rozumiem, odwróciłem się od okna, założyłem ubranie, po czym jednym susem przesadziłem parapet i wylądowałem na błotnistej uliczce. Lądowanie było tak twarde, że przez chwilę obawiałem się, iż złamałem sobie nogę w kostce. Na statku ważyłem nie więcej niż kłębek wełny, a odzyskawszy pełną władzę w nodze poczułem się chyba odrobinę zbyt pewnie. Teraz przekonałem się dość boleśnie, że tu, na Urth, powinienem jednak zachować nieco większą ostrożność. Gwiazdy skryły się za całunem obłoków, w związku z czym musiałem szukać po omacku tego, co zobaczyłem z góry, okazało się jednak, że wzrok mnie nie mylił: na ziemi leżał mosiężny lichtarz z resztką świecy, którą nie zainteresowałby się nawet największy nędzarz, obok zaś, w rynsztoku, spoczywały zwłoki kota i małego ptaszka. Zaraz potem martwy mężczyzna powtórzył mój wyczyn i także wyskoczył na ulicę, ale zrobił to znacznie sprawniej ode mnie. Przemówiłem do niego; co prawda nic nie odpowiedział, ale kiedy na próbę zrobiłem parę kroków, ruszył za mną potulny niczym jagnię.

Odechciało mi się już zupełnie spać, resztki zmęczenia zaś, jakie odczuwałem po tym, gdy przywołałem go do życia, znikły bez śladu za sprawą rozpierającej mnie radości; nie posiadałem się ze szczęścia wiedząc, że moja dusza nie mieszka już w marionetce z ciała i kości, którą ludzie nazywali Severianem, lecz w odległej gwiazdzie tętniącej energią tak wielką, że wystarczyłoby jej dla dziesięciu tysięcy planet. Obserwując ukradkiem nieboszczyka, przypomniałem sobie, jak długą wędrówkę odbyłem w towarzystwie Milesa, choć na dobrą sprawę każdy z nas powinien paść po przejściu najwyżej kilku kroków. Wiedziałem jednak, iż teraz sprawy mają się zupełnie inaczej.

- Przejdźmy się trochę - zaproponowałem. - Zwiedzimy miasto, a jak tylko otworzą pierwszy bar, postawię ci szklaneczkę czegoś

mocniejszego.

Nie odezwał się ani słowem. Kiedy chmury rozsunały się na chwilę i na jego twarz padł zimny blask gwiazd, przekonałem się, iż wygląda jak człowiek błądzący po krainie najdziwniejszych snów.

Gdybym chciał opisać ci, czytelniku, naszą wędrówkę po mieście, z pewnością zanudziłbym cię na śmierć, choć dla mnie wcale nie była ona nudna. Najpierw szliśmy na północ tak długo, aż dotarliśmy do muru mało solidnej konstrukcji, wzniesionego bardziej ze strachu i próżności niż z autentycznej potrzeby. Zawróciliśmy, by zagłębić się w labirynt malowniczych krętych uliczek; do rzeki doszliśmy w chwili, gdy na niebie za naszymi plecami pojawiły się pierwsze oznaki wstającego dnia.

Idąc niespiesznie wzdłuż nabrzeża podziwialiśmy zgromadzone tam statki i łodzie; nagle zaczepił

nas jakiś stary człowiek, z pewnością mający kłopoty ze snem, co często zdarza się w tym wieku, i dlatego zażywający spaceru o tak wczesnej porze.

- Zama! - wykrzyknął ze zdumieniem. - Ludzie mówili, że nie

żyjesz!

Roześmiałem się. a wtedy człowiek, który niedawno był martwy, uśmiechnął się lekko.

Starzec najwyraźniej nie mógł wyjść z podziwu.

□ Niech mnie licho, w życiu nie wyglądałeś tak zdrowo!

□ Czy ludzie mówili, jak umarł? - zapytałem,

- Utonął. Podobno łódź Piniana wywróciła się do góry dnem przy wyspie Baiulo.

□ Nie wiesz, czy ma żonę? - Stary człowiek spojrzał na mnie

podejrzliwie, więc wyjaśniłem: - Poznałem go wczoraj wieczorem.

Piliśmy aż do świtu, a teraz chcę odprowadzić go do domu, bo wlał

w siebie trochę więcej, niż powinien.

□ Nie ma żadnej rodziny. Mieszka u Piniana, a on potrąca mu za to z pensji. - Powiedział mi, jak tam dotrzeć, i opisał dom, chyba jeden z najnudniejszych w miasteczku. - Na twoim miejscu nie odstawiałbym go o tej porze, szczególnie po tym, jak zatopił łódź.

Pinian będzie na niego wściekły. - Pokręcił z niedowierzaniem głową. -

Do licha, wszyscy mówili, że wyłowiono go martwego obok wyspy!

Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć, więc wymamrotałem tylko:

- Ludzie gadają różne rzeczy.

Potem, wzruszony widokiem tego stojącego nad grobem, starego człowieka, którego tak bardzo ucieszyła wiadomość, że inny człowiek, młody i zdrowy, będzie żył jeszcze wiele lat, położyłem mu rękę na

głowie i wyrecytowałem wyświechtaną formułkę o tym, jak to życzę mu pomyślności i zdrowia zarówno w tym życiu, jak i w następnym. Było to błogosławieństwo, którego czasem udzielałem jako Autarcha.

Uczyniłem to właściwie od niechcienia, a jednak rezultat był zaskakujący. Cofnąwszy rękę przekonałem się, iż co najmniej kilkanaście lat spadło z jego barków, pozwalając mu wyprostować zgarbione plecy, a niewyczuwalny wiatr zdmuchnął mu sprzed oczu zasłonę, która gęstnieje z biegiem lat, sprawiając, że świat wydaje się bezbarwny i mało interesujący. Starzec otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz nie zdołał wykrztusić ani słowa, więc tylko padł na kolana.

Po kilkunastu krokach odwróciłem się i spojrzałem na niego. Wciąż klęczał tam, gdzie go zostawiłem, ale nie nazwałbym go już starcem. Nie zna czy to wcale, że stał się młodzieńcem; ujrzałem mężcz yznę w sile wieku, który może oczekiwać od życia jeszcze wielu przyjemności i niespodzianek.

Zama nie odezwał się ani słowem, lecz znienacka objął mnie ramieniem. Zrewanżowałem mu się tym samym. Przyjaźnie objęci zaczęliśmy wspinać się tą samą ulicą, którą poprzedniego wieczoru szedłem z Bur-gundofarą. i wkrótce dotarliśmy do oberży, gdzie dziewczyna jadła właśnie śniadanie w towarzystwie Hadelina.

Rozdział XXXI I

Na pokład "Alcyone"

Nie spodziewali się nas, ponieważ stół był zastawiony tylko dla dwóch osób. Przysunąłem krzesło, poiem zaś drugie, dla Zamy, gdyż ten tylko stał i prz yglądał mi się w milczeniu.

□ Sądziiliśmy, że gdzieś sobie poszedłeś, sieur - powiedział szyper.

Nie musia łem pytać, gdzie Burgundofa ra spędziła noc; wyraz jego twarzy mówił sam za siebie.

□ Bo tak było - odparłem, zwracając się jednak nie do niego, lecz do dziewczyny. - Widzę, że jesteś ubrana, więc udało ci się jakoś dostać do pokoju.

□ Byłam pewna, że nie żyjesz - wyszeptała, a kiedy nic nie odpowiedziałem, dodała: - Myślałam, że ten człowiek cię zabił. Drzwi były zastawione jakimiś rupieciami, okiennice wyważone...

- Tak czy inaczej, jednak wróciłeś. Hadelin starał się, by jego słowa zabrzmiały wesoło i beztrosko, ale zupełnie mu się to nie udało. - Nadal wybierasz się z nami w dół rzeki?

- Być może. Najpierw muszę zobaczyć twoja łódź.

- Kiedy ją zobaczysz, na pewno się zdecydujesz. Pojawił się właściciel ob erży, cały w ukłonach, z wymuszonym uśmiechem na twarzy. Zauważyłem, że za pasek skórzanego fartucha wsunął rzeźnicki nóż o szerokim ostrzu.

-

Dla mnie tylko owoce - powiedziałem. - Wczoraj wspomnia

łeś, że masz ich pod dostatkiem. Przynieś też trochę dla tego człowieka: zobaczymy, czy y będzie jadł. I matę dla nas obu.

- Natychmiast, sieur.

-

Potem pójdziemy razem do mojego pokoju, żeby oszacować

straty, jakie poniosłeś.

- Proszę się nie kłopotać, sieur! To naprawdę drobniostka. Myślę, że jeden orichalk pokryje wszystkie szkody.

Zatarł ręce, tak jak często czynią ludzie jego profesji, ale drżały mu tak bardzo, że wyglądało to co najmniej żałośnie.

- Moim zdaniem powinieneś zażądać pięciu albo nawet dziesięciu. Zniszczone łóżko, rozbite drzwi... Chyba jednak przespacerujemy się na górę.

Drżały mu już nie tylko ręce, ale także usta. Nagle przestało mnie bawić straszenie tego człowieczka, który nie zawahał się przybiec na pomoc jednemu ze swoich gości, kiedy ten został

napadnięty w środku nocy. Dotknąłem jego ręk i powiedziałem półgłosem:

- Nie powinieneś tyle pić.

Natychmiast odprężył się i wyraźnie poweselał.

- Dziękuję, sieur! - wykrzyknął z entuzjazmem. - Biegnę po owoce!

Potruchtał do kuchni.

Zgodnie z moimi oczekiwaniami przyniósł figi, banany, pomarańcze i mango, dostarczane nad górną Gyoll z tropikalnych obszarów Wspólnoty, a następnie transportowane łodziami w dół rzeki.

Żadnych jabłek ani winogron. Pożyczyłem od Burgundofary nóż, którym pchnęła Zamę, i obrałem mango. Jedliśmy w milczeniu, a po pewnym czasie przyłączył się do nas także Zama, co uznałem za dobry znak.

- Życzysz sobie czegoś jeszcze, sieur? - zapytał zgięty wpół

karczmarz. - Wszystkiego mamy pod dostatkiem.

Pokręciłem głową.

- W takim razie, może...

Spojrzał znacząco w kierunku schodów. Podniosłem się z krzesła, dając znak pozostałym, żeby nie ruszali się z miejsc.

- Gdyby nadal się bał, taniej by cię to kosztowało - powiedziała Burgundofara.

Oberżysta posłał jej spojrzenie pełne nienawiści.

Minionego wieczoru odniosłem wrażenie, że karczma jest niezbyt duża. Teraz okazało się, że jest wręcz maleńka: na naszym piętrze doliczyłem się raptem czterech pokoiów gościnnych, wyżej zaś były także cztery, jeszcze mniejsze. Kiedy leżałem na materacu, wsłuchany w odgłosy niespokojnej wędrowki Zamy, pokój wydawał mi się całkiem spory, tymczasem w rzeczywistości tylko nieznacznie przewyższał

rozmiarami kabinę, którą dzieliłem z Burgundofarą na pokładzie szalupy.

W kącie stała siekiera Zamy - stara, tępą, bezsprzecznie przeznaczona wyłącznie do rąbania drewna.

- Nie poprosiłem cię tu po to, sieur, żeby żądać od ciebie pieniędzy - zapewnił mnie oberżysta. - Nigdy nie ośmieliłbym się tego uczynić.

Rozejrzałem się dokoła.

- Niemniej dostaniesz je - odparłem.
- Wobec tego natychmiast podzielę się nimi z ubogimi. Ostatnio mamy ich w Os coraz więcej.
- Takie właśnie odniosłem wrażenie.

W rzeczywistości prawie go nie słuchałem, nie zwracałem też uwagi na to, co mu odpowiadam.

Interesowały mnie wyłącznie okiennice; chciałem sprawdzić, czy istotnie zostały wyłamane, tak jak powiedziała Burgundofara. Mówiła prawdę. Pchnięto je z taką siłą, że rygiel wyrwał spore kawałki drewna, choć doskonale pamiętałem, jak je zamknąłem, a potem otworzyłem. Dopiero kiedy wróciłem myślą do wydarzeń minionej nocy, uświadomiłem sobie, że tylko ich dotknąłem, one zaś otworzyły się gwałtownie.

- Byłoby nie w porządku z mojej strony, sieur, gdybym wziął od ciebie więcej niż to, co już mi dałeś. Teraz Pełna Miska będzie słynęła daleko w dole i górze rzeki. - Jego oczy wpatrywały się chyba w cze kającą go świetlaną przyszłość, gdyż zaszły mgłą rozkoszy. - Naturalnie nie jesteśmy znani już teraz jako najlepsza gospoda w Os, ale od tej pory ludzie będą tu przychodzić także po to, żeby t o zobaczyć! -

Zatoczył wokół ręką, po czym wykrzyknął z zachwytem: - Już wiem!

Niczego nie będę naprawiał! Zostawię wszystko tak, jak jest teraz!

- Możesz brać pieniądze za wstęp - odpowiedziałem mu.

- Oczywiście, sieur. Masz rację. Może nie od stałych klientów, ale od całej reszty... Tak, na pewno tak zrobię.

Chciałem mu tego kategorycznie zakazać i nawet już otworzyłem usta, ale zaniknąłem je nie wypowiedziawszy ani słowa. Czy mój powrót na Urth miał oznaczać dla tego człowieka koniec marzeń o szczęściu i dostatku? Kochał mnie teraz tak jak ojciec syna, który przerósł go pod każdym

względem: gorąco, choć niczego nie rozumiejąc. Dlaczego miałbym go tego pozbawiać?

- Goście długo nie mogli zasnąć dzisiejszej nocy. Czy wiesz, sieur.

co się stało po tym, jak wróciłeś życie biednemu Zamie?

-

Opowiedz mi.

Kiedy wróciliśmy na dół, zażądałem rachunku, choć on wciąż upierał się, że nie chce ode mnie pieniędzy.

- Wczoraj wieczorem kolacja dla dwóch osób, nocleg też dla dwóch, to znaczy dla Zamy i dla mnie. Dwa orichalki za drzwi, dwa za ścianę, dwa za łóżko, dwa za okiennice. Śniadanie dla Zamy i dla mnie. Za kobietę zapłaci kapitan Hadelin. Podlicz wszystko i wydaj mi resztę z tego chrisos.

które dałem ci wczoraj.

Postąpił zgodnie z moim życzeniem, po czym ułożył przede mną spory stosik srebrnych, miedzianych i brązowych monet. Zapytałem, czy jest pewien, że należy mi się aż tyle.

-

Wszyscy płacą tyle samo. sieur. Nie bierzemy pieniędzy za to, kim kto jest, tylko za to, co za mówił, choć muszę prz yznać, że od ciebie najchętniej nie przyjąłbym ani jednego aes.

Hadelin uregulował swój rachunek - było z tym znacznie mniej zamieszania - i ruszyliśmy całą czwórką w kierunku nabrzeża. Przyznam, że spośród wszystkich oberży, jakie zdarzyło mi się odwiedzić, najtrudniej przyszło mi się rozstać właśnie z Pełną Miską, gdzie istotnie nie brakowało ani jedzenia ani picia, klientelę zaś stanowili przede wszystkim prości, uczciwi żeglarze. Często śni mi się, że tam wróciłem - kto wie. czy kiedyś naprawdę tego nie uczyniłem. Kiedy Zama wdarł się do naszego pokoju, pospieszyli nam z pomocą prawie wszyscy goście, ja zaś lubię czasem myśleć, iż przynajmniej jednym z nich byłem ja sam. Istotnie, niekiedy wydaje mi się, że w blasku świecy mignęła mi wtedy moja twarz.

Bez względu na to, czy tak było naprawdę, nie myślałem o tym, kiedy wyszliśmy na ulicę skąpaną w blasku porannego słońca. Cisza, która zazwyczaj towarzyszy wczesnemu świtowi, ustąpiła miejsca tur-kotowi kół i gwarowi wielu głosów. Kobiety o głowach nakrytych chustami przystawały na chwilę, żeby na siebie spojrzeć. Wysoko w górze przemknął bezgłośnie ślizgacz podobny do wielkiego owada: odprowadziłem go wzrokiem, czując się trochę tak jak wtedy, gdy obserwowałem pentadaktylę Ascian atakującą naszą kawalerię na Przełęczu Orithyia.

- Ostatnio widujemy je coraz rzadziej, sieur - powiedział Hadelin gburowatym tonem, który w jego ustach świadczył o nadzwyczajnym szacunku. - Większość nie może już wzbić się w powietrze, Odparłem, że taki jak ten widzę po raz pierwszy w życiu.

Za kolejnym zakrętem naszym oczom ukazał się wspaniały widok na kamienne nabrzeże z przycumowanymi statkami i łodziami oraz Gyoll, lśniąca w promieniach porannego słońca, której drugi brzeg skrywała jeszcze zasłona mgły.

- Jesteśmy zapewne sporo poniżej Thraxu - powiedziałem do

Burgundofary, myśląc ją przez chwile z Gunnie, której zdążyłem wspo mnieć o moim pobycie w Mieście Bezokiennych Pokoi.

Odwróciła się do mnie z uśmiechem na ustach i wzięła mnie pod rękę, Hadelin zaś rzekł:

- Co najmniej tydzień żeglugi, chyba że wiatr będzie ci cały czas sprzyjał. Dziwne, że słyszałeś o mieście położonym na tak głębokiej prowincji.

Za nami, trzymając się w bezpiecznej odległości, ale szepcząc bez przerwy między sobą i wskazując mnie oraz Zamę palcami, podążało sporo ludzi. Wciąż ich przybywało, a kiedy dotarliśmy nad brzeg rzeki, zebrał się już spory tłum. Burgundofara usiłowała ich rozgonić, a kiedy jej wysiłki nie przyniosły rezultatu, zasugerowała, bym ja to uczynił.

-

Po co? - zapytałem. - Przecież i tak zaraz odpłyniemy.

Jakaś stara kobieta krzyknęła głośno, podbiegła do Zamy i uściskała go serdecznie, on zaś uśmiechnął się, po czym skinął głową, ponieważ zasypała go gradem pytań, pragnąc się dowiedzieć, czy wszystko z nim w porządku. Ja z kolei zapytałem ją, czy jest jego babką.

Złożyła mi prostacki ukłon, w jej mniemaniu będący zapewne szczytem dobrych manier.

- Nie, sieur. ale znałam ją dobrze, a także jej dzieci i wnuki. Kiedy dowiedziałam się, że Zama zginął, poczułam się tak, jakby razem z nim umarła częśćka mojej duszy.

-

Bo tak właśnie było - odparłem.

Marynarze wzięli nasze bagaże. Tak wiele uwagi poświęciłem Zami i starej kobiecie, że nawet nie spojrzałem na łódź Hadelina. Uczyniwszy to teraz, przekonałem się, iż jest to bardzo zgrabna szebeka, sprawiająca wrażenie szybkiej i zwrotnej. Tak się jakoś składa, że zawsze podróżowałem dobrymi statkami. Hadelin dał nam znak, żebyśmy weszli na pokład.

Stara kobieta głośno szlochając przycisnęła Zamę do piersi, on zaś otarł jedną z łez spływających jej po policzkach i powiedział:

- Nie płacz, Mafaldo.

Był to pierwszy i zarazem ostatni raz, kiedy się odezwał.

Autochtoni twierdzą, jakoby ich bydło potrafiło mówić, ale celowo nie korzysta z tej umiejętności, ponieważ zdaje sobie sprawę, iż mówiąc przyzywamy demony, gdyż każde nasze słowo jest jednocześnie zaklęciem. Odniosłem wrażenie, że Zama również hołduje temu przekonaniu.

Nagle tłum zafalował i rozstał się niczym fale uciekające na boki przed straszliwą paszczą kronozaura, my zaś ujrzelśmy zmierzającego w naszym kierunku Ceryxa.

Na szczycie jego okutej żelazem laski tkwiła rozkładająca się głowa, on sam zaś był odziany w coś w rodzaju płaszcza z nie wyprawionej ludzkiej skóry; spojrzawszy mu w oczy zdumiałem się, dlaczego zadał sobie aż tyle trudu, by przywdziać to budzące grozę, a zarazem tandetne przebranie, tak samo, jak mężczyzna dziwi się czasem, dlaczego jego ukochana traci czas na skrywanie swych wdzięków pod zasłoną sztucznego jedwabiu oraz szklanych, bezwartościowych paciorków. Do tej pory nie przypuszczałem, że jest aż tak potężnym magiem.

Postąpiłem zgodnie z nakazami, które wpojono mi w dzieciństwie, to znaczy podniosłem nóż, który Burgundofara wetknęła mi do ręki, i oddałem honory przeciwnikowi. On chyba jednak podejrzewał, iż zamierzam się do śmiertelnego ciosu, ponieważ zbliżył do ust lewą dłoń i wyszeptał coś do niej, szykując się do rzucenia na mnie śmiertelnościanego uroku.

Zama przeistoczył się - nie stopniowo i łagodnie, jak można wyczytać w różnych opowieściach, lecz gwałtownie i bez żadnego ostrzeżenia. Ponownie stał się martwym, przerażającym człowiekiem, który nocą wdarł się do naszego pokoju. Z wielu gardeł wyrwał się przerażony okrzyk, przypominający wrzask zaniepokojonych małp.

Ceryx z pewnością rzuciłby się do ucieczki, lecz tłum odciął mu drogę odwrotu. Nie wiem, czy ktoś celowo go przytrzymał, w każdym razie Zama dopadł go w okamgnieniu, powalił na ziemię i złamał mu kark z trzaskiem przypominającym odgłos, jaki wydaje gruba kość pękająca w szczękach psa.

Przez kilka oddechów leżeli nieruchomo, trup na trupie, a potem Zama podniósł się z ziemi, bardziej żywy, jak mi się wydawało, niż kiedykolwiek przedtem. Spojrzał na mnie i na starą kobietę, i chyba nas poznał, ponieważ spróbował się uśmiechnąć, lecz nie zdążył, ponieważ dziesięć, a może dwadzieścia ostrzy wbiło się niemal jednocześnie w jego ciało.

Kiedy do niego dotarłem, bardziej przypominał strzęp posiekanego mięsa niż człowieka. Z rozciętego gardła krew płynęła coraz mniejszym strumieniem; przypuszczalnie serce jeszcze biło, choć pierś miał rozplataną na całej długości. Stanąwszy nad nim spróbowałem ponownie przywrócić go do życia, lecz osiągnąłem tylko tyle, że głowa zatknięta na laskę Ceryxa spojrzała na mnie przegniłymi oczami, więc odwróciłem się pospiesznie, nie mogąc wyjść ze zdziwienia, jak to możliwe, żebym ja, kat, stał się tak bezrozumnie okrutny. Ktoś wziął mnie za rękę i poprowadził na statek; kiedy weszliśmy na chybotały trap, przekonałem się, że to Burgundofara.

- Tym razem załatwili go na dobre, sieur - oznajmił Hadelin. -

W nocy baliśmy się zaatakować, ale w dzień sprawy wyglądają zupełnie inaczej.

Pokręciłem głową.

□ Zabili go, ponieważ nie przedstawiał już sobą żadnego niebez pieczeństwa, kapitanie.

□ Powinien się położyć - szepnęła Burgundofara. - Za każdym razem traci mnóstwo sił.

Hadelin wskazał nam drzwi ukryte za schodami prowadzącymi na górny pokład.

- Jeśli pozwolisz, sieur, chętnie pokażę ci kabinę. Nie jest zbyt przestronna, ale...

Ponownie pokręciłem głową. Po obu stronach drzwi znajdowały się drewniane ławki; poprosiłem, by pozwolono mi spocząć na którejś z nich. Burgundofara zeszła pod pokład obejrzeć kabinę, ja natomiast siedziałem nieruchomo, usiłując wymazać spod powiek obraz twarzy Zamy i obserwując krzątanie marynarzy przygotowujących łódź do wypłynięcia. Jeden z nich, o niemal brązowej, ogorzalej twarzy, wydawał mi się znajomy, ale choć niczego nie zapominam, to często mam problemy z dotarciem do konkretnych wspomnień ukrytych w czeluściach mojej pamięci.

Rozdział XXXI II

Na pokładzie "Alcyone"

ranka powietrze miało przejrzystość najczystszej krysztalu. Choć przebywałem tam bardzo krótko, zdążyłem dobrze poznać jego kręte uliczki i mściwych mieszkańców, teraz jednak, w czystym blasku wstającego słońca, przypominało zaczarowane miasto z brązowej książki Thecli. Rzecz jasna, zapamiętałem każde słowo tej historii, teraz więc oparłem się o reling i opowiedziałem ją sobie raz jeszcze, obserwując przesuwały się brzeg i wsłuchując się w poskrzypywanie desek łodzi kołysanej podmuchami ledwie wyczuwalnego, ożywczego wiatru.

Jak już wspomniałem, łódź była szebeką, co oznacza, że miała spore zanurzenie oraz smukły kadłub. Na fokmaszcie niosła ogromny żagiel łaciński, na grotmaszcie trzy mniejsze, prostokątne, na bezanmaszcie żagiel gafłowy, nad nim natomiast żagiel gniezdny. Bom żagla gafłowego przedłużono okazałym drzewcem, na którym przy szczególnie uroczystych okazjach (za jaką, zdaje się, Hadelin uznał nasze wypłynięcie z portu w Os) wywieszano cokolwiek nadgryzioną zębem czasu banderę. Na szczytach masztu powiewały mniejsze, różnobarwne flagi, nie reprezentujące żadnego znanego mi narodu żyjącego na Urth. Nie da się ukryć, że w samym żeglowaniu jest coś niezmiernie odświętnego, naturalnie pod warunkiem, iż odbywa się ono za dnia i przy dobrej pogodzie. Zdawałem sobie sprawę, że z każdą chwilą zbliża się moment, kiedy wyruszymy w drogę, i z każdym uderzeniem serca robiło mi się lżej na duszy. Co prawda czułem, że powinienem raczej odczuwać wyczerpanie i przygnębienie, jak wtedy, gdy spoglądałem na martwe - teraz już na pewno i nieodwołalnie -

ciało Zamy, lecz było to całkowicie niemożliwe. Naciągnąłem na głowę kaptur jak wówczas, gdy z uśmiechem na ustach podążałem w nieznaną Wodną Drogą, i choć tylko przypadek sprawił, że płaszcz, który teraz miałem na sobie (zabrałem go z kajuty na pokładzie statku Tzadkiel pewnego poranka niewyobrażalnie dawno temu), również był barwy fuliginu, to jednak ponownie się uśmiechnąłem, gdyż zdałem sobie sprawę, że Wodna Droga biegnie brzegiem tej samej rzeki, którą ja lada chwila poześlę w kierunku Nessus.

Obawiając się, że zaraz wróci Burgundofara albo że któryś z marynarzy spojrzy mi zniechęca w

twarz, wstałem z ławki i wspiałem się na górny pokład, by przekonać się, że wtedy, kiedy ja byłem głęboko pogrążony w myślach, łódź odbiła od nabrzeża. Os zostało już daleko za nami i z pewnością znikłoby nam z oczu, gdyby nie to, że tego

Opowieść o mieście, które zapomniało Faunę

Dawno temu, kiedy pług wciąż jeszcze stanowił nowość, dziewięciu mężów podążało w górę rzeki szukając miejsca, gdzie mogliby założyć nowe miasto. Po wielu dniach mozolnego wiosłowania dotarli do leśnej polany, na której stara kobieta zbudowała sobie chatę i uprawiała niewielki ogródek.

Natychmiast przybili do brzegu, ponieważ wiele dni temu skończyły im się zapasy, w związku z czym odżywiali się wyłącznie rybami i pili rzeczna wodę. Stara kobieta, która miała na imię Fauna, poczęstowała ich pitnym miodem i dojrzałymi melonami, fasolą białą, czerwoną i czarną, marchwią i rzepą, ogórkami dorównującymi grubością męskiemu ramieniu oraz jabłkami, czereśniami i brzoskwiniami.

Noc spędzili przy ogniu w jej chacie, rankiem zaś, kiedy wyruszyli na spacer, przekonali się, że miejsce zostało jakby stworzone po to, by wybudować na nim miasto: rzeką można było dostarczać z gór kamienie na drewnianych tratwach, nie brakowało znakomitej wody, gleba zaś była tak żyzna, że każde ziarno dawało dziesięciokrotnie większe plony niż gdzie indziej.

Zwołali więc naradę. Część z nich uważała, że należy zabić starą kobietę, inni, bardziej litościwi, chcieli przegnać ją precz, jeszcze inni proponowali, żeby skłonić ją podstępem do oddania ziemi. Jednak ich przywódca, człowiek nadzwyczaj pobożny, rzeki:

- Jeśli uczynimy którąś z tych niegodziwości, możecie być pewni, iż nie ujdzie to uwagi Prastwórcy, ponieważ ta kobieta przyjęła nas pod swój dach i dała wszystko z wyjątkiem ziemi. Zaproponujmy jej zapłatę. Możliwe, iż zgodzi się ją przyjąć, nie zdając sobie sprawy z wartości tego, co nam sprzedaje.

Wyczyścili do połysku wszystkie miedziane i brązowe monety, wsypali je do worka i dali starej kobiecie, ale odmówiła ich przyjęcia, ponieważ bardzo kochała swój stary dom.

- Zwiążmy ja i wsadźmy do dłubanki - zaproponował wówczas jeden z mężczyzn. - Potem puścimy dłubankę z prądem i w ten sposób pozbedziemy się staruchy, a żaden z nas nie splami sobie rąk jej krwią. Przywódca pokręcił głową,

- Jej duch z całą pewnością nawiedzałby nasze miasto - powiedział.

Wówczas dorzucili do worka nieco srebrnych monet, ale kobieta i tym razem nie zgodziła się sprzedać ziemi.

- Jest stara, więc pewnie już niedługo umrze - rzekł jeden z nich. -

Zostanę tu i będę się nią opiekował, a kiedy wybiję jej godzina, wrócę do was, przynosząc dobrą

wiadomość.

Jednak przywódca nie zgodził się na to, ponieważ dostrzegł żądzę mordu w oczach tego człowieka. Radzi nie radzi, dorzucili do worka całe złoto, jakie mieli - a nie było go zbyt wiele - i dali je kobiecie; ona jednak i tym razem odmówiła.

Wtedy przywódca zwrócił się do niej w te słowa:

- Powiedz nam, czego chcesz za tę ziemię. Muszę cię bowiem ostrzec, że zdobędziemy ją tak czy inaczej, a ja nie zdołam już dłużej powstrzymać moich kompanów.

Kobieta zastanowiła się głęboko, po czym odparła: - Budując miasto musicie założyć pośrodku ogród z drzewami, kwiatami i krzewami, w samym środku tego ogrodu wzniesiecie zaś mój pomnik wykonany z drogocennych kruszców.

Zgodzili się na to z ochotą i odpłynęli, a kiedy po pewnym czasie wrócili z dobytkiem, żonami i dziećmi, po starej kobiecie nie został żaden ślad. Rozebrali jej chatę, drewno spalili w ogniskach, a podczas budowy miasta jedli zgromadzone przez nią zapasy. W samym środku, zgodnie z obietnicą, założyli ogród - co prawda nie był zbyt duży, lecz zamierzali stopniowo go powiększać - pośrodku ogrodu zaś postawili pomnik z malowanego drewna.

Mijały lata; farba zniszczyła się, drewno popękało, a kwiatowe rabaty zarosły chwastami, mimo że zawsze znalazło się parę starych kobiet, które sadiły tulipany i hiacynty oraz karmiły okruszkami gołębie siadujące na ramionach drewnianej postaci.

Miasto zyskało piękną nazwę, piękne mury i piękne wieże, choć mury mogły co najwyżej bronić jego mieszkańców przed natarczywością żebraków, natomiast w pomieszczeniach na szczytach wież zamiast strażników mieszkały sowy. Ani wędrowcy, ani okoliczni rolnicy nie używali pięknej nazwy wymyślonej przez budowniczych; ci pierwsi zwali je Pestis, ci drudzy Urbis. Mimo to w mieście osiedliło się wielu kupców i cudzoziemców, dzięki czemu rozrastało się szybko, aż wreszcie dotarło do podnóża gór. Rolnicy bogacili się, sprzedając pola i łąki pod zabudowę.

Wreszcie pewien zamożny kupiec nabył zarośnięty chwastami ogród w Starej Dzielnicy i na jego rabatach postawił sklepy oraz magazyny. Kazał też ściąć i spalić w piecach stare jabłonie, grusze i śliwy, ponieważ drewno było w coraz większej cenie, a kiedy w ogień wrzucono także posąg starej kobiety, mieszkające w nim mrówki uciekały w popłochu przed zabójczym żarem.

Kiedy plony były słabe, ojcowie miasta gromadzili to, co udało się zebrać, po czym sprzedawali po ubiegłorocznych cenach. Jednak nadszedł rok szczególnie dotkliwego nieurodzaju, a wówczas kupcy, pragnąc podyktować wyższe ceny, zażądali wyjaśnień, jakim prawem ojcowie miasta postępują w taki sposób.

Jednocześnie podburzyli najuboższych obywateli, którzy zaczęli domagać się darmowego chleba. Wówczas ojcowie miasta przypomnieli sobie, że ich rodzice znali prawdziwą nazwę miasta, dzięki czemu zawsze i w każdej sytuacji mogli zapanować nad jego mieszkańcami; jednak, choć bardzo się starali, nie zdołali odnaleźć jej w pamięci.

Wybuchły zamieszki i pożary. a zanim zapanował względny spokój, miasto wyludniło się, ponieważ ludzie rozproszyli się po okolicy w poszukiwaniu jagód i malin, a także po to, by polować na dzikie króliki.

Miasto leży teraz w ruinie, a jego wieże dawno przewróciły się i zarosły krzakami; podobno mieszka w nim tylko jakaś stara kobieta, która w samym środku założyła niewielki ogród.

Kiedy skończyłem szeptać słowa, które przytoczyłem powyżej, Os prawie zniknęło nam z oczu.

Mimo to jeszcze długo nie ruszałem się z miejsca, oparty o reling na niewielkiej rufowej nadbudówce, wpatrując się w roziskrzoną wodę.

Ta część Gyoll, poniżej Thraxu. ale powyżej Nessus, ogromnie różni się od jej części między Nessus a morzem. Choć rzeka niesie z gór mnóstwo mułu i pokruszonego materiału skalnego, płynie jeszcze na tyle szybko, że balast ten nie odkłada się ani na dnie, ani przy brzegach, w związku z czym nie powstają meandry i zakola, rzeka zaś na odcinku długości co najmniej stu mil płynie idealnie prosto, jakby ktoś wyznaczył jej kierunek strzelając z ogromnego łuku.

Dzięki żaglom szybko dotarliśmy do środka koryta, gdzie prąd niośł nas z prędkością około trzech mil na wachtę; na masztach pozostawiono tylko tyle płótna, aby wiatr dodał nam nieco chyżości, dzięki czemu mogliśmy posługiwać się sterem. Niebo było czyste, roześmiane i pełne słońca, choć tuż nad wschodnim horyzontem miało Kolor nieprzeniknionej czerni. Od czasu do czasu delikatny wietrzyk wypełniający zrefowane żagle cichł bez ostrzeżenia, a wtedy różnobarwne flagi trzepoczące nad naszymi giowami zwisały bezwładnie niczym tusze upolowanej zwierzyny.

Niedaleko mnie od dłuższego czasu kręcili się dwaj marynarze, ale nie zwracałem na nich uwagi, przypuszczając, iż są tu po to, by w razie potrzeby jeszcze bardziej zmniejszyć powierzchnię bezana.

Kiedy jednak odwróciłem się i ruszyłem w stronę dziobu, przekonałem się, że obaj wpatrują się we mnie, a wtedy wreszcie ich poznałem.

- Nie posłuchaliśmy cię, sieur - wymamrotał Declan, - Ale to dlatego, że kochamy cię nad życie. Błagamy, byś zechciał nam

wybaczyć.

O ile do tej pory ani na chwilę nie spuszczał ze mnie wzroku, to teraz starał się ze wszystkich sił uniknąć mego spojrzenia.

Herena potwierdziła jego słowa skinieniem głowy.

- Moje ramię kazało mi iść za tobą, sieur. Będzie dla ciebie pracować, cerować, gotować i robić wszystko, co mu rozkażesz.

Nadal milczałem, więc dodała znacznie ciszej: - Tylko moje stopy nie chcą mnie słuchać...

Podążają za tobą wszędzie, dokądkolwiek pójdziesz.

- Słyszeliśmy klątwę, jaką rzuciłeś na Os - odezwał się ponownie Declan. - Co prawda nie władam piórem, sieur, ale zapamiętałem każde słowo i powtórzę ją komuś, kto będzie umiał ją zapisać.

Usiadłem obok nich na pokładzie,

- Nie zawsze postępuje słusznie ten, kto opuszcza miejsce, w którym się urodził.

Herena wyciągnęła przed siebie rękę - tę, którą dla niej stworzyłem - zacisnęła i rozprostowała palce, po czym obróciła ją raz i drugi, jakby jej się przyglądała.

- A czy słusznie postąpiłby ten, kto spotkałby władcę Urth i pozwolił mu odejść? Poza tym, gdybym została w wiosce, natychmiast zabrano by mnie do dworu pewnego optymata, który pragnął mnie poślubić. Ja jednak wolę iść z tobą, dokądkolwiek byś się skierował.

- Czy twój ojciec także podążył za mną? A może ktoś jeszcze? Jeśli chcesz zostać przy mnie, musisz powiedzieć mi prawdę.

- Nawet przez myśl by mi nie przeszło, żeby cię okłamać, sieur. Oprócz nas nie ma tu nikogo z Vici ani Gurgustii. Gdyby był, na pewno byśmy go zauważyli.

- Czy ty aby na pewno szłaś za mną, Hereno? A może razem z Declanem pobiegłaś przodem, tak jak uczyniłaś wtedy, kiedy ujrzałaś nas wychodzących z latającego statku?

- Ona nie chciała skłamać, sieur - odezwał się Declan. - To dobra dziewczyna. Po prostu tak jej się powiedziało.

-

Wiem o tym, A więc jednak szliście przed nami, prawda?

Mężczyzna skinął głową.

- Tak jest, sieur. Przedwczoraj usłyszała, jak twoja kobieta mówi coś o Os, więc kiedy wczoraj zabroniłeś nam iść za sobą...

Umilkł i zaczął drapać się po pokrytej szorstką brodzie, zapewne rozmyślając nad przyczynami, które skłoniły go do opuszczenia rodzinnej wioski.

- Ruszyliśmy przodem - dokończyła za niego Herena. - Powiedziałeś, że może ci towarzyszyć tylko ta kobieta oraz że nikomu nie wolno iść za tobą, ale przecież nie zabroniłeś nam pokazywać się w Os.

Wyruszyliśmy, kiedy Anian i Ceallach rzeźbili dla ciebie laskę.

- A więc dotarliście do miasteczka na długo przed nami. Zapewne rozmawialiście z ludźmi i

opowiedzieliście im, co zdarzyło się w waszych wioskach?

-

Nie mieliśmy złych zamiarów, sieur.

- "Nie miałam złych zamiarów", tak powinna powiedzieć - wtrącił się Declan. - Mówiła tylko wtedy, kiedy ją zapytali, za to ja gadałem bez przerwy, choć zazwyczaj milczę całymi dniami. Wszystko się zmieniło, sieur, kiedy mam mówić o tobie. - Zaczerpnął głęboko tchu w piersi, po czym dodał: - Trzy razy w życiu zostałem wychłostany.

sieur. Dwa razy przez poborców podatkowych, raz z wyroku sądu. Za drugim razem zatłukli mnie prawie na śmierć, bo tylko ja jeden z całej wioski odważyłem się im przeciwstawić. Jeśli jednak pragniesz mnie ukarać, nie musisz zadawać sobie tyle trudu. Wystarczy, że każesz mi skoczyć do rzeki, a ja natychmiast to uczynię, choć nie potrafię pływać.

Pokręciłem głową.

To nie twoja wina - odparłem. - Co prawda właśnie dzięki tobie Ceryx dowiedział się o mnie, a nieszczęsny Zama musiał umrzeć po raz drugi i trzeci, ale sam nie wiem, czy źle się stało, czy raczej dobrze. O tym, co było dobrem, a co złem, przekonamy się dopiero u kresu czasu; na razie możemy oceniać wyłącznie intencje i zamiary. Skąd wiedzieliście, że zamierzam wynająć właśnie tę łódź?

Wiatr przybrał nieco na sile, więc Herena otuliła się szczelnie chustą.

Udaliśmy się na spoczynek, sieur...

W gospodzie?

Declan odchrząknął z zażenowaniem.

Nie, sieur; w dużej beczce. Położyliśmy ją na ziemi, żeby w razie deszczu nie kapało nam na głowy, dziewczyna ułożyła się w środku, a ja przy otworze, tak żeby każdy, kto chciałby się do niej dostać, musiał najpierw przejść przeze mnie. Paru ludziom nie spodobały się nasze przygotowania, ale kiedy wyjaśniłem im, kim jesteśmy i dlaczego to robimy, zostawili nas w spokoju.

Dwóch z nich powalił na ziemię - wtrąciła Herena. - Chyba

jednak nic im się nie stało, bo od razu zerwali się na nogi i uciekli, aż się zakurzyło.

Ledwo zdążyliśmy zasnąć, kiedy obudził nas posługacz z oberży, w której zatrzymałeś się na noc, sieur - ciągnął Declan. - Zaczął

opowiadać o tym, co jadłeś i piłeś oraz że wskrzesiłeś martwego czło wieka. Poszliśmy zobaczyć to na własne oczy. W sali na dole było mnóstwo ludzi, którzy rozprawiali o niedawnych wydarzeniach; nie którzy z nich poznali nas. bo wcześniej opowiadaliśmy im o tobie. Nie mieliśmy pieniędzy, więc poczęstowali nas piwem - mogliśmy też najeść się do syta jajkami na twardo, bo te dają wszystkim,

którzy zamówią przynajmniej jeden kufel. Wtedy któryś z nich wspomniał, że ty i kobieta odpływacie z samego rana na pokładzie "Alcyone".

Herena potwierdziła jego słowa energicznym skinieniem głowy.

- A więc przyszliśmy tu o brzasku. Nasza beczka leżała niedaleko nabrzeża, a ja zbudziłam Declana, jak tylko zaczęło świtać. Kapitan jeszcze nie wrócił na pokład, ale spotkaliśmy jego zastępcę; kiedy dowiedział się, że jesteśmy gotowi zapłacić pracą za podróż, zgodził

się nas zabrać, więc od razu zaczęliśmy pomagać przy załadunku.

Zauważyliśmy cię od razu, jak przyszedłeś, sieur, i widzieliśmy wszystko, co wydarzyło się na brzegu. Od tamtej pory staramy się być tak blisko ciebie, jak to tylko możliwe.

Skinąłem głową, ale spoglądałem już w kierunku dziobu, ponieważ na przednim pokładzie zjawili się Hadelin i Burgundofara. Wiatr przyciskał do jej ciała mocno sfatygowany marynarski strój, ja zaś po raz kolejny zdumiałem się widząc, jak bardzo jest szczupła, ponieważ miałem jeszcze świeżo w pamięci potężne, umięśnione ciało Gunnie.

- Ta kobieta... - wyszeptał ochryple Declan. - Kiedy była pod pokładem, razem z kapitanem...

Nie pozwoliłem mu dokończyć.

- Wiem. Minioną noc także spędzili razem. Nie mam do niej

żadnego prawa. Może robić, co jej się podoba.

Właśnie wtedy Burgundofara wybuchnęła głośnym śmiechem, rozbawiona słowami Hadelina, i spojrzała w górę, na wypełnione wiatrem żagle.

Rozdział XXXIV

Ponownie Saltus

Jeszcze przed południem pędziłem niczym jacht podczas regat. Wiatr świszczwał w takielunku, a pierwsze wielkie krople deszczu znaczyły wyblakłe płótno niby plamy ciemnej farby. Ze swego stanowiska przy relingu na nadbudówce przyglądałem się, jak załoga coraz bardziej zmniejsza i tak już niewielką powierzchnie żagli. Kiedy zjawił się Hadelin i z przesadną uprzejmością poprosił, bym zechciał skryć się pod pokład, zapytałem go, czy nie powinniśmy przeczekać wichury przy brzegu.

- Nie możemy, sieur. Aż do Saltus nic ma żadnej przystani, a na tym odcinku rzeki najlepiej jest trzymać się środka koryta. Niebawem naprawdę mocno dmuchnie, ale ta łajba wytrzymała już gorsze przygody.

Popędził na śródkręcie, aby zbesztać guzdrających się, jego zdaniem, marynarzy.

Przeszedłem na dziób. Zdawałem sobie sprawę, iż już wkrótce mogę utonąć, ale ku swemu zdziwieniu stwierdziłem, że wcale się tym nie przejmuję. Bez względu na to, czy miałem przed sobą wiele lat, czy tylko niespełna wachtę życia, nic nie mogło zmienić faktu, że osiągnąłem zamierzony cel, a jednocześnie poniosłem sromotną klęskę. Sprowadziłem Nowe Słońce, które nie zdoła dotrzeć do Urth za mego życia, ani nawet za życia mych potomków. Gdybyśmy jednak zdołali dotrzeć do Nessus, nie pozostałoby mi nic innego jak tylko ponownie zasiąść na tronie Feniksa, dokonać ocen y postępowania suzerena, który zastąpił ojca Inire (byłem bowiem pewien, iż wspomniany przez wieśniaków „monarcha” nie może być ojcem Inire), nagrodzić go lub ukarać, w zależności od tego, na co sobie zasłużył, potem zaś spędzić resztę życia wśród jałowego przepychu Domu Absolutu lub okropieństw pól bitewnych. Gdyby przyszło mi do głowy spisać relację z tych wydarzeń, podobną do tej, którą cisnąłem w międzygwiazdną

pustkę ze statku Tzadkiel, nie znalazłoby się w niej nic, co mogłoby zainteresować nawet najmniej wymagającego czytelnika.

Wichura szarpała mój płaszcz jak czarną banderę i łopotała łacińskim żaglem podobnym do skrzydeł jakiegoś monstrualnego ptaka, przedni żagiel został całkowicie zwinięty, lecz i tak “Alcyone”

gnała po spienionych wodach Gyoll niczym ogarnięty szaleństwem rumak, pierwszy oficer trzymał się kurczowo baksztagu i klął monotonicznie, przerywając jedynie dla nabrania oddechu. Na mój widok przerwał nie kończącą się litanie, pospiesznie ściągnął czapkę - nie rozumiem, jakim sposobem trzymała mu się na głowie w tym huraganowym wietrze - i wykrzyknął:

- Czy mogę z tobą porozmawiać, sieur?

Uśmiechnąłem się i skinąłem głową.

-

Przypuszczam, że nie możecie zwinąć wszystkich żagli, bo wów

czas utracilibyśmy sterowność?

Właśnie wtedy wichura uderzyła w nas z pełną siłą. "Alcyone" położyła się na burtę, a kiedy się wyprostowała (fakt, że zdołała to uczynić, przynosi wielką chwałę jej budowniczym), woda wokół nas zagotowała się pod uderzeniami gradu. Łoskot, jaki czyniły lodowe pociski uderzając o pokład, był

ogłuszający. Oficer pospiesznie ukrył się pod okapem górnego pokładu, ja zaś nie zwlekając poszedłem w jego ślady. Jak tylko znalazłem się przy nim, ku memu zdumieniu padł przede mną na kolana.

☐ Sieur, błagam ci ę, nie pozwól nam zatonąć! Nie chodzi mi o mnie, ale o moją żonę i dzieci! Pobraliśmy się zaledwie rok temu i...

☐ Na jakiej podstawie sądzisz, że jestem w stanie ocalić wasz statek?

- Chodzi o kapitana, prawda, sieur? Zajmę się nim, jak tylko zapadnie zmrok. - Musnął palcami rękojeść sztyletu o długim ostrzu, który miał przytroczone do pasa. - Jest paru takich, co staną po mojej stronie. Zrobię to, sieur, przysięgam na wszystko, co mi drogie!

-

Widz ę, że zamierzasz stanąć na czele buntu - odparłem.

Wygadujesz jakieś brednie. - Łódź ponownie przechyliła się tak mocno, że koniec głównej reidy zanurzył się w wodzie. - Nie potrafię uciszać burz, tak samo jak nie potrafię...

Umilkłem, ponieważ stwierdziłem, że przemawiam do powietrza. Oficer wyskoczył spod okapu i zniknął za zasłoną gradu i deszczu.

Wzruszywszy ramionami, usiadłem na tej samej wąskiej ławeczce, z której obserwowałem załadunek towarów, a raczej ponownie zanurzyłem się w tej samej otchłani, w którą skoczyłem wraz z Burgundofarą pod przedziwną kopułą na Yesodzie; spadając w przepaść bez dna, posadziłem na ławeczce bezwolną marionetkę, poruszając nią za pomocą sznurków, z których każdy mógłby zadusić połowę Briaha.

Po pewnym czasie - równie dobrze mogło minąć dziesięć, jak i sto oddechów - oficer wrócił w towarzystwie Hereny i Declana. Znowu ukląkł przede mną, oni zaś przycupnęli u moich stóp.

- Ucisz burzę, sieur - powiedziała Herena błagalnym tonem. -

Przecież już raz okazałeś nam łaskę. Ty nie umrzesz, ale my na pewno zginiemy. Wiem, że cię rozgniewaliśmy, ale uczyniliśmy to nieświadomie i prosimy cię o wybaczenie.

Declan przytaknął jej bez słowa.

- Takie gwałtowne jesienne burze nie są niczym nadzwyczajnym

nym - odparłem. - Ta również wkrótce się skończy, podobnie jak wszystkie przed nią.

- Sieur... - wykrztusił Declan, ale natychmiast umilkł, jakby zabrakło mu odwagi.

O co chodzi? Możesz mówić bez obawy.

Widzieliśmy cię oboje. Kiedy spadł grad, byliśmy na pokładzie.

Oficer skrył się pod okapem, a ty ruszyłeś w jego stronę... Nie spadła na ciebie ani jedna kulka lodu, nie dotknęła cię ani jedna kropla deszczu. Spójrz na nasze ubrania, sieur.

- Dlaczego miałbym się im przyglądać?

- Są całkowicie przemoczone, sieur - odparł zamiast Declana

oficer. - Podobnie jak moje. Wszyscy jesteśmy mokrzy. Dotknij swojego płaszcza, sieur, albo policzków.

Uczyniłem to i stwierdziłem, że są zupełnie suche.

Kiedy ludzki umysł napotyka na coś niewytłumaczalnego, rozpaczliwie próbuje się ratować, odwołując się do, co prawda, bezużytecznych, ale jednak racjonalnych wyjaśnień. Tak samo miała się rzecz w moim przypadku: pomyślałem po prostu, że mój płaszcz został uszyty z wodoodpornego materiału, twarz zaś pozostała sucha dlatego, że była osłonięta kapturem.

Odwróciwszy się w stronę, z której dął wiatr, ujrzałem deszcz zacinający mi prosto w oczy i usłyszałem świst lodowych pocisków

przemykających koło moich uszu, lecz na skórze nie poczułem ani jednego zimnego ukąszenia, moja twarz zaś, ręce i ubranie pozostały równie suche jak w słoneczną pogodę. Poczułem się tak, jakby słowa wędrownych proroków (te same słowa, które zawsze uważałem za głupie i nie warte uwagi) stały się prawdą, to natomiast, co widziałem i czułem, było jedynie złudzeniem.

Niemal wbrew swojej woli zacząłem przemawiać szeptem do nawałnicy. Początkowo zamierzałem rozmawiać z nią jak z człowiekiem, lecz ze zdumieniem stwierdziłem, iż z moich ust wydobywa się szum łagodnego wiatru, dobiegające z daleka odgłosy cichnącej burzy oraz delikatny szelest deszczu padającego na Yesodzie.

Zaledwie po kilku chwilach wiatr ucichł; parę grudek lodu wpadło z donośnym pluskiem do wody niczym kamyki rzucone przez rozbawione dziecko, po czym nastąpiła cisza. Wiedziałem, że burza skryła się tam, skąd nadeszła, to znaczy we mnie - muszę przyznać, iż nie jestem w stanie opisać tego doznania.

Wcześniej całkiem nieświadomie wysłałem w świat moje uczucia, one zaś przeistoczyły się w szalejącego potwora o sile dziesięciu tysięcy olbrzymów. Teraz na powrót stały się zwykłymi uczuciami, w związku z czym ogarnęła mnie znowu ta sama wściekłość co przedtem, może nawet trochę większa, gniew bowiem ogarniał mnie na samą myśl o tym, że nie jestem w stanie wyznaczyć

granicy oddzielającej mnie od tego nikczemnego, niezrozumiałego świata. Czy wiatr był moim oddechem, czy raczej mój oddech stawał

się wiatrem? Czy szum wypełniający moje uszy był szumem mej krwi. czy wezbranych wód Gyoll płynących jej kamienistym korytem? Z rozkoszą przekląłbym to wszystko, lecz nie uczyniłem tego, lękając się następstw, jakie mogło pociągnąć za sobą moje przekleństwo.

- Dziękuję, sieur! Dziękuję z całego serca!

Oficer ponownie padł na kolana i gdybym mu pozwolił, z pewnością ucałowałby czubek mego buta. Ja jednak kazałem mu wstać i poleciłem, by porzucił wszelkie myśli o zabójstwie kapitana Hadelina; w końcu musiał mi przysiąc, że nie podniesie ręki na dowódcę, ponieważ stało się dla mnie jasne, że podobnie jak Declan i Herena nie zawaha się postąpić wbrew moim pleceniom, jeśli tylko uzna, iż w ten sposób zdoła mi się w jakiś sposób przysłużyć. Chcąc nie chcąc, stałem się jarmarcznym cudotwórcą, ci zaś nie cieszą się takim posłuchem jak autarchowie.

Pozostała część dnia nie obfitowała w godne uwagi wydarzenia. Wiele myślałem, lecz prawie nic nie robiłem, naturalnie jeśli nie liczyć bezustannych wędrówek między śródkręciem a przednim pokładem oraz gapienia się na umykające do tyłu brzegi. Herena, Declan oraz wszyscy marynarze pilnie schodzili mi z drogi, ale kiedy Urth dotknęła krawędzi czerwonego słońca, wezwałem Declana i wskazałem wschodni brzeg, skąpany w szkarłatnych promieniach gasnącej gwiazdy.

- Widzisz te drzewa? - zapytałem. - Niektóre stoją w szeregach i dwuszeregach jak żołnierze, inne tworzą kwadraty, jeszcze inne trój kąty i trapezy. Czy to sady?

Pokręcił ze smutkiem głową.

- Marny w tym roku urodzaj na owoce, sieur. Ja też mam parę drzewek, ale zebrałem tylko trochę zielonych jabłek, które nadają się co najwyżej do gotowania.

-

Ale to są sady?

- Owszem.

-

Czy na zachodnim brzegu także?

- Te brzegi są za strome, żeby założyć na nich pola, sieur. Po pierwszej orce deszcze spłukałyby y całą glebę do rzeki. Na szczęście całkiem nieźle rosną na nich drzewa owocowe.

Kiedyś zatrzymałem się w wiosce zwanej Saltus - powiedziałem bardziej do siebie niż do niego. - Było tam niewiele pól i mało bydła, ale na północ od niej zaczynały się rozległe sady.

Zaba wne, że akurat teraz to sobie przypomina łoś, sieur -

odezwał się Hadelin. Stał kilka kroków od nas i widocznie usłyszał

moje słowa. - Najdalej za pół wachty przybijemy do brzegu w Saltus.

Miał minę jak chłopiec oczekujący tęgiego lania. Odprawiwszy Declana, uspokoiłem go mówiąc, że nie ma się czego obawiać, bo choć początkowo byłem zły na niego i Burgundofarę, to gniew już mi minął. -

Dziękuję, sieur. - Na chwilę odwrócił wzrok, zawahał się, po czym spojrzał mi w prosto w oczy i powiedział coś, co wymagało niesłychanej odwagi moralnej: - Na pewno myślisz, sieur, że robiliśmy sobie z siebie żarty, ale to nieprawda. Wtedy, w oberży, myśleliśmy, że nie żyjesz, a potem, w twojej kajucie, po prostu nie mogliśmy się opanować. Zupełnie jakby coś nas pchało ku sobie.

Popatrzyliśmy na siebie i zanim się obejrzelśmy, było już po wszystkim. Oboje sądziliśmy, że za karę zginiemy, i niewiele brakowało, żeby tak się stało.

-

Teraz nie musicie się już niczego lękać - zapewniłem go.

- Zejdę pod pokład i powiem jej o tym.

Ruszyłem na dziób, lecz szybko przekonałem się, iż znacznie lepszy widok będę miał z nadbudówki na rufie. Stałem tam, obserwując północno-zachodni brzeg, kiedy pojawił się Hadelin prowadząc ze sobą Burgundofarę. Na mój widok dziewczyna puściła jego rękę i przeszła na drugą stronę pokładu.

Jeśli wypatrujesz przystani, sieur, to właśnie pojawiła się przed dziobem. Widzisz? Nie szukaj zabudowań, lecz dymu z kominów.

Tak, teraz widzę.

Z pewnością przygotowują już dla nas wieczerzę. Jest tam cał

kiem przyzwoita gospoda.

Wiem - odparłem, wpatrzony w przesuwane się przed moimi

oczami wspomnienia o wędrowce u boku Jonasa przez gęsty las, po tym, jak kawalerz yści rozproszyli naszą małą grupkę przy Bramie Żalu, o winie, które polało się z dzbanów zamiast wody, oraz o wielu innych rzeczach. Sama wioska wydała mi się większa niż wtedy; okazało się też, że domy, które zapamiętałem jako wzniesione z ka mienia.

w rzeczywistości są drewniane.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu kamiennego słupa, do którego była przykuta Morwenna. Kiedy po raz pierwszy zamieniłem z nią kilka słów; znalazłem splechatek nagiej ziemi w miejscu, gdzie stał, ale ani po słupie, ani po łańcuchach nie został żaden, nawet najmniejszy ślad. Sięgnąłem więc do pamięci, która nigdy mnie nie zawodzi - może tylko z nielicznymi wyjątkami - i ponownie ujrzałem

słup z szarego kamienia, usłyszałem ciche dzwonienie łańcucha oraz zobaczyłem dom Barnocha o kamiennych ścianach.

-

Minęło wiele czasu - powiedziałem do Hadelina.

Marynarze zlurowali fały, żagle z łopolem opadły na pokład, lecz

“Alcyone”, pchana siłą rozpędu, w dalszym ciągu podążała ku przystani. Na dziobie i wzdłuż burty ustawili się majtkowie z bosakami, gotowi w zależności od potrzeby przyciągnąć łódź do nabrzeża lub odepchnąć ją od niego.

Obyło się bez dodatkowych manewrów. Kilku próżniaków chwyciło rzucone im cumy i założyło je na pacholki, sternik zaś ustawił nas z taką precyzją, że parciane odboje wywieszane za burtę łodzi zaledwie zetknęły się z kamienną ścianą nabrzeża.

- Okrutna była dziś burza, kapitanie! - zawołał jeden z portowych łaźników. - Dopiero co się przejaśniło. Na ulicach woda po kostki! Macie szczęście, żeście się z nią rozminęli.

- Nie rozminęliśmy się - odparł Hadelin.

Zszedłem na ląd niemal pewien, że istnieją dwie wioski o tej samej nazwie, na przykład Saltus i Nowe Saltus, albo coś w tym rodzaju.

Dotarwszy do gospody przekonałem się, iż nie przypomina tej z moich wspomnień, choć też wcale się tak bardzo od niej nie różni. Podwórze i studnia były niemal takie same, podobnie jak szeroka brama przeznaczona dla jeźdźców i powozów. Zająłem miejsce w sali jadalnej i zamówiłem kolację u nieznanego oberżysty, zastanawiając się przez cały czas, czy Burgundofara i Hadelin usiądą ze mną przy stole.

Nie usiedli, natomiast jakiś czas później uczynili to Herena i Declan. Przytowadźili ze sobą marynarza o śniadej cerze - jednego z tych, którzy stali przy burcie z bosakami - oraz niechlujnie ubraną kobietę

o nieruchomej twarzy, pełniącą podobno funkcję kucharki na łodzi Hadelina. Poprosiłem ich, by zechcieli się przysiąc, na co zgodzili się z pewnymi oporami, dawszy mi uprzednio do zrozumienia, że nie oczekują ode mnie poczęstunku. Przypuszczając, że marynarz jest tu częstym gościem, zapytałem go, czy w okolicy są jakieś kopalnie; odparł, iż niespełna rok temu w zbroczu pobliskiego wzgórza wydrążono pierwszą sztolnię oraz że wydobyto już sporo bardzo interesujących i cennych przedmiotów.

Z ulicy dobiegł odgłos równego marszowego kroku, przywołując mi na myśl oddział żołnierzy, maszerujący z pieśnią na ustach ulicami tego Saltus, do którego przybyłem kiedyś jako skazany na wygnanie czeladnik. Miałem zamiar wspomnieć o tym wydarzeniu, w nadziei, że skieruję rozmowę na temat wojny z Ascjanami, kiedy rozległa się donośna komenda, kroki umilkły, drzwi zaś otworzyły się gwałtownie i do oberży wkroczył paradnie umundurowany oficer, za nim zaś oddział

muszkieterów.

W sali, którą do tej pory wypełniał gwar licznych rozmów, zapadła martwa cisza.

- Pokaż mi człowieka, którego zwiecie Łagodzicielem! - polecił

oficer wystraszonemu oberżyscie.

Zanim właściciel gospody zdołał wykonać jakikolwiek ruch, Burgundofara podniosła się z miejsca i wyciągnęła rękę w moją stronę.

Rozdział XXXV

Ponownie Nessus

Żyjąc wśród katów wielokrotnie widywałem bitych klientów - bitych nie przez nas, ponieważ my zadawaliśmy tylko takie katusze, jakie zlecono wyrokiem sądu, lecz przez żołnierzy, którzy eskortowali nieszczęśników w drodze do i z Cytadeli. Bardziej doświadczeni zasłaniaли głowy i twarze ramionami, podbrzusza zaś goleniami; co prawda, w ten sposób eksponuje się kręgosłup, lecz tego i tak nie da się ochronić.

Zaraz po tym, jak zostałem wywleczony przed oberżę, usiłowałem się bronić, więc należy przypuszczać, iż największe cięgi dostałem właśnie wtedy, a także nieco później, kiedy straciłem przytomność (a raczej kiedy straciła przytomność marionetka, którą sterowałem z bardzo, bardzo daleka), Ocknąwszy się stwierdziłem, że razy w dalszym ciągu spadają na moje ciało, i spróbowałem zastosować tę samą metodę co nasi klienci.

Żołnierze kopali mnie ciężkimi buciorami oraz, co było znacznie bardziej niebezpieczne, tłukli okutymi kolbami muszkietów. Ból docierał do mojej świadomości jakby przez ścianę; znacznie większe wrażenie robiły na mnie same ciosy, gwałtowne i niespodziewane.

Nagle zapanował spokój, oficer zaś kazał mi podnieść się z ziemi. Dźwignąłem się na nogi, lecz natychmiast straciłem równowagę i upadłem, dostałem tęgiego kopniaka, ponownie wstałem i ponownie runąłem jak długi. Poczulem, że na szyję zakładają mi rzemienią pętlę; gwałtowne szarpnięcie, które poderwało mnie z ziemi, prawie mnie udusiło, lecz napięty rzemień pomógł mi utrzymać się na nogach. W ustach miałem pełno krwi; wyplułem ją, lecz zaraz napłynęła kolejna porcja. Zacząłem się zastanawiać, czy aby któreś ze złamanych żeber nie przebiło płuc.

Na ulicy leżało bez ruchu czterech muszkieterów; z trudem przypominałem sobie, jak wyrwałem jednemu z nich broń, lecz nie wiedziałem,

jak ją odbezpieczyć, w związku z czym mogłem się nią posługiwać tylko jak maczugą. Czasem od takich drobnostek zależy dalszy bieg naszego życia. Okazało się, że spośród tej czwórki trzech nie żyje,

- Zabiłeś ich! - ryknął na mnie oficer.

Splunąłem mu w twarz krwią.

Spodziewałem się, że za ten bezsensowny czyn zostanę ukarany kolejnym biciem i zapewne by się tak stało, gdyby nie to, że otaczało nas co najmniej stu ludzi, obserwujących zajście w świetle sączącym się z okien gospody. Tłum zamruczał groźnie i zafalował, ja zaś odniosłem wrażenie, iż przynajmniej część żołnierzy podziela jego uczucia: przypominali strażników ze sztuki doktora Talosa, starających się ochronić Mes chiane, czyli Dorcas, która była ma tką nas wszystkich.

Dostarczono nosze, położono na nich ranego muszkietera i kazano dwóm wieśniakom nieść go za oddziałem. Martwym musiał wystarczyć wóz ciągnięty przez woły. Pozostali żołnierze otoczyli mnie ciasnym pierścieniem, po czym, pod wodzą oficera, ruszyliśmy w kierunku oddalonej o kilkaset kroków przystani.

Wkrótce potknąłem się i upadłem, a wówczas z tłumu doskoczyli do mnie dwaj ludzie i pomogli mi się podnieść. Dopóki nie stanąłem z powrotem na nogach, przypuszczałem, że to Declan i śniadoskóry żeglarz, albo może Declan i Hadelin, ale spojrzawszy na nich stwierdziłem, że widzę ich po raz pierwszy w życiu. Zdarzenie to rozwścieczyło oficera, kiedy bowiem upadłem po raz drugi, dobył

pistolet i strzelił im pod nogi, po czym rzucił się na mnie i kopał tak długo, aż sam się podniosłem, korzystając wyłącznie z pomocy rzemiennej pętli i ciągnącego za nią z całej siły żołnierza.

“Alcyone” stała tam, gdzie ją zostawiliśmy, obok niej jednak pojawiła się jednostka, jakiej nigdy nie widziałem, o maszcie tak cienkim, że wydawało się niemożliwe, by utrzymał jakikolwiek żagiel, oraz z zainstalowanym na przednim pokładzie obrotowym działem nieco mniejszym od tego, w które była uzbrojona „Samru”.

Widok działa oraz stojących przy nim marynarzy napełnił chyba otuchą serce oficera, ponieważ kazał mi zatrzymać się, stanąć twarzą do tłumu i wskazać swoich uczniów. Odparłem, że nie mam ani jednego oraz że nie znam żadnego z tych ludzi, na co on uderzył mnie ręką pistoletu. Dźwignąwszy się na nogi ujrzałem przed sobą Burgundofarę:

była tak blisko, że gdyby zechciała, mogłaby mnie dotknąć. Oficer powtórzył rozkaz, ona zaś zniknęła w ciemności.

Być może uderzył mnie ponownie, kiedy znowu mu odmówiłem, ale nie przypominam tego sobie.

Unosiłem się nad horyzontem, na próżno śląc życiową energię ku zmaltretowanej figurce rozciągniętej na ziemi tak bardzo daleko ode mnie. Odległość była tak wielka, że moje wysiłki okazały się bezskuteczne, wobec tego postanowiłem wykorzystać energię nagromadzoną w Urth. Kości marionetki natychmiast się zrosły, a rany zasklepiły; przy okazji stwierdziłem z niepokojem, że rękojeść pistoletu rozplatała ten sam policzek, który kiedyś rozorały stalowe szpony Agii, zupełnie jakby stara rana pojawiła się na nowo, tyle że już nie tak głęboka.

Była jeszcze noc. Leżałem na gładkich deskach, które jednak skakały i kołysały się we wszystkie strony, jakby przywiązano je do grzbietu najbardziej niezgrabnego rumaka, jaki kiedykolwiek galopował

po powierzchni Urth. Usiadłem, co pozwoliło mi stwierdzić, że znajduję się na pokładzie statku oraz że leżę w kałuży własnej krwi i wymiocin, przykuty do pachołka łańcuchem, którego drugi koniec łączy się z żelazną obręczą opasująca mi nogę w kostce. Nie opodał stał pilnujący mnie muszkieter; jedną ręką trzymał się wanty i na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, iż z najwyższym trudem utrzymuje równowagę na rozkołysanym pokładzie. Poprosiłem go o wodę. Maszerując przez dżunglę z Vodalusem zdążyłem się nauczyć, że będąc więźniem należy przy każdej nadarzającej się sposobności prosić o przysługę; co prawda, prośba rzadko kiedy bywa spełniona, ale nawet w przypadku odmowy nic się nie traci.

Zasada ta znalazła kolejne potwierdzenie, kiedy - ku memu zaskoczeniu strażnik niezbyt pewnym krokiem skierował się na rufę, by po chwili wrócić z wiadrzem wody zaczerpniętej z rzeki. Wstałem.

umylem się najlepiej, jak potrafiłem, na ile było to możliwe, doprowadziłem do porządku ubranie, po czym rozejrzałem się dokoła; było warto, ponieważ otoczenie okazało się ze wszech miar godne zainteresowania.

Burza oczyściła niebo, oddając je we władanie gwiazdom. Było ich tyle i świeciły tak jasno, iż można było odnieść wrażenie, że samo

Nowe Słońce przemknęło przez nocne niebo niczym pochodnia, rozsiewając niezliczone iskry. Zza wież i kopuł majaczących na zachodnim brzegu rzeki, nieśmiało wychylała się zielona Luna.

Bez pomocy żagli ani wiosł pędziliśmy w dół rzeki z prędkością zapierającą dech w piersi. Płynące pod pełnymi żaglami feluki i kara-wele zdawały się stać na kotwicach pośrodku rzeki; śmigaliśmy między nimi jak jaskółka między kamiennymi monolitami. Za rufą w powietrze strzelały dwie fontanny wody, poderwanej w górę jakąś tajemniczą siłą i spadającej z powrotem ku rzece w postaci deszczu drobnych kropli.

Gdzieś niedaleko rozległy się gardłowe, zduszone dźwięki, nieco przypominające słowa, jakby jakaś cierpiąca bestia próbowała coś powiedzieć najpierw pełnym głosem, potem zaś, uświadomiwszy sobie, że nie ma na to dość sił, choćby szeptem. Na pokładzie, w pobliżu miejsca, gdzie jeszcze niedawno leżałem, dostrzegłem nieruchome ciało oraz sylwetkę klęczącego przy nim człowieka. Mój łańcuch okazał się za krótki, bym zdołał do nich podejść; uklękłem więc, aby wydłużyć go przynajmniej o moją goleń, dzięki czemu zdołałem zbliżyć się na tyle, żeby rozpoznać obu ludzi.

Byli to muszkieterzy. Ten leżący na wznak nie poruszał się, choć nie był martwy; na jego twarzy dostrzegłem wyraz ogromnego cierpienia. Chyba zauważył, że mu się przyglądam, gdyż ponownie spróbował coś wyszeptać.

- Daj spokój, Eskil - wymamrotał klęczący przy nim żołnierz. -

Teraz to już i tak bez znaczenia.

- Twój przyjaciel ma złamany kark - powiedziałem.
- Kto ma o tym wiedzieć lepiej niż ty, proroku.
- A więc to ja mu go złamałem... Tak mi się wydawało.

Z ust Eskila znowu wydobył się zduszony ni to jęk, ni szloch. Jego towarzysz nachylił się nad nim tak nisko, że prawie przyłożył mu ucho do wykrzywionych warg.

- Prosi, żebym go zabił - oznajmił, prostując się. - Powtarza to przez całą wachtę, od chwili, kiedy odbiliśmy od brzegu.

- Zrobisz to?
- Nie wiem.

Do tej pory miał muszkiet przewieszony przez ramię, ale teraz zdjął go i położył na pokładzie.

Dostrzegłem błysk naoliwionej lufy.

- I tak wkrótce odejdziesz, bez względu na to, co uczynisz. Chyba będzie ci lżej, jeśli pozwolisz mi umrzeć naturalną śmiercią.

Być może powiedziałbym coś jeszcze, ale zauważyłem, że lewa ręka Eskila porusza się powoli, więc umilkłem i obserwowałem ją uważnie. Pełzła w kierunku muszkietu niczym pajak z przetrąconymi odnóżami; wreszcie dotarła do celu, zacisnęła się na kolbie i rozpoczęła mozolną wędrówkę z powrotem.

Przyjaciel rannego żołnierza mógł bez trudu odebrać mu broń, ale wydawał się równie zafascynowany jak ja.

Pomału, z ogromnym wysiłkiem, Eskil przyciągnął muszkiet i skierował go w moją stronę. W srebrzystym blasku gwiazd widziałem wyraźnie, jak jego sztywne palce gmerają nieporadnie przy bezpieczniku.

Jaki kat, taka ofiara. Wcześniej mógłbym się uratować, gdybym wiedział, jak odbezpieczyć broń.

On, dla którego była to najprostsza czynność pod słońcem, zabiłby mnie teraz, gdyby nie to, że zabrakło mu sił. Obaj bezradni jak dzieci, patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

Wreszcie mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa i muszkiet z łoskotem upadł na pokład, ja natomiast poczułem, że serce pęka mi z żalu. Gdybym w tej chwili miał broń w ręku, z pewnością wycelowałbym ją w swoją pierś i nacisnął spust. Poruszyłem ustami, lecz nie mam pojęcia, co powiedziałem.

Eskil usiadł bez najmniejszego trudu.

Niemal jednocześnie statek zmniejszył prędkość, pokład wrócił do poziomu, a fontanny wody tryskające za rufą znikły, tak jak niktne fale w chwili, gdy dotrze do plaży. Wstałem, aby zorientować się, gdzie jesteśmy. Eskil uczynił to samo, zaraz potem zaś dołączyli do nas jego przyjaciel oraz pilnujący mnie żołnierz.

Tuż za lewą burtą wznosił się wysoki brzeg Gyoll, którego krawędź przecinała nocne niebo niczym ostrze miecza. Niesieni prądem sunęliśmy wzdłuż niego w niemal całkowitej ciszy, wypełnionej jak puchem delikatnym szumem silników, jeszcze niedawno ryczących pełną mocą. Dość szybko dotarliśmy do wykutych w stromiznie schodów, lecz nie czekał na nich nikt, kto chwyciłby rzuconą cumę, w związku z czym musiał to uczynić jeden z członków załogi, najpierw zręcznie zeskoczywszy na brzeg.

Chwilę potem wąski trap połączył pokład statku ze schodami.

Na rufie pojawił się oficer w otoczeniu muszkieterów niosących pochodnie. Na widok Eskila

zatrzymał się raptownie, po czym wezwał do siebie jego trzech towarzyszy i przez dłuższy czas naradzali się półgłosem. Ponieważ dzieliła nas spora odległość, nie usłyszałem ani słowa.

Wreszcie narada dobiegła końca, oficer zaś zbliżył się do mnie w towarzystwie mego strażnika. Żołnierze z pochodniami szli dwa kroki za nimi. Przez dwa lub trzy oddechy przyglądał

mi się w milczeniu, po czym rozkazał:

- Ściągnijcie mu koszulę.

Eskil i jego przyjaciel wystąpili krok naprzód.

-

Musisz zdjąć koszulę, sieur - powiedział Eskil. - Jeśli tego

nie uczynisz, zedrzymy ją z ciebie.

- Naprawdę to zrobisz? - zapytałem, aby go wypróbować.

Wzruszył tylko ramionami, więc zrzuciłem z ramion fuliginowy płaszcz, który zabrałem ze statku Tzadkiel, następnie zaś ściągnąłem przez głowę koszulę i także pozwoliłem jej upaść na pokład.

Oficer zbliżył się jeszcze bardziej, po czym kazał mi odwrócić się najpierw w jedną, a potem w drugą stronę, by w blasku pochodni dokładnie obejrzeć moją klatkę piersiową.

-

Na dobrą sprawę powinieneś nie żyć... - mruknął. - A więc to wszystko prawda, co mówią o tobie.

Nie mogę ani potwierdzić, ani zaprzeczyć, ponieważ o niczym nie słyszałem.

Nie oczekuję od ciebie żadnych potwierdzeń ani zaprzeczeń.

Możesz się ubrać.

Schyliłem się po płaszcz i koszulę, ale już ich nie było. Oficer zaklął pod nosem.

- No, tak. Ktoś je podwędził, przypuszczalnie któryś z marynarzy. - Zerknął podejrzliwie na przyjaciela Eskila. - Musiałeś to widzieć, Tanco.

- Patrzyłem na jego twarz, sieur, nie na ubranie. Ale spróbuję je odnaleźć.

Oficer skinął głową.

- Weź ze sobą Eskila.

Na jego znak jeden z żołnierzy oddał pochodnię koledze i pochylił

się, by uwolnić moją nogę.

- Niczego nie znajdą - mruknął do mnie, czekając, aż jego

podwładny upora się z zamkiem. - Na statku takim jak ten musi być mnóstwo kryjówek, a tylko marynarze znają je wszystkie.

Zapewniłem go, że nic jest mi zimno, lecz on mimo to zdjął pelerynę stanowiącą część jego munduru i zarzucił mi ją na ramiona.

- Człowiek, który ukradł ci ubranie, zapewne potnie je na kawałki i będzie sprzedawał jako relikwie.

Myślę, że zbije na tym spory majątek. Weź to, w kabinie mam drugą.

Nic powiem, żeby spodobała mi się ta oferta, ale byłoby głupotą z niej nie skorzystać.

- Muszę skuć ci ręce. Takie przepisy.

W blasku pochodni kajdany zaśniły, jakby były z srebra, ale kiedy zatrzasnęły się na moich przegubach, stwierdziłem, że są całkiem zwyczajne i tak jak wszystkie wrzynają się boleśnie w ciało.

We czwórkę przeszliśmy po trapie na schody, które sprawiały wrażenie zbudowanych całkiem niedawno, wspięliśmy się na nie i podążyliśmy wąską ulicą, wzdłuż której ciągnęły się zaniedbane ogrody oraz mocno zniszczone domy, w zdecydowanej większości parterowe. Na przedzie szedł

żołnierz z pochodnią, ja za nim. Za mną oficer z pistoletem o boku, pochód zaś zamykał drugi żołnierz niosący pochodnię. Jedynym człowiekiem, jakiego spotkaliśmy po drodze, był jakiś robotnik wracający do domu.

Obejrzałem się przez ramię i zapytałem oficera, dokąd mnie prowadzi.

- Do starego portu. W jednym z wraków urządzono coś w rodzaju aresztu.

- A potem?

Nie widziałem go, ale bez trudu wyobraziłem sobie, jak wzrusza ramionami.

- Nie wiem. Dostałem tylko rozkaz, żeby cię zatrzymać i dostarczyć aż tutaj.

O ile mogłem się zorientować "tutaj" było czymś w rodzaju ogólnie dostępnego ogrodu. Zanim weszliśmy w mrok roztaczający się pod drzewami, spojrzałem w górę i ujrzałem się na niebie, migoczącego przez ruchomą zasłonę z liści.

Rozdział XXXVI

Ponownie Cytadela

Liczyłem na to, że zanim mnie zamkną, zdążę jeszcze zobaczyć wschód starego słońca, ale tak się nie stało. Bardzo długo - takie przynajmniej odniosłem wrażenie - wspinaliśmy się po łagodnym zboczu. Niesione przez żołnierzy pochodnie kilkakrotnie wzniewały miniaturowe pożary wśród rdzawych liści szeleszczących nad naszymi głowami; wydzielały dym o intensywnym zapachu, będący nieomylnym znakiem jesieni. Jeszcze więcej liści leżało na ścieżce, którą kroczyliśmy, ale te były przesiąknięte deszczem.

Wreszcie dotarliśmy do muru tak wysokiego, że w ciemności nie sposób było dostrzec jego szczytu, w związku z czym przez chwilę pomyślałem, że być może jest to Mur Nessus. Przed wąską furką stał człowiek w półpancerzu, podpierając się niedbale włócznią. Na nasz widok nie wyprostował się ani w żaden inny sposób nie okazał szacunku oficerowi; dopiero kiedy dzieliły nas od niego dwa, może trzy kroki, zastukał w drzwi okutym końcem swej broni.

Furka otworzyła się niemal natychmiast. Mur okazał się bardzo gruby, choć pod tym względem nie mógł równać się z Murem Nessus: kiedy dotarliśmy na drugą stronę, zatrzymałem się tak gwałtownie, że idący za mną oficer wpadł na mnie z rozpędu. Kolejny strażnik, którego ujrzałem, był uzbrojony w długi miecz o tępym końcu, oparty właśnie tym końcem o bruk dziedzińca.

- Gdzie ja jestem? - zapytałem oficera. - Jak nazywa się to miejsce?

- Jesteś tam, gdzie miałem cię doprowadzić - odparł. - A oto wrak.

Podniósłszy głowę ujrzałem potężną wieżę ze lśniącego metalu.

- Przestraszył się mego miecza - powiedział strażnik z pogardą w głosie. - Nie obawiaj się, przyjacielu: jest tak ostry, że nawet nie poczujesz, kiedy odetnie ci głowę.

- Do tego więźnia masz zwracać się „sieur” albo “szlachetny panie” -

warknął oficer.

- Najwyżej tak długo, jak długo ty tu jesteś, sieur. Nie wiem, co powiedziałby albo co by zrobił oficer, ponieważ właśnie wtedy z wieży wyszła jakaś kobieta, za nią zaś chłopiec z lampą. Sądząc po bogato zdobionym mundurze, musiała mieć wysoki stopień, gdyż oficer zaszalutował jej - co prawda, dość niedbale - i rzekł:

- Widzę, że masz kłopoty ze snem.

- Wcale nie. Zawiadomiłeś nas, że niebawem przybędziesz, a ponieważ dobrze cię znam i wiem, czego po tobie oczekiwać, postanowiłam osobiście dokonać odbioru klienta. Obróć się, młody człowieku, bym mogła cię obejrzeć.

Zastosowałem się do polecenia.

-
Piękny okaz, w dodatku nie uszkodzony. Czyżby nie stawiał

oporu?

- Wkrótce sama się o nim wszystkiego dowiesz. Umilkł, a kiedy stało się oczywiste, że nie powie nic więcej, jeden z żołnierzy szepnął:

- Walczył jak diabeł, prefekcie.

Dowódca posłał mu spojrzenie oznaczające, że żołnierz drogo zapłaci za tę uwagę.

- Skoro jest taki potulny, to chyba nie będę potrzebowała waszej pomocy, żeby doprowadzić go do celi?

- Jeśli chcesz, możemy uczynić to za ciebie - odparł oficer.

Jeżeli jednak wam podziękuję, zapewne zdejmiesz mi kajdany?

Wzruszył ramionami.

Muszę je oddać.

Weź je więc - powiedziała, a następnie zwróciła się do chłopca: - Być może będzie próbował uciec, Skunksie. Jeśli tak się stanie, daj mi lampę, a sam pobiegnij za nim.

Nie rób tego! - szepnął do mnie oficer zdejmując mi kajdany, po czym cofnął się o krok i zasalutował.

Mężczyzna z mieczem uśmiechnął się lekceważąco, otworzył wąskie drzwi, a kiedy oficer wraz z żołnierzami zniknął w przejściu wiodącym w poprzek muru, zatrzasnął je z hukiem. Poczułem się tak, jakbym stracił jedyne przyjaciela.

-

Tędy, numerze sto dwa - powiedziała kobieta wskazując we

jącie, skąd niedawno przyszła.

Rozglądałem się dokoła, najpierw w poszukiwaniu drogi ucieczki, potem ze zdumieniem, którego nawet nie będę próbował opisać.

Przecież to nasza Wieża Matachina! - wykrzyknąłem wreszcie.

Nawet nie starałem się powstrzymać słów cisnących mi się na usta, bo równie dobrze mógłbym próbować powstrzymać bicie mego serca. -

A to Wiedźminiec, tyle że stoi prosto! I Niedźwiedzia Wieża!

□ Zwań cię świętym mężem, lecz coś mi się wydaje, że jesteś po prostu obłąkany.

Mówiąc to, wyciągnęła przed siebie ręce, jakby chciała mi pokazać, że jest nie uzbrojona, oraz obdarzyła mnie nieszczerym uśmiechem, który stanowiłby wystarczającą przestrożę nawet wtedy, gdybym nie został wcześniej ostrzeżony przez oficera. Odziany w łachmany chłopiec z pewnością nie miał

żadnej broni; należało więc oczekiwać, że kobieta ukrywa pod mundurem gotowy do strzału pistolet albo coś jeszcze gorszego.

Mało kto zdaje sobie sprawę, jak trudno jest uderzyć człowieka z całą siłą, na jaką nas stać. Jakiś pradawny instynkt w ostatniej chwili nakazuje nam złagodzić nawet najbardziej brutalny cios. Podczas pobytu w katowskiej konfraterni nauczyłem się nie zwracać uwagi na ten instynkt. Uderzyłem kobietę w podbródek tak mocno, jak jeszcze nikogo w życiu, a ona runęła na bruk niczym zgruchotana lalka.

Zanim znieruchomiała na kamiennym dziedzińcu, celnym kopnięciem wytrąciłem chłopcu lampę z ręki.

Wartownik pilnujący furty podniósł miecz, tylko po to jednak, by zagrozić mi drogę, w związku z czym odwróciłem się na pięcie i co sił w nogach pognałem ku Zburzonemu Dworowi.

Ból, który chwilę potem przeszył moje ciało, można porównać jedynie z bólem zadawanym przez rewolucjonistę. Poczułem się tak, jakby rozdzierano mnie na strzępy, a operacja ta trwała w nieskończoność, zaczynając się na nowo za każdym razem, kiedy wydawało mi się, że już dobiega końca.

Grunt kołysał się pod mną nawet wtedy, gdy ból ustąpił i pograżyłem się w ciemności wypełnionej hukami wszystkich wielkich dział, jakich użyto w bitwie o Przełęcz Orithyia.

Wróciłem na Yesod. Jego czyste powietrze wypełniło moje płuca, w mych uszach zaś rozbrzmiewała muzyka ożywczego wiatru. Usiadłem, by stwierdzić, że nadal jestem na Urth, która jednak jako żywo przypomina Abaddon. Dźwignąłem się na nogi, zastanawiając się, ile muszę uczynić, by ponownie doprowadzić do stanu używalności to zdewastowane ciało; cokolwiek zrobiłem, powinienem chyba zrobić więcej, ponieważ nogi i ramiona miałem zupełnie sztywne, kości zaś i stawy bolały mnie przy każdym, nawet najmniejszym ruchu.

Stałem obok posłania w dziwnie znajomym pomieszczeniu. Drzwi, które za mojej poprzedniej bytności były wykonane z ciężkiej metalowej płyty, teraz przypominały kratę zbitą byle jak z cienkich deszczulek. Za nimi znajdował się wąski kręty korytarz, znany mi doskonale od najwcześniejszego dzieciństwa. Odwróciłem się i rozejrzałem po niezwykle ukształtowanym pomieszczeniu.

Był to pokój, w którym Roche mieszkał jako czeladnik. To tu właśnie przyszedłem przed naszą nocną wyprawą do Lazurowego Pałacu, by wdziać nie rzucający się w oczy strój. Łóżko Roche'a, odrobinę szersze od mojej pryczy, stało niemal w tym samym miejscu co wtedy. Usytuowanie okrągłego

okienka (pamiętam, jak bardzo byłem wtedy zdumiony jego widokiem!) oraz kątem nachylenia ścian nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Moja pamięć i tym razem okazała się niezawodna.

Podszedłem do otwartego okna. Napływało przez nie świeże powietrze, którego podmuch przywrócił mi przytomność. Okno nie było zakratowane, bo i tak nikt nie zdołałby wspiąć się ani zejść po gładkich ścianach wieży, a poza tym tylko nadzwyczaj szczupłemu człowiekowi udałoby się przez nie przecisnąć.

Wysunąłem głowę na zewnątrz.

Pode mną rozciągał się Stary Dziedziniec, dokładnie taki, jakim go zapamiętałem, skąpany w blasku jesiennego słońca. Popękane w wielu miejscach kamienie, którymi był wybrukowany, sprawiały może wrażenie odrobinę nowszych, lecz poza tym wcale nie różniły się od tych, po których biegłem jako uczeń. Wiedźminiec stał lekko przekrzywiony, tak jak za moich czasów, w murze zaś ziała ogromna wyrwa; część rumowiska zalegała Stary Dziedziniec, część zaś zsunęła się aż do położonej znacznie niżej nekropolii. Przy Bramie Zwłok nadal pełnił wartę samotny czeladnik, a choć miał na sobie dziwny

mundur i w przeciwieństwie do brata furtiana był uzbrojony w miecz, to stał dokładnie w tym samym miejscu co on.

Na dziedzińcu pojawił się odziany w łachmany chłopiec, zapewne uczeń, taki, jakim ja kiedyś byłem.

Spojrzał w górę, a wówczas go rozpoznałem i zawołałem po imieniu:

-

Skunksie!

Pomachał mi ukradkiem, po czym opuścił głowę i pobiegł zajęty swoimi sprawami. Z pewnością nie chciał, by ktoś przyłapał go na rozmowie z klientem jego konfraterni. Użyłem słowa "jego", choć już wtedy nie ulegało dla mnie wątpliwości, iż jest ona także moja.

Sądząc po długości cieni, był wczesny ranek; moje domysły zostały potwierdzone zaledwie kilka chwil później, kiedy w korytarzu rozległy się kroki czeladnika roznoszącego śniadanie. W drzwiach nie było szczeliny, z której korzystaliśmy przy takich okazjach, w związku z czym musiał stanąć z boku, trzymając oburącz stos tac, i poczekać, aż inny czeladnik, uzbrojony w oszczep i wyglądający niemal jak żołnierz, przekręci klucz w zamku.

- Wyglądasz całkiem nieźle - powiedział, stawiając tacę na podłozie zaraz za wejściem.

Odparłem, że parę razy w życiu czułem się znacznie lepiej niż teraz. Rozejrzał się ukradkiem, po czym wszedł do celi. To samo uczynił jego towarzysz.

- Zabiłeś ją, wiesz?

- Mówisz o kobiecie, która zwiecie prefektem? Skinął głową.

- Złamałeś jej kark.

- Jeśli zaprowadzicie mnie do niej, być może uda mi się jej pomóc.

Spojrzel na siebie i wyszli, zatrzasnąwszy za sobą ażurowe drzwi.

A więc kobieta nie żyła, sądząc zaś po reakcji czeladników, nikt nie rozpaczał z powodu jej śmierci. Kiedyś Cyriaca zapytała mnie, czy złożona jej obietnica odzyskania wolności jest tylko jeszcze jedna tortura, jaką postanowiłem jej zadać. (Przewiewny pawilon wyłonił się z moich wspomnień i stanął przede mną w celi, taki, jakim widziałem go wtedy; nie brakowało nawet splątanych winorośli ani zielonkawego blasku księżyca.) Odparłem jej wówczas, iż nie miałoby to żadnego sensu, ponieważ klienci z reguły nie wierzą swoim oprawcom; a jednak ja uwierzyłem kobiecie zwanej prefektem, uwierzyłem, że mogę przed

nią uciec, choć ona z pewnością była innego zdania. Nie na wiele mi się to zdało, ponieważ przez cały czas mierzono do mnie z jakiejś tajemniczej, choć bardzo groźnej broni; kto wie, czy nie zainstalowano jej w tym pokoju, chociaż gdybym to ja znajdował się na miejscu niewidocznego strzelca, usadowiłbym się w pomieszczeniu z działami blisko szczytu wieży.

Moje rozmyślania przerwało przybycie kolejnego czeladnika, któremu towarzyszył lekarz. Drzwi otworzyły się ponownie, lekarz wszedł do celi, czeladnik zaś zamknął za nim drzwi, po czym cofnął się o krok, gotów w razie potrzeby strzelić przez szczeliny między prętami.

Medyk usiadł na pryczy i otworzył skórzaną torbę.

Jak się czujesz? - zapytał.

Jestem głodny - powiedziałem, odstawiając miskę na podłogę.

- Co prawda, przynieśli mi coś, ale to prawie sama woda.

Mięso jest dla obrońców monarchii, nie dla nikczemników wy

stępujących przeciwko niemu. Zostałeś trafiony wyładowaniem kon-wulsora?

- Skoro tak twierdzisz... Ja nic o tym nie wiem.

- Moim zdaniem tylko cię musnęło. Wstań.

Zrobiłem, co mi kazał, a potem poruszałem rękami i nogami oraz kręciłem głową we wszystkie strony.

- Nie myliłem się. Nie ma mowy o żadnym trafieniu. To oficerska peleryna; czyżbyś był oficerem?

Jeśli sobie życzysz. Otrzymałem kiedyś stopień generała, ale to było bardzo dawno temu.

Nie mówisz prawdy. Ta peleryna sianowi część munduru młod

szego oficera, nie żadnego generała. Ci idioci myślą, że cię trafili!

Człowiek, który strzelał, przysięga, że tak właśnie było.

- Wobec tego weźcie go na przesłuchanie.

- Żeby zaprzeczył wszystkiemu, co zdołałem ustalić? Szkoda na to czasu. Czy mam ci wyjaśnić, co się stało?

Odparłem, iż byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby wreszcie ktoś zechciał to uczynić.

- Znakomicie. A więc słuchaj: trzęsienie ziemi zaczęło się dokładnie nie w tej samej chwili, kiedy zabiłeś prefekta, a ten idiota nacisnął

spust mgnienie oka później. Chybił, co w tych okolicznościach jest całkowicie zrozumiałe, a!e ty potknąłeś się, upadłeś i uderzyłeś się w głowę, więc uznał, że jednak cię trafił. Widziałem już sporo znacznie bardziej niezwykłych "cudów"; można je bez trudu wyjaśnić, jeśli tylko zrozumie się, że świadkowie myślą przyczyny ze skutkami.

Przyznałem mu rację skinieniem głowy.

A więc było trzęsienie ziemi?

I to całkiem spore. Mamy szczęście, że udało nam się wykpić tak tanim kosztem. Nie wyglądałeś na zewnątrz? Z całą pewnością widać stąd zburzony fragment muru. - Podeszedł do okna, spojrzął

przez nie, po czym wyciągnął rękę. Jak czynią często ludzie pochłonięci jakimś problemem, nie przejmując się, że nikt nie podąży wzrokiem we wskazanym kierunku. - O, tam, tuż koło sekcji zoetycznej. Całe szczęście, że statek tylko się przechylił, ale nie przewrócił. Chyba nie sądzisz, że to twoja sprawka?

Odparłem, iż nic takiego nie przyszło mi do głowy.

-

Ze starych kronik wynika jasno, że ten rejon wybrzeża jest

jeszcze dość aktywny sejsmicznie, ale od czasu, kiedy rzeka zmieniła koryto, panował całkowity spokój, więc ci głupcy doszli do wniosku, że już nigdy nic się nie wydarzy. - Zachichotał złośliwie. - Minionej nocy większość z nich zapewne zmieniła zdanie.

Ostatnie słowa wypowiedział już od drzwi. Czeladnik wypuścił go, po czym z atrzasnął drewnianą kratę i zamknął ją na klucz.

Przypomniałem sobie sztukę doktora Talosa. w której ziemia się trzęsie, Jahi zaś mówi; "To koniec Urth, głupcy. Dalej, możecie ją zabić! To także i wasz koniec".

Jak niewiele rozmawiałem z nim na Yesodzie...

Rozdział XXXVI I

Księga Nowego Słońca

Tak jak w moich czasach, więźniowie dostawali jeść dwa razy dziennie, a wraz z wieczornym posiłkiem dostarczano im świeżą wodę. Uczeń wniósł tacę. mrugnął do mnie porozumiewawczo, a jakiś czas później zjawił się ponownie, już bez czeladnika, za to z serem i bochenkiem gorącego chleba.

Zawartość miski, która stała na tacy, okazała się niewiele bardziej pożywna niż rano, toteż podziękowałem mu za dobre serce i od razu zabrałem się do jedzenia.

-

Czy mogę z tobą porozmawiać? - zap yłał, przykucną wsz y

przed drzwiami celi.

Odparłem, że on sam kieruje swymi czynami oraz że to on, nie ja, zna obowiązujące go przepisy.

Jego śniade policzki zrobiły się jeszcze ciemniejsze za sprawą rumieńca.

-

Chodzi mi o to, czy ty zechcesz porozmawiać ze mną.

- Owszem, pod warunkiem, że nie skończy się to dla ciebie laniem.

-

O tej porze nie powinno być żadnych problemów, ale musimy

mówić bardzo cicho. Wśród więźniów jest wielu szpiegów.

- Skąd wiesz, że nie jestem jednym z nich?

Bo ją zabiłeś. Wsz ystko stanęło na głowie. Każdy cieszy się w duchu, że jej już nie ma, ale na pewno zostanie przeprowadzone śledztwo, a poza tym nie wiadomo, kogo przyślą na jej miejsce. -

Umilkł na dłuższą chwilę, jakby zastanawiając się głęboko nad tym. co zamierzał powiedzieć.

Podobno chciałeś ją ożywić...

A ty nie byłbyś z tego zadowolony, prawda?

Machnął lekceważąco ręką.

Naprawdę mógłbyś to zrobić?

-

Nie wiem. Musiałbym spróbować. Dziwię się, że strażnicy mó

wią ci o takich sprawach.

Wciąż kręcę się koło nich: czyszczę im buty, sprzątam, załatwiam drobne sprawunki, a oni dają mi za to trochę pieniędzy.

Ja nie mogę ci zapłacić. Pieniądze zabrali mi żołnierze, którzy mnie aresztowali.

Nie przyszedłem po pieniądze. - Wstał i wsadził rękę do kieszeni obszarpanych spodni. - Masz, przydadzą ci się. - Podał mi garść wytartych brązowych monet o zupełnie nieznanym wzorze. -

Może czasem ktoś zgodzi się przynieść ci jedzenie albo coś w tym rodzaju.

Ty mi przyniosłeś chleb i ser, a ja nie dałem ci nic w zamian.

-

Weź je - powtórzył. - Zależy mi na tym. Przydadzą ci się.

Ponieważ nie wyciągnąłem ręki, rzucił pieniądze na podłogę celi i odszedł pośpiesznie.

Chyba nigdy w życiu nie byłem równie zdumiony jak właśnie wtedy. Zebrałem monety, po czym schowałem je do kieszeni.

Na zewnątrz ciepłe popołudnie ustąpiło miejsca chłodnemu wieczorowi, więc zamknąłem okno i zaryglowałem je od środka. Niezwykle gruba szymbarka oraz starannie dopasowana metalowa futryna świadczyły o tym, iż miało za zadanie odgrodzić wnętrze wieży od międzygwiazdnej pustki.

Zajadając ser i przegryzając go pachnącym chlebem rozmyślałem o drodze powrotnej na Urth oraz o uniesieniu, jakie ogarnęło mnie na pokładzie statku Tzadkiel. Jakże wspaniale byłoby ujrzeć Wieżę Ma-tachina pnącą się w niebo na kolumnie ognia! W tej wzniosłej wizji było jednak również coś niepokojącego, jakby dotyczyła czegoś, co z natury szlachetne, zostało wykorzystane do niecznych celów. Wychowując się od małego w tym miejscu, nigdy nie doświadczałem podobnych odczuć.

Skończywszy posiłek zawinąłem się w pelerynę oficera, wyłączyłem światło, zamknąłem oczy i spróbowałem zasnąć.

Rankiem zjawili się kolejni goście: Burgundofara i Hadelin, eskortowani przez wysokiego

czeladnika, który skłonił im się sztywno i odszedł, pozostawiając ich przed drzwiami celi.

- Pieniądze mogą działać cuda - wyjaśnił Hadelin, widząc zdumienie malujące się na mojej twarzy. Sądząc bo bolesnym uśmiechu,

z jakim to powiedział, suma musiała być pokaźna. Byłem ciekaw, czy Burgundofara zachowała dla siebie zapłatę za wieloletnią służbę na statku, czy też oddała mu ją do dyspozycji.

- Musiałam zobaczyć cię jeszcze ten jeden, ostatni raz, a on umożliwił mi to - odezwała się dziewczyna. Chciała chyba jeszcze coś dodać, lecz słowa uwięzły jej w gardle.

Pragnie cię prosić, byś zechciał jej wybaczyć - wyręczył ją Hadelin.

Co mam ci wybaczyć? To, że z nim odeszłaś? Przecież nie

miałem do ciebie żadnego prawa, Burgundofaro.

To, że wskazałam cię żołnierzom. Widziałeś mnie wtedy. Wiem, że tak było.

Istotnie - przyznałem.

Nie myślałam... To znaczy, bałam się...

- Bałaś się mnie, prawda?

Skinęła głową.

I tak by cię złapali - wtrącił się Hadelin. - Gdyby ona tego nie zrobiła, wskazałby cię ktoś inny.

Na przykład ty? - zapytałem.

Bez słowa pokręcił głową i odszedł od drzwi.

Kiedy byłem Autarchą, ludzie często klękali przede mną; teraz uczyniła to Burgundofara, a ja odniosłem wrażenie, że jest w tym coś odrażająco niestosownego.

- Musiałam zobaczyć cię, Severianie, i porozmawiać z tobą. Już po raz ostatni. Właśnie dlatego szłam za żołnierzami aż na przystań. Wyba czyś mi? Naprawdę nie chciałam tego zrobić, ale ogromnie się bałam.

Zapytałem ją, czy pamięta Gunnie.

-

Tak, a także statek i wszystko, co się tam wydarzyło. Tyle że z każdą chwilą coraz bardziej mi się wydaje, że to tylko sen...

- Gunnie była tobą, a ja mam jej wiele do zawdzięczenia. Przebaczam ci właśnie ze względu na nią, a

raczej na was obie. Przebaczam ci teraz i na zawsze, rozumiesz?

-

Chyba tak. - Od razu poweselała, jakbym rozpałił w niej

życiodajny płomień. - Teraz popłyniemy w dół rzeki do Liti. Hadelin często tam bywa. Kupimy dom, gdzie będę na niego czekała, jeśli akurat nie wyruszę razem z nim w podróż. Chcemy mieć dzieci. Czy będę mogła opowiedzieć im o tobie?

W chwili, gdy zadała mi to pytanie, wydarzyła się dziwna rzecz. Nie wiem, czy stało się tak dlatego, że widziałem nie tylko jej twarz, lecz także twarz stojącego kilka kroków za drzwiami Hadelina, ale nagle odniosłem wrażenie, iż mam przed sobą jak na dłoni całą jej przyszłość, z upełnioną jakby była kwiatem, który Valeria zerwała w ogrodzie.

- Możliwe, Burgundofaro, że spełnisz swoje pragnienia i będziesz miała dzieci - odparłem. - Wolno ci mówić im o mnie. co zechcesz. Możliwe też, iż za jakiś czas będziesz chciała ponownie się ze mną zobaczyć, ale szukając mnie pamiętaj, że robisz to nie dlatego, że kazałem ci to uczynić, ani nawet nie dlatego, że uzyskałaś ode mnie obietnicę, iż zdołasz mnie odnaleźć.

Za raz potem odeszli, ja zaś pogrążyłem się w myślach o niej. a także o Gunnie, która kiedyś była Burgundofarą. Powiadamy czasem, że mężczyzna jest dzielny jak atrox lub że kobieta jest piękna jak lania - tak właśnie miały się sprawy w przypadku Burgundofary. Brakuje nam jednak takiego porównania, gdy pragniemy podkreślić czyjąś lojalność, ponieważ żadna znana nam istota nie jest w pełni lojalna, a raczej żaden gatunek ani typ istot, gdyż lojalne bywają tylko jednostki. Syn może być lojalny wobec ojca, pies zaś wobec pana, lecz większość synów i psów nie jest. Jako Thecla zdradziłem swego Autarchę, jako Severian zdradziłem swoją konfraternię. Gunnie zachowała się lojalnie wobec mnie i Urth. nie wobec swoich towarzyszy; całkiem możliwe, że prawdziwą przyczyną, dla której nie potrafimy ująć lojalności w sztywne ramy jakiegoś uogólniającego stwierdzenia jest to, iż zawsze lub prawie zawsze, wiąże się ona z koniecznością dokonania wyboru.

Mimo to czułem się dość dziwnie myśląc o Gunnie, która będzie przemierzała puste oceany czasu, by kiedyś ponownie stać się Burgundofarą. Poeta napisałby przypuszczalnie, iż czyniła to w pogoni za miłością: moim zdaniem szukała potwierdzenia złudnego przekonania, iż miłość jest czymś więcej od siebie samej, choć z radością jestem gotów przyjąć, że chodziło jej o miłość wyższego rzędu, która jeszcze nie została nazwana.

Wkrótce potem zjawił się jeszcze jeden gość, chociaż nie wiem, czy zasługuje na to miano, ponieważ nie mogłem go zobaczyć. Usłyszałem tylko szept, dobiegający, jak mi się wydaje, od strony korytarza:

Czy ty jesteś tym prorokiem?

Owszem, skoro tak twierdzisz - odparłem. - Kto i skąd do

mnie mówi?

Jestem Canog, student. Siedzę w sąsiedniej celi. Słyszałem twoją rozmowę z chłopcem, a także z kobietą i kapitanem.

Od jak dawna tu jesteś? - zapytałem w nadziei, że będę mógł zasięgnąć jego rady w pewnych sprawach.

Już prawie od trzech miesięcy. Skazano mnie na śmierć, ale wątpię, czy wykonają wyrok. Zazwyczaj robią to albo od razu, albo wcale. Widocznie ujął się za mną jakiś możny protektor - w każdym razie, taką mam nadzieję.

W moich czasach większość klientów żywiła podobne złudzenia.

A więc zapewne zdążyłeś już poznać prawa rządzące życiem w tej wieży?

Wszystkiego dowiedziałeś się od chłopca: nie jest tak źle, natu ralnie pod warunkiem, że masz trochę pieniędzy. Ja wydałem swoje na papier i atrament, dzięki czemu teraz mogę pisać listy. Poza tym jeden z moich przyjaciół dostarczył mi trochę książek; bez wątplenia zostanę słynnym uczonym, naturalnie pod warunkiem, że zbyt wcześnie mnie nie wypuszczą.

Zadałem mu to samo pytanie, które wielokrotnie powtarzałem odwiedzając więzienia i areszty Wspólnoty: dlaczego został uwięziony.

Umilkł i nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Ponownie otworzyłem okienko, ale nawet przeciskające się przez nie podmuchy wiatru nie mogły uwolnić mej celi od smrodu bijącego z ukrytego pod pryczą naczynia oraz nieprzyjemnej woni zgnilizny i pleśni, którą zdawały się być przesiąknięte ściany, sufit i podłoga. Z

zewnątrz dobiegało krakanie wron, od strony korytarza natomiast przytłumione odgłosy licznych kroków.

- Tutaj nie rozmawia się na te tematy - powiedział wreszcie.

-

Wybacz mi, jeśli cię uraziłem, ale przecież zadałeś mi takie samo pytanie. Chciałeś wiedzieć, czy jestem prorokiem, a mnie uwięzono właśnie dlatego, że zostałem za takowego uznany.

Tym razem milczenie trwało jeszcze dłużej.

-

Zabiłem głupiego sklepikarza. Zasnął za ladą, a ja niechcący

przewróciłem mosiężny świecznik. Idiota zerwał się z krzykiem na równe nogi i rzucił na mnie z

nożem w dłoni. Co miałem zrobić?

Przecież każdy ma prawo bronić swego życia.

- Ale nie w każdych okolicznościach.

Dopiero kiedy powiedziałem te słowa, uświadomiłem sobie, że tak jest w istocie.

Wieczorem, razem z chłopcem, który przyniósł mi kolację, przyszli Herena, Declan, oficer z łodzi Hadelina oraz kucharka, którą widziałem przez mgnienie oka w gospodzie w Saltus.

- Udało mi się ich wprowadzić, sieur - oznajmił z dumą chłopiec, odgarniając z czoła grzywę ciemnych włosów gestem, którego nie powstydziliby się żaden dworzaniec. - Strażnik był mi winien przysługę.

Wysunąłem rękę na zewnątrz i pogładziłem po głowie szlochającą Herenę.

- Narazacie się na wielkie niebezpieczeństwo - powiedziałem. -

Wszyscy możecie zostać aresztowani. Musicie stąd jak najprędzej odejść.

- Niech tylko spróbują, to pokaże tym malowanym żołnierzom; co to znaczy bić się naprawdę - odparł oficer.

Declan potwierdził jego słowa skinieniem głowy i odchrząknął, ja zaś uświadomiłem sobie ze zdziwieniem, że to on jest ich przywódcą.

Sieur... - zaczął powoli głębokim głosem. - To tobie grozi niebezpieczeństwo, nie nam. Tutaj zabijają ludzi częściej i szybciej niż wieprze w rzeźni.

Zgadza się - wtrącił się chłopiec.

Chcieliśmy wstawić się za tobą u sędziego, sieur. Czekaliśmy całe popołudnie, ale nas nie przyjął. Podobno zwykli ludzie muszą nieraz czekać wiele dni, zanim zostaną dopuszczeni przed jego oblicze, ale to nic nie szkodzi. Uzbroiliśmy się w cierpliwość i przez ten czas spróbujemy innych sposobów.

Kucharka z "Alcyone" posłała mu spojrzenie, którego znaczenia wówczas nie rozumiałem.

- Teraz chcieliśmy cię prosić, żebyś opowiedział nam o nadejściu Nowego Słońca - odezwała się Herena. - Ja słyszałam o tym więcej niż oni i próbowałam im wszystko jak najdokładniej powtórzyć, ale nie było tego dużo. Czy opowiesz nam resztę?

- Nie wiem, czy uda mi się wyjaśnić to w taki sposób, żebyście zrozumieli - odparłem. - Nie wiem nawet, czy sam to rozumiem.

- Prosimy... - szepnęła kucharka. Było to pierwsze i zarazem ostatnie słowo, jakie od niej usłyszałem.

- Dobrze więc. Wszyscy wiecie, że Stare Słońce powoli umiera.

Naturalnie, nie oznacza to, że w środku dnia zgaśnie nagle jak lampa: nie, jego agonia będzie trwała jeszcze bardzo długo, choć każda mija jąca chwila przybliży nadejście nieuchronnego końca. Jeszcze o tym nie wiecie, lecz lód zgromadzony wokół południowego bieguna planety zbiera siły do decydującego natarcia; za dziesięć chiliad połączy siły z nowym lodem, który powstanie w wyniku długotrwałych ostrych zim, a wówczas tu, na północy, nic nie zdoła się oprzeć ich potędze.

Zmuszą do odwrotu nawet wielki Erebus, rządzący królestwem ukrytym pod zimnymi falami Oceanu, a on sprzymierzy się z Abaią mieszkającym w cieplejszych wodach. Dołączą do nich także pomniejsi władcy, nie tak potężni, za to jeszcze bardziej okrutni, zjednoczywszy się zaś zaproponują sojusz królom ziem rozciągających się po drugiej stronie kibici Urth, które zwiecie Ascją. Tamci przyjmą ofertę, co będzie oznaczało ich koniec.

Mówiłem jeszcze długo, zbyt długo, żebym miał teraz dokładnie to powtórzyć. Podzieliłem się z nimi całą moją wiedzą o umierającym Starym Słońcu, o tym, co jego śmierć oznacza dla Urth, oraz obiecałem, że ktoś kiedyś sprowadzi na pomoc Nowe Słońce.

- Czy nie ty jesteś Nowym Słońcem, sieur? - zapytała Herena, gdy umilkłem. - Kobieta, z którą przyszedłeś do naszej wioski, nazywała cię właśnie tym imieniem.

Odparłem, że nie chcę teraz o tym mówić, obawiając się, że gdyby dowiedzieli się prawdy, ogarnęłyby ich bezdenne rozpacz.

Declan zapytał o los, jaki spotka Urth po nadejściu Nowego Słońca, ja zaś, wiedząc na ten temat niedużo więcej od niego, powtórzyłem mu treść sztuki doktora Talosa. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, iż dużo, dużo później sztuka ta zostanie napisana właśnie na kanwie mojej opowieści.

Kiedy wreszcie sobie poszli, zorientowałem się, że nawet nie tknąłem jedzenia przyniesionego przez chłopca. Byłem bardzo głodny, ale gdy sięgnąłem po miskę, moje palce natrafiły na coś innego; podłużny kształt zawinięty starannie w szmaty.

Z korytarza dobiegł głos mego sąsiada:

- To była piękna historia. Zanotowałem wszystko, co mówiłeś,

a kiedy wreszcie stąd wyjdę, napiszę wspaniałą książkę. Jestem pewien, że będzie się podobała.

Nie zwróciłem uwagi na jego słowa, ponieważ byłem zajęty rozwijaniem szmat. Po chwili trzymałem w ręku długi ciężki nóż, który oficer nosił u pasa na pokładzie "Alcyone".

Rozdział XXXVIII

Do grobowca monarchy

Przez pozostałą część
wieczoru wpatrywałem się
w nóż - to znaczy,
zawinałem
go
z
powrotem w szmaty i
wepchnąłem
pod
materac, ale wystarczyło,
bym zaniknął oczy, a
natychmiast widziałem go
ze
wszystkimi
szczegółami.
Nie
musiałem nawet zamykać
oczu;
wystarczyło,
że
leżałem
na
wznak

patrząc

w

metalowy

sufit, identyczny jak ten,

który jako dziecko tak

często

oglądałem

we

wspólnej

sypialni

uczniów.

Później

zacząłem

obracać go w myślach,

rozjarzony

niezwykłym

blaskiem emanującym z

całej jego powierzchni,

od kościanej rękojeści

poczynając, na ostrym

jak igła czubku kończąc.

Kiedy

wreszcie

za-

snąłem, odnalazłem go

także w moich snach.

Być może właśnie z

tego powodu budziłem

się co chwila, mrużąc

oczy

gapiałem

się

w

świecąca

kulę

umieszczoną pod sufitem

celi,

-

wstawałem,

podchodziłem do okna i

spoglądałem w niebo,

szukając jasnej gwiazdy,

którą byłem, po czym

kładłem się ponownie.

Tej

nocy

chętnie

oddałbym

moje
uwięzione
ciało
we
władanie śmierci - pod
warunkiem, że udałoby
mi się uczynić to z
zachowaniem godności -
i pomknął jak kometa
przez
rozwieżdzone
niebo, by wreszcie stać
się
całością.

Nagle
zdałem sobie sprawę z
siły, jaką rozporządzam:
mogłem przyciągać ku
sobie całe planety i
spopielać
je
w
okamgnieniu
niczym

artysta, który spala w
tyglu różne substancje,
by otrzymać pożądany
kolor.

W

brązowej
książce, którą utraciłem,
ale wcześniej tak często
czytałem,

że

zapamiętałem całą jej
zawartość (choć kiedyś
wydawała mi się tak
ogromna,

że

wręcz
niewyczerpana),

znajduje się taki oto
ustęp: „I oto przyśnił mi
się jeszcze jeden sen:

słońce,

księżyc

oraz

gwiazd jedenaście oddały

mi

cześć".

Słowa

te

dowodzą ponad wszelką

Wątpliwość

o

ile

mądrzejsi od nas byli nasi

przodkowie sprzed wielu

stuleci. Nie na darmo

działanie to nosiło tytuł

"Księga cudów Urth i

nieba".

Ja także miałem sen.

Śniło mi się, że

wchłonąłem całą

moc mojej

gwiazdy, wstałem z pryczy, podszedłem do drzwi i otworzyłem je bez najmniejszego trudu. Okazało się jednak, że stanowiły one tylko coś w rodzaju zasłony, za którą była następną, a kiedy ją odgarnąłem na bok, ujrzałem Tzadkiel, nie większą ani nie mniejszą ode mnie, dzierżącą w ręku ognisty sztylet.

Rankiem, kiedy moją celę zalały promienie słońca przypominające barwę stare złoto, oczekując na śniadanie przyjrzałem się uważnie drzwiom; na pozór wszystko było w porządku, ale po dokładniejszych oględzinach stwierdziłem, że są mocno wypaczone, jakby niedawno działała na nie jakaś ogromna siła.

Wkrótce potem zjawił się chłopiec z tacą, podał mi ją, następnie zaś powiedział:

- Wysłuchałem tylko jednej twojej opowieści, Severianie, lecz wiele się z niej nauczyłem. Przykro mi będzie się z tobą rozstać.

Zapytałem, czy zbliża się termin mojej egzekucji, on zaś odparł, zerknąwszy przez ramię na towarzyszącego mu czeladnika:

Nie. Po prostu przenoszą cię w inne miejsce. Dziś ma przylecieć po ciebie ślizgacz z eskortą pretorianów.

Ślizgacz?

Tak, bo ślizga się po niebie jak po zamrzniętym stawie. Leciałeś kiedyś czymś takim? Ja tylko przyglądałem się, jak lądują i startują.

To musi być wspaniałe uczucie!

Zgadza się. Podczas mojej pierwszej podróży zostaliśmy ze

strzeleni. Potem często nimi latałem i nawet nauczyłem się nimi stero wać, ale prawdę powiedziawszy do dzisiaj nie pozbyłem się lęku.

Chłopiec skinął głową.

- Ja też bym się bał, ale mimo to chciałbym spróbować. - Nieśmiało wyciągnął rękę. - Powodzenia, Severianie, dokądkolwiek cię zabiorą.

Uścisnąłem jego dłoń. Była brudna, ale sucha, w porównaniu z moja zaś sprawiała wrażenie bardzo małej.

Skunksie... To chyba nie jest twoje prawdziwe imię?

Uśmiechnął się.

Nie. Nazwali mnie tak, bo cuchnę.

Ja tego nie czuję.

Bo jest jeszcze ciepło i mogę kąpać się w rzece. Zimą nie mam się gdzie umyć, a pracuję równie ciężko jak teraz, albo nawet jeszcze ciężiej.

Rozumiem. A naprawdę nazywasz się...

Ymar. - Cofnął rękę. - Dlaczego tak mi się przyglądasz?

- Ponieważ kiedy cię dotknąłem, ujrzałem koronę na twojej głowie. Zdaje się, że zaczynam się rozprzestrzeniać w czasie, a raczej zaczynam zdawać sobie z tego sprawę, bo przecież każdy z nas istnieje nie tylko w teraźniejszości, lecz także w przeszłości i przyszłości. Cóż za dziwne zrzędzenie

losu, że spotkaliśmy się właśnie w takich okolicznościach... Zawahałem się przez chwilę, próbując uporządkować rozbiegane myśli. - A może nie ma w tym nic dziwnego? Ponad wszelką wątpliwość jakaś siła musi kierować naszym przeznaczeniem. Siła, której nie mogą się przeciwstawić nawet hierogramaci.

O czym mówisz, Severianie?

Słuchaj mnie uważnie, Ymarze: pewnego dnia zasiądziesz na

tronie. Zostaniesz monarchą, choć wątpię, czy będziesz kazał nazywać się w ten sposób. Staraj się rządzić dla dobra Urth, a nie tylko w jej imieniu, jak czyni wielu. Staraj się rządzić sprawiedliwie - przynajmniej na tyle, na ile pozwolą ci okoliczności.

Kpisz sobie ze mnie, prawda?

Nie - zapewniłem go. - Wiem tylko tyle, że zostaniesz władcą, a kiedyś, znacznie później, usiądziesz w przebraniu pod platanem...

Ale wiem to na pewno.

Odszedł wraz z czeladnikiem, ja zaś wsunąłem nóż do buta i ukryłem wystającą rękojeść w nogawce.

Potem usiadłem na pryczy, by spokojnie przemyśleć naszą rozmowę.

Czy nie mogło zdarzyć się tak, że Ymar zasiadł na tronie Feniksa tylko dlatego, że jakiś prorok, czyli ja, przepowiedział, iż tak się stanie? O ile wiem, w historycznych zapiskach nie zachowała się żadna wzmianka na temat takiej przepowiedni, więc może stworzyłem nową, własną historię? Może Ymar, pewien swego przeznaczenia, zaniedba koniecznych starań i nie zdoła osiągnąć tego, co wedle mojej najlepszej wiedzy stało się jego udziałem?

Kto wie, jak będzie naprawdę? Czyż całun niepewności nie przesłania przyszłości nawet przed oczami tych, którzy wyłonili się z jej oparów? Jeśli opuścimy teraźniejszość, ponownie stanie się ona dla nas

przyszłością; ja opuściłem swoją i znalazłem się w przeszłości tak odległej, że za moich czasów była już tylko mitem.

Wachta mijająca powoli za wachtą, niczym odrętwiałe mrówki wędrujące niemrawo przez jesień ku zimie. Kiedy już nie ulegało dla mnie wątpliwości, że Ymar pomylił się i że ślizgacz z pretorianami przyleci dopiero nazajutrz albo może wcale, wstałem z pryczy i podszedłem do okna, by umilić sobie czas obserwowaniem ludzi kręcących się po Starym Dziedzińcu.

Ku swemu zdumieniu ujrzałem zakotwiczony ślizgacz, smukły niczym srebrzysta strzała, w tej samej chwili zaś z korytarza dobiegi odgłos marszowego kroku. Rytm załamał się, kiedy żołnierze wchodzili po schodach, by zabrzmieć ponownie, gdy dotarli na poziom, na którym znajdowała się moja cela.

Czym prędzej podbiegłem do drzwi i przycisnąłem twarz do drewnianej kraty.

Pochód otwierał przejęty czeladnik, tuż za nim zaś, z kciukami wbitymi za szeroki skórzany pas, podążał

obwieszony medalami chiliarcha. Jego butna mina miała świadczyć o tym, że to on jest dowódcą i że jedynie korzysta z usług przewodnika. Z tyłu maszerowali rzędem pretorianie - wszyscy tacy sami niczym ołowiane żołnierzyki - a za nimi kapral o twarzy starego wiarusa.

Czeladnik wskazał chiliarsze moją cełę, ten zaś skinął łaskawie głową, zmierzył mnie obojętnym spojrzeniem i dał znak kapralowi, który wycharczał krótki rozkaz. Żołnierze zatrzymali się ze stukotem podkutych butów; chwilę potem rozległ się drugi stuk, jeszcze donośniejszy, kiedy zdjęli broń z ramion i oparli ją o podłogę.

Ślizgacz prawie nie różnił się od tego, z którego pokładu dokonywałem przeglądu wojsk podczas Trzeciej Bitwy na Przełęczy Orithyia: nie można wykluczyć, iż była to ta sama maszyna, ponieważ te, które dotwały do moich czasów, liczyły sobie wiele stuleci. Kapral kazał mi położyć się na podłodze.

Wykonałem polecenie, ale poprosiłem chiliar-chę (mniej więcej czterdziestoletniego mężczyznę o pociągłej twarzy), by w trakcie lotu pozwolił mi wyglądać za burtę. Odmówił, przypuszczalnie obawiając się, że mogę być szpiegiem, i w pewnym sensie miał rację. Mogłem więc tylko wyobrazić sobie Ymara machającego mi na pożegnanie.

Żołnierze, w liczbie jedenastu, zajęli miejsca w tylnej części maszyny, po czym nagle zniknęli mi z oczu, jakby byli duchami. Dopiero po chwili zorientowałem się, że mają na sobie pancerze dostosowujące się barwą do otoczenia, takie same, jakimi dysponowali moi pretorianie. Minęło jeszcze kilka uderzeń serca, zanim zrozumiałem, że należą właśnie do tej formacji; a więc jej nazwa, tradycje i uzbrojenie wywodzą się z aż tak odległej przeszłości! Wszystko wróciło na swoje miejsce: byłem więźniem strzeżonym przez ludzi, których potomkowie strzegli mnie później jako swego władcę.

Sądząc po tempie, w jakim przemykały nad nami nieliczne chmury, ślizgacz pędził z ogromną prędkością, w związku z czym sądziłem, że podróż nie będzie trwała długo. Minęła jednak co najmniej wachta, a może nawet półtorej, zanim poczułem, że zmniejszamy wysokość i zobaczyłem, jak załoga spuszcza linę cumowniczą. Z lewej strony pojawiły się pionowe skalne ściany, przez chwilę tańczyły dziko, gdy ślizgacz zmieniał położenie, po czym znikły mi z oczu.

Pilot schował przezroczystą kopułę, a wówczas uderzył w nas wiatr tak przeraźliwie zimny, iż pomyślałem, że dolecieliśmy aż do lodowych pól dalekiego południa. Wstałem, rozejrzałem się dokoła... i zamiast bezkresnych białych równin ujrzałem skaliste szczyty przykryte niefo-remnymi śnieżnymi czapami, niektóre tak poszarpane i przedziwnie ukształtowane, że przypominały ruiny jakichś gigantycznych budowli. Znajdowaliśmy się w górach, nie wyrzeźbionych jeszcze na podobieństwo mężczyzn i kobiet, takich więc, jakie można było oglądać jedynie na najstarszych ilustracjach. Z

pewnością stałbym tak i gapił się na nie aż do zmierzchu, gdyby nie to, że otrzymałem mocny cios w ucho, po którym zatoczyłem się i rozciągnąłem jak długi na podłodze ślizgacza.

Natychmiast zerwałem się na nogi, kipiąc bezsilną wściekłością. Cierpiałem już podobne zniewagi płynąc z Saltus niezwykłym statkiem, ale przynajmniej udało mi się zyskać przyjaciela w osobie eskortującego mnie oficera. Teraz wyglądało na to, że wszystko zaczyna się od początku i że będę trwał w zaklętym kręgu aż do dnia mojej śmierci. Przysiągłem sobie w duchu, iż tak nie będzie; jeszcze przed zmierzchem nóż ukryty w moim bucie napije się czyjejś krwi.

Tymczasem jednak to moja krew sączyła się z ucha, w zetknięciu ze zziębniętym ciałem sprawiająca wrażenie gorącej jak wrzątek.

Włączyliśmy się w strumień wielkich wozów podążających jeden za drugim ze zdumiewająco dużą prędkością, choć nie ciągnęły ich ani woły, ani niewolnicy. Były wyładowane po brzegi kamieniami i głazami, a kiedy ktoś z nas stanął im na drodze, ryczały niczym rozwścieczone bawoły. Wysoko w górze dostrzegłem na zboczu olbrzyma o stalowych rękach, niestrudzenie rozłupującego skalną ścianę. Choć taki ogromny, z tej odległości wydawał się nie większy od myszy.

Pędzące wozy ustąpiły miejsca krzątającym się ludziom, my zaś weszliśmy na dość płaski fragment terenu zastawiony skleconymi byle jak szopami, w których zgromadzono przedziwne maszyny i narzędzia. Zapytałem chiliarchę, gdzie mnie przyprowadził, ale on tylko skinął na kaprala i otrzymałem kolejny cios kolbą w ucho.

Weszliśmy do dużej okrągłej budowli, jedynej sprawiającej dość solidne wrażenie, i długo szliśmy korytarzami pełnymi szaf oraz foteli, aż wreszcie zatrzymaliśmy się przed czymś w rodzaju namiotu ustawionego w jej centralnej części, gdzie zbiegały się wszystkie korytarze. Wiedziałem już, co to za budowla.

Masz tu zaczekać - poinformował mnie chiliarcha. -

Dostąpisz zaszczytu rozmowy z monarchą. Kiedy stąd wyjdiesz...

Uwolnić go - przerwał mu głos zza płóciennej kotary, nieco przepity, ale jednak znajomy.

Tak jest!

Chiliarcha, kapral oraz wszyscy żołnierze wyprężyli się na baczność i zaszalutowali. Przez dłuższą chwilę stali nieruchomo jak posągi, ale za zasłoną panowało milczenie, więc kapral podszedł do mnie i zdjął mi z rąk kajdany, chiliarcha zaś wyszeptał:

Kiedy stąd wyjdiesz, nie powiesz nikomu ani słowa o tym, co słyszałeś i widziałeś, bo w przeciwnym razie zginiesz.

Mylisz się - odparłem. - To ty zginiesz, nie ja.

W jego oczach pojawił się lęk, ja jednak byłem pewien, że nie odważy się mi nic zrobić, ponieważ przypuszcza, iż jesteśmy obserwowani przez ukrytego za zasłoną władcę. Nie pomyliłem się; minęło

kilka uderzeń serca, a my tylko patrzyliśmy sobie w ocz y - kat i ofiara, z których żaden nie wie, czy nie przyjdzie mu zamienić się miejscami z przeciwnikiem.

Wreszcie kapral wycharczał jakiś rozkaz, żołnierze wykonali w tył zwrot, a kiedy chiliarcha upewnił się, że nikt z jego podwładnych nie zobaczy tego, co ukaże się po odsunięciu kotary, powiedział do mnie:

- Możesz tam wejść.

Skinąłem głową i podszedłem do zasłony. Była wykonana ze szkarłatnego jedwabiu, nadzwyczaj miękkiego w dotyku. Odgarnąwszy ją na bok ujrzałem twarze, które spodziewałem się zobaczyć, a następnie złożyłem głęboki ukłon ich właścicielowi.

Rozdział XXXIX

Ponownie Pazur Łagodziciela

W odpowiedzi na mój ukłon dwugłowy mężczyzna leżący w niedbałej pozie na otomanie podniósł kielich.

Widzę, że wiesz, kogo masz przed sobą - przemówiła głowa z lewej strony.

Jesteś Typhon - odparłem. - Monarcha i w swoim mniemaniu jedyny władca tej planety, jak również wielu innych. Nie tobie jednak złożyłem pokłon, lecz memu wybawcy Piatonowi.

Potężna ręka nie należąca do niego zbliżyła kielich do ust Typhona. Spojrzenie jego oczu znad złotej krawędzi przeszywało mnie niczym ostrze zatrutego sztyletu.

Znałeś Piatona w przeszłości?

Pokręciłem głową.

Dopiero poznam go w przyszłości.

Typhon przechylił kielich, po czym odstawił go na niewielki stolik.

A więc moje informacje są prawdziwe. Podobno podajesz się za proroka.

Nigdy nie myślałem o sobie w taki sposób, ale owszem, jeśli chcesz wiedzieć, to umrzesz właśnie tu, na tej otomanie. Czy interesują cię szczegóły? Twoje ciało spocznie bez ruchu wśród pasów, których już nie potrzebujesz, by okiełznać Piatona, oraz wśród aparatury, z której nie musisz już

korzystać, aby zmusić go do jedzenia. Górskie powietrze wysuszy je tak, że upodobni się do zeszlórocznych liści; będzie spoczywało tu przez wiele stuיעci, aż wreszcie zjawię się ponownie i przywrócę cię do życia.

Typhon roześmiał się tak samo jak wtedy, gdy obnażyłem Te-rminus Est.

- Obawiam się, że marny z ciebie prorok, ale na szczęście marny prorok jest znacznie bardziej zabawny od dobrego. Gdybyś powiedział

mi, że po śmierci - choć jeśli mam być szczery, to coraz bardziej zaczynam wątpić, czy kiedykolwiek po mnie przyjdzie - spocznę w komnacie grobowej we wnętrzu czaszki posągu, który właśnie tworzę, wykazałbyś się przenikliwością pięcioletniego dziecka. Tak, zdecydowanie bardziej podobają mi się twoje bajdurzenia i kto wie, czy nie okażesz się przydatny.

Podobno dokonałeś wielu cudownych uzdrowień; czy naprawdę dysponujesz taką mocą?

-

Sam musisz to ocenić.

Usiadł prosto i wypiął potężną pierś, która nie należała do niego.

Przywykłem otrzymywać odpowiedzi na moje pytania. Wystar

czy jedno moje skinienie, żeby zjawilo się stu ludzi i zrzuciło cię w przepaść... - Umilkł na chwilę, po czym dokończył z uśmiechem: -

Z mojego rękawa. Masz na to ochotę? Taki koniec spotyka leniwych robotników. Odpowiedz, Łagodzieciu! Czyżbyś potrafił latać?

Nie wiem. bo nigdy nie próbowałem.

- Już niedługo możesz mieć okazję. Uczynię ci tę łaskę i zapytam po raz drugi. - Roześmiał się głośno. Na twoje szczęście znajduję się w znakomitym nastroju, ale nie licz na to, że powtórzę pytanie po raz trzeci. Czy masz moc? Jeśli tak, to dowiedz tego albo umrzyj.

Wzruszyłem ledwo dostrzegalnie ramionami, po czym roztarłem ręce, wciąż jeszcze zdrętwiałe z powodu za ciasnych kajdanów.

-

Czy uznasz za wystarczający dowód, jeśli uderzając w ten stół

zabiję człowieka, który ostatnio wyrządził mi największą krzywdę?

Nieszczęsny Piaton wybałuszył na mnie oczy, Typhon zaś uśmiechnął się i odparł:

Tak, to mnie zadowoli.

Dajesz mi słowo?

Uśmiech stał się jeszcze szerszy.

Skoro sobie tego życzysz... Zrób to!

Wyszarpnąłem nóż z buta i wbiłem go w blat stolika.

Wątpię, czy na wielkim placu budowy, jakim była ta góra oraz jej najbliższa okolica, pomyślano o stworzeniu pomieszczeń przeznaczonych specjalnie do przetrzymywania więźniów. Zastanawiając się nad tym doszedłem do wniosku, że również cela w Wieży Matachina, gdzie mnie umieszczono, została całkiem niedawno zaadaptowana do tych potrzeb. Gdyby Typhonowi zależało tylko na tym, by mnie uwięzić, kazałby opróżnić jedną z szop na narzędzia i tam mnie zamknąć. Było jednak oczywiste, że przyświeca mu inny cel: pragnął mnie zastraszyć i oszołomić, by następnie przeciągnąć na swoją stronę.

Funkcję więzienia pełnił skalny występ nie usunięty jeszcze ze zbocza góry, której szczyt opodabniał się powoli do twarzy mego ciemieżyciela. Umieszczono mnie w skleconym byle jak szałasie z kamieni i grubego płótna, i przyniesiono posiłek składający się z mięsa oraz znakomitego wina -

przypuszczalnie tego samego, którym raczył się Typhon. Zaraz potem kilku ludzi wbiło w skalisty grunt gruby i wysoki pał, do jego podstawy zaś przywiązano na długim łańcuchu smilodona. Na pału, zaczepiony skuwającymi mu ręce kajdanami o żelazny hak, wisiał chiliarcha.

Obserwowałem ich aż do zmierzchu. Smilodon musiał być bardzo głodny, ponieważ przez cały czas nie odrywał wzroku od oficera, a co kilka chwil przysiadł na tylnych łapach i wyskakiwał w górę najwyżej, jak mógł, próbując dosięgnąć go straszliwymi szponami. Chiliarcha jednak także go obserwował i zawsze zdążył w porę podkulić nogi, choć za każdym kolejnym razem przychodziło mu to z większym trudem. Przez całe popołudnie rozkoszowałem się zemstą, a kiedy zapadł mrok, zaniósłem smilodonowi resztki mego posiłku.

Podczas wędrówki do Thraxu uwolniłem kiedyś bestię unieruchomioną niemal tak samo jak teraz chiliarcha. Nie zaatakowała mnie wtedy - być może dlatego, że miałem przy sobie klejnot zwany Pazurem Łagodziciela, a może dlatego, że była za słaba, aby to uczynić. Teraz smilodon jadł mi z ręki, liząc moje palce i dłonie szerokim, szorstkim językiem. Dotknąłem jego kłów, białych i gładkich jak ciosy mamutów, po czym podrapałem za uszami, tak jak wielokrotnie drapałem Triskele.

- Ja także nosiłem kiedyś miecz - powiedziałem łagodnie. - Obaj wiemy, co to znaczy, prawda?

Nie wydaje mi się, aby te stworzenia rozumiały więcej niż kilka najprostszych słów i wyrażeń, niemniej jednak poczułem, jak kiwa potężną głową.

Zdjąłem mu z szyi metalową obrożę przykutą do łańcucha, on jednak pozostał u mego boku.

Znacznie więcej problemów miałem z uwolnieniem chiliarchy. Co prawda, bez trudu wspiałem się na pal, obejmując go nogami, tak jak wielokrotnie czyniłem w nekropolii wspinając się jako chłopiec na

rosnące tam sosny, ale kiedy to uczyniłem, horyzont Urth znajdował się już znacznie powyżej jej dziennej gwiazdy, więc choć bez trudu mógłbym zdjąć go jedną ręką z haka i zrzucić na dół, nie uczyniłem tego jednak, bojąc się, że po ciemku zepchnę go niechcący w przepaść albo że mógłby paść łupem smilodona, którego płonące ślepie widziałem wyraźnie w dole.

Wreszcie zarzuciłem sobie skute razem ręce oficera na szyję i ruszyłem w drogę powrotną. Dotarłem na ziemię na pół uduszony, odpocząłem chwilę, po czym zaniósłem go do mego prymitywnego schronienia. Smilodon podążył za nami i ułożył się u naszych stóp.

Rankiem, kiedy żołnierze wrócili z jedzeniem, wodą i winem dla mnie oraz uwięzonymi do długich tyk pochodniami, które miały przepłoszyć smilodona, ich dowódca był już całkowicie przytomny, a nawet zdążył się nieco posilić. Zdumienie, jakie pojawiło się na twarzach żołnierzy, kiedy stwierdzili, że dzika bestia oraz chiliarcha zniknęli bez śladu, ogromnie nas rozbawiło, jednak ich konsternacja sięgnęła szczytu, gdy ujrzeli obu w moim szałasie.

- Możecie się zbliżyć - powiedziałem. To zwierzę nie uczyni wam krzywdy, wasz dowódca zaś wymierzy wam karę tylko wówczas, jeśli przekona się, że zaniedbaliście obowiązki.

Podeszli ostrożnie, spoglądając na mnie z niemal takim samym respektem jak na smilodona.

- Widzieliście, co wasz monarcha uczynił chiliarsze za to, że ten nie przeszukał mnie przed dopuszczeniem przed oblicze władcy i nie odebrał mi broni. Jak sądzicie, co zrobi z wami, kiedy przekona się, że pozwoliliście uciec temu, którego tak surowo potraktował?

- Wszyscy zginiemy, sieur - odparł kapral. - Zawieśniemy na

palach tak jak nasz dowódca.

Smilodon parsknął, obnażając lśniące zęby, i wszyscy cofnęli się o krok.

Chiliarcha skinął głową.

On ma rację. Sam wydałbym taki rozkaz, gdybym zachował

swoje stanowisko.

Czasem utrata stanowiska potrafi załamać tego, kto je utracił -

zauważyłem.

Ja nie załamuję się tak łatwo - zapewnił mnie.

Myślę, że właśnie wtedy po raz pierwszy ujrzałem w nim człowieka.

Jego pociągła twarz była surowa i nieruchoma, lecz jednocześnie inteligentna i zdecydowana.

-

Słusznie - odparłem. - Tym bardziej, że akurat teraz na

prawdę nie masz powodu. Musisz uciec, zabierając ze sobą tych ludzi.

Oddaję ich pod twoją komendę.

Ponownie skinął głową.

Czy możesz oswobodzić mi ręce, Łagodzicielu?

Ja to uczynię, sieur - odezwał się kapral.

Wydobył z kieszeni klucze i zbliżył się do nas, a smilodon całkowicie go zignorował. Chwilę potem kajdany osunęły się na skalisty grunt, chilarcha zaś podniósł je i cisnął w przepaść.

- Trzymaj ręce związane za plecami i ukryte pod peleryną - poradziłem mu. - Niech twoi ludzie zaprowadzą cię do ślizgacza. Wszyscy będą myśleć, że wydano rozkaz przewiezienia cię w inne miejsce, gdzie zostanie wymierzona ci kara. Sam najlepiej będziesz wiedział, gdzie wylądować.

-

Przyłączymy się do buntowników. Myślę, że powitają nas z

otwartymi ramionami.

Wstał i zsalutował, a ja uczyniłem to samo, przywykły do takiego ceremoniału podczas długich lat, które spędziłem zasiadając na tronie.

Łagodzicielu, czy nie mógłbyś uwolnić Urth od Typhona? -

zapytał kapral.

Mógłbym, ale uczynię to dopiero wtedy, jeśli nie będę miał

innego wyjścia. Bardzo łatwo jest zamordować okrutnego władcę, znacznie trudniej natomiast nie dopuścić do tego, by zastąpił go jeszcze gorszy.

- Więc ty go zastąp!

Pokręciłem głową.

- Z pewnością mi nie uwierzycie, jeśli wam powiem, że muszę

wykonać inne, znacznie ważniejsze zadanie, ale tak właśnie przedstawia się prawda.

Wpatrywali się we mnie bez zrozumienia.

- Słuchajcie mnie uważnie: dziś rano przyglądałem się tej górze oraz szacowałem tempo prac przy jej przebudowie. Na podstawie tych obserwacji mogę stwierdzić, że Typhon ma przed sobą niewiele życia.

Umrze na czerwonej otomanie, na której leży w tej chwili, a bez jego zezwolenia nikt nie odważy się odsunąć kotary. Jego dworzanie zaczną jeden po drugim uciekać z pałacu, maszyny drążące i przenoszące skały będą zgłaszać się po kolejne polecenia, ale nie będzie miał im kto ich wydać, a wreszcie sama zasłona rozpadnie się w pył.

Oczy żołnierzy, kaprała i chiliarchy robiły się coraz większe ze zdumienia.

□ Nigdy już nie pojawi się władca taki jak Typhon, który rządziłby wieloma planetami. Jednak ci, co po nim nadejdą - największy spośród nich będzie nosił imię Ymar - podejmą wysiłki, aby go naśladować, w związku z czym za kilka stuleci każdy szczyt, jaki tu widzicie, będzie miał ludzką twarz i koronę. To wszystko, co mogę wam powiedzieć. Teraz musicie już ruszać w drogę.

□ Wystarczy jedno twoje słowo, Łagodzicielu, a zostaniemy tu i umrzemy razem z tobą zapewnił mnie chiliarcha.

- Nie chcę, żebyście umierali - odparłem. - Poza tym ja także nie umrę. - Usiłowałem wyjaśnić im działanie i naturę Czasu, choć ja sam nie do końca je rozumiałem. - Każdy, kto kiedykolwiek przyszedł na świat, żyje gdzieś, kiedyś, po dziś dzień. Wam grozi znacznie większe niebezpieczeństwo niż mnie. Idźcie!

Żołnierze cofnęli się o krok, chiliarcha zaś zapytał:

-

Czy nie dasz nam jakiegoś znaku, jakiegoś dowodu na to, że

cię spotkaliśmy? Wiem, że moje ręce są splamione twoją krwią, podobnie jak ręce Gaudentiusa, ale ci ludzie nie wyrządzili ci żadnej krzywdy, Łagodzicielu.

Istniał tylko jeden znak, który mogłem mu ofiarować. Zdjąłem z szyi zawieszony na rzemieniu woreczek z ludzkiej skóry, uszyty przez Dorcas dla prawdziwego Pazura, w którym teraz trzymałem cierń krzewu rosnącego nad brzegiem niespokojnego Oceanu: ten sam, co utkwił mi w ręce i na którym zacisnąłem palce na pokładzie statku Tzadkiel.

-

On pił moją krew - powiedziałem.

Z ręką opartą na łbie smilodona przyglądałem się, jak idą po skalnym występie, rzucając długie cienie w otwierającą się zaledwie kilka kroków od nich przepaść. Kiedy dotarli do grani, która stopniowo przeistaczała się w rękaw Typhona, chiliarcha zgodnie z moją sugestią ukrył ręce za

plecami, kapral wydobyl pistolet, dwaj żołnierze zaś wymierzili broń w plecy oficera.

Obserwowałem ich aż do chwili, kiedy zeszli po kamiennych

stopniach i znikli w labiryncie alejek miasta, które kiedyś miałem nazwać Przeklętym. Łatwo przyszło mi ich odesłać, ale teraz, kiedy odeszli na dobre, po raz kolejny przekonałem się, co to znaczy stracić przyjaciela (ponieważ chiliarcha stał się moim przyjacielem); wydawało mi się, że lada chwila pęknie mi serce, choć niektórzy twierdzili i twierdzą, iż jest ono wykute z kamienia.

- Z tobą także muszę się rozstać - powiedziałem do smilodona. - Właściwie powinienem był kazać ci odejść, kiedy jeszcze było ciemno.

Zamruczał łagodnie niczym ogromny kociak - wątpię, czy wielu ludziom zdarzyło się słyszeć ten odgłos - a zaraz potem niemal identyczny dźwięk spłynął z nieba.

Po drugiej stronie ramienia kolosalnego posągu ślizgacz wzniósł się powoli na wysokość kilkunastu łańcuchów, po czym nagle zwiększył prędkość i pognął w stronę poszarpanego górskiego horyzontu.

Przypomniałem sobie bardzo podobną maszynę, która uniosła na swym pokładzie Vodalusa wkrótce po zajściu opisanym przeze mnie na samym początku tej relacji; przyrzekłem sobie w duchu, że jeśli tylko znajdę dość czasu, spiszę jej dalszy ciąg, zaczynając od chwili, kiedy cisnąłem w międzygwiazdną pustkę szkatułę z pierwszą częścią opowieści. Jak widzisz, czytelniku, dotrzymałem tego przyrzeczenia.

Nie mam pojęcia, skąd bierze się ta niemożliwa do zaspokojenia żądza pozostawiania za sobą śladu z linijek pisma. Podobnie przedstawia się sprawa z pewnym wydarzeniem z życia Ymara, o którym kiedyś wspominałem; niedawno rozmawiałem z samym Ymarem, jednak nasze spotkanie w najmniejszym stopniu nie wyjaśniło tamtego wydarzenia. Mam nadzieję, że moje losy nie będą stanowiły takiej zagadki dla kogoś, kto, być może, kiedyś postanowi bliżej im się przyjrzeć.

Pomruk burzy, który dotarł do mych uszu nie tak dawno temu. rozległ się ponownie, zwiastując nadejście ciemnej jak noc chmury, bardziej majestatycznej nawet od gigantycznego posągu Typhona.

Żywność i napoje przyniesione przez pretorianów leżały na ziemi kilkanaście kroków od szałasu; poszedłem po nie ze smilodonom depczącym mi po piętach, aby przenieść je do mojej kryjówki i uchronić przed zniszczeniem. Wiatr z każdą chwilą przybierał na sile, na skały zaś spadły pierwsze krople deszczu, wielkie jak śliwki i lodowato zimne.

- To najlepsza sposobność, na jaką możesz liczyć- powiedziałem do smilodona. - Wszyscy szukają teraz schronienia. Uciekaj!

Ruszył przed siebie ogromnymi susami, jakby tylko czekał na mój rozkaz. Nie minęły nawet dwa oddechy, jak zniknął za grzbietem kamiennego ramienia, ale zaraz potem pojawił się znowu: płowy pocisk.

same mięśnie i zęby, stopniowo zmieniający kolor na ciemny, mokry brąz. Robotnicy i żołnierze pierzchali przed nim we wszystkie strony.

Przekonałem się po raz kolejny, że nawet najstraszliwsze bestie są zupełnie nieszkodliwe w porównaniu z bronią wymyśloną przez ludzi i używaną przez nich do zabijania.

Nie wiem, czy smilodon wrócił bezpiecznie na swoje tereny łowieckie, choć mam nadzieję, iż zdołał tego dokonać. Jeśli chodzi o mnie, to siedziałem bez ruchu w szałasie, wsłuchując się w ryk szalejącej burzy i jedząc chleb oraz owoce, aż wreszcie huraganowy wiatr porwał ze sobą płócienną płachtę, która służyła mi za dach.

Wstałem wówczas i przez zasłonę z zacinającego deszczu dostrzegłem oddział żołnierzy wspinających się na ramię posągu.

Ku swemu zdziwieniu ujrzałem także zupełnie suche miejsca, gdzie nie było strażników ani żołnierzy. Nie chcę bynajmniej powiedzieć, iż te nowe, bezpieczne miejsca pojawiły się tam, gdzie do tej pory otwierała się przepaść. Najeżona skałami otchłań co najmniej milowej głębokości była tam, gdzie przedtem, jej dno pokrywał dywan zielonej dżungli, tej samej, przez którą kiedyś miałem podążać z małym Seve-rianem i gdzie natrafiliśmy na wioskę czarnoksiężników.

Po prostu odniosłem wrażenie, jakby oprócz kierunków w górę, w dół, do przodu i do tyłu oraz na boki, nagle pojawiły się dodatkowe, ukazując światy, z których istnienia nie zdawałem sobie do tej pory sprawy.

Jeden z żołnierzy nacisnął spust. Pocisk trafił w skałę u moich stóp. rozłupując ją na niezliczone, rozżarzone odpryski. Zrozumiałem wówczas, iż przysłano ich po to, by mnie zabili; przypuszczalnie któryś z ludzi chiliarchy postanowił jednak dochować wierności dwugłowemu władcy i zameldował o tym, co się stało, choć uczynił to za późno, by zapobiec ucieczce pozostałych.

Kolejny żołnierz wycelował we mnie broń. Aby uniknąć trafienia, dałem krok w jednym z nowo otwartych przede mną kierunków i znalazłem się w zupełnie innym miejscu.

Rozdział XL

Strumień za granicą Briaha

Stałem na gęsto poprzetykanej kwiatami trawie, bardziej miękkiej i piękniej pachnącej, niż można sobie wyobrazić. Po lazurowym niebie wędrowały niespiesznie obłoki; od czasu do czasu zasłaniały słońce, zabarwiając się delikatnymi odcieniami indyga i złota. Ryk burzy szalejącej wokół Góry Typhona wciąż jeszcze docierał do moich uszu. ale tak słabo, jakby dzieliła mnie od niej ogromna odległość. W pewnej chwili dostrzegłem błysk, a raczej cień błysku, jeśli coś takiego w ogóle istnieje; albo było to uderzenie pioruna, albo kolejny strzał, oddany przez żołnierzy.

Uczyniłem jeszcze dwa kroki, a wówczas optyczne i akustyczne zjawiska z tamtego świata przestały w ogóle docierać do moich oczu i uszu - nie dlatego jednak, że znikły, lecz dlatego, że utraciłem zdolność (lub tylko chęć) słuchania ich oraz oglądania. Tak samo doroślejąc tracimy zdolność widzenia rzeczy tworzących podwaliny naszego dziecięcego świata. Mimo wszystko nie wydawało mi się możliwe, bym oddalił się z Góry Typhona jednym z korytarzy czasu: przecież dokoła nie było

żadnych korytarzy, tylko trawa, kwiaty i wiatr o słodkim zapachu!

Podążając dalej, odnosiłem coraz silniejsze wrażenie, że już tu kiedyś byłem, że już to kiedyś widziałem, lecz za nic nie potrafiłem przypomnieć sobie nazwy tego miejsca. Na pewno nie była to nasza nekropolia ze swymi grobowcami i smukłymi cyprysami ani nie rozległe pola, gdzie ujrzelśmy z Dorcas scenę wzniesioną przez doktora Talosa; tamte pola rozciągały się u podnóża Muru Nessus, tutaj zaś nie widziałem żadnych murów. Nie trafiłem też z powrotem do ogrodów Domu Absolutu, pełnych rododendronów, sztucznych grot oraz fontann. Okolica nieco przypominałaby pampasy wczesną wiosną, gdyby nie kolor nieba i chmur.

Nagle usłyszałem szmer wody, chwilę potem zaś ujrzałem jej srebrzysty błysk. Pobiegnęłam w tamtą stronę, myśląc o tym, że kiedyś byłem kulawy oraz że kiedyś w pobliżu Przełęczy Orithyia, napiwszy się z podobnego strumienia, zobaczyłem na ziemi odciski łap smilodona. Chłepcząc cudownie chłodną wodę uśmiechnąłem się do siebie; teraz już bym się ich nie przestraszył.

Podniósłszy głowę ujrzałem... Nie, nie smilodona, lecz małą kobietę o bajecznie kolorowych skrzydłach. Przechadzała się po omywanych wodą kamieniach w górze strumienia, jakby chciała ochłodzić sobie stopy.

- Tzadkiel! - wykrzyknąłem, a zaraz po tym umilkłem, zdruzgotany swoją głupotą, ponieważ wreszcie uświadomiłem sobie, gdzie jestem.

Pomachała mi z uśmiechem, a następnie wzbiła się w powietrze i trzepocząc motylimi skrzydłami poleciała w moją stronę.

Uklękłem, ona zaś, wciąż uśmiechnięta, wylądowała obok mnie na brzegu strumienia.

- Chyba jeszcze nigdy nie oglądałeś mnie w locie?

- Widziałem cię kiedyś wiszącą z rozpostartymi skrzydłami w międzygwiazdnej pustce.

- Istotnie, tam mogę przebywać w mej prawdziwej postaci, po

nieważ nie ma przyciągania. Tutaj, żeby latać, muszę być bardzo mała.

Czy wiesz, co to jest pole grawitacyjne?

Jednocześnie zatoczyła koło małą rączką, jakby chciała pokazać mi ukwieconą łąkę ciągnącą się wzdłuż strumienia.

- Widzę tylko to pole, które nas teraz otacza, potężny hierogramato.

Parsknęła śmiechem przypominającym melodię drobnych dzwoneczków.

- Odnoszę wrażenie, że już się kiedyś spotkaliśmy?

- Potężny hierogramato, jestem tylko najpodlejszym z twoich niewolników.

- Co nie zmienia faktu, że z pewnością niezbyt wygodnie ci na kolanach i że przypuszczalnie spotkałeś jedno z moich wcieleń, które powstały już po tym, jak odłączyłam od siebie tę maleńką cząstkę.

Usiądź normalnie i opowiedz mi o tym.

Zrobiłem, co mi kazała. Jakże było przyjemnie siedzieć na brzegu strumienia, od czasu do czasu przepłukując usta jego krystalicznie

czystą wodą i opowiadać Tzadkiel, jak po raz pierwszy ujrzałem ją między stronami księgi ojca Inire, jak pomogłem ją schwytać na pokładzie jej statku, kiedy była odmiennej płci i nazywała się Zak, i jak opiekowała się mną kiedy zostałem ranny. Jednak ty, czytelniku (jeśli w ogóle istniejesz), wiesz już o tym wszystkim, ponieważ opisałem te wydarzenia w mojej relacji, niczego nie przemilczając - albo przemilczając bardzo niewiele.

Rozmawiając z Tzadkiel nad strumieniem, starałem się mówić jak najbardziej zwięźle, lecz ona przerywała mi co chwila, żądając więcej szczegółów na ten lub inny temat, w związku z czym opowiedziałem jej także o małym aniele (o którym przeczytałem w brązowej książce), który spotkał

Gabriela, o moim dzieciństwie w Cytadeli i w willi mego ojca, i w wiosce zwanej Famulorum w pobliżu Domu Absolutu.

Wreszcie, kiedy chyba po raz tysięczny przerwałem dla nabrania oddechu, Tzadkiel rzekła:

Nic dziwnego, że cię wybrałam. W tym, co mówisz, nie rna ani słowa nieprawdy.

Kłamałem zawsze, kiedy uważałem, że może mi to dać jakąś

korzyść, a często nawet wtedy, gdy nie miałem takiej nadziei.

Uśmiechnęła się bez słowa, więc dodałem:

Nie zawahałbym się okłamać także ciebie, potężny hierograma-to, gdybym przypuszczał, że moje kłamstwa zdołają ocalić Urth.

Już ją ocaliłeś. Rozpocząłeś swoje dzieło jeszcze na pokładzie mego statku, dokończyłeś je zaś na powierzchni i we wnętrzu planety, którą zwiesz Yesodem. Agilus, Typhon oraz inni, którzy walczyli przeciwko tobie, uważali zapewne, że uczestniczą w nierównym boju: gdyby byli mądrzy, zrozumieliby, że o żadnej walce nie może być mowy, gdyż dawno już ich pokonałeś. Gdyby byli mądrzy, nie wy stąpiliby przeciwko tobie także z innego względu: wiedzieliby wówczas, iż jesteś naszym sługą.

- Więc nie mogę przegrać?

- Powiedzmy to inaczej: nie przegrałeś. Oczywiście, że mogłeś przegrać, zarówno na statku, jak i później, na pewno jednak nie zginąłbyś przed ostateczną próbą, podobnie jak nie zginiesz teraz, dopóki nie wykonasz zadania. Gdyby było inaczej, umarłbyś w wyniku obrażeń odniesionych w

Saltus, albo trafiony wyładowaniem w Cyta deli, albo przy jakiejś innej okazji. Jednak chwila, kiedy osiągniesz zamierzony cel, zbliża się wielkimi krokami. Jak wiesz, swą siłę czerpiesz z gwiazdy; kiedy wreszcie zderzy się ze starym słońcem, by dać początek nowemu...

- Zbyt często chełpiłem się tym, że nie lękam się śmierci, bym akurat dzisiaj miał zacząć drżeć ze strachu na myśl o niej.

Tzadkiel skinęła głową.

To dobrze. Briaah nie będzie trwał wiecznie.

Ale to jest właśnie Briaah, albo przynajmniej jego część. Pokaż mi go, prowadząc mnie do kabiny na pokładzie twojego statku.

Jeśli tak było, to dlatego, że znajdowaliśmy się wtedy w pobliżu Yesodu. Ten strumień nazywa się Madregot i płynie właśnie z Yesodu do Briaaha.

Między wszechświatami? - zapytałem ze zdumieniem. - Jak to możliwe?

A co w tym dziwnego? Energia zawsze dąży do osiągnięcia

etanu najmniejszego uporządkowania; mówiąc po prostu, oznacza to, że Prastwórca bez przerwy zongluje wszechświatami.

- Ale to przecież jest strumień! - zaprotestowałem. - Taki sam jak wszystkie na Urth!

Ponownie skinęła głową.

- One także składają się z energii dążącej do chaosu. Poza tym wynik obserwacji w znacznej mierze zależy od przyrządu, którym się jej dokonuje. Gdybyś miał inne oczy albo inny umysł, wiele spraw postrzegałbyś w całkowicie odmienny sposób.

Przez chwilę zastanawiałem się nad jej słowami, po czym zapytałem: - A w jaki sposób widziałbym wtedy ciebie?

Do tej pory siedziała nieruchomo obok mnie na brzegu strumienia: teraz położyła się w trawie, podparła brodę rękami i rozpostarła skrzydła przypominające delikatne wachlarze pomalowane w wielkie, kolorowe oczy.

Nazwałeś te łąki polami grawitacji - bardzo słusznie, bo między innymi tym właśnie są. Czy znasz pola Urth, Severianie?

Nigdy nie szedłem za pługiem, ale znam je tak, jak może je znać człowiek wychowany w mieście.

- No właśnie. Co się znajduje na obrzeżu tych pól?

- Ogrodzenia z desek i gałęzi albo kolczaste krzewy, które mają za zadanie zatrzymać bydło. W góra

ch buduje się mury z płaskich kamieni, żeby jelenie nie wyżerały trawy zwierzętom hodowanym przez człowieka.

-

I to wszystko?

Nic więcej nie przychodzi mi na myśl - przyznałem. - Możliwe, że przyglądałem im się przez niewłaściwy instrument.

-

Instrumenty, z których korzystasz, są dla ciebie najważniejsze, ponieważ to właśnie one cię ukształtowały. Od tej reguły nie ma wyjątków. I jak, przypominałeś sobie coś jeszcze?

Wyteżyłem pamięć, lecz bez rezultatu.

Chwasty i różne dzikie rośliny.

Ja jestem właśnie taką dziką rośliną. Severianie. Zapewne wy daje ci się, że przysłano mnie tu po to, żebym ci pomogła: pragnęłabym, aby tak było, i dlatego uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby naprawdę ci pomóc. Prawda przedstawia się jednak w ten sposób, iż jestem częścią siebie, która odłączyła się ode mnie na długo przed tym, zanim mnie poznałeś. Być może kiedyś olbrzymka o imieniu Tzadkiel - choć ja też się tak nazywam - zapagnie, bym ponownie się z nią zjednoczyła, dopóki jednak tak się nie stanie, pozostanę tutaj, między Yesodem i Briahem.

Wracając do twojego pytania: gdybyś dysponował innym instrumentem, mógłbyś zobaczyć mnie tak, jak widzi mnie ona, a wtedy powiedziałbyś mi, dlaczego zostałam skazana na wygnanie. Tymczasem jednak wiem na ten temat nie więcej od ciebie. Czy chcesz teraz, zaraz, wrócić na swoją Urth?

-

Chcę - odparłem. - Ale nie do czasu, który opuściłem. Jak

już ci wspomniałem, kiedy zjawiłem się tam po raz ostatni, ogarnęło mnie przerażenie, że przed nadejściem Nowego Słońca cała Urth zniknie pod lodową skorupą. Choć czyniłem, co w mej mocy, by przyciągnąć moją gwiazdę, była tak daleko, iż musiałoby minąć wiele stuleci, zanim zbliżyłaby się na wystarczającą odległość. Dopiero potem uświadomiłem sobie, że znalazłem się w odległej przeszłości i zrozumiałem, że czeka mnie długie, nużące oczekiwanie. Teraz widzę...

Kiedy o tym mówisz, twoja twarz rozjaśnia się wewnętrznym blaskiem - przerwała mi mała Tzadkiel. - Rozumiem już, czemu darzą cię tak wielką czcią. Pragniesz sprowadzić Nowe Słońce zaraz, natychmiast, jeszcze dziś?

-

Owszem, jeśli to możliwe.

- I oczekujesz ode mnie pomocy? - Umilkła i przez dłuższą chwilę przyglądała mi się z tak poważną miną, jakiej jeszcze nigdy u niej nie widziałem. - Wiele razy zarzucano mi, że kłamię, lecz tym razem naprawdę pomogłabym ci, gdybym tylko mogła.

- Ale nie możesz?

-

Powiem ci tylko tyle: Madregot bierze początek w chwale Ye-

sodu, by zakończyć bieg w chaosie Briaha. Podążaj za nim, a dotrzesz w czasy znacznie bliższe pojawieniu się twojej gwiazdy.

- Skoro mnie tam nie będzie, żeby nią kierować... Prawda, przecież ja jestem tą gwiazdą, albo przynajmniej nią byłem. Nie mogę... Czuję się tak, jakby jakaś część mnie była pogrążona w głębokim śnie.

-

Pamiętaj, że opuściłeś granice Briaha. Poznasz swoje Nowe

Słońce, kiedy tam wrócisz - naturalnie pod warunkiem, że ono jeszcze będzie istniało.

- Musi!- stwierdziłem stanowczo. Ono... to z naczy ja... potrzebuje mnie, potrzebuje moich oczu i uszu, żeby wiedzieć, co się dzieje na Urth.

- Wobec tego uczynisz roztropnie, jeśli nie pójdziesz zbyt daleko w dół strumienia - powiedziała mała Tzadkiel. - Najwyżej kilka kroków.

-

Kiedy się tu znalazłem, nie było go w zasięgu wzroku. Nie

wiem, czy podążając ku niemu nie przesunąłem się już w górę lub w dół.

Wzruszyła ramionami; jej niewielkie, doskonale okrągłe piersi także podniosły się nieco, by za chwilę opaść.

- Wobec tego to miejsce jest równie dobre jak każde inne, prawda? Wstałem i rozejrzałem się dokoła, wyęzając mą niezawodną pamięć.

-

Nadszedłem prostopadle do jego koryta, więc... Nie, mimo wszystko chyba przesunę się trochę w dół jego biegu.

Ona także podniosła się z trawy, tyle że zaraz potem wzbijała się w powietrze.

-
Krok krokowi nierówny. Poza tym, skąd wiadomo, ile należy

ich uczynić?

- Kiedyś słyszałem historię o kogucie - odparłem. - Człowiek, który ją opowiadał, uważał ją tylko za głupią bajeczkę dla dzieci, ale mnie wydaje się, że była w niej ukryta pewna mądrość. Otóż powiada się w niej, iż siedem jest szczęśliwą liczbą, ponieważ ósemka przyniosła kogutowi pecha.

Odmierzyłem siedem kroków.

- Widzisz coś? - zapytała Tzadkiel.

- Tylko ciebie, strumień i trawę.

- Wobec tego musisz oddalić się od niego. Tylko nie przeskakuj na drugi brzeg, bo znajdziesz się w zupełnie innym miejscu! Idź powoli i ostrożnie.

Odwrociłem się plecami do wody i zrobiłem krok naprzód.

Co teraz widzisz? Patrz w ziemię pod nogami.

Ciemność.

- Zrób jeszcze jeden krok. - Ogień... A raczej morze iskier.

- Jeszcze jeden!

Unosiła się za mną w powietrzu jak malowany latawiec.

Tylko trawa, taka jak wszędzie.

Bardzo dobrze. Teraz jeszcze pół kroku.

Ostrożnie wysunąłem stopę. Podczas naszej rozmowy słońce było schowane za chmurą, ale teraz odniosłem wrażenie, że ukryło się za znacznie bardziej solidną zasłoną, ponieważ na wprost moich oczu pojawił się pas nieprzeniknionej czerni, na tyle wąski, że mógłbym objąć go ramionami, ale niezmiernie głęboki. - I co?

Ciemność... - A zaraz potem, choć bardziej to wyczułem, niż zobaczyłem: - Jakieś drzwi. Czy muszę przez nie przejść?

Decyzja należy do ciebie.

Pochyliłem się i niemal jednocześnie odniosłem wrażenie, że łąka pochyła się razem ze mną, przybierając pozycję, w jakiej dostrzegłem ją ze skalnego występu. Choć Madregot znajdował się

zaledwie trzy kroki za mymi plecami, jego muzyka z trudem docierała do moich uszu.

W ciemności falowały jakieś litery. Spróbowałem je odczytać, lecz nie mogłem; dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że są odwrócone, największe zaś układają się w moje imię.

Wkroczyłem w pas ciemności. Łąka znikła, a ja pogrążyłem się w czarnej nocy. Wysunąłem do przodu ręce, natrafiłem na jakiś kamień, pchnąłem go ze wszystkich sił, on zaś ustąpił - powoli i niechętnie, stawiając opór, który mógł wynikać tylko z wielkiego ciężaru.

Śmiech maleńkiej Tzadkiel zabrzmiał tuż koło mnie jak brzęknięcie szklanych dzwoneczków.

Mauzoleum Severiana

Rozległo się pianie koguta, kamień z chrzęstem wrócił na miejsce. ja natomiast ujrzałem rozgwieżdżone niebo, na nim zaś, wśród mrowia innych, błyszczącą jaskrawo gwiazdę, aż niebieskawą od ogromnej prędkości. Znowu stanowałem z nią nierozzerwalną całość. Jakże była blisko! Nawet jasna Skuld, pojawiająca się o świcie, nie dorównywała jej ani blaskiem, ani wielkością.

Bardzo długo - tak mi się przynajmniej wydawało - obserwowałem tę cząstkę siebie, mimo wszystko potrzebującą jeszcze trochę czasu na dotarcie do orbity Dis. Odniosłem wrażenie, że słyszę jakieś głosy, ale nie zadałem sobie trudu, żeby się rozejrzeć, a kiedy wreszcie to uczyniłem, stwierdziłem, iż jestem zupełnie sam.

To znaczy, prawie sam. Z pagórka po prawej stronie obserwował mnie koziołek ze sporymi parostkami, po lewej natomiast ujrzałem posąg, wpatrzony we mnie ślepyimi, nieruchomymi oczami.

Zaćwierkał samotny świerszcz - chyba jeden z ostatnich, ponieważ na trawie lśnił diamentowy pył szronu.

Podobnie jak na łące nad Madregotem, także tutaj ogarnęło mnie przeświadczenie, że znajduję się w znanym sobie miejscu, lecz z niewiadomych powodów nie potrafię go zidentyfikować. Stałem na kamieniach, drzwi zaś, które otworzyłem, także były z kamienia. Trzy wąskie stopnie prowadziły na przystrzyżony trawnik. Zszedłem po nich, a wtedy drzwi zamknęły się za mną: jednocześnie uległy jakiejś tajemniczej metamorfozie, bo gdy odwróciłem się, żeby na nie spojrzeć, przekonałem się, iż już nie są drzwiami.

Stałem w niewielkiej dolinie, liczącej sobie najwyżej tysiąc kroków długości, położonej między łagodnymi wzgórzami. W ich zboczach znajdowały się liczne drzwi - niektóre dość wąskie, inne znacznie potężniejsze od kamiennych wrót w obelisku za moimi plecami. Ich obecność, a także widok wykładanych płaskimi kamieniami ścieżek.

podpowiedziały mi, że trafiłem na teren Domu Absolutu. Długi cień rzucany przez obelisk nie zawdzięczał

swego istnienia księżycowi, lecz słońcu wyłaniającemu się właśnie zza szczytów wzniesień. Był wycelowany we mnie jak strzała.

Przez chwilę żałowałem, że oddałem Pazur chiliarsze, ponieważ przy blasku klejnotu z pewnością udałoby mi się odczytać inskrypcję na ukrytych w głębokim cieniu kamiennych drzwiach; w porę jednak przypomniałem sobie, jak badałem Declana w ciemnościach panujących w jego chacie, zbliżyłem się do zamkniętych wrót i skorzystałem z niezwykłych właściwości mego wzroku.

K.u czci SEVERIANA WIELKIEGO

Autarchy naszej Wspólnoty i Pierwszego Obywatela Urth

Tych kilka słów wyrytych w błękitnym chalcedonie wstrząsnęło mną do głębi. A więc uważano mnie za zmarłego, a ta zaciszna dolinka stanowiła coś w rodzaju mego symbolicznego grobowca!

Szczerze mówiąc, wolałbym nekropolię rozciągającą się u podnóża Cytadeli (gdzie istotnie miałem kiedyś spocząć) albo kamienne miasto, w którym już raz mnie pochowano.

Otrząsnąwszy się częściowo z szoku zacząłem się zastanawiać, w której dokładnie części Domu Absolutu usytuowano to mauzoleum oraz czy ojciec Inire miał coś wspólnego z jego wzniesieniem. Zamknąłem oczy i pozwoliłem wspomnieniom, by same przesuwwały mi się pod powiekami; ku swemu nieopisanemu zdumieniu niemal natychmiast ujrzałem niewielką scenę, którą Dorcas, Baldanders i ja wznieśliśmy dla doktora Talosa. Stałem właśnie w tym miejscu, natomiast upamiętniający mnie obelisk wznosił się tam, gdzie wtedy trwał nieruchomo ogromny Sen, którego w swej naiwności wziąłem za posąg. To wspomnienie spowodowało, że natychmiast spojrzałem na postać po lewej stronie doliny, ale z ulgą stwierdziłem, iż jest ona tym, za co ją wziąłem w pierwszej chwili, to znaczy niegroźną, na pół żywą, niemą istotą. Podążała właśnie ku mnie z tajemniczym uśmiechem na ustach.

Przez jakiś czas podziwiałem jej białe kończyny o doskonałych proporcjach, skąpane w mym blasku, ale potem uświadomiłem sobie.

że minęły dopiero dwie albo trzy wachty od chwili, kiedy świt spłynął na zbocza Góry Typhona, mnie zaś rozpierała taka energia, że nie odczuwałem zbyt wielkiej potrzeby długotrwałego kontemplowania ruchomych posągów ani zażycia odpoczynku w którejś z altan rozrzuconych na terenie ogrodów.

Zwieńczone łukiem przejście, ukryte w krzewach niedaleko od miejsca, w którym stał koziółek, wiodło do Drugiego Pałacu; podbiegłem do niego, wymamrotałem słowo, którym się je otwierało, i wszedłem do środka.

Jakże dziwnie, a jednocześnie jak wspaniale się czułem znowu podążając tak dobrze znanymi korytarzami! Ich przytłaczający wystrój oraz liczne, wyściełane grubym dywanem schody przywodziły mi na myśl wspomnienia o tysiącach przygód i schadzek, o tropieniu białych wilków, biczowaniu więźniów przetrzymywanych w przedpokoju, powtórnym spotkaniu z Oringą.

Gdyby stało się tak, jak planował ojciec Inire, to znaczy gdyby te tajemne, kręte przejścia, tunele oraz łączniki były znane wyłącznie jemu i aktualnie panującemu Autarsze, byłoby w nich równie nudno jak w każdym lochu, a w dodatku przypuszczalnie jeszcze mniej przyjemnie. Jednak Autarchowie chętnie dzielili się tą tajemnicą ze swymi kochankami, te zaś przekazywały ją swoim kochankom, tak że wreszcie doszło do tego, iż w każdy wiosenny wieczór rozgrywało się tu co najmniej kilka dwu- lub więcejosobowych tragikomedii, a przy okazji wielkich świąt lub festynów pewnie sto albo jeszcze więcej.

Prowincjonalny administrator, który przywiózł ze sobą do Domu Absolutu marzenia o romantycznych przygodach, zazwyczaj nie zdawał sobie sprawy, iż rozgrywają się one naprawdę, niemal przez całą noc, zaledwie kilka kroków od wezglowia jego łóżka.

Rozmyślając o tych sprawach, przeszedłem co najmniej pół mili (zatrzymując się od czasu do czasu, by zajrzeć przez zamaskowane otwory do ogólnie dostępnych pomieszczeń oraz prywatnych apartamentów), aż wreszcie natknąłem się na zwłoki niedoszłego zabójcy.

Leżał na wznak - myślę, że co najmniej od roku, ponieważ wysuszona skóra zaczęła już odpadać z twarzy, w związku z czym sprawiał wrażenie wesoło uśmiechniętego, jakby wreszcie doszedł do wniosku, że śmierć jest przede wszystkim znakomitym żartem. Spomiędzy palców wyciągniętej ręki wysunął się sztylet o długim, bez wątpienia zatrutym ostrzu. Nachyliłem się, aby dokładniej przyjrzeć się mężczyźnie, zastanawiając się jednocześnie, czy sam zadał sobie śmierć; było to całkiem możliwe, ponieważ korytarze Drugiego Pałacu widziały już znacznie bardziej niezwykle wydarzenia. Ostatecznie doszedłem jednak do wniosku, iż zginął z ręki niedoszej ofiary. Przez chwilę zastanawiałem się, czy zabrać jego sztylet, który mógłby zastąpić mi nóż utracony przed tyloma chiliadami, ale myśl, że miałbym się posługiwać zatrutym ostrzem, była dla mnie nie do zniesienia.

Duża mucha donośnie bzycząc otarła mi się o twarz.

Odruchowo machnąłem ręką, po czym ujrzałem ze zdumieniem, jak ląduje na zwłokach i niknie w otwartych ustach trupa, za nią zaś podążają następne.

Cofnąłem się o krok, lecz zanim zdołałem się odwrócić, ciało uległo przyspieszonemu rozkładowi - tyle że przebiegającemu w przeciwną stronę: pokryte pomarszczoną skórą kończyny napuchły i zaroily się od robaków, przybrały trupio szarą barwę śmierci, potem zaś zaróżowiły się, uzyskując wszelkie pozory życia. Kiedy spojrzałem na sztylet, przekonałem się, iż jego rękojeść obejmuje silne, grube palce.

Chwilę później trup usiadł. Pamiętając doskonale to wszystko, co działo się z Zamą, byłem gotów rzucić się do ucieczki albo - gdyby nadarzyła się sposobność - wyrwać mu sztylet i zabić go powtórnie jego własną bronią. Możliwe, iż tylko dzięki tym sprzecznym impulsom zachowałem całkowity spokój, stojąc nieruchomo i obserwując go w milczeniu.

Powoli dźwignął się na nogi i skierował na mnie puste spojrzenie.

-

Lepiej odłóż to, zanim wyrządzisz komuś krzywdę - poradzi

łem mu.

Zazwyczaj takie sztylety nosi się przy pochwie z mieczem, ale on miał u pasa mniejszą, przeznaczoną wyłącznie dla tej broni. Posłusznie uczynił, co mu zaproponowałem.

-

Jesteś jeszcze trochę zdezorientowany - dodałem łagodnym tonem. - Byłoby dobrze, gdybyś został tu aż do chwili, kiedy w pełni wrócisz do siebie. Nie idź za mną.

Nie uzyskałem odpowiedzi, bo też i żadnej się nie spodziewałem. Przecisnąwszy się obok niego, ruszyłem przed siebie najszybciej, jak mogłem, ale prawie natychmiast usłyszałem za sobą niepewne kroki. Nie oglądając się popędziłem co sił w nogach, starając się czynić jak najmniej hałasu i skręcając na chybił trafił w różne odnogi korytarza.

Nie mam pojęcia, jak daleko dotarłem, choć wydawało mi się, że na drugą stronę Urth. Minąłem mnóstwo drzwi, lecz żadnych nie otworzyłem, wiedząc, iż w taki czy inny sposób zaprowadzą mnie na teren Domu Absolutu. Wreszcie ujrzałem przed sobą duży otwór pozbawiony drzwi; wraz z napływającym przezeń powietrzem dobiegał odgłos kobiecego łkania. Zatrzymałem się i opuściłem korytarz.

Znalazłem się w loggii okolonej z trzech stron lukami wspierającymi się na bogato rzeźbionych kolumnach. Szlochania zdawały się dobiegać z lewej strony; podszedłem do jednego z łuków i wyjrzałem na zewnątrz, by przekonać się, że spoglądam z góry na obszerną galerię zwaną Powietrzną Ścieżką, a to dlatego, że niemal zawsze wieją tam silne wiatry. Loggia stanowiła jedną z konstrukcji, które na pierwszy rzut oka zdają się służyć wyłącznie ozdobie, w rzeczywistości natomiast są ściśle związane z funkcjonowaniem Drugiego Pałacu.

Cienie kładące się na marmurową posadzkę świadczyły o tym, że kobietę otacza kilku prawie niewidocznych pretorian. Jeden z nich podtrzymywał ją pod ramię. Początkowo nie mogłem dostrzec jej oczu, ponieważ były skierowane ku podłodze, a w dodatku okalał je stargany welon kruczoczarnych włosów.

Zaraz potem jednak (nie wiem, czy przez przypadek, czy wyczuwając moją obecność) podniosła głowę i spojrzała prosto na mnie. Miała uroczą twarz o oliwkowej cerze - nawet jej kształt przywodził

na myśl oliwkę - i takim wyrazie, że poczułem, jak serce pęka mi z bólu i współczucia. Ponownie doznałem przedziwnego wrażenia, że już tu kiedyś byłem. Ogarnęło mnie graniczące z pewnością przekonanie, że kiedyś, w poprzednim życiu, stałem w tym samym miejscu co teraz i widziałem ją w dole tak samo jak obecnie.

Zarówno ona, jak i cienie pretorian szybko zniknęły mi z oczu, więc przebiegłem do kolejnej loggii, a potem do jeszcze następnej. Kobieta przez cały czas nie spuszczała ze mnie wzroku, odwracając stopniowo głowę, tak że w chwili, kiedy ujrzałem ją po raz ostatni, spoglądała na mnie przez ramię okryte jasnym materiałem bogato obszytego koronkami peniuaru.

Nadal była tak samo piękna i równie tajemnicza jak kilka uderzeń serca wcześniej. Jej uroda stanowiłaby wystarczający powód, by przykuć uwagę każdego mężczyzny, ale czemu ona czyniła wszystko, by nie stracić mnie z oczu? Nie wiem, czy właściwie rozszyfrowałem uczucia malujące się na jej twarzy, ale odniosłem wrażenie, iż dostrzegam tam strach i nadzieję, a także coś jakby ślad zdumienia; czyżby i ona nie mogła uwolnić się od przeczucia, że bierze udział

w powtórce jakiegoś dramatu z przeszłości?

Chyba ze sto razy wracałem pamięcią do wydarzeń, w których uczestniczyłem na terenie Drugiego

Pałacu, czy to jako Thecla, czy Thecla i Severian, czy jako stary Autarcha, nie mogąc przypomnieć sobie tego, na którym mi zależało, choć wiedziałem ponad wszelką wątpliwość, iż musiało kiedyś mieć miejsce. Idąc dalej przed siebie sięgnąłem więc głębiej, do wspomnień tych niewyraźnych, przypominających cienie postaci, o których rzadko kiedy albo nawet wcale nie mówiłem w swojej opowieści, by stwierdzić ze zdziwieniem, że najstarsze z nich żył w własnym życiu w czasach Ymara, a nawet wcześniej, w epoce zwanej Epoką Mitów.

Choć zagłębiłem się w dusze tych ludzi, to jednak ani przez chwilę nie przestałem być sobą, a będąc sobą nie mogłem przestać być jasną gwiazdą, która pędziła przez czarną pustkę ku oczekującej jej z lękiem Urth. Nagle, gdzieś bardzo daleko (choć doskonale zdawałem sobie sprawę, że w rzeczywistości odległość wcale nie jest taka wielka), dostrzegłem szkarłatne słońce, które miało przynieść mi zagładę, zarazem dając nieśmiertelność. Towarzyszące mu dzielna Skuld i posępna Verthandi wyglądały jak pozbawione znaczenia księżycy, Urth zaś dostrzegłem jako czarną plamę na jego krwistym, gasnącym obliczu, wędrującą powoli ku krawędzi i gorącej tam rzy. Pograżony głęboko w myślach, zdziwiony i niespokojny, kontynuowałem wędrówkę podziemnymi korytarzami.

Rozdział XLII

Bim, bam, bom!

Wkraczając na teren Drugiego Pałacu nie miałem pojęcia, dokąd zamierzam iść, a raczej nie zdawałem sobie sprawy, że znam cel swojej wędrówki. Teraz stwierdziłem, iż nieświadomie kieruję się ku Amaran-towemu Hypogeum, by przekonać się, kto zasiada na tronie Feniksa oraz jeśli to możliwe, usunąć uzurpatora i zająć należne mi miejsce. Kiedy nadejdzie Nowe Słońce, nasza Wspólnota będzie potrzebować władcy rozumiejącego wagę wydarzeń i potrafiącego nimi kierować - tak mi się przynajmniej wydawało.

Jedne z drzwi Drugiego Pałacu były ukryte za ogromnym arrasem wiszącym bezpośrednio za tronem.

W pierwszym roku mego panowania zamknąłem je znanym tylko mi słowem, w wąskiej przestrzeni zaś między nimi a gobelinem powiesiłem mnóstwo dzwoneczków, tak że każdy, kto chciałby się tamtędy niepostrzeżenie prześlizgnąć, musiałby narobić hałasu, który w porę ostrzegłby osobę siedzącą na tronie.

Na mój rozkaz drzwi otworzyły się tak łatwo i cicho, jakby obracały się na dopiero co naoliwionych zawiasach, a kiedy zrobiłem krok naprzód, natychmiast zamknęły się za mną. Małe dzwoneczki, zawieszane na cienkich jedwabnych niciach, zadźwięczały cichutko; większy, umieszczony nieco wyżej, odpowiedział im sziszowym szeptem, posypując mi głowę nagromadzonym przez wiele stuleci kurzem.

Stałem bez ruchu, wyęzając słuch. Nic przeliczyłem się; dzwonki umilkły, lecz w ostatniej chwili wśród ich chaotycznej melodii zabrzmiał śmiech Tzadkiel.

- Co to za dzwonienie? - rozległ się skrzypiący głos starej kobiety.

Odpowiedział jej męski baryton, głęboki i dźwięczny: niestety, nie zrozumiałem ani słowa z tego, co

powiedział.

- Dzwonki! - wykrzyknęła siara kobieta. - Słyszeliśmy dzwonki! Czyżbyś już zupełnie ogłuchł, chiliarcho?

Zacząłem żałować, że nie zabrałem sztyletu trupowi, bo teraz miałbym czym rozciąć arras i wyrzeć na zewnątrz. Niski głos rozległ się ponownie, ja zaś uświadomiłem sobie, że na przestrzeni wieków podobne myśli musiały przychodzić do głowy wielu ludziom stojącym tu. gdzie ja teraz, i że przynajmniej część z nich dysponowała jakimś ostrym narzędziem. Ostrożnie dotknąłem grubego materiału czubkami palców.

- Powiadam ci, że zadzwoniły. Poślij kogoś, żeby to sprawdził.

Niemal natychmiast natrafiłem na rozcięcie zrobione przez kogoś tylko nieznacznie niższego ode mnie. Przyłożywszy oko do szczeliny stwierdziłem, że stoję trzy kroki na prawo od tronu. Widziałem tylko rękę siedzącej na nim osoby; spoczywała bezwładnie na podłokietniku, przeraźliwie chuda, obciążona cienką jak pergamin, pokrytą plamami skórą, przez którą prześwitywały ciemnogrnatowe żyły. Na kościstych palcach pyszniły się liczne pierścienie.

Przed tronem, z nisko pochyloną głową klęczała postać tak ogromnych rozmiarów, iż przez chwilę wydawało mi się, że to Tzadkiel w tej postaci, w jakiej doprowadziłem go do sali rozpraw na Yesodzie.

Jego zmierzwiłone włosy były zlepione krwią.

Za potężnym mężczyzną stali przypominający cienie strażnicy, jeszcze dalej natomiast oficer z odkrytą głową i w zbroi potrafiącej upodabniać się do otoczenia. Był to chiliarcha pretorianów, choć rzecz jasna nie ten, który dowodził tą formacją za mego panowania, ani nie ten, którego w niewyobrażalnie odległej epoce ocaliłem przed wygłodzonym smilodonom.

Bezpośrednio przed tronem, a tym samym niemal całkowicie niewidoczna dla mnie, stała odziana w łachmany kobieta oparta na rzeźbionej lasce. Odezwała się niemal w tej samej chwili, kiedy zdałem sobie sprawę z jej obecności:

- Dzwony odezwały się, by uczcić nadejście Nowego Słońca, Autarcho. Cała Urth szykuje się na jego powitanie.

- W naszym dzieciństwie zajmowaliśmy się głównie studiowaniem historii wyskrzeczwała kobieta zasiadająca na tronie. - Dzięki temu wiemy, że było już tysiące proroków takich jak ty, moja nieszczęsna siostró... Nie, co najmniej dziesięć tysięcy, albo i sto. Wszyscy okazali się zwykłymi szaleńcami lub oszustami.

Zechciej mnie wysłuchać, Autarcho - nie dawała za wygraną

kobieta w łachmanach. - Mówisz o dziesiątkach i setkach tysięcy...

Zgoda. Ja już co najmniej tysiąc razy słyszałam twoje słowa, ale ty nigdy nie dałaś mi okazji

powiedzieć wszystkiego, co pragnę ci prze kazać.

□ Mów więc. Przerwiemy ci, kiedy przestaniesz nas bawić.

□ Nie przyszedłem tu po to, żeby cię zabawić, ale by powiedzieć ci, że Nowe Słońce przybywało już wielokrotnie, widziane tylko przez jedną osobę, albo najwyżej przez kilka. Z pewnością pamiętasz Pazur Łagodziciela, który zniknął bez śladu już w naszych czasach.

□ Ukradzono go! - wymamrotała stara kobieta. - Nigdy go

nie widzieliśmy.

□ Ale ja go widziałam - odparła ta z laską. - Widziałam go w rękach anioła, kiedy byłem małą dziewczynką i poważnie zachorowałam. Dziś, kiedy tu szłam, zobaczyłam go ponownie na niebie. Twoi żołnierze też go widzieli, choć boją się o tym mówić, podobnie jak ten olbrzym, który również przybył, aby cię ostrzec i został za to okrutnie pobity. Ty także byś go zobaczyła, Autarcho, gdybyś choć na chwilę opuściła ten grobowiec!

- Widywano już takie cuda i znaki, i co z tego? Trzeba by czegoś więcej niż gwiazda ciągnąca za sobą świetlisty ogon, żebyśmy zmienili zdanie.

Pomyślałem, że to znakomita chwila, by wkroczyć na scenę i zakończyć przedstawienie, ale nie wykonałem najmniejszego ruchu, usiłując odgadnąć, dla czyjej rozrywki wystawiane są takie spektakle.

Ponad wszelką wątpliwość bowiem był to właśnie spektakl, w dodatku taki, który już oglądałem, choć nigdy z miejsc przeznaczonych dla publiczności. Obserwowałem inscenizację sztuki doktora Talosa; stara kobieta odgrywała rolę, w którą kiedyś on się wcielił, natomiast kobieta odziana w łachmany odtwarzała jedną z licznych postaci, które należały do mego repertuaru.

Napisałem przed chwilą, że nie wykonałem żadnego ruchu, i tak było naprawdę; przypuszczalnie jednak, nieruchomy jak posąg, zachwiałem się lekko, małe dzwoneczki bowiem roześmiały się ponownie, większy natomiast, do którego były przyczepione, zadźwięczał jeden jedyny raz - głośno, miękko i delikatnie.

□ Dzwonki! - wykrzyknęła ponownie stara kobieta. - Ty, sios

tro, więdźmo, czy jak tam każesz się nazywać, idź już! Przy drzwiach stoją strażnicy. Powiedz ich dowódcy, że chcemy wiedzieć, skąd te hałasy.

□ Nie odejdę stąd tylko dlatego, że ty każesz mi to uczynić -

odparła kobieta w łachmanach. - Już ci wyjaśniłam, skąd biorą się te dźwięki.

Olbrzym podniósł na to głowę i przesunął zakrwawioną ręką po krótkich prostych włosach. Nie wierząc własnym oczom rozpoznałem w nim Baldandersa.

-
Jeśli dzwony dzwonią, to czynią to z okazji nadejścia Nowego

Słońca - zadudnił głosem tak głębokim, że miałem kłopoty ze zrozumiem słów. - Co prawda ich nie słyszę, lecz ja nie muszę ich słyszeć.

-
Czy chcesz przez to powiedzieć, że jesteśmy niespełna rozumu?

- Mam przytępiony słuch. Kiedyś badałem na turę dźwięków.

a im więcej się wie na ich temat, tym gorzej się je słyszy. Poza tym błona w moich bębenkach stała się za gruba, by mogło ją poruszyć drżenie powietrza. Słyszę jednak szum wody płynącej podziemnymi kanałami oraz huk fal rozbijających się o urwiskie brzegi.

- Cisza! - syknęła stara kobieta.

- Nie możesz nakazać falom, pani, żeby były cicho - odparł Baldanders. - Zbliżają się, a są gorzkie i słone.

Jeden z pretorianów rąbnął go w skroń kolbą muszkietu, ale na olbrzymie nie wywarło to najmniejszego wrażenia.

-
Za falą mi ruszą armie Erebu - ciągnął jakby nigdy nic. -

Wszystkie klęski, jakich doznały za sprawą twego męża, zostaną niebawem pomszczone.

Dopiero teraz, dzięki słowom olbrzyma, poznałem kobietę zasiadającą na tronie Feniksa. Zdumienie, jakie ogarnęło mnie na widok Baldandersa. było niczym w porównaniu z szokiem, jakiego doznałem teraz. Chyba drgnąłem nieświadomie, ponieważ małe dzwonki zadźwięczały wesoło, a duży uderzył dwa razy.

- Słuchajcie! - zaskrzeczała Valeria.

- Teraz ja także je usłyszałem, Autarcho! - stwierdził ze zdziwioną miną chiliarcha.

-
Mogę wam wszystko wyjaśnić - zadudnił Baldanders. - Czy

zechcecie mnie wysłuchać?

Tak jak powiedziałeś, dzwony głoszą nadejście Nowego Słońca

ca - odezwała się kobieta z laską. - Nie musisz tego powtarzać.

□ Mów, olbrzymie - wyszeptała Valeria.

- To, co mam do powiedzenia, jest właściwie pozbawione znaczenia, ale mimo wszystko powiem, żeby przygotować was do wysłuchania tego. co naprawdę istotne. Otóż nasz wszechświat nic jest ani najwyż-

szym, ani najniższym z istniejących wszechświatów. Jeśli powstaje zbyt duże zagęszczenie materii, jej nadmiar ucieka do wyższego. Nie zdajemy sobie z tego sprawy, a jedyny widoczny objaw tego zjawiska zwiemy czarnymi dziurami. Jeśli materii zaczyna brakować, dodatkowa jej porcja przedostaje się z niższego wszechświata, a my mówimy wtedy o białej fontannie. To, co ta prorokini nazywa Nowym Słońcem, jest właśnie białą fontanną.

□ W naszych ogrodach znajduje się fontanna przepowiadająca

przyszłość - wyma mrotała Valeria. - Kiedyś, dawno temu, ktoś nazwał ją Białą Fontanną... Ale jaki to wszystko ma związek z dzwo nami?

□ Bądź cierpliwa - odparł olbrzym. - W ciągu kilku oddechów

dowiesz się tego, czego ja uczyłem się całe życie.

- I bardzo dobrze, bo nie zostało nam wiele czasu - stwierdziła kobieta z rzeźbioną laską. - Może tysiąc oddechów, prawie na pewno nie więcej.

Olbrzym spiorunował ją wzrokiem, a następnie ponownie zwrócił się do Valerii:

- Rzeczy sobie przeciwne łączą się, by pozornie zniknąć, lecz ich potencjał pozostaje nie zmieniony. To jedna z podstawowych zasad rządzących biegiem spraw. W sercu naszego słońca znajduje się czarna dziura; po to, by ją wypełnić, przez otchłań czasu i przestrzeni pędzi ku nam biała fontanna.

W trakcie lotu obraca się z wielką prędkością, emitując fale grawitacyjne.

-

Jakie fale? - przerwała mu Yaleria. - Gratyfikacyjne? Chiliar cha miał rację: jesteś po prostu szalony!

Baldanders zignorował jej słowa.

-

Te fale są za słabe, żebyśmy mogli je odczuć, ale Ocean wyczuwa je bez trudu, dając nowe przyptywy i rodząc nowe p rądy. Sły szę je wszystkie, jak już wam powiedziałem. To one mnie tu przynio sły.

Jeśli Autarcha wyda taki rozkaz, wrzucimy cię w nie z po

wrotem! - wycodził chiliarcha.

Dzwony reagują podobnie jak Ocean, ponieważ tak jak on są

wyczulone na wszelkie zmiany grawitacji. Dlatego właśnie dzwonią, zapowiadając nadejście Nowego Słońca.

Miałem już wyjść zza arrasu, ale nie uczyniłem tego, zorientowawszy się, że Baldanders jeszcze nie skończył.

- Jeśli miałaś jakikolwiek kontakt z naukową wiedzą, pani, to z pewnością zdajesz sobie sprawę, że woda to nic innego jak lód.

któremu dostarczono pewną ilość energii.

Nie widziałem tego z ukrycia, ale przypuszczam, że Valeria skinęła głową.

Legenda o górach zionących ogniem jest czymś więcej niż tylko legendą. W czasach, kiedy ludzie nie różnili się jeszcze zanadto od zwierząt, naprawdę istniały takie góry, tyle że zionęły nie ogniem, lecz płynną skałą, roztopioną pod wpływem energii, tak jak woda jest roztopionym lodem. Świat ukryty pod naszymi stopami pozbywał się w ten sposób nadmiaru energii - jak widzisz, w naszej, planetarnej skali obowiązują te same zasady co w większej, wszechświatowej. W tych odległych epokach Urth stanowiła zaledwie grudę mokrej gliny, na której żyli prymitywni ludzie, nieświadomi niczego poza swym najbliższym otoczeniem.

Z piersi Valerii wyrwało się znużone westchnienie.

-

Kiedy byliśmy młodzi, całymi dniami czytaliśmy opowieści bar

dzo podobne do tej, ponieważ nie mieliśmy innych zajęć. Kiedy jednak zjawił się nasz Autarcha i obudził nas do prawdziwego życia, przeko naliśmy się, iż nie miały nic wspólnego z rzeczywistością.

- Teraz możesz stwierdzić, że jest inaczej, pani. Moc, która porusza dzwonkami, ponownie rozgrzała wystygłe jądro Urth. Ich dźwięk zwiastuje śmierć kontynentów.

Czy przybyłeś po to, b y prz ekazać na m wła śnie tę nowinę?

Skoro kontynenty umrą, to kto zostanie przy życiu?

Przypuszczalnie część spośród tych, którzy znajdują się na statkach.

Na pewno wszyscy, których statki wzbiją się w powietrze lub zawisną w międzygwiazdnej przestrzeni. Także ci, żyjący jak ja pod powierzchnią mórz. Ale to wszystko jest bez znaczenia.

Najważniejsze, żeby...

Gdzieś daleko trzasnęły drzwi, chwilę potem zaś rozległ się tupot biegnących stóp. Zadyszany młodszy oficer zatrzymał się przed chiliar-czą i zsalutował, ściągając na siebie spojrzenia Valerii, Baldandersa i kobiety odzianej w łachmany.

□ Sieur... - wysapał do swego zwierzchnika, jednocześnie zerkając niepewnie w stronę tronu.

□ O co chodzi?

- Jeszcze jeden olbrzym, sieur...

- Jeszcze jeden?

Valeria chyba pochyliła się do przodu, ponieważ zza oparcia wysunął się na chwilę kosmyk siwych włosów, a koścista ręka zmieniła nieco położenie.

- A raczej olbrzymka, Autarcho! Wielka, zupełnie naga kobieta!

- Czy masz coś do powiedzenia na ten temat? - Nie widziałem

twarz y Valerii. ale b yłem pewien, że zwraca się do Baldandersa. - Może to twoja żona?

Pokręcił głową, ja zaś, przypomniawszy sobie szkarłatną komnatę w jego zamku, spróbowałem sobie wyobrazić domostwo, w którym zamieszkał w morskiej otchłani.

- Dowódca straży już prowadzi ją na przesłuchanie - dodał

miody oficer.

- Czy pragniesz ją zobaczyć, Autarcho? - zapytał chiliarcha. Jeśli nie, to sam się nią zajmę.

- Jesteśmy już zmęczeni. Udamy się na odpoczynek. Rano poin

formujesz nas, czego się dowiedziałeś.

Okazało się jednak, iż młody oficer nie powiedział jeszcze wszystkiego.

- Ona... Ona twierdzi, że kakogeni wysadzili z jednego ze swych statków mężczyznę i kobietę.

W pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że ma na myśli mnie i Bur-gundofarę. ale zaraz potem uświadomiłem sobie, iż Abaia i jego wodnice nie pomylili się o tyle stuleci.

- I co jeszcze? - spytała Valeria. - Nic, Autarcho.

- Widzę coś w twoich oczach. Jeśli natychmiast nie znajdzie się także na twoim języku, zabierzesz to ze sobą do grobu.

- To tylko plotka, Autarcho. Żaden z naszych ludzi nie zameldował o niczym, co...

- S zyb ko!

Nieszczęśnik umilkł na chwile, po czym wykrztusił:

- Podobno w ogrodach widziano Severiana Kulawego...

Trudno było sobie wyobrazić lepszą sposobność. Podniosłem dolną krawędź arrasu i wyszedłem zza niego; małe dzwoneczki roześmiały się perliście, duży dzwon zaś uderzył trzy razy.

Rozdział XLIII

Wieczorny przypływ

- Widzę, że nikt z nas

nie sprawia wrażenia

zbyt zaskoczonego -

powiedziałem. Sądząc po

minach

większości

zebranych, a także po

tym, co działo się w

moim

sercu,

nie

rozminąłem

się

z

prawdą.

Baldanders (po tym,

jak zniknął w toni Jeziora

Diuturna, nigdy już nie
spodziewałem
się
go
ujrzeć,
a
jednak
widziałem go już raz,
kiedy walczył po mojej
stronie w sali rozpraw na
Yesodzie) urósł do takich
rozmiarów,
że
nie
potrafiłem zmusić się do
tego, by myśleć o nim
jako o człowieku. Twarz
miał
jeszcze
bardziej
zniekształconą
niż
kiedyś, skórę zaś równie
białą jak żyjąca pod

wodą
kobieta,
która
dawno temu ocaliła mnie
przed utonięciem.
Dziewczyna,
której
brat poprosił mnie o
pomoc przed wejściem do
nędznej
lepianki,
przeistoczyła się w ponad
sześćdziesięcioletnią,
siwowłosą kobietę, tak
szczupłą,
że
niemal
wychudzoną, o stopach
pokrytych pyłem wielu
dróg. Do tej pory opierała
się na rzeźbionej lasce w
sposób
świadczący
o

tym, że nie ma już zbyt

wiele sił; teraz stała

prosto

niczym

młoda

wierzba, wpatrując się we

mnie

błyszczącymi

oczami.

O Valerii nie napisze

ani słowa - może tylko

tyle, że poznałbym ją

zawsze i wszędzie. Jej

oczy nie zestarzały się

ani trochę; nadal były

oczami

młodej

dziewczyny,

która,

otulona

w

futra,

spotkała

mnie

w

Ogrodzie

Czasu.

Wyglądało na to, że Czas

nie miał nad nimi żadnej

Władzy.

Chiliarcha

zasalutował

i

ukłękł

przede mną tak jak kiedyś

kasztelan

Cytadeli,

wkrótce potem zaś (ale

nie od razu) to samo

uczynili jego żołnierze

oraz młody oficer. Dałem

im znak, żeby wstali, po

czym

zapytałem

chiliarchę (głównie po

to, by dać Valerii czas na

zebranie sił, ponieważ

wyglądała

tak,

jakby

miała

zemdleć

albo

nawet paść trupem), czy

w

czasach,

kiedy

zasiadałem

na

tronie

Feniksa, pełnił już służbę

w Domu Absolutu.

- Nie, Autarcho. Byłem wtedy jeszcze chłopcem.

- A jednak mnie pamiętasz.

- Ponieważ należy to do moich obowiązków, Autarcho. Zachowało się wiele twoich portretów i popiersi.

- Wcale...

Głos był tak słaby, że z trudem go usłyszałem. Spojrzałem na Valerię, aby upewnić się, że to ona się odezwała.

-

Wcale nie są do ciebie podobne. Wyglądają tak, jak...

Umilkła, a ja czekałem w milczeniu na ciąg dalszy. Wreszcie machnęła ze zniecierpliwieniem ręką, jak często czynią stare słabe kobiety.

- Wyglądają tak, jak moim zdaniem powinieneś wyglądać, kiedy wrócisz do mnie, do naszej wieży w

Starej Cytadeli. Wyglądają tak jak ty teraz.

Roześmiała się chrapliwie, po czym wybuchnęła płaczem. Głos olbrzyma przetoczył się po sali niczym łoskot lawiny:

- To nieprawda. Wyglądasz tak samo jak kiedyś, Severianie. Nie zapamiętuję większości twarzy, ale twoją pamiętam bardzo dobrze.

- Chcesz przez to powiedzieć, że mamy do wyrównania pewne rachunki. Jeśli o mnie chodzi, to wolałbym zostawić je nie wyrównane, a zamiast tego wyciągnąć do ciebie rękę.

Olbrzym wstał, by uścisnąć moją dłoń, a ja przekonałem się, że jest już dwukrotnie wyższy ode mnie.

Czy zwracasz mu wolność, Aularcho? - zapytał chiliarcha.

Tak. Co prawda, jest istotą przesiąkniętą złem, ale to samo można powiedzieć o tobie i o mnie.

Nie uczynię ci nic złego, Severianie - zadudnił Baldanders. -

Nigdy ci nie uczyniłem. Cisnąłem z wieży twój klejnot tylko dlatego, że wierzyłeś w jego moc, a to nie było w porządku. Tak przynajmniej wtedy myślałem.

- Na szczęście wszystko jest już za nami. spróbujmy więc o tym zapomnieć.

- On ma na sumieniu jeszcze jeden zły uczynek odezwała się prorokini. - Niedawno powiedział, że sprowadzisz śmierć i zniszczenia. Ja starałam się przekazać im prawdę, mówiąc, że dzięki tobie narodzimy się na nowo, ale oni mi nie uwierzyli.

- Oboje mówiliście prawdę - odparłem. - Jeśli ma się narodzić nowe, stare musi ustąpić mu miejsca. Ten, kto sieje zboże, zabija

trawę. Oboje jesteście prorokami, choć różnego rodzaju. Każde z was głosiło takie przepowiednie, jakie przekazał wam Prastwórca.

Potężne drzwi ze srebra i lapis lazuli usytuowane na samym końcu Amarantowego Hypogeum -

drzwi używane za mego panowania tylko podczas uroczystych procesji oraz składania listów uwierzytelniających przez najważniejszych ambasadorów - otworzyły się z hukiem. Tym razem do sali wpadł nie jeden oficer, lecz kilkunastu żołnierzy uzbrojonych w muszkiety oraz lance o płomienistych grotach. Ustawili się półkolem, odwróceny plecami do tronu, z bronią wymierzoną w kierunku drzwi.

Ich pojawienie się tak bardzo zaprzątnęło moją uwagę, że na moment zapomniałem, ile lat minęło od chwili, gdy Valeria widziała mnie po raz ostatni - dla mnie lata te nie były latami, lecz skurczyły się do jakichś stu dni - i nie poruszając prawie ustami mruknąłem do niej. Jak często czyniłem podczas różnych długotrwałych a nudnych ceremonii, w sposób, którego nauczyłem się jeszcze jako chłopiec, rzucając kąśliwe uwagi za plecami mistrza Malrubiusa:

- No, to dopiero będzie ciekawostka!

Usłyszawszy, jak raptownie nabiera powietrza, spojrzałem na nią i ujrzałem mokre od łez policzki oraz niezliczone ślady pozostawione przez mijający czas. Największą miłością darzymy tych, którzy oprócz niej nie mają niczego; w tej właśnie chwili kochałem Valerię tak jak chyba jeszcze nigdy w życiu.

Położyłem rękę na jej ramieniu i choć z pewnością nie był to czas ani odpowiednie miejsce na intymne sceny, nie żałowałem tego, ponieważ nie zdążyłem uczynić nic więcej. W drzwiach pojawiła się najpierw ręka olbrzymki, przypominająca jakąś pięcionogą bestię, potem zaś wsunęło się przedramię, grubsze od wielu uważanych za niezmiernie stare drzew i bielsze od morskiej piany, pokryte jednak licznymi opa-rzelinami, które rozszerzały się w szybkim tempie.

Prorokini wymamrotała jakąś modlitwę, kończąc ją wezwaniem do Łagodziciela i Nowego Słońca. To bardzo niezwykle doznanie słyszeć modlitwę skierowaną pod swoim adresem, szczególnie jeśli modląca się osoba zapomniała o naszej obecności.

Tym razem wszyscy gwałtownie zaczerpnęliśmy w płuca powietrza - wszyscy z wyjątkiem Baldandersa.

Zaraz potem ujrzelśmy drugą rękę wodnicy, a także jej twarz, i choć skłamałbym mówiąc, że całkowicie

wypełniły ogromny otwór drzwiowy, to jednak były tak duże, iż odniosłem takie właśnie wrażenie. Czesio słyszałem przenośnie, w której porównuje się oczy do spodków; oczy olbrzymki miały właśnie te rozmiary, płynęły z nich zaś krwawe łzy. Krew sączyła się także z wielkich nozdrzy.

Wiedziałem, że wodnica płynęła pod prąd Gyoll od samego morza, potem zaś podążała w górę jej dopływu, który wił się wśród zagajników i klombów tworzących ogrody Domu Absolutu.

- Jak to się stało, że zostałeś schwytna i zmuszona do opuszczenia swego żywiołu? - zapytałem.

Chyba dlatego, że była kobietą, miała głos nie tak głęboki, jak się spodziewałem, choć z pewnością niższy od głosu Baldandersa. Brzmiała w nim radosna nuta, jakby ona, umierająca na naszych oczach, doznała jednak szczęścia, którego nie mogła przyćmić ani jej śmierć, and nawet śmierć słońca.

-

Ponieważ chciałam cię ocalić...

Nie dokończyła. Jej usta wypełniły się krwią, a kiedy ją wypluła, bogato zdobiona posadzka sali zamieniła się w podłogę rzeźni.

- Przed sztormami i pożogą, które sprowadzi Nowe Słońce? Dziękujemy ci, ale wiedz, że zostaliśmy już ostrzeżeni. Czy jednak nie jesteś jedną ze sług Abaii?

- Owszem, lecz to niczego nie zmienia.

Przecisnęła się przez drzwi prawie do połowy. Jej ciało było tak ciężkie, że sprawiało wrażenie, jakby lada chwila miało oderwać się od kości, ogromne piersi zaś przypominały stogi siana oglądane przez dziecko, które dla zabawy stanęło na głowie. Zrozumiałem, że nie uda jej się już wrócić do wody będącej jej domem; umrze tu, w sali tronowej Domu Absolutu, i trzeba będzie stu ludzi, aby poćwiartowali jej zwłoki, a kolejnych stu, żeby ją pogrzebali.

□ Wobec tego dlaczego nie mielibyśmy cię zabić? - zapytał chiliarcha. - Przecież jesteś wrogiem Wspólnoty!

□ Bo przyszedłam, aby was ostrzec.

Jej ogromna głowa spoczywała na posadzce przekrzywiona pod zdumiewającym kątem, jakby wodnica miała przetrącony kark.

- Podam ci znacznie ważniejszy powód, chiliarcho - powiedzia łem. - Ponieważ ja na to nie pozwala łem. Dawno temu, kiedy byłem jeszcze chłopcem, ta kobieta uratowała mi życie, ja zaś zapamięta łem jej twarz, tak jak wszystko, co kiedykolwiek widziałem. Gdybym mógł, odwdzięczy łem się jej teraz w taki sam sposób. Czy ty też to pamiętasz? - zapyta łem, spoglądając na jej piękną twarz, za sprawą bez-litosnej siły ciężkości zamienioną w karykaturalną maskę.

□ Nie, ponieważ to się jeszcze nie stało, ale stanie się, skoro to przepowiedziałeś.

□ Jak masz na imię? Nigdy go nie poznałem.

- Juturna. Pragnę cię ocalić... Pragnę ocalić was wszystkich.

□ Od kiedy to Abaia troszczy się o nasze dobro? - zapytała z przekąsem Valeria.

□ Od zawsze. Wiele razy mógł was zniszczyć...

Umilkła i przez długą chwilę zbierała siły, oddychając z wielkim trudem. Valeria otworzyła już usta, by coś powiedzieć, ale nakaza łem jej gestem milczenie.

- Zapytaj swego męża - przemówiła ponownie olbrzymka. -

Mógł was zabić, lecz zamiast tego starał się was utemperować. Schwy taliście Calodona... Ubezwłasnowolniliście go... I na co to wszystko?

Dzięki Abaii mogliśmy stać się naprawdę wielcy.

Przypomnia łem sobie pytania, jakie zadał mi Famulimus podczas naszego pierwszego spotkania:

“Czyżby cały świat miał stanowić jedynie pole bitwy między dobrem a złem? Nie przyszło ci do głowy, że może być czymś więcej?” Poczule łem, iż stoję na granicy innego, znacznie szlachetniejszego świata, takiego jak ten, o którym wspomni ał kakogen. Mistrz Malrubius zabrał mnie z dżungli rozciągającej się na północ od Oceanu, opowiadając mi o młocie i kowadle; odniosłem wrażenie, jakbym sły szał go ponownie. Był przecież aquastorem, podobnie jak ci wszyscy, którzy walczyli po

mojej stronie na Yesodzie, w związku z czym wierzył tak samo jak ja, że wodnica uratowała mnie, ponieważ miałem zostać katem i Autarchą. Nie sposób było wykluczyć, że zarówno on, jak i ogromna kochanka Abaii mieli częściowo rację.

Podczas gdy stałem nieruchomo, pogrążony głęboko w myślach. Valeria, prorokini i chiliarcha naradzali się szeptem.

□ Wasz dzień zbliża się ku końcowi... - wykrztusiła olbrzymka. - Nowe Słońce... Jesteście tylko cieniami.

□ Właśnie tak! - wykrzyknęła prorokini. Chyba niewiele brakuwało, by podskoczyła z radości. - Jesteśmy cieniami, które pojawiły się w chwili jego nadejścia! Czy moglibyśmy marzyć o czymś więcej?

— - Ktoś się zbliża - powiedziałem, gdyż odniosłem wrażenie, że słyszę tupot pospiesznych kroków. Wszyscy umilkli, wytężając słuch.

i nawet wodnica zdawała się czekać w napięciu.

Odgłos szybko przybierał na sile. W długiej, wąskiej sali powiał gwałtowny wiatr, poruszając kotarami i arrasami, z których posypały się na podłogę kurz i perły. Przedostawał się z zewnątrz przez szerokie drzwi, w których leżała wodnica, a kiedy dotarł do mnie, poczułem, że jesi przesycony intensywną wonią kobiecości, słoną i ciężką, łatwo rozpoznawalną dla każdego, kto poczuł ją choć raz w życiu. Wcale nie byłbym zdziwiony, gdyby przyniósł także krzyki mew lub huk fal rozbijających się o skały.

-

To morze! - powiedziałem głośno, zaraz potem zaś dodałem,

usiłując jak najprędzej oswoić się z tą myślą: - Nessus jest już z pew nością pod wodą.

-

Nessus zostało zatopione dwa dni temu - wychrypiała Valeria.

Tknięty nagłym przecuciem chwyciłem ją jak dziecko i poderwałem z tronu. Ważyła rzeczywiście nie więcej od dziecka.

Fale uderzyły zaraz potem: niezliczone rumaki Oceanu o rozwianych pienistych grzywach przetoczyły się przez ciało wodnicy, a ona podniosła wysoko głowę i krzyknęła głośno z radości i rozpacz. Mam nadzieję, że nigdy więcej nie usłyszę tego krzyku.

Pretorianie pospiesznie wspinali się po stopniach prowadzących na galerię, za nimi zaś podążył

młody oficer, prowadząc pod rękę siostrę Jadera - już nie prorokinię, ponieważ nie zostało nic do prorokowania.

- Ja nie utonę, a reszta się nie liczy - zadudnił Baldanders. -

Ratuj się, jeśli możesz.

Skinąłem głową, po czym bez zastanowienia chwyciłem wolną ręką za krawędź arrasu i gwałtownym szarpnięciem odciągnąłem go na bok. Dzwonki zareagowały gwałtownym jazgotem, potem zaś, wszystkie naraz, spadły na podłogę; liczące wieki stuleci rzemienie i nici nic wytrzymały wreszcie obciążenia.

Wydałem rozkaz drzwiom, przez które zakradłem się do sali; wykrzyknąłem tajne hasło na cały głos, bo przecież nie miało już najmniejszego znaczenia, czy ktoś je usłyszy. Drzwi otworzyły się bezszelestnie, z korytarza zaś wyłonił się zabójca, wciąż jakby półprzytomny, oszołomiony wspomnieniami wyniesionymi z krainy śmierci. Wezwałem go, by się zatrzymał, ale on dostrzegł już koronę oraz wyniszczoną, bladą twarz Valerii.

Musiał być znakomitym specjalistą w swej dziedzinie, ponieważ uderzył tak szybko, że dostrzegłem tylko błysk zatrutego ostrza, zaraz potem zaś poczułem przeszywający ból, kiedy sztylet przebił ciało mojej żony i ugodził mnie w to samo miejsce, którego wiele lat temu dosięgnął liść kwiatu zemsty, ciśnięty przez Agilusa.

Rozdział XLIV

Poranny przyływ

Otaczało mnie migoczące lazuruwe światło. A więc Pazur powrócił - nie ten zniszczony przez asciańską artylerię, ani nawet nie ten, który podarowałem chiliarsze na zboczu Góry Typhona, lecz prawdziwy Pazur Łagodziciela, bezcenny klejnot, który znalazłem w swojej sakwie, kiedy o zmroku szedłem z Dorcas drogą prowadzącą wzdłuż Muru Nessus. Chciałem natychmiast podzielić się z kimś tą wiadomością, ale czułem się tak, jakbym miał zaklejone usta, a poza tym nic przychodziły mi na myśl odpowiednie słowa.

Możliwe, iż byłem zanadto oddalony od siebie, od Severiana z krwi i kości, którego Katarzyna wydała kiedyś na świat w jednej z cel pod Wieżą Matachina. Pazur świecił nadal, kołysząc się lekko w czarnej pustce.

Nie, to nie on się kołysał, lecz ja, a słońce pieściło mi grzbiet ciepłymi promieniami.

To właśnie ono sprawiło, że odzyskałem przytomność, co w tym przypadku równało się prawie zmartwychwstaniu. Przecież musi nadejść Nowe Słońce, a właśnie ja nim jestem! Podniosłem głowę, otworzyłem oczy i wypłułem ogromną ilość krystalicznie czystej wody, takiej, jakiej jeszcze nie widziano na Urth. Łatwo można było uwierzyć, że to wcale nie woda, tylko płynne powietrze, świeże i orzeźwiające jak powietrze Yesodu.

Wybuchnąłem radosnym śmiechem domyśliwszy się, że jestem w raju. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się śmiać równie bez troski, nigdy też nie zaznałem radości tak wielkiej i niczym nie zakłóconej. Ponad wszystko pragnąłem sprowadzić dla Urth Nowe Słońce i oto udało mi się tego dokonać: Nowe

Słońce tańczyło wokół mnie, hojnie dzieląc się swym blaskiem i znacząc każdą falę muśnięciem najczystszej złota. Nawet na Yesodzie nie widziałem niczego, co dałoby się z nim porównać. Swoją wspaniałością przyćmiewało wszystkie gwiazdy, a jeśli

cokolwiek przypominało, to chyba tylko oko Prastwórcy, w które nie należy patrzeć, bo łatwo można oślepnąć.

Odwrociwszy wzrok od tego oszałamiającego spektaklu rozejrzałem się dokoła... i krzyknąłem jak niedawno wodnica, rozpaczliwie, a zarazem triumfalnie. Wokół mnie unosiły się na falach resztki martwej Urth: wyrwane z korzeniami drzewa, pozrywane dachy, deski i krokwie, wzdęte ciała zwierząt i ludzi.

Ujrzałem to, co musieli widzieć żeglarze, którzy próbowali mnie zgładzić na Yesodzie. W jednej chwili opadła ze mnie cała nienawiść, jaką darzyłem ich za to, że ośmielili się przeciwstawić Nowemu Słońcu, poczułem natomiast jeszcze większe zdumienie, że Gunnie mimo wszystko zdecydowała się stanąć w mojej obronie. (Nie po raz pierwszy przyszła mi do głowy myśl, iż jest całkiem prawdopodobne, że odegrała rolę jęczyczka u wagi; gdyby wystąpiła przeciwko mnie, najprawdopodobniej zginąłbym, zadźgany nożami, a wtedy Urth zginęłaby wraz ze mną.)

Albo mi się zdawało, albo gdzieś bardzo daleko rozległ się okrzyk podobny do mojego, prawie zupełnie zagłuszony nieustającym szumem fal. Mimo wszystko natychmiast zacząłem płynąć w tamtą stronę, lecz szybko stwierdziłem, że muszę pozbyć się płaszcza oraz butów; ściągnąłem je i pozwoliłem im opaść w niezmierną głębinię. Bez butów, choć były jeszcze całkiem nowe, mogłem się bez trudu obejść, natomiast już niedługo miało się okazać, jak bardzo przydałby mi się płaszcz otrzymany w darze od oficera. Zawsze, kiedy czekał mnie jakiś większy wysiłek, stawałem się niezmiernie wyczulony na sygnały płynące z mego ciała; teraz wszystko wskazywało na to, że znajduje się w wysmienitej formie. Rana zadana zatrutym ostrzem sztyletu zagoiła się tak samo jak ta, którą odniosłem w trakcie pojedynku z Agilusem.

Znowu byłem silnym, sprawnym człowiekiem... lecz niczym więcej. Nadludzka moc, jaką czerpałem z mojej gwiazdy, znikła bez śladu, choć przypuszczam, że to jej powinienem zawdzięczać tak szybki powrót do zdrowia po ciosie nożem. Spróbowałem odnaleźć w sobie tę cząstkę duszy, która stanowiła łącznik między Severianem-człowiekiem a Severianem-Nowym Słońcem, lecz z takim samym skutkiem beznogi kaleka mógłby macać ręką w nadziei, że natknie się na swoje amputowane kończyny.

Krzyk rozległ się ponownie. Zawołałem głośno w odpowiedzi, po czym, nieusatisfakcjonowany tempem, w jakim podążałem naprzód, napełniłem płuca powietrzem, dałem nurka i popłynąłem pod wodą.

Natychmiast otworzyłem oczy, ponieważ odniosłem wrażenie, że woda jest słodka, jako chłopiec zaś wielokrotnie nurkowałem z otwartymi oczami w zbiorniku pod Wieżą Dzwonów, a nawet w brudnej wodzie na rnułistych płyciznach Gyoll. Ta woda dorównywała przejrzystością powietrzu i tylko hen, daleko w głębinie, nabierała lekko niebieskawego, jeszcze dalej zaś jasnogranatowego odcienia.

Wyteżywszy wzrok sięgnąłem nim do samego dna i ujrzałem tam wielki biały kształt poruszający się

tak powoli, że nie potrafiłem stwierdzić, czy płynie w jakimś konkretnym kierunku, czy tylko daje się unosić podwodnym prądom. Niezwykła przejrzystość wody, a także fakt, że była bardzo ciepła, napełniły mnie niepokojem; lękałem się, że w pewnej chwili zapomnę, iż nie otacza mnie powietrze, wezmę głęboki oddech i już na zawsze pozostanę w błękitnawych odmętach, tak jak kiedyś niewiele brakowało, bym pozostał w mętnej toni wśród splątanych korzeni nenufarów.

Natychmiast skierowałem się ku górze, wyprysnąłem co najmniej na dwa łokcie nad powierzchnię i ujrzałem, wciąż jeszcze dość daleko, skleconą byle jak tratwę, której trzymały się kurczowo dwie kobiety. Na tratwie stał mężczyzna; osłaniający oczy ręką i przeszukujący wzrokiem wodny bezmiar.

Dotarłem do nich po kilkunastu mocnych pociągnięciach ramionami. Zbudowali swoją tratwę z tego, co nawinęło im się pod rękę: jej zasadniczą część stanowił potężny stół, który zapewne stanowił

kiedyś ozdobę jadalni w rezydencji jakiegoś arystokraty. Osiem nóg, sterczących teraz bezradnie w górę, stanowiło żalosną parodię masztów.

Wspiąwszy się na tratwę (jej pasażerowie bardzo starali mi się pomóc, w związku z czym tylko przeszkadzali sobie nawzajem i o mało nie doprowadzili do rozpadnięcia się mało solidnej konstrukcji), stwierdziłem, że obserwacje, jakie poczyniłem z daleka, są słuszne: rozbitkami okazali się otyły, zupełnie łysy mężczyzna oraz dwie kobiety, obie jeszcze dość młode - jedna niska, obdarzona okrągłą, pogodną twarzą lalki, druga wysoka, czarnowłosa, o zapadniętych policzkach.

- Widzicie? - zwrócił się mężczyzna do swych towarzyszek. - Nie wszystko stracone. Znajdziemy jeszcze wielu, wspomnicie moje słowa.

- Bardziej przydałaby nam się woda do picia - mruknęła bru

netka.

- Ją też znajdziemy, nie ma obawy. Tymczasem, ponieważ nie mamy jej ani kropli, nie sprawi nam większej różnicy, czy trzeba ją. będzie rozdzielić między trzy, czy między cztery osoby.

- Przecież wody jest pod dostatkiem, jak okiem sięgnąć - za

uważyłem.

Grubas pokręcił głową.

- Obawiam się, że to morze, sieur. Z powodu pojawienia się Diennej Gwiazdy przyływ sięgnął

daleko w głąb lądu. Woda nie jest tak słona jak w Oceanie, bo wymieszała się z wodami Gyoll, ale też na pewno nie jest słodka, sieur.

- Czyja aby cię nie znam? Twoja twarz wydaje mi się znajoma.

Skłonił się z wdziękiem wytrawnego dyplomaty, cały czas trzymając się jedną ręką stołowej nogi.

Jestem Odilo, do twoich usług, sieur. Kucharz, kelner i kamer dyner w jednej osobie, z polecenia naszego Autarchy, którego uśmiechy są nadzieją poddanych, pełniący funkcję głównego stewarda w Amaran-towym Hypogeum. Zapewne widziałeś mnie tam podczas jednej ze

swych wizyt w Domu Absolutu, choć obawiam się, że nie miałem

przyjemności ci usługiwać, sieur, gdyby tak było bowiem, zapamiętał

bym ten zaszczyt do końca moich dni.

Który może nadejść już niedługo - mruknęła ciemnowłosa

kobieta.

Zawahałem się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Z jednej strony nie chciałem utrzymywać, że jestem arystokratą, za którego wziął mnie Odilo, z drugiej jednak wolałem nie przyznawać się do tego, że jestem Autarchą; nawet zakładając, że by mi uwierzyli, mogło to doprowadzić do powstania niezręcznej sytuacji. Z kłopotu wybawiła mnie kobieta o twarzy lalki:

- Ja nazywam się Pega i byłam zaufaną pokojówką szlachetnie

urodzonej Pelagii.

Odilo zmarszczył brwi.

- Nie powinnaś przedstawiać się w ten sposób. Byłaś tylko jedną z jej służących. - Do mnie zaś powiedział z wyrozumiałym uśmiechem: - To dobra dziewczyna, sieur, może tylko odrobinę za bardzo trzpiotowata.

Pega natychmiast się nadąsała, choć przypuszczam, że bardziej z przekory niż dlatego, że naprawdę dotknęły ją słowa mężczyzny.

- Czesalam swoją panią, prałam i prasowałam jej suknie, ale tak naprawdę byłam jej potrzebna po to, żeby powtarzać najświeższe plotki i żarciki, no i żeby uczyć Picopicaro różnych sztuczek. Bardzo mnie lubiła i zawsze nazywała zaufaną pokojówką.

Po jej policzku spłynęła duża łza: nie jestem pewien, czy Pega płakała z żalu za swą panią, czy za martwym ptaszkiem.

- Jeśli chodzi o tę kobietę, to nic nam o sobie nie powiedziała, naturalnie poza imieniem, które brzmi...

Thais.

Niezmiernie się cieszę, że mogę was wszystkich poznać. -

W porę przypomniałem sobie, że nadano mi mnóstwo honorowych

tytułów i stopni wojskowych, którymi mogłem posługiwać się z czystym sumieniem, zachowując incognito, a jednocześnie unikając konieczności mówienia nieprawdy. - Jestem hipparcha Severian z pułku Czarnych Tarantul.

Usta Pegi utworzyły małe, doskonale okrągłe kółko.

- Och, ja chyba widziałam cię podczas którejś z procesji, sieur! -

Odwróciła się do kobiety o imieniu Thais i poinformowała ją z oży wieniem: - Powiadam ci, mieli czarne, lśniące pancerze i hełmy ozdobione białymi pióropuszcami! A te rumaki! Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie były silne i ogniste.

- Przypuszczam, że byłaś tam ze swoją panią? - mruknął Odilo.

Pega coś mu odpowiedziała, lecz ja na chwilę przestałem zwracać na nich uwagę, ponieważ w odległości mniej więcej łańcucha od tratw; dostrzegłem unoszące się na wodzie zwłoki i zastanowiłem się, co ja właściwie robię na tej tratwie skleconej z mebli, wśród ludzi, którzy kiedyś byli sługami moich sług, podczas gdy Valeria została tam, w otchłani. Jakże by się ze mnie naśmiewała!

Skorzystałem z okazji, że Odilo przestał przekomarzać się z Pegą i zapytałem go, czy jego ojciec piastował kiedyś to samo stanowisko.

Aż pokraśniał z zadowolenia.

- Tak właśnie było, sieur. Przez całe życie zbierał same pochwały. Działo się to za wspaniałych czasów ojca Inire, sieur, kiedy, jeśli wolno mi tak powiedzieć, nasze Hypogeum słynęło w całej Wspólnocie. Czy wolno mi jednak wiedzieć, co skłoniło cię do zadania tego pytania?

Ot, po prostu przyszło mi do głowy. Przypuszczam, iż to dość powszechny zwyczaj, że syn dziedziczy stanowisko po ojcu?

Istotnie, sieur. Dzięki temu ma okazję zaprezentować swoje umiejętności, a jeśli okażą się one zadowalające, otrzymuje posadę na stałe. Nie uwierzysz mi, sieur, ale mój ojciec poznał osobiście twego imiennika, jeszcze zanim ten został Autarchą. Czy znasz historię jego życia oraz czynów, których dokonał?

Nie tak dokładnie, jak bym pragnął.

- Ach, cóż za elegancka odpowiedź! - zachwycił się pulchny steward. - Nadzwyczaj elegancka, sieur!

Spojrzał na kobiety, jakby chcąc się upewnić, czy one także zwróciły uwagę na moje słowa. Spotkał go chyba zawód, gdyż Pega akurat gapiała się w niebo.

- Chyba będzie padać. Może jednak nie umrzemy z pragnienia.

- Za to na pewno utoniemy - odparła Thais. - Zanosi się na

potężną burzę.

Zapewniłem je, że o czymś takim nie może być mowy, po czym na wszelki wypadek zająłem się analizowaniem swego stanu emocjonalnego, zanim uświadomiłem sobie, iż to z pewnością nie moje myśli ani uczucia sprawiły, że nad wschodnim horyzontem zaczęły gromadzić się ciemne chmury.

Odilo nie miał najmniejszego zamiaru rezygnować z opowiedzenia mi o zdarzeniu, o którym zapewne wielokrotnie słyszał od swego ojca. - Była już ciemna noc, sieur, i mój ojciec dokonywał ostatniego obchodu sali. aby upewnić się, że wszystko jest w porządku, kiedy nagle dostrzegł jakąś postać odzianą w katowski fuligin, choć bez miecza, stanowiącego nieodłączny element ekwipunku członków tej konfraterni. W pierwszej chwili pomyślał, iż człowiek ów przybył w przebraniu na jeden z bali maskowych, których wiele organizowano na terenie Domu Absolutu, ale to nie tłumaczyło jego obecności w tym miejscu, ponieważ ani Autarcha, ani ojciec Inire nie gustowali w tego rodzaju rozrywkach, w związku z czym nigdy nie urządzano ich w Hypogeum.

Uśmiechnąłem się, przypomniawszy sobie spotkanie w Lazurowym Pałacu. Ciemnowłosa kobieta posłała mi znaczące spojrzenie i osten-tancyjnie ziewnęła, zasłaniając usta ręką, ale ja postanowiłem wysłuchać do końca opowieści Odila. Teraz, kiedy nie miałem żadnych szans na to, by ponownie odbyć wędrówkę korytarzami czasu, wszystko, co dotyczyło przeszłości lub przyszłości, zaczęło przedstawiać dla mnie ogromną wartość.

□ Druga myśl, jaka przemknęła mu przez głowę, była taka -

często powtarzał mnie i mojej matce, że właściwie powinna być pierwszą - iż ma przed sobą prawdziwego kata, wysłanego do Domu

Absolutu z jakąś tajną misją. Należało się czym prędzej dowiedzieć, czy misję tę zlecił mu ojciec Inire, czy też ktoś inny. Mój ojciec podszedł

do przyobleczonej w fuligin postaci z taką śmiałością, jakby miał za plecami co najmniej kohortę wojska, i zapytał, co ją tutaj sprowadza.

□ Gdyby ten kat istotnie miał wykonać jakieś tajne zadanie, było by już po twoim ojcu - mruknęła Thais.

Odilo wyprostował się na całą, niezbyt imponującą, wysokość, i zmierzył ją wyniosłym spojrzeniem.

□ Droga pani, co prawda nie wiem, kim jesteś, ponieważ nie za szczyliłaś nas żadną informacją na swój temat, ale nie ulega dla mnie wątpliwości, iż nie masz najmniejszego pojęcia ani o sztuce stosowania forteli, ani o intrygach snutych co dnia - i co nocy! - w ciągnących się bez końca korytarzach Domu Absolutu. Mój ojciec doskonale zdawał

sobie sprawę, że żaden agent szykujący się do wykonania zadania nie zdradzi prawdziwej natury swej misji; liczył natomiast na to, że jakiś niespokojny gest albo nieostrożne słowo człowieka w fuliginowym płaszczu pozwolą jednoznacznie stwierdzić, że przybywa w złych zamiarach.

Może miał na twarzy maskę? - zapytałem. - Wspomniałeś,

że założył strój kata, mógł więc także zasłonić swoje prawdziwe oblicze innym, bardziej pasującym do tej okazji.

To na pewno była jego twarz, sieur, ponieważ ojciec dokładnie jej się przyjrzał: była okrutna, drapieżna i naznaczona potworną blizną.

Zgadza się! - wykrzyknęła Pega. - Widziałam jego portrety

i popiersie, które stoi w jednym z przedpokojów, gdzie przeniesiono je po powtórny zamążpójściu Autarchy. Rzeczywiście, wyglądał na takiego, co to dla kilku aes nie zawahałby się poderżnąć gardła.

Poczułem się tak, jakby ktoś właśnie poderżnął mi moje.

- Otóż to - potwierdził Odilo, - Mój ojciec powiedział niemal to samo, choć jeśli dobrze pamiętam, ubrał rzecz w znacznie bardziej eleganckie słowa.

Pega przyglądała mi się z zainteresowaniem.

Chyba nie miał dzieci?

Z pewnością wiedzielibyśmy coś o tym - odparł z uśmiechem

Odilo.

O tych legalnych, na pewno. Ale przecież mógł mieć każdą

kobietę, jaka przebywała w Domu Absolutu. Wystarczyło, żeby kiwnął palcem.

Odilo zbeształ ją, kazał na przyszłość trzymać język za zębami, po czym skłonił mi się nisko.

Mam nadzieję, że zechcesz jej wybaczyć, sieur. Bądź co bądź, to prawie komplement.

Że wyglądam jak rzezimieszek? Istotnie, jestem wręcz obsypywany takimi komplementami. - Mówiłem szybko, bez zastanowienia, pragnąc ukryć rozpacz, jaka mnie ogarnęła, a zarazem jak najprędzej skierować rozmowę na temat drugiego zamążpójścia Valerii. - Ów typ spod ciemnej gwiazdy musiałby jednak być moim dziadkiem, bo Severian Wielki miałby teraz co najmniej osiemdziesiąt lat - gdyby żył, rzecz jasna. Kogo powinienem spytać o tego człowieka, Pego?

Matkę czy babkę? I czy nie wydaje ci się, że jednak miał coś w sobie, skoro tak łatwo zdobywał serca kasztelanek, nawet jeśli w młodości istotnie był katem, a po jego śmierci u boku Autarchy pojawił się inny mężczyzna?

Na tratwie zapadło milczenie, które dopiero po dłuższej chwili przerwał lekko zażenowany Odilo:

□ Wydaje mi się, sieur, że to bractwo zostało już dawno zlikwidowane.

□ Wcale ci się nie dziwię. Odkąd pamiętam, wszystkim tak się wydaje.

Cały wschodni horyzont skrył się już za zasłoną nieprzeniknionej czerni, a nasza tratwa zdawała się płynąć odrobinę szybciej niż do tej pory.

-

Nie chciałam cię urazić, hipparcho... - szepnęła Pega. - Ja

tylko...

Jej słowa zagłuszyło pluśnięcie wysokiej fali.

- Masz rację - odparłem. - Z tego, co wiem, wynika, że był

bezwzględny i okrutny człowiekiem, a przynajmniej taką miał

reputację, choć nie przypuszczam, aby sobie na nią w pełni zasłużył.

Valeria najprawdopodobniej wyszła za niego po to, by zasiąść na tronie, choć zawsze temu zaprzeczała i w końcu chyba uwierzyła swoim słowom. Dobrze, że znalazła szczęście u boku drugiego męża.

-

Dobrze powiedziane, sieur - pochwalił mnie Odilo. - Trafione

w dziesiątkę. Musisz bardzo uważać, Pego, kiedy decydujesz się fechtować z żołnierzem.

Thais zerwała się na nogi i wyciągnęła przed siebie rękę.

-

Patrzcie!

Rozdział XLV

Łódź

Był

to

żagiel,

chwilami unoszony Tak

wysoko na falach, że

widzieliśmy

ciemny

kadłub łodzi, chwilami

zaś niknący nam z

oczu, kiedy opadał na

dno

coraz

głębszych

dolin

między

spienionymi szczytami.

Wrzeszczeliśmy

jak

opętani,

podskakiwaliśmy,

wymachiwaliśmy ręka-

mi,

a

wreszcie

chwyciłem

Pegę

za

biodra, podniosłem w
górze i postawiłem sobie
na ramionach, gdzie z
trudem
utrzymywała
równowagę, prawie jak
ja kiedyś w palankinie
na
grzbiecie
baluchithera.

Żagiel z wyraźnej
plamy zamienił się
w ciekłą kreskę.

Tona! -

jęknęła Pega.

Wcale nie -

odparłem. -

Skręcają w naszą
stronę.

Nie

potrafię

powiedzieć,

ile

oddechów ani ile uderzeń

serca
minęło,
zanim
ujrzeliśmy
wyłaniający
się zza szczytu fali ostry
dziób łodzi, ale jestem
pewien, że chyba nigdy
czas nie dłużył mi się
tak bardzo jak właśnie
wtedy. Chwilę później
łódź zrzuciła żagle i
stanęła
dziobem
do
wiatru
w
odległości
celnego strzału z łuku
od
nas.
Jak
tylko
ujrzałem, że za jej burzę

wylatuje
gruba
lina,
natychmiast skoczyłem
do
wody;
nie
wiedziałem,
czy
pozostali pójdą za moim
przykładem, ale byłem
pewien,
że
znacznie
więcej będę mógł im
pomóc
na
pokładzie
łodzi niż na tratwie.
Odniosłem wrażenie,
jakbym
wkroczył
w
zupełnie

inny
świat,
jeszcze
bardziej
niezwykły od tego. który
rozciągał
się
nad
strumieniem Madregot.
Niespokojne
fale
i
zachmurzone
niebo
znikły bez śladu, jakby
nigdy
nie
istniały.
Wyczuwałem silny prąd,
lecz nie mam pojęcia,
skąd wiedziałem o jego
istnieniu,
bo
choć

zatonione

łąki

mego

zatonionego

królestwa

przesuwały

się

dość

szybko pode mną, a

zatonione

drzewa

rozpaczliwie wyciągały

ku mnie odarte z liści

ramiona, to wydawało

mi

się,

że

wiszę

zawieszony nieruchomo

w przestworzach, Urth

zaś

obraca

się

majestatycznie

daleko

w dole.

W pewnej chwili

ujrzałem wiejską

chatę; solidne

ściany oparły się

powodzi, kamienny komin stał prosto jakby nigdy nic, szeroko otwarte drzwi zdawały się natomiast zapraszać mnie do środka. Ogarnięty trudnym do opisanego przerażeniem skierowałem się ku powierzchni; starałem się dotrzeć do niej tak szybko jak wtedy, kiedy groziło mi utonienie w Gyoll.

Jak tylko moja głowa wynurzyła się z wody, zaczerpnąłem pełne płuca powietrza i rozejrzałem się dokoła. W pierwszej chwili pomyślałem z przerażeniem, że przez pomyłkę popłynąłem w niewłaściwą stronę, ponieważ nigdzie w pobliżu nie mogłem dostrzec ani łodzi, ani tratwy, lecz zaraz potem fala uniosła łódź i ujrzałem jej zachlapaną wodą żagiel. Zdawałem sobie sprawę, iż przebywałem pod wodą bardzo długo, na pewno znacznie dłużej, niż zamierzałem. Zacząłem pospiesznie pracować ramionami i nogami, pilnując się jednak, aby trzymać twarz nad wodą, a kiedy musiałem ją zanurzyć, czyniłem to z zamkniętymi oczami.

Odilo stał na rufie z ręką na rumplu; ujrzawszy mnie pomachał mi radośnie ręką i krzyknął coś, czego nie zrozumiałem. Zaraz potem nad burtą pojawiła się okrągła twarz Pegi, obok niej zaś jeszcze jedna, której nie znałem, brązowa i pomarszczona.

Fala podniosła mnie jak kociaka i przesunęła o kilka łańcuchów, tak że nagle, bez żadnego wysiłku ze swojej strony, znalazłem się tuż obok zbawczej liny. Bezzwłocznie chwyciłem ją w ręce, Odilo zaś zostawił ster (który, o czym miałem się wkrótce przekonać, i tak był zablokowany we właściwym położeniu) i począł ciągnąć linę ze wszystkich sił. Łódź była dość głęboko zanurzona, w związku z czym nie miałem żadnych problemów z wdrapaniem się na pokład.

Pega, choć widziała mnie ostatnio nie dalej niż wachtę temu, przycisnęła mnie do serca jak ukochaną zabawkę, Odilo zaś uklonił się. Jakbyśmy wszyscy stali na ozdobnej posadzce Amarantowego Hypogeum.

-

Sieur, lękałem się już, że postradałeś życie wśród szalejących odmętów. - Złożył mi kolejny ukłon. - Twój widok, sieur, sprawia mi nie tylko ogromną przyjemność, ale także, jeśli wolno mi tak powiedzieć, jest dla mnie czymś w rodzaju nadzwyczaj miłej niespo dzianki.

Pega wyraziła to samo w znacznie prostszy sposób:

-

Myśleliśmy, że nie żyjesz. Severianie!

Zapytałem Odila. co stało się z drugą kobietą, ale zobaczyłem ją zaraz potem: jako rozsądna osoba zajęła się wybieraniem wody z łodzi, a jako wyjątkowo rozsądna osoba wylewała ją na zawietrzną.

□ Jest tutaj, sieur. Wszyscy jesteśmy. Ja pierwszy dotarłem do łodzi. - Wypiął dumnie pierś. - Dzięki temu mogłem trochę pomóc kobietom, ale jeśli chodzi o ciebie, to straciliśmy cię z oczu na samym początku, jak tylko zacząłeś zmagać się z falami, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Jesteśmy bardzo szczęśliwi, sieur, doprawdy, wprost trudno mi wyrazić... - Chyba pomyślał, że mogę opacznie zrozumieć jego słowa, gdyż wyjaśnił pospiesznie: - Naturalnie nie dlatego, żeby takiemu młodemu, silnemu oficerowi miało grozić jakiegokolwiek niebez pieczeństwo, skoro my, jego niegodni słudzy, przeprawiliśmy się bez większych kłopotów. Jednak nigdy nic nie wiadomo, sieur, w związku z czym te młode kobiety naprawdę bardzo się o ciebie niepokoiły, co chyba zechcesz im łaskawie wybaczyć.

□ Nie ma tu nic do wybaczenia - odparłem. - Dziękuję wam

wszystkim za pomoc.

Stary właściciel łodzi wykonał jakiś skomplikowany, choć dla mnie całkowicie niezrozumiały gest, po czym splunął za burtę.

□ Nasz znakomity wybawca, którego bystre oko i pewna ręka... -

ciągnął z zapalem Odilo, lecz "znakomity wybawca" nie pozwolił mu dokończyć.

□ Dobra, starczy tego! - parsknął. - Bierzcie się do żagli. Trzeba je trochę skrócić, bo inaczej położymy się na burtę.

Minęło już ponad dziesięć lat od mojej podróży na "Samru", ale nauczyłem się wtedy nieco żeglarskiego rzemiosła, a że przecież niczego nie zapominam, więc bez trudu mogłem teraz przywołać z pamięci niezbędne umiejętności. Samodzielnie zwinąłem główny żagiel, nie czekając, aż Odilo i Pega zgłębią zasady funkcjonowania nadzwyczaj ubogiego takielunku, potem zaś wspólnie z właścicielem łodzi zrzuciłem przedni.

Do końca dnia żyliśmy w strachu przed sztormem, to pędząc z wiatrem, to znów odwracając się ku niemu dziobem, kiedy stawał się za silny. Jednak wraz z nadejściem nocy zagrożenie wyraźnie osłabło, my zaś wreszcie mogliśmy zmniejszyć czujność. Właściciel dał każdemu kubek wody, kromkę czerstwego chleba i pasek wędzonego mięsa. Do tej pory myślałem, że jestem po prostu głodny, teraz jednak odniosłem

wrażenie, iż zamiast żołądka mam niemożliwą do zapełnienia otchłań. Pozostałym dopisywał nie gorszy apetyt.

-

Musimy mieć oczy szeroko otwarte i rozglądać się za czymś do

jedzenia - powiedział ponuro stary człowiek. - Na niektórych wra kach można znaleźć skrzynie z sucharami albo baryłki z wodą. Tutaj już prawie nic nam nie zostało. - Rozejrzał się z kwaśną miną po łodzi i wodzie, wciąż jesz cz e oświetlonej resztkami blasku nowego słońca Urth. - Są jeszcze wyspy, a raczej były, ale kto wie, czy na jakąś trafimy, a te zapasy, które mamy na pokładzie, nie starczą nam na długo.

- Zauważyłem już wielokrotnie - odezwał się Odilo - że jeśli wydarzenia osiągną nadir, jeśli wolno mi tak powiedzieć, to potem może być już tylko lepiej. Otóż gdyby ktoś zapytał mnie o zdanie, to wydaje mi się, że zniszczenie Domu Absolutu, śmierć naszego ukochanego Autarchy... Naturalnie, jeśli nie zdołała się jednak jakoś uratować, za sprawą wszechmocnego Prastwórcy...

□ Nie zdołała - zapewniłem go. - Możesz mi wierzyć.- Po chwili zaś, kiedy nie przestawał wpatrywać się we mnie z nadzieją, dodałem: - Czuje to.

□ Wierzę ci, sieur. Tak więc, jak już wspomniałem, odnoszę wra żenie, iż trudno byłoby wyobrazić sobie coś gorszego. - Rozejrzał się dokoła, jakby oczekiwał sprzeciwu, ale tym razem nawet stary mąż czyzna i Thais skinęli głowami. - A mimo to udało nam się przeżyć.

Walcząc z rozszalałym żywiołem, natrafiłem na wielki stół, później uratowałem te oto dwie kobiety. Jeszcze później rozbudowaliśmy naszą tratwę, dołączając do niej różne pływające przedmioty, wreszcie zaś spotkaliśmy ciebie, sieur, i ciebie, kapitanie. Moim zdaniem zarysowała się wyraźna tendencja, jeśli wolno mi się tak wyrazić, i jestem przeko nany, iż będzie się ona utrzymywać jeszcze przez pewien czas.

Pega położyła mu lekko rękę na ramieniu.

- Ty także z pewnością straciłeś wszystkich bliskich, Odilo. Jesteśmy ci wdzięczni za to, że nie okazujesz rozpaczy i starasz się podtrzymać nas na duchu, ale doskonale wiemy, co czujesz.

Steward pokręcił głową.

-

Nigdy się nie ożeniłem. Teraz cieszę się z tego. choć wcześniej często rozpaczałem. Bycie odpowiedzialnym za całe Hypogeum, zarówno no obecnie, jak i w czasach ojca Inire, oznacza wytężoną pracę w dzień i w nocy. Nierzadko trudno znaleźć chwilę, żeb y się zdrzemną ć. Jeszcze za życia mego nieodżałowanego ojca poznałem pewną osobę, mianowicie służącą jednej z najznakomitszych kasztelanek, i szczerze mówiąc wiązałem z nią niejaki nadzieje, jeśli wolno mi się tak wyrazić, ale nic z tego nie wyszło, ponieważ kasztelanka wróciła na swoje włości, zabierając ze sobą wszystkie towarzyszące jej osoby. Potem przez pewien czas pisywaliśmy jeszcze do siebie, ale wreszcie i to się skończyło. - Westchnął ciężko. - Bez wątpienia znalazła sobie innego. Każda kobieta prędzej cz y później znajdzie sobie innego, naturalnie jeśli będzie chciała. Mam nadzieję, że okazał się godnym tego szczęścia.

Gdybym mógł, rzuciłbym wówczas jakąś uwagę, aby rozładować atmosferę, ale ogarnięty częściowo rozbawieniem, a częściowo współczuciem, nie byłem w stanie wymyślić nic sensownego. Nadęty

sposób bycia Odila czynił tego człowieka śmiesznym, jeśli nie wręcz żalonym, ja jednak zdawałem sobie sprawę, iż stał się taki w wyniku wielu lat spędzonych na dworze, podczas których nauczył się, że będąc śmiesznym staje się jednocześnie nieszkodliwym w oczach tych, którzy mogli doprowadzić do jego upadku, a nawet śmierci. Wiedziałem również, że jednym z tych ludzi byłem ja, jako Autarcha.

Pega powiedziała coś do niego tak cicho, że choć usłyszałem szmer jej głosu, to nie zrozumiałem ani słowa; nie jestem nawet pewien, czy chciałem cokolwiek zrozumieć.

Właściciel łodzi od jakiegoś czasu buszował w schowku na rufie, teraz zaś wynurzył się stamtąd i oznajmił:

-

Mamy tylko cztery koce.

- Wobec tego ja obejdę się bez przykrycia - oświadczył Odilo. - Moje ubranie jest już zupełnie suche, więc nie będę odczuwał niewygod.

Stary mężczyzna wręczył po kocu kobietom i mnie, ostatni zaś zatrzymał dla siebie. Oddałem swój koc stewardowi.

Na razie nie będę spał, bo mam trochę spraw do przemyślenia.

Może tymczasem skorzystaj z niego, a kiedy ogarnie mnie senność, spróbuję zabrać ci go tak, żeby cię nie obudzić.

Ja też... - odezwała się Thais, lecz szybko umilkła, ponieważ Pega szturchnęła ją łokciem w bok tak mocno, że ciemnowłosa kobieta przez dłuższą chwilę łapała powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg.

— Odilo zawahał się. W dogasającym świetle dnia prawie nie widziałem jego twarzy, lecz byłem pewien, że maluje się na niej ogromne zmęczenie.

- To bardzo miło z twojej strony, sieur - powiedział wreszcie. - Dziękuję.

Już dawno uporałem się ze swoją porcją chleba i wędzonego mięsa, więc przeszedłem na dziób i zapatrzyłem się w wodę. Szczyty fal wciąż jeszcze lśniły resztkami blasku minionego dnia, ja zaś zdawałem sobie sprawę, iż jest to także mój blask, rozsiewany przez Nowe Słońce. Zrozumiałem wówczas, co czuł kiedyś Prastwórca obserwując swoje dzieło, oraz zagnałem tego samego bólu, który stał się jego udziałem, gdy pojął, że wszystko, co stworzył, musi kiedyś przeminąć.

Podejrzewam, iż nawet on respektuje prawo mówiące o tym, że nic, co nie sięga korzeniami w wieczność, nie może trwać w nieskończoności; z prawa tego wynika, że tylko On jeden jest wieczny.

Rozmyślając o nim, o jego radościach i troskach, pojąłem nagle, że jestem prawie taki sam jak on, choć tylekroć mniejszy. To samo musi zapewne myśleć źdźbło trawy porównujące się z dorodnym

cedrem albo kropla deszczu spadająca do niezmiernego Oceanu.

Zapadła noc i na niebie pojawiły się gwiazdy, znacznie jaśniejsze niż zazwyczaj, przypuszczalnie dlatego, że zachowały więcej siły, kryw-szy się tchórzliwie przed gorejącym Nowym Słońcem.

Wpatrywałem się w nie z natężeniem, nie po to, by odnaleźć tę jedyną, swoją zdawałem sobie sprawę, że już nigdy jej nie ujrzę - lecz w poszukiwaniu Końca Wszechświata. Nie znalazłem go jednak ani wtedy, ani żadnej innej nocy, choć wiem, że na pewno gdzieś tam jest, ukryty wśród rojowiska konstelacji.

Pofalowaną powierzchnię wody zalała nagle zielonkawa poświata, której źródło znajdowało się gdzieś za moimi plecami. Pamiętając różnokolorowe lampy płonące na burtach, dziobie oraz rufie

“Samru”, pomyślałem, że taką właśnie latarnię zapalono na pokładzie naszej łodzi; odwróciłem się i ujrzałem zieloną twarz Luny, z której zachodni horyzont zsunął się bezszelestnie jak welon. Żaden człowiek - z wyjątkiem pierwszego, jaki pojawił się na Urth - nie oglądał jej w takiej krasie i wspaniałości, co ja wtedy. Z najwyższym trudem mogłem uwierzyć, że to ten sam słabo świecący, jakby przydymiony księżyc.

który widziałem minionej nocy stojąc w trawiastej dolinie obok mego mauzoleum. Zrozumiałem wówczas, że stara Urth uległa zagładzie, zgodnie z przepowiednią doktora Talosa, oraz że nasza łódź żegluje po wodach Urth Nowego Słońca, która zwie się Ushas, czyli Jutrzenka.

Rozdział XLVI

Uciekinier

Bardzo długo stałem nieruchomo na dziobie wypatrując kolejnych strażników nocy, sunących ku mnie znad horyzontu w tempie odpowiadającym prędkości ruchu obrotowego Ushas. Starożytna Wspólnota skryła się pod wodą, lecz blask gwiazd spływający na moje oczy był znacznie starszy od niej - był

stary już wtedy, kiedy pierwsza kobieta powiła pierwsze dziecko. Zastanawiałem się, czy któraś z gwiazd uroni choć jedną łzę, gdy w odległej przyszłości dowiedzą się o śmierci Wspólnoty.

Ja, który kiedyś byłem taką właśnie gwiazdą, płakałem jak dziecko.

Nagle ktoś lekko dotknął mego łokcia. Spojrzawszy w bok, zobaczyłem starego człowieka, właściciela i dowódcę łodzi. On, który do tej pory zachowywał wobec mnie daleko posuniętą rezerwę, teraz stał u mego boku, podobnie jak ja wpatrując się w fale. Nagle uświadomiłem sobie, że nawet nie znam jego imienia. Miałem już go o to zapytać, ale mnie uprzedził.

Czy ja aby ciebie nie znam?

Możliwe - odparłem. - Jeśli jednak tak jest, dysponujesz nade mną sporą przewagą.

Wiem, że kakogeni potrafią odczytać myśli człowieka i sprawić, by ucieleśniły się przed jego oczami.

- A więc uważasz mnie za eidolona... Spotkałem ich wielu, ale do nich nie należę. Jestem człowiekiem z krwi i kości, jak ty. Wątpię, czy usłyszał choć jedno moje słowo.

- Obserwowałem cię przez cały dzień. Nie spuszczałem cię z oka nawet wtedy, kiedy tamci położyli się spać. Ludzie mawiają, że zjawy nie płaczą, ale ty przed chwilą płakałeś. Podobno niektóre z nich bywają bardzo okrutne, ale pecha mogą przynieść nawet te dobre, jeśli zadomowią się na pokładzie statku albo na łodzi. W gruncie rzeczy lepiej w ogóle o nich nie myśleć.

- Zapewne masz rację, ale ludziom przyzwyczajonym do myślenia trudno jest nagle się od niego odzwyczać.

Z powagą skinął głową.

-

Słusznie mówisz.

Ludzki język jest znacznie starszy od naszego zatopionego kraju, wydaje się więc co najmniej dziwne, że w ciągu tak długiego czasu nie powstały słowa opisujące przerwy w rozmowie - bardzo przecież częste i niosące przeróżne znaczenia. Milczenie, które zapadło między nami, trwało wystarczająco długo, by co najmniej sto fal pocałowało z cichym pluśnięciem kadłub łodzi; było wypełnione kołysaniem pokładu, westchnieniami wiatru przeciskającego się między linami oraz bolesnym oczekiwaniem.

-
Chciałem powiedzieć, że zupełnie nie zależy mi na tej łodzi.

Jeśli chcesz, możesz ją zatopić albo wpędzić na mieliznę - mnie to nic nie obchodzi.

Odparłem, iż z pewnością byłbym w stanie uczynić każdą z tych rzeczy, lecz raczej ze względu na moje dalece niewystarczające umiejętności żeglarskie niż jakieś nadprzyrodzone zdolności.

-
Za życia nigdy nie wyrządziłeś mi prawdziwej krzywdy - ciągnął stary człowiek.

- Gdyby nie ty, nie poznałbym Maxellindis, ale nie wiem, czy to byłoby dobrze czy źle. W każdym razie, przeżyliśmy razem sporo dobrych lat.

Zerknąłem na niego z ukosa. Dwa, może nawet trzy razy złamano mu nos, ale bez trudu wyobraziłem sobie, że jest prosty. Wypełniłem także zapadnięte policzki...

Tylko jeden jedyny raz sprawiłeś mi porządne bicie, Severianie.

Pamiętasz? To było zaraz po tym, jak zostałeś kapitanem uczniów.

Później, kiedy mnie nim uczyniono, dałem tęgiego łupnia Timonowi.

Eata! - Bez zastanowienia chwyciłem go w objęcia i podniosłem na łokieć lub dwa w górę. tak jak często czyniliśmy podczas zabaw, kiedy obaj byliśmy uczniami. - Ty mały, wścibski krętaczu! Nie myślałem, że cię jeszcze kiedyś zobaczę!

Wykrzyknąłem to tak głośno, że Odilo poruszył się i powiedział coś przez sen.

Eata sprawiał wrażenie mocno przestraszonego. Sięgnął nawet po nóż, który miał za paskiem, ale zaraz potem cofnął rękę.

Postawiłem go z powrotem na pokładzie.

Nie było cię w konfraterni, kiedy zacząłem ją reformować.

Powiedziano mi, że uciekłeś.

Zrobiłem to. - Kilka razy odetchnąłem głęboko i dyskretnie

pomacał się po żebrach, jakby obawiał się, że połamałem mu je w uścisku. - Dobrze znowu cię widzieć. Severianie, nawet jeśli jesteś tylko zjawą albo... Jak powiedziałeś?

Eidolonem.

Właśnie. Jeżeli kakogenowie rzeczywiście postanowili pokazać mi kogoś z moich wspomnień,

mógłbym znaleźć się w znacznie gorszym towarzystwie.

- Czy pamiętasz, jak kiedyś zamknięto nam przed nosem bramę

nekropolii?

Skinął głową.

-

Drotte kazał mi wtedy precyzyjnie się między prętami, ale nic

z tego nie wyszło. Zjawili się ochotnicy, otworzyli bramę, a ja uciekłem, zostawiając go z tobą i Rochem. Wy nie przejmowaliście się mistrzem Gurloesem. ale ja wtedy jeszcze bardzo się go bałem.

- My też, lecz nie chcieliśmy, żebyś o tym wiedział.

- Wcale wam się nie dziwię. - Uśmiechnął się tak szeroko, że dostrzegłem błysk jego zębów w blasku księżyca, a także plamę czerni w miejscu, gdzie brakowało jednego z nich. - Tacy właśnie są chłopcy, jak powiedział pewien szyper pokazując ich swojej córce.

Przez głowę przemknęła mi szaleńcza myśl, że może gdyby Eata wtedy nie uciekł, to on ocaliłby Vodalusa i to jego udziałem stałyby się wszystkie moje późniejsze przeżycia. Nie sposób wykluczyć, że w jakimś innym wszechświecie wydarzenia potoczyły się właśnie w taki sposób.

Co robiłeś przez ten czas? - zapytałem. - Opowiadaj!

Nie bardzo jest o czym opowiadać. Będąc kapitanem uczniów, często wymykałem się z Cytadeli i odwiedzałem Maxellindis za każdym razem, gdy łódź jej ojca cumowała w pobliżu Algedonu. Wiele roz mawiałem z żeglarzami, sam także nauczyłem się prowadzić łódź, więc kiedy nadeszła kolejna święta Katarzyna, nie mogłem się zmusić, żeby złożyć śluby i przywdziać fuligin.

Ja uczyniłem to tylko dlatego, że nie wyobrażałem sobie życia w żadnym innym miejscu niż Wieża Matachina.

Eata skinął głową.

A ja tak, bo już trochę zdążyłem go zaznać. Przez cały rok zastanawiałem się, jak by to było, gdybym zamieszkał na łodzi i pomagał w pracy Maxellindis oraz jej wujowi. On był stary i miał sztywne stawy, jej brakowało sił, więc na pewno przydałby im się ktoś młody i w pełni sprawny. Nie czekałem, aż mistrzowie wezwą mnie przed swoje oblicza i każą podjąć ostateczną decyzję, tylko wcześniej wzięłem nogi za pas.

A potem?

Najszybciej jak mogłem zapomniałem o katach i konfraterni.

Dopiero niedawno spróbowałem przypomnieć sobie, jaki byłem dawno temu, w młodości, kiedy Wieża Matachina stanowiła cały mój świat.

Nie uwierzysz, Severianie, ale przez wiele lat bałem się nawet spojrzeć na Wzgórze Cytadeli; kiedy przepływaliśmy w pobliżu, zawsze pa trzymałem w przeciwną stronę.

Wierzę ci - odparłem.

- Jakiś czas potem umarł wuj Maxellindis. Daleko na południu w delcie rzeki, w dziurze zwanej Liti, miał swoją ulubioną oberżę. Wątpię, żeby jej nazwa oblała ci się kiedykolwiek o uszy. Pewnego wieczoru przyszliśmy tam po niego, a on, jakby nigdy nic, siedział przy stole z głową opartą na ramieniu, ale kiedy potrząsnąłem nim, spadł z ławki na podłogę. Był już całkiem zimny.

"Widzieli mężczyzn zmarłych z opilstwa, którzy leżeli przy tryskających z ziemi źródłkach wina. Zbyt oszołomieni trunkiem, aby zdać sobie sprawę, że ich życie dobiegło już końca..."

O czym ty mówisz? zapytał Eata.

- To tylko taka stara opowieść. Nieważne, mów dalej.

-

Zostaliśmy na łodzi sami, ona i ja, ale we dwójkę radziłem

sobie nie gorzej niż wcześniej we trójkę. Nigdy nie wzięliśmy ślubu: zawsze było jakoś tak, że kiedy oboje mieliśmy na to ochotę, akurat byliśmy bez pieniędzy, a kiedy mieliśmy pieniądze, właśnie się po kłóciliśmy. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia, bo po paru latach wszyscy i tak uważali nas za małżeństwo.

Wysmarkał nos za burzę.

Mów dalej - - zachęciłem go ponownie.

Zajmowaliśmy się trochę przemytem i pewnej nocy zatrzymał

nas kuter. Było to jakieś osiem albo dziesięć mil na południe od Wzgórza Cytadeli. Maxellindis skoczyła do wody - wyraźnie usłyszałem

—

plusk - a ja zrobiłbym to samo, gdyby nie to, że jeden z celników cisnął we mnie achico i padłem na pokład jak długi. Zapewne znasz

tę broń?

Owszem. Czy byłem jeszcze wtedy Autarchą? Mogłeś przecież

zwrócić się bezpośrednio do mnie.

Nie zrobiłem tego. bo byłem pewien, że odeślesz mnie z po

wrotem do konfraterni.

- Nie uczyniłbym tego - zapewniłem go. - A gdybym nawet tak postąpił, czy zaznałbyś wtedy gorszego losu od tego, który cię spotkał?

- Tak, bo musiałbym w niej pozostać do końca życia. Tak czy

inaczej, wzięli naszą łódź na hol i zaciągnęli ją w górę rzeki. Długo czekałem w areszcie na rozprawę, a kiedy wreszcie się odbyła, zostałem skazany na chłostę i wsadzony na galeon. Trzymali mnie skutego aż do chwili, gdy łódź zniknęła nam z oczu, potem zaś harowałem jak niewolnik, ale w ten sposób dotarłem do Kraju Żółtych Ludzi, a tam natychmiast uciekłem ze statku i mieszkałem przez dwa lata. To nawet nie jest najgorsze miejsce, naturalnie pod warunkiem, że ma się pie niądze.

- Potem jednak wróciłeś, jak się domyślam?

-
Dziewczyna, z którą żyłem, zginęła w zamieszkach. Wybuchają

tam co dwa albo trzy- lata z powodu nadmiernie wysokich cen żywności.

Żołnierze nie patyczkują się, tylko rozbijają głowy jak leci. a ona miała pecha i znalazła się w niewłaściwym czasie w zupełnie niewłaściwym miejscu. Akurat wtedy stała w porcie karawela gotowa do wypłynięcia w rejs na Wyspę Błękitnych Kwiatów: poszedłem do kapitana, poga dałem z nim trochę, a on zgodził się wziąć mnie na pokład. Młodzi ludzie bywają niekiedy wielkimi głupcami; nie wiedzieć czemu ubzdu-rałem sobie, że Maxellindis na pewno kupiła następną łódź. Jednak kiedy wróciłem na Gyoll, jej tam nie było i już nigdy jej nie spotkałem.

Przypuszczalnie zginęła tej nocy, kiedy dopadł nas kuter, a ona wy skoczyła za burtę.

Przez chwilę milczał, pocierając brodę.

- Maxellindis pływała prawie tak dobrze jak ja. ja zaś, jeśli pamiętasz, mogłem iść w zawody zarówno z tobą, jak i z Drotte'em. Może wciągnęła ją wodnica? To się czasem zdarza, szczególnie w dole rzeki.

Wiem - odparłem, ponownie widząc przed sobą wielką twarz

Juturny, taką jak wtedy, kiedy jako chłopiec mało co nie utonąłem w Gyoil.

Nie mam dużo więcej do powiedzenia. Przywiozłem ze sobą

trochę pieniędzy, trochę dostałem od kapitana po zakończeniu rejsu, kupiłem tę łódź i mieszkam na

niej do tej pory. Wciąż jeszcze potrafię trochę mówić językiem Żółtych Ludzi, a wystarczy, żebym posłuchał

ich rozmowy, a natychmiast przypomina mi się jeszcze więcej. Albo kiedy sobie dobrze pojem i popiję.

- Na tym morzu jest wiele wysp. Widziałem je na mapie w Hy-
potermach.

Eata pokiwał głową.

- Co najmniej kilkaset, a do tego trzeba doliczyć drugie tyle nie zaznaczonych na żadnej mapie. Można by pomyśleć, że bardzo łatwo trafić na którąś z nich, ale to nieprawda. Jeśli nie masz szczęścia, przepłyniesz między nimi nie zdając sobie sprawy z ich istnienia. Wiele zależy od tego, czy jest noc czy dzień, a jeszcze więcej od wysokości punktu obserwacyjnego nad poziomem wody, to znaczy, czy wypatrujesz ich z bocianiego gniazda na maszcie karaweli czy z dziobu mojej łodzi.

Wzruszyłem ramionami.

Pozostaje nam tylko nadzieja.

Jak powiedziała żaba na widok bociana, ale ze strachu zaschło jej w ustach, więc zabrzmiało to jak zwykle skrzeczenie. - Przez dłuższą chwilę Eata przyglądał mi się w milczeniu. - A czy ty wiesz, co się z tobą działo przez ten czas, nawet jeśli jesteś tylko wytworem mego umysłu ożywionym przez kakogenów?

- Wiem - odparłem. - I zapewniani cię, że nie jestem zjawą. a nawet jeśli nią jestem, to z winy hierogramaty Tzadkiela.

Wobec tego opowiedz mi o swoich przeżyciach, tak jak ja

opowiedziałem ci o moich.

Dobrze, ale najpierw muszę cię o coś zapytać. Co działo się na Urth po moim... odejściu?

Eata usiadł na jakiejś skrzyni, by móc na mnie patrzeć nie odwracając głowy.

- Prawda, przecież ty wyruszyłeś na poszukiwanie Nowego Słońca. I co, udało ci się je znaleźć?

Tak i nie. Powiem ci o tym natychmiast, jak tylko zrelacjonujesz mi wydarzenia, które rozgrywały się na Urth.

O tym, o czym zapewne najbardziej chciałbyś usłyszeć, wiem nie za wiele - powiedział, drapiąc się z namysłem po głowie. - Trochę myli mi się też kolejność. Przez cały czas, kiedy żyłem z Maxellindis, ty byłeś Autarchą, choć ludzie powiadali, że prawie bez przerwy przebywasz na północy, gdzie walczysz z Ascianami. Potem, kiedy wróciłem z Kraju Żółtych Ludzi, ciebie już nie

było.

- Skoro mieszkałeś tam dwa lata, to z Maxellindis byłeś co naj mniej przez osiem.
- Zgadza się. Cztery albo pięć, kiedy jeszcze żył jej wuj i dwa albo trzy później. Tak czy inaczej, po twoim zniknięciu ona została Autarchą. Ludzie wiele o tym mówili, przede wszystkim dlatego, że była kobietą, ale wszyscy zwracali się do niej właśnie "Autarcho", nie inaczej.

Kiedy wymieniałem przywiezione z daleka złoto na chrisos, część monet była z twoją podobizną, część zaś z jej, a w każdym razie z podobizną jakiejś kobiety. Poślubiła Caesidiusa. Z tej okazji odbył się wielki festyn na ulicy Iubara, z darmowym winem i poczęstunkiem dla wszystkich. Tak się upiłem, że przez trzy dni nie mogłem znaleźć drogi powrotnej do łodzi. Ludzie powiadali, że to małżeństwo było szczęśliwe: ona nie ruszała się z Domu Absolutu, on natomiast zajmował się Ascianami.

- Pamiętam go - powiedziałem. - Istotnie był znakomitym dowódcą.

Poczułem się trochę dziwnie na myśl o tym, że Valeria obdarzała swymi wdziękami tego człowieka o szczupłej, ascetycznej twarzy.

- Niektórzy twierdzą, że wybrała właśnie jego, ponieważ bardzo cię przypominał. Podobno był jednak trochę przystojniejszy i nieco wyższy.

Wyteżyłem pamięć. Przystojniejszy - na pewno, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę paskudną szramę, którą wtedy jeszcze miałem na policzku; wydawało mi się natomiast, że to ja odznaczałem się większym wzrostem, choć z pewnością ten, przed kim klękamy, sprawia na nas wrażenie wyższego niż w rzeczywistości.

- A potem umarł - zakończył Eata swą opowieść. - To było

w zeszłym roku.

- Aha.

Bardzo długo stałem oparty o okrężnicę, wpatrując się w coraz spokojniejszą powierzchnię wody.

Księżyc, który w swej wędrówce po niebie zawisł niemal dokładnie nad naszymi głowami, świecił zielon-kawym, silnym blaskiem. Krótki cień masztu kładł się między nami na pokładzie niczym czarna belka.

- A co z Nowym Słońcem, Severianie? - zapytał Eata zaskaku

jąco młodym głosem. - Obiecałeś, że mi o nim opowiesz.

Zacząłem mówić, ale relacjonując okoliczności śmierci Idas przekonałem się, że mój słuchacz zasnął.

Zatopione miasto

Ja także powinienem był położyć się spać, ale tego nie uczyniłem. Jeszcze przez co najmniej wachtę stałem samotnie na dziobie łodzi spoglądając na przemian to na pogrążonych we śnie ludzi, to na wodę.

Thais spała na brzuchu, tak jak i mnie często się zdarzało, z głową opartą w zagięciu ramienia. Pega zwinęła swoje pulchne ciało w kłębek, w związku z czym bez trudu mogłem uwierzyć, że jest kotem, który przybrał chwilowo postać kobiety. Wygiętymi w łuk plecami stykała się z Odilem, który leżał na wznak, z brzuchem wypiętym w górę i ramionami odrzuconymi za głowę.

Eata zasnął na siedząco, z policzkiem przyciśniętym do burty. Zapewne musiał być potwornie zmęczony. Przyglądając mu się próbowałem odgadnąć, czy po obudzeniu nadal będzie mnie uważał za eidolona.

Jakie jednak miałem prawo wmawiać mu, że jest inaczej? Przecież prawdziwy Severian (a byłem pewien, że kiedyś ktoś taki istniał) dawno temu zaginął bez śladu między gwiazdami. Skierowałem ku nim wzrok, usiłując go odnaleźć.

Bardzo się starałem, lecz w końcu musiałem dać za wygraną nie dlatego, że go tam nie było, lecz dlatego, że Ushas odwróciła od niego twarz, ukrywając go, wraz z wieloma innymi, za horyzontem.

Nowe Słońce jest bowiem zaledwie jedną z miliarda gwiazd, choć teraz, kiedy za dnia panuje niepodzielnie na niebie, przyćmiewając pozostałe, ludzie często o tym zapominają.

Z pewnością oglądane z pokładu statku Tzadkiel, dorównuje jasnością pozostałym gwiazdom. Nadal spoglądałem ku nim, choć wiedziałem już, że nie odnajdę tej będącej Severianem, który bynajmniej nie przyśnił się Eacie, aż wreszcie zdałem sobie sprawę, iż w rzeczywistości szukam nie jego, ale statku.

Naturalnie statku również nie odnalazłem, lecz rozgwieżdżone niebo było tak piękne, że nie uważałem tego czasu za stracony.

W brązowej księżce, której niestety nie ma już przy mnie - bez wątpienia podczas powodzi uległa zniszczeniu wraz z setkami milionów innych, przechowywanych w bibliotece mistrza Ultana znajdowała się także opowieść o wielkiej, wspaniałej świątyni. Wisiała tam wyszywana brylantami zasłona mająca chronić ludzi przed ujrzeniem twarzy Prastwórcy, kto bowiem go zobaczył, musiał

natychmiast umrzeć. Świątynia trwała w nie zmienionym stanie przez wiele stuleci, aż wreszcie wdarł się do niej pewien śmiałek i zdarł zasłonę, ponieważ zapragnął zdobiących ją brylantów. Według tej opowieści niewielka komnata za zasłoną była pusta, ale kiedy ów śmiałek wyszedł ze świątyni i spojrział

w nocne niebo, spadł na niego płomień i spopielił go w okamgnieniu. Jakież to okropne, iż czerpiemy nauki z takich opowieści dopiero wtedy, kiedy na własnej skórze przekonamy się o ich

prawdziwości!

Możliwe, że sprawiło to wspomnienie tej historii albo może tylko myśl o zatopionej bibliotece, której

- jestem tego pewien - ostatnim mistrzem był Cyby i w której zapewne zginął; w każdym razie dopiero teraz uświadomiłem sobie w pełni i ostatecznie, że Urth uległa zagładzie, przerażenie zaś, jakie mnie ogarnęło, przewyższało największy strach, jakiego do tej pory zaznałem w życiu. Lasy, w których niegdyś polowałem, znikły bez śladu, podobnie jak miliony drobnych gospodarstw, gdzie rodzili się i wychowywali prości ludzie tacy jak Melito, którzy potem, uzbrojeni w szczerość serca i skromną odwagę, szli walczyć w niezrozumiałej dla siebie wojnie. Znikły także rozległe pampasy, gdzie mieszkały dzielne kobiety takie jak Foila, nieustraszone jak lwice i pełne ożywczego zapachu.

Martwe dziecko, kołyszące się nie opodal na falach, zdawało się kiwać do mnie rączką. Ujrzawszy je zrozumiałem, iż tylko w jeden sposób mogę odpokutować to, czego dokonałem: fale przyzywały mnie szeptem, martwy chłopczyk ponaglał mnie gestami i choć mimo wszystko coś wzdragało się we mnie na myśl o samobójstwie, to jednak przełożyłem najpierw jedną, potem zaś drugą nogę przez burłę, usiadłem na okrężnicy, po czym zsunąłem się do wody.

Natychmiast zacząłem opadać na dno, ale nie utonałem. Byłem niemal pewien, że mógłbym oddychać otaczającą mnie wodą, lecz nie czułem potrzeby oddychania. Rozjaśniona zielonym blaskiem Luny, otaczała mnie zewsząd niczym szmaragdowe szkło. Powoli opuszczałem się w otchłań sprawiającą wrażenie bardziej przejrzystej od powietrza.

Hen, daleko w dole zamajaczyły ogromne kształty, kilkaset razy większe od człowieka. Niektóre przypominały okręty, inne chmury; była wśród nich żywa głowa bez ciała, były i ciała o stu głowach. Po pewnym czasie znikły za zasłoną z delikatnej zielonkawej mgiełki, ja zaś ujrzałem pod sobą rozległą równinę pokrytą błotem i mułem, na której wznosił się pałac znacznie potężniejszy od Domu Absolutu, tyle że w znacznej części zniszczony.

Pomyślałem wówczas, że nie żyje i że dla mnie śmierć nie oznacza wyzwolenia. Chwilę potem zrozumiałem jednak, że to nieprawda, że tylko śnie i że w momencie, gdy rozlegnie się pianie koguta (takiego z czarnymi błyszczącymi oczami, nie wydłubanymi przez czarnoksiężników), obudzę się w łożu obok Baldandersa. Doktor Talos spuści mu cięgi, potem zaś wyruszymy na poszukiwanie Agii i Jolenty.

Zanurzyłem się bez reszty w tym śnie, a wówczas niewiele brakowało, bym rozdarł Całun Ułudy, ostatnią barierę kłamstw oddzielającą nas od ostatecznej prawdy.

Tak się jednak nie stało, kiedy więc wróciłem do siebie, w dalszym ciągu trwałem zawieszony w zielonkawej wodzie, niesiony jednym z prądów podążających od Jawy ku Snom, a także w odwrotnym kierunku. "Pałac", który, nie wiedzieć czemu, skojarzył mi się z Domem Absolutu, okazał się być całym Nessus. Miasto zawsze było ogromne, teraz jednak stało się jakby jeszcze większe; wiele fragmentów Muru leżało w gruzach, podobnie jak fortyfikacje naszej Cytadeli, w związku z czym stało się naprawdę Miastem Nieskończonym. Runęło także sporo wież; tam gdzie jeszcze

niedawno dostojnym krokiem przechadzali się kuratorzy, teraz dokazywały ławice błyszczących makreli.

Nawet nie zauważyłem, kiedy zacząłem rytmicznie poruszać nogami i rękami. Przepłynąwszy spory szmat drogi znieruchomiałem, ale wbrew swoim oczekiwaniom nie uniosłem się ku powierzchni. Wciąż pchany naprzód przez mocarny prąd, dostrzegłem w dole koryto Gyoll; jej brzegi w dalszym ciągu były spięte dumnymi mostami, już zupełnie bezużytecznymi, ponieważ woda znajdowała się wszędzie, nie tylko pod nimi. Pod przęsłami zgromadziły się pogruchotane wraki statków i łodzi, a także fragmenty zniszczonych budowli. Usiłowałem wypchnąć z płuc resztki powietrza, by opaść na dno i dołączyć do tych reliktyw

przeszłości; z moich ust wydobyło się kilka bąbelków i pomknęło rażno w górę. ale chłodna woda, która zajęła ich miejsce, nie miała smaku śmierci.

Mimo to zacząłem powoli opadać, aż wreszcie stanąłem w miejscu, gdzie nigdy nie spodziewałem się znaleźć, to znaczy na pokrytym brudnym szlamem dnie rzeki. Czułem się niemal tak samo jak na pokładzie statku Tzadkiel, ponieważ nic prawie nie ważyłem, w związku z czym niewiele różniłem się od ducha, którego można łatwo odpędzić tchnieniem niosącym ze sobą słowa egzorcyzmów.

Ruszyłem przed siebie, częściowo płynąc, a częściowo naśladowując ruchy piechura. Każdy mój krok znaczyła wznosząca się z dna chmura szlamu, ruchliwa jak żywa istota. Przystanąwszy na chwilę, spojrzałem w górę i ujrzałem bezkształtną Lunę, zmieniającą łagodnie kształt w zgodzie z rytmem niewidocznych fal.

Kiedy spojrzałem ponownie pod nogi, zobaczyłem poźółkłą czaszkę zagrzebaną częściowo w mule.

Schyliłem się i podniosłem ją. Dolna szczęka znikła, ale poza tym czaszka nie nosiła żadnych śladów uszkodzeń. Na podstawie jej kształtu, rozmiarów oraz stanu uzębienia oceniłem, że należała do chłopca lub młodego mężczyzny. A więc ktoś inny, nie ja, utonął dawno temu w nurtach Gyoll; może także jakiś uczeń, który zakończył swe życie dużo za wcześnie, bym mógł wysłuchać jego smutnej historii, a może po prostu chłopiec mieszkający w którymś z nędznych osiedli ciągnących się wzdłuż obu brzegów na tym odcinku rzeki.

Albo była to jakaś uboga kobieta, uduszona i wrzucona do Gyoll; w ten sposób co noc ginęli w Nessus mężczyźni, kobiety i dzieci. Nagle przyszło mi do głowy, że gdy z woli Prastwórcy przystąpiłem do niszczenia tej planety, tylko o dzieciach i zwierzętach dało się powiedzieć, że w chwili śmierci byli całkowicie niewinni.

Mimo wszystko z jakichś tajemniczych przyczyn nie ulegało dla mnie wątpliwości, iż czaszka należała do chłopca, który umarł zamiast mnie. Padł ofiarą Gyoll, aby zaspokoić jej wściekłość po tym, jak pozbawiono ją już niemal pewnego łupu, czyli mnie. Wsunąłem palce w oczodoły, wytrząsałem z czaszki muł i zabrałem ją ze sobą.

Długie kamienne schody sięgały niemal do samego dna rzeki - niemi świadkowie stopniowego podnoszenia się poziomu wody w Gyoll. Ruszyłem nimi w górę, choć przecież znacznie łatwiej byłoby mi

po prostu odbić się mocniej nogami i popłynąć, odgarniając do tyłu szmaragdową toń.

Sklecone byle jak domy rozpadły się co do jednego. Ujrzałem kłębowisko małych rybek i skręciłem w ich kierunku, a kiedy rozpięzły się we wszystkie strony, zobaczyłem blade, napuchnięte ciała, częściowo pożarte już przez wodne stworzenia. Od tej pory starannie omijałem wszelkie rybnie wiece.

W tym mieście, którego potęga i rozmiary wzbudzały niegdyś podziw całego świata, musiało teraz być wiele takich trupów. A jak przedstawiała się sprawa ze mną? Może ja też byłem trupem, niesionym podwodnymi prądami? Moje ciało było zupełnie zimne, płuca miałem wypełnione wodą, a wszystko, co robiłem, robiłem jakby we śnie... Jednak poruszałem się z własnej woli, często na przekór prądom (albo tak mi się przynajmniej wydawało), moje oczy zaś rejestrowały coraz to nowe obrazy.

Wkrótce ujrzałem przed sobą zamkniętą na głucho zardzewiałą bramę nekropolii, symbol mego wygnania. Miejsce strzępów wilgotnej mgły, które kiedyś, w odległej przeszłości, ujrzałem nanizane na ostro zakończone pręły, zajęły wodorosty. Odbiłem się obiema nogami i popłynąłem w górę; dopiero po dwóch lub trzech ruchach rękami uświadomiłem sobie, że w prawej wciąż jeszcze trzymam poźółkłą czaszkę. Wypuściłem ją, by spokojnie opadła na dno, ona jednak podążyła za mną - jak przypuszczam, sprawił to niewyczuwalny dla mnie prąd wody albo jej zawirowania spowodowane moimi energicznymi poruszeniami.

Zanim wszedłem na pokład statku hieroduli, który miał zawieźć mnie na statek Tzadkiel, ujrzałem tańczące wokół mnie w powietrzu, śpiewające czaszki. Teraz nastąpiło spełnienie przepowiedni, którą w gruncie rzeczy była tamta wizja. Nagle wszystko zrozumiałem, a wraz ze zrozumieniem pojawiła się pewność, że musi być tak, jak jest, że ja. Nowe Słońce, muszę odbyć tę pielgrzymkę po martwej Urth w towarzystwie tych, którzy zginęli razem z nią. Urth zapłaciła za swoje odrodzenie utratą starożytnych kontynentów; ta podróż stanowiła zapłatę, którą ja musiałem uiścić.

Dopiero po dłuższej chwili czaszka spoczęła łagodnie na ziemi, w której od wieków grzebano najuboższych mieszkańców Nessus. Niewiele myśląc wziąłem ją ponownie do ręki. Jak dokładnie brzmiały

słowa, które usłyszałem na początku wędrówki od dowódcy warty na moście? "Szlachetny Talarican, którego szaleństwo objawiło się w zainteresowaniu naj podlegszymi aspektami ludzkiej egzystencji, twierdził, że liczba ludzi, którzy utrzymują się przy życiu spożywając to, co inni wyrzucą do śmieci, przekracza dwadzieścia pięć tysięcy... Że gdyby z każdym naszym oddechem miał z tego mostu skakać jakiś nędzarz, to żylibyśmy wiecznie, bo miasto i tak rodzi i niszczy ludzi szybciej, niż oddychamy".

Nędzarze nie skaczą już z mostu do wody, ponieważ woda sama do nich przysła, kończąc ich udrękę. Kto wie zresztą, może niektórym udało się uratować?

Dotarłszy do grobowca, w którego wnętrzu bawiłem się jako chłopiec, zastałem jego drzwi zatrzaśnięte na głucho. Siła morza zagarniającego nowe tereny pomogła dokończyć to, co zaczęło się być może nawet sto lat temu, kiedy ktoś próbował domknąć drzwi, lecz nie zdołał pokonać oporu

zardzewiałych zawiasów. Położyłem czaszkę na progu, po czym pracując mocno ramionami i nogami ruszyłem w górę, ku powierzchni roziskrzonej złocistym blaskiem.

Rozdział XLVIII

Stare i nowe lądy

Choć wyteżalem wzrok, nigdzie nie mogłem dostrzec łodzi Eaty. Wiem, że nikt mi nie uwierzy, jeśli napiszę, że płynąłem cały dzień oraz większą część nocy, ale tak właśnie było. Woda, którą inni nazywali słoną, dla mnie wcale nie miała słonego smaku; piłem ją w dużych ilościach, kiedy dokuczało mi pragnienie, i za każdym razem działała na mnie nadzwyczaj orzeźwiająco. Prawie się nie męczyłem, a kiedy jednak chciałem zażyć nieco odpoczynku, po prostu kładłem się na wznak i pozwalałem kołysać falom.

Wcześniej zdążyłem pozbyć się całego ubioru z wyjątkiem spodni, ale teraz rozstałem się także z nimi. Bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby przejrzałem zawartość ich kieszeni: znalazłem tylko trzy brązowe monety podarowane mi przez Ymara. Były starte i poczerniałe, krótko mówiąc wyglądały na co najmniej tak stare, jakimi były w istocie. Pozwoliłem, by wyslizgnęły mi się z palców, razem z całą Urth.

Dwukrotnie widziałem ogromne ryby, przypuszczalnie bardzo groźne, lecz żadna nie przejawiała wobec mnie złych zamiarów. Jeśli chodzi o kobiety mieszkające w wodnej otchłani, spośród których Idas była przypuszczalnie najmniejsza, to nie zauważyłem ani jednej. Nie widziałem także ich pana Abaii, Erebu ani żadnego innego potwora.

Nadeszła noc, ciągnąc za sobą wóz wypełniony gwiazdami, ja zaś ułożyłem się na wznak i przypatrywałem im, kołysany łagodnie przez Ocean. Ileż światów przesunęło się tam, nade mną! Kiedyś, uciekając przed gniewem Abdiesusa, ukryłem się w skalnym załomie i wpatrywałem w te same gwiazdy, próbując sobie wyobrazić towarzyszące im planety oraz ludzi, którzy na nich żyją i wznoszą miasta nie tak złowrogie jak nasze. Teraz wiedziałem, jak głupie były moje ówczesne myśli, ponieważ odwiedziłem jedną z tych pianet i przekonałem się, że jest bardziej niezwykła, niż można sobie wyobrazić. Choćbym nie

wiadomo, jak się starał, nie zdołałbym również zaludnić mej wyobraźni istotami takimi, jak należący do wielu przedziwnych ras marynarze ze statku Tzadkiel albo znajdy, mimo że wszyscy pochodzili z Briaha, tak jak ja.

Tym razem starałem się więc odegnać precz jałowe fantazje, lecz one uparcie wracały. Wydawało mi się, że w pobliżu najślabiej świecących gwiazd dostrzegam inne, jeszcze bardziej oddalone, zaledwie żarzące się jak dogasające węgle, a kiedy im się przyglądałem, w moim umyśle powstawały fantastyczne obrazy, piękne i zatrważające. Zasnąłem dopiero wtedy, kiedy nadciągnęły obłoki i zapadła ciemność.

Obudziłem się w samą porę, aby być świadkiem, jak noc spowijająca Ushas pierzcha przed wschodzącym Nowym Słońcem. Jestem pewien, że na żadnej planecie Briaha nie ujrzałbym nic równie pięknego, niczego takiego bowiem nie zobaczyłem nawet na cudownym Yesodzie. Młody

król, przystrojony złotem, jakiego nikomu jeszcze nie udało się wydobyć w żadnej kopalni, kroczył po falach, tak doskonały w swojej wspaniałości, że ujrawszy go, człowiek natychmiast nabierał przekonania, iż już nigdy w życiu nie zobaczy czegoś podobnego.

Fale tańczyły przed nim i wokół niego, rzucając mu pod stopy miliony perlanych kropli, które on zamieniał w brylanty. Niespodziewanie zerwał się wiatr i przygnał falę znacznie większą od innych; wyniosła mnie na sam szczyt, gdzie zdołałem się utrzymać zaledwie przez jeden oddech, ale i to wystarczyło, bym dostrzegł jego twarz. Nie oślepiłem, ponieważ rozpoznałem w nim siebie. Od tamtej pory nic takiego mi się nie zdarzyło i zapewne już nigdy się nie zdarzy. Mniej więcej w połowie drogi między nami z morza wynurzyła się ogromna wodnica i złożyła mu głęboki pokłon.

Potem fala opadła, a ja razem z nią. Gdybym zaczekał, przypuszczalnie nadeszłaby druga i ponownie wyniosłaby mnie w górę, ale uważam, że są rzeczy, które powinny wydarzyć się albo raz, albo nigdy.

Zanurkowałem w głąb szmaragdowych otchłani, pragnąc powtórnie skorzystać z nadzwyczajnych zdolności, które odkryłem w sobie minionego wieczoru.

Nie opuściły mnie. choć nie odnosiłem już wrażenia, że znajduję w przedziwnym półśnie, ani nie czułem pragnienia, by ze sobą skończyć. Otaczający mnie świat był teraz skąpany w delikatnych odcieniach jasnego błękitu, uzupełnionych gdzieś ochrą, z góry zaś przykrywała go złocista kopuła. Słońce i ja unosiliśmy się swobodnie, każde w swoim żywiole, z uśmiechem spoglądając na nasze światy.

Po dłuższym czasie (nie wiem, po ilu oddechach, ponieważ nie oddychałem) przypomniałem sobie o wodnicy i wyruszyłem na jej poszukiwania. Co prawda wciąż jeszcze budziła we mnie lęk, ale teraz już wiedziałem, że takich jak ona nie zawsze należy się obawiać, i choć Abaia czynił wszystko, by uniemożliwić nadejście Nowego Słońca, to jego wysiłki spełzyły jednak na niczym. Zanurzałem się coraz głębiej, ponieważ na ile rozświetlonej blaskiem słońca powierzchni można było bez trudu dostrzec nawet niewielkie przedmioty, a cóż dopiero mówić o ogromnym cieple wodnicy.

Nagle wszystkie myśli o nałożnicach Abaii czmychnęły z mojej głowy, ponieważ w dole ponownie dostrzegłem miasto, ale już na pewno nie Nessus. Nie wydawało mi się, bym widział je kiedykolwiek wcześniej. Wieże leżały nieruchomo na dnie Oceanu, wśród nich zaś walały się wiekowe wraki, jednak odniosłem wrażenie, że wieże te wznosiły się dumnie ku niebu już wtedy, kiedy wraki te były jeszcze nowiutkimi okrętami, dopiero co zwodowanymi przy akompaniamencie radosnych okrzyków, przystrojone kolorowymi chorągiewkami i pełne roztańczonych, cieszących się ludzi.

Wśród ruin wypatrzyłem wiele skarbów, głównie wspaniałych klejnotów i lśniących metali, ale nie zauważyłem niczego, co zdradziłoby mi nazwę miasta oraz zagubionego w mrokach przeszłości narodu, który je wybudował. Ostrymi krawędziami muszli zeszkrobywałem wo-dorosły z postumentów i cokołów; znajdowało się na nich mnóstwo napisów - niestety, litery należały do nie znanego mi alfabetu.

Mijały kolejne wachty, ja zaś niezmordowanie pływałem wśród ruin, ani na chwilę nie odrywając od nich wzroku. W pewnej chwili na zasypaną piaskiem alejkę padł ogromny cień, a kiedy spojrzałem w

górze, zobaczyłem wodnicę, wielką jak statek, która przemknęła bezszelestnie między mną a powierzchnią morza, ciągnąc za sobą warkocze zielonych włosów.

Natychmiast zapomniałem o martwym mieście i czym prędzej ruszyłem w górę. Dotarwszy na powierzchnię, wypłułem potężną fontannę wody i odgarnąłem włosy z czoła, aby przekonać się, czy wzrok mnie nie myli, odniosłem bowiem wrażenie, że widzę wąski brązowy paś lądu. Tak było w istocie. Dzielila mnie od niego odległość nie większa

od tej, jaką niegdyś należało pokonać łodzią, by dostać się z brzegu Gyoll do Ogrodów Botanicznych.

Niebawem poczułem grunt pod stopami i wyszedłem z morza, choć nadal je kochałem, tak samo jak całkiem niedawno spadłem spomiędzy gwiazd, mimo że wciąż darzyłem je nieustającą miłością.

Tak naprawdę to każda cząstka Briaha jest piękna i godna miłości, jeśli nie przedstawia sobą żadnego zagrożenia - naturalnie z wyjątkiem miejsc, które ludzie sami dla siebie uczynili śmiertelnie niebezpiecznymi. Mimo wszystko najbardziej kochałem ląd, ponieważ tam właśnie się urodziłem.

Jakaż okropna była jednak to wyspa! Ani żdźbła trawy, tylko piasek, trochę kamieni, mnóstwo muszli, a przede wszystkim gęste, czarne błoto, pod wpływem promieni słońca tworzące twardą, spękaną skorupę. Dalekim echem powrócił do mnie fragment sztuki doktora Talosa: "Kontynenty przypominają stare kobiety, bezpłodne i pozbawione resztek dawnej urody. Zbliża się Nowe Słońce, a kiedy przybędzie, ciśnie je do morza jak stoczone przez korniki okręty, spod fal wydobędzie zaś nowe, lśniące złotem, srebrem, żelazem i miedzią, wysadzone brylantami, rubinami i turkusami, pokryte grubą warstwą żyznej gleby, splukiwanej przez tysiąclecia do morza przez płynące bez ustanku rzeki".

Ja, który często chełpię się swoją niezawodną pamięcią, zupełnie zapomniałem, że słowa te padły z ust demonów.

Przez cały czas czułem ogromną pokusę, by wrócić do Oceanu, lecz nie uległem jej, podążając na północ ciągnącą się bez końca plażą. Była zasłana przeróżnymi resztkami i śmieciami, a także połamanymi lub powyrywanych z korzeniami drzewami, z którymi rozszalałe fale poradziły sobie tak łatwo, jakby to były puste w środku słomki. Od czasu do czasu natrafiałem na gałęzie tak świeże, że liście pyszniły się jeszcze na nich soczystą, ani odrobinę nie zwiędniętą zielenią, jakby nie zdawały sobie sprawy z tego, że ich świat przestał istnieć. Kiedyś, w lesie nad strumieniem, gdzie zatrzymaliśmy się podczas wędrówki do Thraxu, Dorcas zaśpiewała mi piosenkę o dziewczynie, która spaceruje wiosną po lesie i tęskni za swymi przyjaciółmi, ubiegłorocznymi liśćmi. Później jedną zwrotkę tej piosenki napisała mydłem na lustrze w mojej kwaterze w Vinculi. Po raz kolejny przekonałem się, iż była mądrzejsza, niż podejrzewało którekolwiek z nas.

Wreszcie linia brzegowa zaczęła się wyginać, tworząc zatokę tak ogromną, że nie byłem w stanie dostrzec jej końca sięgającego najdalej w głąb lądu, natomiast bez trudu mogłem dojrzeć oddalony ode mnie najwyżej o milę drugi cypel, strzegący jej ujścia podobnie jak ten, na którym teraz stałem. Z

łatwością mógłbym dotrzeć do niego wpław, lecz coś powstrzymywało mnie przed wejściem do wody.

Nowe Słońce znikło już za garbem planety i choć minionej nocy bardzo przyjemnie spało mi się na rozkołysanych falach, tym razem nie miałem na to specjalnej ochoty. Postanowiłem spędzić noc tam, gdzie stałem, rozpalić ogień, naturalnie, jeśli uda mi się znaleźć dość suchych gałęzi, oraz spożyć posiłek, rzecz jasna pod warunkiem, że najpierw zdobędę coś nadającego się do jedzenia. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że nie jadłem nic od chwili, kiedy na pokładzie łodzi w pośpiechu i z wilczym apetytem przełknąłem kilka kęsów czerstwego chleba, zagryzając go odrobiną wędzonego mięsa.

Okazało się, że opału wystarczyłoby dla całej armii, ale choć pilnie rozglądałem się za skrzyniami z żywnością, o których mówił Eata, to żadnej nie znalazłem. Po dwóch wachtach gorączkowych poszukiwań musiałem zadowolić się do połowy opróżnioną, ale na szczęście szczelnie zakorkowaną butelką wina; przypuszczalnie była to jedyna rzecz, jaka ocalała z jakiejś podrzędnej gospody, takiej jak ta, w której umarł wujek Maxellindis. Przystąpiłem do rozpalania ognia, lecz chociaż po niezliczonych próbach udało mi się skrzesać kilka słabych iskier, było to stanowczo za mało, żeby podpalić zgromadzony przeze mnie stos wilgotnawych gałęzi. Ponieważ Nowe Słońce skryło się już zupełnie za horyzontem, na niebie zaś pojawiły się gwiazdy, obserwując z politowaniem moje bezowocne wysiłki, dałem sobie wreszcie spokój i ułożyłem się do snu na piasku. Na szczęście wino, które wypilem do ostatniej kropli, rozgrzało mnie nieco od środka.

Nie przypuszczałem, że jeszcze kiedyś ujrzę Aphetę, lecz pomyliłem się, ponieważ zobaczyłem ją tej nocy, spoglądającą na mnie z nieba dokładnie tak samo jak wówczas, gdy opuszczałem Yesod w towarzystwie Burgundofary. Zamrugałem raptownie, po czym znowu wyteżyłem wzrok, lecz nade mną wisiał już tylko zielony dysk Luny.

Wydawało mi się, że nie zasnąłem ani na chwilę, ale jakiś czas potem obok mnie usiadła Valeria, oplakująca zatopioną Urth. Jej ciepłe, słodkie łzy kapały mi na twarz. Obudziwszy się stwierdziłem,

że jestem cały rozpalony oraz że księżyc skrył się za chmurami, z których pada ciepły deszcz. Całkiem niedaleko dostrzegłem wielki głaz, spod którego woda wypłukała sporo piasku tworząc zagłębienie części-

ciowo osłonięte kamiennym zadaszeniem. Wpełzłem tam, zwinąłem się w kłębek, ukryłem twarz w ramionach i ponownie zasnąłem, marząc o tym, żeby już nigdy się nie obudzić.

Plaże znowu zalało upiorne światło, na tle zielonej tarczy Luny zaś pojawiła się jedna z przerażających skrzydlatych istot, które wyciągnęły mnie kiedyś z wraku zestrzelonego ślizgacza Autarchy. Kiedy zbliżyła się do mnie, zrozumiałem, że notule są po prostu jej skrzydłami. Po chwili niezgrabnie wylądowała na popękany błocie, wśród białych wilków.

Nie wiem, kiedy ani w jaki sposób, lecz znalazłem się na jej grzbiecie, ona zaś wzbiła się w powietrze i wyniosła mnie nad pełne morze, a tam z własnej woli zsunąłem się do wody. Rozświetlone blaskiem księżyca fale zamknęły się nad moją głową, w dole zaś ujrzałem Cytadelę. Między wieżami pływały ryby wielkie jak okręty, same wieże natomiast stały równie prosto i dumnie jak zawsze, tyle że teraz otaczała je zewsząd woda, na blankach zaś i ostro zakończonych szczytach falowały wstęgi wodorostów.

Zadrżałem z lęku na myśl o tym, że mógłbym nadzieć się na któryś z wierzchołków. Wielkie działo, z którego strzelano do mnie wtedy, kiedy zabiłem prefekta Priscę, teraz wypaliło ponownie; strumień energii pomknął przez Ocean, znacząc przebytą drogę krechą wrzącej wody.

I tym razem bezbłędnie trafił we mnie, lecz nie uczynił mi nic złego, natomiast Cytadela zniknęła sprzed moich oczu jak sen. Stwierdziłem, że jestem na jej terenie, tuż za wyrwą w murze. Szczyty wież wystawały już nieco nad powierzchnię morza, między nimi zaś siedziała Juturna, zanurzona po szyję, i posilała się rybami.

- A więc przeżyłaś! - zawołałem, zdając sobie jednak sprawę, że to tylko sen.

Skinęła głową.

- W przeciwieństwie do ciebie.

Byłem tak głodny i przerażony, że tylko z najwyższym trudem mogłem zebrać myśli, ale mimo to zapytałem:

- Więc jestem martwy i dotarłem w zaświaty?

Znowu poruszyła ogromną głową, tym razem jednak po to, by zaprzeczyć.

Teraz żyjesz.

I śpię.

Wcale nie. Po prostu... - Umilkła na chwilę, przeżuując

kolejny kęs. Jej wielka twarz była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

Kiedy odezwała się ponownie, w wodzie wokół niej zakotłowało się od małych ryb wielkości okonia, walczących ze sobą o okruszki, które wypadały z ust olbrzymki. - Po prostu zrezygnowałeś z życia, albo przynajmniej spróbowałeś to uczynić. W pewnym sensie nawet ci się udało.

Więc jednak śnię.

Nie. Już nie. Natomiast z pewnością byś umarł, gdybyś tylko potrafił.

To dlatego, że nie mogłem patrzeć na męczarnie Thecli. Teraz patrzyłem na męczarnie Urth, zdając sobie sprawę, że to ja jestem jej katem.

A kim byłeś, kiedy stanąłeś przed sędziowskim fotelem hierogramaty?

Człowiekiem, który jeszcze nie zdążył zniszczyć wszystkiego, co kocha.

Byłeś Urth, więc Urth z yje.

- To jest Ushas! - krzyknąłem.
- Skoro tak twierdzisz... Wiedz jednak, że Urth żyje zarówno w tobie, jak i w niej.
- Musz ę pomyśleć - odparłem. - Muszę odejść i długo po myśleć.

Nie miałem zamiaru błagać, ale usłyszawszy swój głos zrozumiałem, że jestem żebrakiem.

-

Uczyń więc to.

Bezradnie rozejrzałem się dokoła, po częściowo pogrążonej w wodzie Cytadeli.

Juturna rozłożyła ogromne ramiona wskazując mi kierunki, z których istnienia jeszcze chwilę temu nie zdawałem sobie sprawy.

-

W tę stronę do przyszłości, w tę do przeszłości. Znajdujemy się na krawędzi świata, za nią zaś są pozostałe planety twojego słońca oraz planety innych słońc. Tutaj zaczyna się strumień, który płynie przez Yesod i dociera do Briaha.

Nie wahałem się ani chwili.

Rozdział XLIX

Apu-Punchau

Woda nie była już smolście czarna, lecz ciemnozielona, aż gęsta od niezliczonych wodorostów w zakamarkach dna i chwiejących się majestatycznie. Na wspomnienie o rybach zjadanych przez Juturnę poczułem ogromny głód, lecz oto na moich oczach zaczęła się dokonywać niezwykła przemiana: Ocean z każdą chwilą stawał się lżejszy, mniej rzeczywisty, aż wreszcie podzielił

się na niezliczone krople, te na jeszcze mniejsze, potem zaś została po nim tylko rzędząca powoli mgła.

Wziąłem głęboki wdech i moje płuca napełniły się nie wodą, lecz powietrzem. Tupnąłem i moja stopa natrafiła nie na muliste dno, ale na solidny, twardy grunt.

Obszar zalany jeszcze do niedawna wodą przeistoczył się w pampasy porośnięte sięgającą mi do piersi trawą. Równina była tak rozległa, że nie mogłem dostrzec jej kresu, ukrytego za ruchomą zasłoną sinobiałych oparów. Roztańczone kształty wyczarowywane z mgły przez lekki wietrzyk nie zdołały mnie przestraszyć, choć były równie tajemnicze i niezwykłe jak w najbardziej przerażającej

opowieści.

Ruszyłem przed siebie różnym krokiem, głównie po to, aby się rozgrzać, lecz przyświecała mi także nadzieja na znalezienie czegoś do jedzenia.

Powiada się często, że ci, co wędrują w ciemności, szczególnie jeśli ciemność ta jest przesycona mgłą, nie są w stanie iść prosto i nie dysponując żadnym punktem odniesienia, zataczają tylko szersze lub węższe kręgi. Może tak właśnie było ze mną, choć ja w to nie wierzę, ponieważ starałem się przez cały czas trzymać plecami do wiatru.

Kiedyś podążałem z uśmiechem na ustach Wodną Drogą, wyobrażając sobie, że jestem nieszczęśliwy, z tego właśnie powodu ogarnięty radosnym uniesieniem. Teraz zdawałem sobie sprawę, iż wędrowka, którą wtedy rozpocząłem, doprowadziła mnie do czasu i miejsca, gdzie stałem się katem Urth; choć uporałem się już ze swoim zadaniem.

Uważałem, że nigdy już nie będę szczęśliwy. Przypuszczam jednak, iż zaznałbym na nowo tego uczucia choćby wówczas, gdyby ktoś zwrócił mi mój ciepły płaszcz czeladnika.

Wreszcie za moimi plecami nad horyzontem pojawiło się stare słońce Urth w koronie z gorącego złota. Cienie nocy pierzchły przed nim w popłochu, odsłaniając przed moimi oczami bezkresne, szumiące cicho pampasy, prawdziwy zielony Ocean, po którym gnały setki, może nawet tysiące fal.

Rozejrzawszy się dokoła stwierdziłem, że na wschodzie ma jednak kres, a może początek, ponieważ wznosiły się tam góry o stromych zboczach i ostrych szczytach, którym nie nadano jeszcze ludzkich kształtów.

Szedłem dalej na zachód rozmyślając o tym, że ja, Nowe Słońce, gdybym tylko mógł, bez wahania skryłbym się za horyzontem. Być może ten, który był Starym Słońcem, czuł się podobnie. W sztuce doktora Talosa zatytułowanej "Eschatologia i Genesis" występowała taka postać i choć nasz występ został przerwany na długo przed jej pojawieniem się na scenie, to wiedziałem, iż miał się w nią wcielić sam doktor.

Na równinie roiło się od długonogich ptaków, ale były bardzo czujne i uciekały na długo przed tym, zanim zdołałem zbliżyć się do nich. Dostrzegłem także sporego cętkowanego kota, ale chyba niedawno spożył posiłek, ponieważ ociężałe usunął mi się z drogi. Wysoko w górze krążyły z rozpostartymi skrzydłami orły i kondory, niczym czarne krzyże zawieszzone na jaskrawobłękitnym niebie. Zarówno im, jak i mnie doskwierał głód trudny do zniesienia; choć tutaj, na pam-pasach, było to zupełnie niemożliwe, chwilami wydawało mi się, że czuję smród gnijących ryb.

Mistrz Palaemon uczył nas, że klient może wytrzymać w celi trzy albo więcej dni bez wody, ale dla kogoś, kto pracuje w pełnym blasku słońca, czas ten będzie znacznie krótszy. Przypuszczam, że już tego pierwszego dnia umarłbym z pragnienia, gdybym jej nie znalazł, a nastąpiło to wtedy, kiedy ostatkiem sił

wlokłem za sobą bardzo już długi cień. Był to strumyk niewiele szerszy od tego, który płynął na granicy Briaha, o korycie tak głęboko werżniętym w miękką stepową ziemię, że dostrzegłem go

dopiero wtedy, kiedy prawie do niego wpadłem.

Zwinnie jak mała zsunałem się po stromym zboczu, po czym zacząłem łapczywie chleptać letnią, cuchnącą szlamem wodę, która dla

kogoś, kto pił krystalicznie czystą wodę Oceanu, z trudem zasługiwała na takie miano. Gdybyś był wtedy u mego boku, czytelniku, i zażądał, abyśmy przeszli jeszcze choć kilka łańcuchów, ani chybi pozbawiłbym cię życia. Wyszędłszy ze strumienia osunałem się na ziemię między kamieniami, niezdolny uczynić ani kroku więcej, i zasnąłem nie zdążywszy nawet dobrze zamknąć oczu.

Nie wydaje mi się jednak, żeby mój sen trwał długo. Gdzieś w pobliżu rozległo się parsknięcie dużego kota, a ja natychmiast obudziłem się, sparaliżowany strachem równie starym jak ludzkość.

Będąc małym chłopcem i śpiając we wspólnej sali z innymi uczniami często słyszałem podobne dźwięki dobiegające z Niedźwiedziej Wieży, ale wtedy zupełnie się nie bałem. Przypuszczam, iż decydującym czynnikiem jest obecność lub brak ścian. Zdawałem sobie przecież sprawę, że ściany otaczają nie tylko mnie, ale również krwiożercze smilodony i atroxy, oddzielając nas od siebie równie dobrze jak górskie przepaści albo wielomilowej szerokości morze; teraz ścian nie było, ja zaś począłem zbierać kamienie - wmawiałem sobie, że po to, by w razie potrzeby użyć ich jako pocisków, lecz w rzeczywistości zapewne przyświecała mi zupełnie bezsensowna myśl, żeby spróbować ułożyć z nich coś w rodzaju muru i pod jego osłoną doczekać świtu.

Przedziwna sprawa: płynąc bez wysiłku przez wiele wacht, a potem wędrując swobodnie po dnie morza uważałem się niemal za kogoś w rodzaju boga, a już na pewno za coś potężniejszego od człowieka. Teraz czułem się jak coś znacznie słabszego i podlejszego. Jednak po chwili zastanowienia muszę stwierdzić, iż w gruncie rzeczy nie ma w tym nic dziwnego: przecież znalazłem się w odległej przeszłości, bliskiej początkom człowieka, gdzie Stare Słońce nie utraciło jeszcze nic ze swego blasku.

Wreszcie wstał świt. Poprzedniego dnia byłem przez cały czas wystawiony na działanie palących promieni, w związku z czym skóra na twarzy i ramionach piekła mnie teraz żywym ogniem. Obecnie wędrowałem częściowo zacienioną doliną strumienia, dzięki czemu natrafiłem na resztki pekari, zabitego u wodopoju przez jakiegoś drapieżnika me dalej niż minionej nocy. Przeżułem kawałek surowego mięsa, połknąłem, po czym splukałem jego smak kilkoma łykami mętnej wody.

Około non ujrzałem pierwsze ślady działalności człowieka. Wąwóz miał tu około jedenastu łokci głębokości, lecz autochtoni spiętrzyli wodę za pomocą kilku zbudowanych z kamieni tam, tworzących coś w rodzaju wysokich stopni. Na najwyższym stopniu ustawiono koło ze skórzanymi bukłakami na obwodzie; obracali je dwaj krępi mężczyźni o ceglastej skórze, pomrukując z zadowoleniem za każdym razem, kiedy zawartość kolejnego bukłaka trafiała do wyżłobionego w glinie kanału.

Wołali coś do mnie w nie znanym mi języku, ale nie próbowali zatrzymać. Pomachałem im ręką i ruszyłem dalej, nieco zdziwiony tym, że nawadniają swoje pola, ponieważ byłem prawie pewien, iż wśród konstelacji, które zabłysły nocą na niebie, dostrzegłem także te, które pojawiają się wyłącznie zimową porą.

Minąłem jeszcze kilka identycznych kół, zanim wreszcie dotarłem do miasta, gdzie znajdowały się kamienne schody prowadzące do samej wody. Było na nich tłoczno od kobiet, piorących w strumieniu bieliznę, napełniających dzbany, a przede wszystkim plotkujących zawzięcie. Na mój widok umilkły i wybałuszyły oczy, ja zaś wyciągnąłem przed siebie ręce, aby pokazać im, że jestem nie uzbrojony i że z mojej strony nie grozi im żadne niebezpieczeństwo, choć przypuszczam, iż moja nagość nie pozostawiała co do tego najmniejszych wątpliwości.

Poszeptały coś między sobą i znowu umilkły. Dotknąłem palcem ust i poruszyłem nimi kilka razy na znak, że jestem głodny, a wtedy szczupła kobieta, nieco wyższa od pozostałych, dała mi kawałek starego zgrzebnego płótna, bym obwiązał się nim w pasie. Kobiety są zawsze takie same, bez względu na czas i miejsce.

Te miały nieduże oczy, wąskie usta oraz trochę spłaszczone twarze, tak samo jak mężczyźni, których spotkałem nieco wcześniej. Dopiero po miesiącu, a może nawet jeszcze później, zrozumiałem, dlaczego wydają mi się całkowicie odmienni od autochtonów, których widywałem w Saltus, Thraksie oraz wielu innych miejscach: otóż w przeciwieństwie do tamtych zachowywali się z godnością i tylko w ostateczności uciekali się do przemocy.

W tym miejscu wąwóz był dość szeroki i promienie słońca docierały nawet na jego dno.

Zorientowawszy się, że kobiety nie mają zamiaru dać mi niczego do jedzenia, wspiałem się po schodach i usiadłem na

ziemi w cieniu jednego z domów. Kusi mnie, by zrelacjonować w tym miejscu wiele myśli i pomysłów, jakie przyszły mi do głowy znacznie później, w trakcie pobytu w kamiennym mieście, ale prawda przedstawia się w ten sposób, że akurat wtedy o niczym nie myślałem. Byłem bardzo zmęczony i bardzo głodny, a w dodatku nieco obolały. Cieszyłem się, że znalazłem trochę cienia oraz że nie muszę nigdzie iść, i to wszystko.

Nieco później wysoka kobieta przyniosła podpłomyk i dzban z wodą, postawiła je na ziemi jakieś trzy łokcie ode mnie, po czym szybko odeszła. Zjadłem ciasto, wypilem wodę, po czym położyłem się na ziemi tam, gdzie siedziałem, i spokojnie przespałem całą noc.

Rankiem odbyłem spacer po mieście. Wszystkie domy, zbudowane z rzecznych kamieni połączonych gliną, miały płaskie dachy składające się z wielu niezbyt grubych gałęzi pokrytych warstwą mułu i błota wymieszanego ze słomą, pustymi strąkami oraz plewami. Od jednej z kobiet dostałem takie samo ciasto jak poprzedniego dnia, tyle że większe i nieco przypalone. Mężczyźni zupełnie nie zwracali na mnie uwagi; później, kiedy poznałem zwyczaje tych ludzi, dowiedziałem się, iż czynili tak dlatego, że w swoim przekonaniu powinni być w stanie wytłumaczyć wszystko, co ich otacza, a ponieważ nie mieli najmniejszego pojęcia, kim jestem ani skąd przychodzę, postanowili udawać, że mnie nie dostrzegają.

O zmierzchu usiadłem w tym samym miejscu co minionego wieczoru, ale kiedy zjawiała się wysoka kobieta z ciastem i wodą, wziąłem ze sobą poczęstunek i poszedłem za nią aż do jej domu, który okazał się jednym z najstarszych i najmniejszych w miasteczku. Przestraszyła się, kiedy odsunąłem zasłonę wiszącą w otworze drzwiowym i wszedłem do środka, aleja usiadłem w kącie i spożyłem

wieczerzę, starając się zachowywać w taki sposób, by nie dać jej powodów do obaw. Pozwoliła mi zostać, dzięki czemu tej nocy nie zmarłem tak bardzo jak poprzedniej.

Z samego ranka przystąpiłem do naprawy domu, rozbierając fragmenty ścian grożące zawaleniem i ustawiając je na nowo. Kobieta obserwowała mnie przez chwilę, po czym poszła do miasta. Wróciła dopiero późnym popołudniem.

Nazajutrz podążyłem za nią, dzięki czemu przekonałem się, że pracuje w domu znacznie większym i lepiej utrzymanym od swojego, mieląc na żarnach kukurydze, piorąc i sprzątając. Znałem już wtedy nazwy kilku najprostszyc przedmiotów, więc starałem się pomóc jej, kiedy tylko wiedziałem, jak to zrobić.

Właścicielem domu był miejscowy szaman. Służył bogu, którego przerażający wizerunek ustawiono na wzgórzu tuż za wschodnią granicą miasta. Po kilku dniach zorientowałem się, iż szaman wypełnia swoje kapłańskie obowiązki o świcie, przed naszym pojawieniem się w jego domu, i od tej pory wstawiałem nieco wcześniej, by zgromadzić w pobliżu ołtarza opał potrzebny do rytualnego spalenia odrobiny żywności i oliwy. W najkrótszą noc w roku, przy akompaniamencie niedużyc bębnow i tupocie roztańczonych stóp, zarzynał tam dorodne pekari. Tak oto zacząłem życie wśród tych ludzi, starając się jak najbardziej do nich upodobnić.

Drewno miało dla nich ogromną wartość, na stepie bowiem rosło niewiele drzew, oni zaś zbyt ciężko musieli pracować nad utrzymaniem w dobrym stanie niewielkic poletek, żeby tolerować na nich cokolwiek poza roślinami nadającymi się do spożycia. W charakterze opału używali słomy, suchej trawy oraz pustyc straków i łupin wymieszanych z wysuszonym łąjnem. Czasem palił tym nawet szaman, kiedy nucąc pod nosem wznosił ku niebu święte naczynie, by pochwycić w nie pierwsze promienie Starego Słońca.

Co prawda, wzmocniłem ściany domu wysokiej kobiety, ale niewiele mogłem uczynić, żeby poprawić stan dachu, ponieważ belki - a raczej cienkie kije - tworzące jego konstrukcję, były częściowo spróchniałe ze starości, wiele z nich zaś zdążyło już popękać. Przez jakiś czas zastanawiałem się nad wzniesieniem kolumny, która podtrzymałaby dach od środka, ale zrezygnowałem z tego pomysłu, gdyż wówczas w domu zostałoby bardzo niewiele miejsca.

Ostatecznie zerwałem dach i zastąpiłem go kilkoma łukami wzniesionymi z rzecznych kamieni, przecinającymi się dokładnie nad środkiem budowli, takimi jakie widziałem w pasterskiej chacie, gdzie spędziłem kiedyś noc. Każdy łuk wzmocniłem kijami i gałęziami odzyskanymi ze starego dachu, ściany zaś podparłem od zewnątrz kamiennymi przyporami. Przez okres trwania prac budowlanych oboje musieliśmy spać pod gołym niebem, ale kobieta nie protestowała; kiedy zaś wreszcie uporałem się z zadaniem i pokryłem nową, solidną konstrukcję warstwą trawy i gliny, jej skromny do tej pory dom stał się najbardziej okazały w całym miasteczku.

Początkowo, kiedy zdejmowałem stary dach, nikt nie zwracał na mnie uwagi, później jednak, gdy zacząłem wznosić kamienne łuki, mężczyźni wracający z pola często przystawali na chwilę, by się przyjrzeć, a niektórzy nawet mi pomagali. Ledwo zdążyłem zdemontować ostatni element rusztowania, gdy zjawił się szaman we własnej osobie, a wraz z nim hetman osady.

Przez pewien czas przyglądali się ze wszystkich stron nowemu dachowi, po czym zapalili pochodnie i weszli do środka, później zaś kazali mi usiąść i wypytywali o szczegóły, często pomagając sobie gestami, ponieważ wciąż jeszcze nie opanowałem dobrze ich języka.

Wyjaśniłem im, co mogłem, wszystko zaś, czego nie zdołałem wyjaśnić, zademonstrowałem za pomocą małych kamieni. Zaspokoiwszy ich ciekawość w tym względzie, musiałem następnie odpowiadać na pytania dotyczące mojej osoby; najbardziej interesowało ich, skąd przybywam i dlaczego postanowiłem wśród nich zamieszkać. Minęło tak wiele czasu od chwili, kiedy po raz ostatni rozmawiałem z kimś innym niż wysoka kobieta, że z radością skorzystałem z okazji i opowiedziałem im całą moją historię. Nie oczekiwałem, że mi uwierzą; ważne było to, że wreszcie mogłem się nią z kimś podzielić.

Kiedy w trakcie opowieści wyszedłem na zewnątrz, by wskazać im słońce, przekonałem się, że zapadł już wieczór. Wysoka kobieta siedziała przy wejściu, a czarne włosy rozwiewał jej wiatr nadlatujący znad bezkresnych pampasów. Szaman i hetman wyszli za mną, ściskając w rękach dogasające pochodnie, a wtedy dostrzegłem lęk malujący się na ich twarzach.

Zapytałem, co się stało, na co szaman uraczył mnie długą przemową, z której zrozumiałem najwyżej co dziesiąte słowo. Ledwo skończył, a w jego ślady poszedł hetman. Ich słowa wywabiły z okolicznych domów mężczyzn uzbrojonych albo w oszczepy używane do polowań, albo w siekiery i noże; jak już wspominałem, ludzie ci są tak pokojowo usposobieni, że nawet nie widzą potrzeby posiadania broni przeznaczonej specjalnie do walki z bliźnimi.

Powtórzyłem pytanie, tym razem kierując je do kobiety, ona zaś odparła z wściekłością w głosie, że szaman i hetman oznajmili

mieszkańcom, iż powiedziałem im, jakobym każdego ranka sprowadzał dzień i chodził po niebie. Ja i ona mamy teraz tu zostać, a o świcie, kiedy słońce pojawi się bez mojej pomocy, czeka nas śmierć. Zaraz potem rozszlochała się głośno. Być może po jej zapadniętych policzkach płynęły prawdziwe łzy, ale w blasku dogasających pochodni nie zdołałem tego dostrzec. Uświadomiłem sobie wtedy, że w kamiennym mieście nie zauważyłem jeszcze nikogo płaczącego, wszystko jedno, dorosłego czy dziecka. Ten suchy, rozpaczliwy szloch poruszył mnie bardziej niż wszystkie łzy, jakie widziałem w życiu.

Dość długo czekaliśmy w milczeniu na przyniesienie nowych pochodni oraz rozżarzonych węgli, które dały początek kilku małym ogniskom. Ich ciepło nie było jednak w stanie pokonać chłodu pełzającego w górę po moich nogach.

Przez pewien czas żywiłem złudną nadzieję, iż naszym strażnikom znudzi się oczekiwanie i zostawią nas samych, ale wystarczyło spojrzeć na ich twarze przypominające drewniane maski pociągnięte ceglastą farbą, aby zrozumieć, że mogliby tak przesiedzieć nawet rok, a cóż dopiero krótką letnią noc.

Ogromnie żałowałem, że nie władam biegle miejscowym językiem, bo wtedy, być może, udałoby mi się wzbudzić w nich lęk albo przynajmniej wyjaśnić, co dokładnie miałem na myśli. Właściwe słowa cisnęły mi się na język - niestety, na pewno by ich nie zrozumieli. A czy ja sam je w pełni rozumiałem?

Raczej nie.

Zdesperowany i pchany do działania tym samym impulsem, który jest odpowiedzialny za to, że piszę po raz trzeci tę samą historię, umieściwszy jej pierwszą wersję w bibliotece mistrza Ultana, drugą zaś niedługo potem cisnąwszy w międzygwiazdną przestrzeń, zacząłem gwałtownie gestykulować, opowiadając ją ponownie, lecz tym razem bez słów. Tuliłem do piersi niemowie, którym byłem, rozpaczliwie wymachiwałem ramionami próbując wyrwać się z objęć Gyoll. Po pewnym czasie wstałem, dzięki czemu mogłem odegrać pantomimę, pokazując zebrany, jak wędruję nieskończenie długimi korytarzami Domu Absolutu oraz dosiadam pędzącego galopem rumaka, który później padł przede mną w trakcie Trzeciej Bitwy o Przełęcz Orithyia.

W pewnej chwili odniosłem wrażenie, że słyszę muzykę; okazało się, iż słuch mnie nie myli, ponieważ zgromadzeni wokół nas mężczyźni zaczęli mruczeć cicho i wystukiwać dostojny rytm swymi oszczepami

oraz trzonkami siekier, a jeden z nich poszedł do swego domu i przyniósł niewielką piszczałkę. Jej przenikliwe tony otoczyły mnie zewsząd niczym rój pszczół.

Jakiś czas potem zauważyłem wśród zebranych dziwne poruszenie; tręcali się niespokojnie łokciami i wskazywali na niebo. Pomyślałem, że zapewne dostrzegli pierwsze oznaki zbliżającego się świtu i skierowałem wzrok w tym samym kierunku co oni, lecz ujrzałem tylko krzyż i jednorożca, najbardziej zimowe spośród konstelacji. Chwilę później szaman, hetman oraz wszyscy mieszkańcy miasteczka padli przede mną na twarz; najszcześniejszy z możliwych do wyobrażenia zbiegów okolicy sprawił, że Urth nagle spojrziała w twarz słońcu, a na ziemię padł mój długi, wyraźny cień.

Rozdział L

Ciemność w Domu Dnia

Wysoka kobieta i ja przeprowadziliśmy się do domu szamana. gdzie zamieszkaliśmy w najlepszym pokoju. Nie pozwolono mi już pracować, znoszono natomiast chorych i rannych, w nadziei, że ich uzdrowię. Niektórych istotnie wyleczyłem - albo tak jak Declana, albo korzystając ze sposobów, jakich uczono nas w konfraterni, byśmy w razie potrzeby mogli przedłużać życie klientom - wielu jednak umarło w moich ramionach. Przypuszczalnie mógłbym ich ożywić, ale nigdy nie próbowałem tego uczynić, mając wciąż przed oczami nieszczęsnego Zamę.

Dwa razy zaatakowali nas nomadzi. Hetman zginął już na początku pierwszej bitwy, więc stanąłem na czele jego ludzi i odegnaliśmy napastników. Wkrótce wybrano nowego hetmana, lecz wiele wskazywało na to, iż uważa się on - i jest uważany przez tych, którzy go wybrali - jedynie za kogoś w rodzaju mego pomocnika. Podczas drugiej bitwy ja poprowadziłem główne siły, on natomiast wraz z niewielkim oddziałem doborowych łuczników zaszedł nieprzyjaciół od tyłu. Urządziliśmy im taką rzeź, że od tej pory zostawili nas w spokoju.

Jakiś czas potem w miasteczku zaczęto wznosić budowlę znacznie większą i bardziej okazałą od pozostałych. Choć miała grube ściany i solidne łuki, obawiałem się, że może zawalić się pod

ciężarem dachu z gliny i słomy, w związku z czym nauczyłem kobiety wypalać gliniane dachówki, znacznie lżejsze i nieporównanie bardziej praktyczne. Kiedy budynek został ukończony, a dachówki ułożone, rozpoznałem dach, na którym umarła Jolenta i zrozumiałem, że zostanę pod nim pochowany.

Choć zapewne wyda ci się to co najmniej dziwne, mój czytelniku, aż do tej pory rzadko myślałem o ostatnim spotkaniu z wodnicą oraz o kierunkach, które mi wskazała, znacznie chętniej wracając pamięcią

na Urth Starego Słońca, taką, jaką była za czasów mego dzieciństwa lub wtedy, gdy panowałem jako Autarcha. Teraz jednak sięgnąłem do świeższych wspomnień, bo choć wywoływały we mnie lęk, to jednak stwierdziłem, że znacznie bardziej boję się śmierci.

Kiedy siedziałem na skalnym cyplu wyrastającym ze zbocza Góry Typhona i obserwowałem zbliżających się żołnierzy, ujrzałem łąkę rozciągającą się za granicą Briaha - tak wyraźnie, jak obecnie widziałem co dnia pola obsiane kukurydzą. Kiedy jednak stałem się Nowym Słońcem i dysponowałem siłą młodej, potężnej gwiazdy, nie wiedzieć czemu odniosłem wrażenie, iż nigdy nie zdołam tam dotrzeć.

Teraz nie byłem już Nowym Słońcem, stare zaś miało przed sobą jeszcze długi okres panowania. Raz czy dwa, tuż przed zaśnięciem, wydawało mi się, że w naszym pokoju otwiera się wejście do korytarzy czasu; natychmiast zrywałem się do biegu i budziłem się, by stwierdzić, że zewsząd otaczają mnie kamienne ściany.

Pewnego dnia zszedłem na dno wąwozu i ruszyłem z powrotem drogą, którą jakiś czas temu przebyłem. Dotarłem do resztek żaloznego murku, który usiłowałem wznieść, przerażony parskaniem drapieżnego kota, i nawet pokonałem jeszcze mile albo dwie, ale w końcu wróciłem do miasta, zaledwie dzień po tym, jak je opuściłem.

Kiedy wreszcie zupełnie straciłem rachubę czasu, kiedy miesiące wydawały mi się długie jak lata, lata zaś umykały jak dni, uświadomiłem sobie, że jeśli nie zdołam odnaleźć wejścia do korytarzy czasu (a wszystko wskazywało na to, że nie zdołam), to przynajmniej powinienem spróbować odszukać Juturnę, a żeby to uczynić, muszę wrócić nad brzeg morza.

O świcie następnego dnia zawiązałem w kawałek płótna kilka podpłomyków oraz nieco suszonego mięsa i opuściłem kamienne miasto kierując się prosto na zachód. Z trudem poruszałem zeszywniałymi nogami, a kiedy po siedmiu albo ośmiu wachtach nieprzerwanego marszu potknąłem się i skręciłem nogę w kolanie, poczułem, że stałem się na powrót tym samym Severianem, który kiedyś wszedł na pokład statku Tzadkiel. Podobnie jak on nie zawróciłem z drogi, lecz parłem naprzód, nie zważając na przeciwności. Dawno już przywykłem do palących promieni Starego Słońca, a akurat o tej porze roku nie były one zbyt dokuczliwe.

Wieczorem dogonił mnie młody hetman w towarzystwie kilku ludzi.

Chwycili mnie za ramiona i usiłowali zmusić do powrotu, ale ja powiedziałem im, że zmierzam nad Ocean i mam nadzieję pozostać tam na zawsze.

Usiadłem raptownie i rozejrzałem się dokoła, ale nic nie zobaczyłem. Przez chwilę byłem niemal pewien, że straciłem wzrok, ale potem zjawił się Osipago otoczony błękitną poświatą.

- Jesteśmy tutaj, Severianie - powiedział.

Pamiętając o tym, że jest tylko mechanizmem, a mimo to panem Barbatusa i Famulimusa, odparłem:

□ Wraz ze światłem pojawi się bóg z maszyny... Tak powiedział

mistrz Malrubius, kiedy po mnie przyszedł.

□ A więc odzyskałeś przytomność - zadzwieczał w mroku przy

jemny dla ucha baryton Barbatusa. - Co pamiętasz?

- Wszystko. Zawsze wszystko pamiętam.

W powietrzu unosił się fetor gnijących ryb.

- Właśnie dlatego zostałeś wybrany, Severianie - zaśpiewał Famulimus. - Tylko ty jeden spośród mnóstwa szlachejnych książąt.

Tylko ty mogłeś uchronić swoją rasę przed pogrążeniem się w otchłani wiecznego zapomnienia.

- I tylko ja mogłem potem zostawić ją na lasce losu - dodałem.

Nikt mi nie odpowiedział.

- Wiele nad tym myślałem - odezwałem się ponownie. - Spró

bowalbym wrócić znacznie wcześniej, gdybym tylko wiedział jak.

Głos Osipago był tak głęboki, że nie tyle słyszałem go, co raczej wyczuwałem kośćmi czaszki.

- Czy teraz już rozumiesz, dlaczego nie było to możliwe?

Skinąłem pokornie głową.

- Ponieważ wykorzystałem moc Nowego Słońca, by popłynąć

pod prąd czasu tam, gdzie Nowe Słońce jeszcze nie istniało. Kiedyś wierzyłem, że wy trzej jesteście bogami, nad sobą zaś macie jeszcze potężniejszych bogów, to znaczy hierarchów. Teraz ja sam zostałem uznany za boga. Autochtoni obawiali się, że zechcą zanurzyć się w Oceanie, zostawiając ich w objęciach wiecznej nocy. Jednak w rzeczywistości tylko Prastwórca jest Bogiem zdolnym powoływać do życia rze czywistość oraz gasić ją jednym dmuchnięciem. My wszyscy, nie wy-

łączając Tzadkiel, potrafimy jedynie manipulować tym, co on stworzy. - Nigdy nie byłem najmocniejszy w wymyślaniu porównań, lecz tym razem czułem, że muszę się jakimś posłużyć. -

Byłem jak armia, która cofnęła się tak daleko, że straciła łączność z dowództwem i przestała otrzymywać zaopatrzenie. - Właściwie powinienem na tym zakończyć, ale nie zdołałem powstrzymać słów cisnących mi się na usta: - Armia, która poniosła klęskę.

□ Podczas wojny pokonani zostają tylko ci, Severianie, którzy złożą broń otrzymawszy rozkaz, żeby się poddać. Dopóki walczą, mogą zginąć, lecz wtedy w żadnym przypadku nie można tego nazwać przegraną.

□ Poza tym, kto wie, czy właśnie tak nie było lepiej? - zauważył

Barbatus. - Jesteśmy przecież tylko narzędziami w Jego rękach.

- Wiem też coś jeszcze - ciągnąłem. - Coś, co pojąłem właściwie dopiero w tej chwili: dlaczego mistrz Malrubius mówił mi o lojalności wobec Boskiej Istoty oraz wobec osoby władcy. Otóż chciał mi przez to dać do zrozumienia, że powinniśmy z ufnością przyjmować taki los, jaki nam zgotowano. To wy go przysłaście, rzecz jasna.

□ Owszem, ale wyraził tę prawdę własnymi słowami. Byłoby dobrze, gdybyś z tego także zdawał sobie sprawę. Podobnie jak hierogramaci potrafimy powoływać do życia ludzi czerpiąc ze wspomnień tych, którzy ich pamiętają, i tak samo jak oni nigdy nie fałszujemy ich osobowości.

□ Wciąż jednak jest wiele spraw, których nie rozumiem. Kiedy spotkaliśmy się na statku Tzadkiel, widzieliście mnie po raz pierwszy i na tej podstawie domyśliłem się, iż jest to nasze ostatnie spotkanie.

Teraz rozmawiamy ponownie. Jak to możliwe?

□ Trudno wyobrazić sobie nasze zdumienie, Severianie, kiedy

ujrzeliśmy cię tu, niemal u zarania dziejów ludzkości- zaśpiewał

Famulimus. - Podążyliśmy tak daleko wstecz ścieżką czasu, że w świecie, z którego przybyłeś, zdążyło minąć wiele stuleci.

- A więc jednak wiedzieliście, że tu będę?

-

Owszem, ponieważ ja sam nam o tym powiedziałem - odparł

Barbatus, wyłaniając się z cienia. - Czyżbyś zapomniał, że byliśmy twymi doradcami?

Opowiedziałeś nam, jak zginął człowiek o imieniu Hildegrin, więc obserwowaliśmy to miejsce, czekając, aż się zjawi.

-

Ja także na was czekałem. Tak długo, że aż umarłem. Auto

chtoni... To znaczy, ci ludzie...

Umilkłem, lecz nikt nie kwapił się, by coś powiedzieć. Wreszcie przemówiłem ponownie:

- Osipago, czy mógłbyś oświetlić miejsce, w którym niedawno stał Barbatus?

Maszyna skierowała czujniki na Barbatusa, lecz nie wykonała żadnego ruchu.

- Chyba będziesz musiał nim pokierować, Barbatusie - zanucił

Famulimus. - Wydaje mi się jednak, że najpierw powinniśmy za

spokoić ciekawość Severiana. Jak możemy od niego wymagać, by

niósł tak wielki ciężar, jeśli nie traktujemy go jak mężczyznę?

Barbatus skinął głową; na ten znak Osipago przesunął się w pobliże miejsca, gdzie zaraz po odzyskaniu przytomności zobaczyłem Barbatusa. Teraz ujrzałem tam widok, który spodziewałem się ujrzeć i którego się obawiałem: zwłoki człowieka zwanego przez autochtonów Głową Dnia. Na przedramionach miał złote bransolety wysadzone pomarańczowymi hiacyntami i zielonymi szmaragdami.

- Chcę wiedzieć, jak tego dokonaliście.

Barbatus w milczeniu pogłodził się po brodzie.

- Przecież wiesz, kto uczył cię na brzegu niespokojnego morza i walczył o ciebie, kiedy ważyły się losy Urth - zaśpiewał cicho Famulimus.

Wytrzeszczyłem na niego oczy. Twarz miał jak zwykle piękną i nieludzką, lecz tym razem nie przypominała nieruchomej maski, gdyż pojawił się na niej wyraz całkowitej obojętności.

-

A więc jestem eidolonem? Duchem?

Spojrzałem na swoje ręce w nadziei, że ich widok podniesie mnie na duchu; trzęsły się tak bardzo, iż musiałem z całej siły przycisnąć je do ud. - Ci, których nazywasz eidolonami, to wcale nie duchy, lecz istoty utrzymujące się przy życiu dzięki energii czerpanej z zewnętrznego źródła - wyjaśnił Barbatus. - Z

kolei to, co nazywasz materią, jest w rzeczywistości związaną energią, trwającą w tej postaci dzięki sobie samej.

Nigdy w życiu nie pragnąłem zapłakać tak bardzo jak właśnie w tej chwili.

- Rzeczywistość? Czy w ogóle istnieje coś takiego?

Gdybym się rozplakał, osiągnąłbym nirwanę, ale twarda szkoła zrobiła swoje i nie uroniłem ani jednej łzy. Przez głowę przemknęła mi zwariowana myśl, czy eidolony w ogóle potrafią płakać.

Tworzysz ją, Severianie, mówiąc o tym, co ci się nią wydaje.

Przed chwilą mówiliśmy o tym, który potrafi stworzyć ją w milczeniu.

Prości ludzie zwa go Bogiem, natomiast ty, jako człowiek wykształcony, nazywasz go Prastwórcą. Każdy z was nigdy nie był niczym więcej niż jego eidolonem.

A kto teraz utrzymuje mnie przy życiu? Osipago? Jeśli tak, to nie musisz się już trudzić, przyjacielu.

Nie wykonuję twoich poleceń, Severianie - zadudnił mecha

nizm. - Przekonałeś się o tym już dawno temu.

Przypuszczam, że nawet gdybym odebrał sobie życie, Osipago znalazłby sposób, aby mnie wskrzesić?

Barbatus pokręcił głową: w sposobie, w jaki to uczynił, było coś nieludzkiego.

- Po co? Przecież zaraz potem znowu byś je sobie odebrał. Jeśli naprawdę pragniesz umrzeć, bardzo proszę, rób, co chcesz. W tym miejscu od dawna składa się rytualne ofiary, więc Osipago może przynieść ci jeden z porzuconych kamiennych noży.

Niedawno sam sobie wydawałem się zaledwie snem, ale teraz sięgnąłem do wspomnień i znalazłem tam Valerię, Theclę, starego Autar-chę, a nawet małego Severiana.

- Nie - odparłem. - Będziemy żyć.

- Tak myślałem - powiedział z uśmiechem Barbatus. - Znamy cię od dawna, Severianie - może nie uwierzysz, ale minęła już połowa naszego życia - i wiemy, że jesteś jak chwast, który rośnie tym lepiej, im częściej i mocniej jest deptany.

Osipago wydał odgłos przypominający chrząknięcie.

- Jeśli chcecie jeszcze rozmawiać, przeniosę nas do bardziej od powiedniego czasu. Niebawem będę musiał podłączyć się do stosu naszego statku.

Famulimus potrząsnął pięknie ukształtowaną głową, Barbatus zaś spojrzał na mnie pytająco.

- Szczerze mówiąc, wolałbym zostać tutaj - powiedziałem. -

Barbatusie, będąc na statku wpadłem do głębokiego szybu. Co prawda spadałem bardzo powoli, ale ze względu na ogromną wysokość odniosłem poważne obrażenia. Nie umarłem chyba tylko dlatego, że zaopiekowała się mną sama Tzadkiel.

Umilkłem, starając się przywołać z pamięci wszystkie szczegóły.

□ Mów dalej - ponaglił mnie Barbatus. - Nie wiemy, co chcesz nam powiedzieć.

□ Znalazłem tam martwego człowieka o policzku naznaczonym

taką samą blizną jak ta, która oszpeciła moją twarz. Wiele lat wcześniej został także zraniony w nogę. Leżał na dnie szybu, ukryty między dwiema nieczynnymi maszynami...

- Jednak w taki sposób, żebyś nie zdołał go ominąć, prawda? - zapytał Famulimus.

□ Całkiem możliwe. Wiedziałem, że to sprawka Zaka, a Zak był

Tzadkiel, albo przynajmniej jej częścią, choć wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy.

□ Za to zdajesz sobie teraz. Pospiesz się, Severianie. Pora wygłosić mowę.

Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć, więc dodałem niepewnym tonem:

- Trup miał pokiereszowaną twarz, lecz mimo to był bardzo podobny do mnie. Pomyślałem sobie jednak, że nie mogłem... że nie mogę tu umrzeć, ponieważ byłem pewien, iż zostanę pochowany w grobowcu w naszej nekropolii. Opowiadałem wam o nim, prawda?

- Wiele razy - zadudnił Osipago.

- Odlany z brązu wizerunek jest bardzo podobny do mnie. Poza tym, istnieje przecież Apu-Punchau. Kiedy pojawił się... Cumaeana także była hierodulą, jak wy. Dowiedziałem się tego od ojca Inire.

Famulimus i Barbatus skinęli głowami.

- A więc, kiedy ujrzałem Apu-Punchau, natychmiast zrozumiałem, że widzę samego siebie, choć wówczas jeszcze nie miałem pojęcia, jak to możliwe.

-

Ani my, kiedy opowiedziałeś nam o tym zdarzeniu - przyznał

Barbatus. - Dopiero teraz wszystko się wyjaśniło.

-

Więc oświeć i mnie!

Wskazał nieruchome ciało.

- Oto Apu-Punchau.

-

Oczywiście. Wiem o tym już od dawna. Przecież autochtoni

nazwali mnie tym imieniem i wzniesli ten budynek. Miała to być Świątynia Dnia, Świątynia Starego Słońca. Jestem więc nie tylko Se-verianem, lecz także Apu-Punchau, Głową Dnia. W jaki sposób moje ciało powstanie z martwych? A przede wszystkim, jak to możliwe, żebym tu umarł? Przecież Cumaeana powiedziała, że to był jego dom, nie grobowiec.

Mówiąc te słowa niemal ujrzałem przed sobą starą, pomarszczoną kobietę z mądrym wędrem.

□ Powiedziała ci również, że nie zna zbyt dobrze tych czasów -

przypomni mi Famulimus.

□ Istotnie.

□ Jak może umrzeć gorące słońce, które co dnia pojawia się na niebie? Jak możesz umrzeć ty, który jesteś tym słońcem? Bardzo prosto: twoi ludzie przynieśli cię tu z oznakami największej czci i śpiewem na ustach, po czym wyszli i zamurowali drzwi, żebyś żył wiecznie.

□ Wiemy, że kiedyś sprowadzisz Nowe Słońce - odezwał się

Barbatus. - Mijaliśmy ten czas, podobnie jak wiele innych, spiesząc na spotkanie w zamku olbrzyma; sądziliśmy, że będzie ono ostatnim, ale jak się okazuje, nie mieliśmy racji. Czy wiesz jednak, kiedy narodziła się gwiazda, którą ściągnąłeś do tego systemu planetarnego, aby uleczyła starą?

- Wylądowałem na Urth za panowania Typhona, kiedy rzeźbiono pierwszą górę. Przedtem byłem na statku Tzadkiel.

- Który niekiedy pędzi szybciej od pchającego go wiatru - mruknął Barbatus. - A więc nic nie wiesz.

- Jeśli pragniesz naszej rady, opowiedz nam o wszystkim, co cię spotkało zarówno tam, jak i tutaj -

zaśpiewał Famulimus. - Poruszając się po omacku, z pewnością nie wywiążemy się dobrze z roli przewodników.

Zdałem im szczegółową relację z wydarzeń, w jakich uczestniczyłem, poczynając od zabójstwa stewarda przed drzwiami mojej kajuty, kończąc na odzyskaniu przytomności w domu Apu-Punchau. Jak dobrze wiesz, czytelniku, nigdy nie posiadałem umiejętności odróżniania istotnych szczegółów od tych mało ważnych; częściowo odpowiedzialne za taki stan rzeczy jest zapewne towarzyszące mi od dawna przekonanie, że każdy detal może okazać się istotny. Ponieważ znacznie łatwiej jest poruszać językiem niż piórem, moja ustna opowieść była znacznie bardziej szczegółowa od tej, którą teraz masz przed oczami.

Wciąż jeszcze mówiłem, kiedy przez szczelinę między kamieniami do wnętrza budowli przedostał

się promień słońca. Dzięki temu dowiedziałem się, że odzyskałem przytomność nocą i że już zaczął się nowy dzień.

Dopiero zacząłem zbliżać się do końca opowieści, kiedy z zewnątrz dobiegło skrzywienie garncarskich kół oraz przekomarzania kobiet podążających ku rzece, która kiedyś miała wyschnąć, skazując miasto na zagładę.

Wreszcie powiedziałem:

- Tyle ode mnie; teraz wasza kolej. Czy bogatsi o te informacje będziecie w stanie wyjaśnić mi tajemnicę Apu-Punchau?

Barbatus skinął głową.

Myślę, że tak. Wiesz już zapewne, że kiedy statek mknie między słońcami, wachty i dni upływające na pokładzie mogą równać się latom i stuleciom na Urth?

Owszem, a dzieje się tak, ponieważ upływ czasu mierzymy

porównując go do prędkości światła.

Twoja gwiazda, biała fontanna, narodziła się na długo przed panowaniem Typhona - przypuszczam, że z punktu widzenia tych

ludzi jest to niezbyt odległa przyszłość.

Odniosłem wrażenie, że na twarzy Famulimusa pojawiło się coś jakby cień uśmiechu - a może istotnie był to uśmiech?

- Nawet na pewno, Barbatusie, bo przecież Severian przybył tu właśnie dzięki mocy tej gwiazdy - zanucił. - Pędząc na szczycie fali czasu, dociera tam, dokąd go zaniecie, po czym musi tam zostać, ponieważ nie ma możliwości powrotu.

Nawet jeśli ta uwaga zbiła Barbatusa z tropu, to nie dał niczego po sobie poznać.

- Możliwe, że twoja moc powróci, kiedy do Urth dotrze blask nowej gwiazdy. Jeśli tak się stanie, wówczas Apu-Punchau przebudzi się ze snu, naturalnie pod warunkiem, że zechce opuścić miejsce, w którym się znalazł.

- Obudzi się do życia, żeby zginąć? - wyszeptalem. - To ok ropne!

Famulimus był odmiennego zdania,

-

Raczej cudowne, Severianie. Obudzi się ze śmierci, aby pomóc

ludziom, którzy go kochali.

Zastanowiłem się nad tym głęboko, a oni stali bez ruchu, cierpliwie czekając na rezultat moich rozmyślań.

Może śmierć tylko dlatego wydaje nam się taka przerażająca, że stanowi wyraźną granicę między cudami a okropieństwami życia? - odezwałem się wreszcie. - Po przekroczeniu tej granicy zapominamy o wszystkim co piękne, widzimy natomiast tylko to co straszne...

Ufamy, że tak właśnie mają się sprawy, Severianie - zadudnił

Osipago.

Skoro jednak Apu-Punchau jest mną, a ja jestem nim, to do

kogo należało ciało, które znalazłem na statku Tzadkiel?

Famulimus udzielił mi odpowiedzi głosem tak cichym, że jego śpiew przypominał szeptaną kołysankę.

- Tego człowieka urodziła twoja matka - tak przynajmniej wynika ze wszystkiego, co zostało powiedziane do tej pory. Zapłakałbym nad jej nieszczęściem, gdybym potrafił płakać, ale nie nad tobą. Potężna Tzadkiel zrobiła wtedy to samo, co my czynimy teraz: sięgnęła w głąb twego martwego umysłu i uczyniła cię na nowo takim, jakim byłeś.

Czy chcesz przez to powiedzieć, że stając przed sędziowskim fotelem Tzadkiel na Yesodzie byłem już eidolonem, którego sama stworzyła?

"Stworzyła" nie jest właściwym określeniem - wymamrotał

Osipago. - Właściwszym byłoby chyba "urealniła".

Nic nie rozumiejąc spojrzałem błagalnie na Famulimusa.

Stanowiłeś myśl zatrzymaną w swoim martwym umyśle. Ona

przyoblekła tę myśl w ciało i pomogła zaleczyć się śmiertelnej ranie, którą ci zadano.

Krótko mówiąc stałem się ruchomą, mówiącą kopią samego

siebie. - Choć wypowiedziałem te słowa, wolałem nie zastanawiać się nad ich znaczeniem. - Upadek zabił mnie tak samo, jak zabili mnie ludzie z kamiennego miasta.

Schyliłem się, by dokładniej obejrzeć zwłoki Apu-Punchau.

Odnoszę wrażenie, że tutaj zostałeś po prostu uduszony -

bąknął Barbatus.

□ Dlaczego Tzadkiel zwyczajnie mnie nie wskrzesiła, tak jak ja wskrzesiłem Zameę? Dlaczego nie uzdrowiła mnie, tak jak uzdrowiłem Herenę? Dlaczego musiałem umrzeć?

Chyba nic jeszcze nie zdumiało mnie i przestraszyło tak bardzo jak to, co wydarzyło się zaraz potem: otóż Famulimus przyklęknął i ucałował ziemię przed moimi stopami.

-

Na jakiej podstawie przypuszczasz, że Tzadkiel dysponuje taką mocą? - zapytał Barbatus. - Famulimus, Osipago i ja w porównaniu z nią jesteśmy nikim, ale nie zaliczamy się w poczet jej niewolników, i choć bez wątplenia jest potężna, to przecież nie przewodzi swojej rasie ani nie została jej zbawicielem.

Powinienem chyba poczuć się dowartościowany, ale zamiast tego ogarnęło mnie trudne do opisania zakłopotanie. Dałem znak Famuli-musowi, żeby wstał z kolan, po czym wykrztusiłem:

- Przecież... Przecież wy możecie wędrować korytarzami czasu!

Famulimus wyprostował się, natomiast dla odmiany na kolana padł Barbatus.

□ Ale tylko na niewielkie odległości, Severianie - zanucił Famulimus. - I wyłącznie wstecz. Wskazówki naszych zegarów poruszają się w przeciwną stronę.

□ Gdybyśmy zastosowali się do życzenia Osipago i pozwolili mu przenieść nas w lepsze miejsce, jednocześnie cofnęlibyśmy się w przeszłość, a to nie byłoby dla ciebie dobre rozwiązanie.

□ Chce zapytać was jeszcze tylko o jedno, zacni hierodule, zanim zwrócicie mnie memu czasowi. Kiedy rozmawiałem z mistrzem Malrubiusem nad brzegiem morza, rozwiął się w srebrzysty pył, a jednak...

Umilkłem, niezdolny powiedzieć ani słowa więcej, lecz moje oczy skierowały się ku zwłokom Apu-Punchau.

Barbatus skinął głową.

- Tamten eidolon, jak ich nazywasz, istniał przez bardzo krótki czas. Nie wiem, z jak wielkich zasobów energii korzystała Tzadkiel, żeby umożliwić ci egzystencję na statku; możliwe, że ty sam czerpałeś ją z każdego źródła, jakie akurat znalazło się w pobliżu, podobnie jak wykorzystałeś energię statku próbując wskrzesić stewarda. Jednak nawet jeśli przybywając tutaj oddaliłeś się od tych źródeł, to przecież istniał bardzo długo: na statku, na Yesodzie, znowu na statku, w szalupie, w czasach Typhona, i tak dalej. Przez cały czas oddychałeś, jadłeś i piłeś, wchłaniając materię i wykorzystując ją dla zaspokojenia potrzeb swego ciała, które także w końcu stało się materialne.

- Co nie zmienia faktu, że nie żyję, i to nawet nie tutaj, ale tam, w przyszłości, na statku Tzadkiel.

- Na statku Tzadkiel zostało martwe ciało twego bliźniaka -

odparł Barbatus. - Można chyba powiedzieć, że gdyby on nie zginął, nie zdołalibyśmy dokonać tego, czego dokonaliśmy, ponieważ każda żywa istota składa się z czegoś więcej niż tylko z materii.

Umilkł

na chwilę i spojrzał błagalnie na Famulimusa, lecz nie otrzymał od niego pomocy. - Co wiesz o duszy, Severianie?

Przypomniałem sobie słowa Avy: "Jesteś materialistą, jak wszyscy, którym brakuje wykształcenia, ale twój materializm jest płytki i powierzchowny". Mała Ava zginęła razem z Foilą i całą resztą.

Nic - szepnąłem. - Nic nie wiem o duszy.

Jest z nią trochę tak jak w pewnym wierszu. Famulimusi, jak brzmiał fragment, który mi przypomniałeś?

Zbudź się, bo ranek w czarę wypełnioną nocą cisnął kamieniem, aż gwiazdy z krzykiem pierzchnęły...

- Tak - powiedziałem. - Teraz rozumiem.

Barbatus wyciągnął rękę.

Przypuśćmy, że napisałbym te słowa na ścianie, a potem jeszcze raz, na sąsiedniej. Które z nich byłyby prawdziwe?

Jedne i drugie - odparłem. - A zarazem żadne. Prawdziwych

słów nie sposób oddać ani mową. ani w piśmie. Nie mam pojęcia, czy i jak można to uczynić.

Tak samo jest z duszą. Była zapisana tutaj. - Wskazał martwego człowieka. - Teraz jest zapisana w tobie. Kiedy światło białej fontanny dotrze do Urth, pojawi się tam, gdzie kiedyś mieszkała, ale to nie znaczy, że opuści ciebie. Chyba że...

Umilkł, a ja czekałem na ciąg dalszy. Przerwany wątek podjął jednak nie on, lecz Osipago.

Chyba że się zanadto do niego zbliżysz. Jeśli napiszesz czyjeś imię na piasku, a potem jeszcze raz przesuniesz palcem po narysowanych wcześniej liniach, w dalszym ciągu będziesz widział przed sobą tylko jedno imię. Dwa prądy płynące przez przewodnik łączą się w jeden.

Już raz znalazłeś się zbyt blisko - zaśpiewał Famulimus. -

Stało się to właśnie tutaj, w kamiennym mieście. On wtedy zniknął, ty zaś pozostałeś. Czyżbyś nie zastanawiał się, dlaczego nasze eidolony

— zawsze stanowią odbicie martwych ludzi? Pamiętaj, że cię ostrzegaliśmy.

Barbatus skinął głową.

□ Jeśli jednak chodzi o twój powrót w przyszłość, to niestety nie możemy ci pomóc. Zielony człowiek wiedział na ten temat znacznie więcej od nas, albo może dysponował bardziej wydajnymi źródłami energii. Zostawimy ci żywność, wodę i światło, ale będziesz musiał

zaczekać na nadejście białej fontanny. Tak jak powiedział Famulimus, to nie powinno trwać długo.

□ Nie niszczyć tego ciała, Severianie! - dobiegł mnie śpiewny szept, Spojrzałem na Famulimusa i przekonałem się, że rozwiewa się niczym mgła. - Nie czyń tego, choćbyś odczuwał nie wiadomo jak wielką pokusę. Pamiętaj, że cię ostrzegaliśmy!

Barbatus i Osipago znikli w czasie, kiedy obserwowałem Famulimusa. Delikatny śpiew umilkł i dom Apu-Punchau wypełniła cisza, w której słychać było tylko jego słaby oddech.

Rozdział LI

Urth Nowego Słońca

Do końca dnia siedziałem w ciemności, przeklinając swoją głupotę. Wiedziałem już, że niebawem biała fontanna zabłyśnie na nocnym niebie, ponieważ tak wynikało z tego, co mówili hierodule, ja jednak pojąłem to dopiero wtedy, kiedy oni odeszli.

Co najmniej sto razy wracałem pamięcią do owej deszczowej nocy, kiedy zeskokczyłem z dachu budowli, w której teraz się znajdowałem, i pospieszyłem z pomocą Hildegrinowi. Jak bardzo zbliżyłem się do Apu-Punchau, zanim nastąpiło połączenie? Na pięć łokci? Trzy? Nic dziwnego, że Famulimus uprzedził mnie, bym nie próbował zniszczyć zwłok; gdybym zbliżył się do nich, znowu byśmy się połączyli, ale tym razem on, który zdążył głębiej zapuścić korzenie w rzeczywistość, zapanowałby nade mną, tak jak ja zapanowałem nad nim w niewyobrażalnie odległej przyszłości, gdy dotarłem tu w towarzystwie Dorcas i Jolenty.

Nie wszystko jednak było zupełnie jasne. Jeśli pożądałem tajemnic (choć zapewniam cię, czytelniku, że pragnąłem trzymać się od nich z daleka), to miałem ich dokoła pod dostatkiem. Biała fontanna już oznajmiła jaskrawym blaskiem o swym przybyciu, bo bez niej nie zdołałbym tu dotrzeć ani nie udałoby mi się nikogo uzdrowić. Jeśli tak, to dlaczego nie mogłem zapuścić się w korytarze czasu, jak uczyniłem na zboczu Góry Typhona? Nasuwały mi się dwa wyjaśnienia, oba jednakowo prawdopodobne.

Według pierwszego, na Górze Typhona otrzymałem dodatkowy bodziec w postaci strachu.

Wiadomo przecież, że strach dodaje sił, ja zaś ujrzałem żołnierzy Typhona wspinających się na skalny cypel najpewniej po to, by mnie zabić. Teraz jednak mechanizm ten powinien zadziałać ponownie, bo bałem się co najmniej tak samo - przecież Apu-Punchau mógł lada chwila wstać z ziemi i ruszyć w moją stronę.

Drugie wyjaśnienie brzmiało następująco: moc, którą czerpałem z białej fontanny, zmniejszała się

wraz ze wzrostem odległości, podobnie jak zmniejsza się intensywność świecenia. W czasach Apu-Punchau moja gwiazda znajdowała się znacznie bliżej Urth niż obecnie.

Gdyby tak było w istocie, jeden dzień nie stanowiłby żadnej różnicy, na więcej zaś nie miałem co liczyć.

Powinienem stąd czym prędzej uciec i poczekać w innym miejscu.

Był to najdłuższy dzień mego życia. Gdybym po prostu oczekiwał nadejścia zmroku, mógłbym wrócić myślami do minionych wydarzeń: do cudownego wieczoru, kiedy z opuszczoną głową i twarzą zasłoniętą kapturem szedłem Wodną Drogą, do opowieści snutych w lazarecie Peleryn albo do krótkich wakacji nad morzem, które urządziliśmy sobie kiedyś z Valerią. Ze względu na okoliczności nie odważyłem się jednak tego uczynić, a jeśli nawet moja czujność słabła na chwilę, to przed oczami natychmiast pojawiały mi się najstraszliwsze sceny i obrazy. Ponownie przeżywałem uwięzienie w zigguracie Vodalisa, rok spędzony wśród Ascian, ucieczkę przed białymi wilkami w Domu Absolutu oraz tysiące innych, niemiłych zdarzeń, aż wreszcie zacząłem podejrzewać, iż dzieje się to za sprawą demona, który próbuje mnie nakłonić, bym złożył swoje nędzne życie w ofierze Apu-Punchau, i że tym demonem jestem ja sam.

Dobiegające z zewnątrz odgłosy stawały się coraz cichsze. Światło, do tej pory sączące się przez szczeliny w ścianie obok mnie, teraz przeciskało się między kamieniami w ścianie za ołtarzem, na którym leżał Apu-Punchau. Wyglądało to tak, jakby ktoś wbijał w mrok świetliste noże o nieprawdopodobnie cienkich ostrzach.

Wreszcie zapadła ciemność. Wstałem z ziemi, z trudem rozprostowałem zeszływniałe nogi i zacząłem powoli wędrować wzdłuż ściany, przesuając po niej rękami w poszukiwaniu jakiegoś słabszego punktu.

Wzniesiono ją z dużych głazów, między które uderzeniami drewnianych młotów powbijano mniejsze kamienie. Były one osadzone tak ciasno, że chyba dopiero czterdziesty albo pięćdziesiąty dał się odrobinę poruszyć. Gdyby udało mi się go wydłubać, mógłbym spróbować usunąć sąsiedni głaz i wyslizgnąć się przez otwór w ścianie.

Zadanie okazało się trudniejsze, niż przypuszczałem, ponieważ ofiarne noże o jaspisowych ostrzach, których mnóstwo leżało wokół ołtarza, pękały jak suche patyki, kiedy próbowałem nimi usunąć zaschnięte spoiwo. W pewnej chwili, ogarnięty rozpaczą, wspiałem się po ścianie jak pajak, w nadziei, że podobnie jak w wiosce czarnoksiężników, tak i tutaj droga do wolności wiedzie przez dach. Niestety, sklepienie okazało się równie solidne jak ściany, zeskoczyłem więc na ziemię i zacząłem na nowo wydrapywać glinę zakrwawionymi palcami.

Całkiem niespodziewanie, kiedy byłem już prawie pewien, że nic z tego nie będzie, kamień z łoskotem spadł na podłogę. Zamarłem w bezruchu, bojąc się odetchnąć, lecz Apu-Punchau nawet nie drgnął.

Poruszyło się natomiast coś innego: głaz usadowiony w ścianie bezpośrednio nad małym kamieniem przechylił się nieco w lewo, zaschnięta glina zaś popękała z trzaskiem przypominającym odgłos

towarzyszący kruszeniu lodu i posypała mi się pod nogi lawiną niewielkich grudek.

Cofnąłem się o krok - w samą porę, jak się niebawem okazało. Usłyszałem zgrzytanie i skrzywienie, po czym głaz runął z hukiem zaledwie pół łokcia ode mnie, w nieregularnym otworze zaś, który po sobie zostawił, pokazały się gwiazdy. Bez trudu odszukałem wśród nich tę, która była mną: maleńki punkcik światła, pozornie taki sam jak dziesiątki tysięcy innych.

Nie ulega wątpliwości, że powinienem był zaczekać, ponieważ należało liczyć się z możliwością, iż lada chwila posypią się kolejne kamienie. Ja jednak od razu dałem susa na zwalony głaz, stamtąd dostałem się do wyrwy w ścianie, potem zaś na ulicę. Jak się należało domyślać, hałas obudził wielu ludzi; usłyszałem gniewne głosy mężczyzn chwytających oszczepty i siekiery, kilka oddechów później zaś ujrzałem ich wybiegających z domów.

Niewiele mnie to obchodziło. Dokoła mnie we wszystkich kierunkach ciągnęły się korytarze czasu, falujące łąki przykryte kopułami błękitnego nieba oraz szemrzące strumienie, które płyną przez wszystkie wszechświaty, od najwspanialszych poczynając na najbardziej podłych kończąc.

Obok jednego z nich trzepotała różnobarwnymi skrzydłami maleńka Tzadkiel, wzdłuż innego biegł zielony człowiek. Ja wybrałem samotny strumień, a więc podobny do mnie, i wszedłem do niego po kolana. Za moimi plecami Apu-Punchau wyszedł ze swego domu, zmrużył oczy oślepienie blaskiem gwiazd i przykucnął w progu, by posilić się stawą pozostawioną tam przez jego wyznawców. Ja także odczuwałem głód; pomachałem mu, zaraz potem zaś odwróciłem się i ruszyłem przed siebie, by nigdy już go nie zobaczyć.

Kiedy wróciłem na planetę zwaną Ushas, znalazłem się na piaszczystej plaży - tej samej, z której wszedłem do morza w poszukiwaniu Juturny, tak blisko tego miejsca i czasu, jak to było możliwe.

Mniej więcej pięćdziesiąt łokci przede mną, po mokrym piasku szedł mężczyzna z drewnianą tacą, na której piętrzyły się świeżo upieczone, jeszcze gorące ryby. Podążyłem za nim. Niebawem dotarliśmy do częściowo zagrzebanego w piasku, płaskiego głazu, którego podstawę obmywały najdalej sięgające fale. Mężczyzna postawił tacę na kamieniu, zrobił dwa kroki wstecz i padł na kolana.

Zapytałem go w języku, którym za mego panowania posługiwano się we Wspólnocie, dla kogo przyniósł te ryby.

Spojrzał na mnie i dopiero wtedy zdziwił się, jakby zaskoczył go nie fakt, że ktoś do niego przemówił, lecz to, że uczynił to ktoś, kogo nigdy wcześniej nie widział.

Dla Śpiącego - odparł. - Dla tego, który tu śpi, cierpiąc

głód.

Kim jest ten Śpiący?

To samotny bóg. Często wyczuwam jego obecność. Śpi, ale jest głodny. Przynoszę mu ryby, aby wiedział, że jesteśmy jego przyjaciółmi, by nie pożarł nas, kiedy się obudzi.

- Czy teraz też tutaj jest?

Mężczyzna pokręcił głową.

Czasem nawet widać go w świetle księżyca, choć zawsze znika, zanim zdążymy podejść. Dzisiaj w ogóle go nie wyczuwałem.

Nie wyczuwałeś? powtórzyłem.

- Bo teraz wyczuwam. Od chwili, kiedy się zbliżyłeś.

Usiadłem na piasku i wziąłem jedną z ryb, po czym zachęciłem go gestem, aby poszedł w moje ślady. Ryba była tak gorąca, że z trudem mogłem ją utrzymać; należało się więc domyślać, że mężczyzna upiekł ją gdzieś w pobliżu. Usiadł naprzeciwko mnie, ale zaczął jeść dopiero wtedy, kiedy ponowiłem zaproszenie.

- Czy zawsze ty się tym zajmujesz?

Skinął głową.

- Każdy bóg ma kogoś. Mężczyźni służą bogom-mężczyznom, kobiety służą bogom-kobietom.

- A więc jesteście kapłanami i kapłankami.

-

Owszem.

-

Istnieje tylko jeden prawdziwy Bóg, Prastwórca - powiedzia

łem. - On uczynił wszystko i wszystkich.

Korciło mnie, aby dodać: "Nawet Tzadkiel", ale opanowałem pokusę.

- Wiem o tym - odparł, po czym odwrócił spojrzenie, jakby

bojąc się, że ujrzy wyraz niezadowolenia na mojej twarzy. - To znaczy, tak mają się sprawy z punktu widzenia bogów, bo dla nas, zwykłych ludzi, istnieją także inni, pomniejsi bogowie, którzy wydają nam się bardzo, ale to bardzo potężni. Dlatego czynimy wszystko, co w naszej mocy, aby byli z nas zadowoleni.

Uśmiechnąłem się, by pokazać mu, że się nie gniewam.

A w jaki sposób oni wam się odwdzięczają?

Istnieją czterej bogowie - odparł śpiewnym tonem. Domyśliłem się, że powtarzał te słowa wiele

razy, zapewne przy okazji różnych obrzędów, a może także ucząc dzieci. - Pierwszym i najpotężniejszym spośród nich jest Śpiący. To bóg-mężczyzna. Zawsze odczuwa głód.

Kiedys pożarł wszystkie lądy i może uczynić to ponownie, jeśli nie dostarczy mu się pożywienia. Chociaż utonął, to jednak nie może umrzeć i dlatego śpi tutaj, na plaży. Należą do niego wszystkie ryby, więc przed wyruszeniem na połów trzeba prosić go o pozwolenie.

Wszystkie srebrne ryby, które trafią do sieci, muszą wrócić do niego.

Sztormy świadczą o jego gniewie, łagodne wiatry o dobrym nastroju i łaskawości.

Stałem się Oannesem dla tych ludzi!

- Drugi bóg-mężczyzna nazywa się Odilo. Do niego należą wszystkie lądy pod powierzchnią morza. Ceni sobie naukę i dobre maniery.

Nauczył mężczyzn mówić, kobiety zaś pisać. Jest sędzią zarówno bogów, jak i ludzi, ale karze tylko tych, co zgrzeszyli przynajmniej trzy razy. Kiedys miał pod swoją opieką kielich Prastwórcy. Do niego należy czerwone wino, więc otrzymuje je od swego kapłana.

Minęło trochę czasu, zanim przypomniałem sobie, kim był Odilo. Wyglądało na to, że Dom Absolutu oraz dwór Autarchy przeistoczyły się w legendach w królestwo Prastwórcy oraz Jego najbliższe otoczenie. Na dobrą sprawę nie było w tym nic dziwnego.

- Są też dwaj bogowie-kobiety. Pega jest boginią dnia. Należy do niej wszystko, na co padają promienie słońca. Pega kocha czystość.

Nauczyła kobiety krzesać ogień, piec i tkąć. Wspomaga je w położu i odwiedza w chwili śmierci. Jest pocieszycielką. Od swojej kapłanki dostaje brązowy chleb.

Skinąłem z aprobatą głową.

□ Thais jest boginią nocy. Należy do niej wszystko, na co pada blask księżycy. Najbardziej lubi czułe szepty kochanków oraz ich miłosne uściski, oni zaś przed połączeniem muszą prosić ją o zgodę.

Jeśli tego nie uczynią, Thais rozpali płomień uczucia w sercu kogoś trzeciego i włoży mu do ręki ostry nóż. Objawia się dzieciom, aby oznajmić im, że już przestały być dziećmi. Jest uwodzicielką, od swojej kapłanki zaś dostaje złocisty miód.

□ Wygląda na to, że macie dwoje bogów dobrych i dwoje złych -

powiedziałem. - Złymi są Thais i Śpiący.

- Skądże znowu! Wszyscy bogowie są dobrzy, a szczególnie Śpiący. Bez niego wielu ludzi umarłoby z głodu. Tak, Śpiący jest naprawdę wielki! A kiedy Thais spóźnia się z przybyciem, jej miejsce zajmuje demon.

- A więc znacie i demony?

- Wszyscy znają demony.

-- Chyba masz rację.

Taca była już prawie pusta, ja zaś najadłem się do syta. Kapłan - właściwie powinienem napisać: mój kapłan - zjadł tylko jedną, najmniejszą rybkę. Wstałem, zgarnąłem resztę i wrzuciłem do morza.

- To dla Juturny - poinformowałem go. - Wiecie, kto to taki?

Zerwał się na nogi natychmiast, jak tylko zobaczył, że podnoszę się z miejsca.

- Nie...

Byłem pewien, że niewiele brakowało, a nazwałby mnie imieniem swego boga, ale w ostatniej chwili zabrakło mu odwagi.

- Wobec tego całkiem możliwe, iż uważacie ją za jednego z de monów. Przez większą część życia ja też tak myślałem. Nie można wykluczyć, że ani wy, ani ja wcale tak bardzo się nie pomyliliśmy.

Skłonił mi się nisko i choć był znacznie wyższy od Odila i nieporównanie szczuplejszy, to odniosłem wrażenie, iż widzę przed sobą gadatliwego stewarda.

- Teraz pokaż mi, gdzie mieszka Odilo, drugi bóg-mężczyzna -

zażądałem.

Ruszyliśmy plażą w kierunku, z którego niedawno przybyliśmy.

Wzgórza, które za mojej poprzedniej bytności w tym miejscu były brązowe i zupełnie nagie, teraz skryły się pod dywanem miękkiej, soczycie zielonej trawy. Rosło w niej mnóstwo kwiatów, a gdzieniegdzie dostrzegłem nawet młode drzewka.

Próbowałem oszacować, jak długo mnie tu nie było oraz ile czasu spędziłem wśród autochtonów w kamiennym mieście i choć moje wysiłki spełzły na niczym, to jednak podejrzewałem, iż oba te okresy trwały mniej więcej tyle samo. Zaraz potem pomyślałem z podziwem o zielonym człowieku, który zjawił się w dżungli dokładnie w chwili, kiedy go potrzebowałem. Co prawda, obaj wędrowaliśmy korytarzami czasu, ale on był w tym mistrzem, ja zaś zaledwie uczniem.

Zapytałem mego kapłana, jak dawno temu Śpiący pożarł wszystkie lądy.

Choć był bardzo opalony, to i tak bez trudu zauważyłem, że krew odpłynęła mu z twarzy.

- Bardzo dawno - odparł drżącym głosem, - Zanim ludzie

pojawił się na Ushas.

- Skoro tak, to skąd o tym wiadomo?

- Bo opowiedział nam bóg Odilo. Czy gniewasz się na nas?

A więc Odilo wcale nie spał, lecz podsłuchiwał moją rozmowę z Eatą.

- Nie - odparłem. - Chciałbym natomiast usłyszeć wszystko,

co wiesz na ten temat. Czy to ty zjawiałeś się jako pierwszy na Ushas?

Pokręcił głową.

Pierwsi byli ojciec mojego ojca i matka mojej matki. Spadli z nieba jak ziarno rzucone ręką Boga wszystkich bogów.

Nie znając ognia i nie mając niczego... - mruknąłem.

Natychmiast przypomniałem sobie meldunek złożony przez młodego oficera o mężczyźnie i kobiecie, którzy wysiedli ze statku hieroduli na terenie należącym do Domu Absolutu. W związku z tym nie miałem żadnych trudności z odgadnięciem, kim byli przodkowie mego kapłana: marynarze pokonani przez istoty z moich wspomnień zapłacili za klęskę swoją przeszłością, tak samo jak ja zapłaciłbym przyszłością mych potomków, gdyby w decydującej bitwie porażkę ponieśli nie oni, lecz moja przeszłość.

Dość szybko znaleźliśmy się w wiosce. Na brzegu leżało kilka sprawiających niezbyt solidne wrażenie łodzi; wykonano je z pni drzew

wyrzuconych na brzeg przez fale i nawet nie pomalowano, w związku z czym wszystkie były ciemnoszare, a miejscami wręcz czarne. Kilkanaście kroków od wody w równych rzędach stały chaty; niebawem przekonałem się, że wioskę zbudowano na planie kwadratu. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, iż stało się tak za sprawą Odila, który - jak niemal każdy sługa sprawujący jakąś istotną, funkcję - kochał porządek dla samego porządku. Chwilę potem zaświtała mi myśl, że zapewne on także był pomysłodawcą i projektantem łodzi; bądź co bądź, kiedyś samodzielnie zbudował tratwę, która ocaliła nam życie. Spomiędzy chat wyszły dwie kobiety oraz gromadka dzieci.

W milczeniu odprowadzały nas wzrokiem, chwilę później zaś dołączył do nich mężczyzna zajmujący się uszczelnianiem kadłuba jednej z łodzi. Kapłan, który szedł pół kroku za mną, wskazał mnie ruchem głowy i wykonał gest tak szybki, że prawie go nie zauważyłem, a wtedy mężczyzna, kobiety i dzieci padli na kolana.

Czując się zupełnie tak, jakbym brał udział w jakimś przedstawieniu (co czyniłem w życiu częściej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać), rozłożyłem szeroko ramiona, pobłogosławiłem ich, potem zaś nakazałem, aby byli dla siebie dobrzy i dążyli ku szczęściu. My, pomniejsi bogowie, potrafimy tylko tyle, choć Prastwórca z pewnością może

znacznie więcej.

Bardzo szybko zostawiliśmy wioskę z tyłu, nie na tyle daleko jednak, żebym nie usłyszał, jak męczyzna ponownie zaczyna wbijać w szczeliny kadłuba konopne powrozy, dzieci zaś wracają do swoich zabaw. Zapytałem, czy jeszcze daleko do miejsca, gdzie przebywa Odilo.

- Jesteśmy już bardzo blisko - odparł mój kapłan, wyciągając rękę.

Skręciliśmy w głąb łądu i właśnie docieraliśmy do szczytu łagodnego pagórka. Widać stąd było zbocze następnego, na nim zaś trzy płaskie głazy udekorowane wilczomleczem, krwawnikiem i rutą.

- Tam właśnie śpią pozostali bogowie - powiedział.

Dodatek

Cud Apu-Punchau

Na prymitywnych umysłach największe wrażenie wywierają zjawiska naruszające niezmienny, wydawałoby się, porządek panujący wśród ciał niebieskich. Ktoś nieco mniej łatwowierny mógłby jednak zacząć się zastanawiać, w jaki sposób Severian zdołał tak bardzo przedłużyć noc, nie powodując jednocześnie kataklizmu jeszcze większego niż ten, który towarzyszył pojawieniu się Nowego Słońca.

Możliwe są co najmniej dwa w miarę prawdopodobne wyjaśnienia. Pierwszym jest masowa hipnoza; historycy często korzystają z tego określenia wytrychu, pragnąc zdyskredytować „cudowne” zdarzenia z przeszłości, których nie da się ośmieszyć w żaden inny sposób. Niestety, nie pojawił się jeszcze hipnotyzer, który spróbowałby powtórzyć choć jedno z tych doświadczeń.

Jeśli odrzucimy pomysł z masową hipnozą, jedyną alternatywą pozostanie zaćmienie w najszerszym znaczeniu tego słowa, to znaczy przejście jakiegoś nieprzejrzystego ciała przez przestrzeń oddzielającą Urth od Starego Słońca.

W tym kontekście należy zwrócić uwagę, iż wiosną nad kamiennym miastem pojawiają się te same gwiazdy, które na niebie Wspólnoty świecą wyłącznie zimą (odpowiedzialnością za to zjawisko należy zapewne obarczyć precesję punktów równonocnych), a jednak owej nadzwyczajnej nocy Severian widzi nad głową znajome gwiazdy wiosennego nieba. Fakt ten zdaje się przemawiać na korzyść drugiego wyjaśnienia, podobnie jak nagłe pokazanie się Starego Słońca wysoko nad horyzontem. W relacji Severiana trudno doszukać się najmniejszych sugestii dotyczących natury nieprzejrzystego ciała, które mogłoby na tak długo zasłonić dzienną gwiazdę Urth, ale uważny czytelnik z pewnością bez trudu zdoła samodzielnie postawić przynajmniej jedną wiarygodną hipotezę.